

**EUGENIUSZ PAUKSZTA**

**GDZIE DIABEL MÓWI  
DOBRANOC**



PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO „ISKRY” WARSZAWA 1968

## 1. WIĘKSZA ROZRÓBA

O zmroku mżawka przestała siać, mimo to w powietrzu wisiała wilgła, przenikająca mgła. Chmury opadły nad ziemię grubą powłoką, zdawało się, że pochłoną szczyty parkowych drzew i smukłą wieżę ratusza.

Dzwoniąc przeraźliwie, ze skrzypem i zgrzytaniem starego żelastwa zleciał w dół rozklekotany tramwaj. Dostojnie, z równomiernym klaskaniem kopyt i cichym szelestem opon stoczyła się niedługo po nim dorożka.

Skape latarnie żółtym światłem stały się na wilgotny bruk. Chodniki tonęły w mroku pogłębianym przez cienie rozrosłych lip, pokapujących z czarnych konarów kroplami wody.

Psia pogoda nie odstraszała jednak w ten sobotni wieczór mieszkańców miasta. Dziurawymi chodnikami snuły się tłumy przechodniów. Jedni spieszyli, kuląc się w wyświechtanych jesionkach, inni człapali leniwie, przystając przed witrynami skapo oświetlonych sklepów.

Przed hallem kinowym gwaro było i rojno. Od oszklonych gablot kryjących fotosy rozśmianych aktorek padały na trotuar snopy jasnego światła lamp jarzeniowych. Przy kasie, z daleka widoczny, czerniał wielki napis: *Bilety wyprzedane na wszystkie seanse*. Ludzie czytali te słowa z niedowierzaniem, po czym odchodzili zgaszeni i gniewni. Byстрыm okiem mierzyli ich kręcący się w tłumie młodzi chłopcy, proponowali sprzedaż biletów.

— Dwie dychy, jak za darmo! Taaaki film z Chevalierem...

Jedni klęli, precz goniąc spryciarzy, inni z krzywą miną decydowali się jednak na zapłacenie żądanej sumy. Sobota jest przecie tylko raz w tygodniu...

Z ulicy rozległ się nagle przenikliwy gwizd, wśród publiczności przed kinem nastąpiło poruszenie, zatupotały śpieszne kroki, pojawiły się mundury milicji.

— Nalot na spółdzielnię „Bilecik”... — z satysfakcją zaśmiał się jakiś wąsaty jegomość, ciekawie obserwując scenę rozgrywającą się w błyskawicznym tempie.

Młodociani sprzedawcy biletów rozglądali się spłoszonymi spojrzeniami, szukając szpary, którą by można czmychnąć przed milicjantami. Któryś szybkim ruchem rzucił za siebie plik różowych kuponów, w tejże chwili przedstawiciel władzy złapał go za ramię.

— Panie starszy, za co mnie? Ja tu przypadkiem... randkę miałem...

Któryś się wyrwał, rwał co siły w nogach przez jezdnię, milicjanci łoskocąc butami pognali za nim szpalerem Starych lip.

Przystojny, młody człowiek lat około dwudziestu uważnie obserwował wypadki. Milicjanci byli już niedaleko. Przysunął się wtedy do leciwej pary, opuszczającej oświetloną przestrzeń przed kinem.

— Dobrze tak łobuzom, może nareszcie będzie porządek! Ani się dostać przez nich do kina...

Opatulona w wатовany płaszcz jejmość zyczliwie spojrzała na młodzieńca.

— O to, to... My już drugą sobotę odchodzimy tak z kwitkiem. Stary późno wraca z roboty, czekam z obiadem, ani mowy, aby stanąć w kolejce. A później już figa...

— Ostrożnie, proszę pani! Że też nie załatają tych dziur w chodniku...

Usłużny chłopiec dopomógł starszej pani obejść wyrwę. Mijali właśnie milicjanta. Spojrzał uważnie, ale widząc młodzieńca ujmującego kobietę pod ramię, uznał całą trójkę za przykładne małżeństwo z synem.

Po chwili znaleźli się w cieniu drzew długim rzędem wytyczających bieg ulicy.

Rozgwar przed kinem został za nimi, przycichał.

— No i co, matka, trzeba wracać do domu...

— A trzeba! Dobrze im tak, łobuzom... — westchnęła.

Młody człowiek, ciągle trzymający się razem, rozejrzał się dokoła, pogmerzał dłonią w kieszeni.

— To ja już pójde w swoją stronę — powiedział, przystając. Po czym wyciągnął rękę do leciwej matrony. — Proszę, to dla państwa, na następny seans...

Spoglądali na niego nie rozumiejąc. Kobieta machinalnie wzięła do ręki różowe kupony.

— Co to?

— Bileciki, żebyście państwo nie wracali próżno do domu... Gdyby nie wasza pomoc, nakryliby mnie jak amen w pacierzu. Tyle tego miałem jeszcze przy sobie! — zamachnął im przed oczyma plikiem różowych kartek i uchyliwszy lekko nastroszonej czapki, pogwizdując oddalił się w ciemną przecznicę.

Tamci tkwili w miejscu jak oniemiaли. Dopiero po chwili starszy jegomość wybuchnął gniewem.

— Widzisz ty huncwota, łobuza z piekła rodem... Gdzie tu milicja? Grzeczniczek się znalazł! — pokrzykiwał.

— Cichaj, Antuk, cichaj. — Kobieta przycisnęła łokciem ramię męża. — Nie zaczynaj, wróci i po oczach cię czymś przejedzie...

— Ja mu wróczę... — nie dokończył, syknęła bowiem tak jednoznacznie, że zrezygnowany umilkł i tylko sapał gniewnie.

— Szkoda zmarnować bilety, choć to niby niecnym sposobem... Zaraz nowy seans, pójdziemy — i powiodła ociągającego się małżonka przed jasno oświetlone wejście do kina. Tam już panował spokój. Nie było śladu milicji, ale i nikt nie proponował biletów.

„Greczny” młodzieniec ze złośliwym uśmiechem obserwował z oddali parę, która bezwiednie wyratowała go z opresji. „Baba ma więcej rozumu, pomyślał, są bilety, to i po zmartwieniu...” Mocniej nacisnął kaszkiet na głowę, splunął przez zęby. Zły był. Wyciągnął z kieszeni paczkę biletów i patrzył na nie z niechęcią, obliczając, ile stracił na dzisiejszej historii. Nieprędko będzie drugi film z Chevalierem. A w ogóle interes zaczął się psuć. Naloty milicji stawały się coraz częstsze. Trzeba chyba rozejrzeć się za pewniejszym zarobkiem.

Drobne płatki porwanych kuponów opadły na ziemię, nasiakając wilgocią błota. Przydeptał je jeszcze obcasem.

Wlókł się wolno, zastanawiając się, co zrobić z resztą wieczoru. Mijała go jakaś dziewczyna. Rozłożył szeroko ramiona cmokając zachęcająco. Strwożona frunęła na drugą stronę ulicy, nie zważając na kałuże rozpryskujące się pod nogami. Zaśmiał się rechetliwie.

W oddali świecił szyld zagubionej na uboczu, podrzędnej knajpy. Przyspieszył kroku, pchnął poskrzypujące drzwi. Z osnutej kłębam dymu sali płynął ostry zapach piwa. Większość stolików była zajęta, goście porządnie już mieli w czubie. Przysiadł niedaleko wejścia. Zaraz zbliżył się do niego kelner o wyszarzałej, zmiętej twarzy.

— Panie Franuś, coś na przegrzechę i buteleczkę oranżady, że to sobota — uśmiechnął się domyślnie.

Kelner przechylił się poufale, odstaniając w uśmiechu popsute, nie czyszczone zęby.

— Z oranżadą numer nie przejdzie. Kręcka dostali z kontrolą. Dwie dzisiaj mieliśmy... Chyba że pan przejdiesz do telefonu...

— Wszystko jedno, byle zaraz.

— Już się robi... A na zagrychę może być kotlecik, pierwsza klasa, z kapustą i kartofelkami... Duże piwko do tego...

— Dobra, dobra, coś się pan, Franuś, tak dzisiaj rozgadał? — spytał łyskając gniewnie oczyma.

Kelner za dobrze znał swoich gości, by próbować dalszej dyskusji z „pięknym Edziem”. Odpiął bezszelestnie.

Edward Zaleski wolnym krokiem pomaszerował tymczasem za przepierzenie, gdzie w korytarzyku znajdował się aparat telefoniczny. Po chwili ukazał się kelner ze szklanką wódki i kwaszonym ogórkiem w papierku.

— Siup, zdrowieczko! — Młodzian wprawnym ruchem przechylił szklankę, dwoma łykami przełknął ostry płyn. Z lubością zachłysnął się kwaśnym, soczystym ogórkiem.

Kelner odebrał mu szklankę z rąk, szybko ginąc z nią w bocznych drzwiach korytarza. „Piękny Edzio” powrócił na zadymioną salę, lustrując ją bacznie w poszukiwaniu znajomych. Z pewną niechęcią zabrał się do postawionego przed sobą kotleta. Nie miał zbyt różowego nastroju. Wszystko zaczynało się komplikować. Stosunki w domu szwagra, gdzie zamieszkiwał, pogarszały się. Mieszkanie było ciasne, dzieci szwagrostwu przybywało, coraz więcej kłopotu było z młodzieńcem, który w dodatku wracał późną nocą i robił harmider. Dochody jego również zmarniały ostatnio. Zorganizował ze sporym nakładem pracy i kosztów intratny konikowy interes, ale ryzyko stawało się nieproporcjonalnie wysokie. Koledzy napomykali mu o innych okazjach, ale na tamte nie chciał się zdecydować...

Powietrze oczyściło się trochę, po dusznej atmosferze knajpy wciągnął je w płuca pełnymi haustami. Na ulicach było teraz mniej ludzi. Wesoły rozgwar dobiegał tylko z okolic kawiarenki „Warmianka”. Tam zawsze najchętniej gromadziła się młodzież Olsztyna. Z okien lokalu padały szerokie smugi światła. Obok kolorowymi żarówkami i muzyką ochryplej ze starości płyty zachęcała jaskrawo pomalowana strzelnica. Tłoczyli się tam gęsto młodzieńcy z odkrytymi głowami albo w kaszkietach wypchanych od środka papierem.

Przy chodniku, popiskując i chichocząc, małymi grupkami skupiały się dziewczęta.

— Cześć, cześć — bez entuzjazmu odpowiadając na pozdrowienia, przystanął Edek w grupie rozgorączkowanych chłopców, celnym strzałem usiłujących wygrać butelkę wina. Każde pudło witane było chóralnym rechotem.

Jakiś blondynek o zaondulowanych włosach długo mierzył, aż wargi zagryzał z emocji. Pudło. Próbował od nowa. Znów pudło. Aż huczało od śmiechu i kpin.

— Pokaż tę wiatrówkę. — Edek obcesowo wyjął ją z dłoni blondynka. Tamten chciał protestować, ale napotkawszy spojrzenie przybysza, dał spokój.

Nie mierzył długo. Tyle już razy próbował szczęścia w tej strzelnicy, aż dobrze poznał tajemnicę każdej z trzech wiatrówek. Ta z kolbą bordo miała muszkę przekrzywioną na lewo... Trzask, zachybotła się, a potem wywinęła kozła drewniana figurka w środku tarczy. Pokrzyk uznania pobiegł ulicą. Drugi strzał, figurka zawirowała jak szalona. Gapie ryczeli z zachwytem. Właściciel strzelnicy z krzywą miną podał Edkowi dwie flaszki podłego wina owocowego.

— Pijemy, koleś? — zagadnął triumfatora jakiś wyszmelcowany typ o zawadiackich ruchach.

Edek zawahał się przez moment, po czym niedbale rzucił flaszka w jego stronę. W drugiej uderzeniem o kant budki strzelniczej odłupał lak, dłonią wybił korek, przechylił butelkę do gardła. Nie smakowało mu, wino było kwaśne, niesło świeżym fermentem. Spojrzał pytająco dokoła, zaraz wyciągnęło się kilka chciwych rąk.

— Kasę dobroczynną organizujesz? — usłyszał znajomy głos. Obejrzał się. Ucieszył go widok dwóch najbliższych współników z „konikowego” interesu. Wycofał się do nich z tłumem.

— Nie przymknęli was?

— Józka w ogóle nie było wtedy przed kinem, ja frunałem na salę, bo właśnie służbę objął Kawiński, swój bileter. Stówę musiałem mu za to odpalić — ostatnie słowa elegancko ubrany wysoki młodzian wymówił z żalem.

— Warto było... Mógłbyś mieć sądową historię... W orzekającym już stawałeś przecie

dwa razy. Recydywista...

Zaśmiali się. Wolno, przyglądając się mijanym dziewczętom, skręcili obok ratusza na Stare Miasto.

— Pod „Żagle”? — zagadnął elegant.

— Nie wiem, zobaczymy. I tak nie ma nic do roboty...

Ciemna ulica wsiąkała w Bramę Piastowską. Skręcili w lewo, na widoczny z daleka podjazd restauracji „Pod Żaglami”.

Niezdecydowani, przystanęli koło wysokiego drzewa. Nasiąkły wodą pień białł kilku ogłoszeniami. Papierosy migały ognikami. Spluwali, rzadko rzucając słowa.

— Wiesz Edek, Krasawczyk odgrażał się wczoraj, że cię pośle na piwko do Abrahama... Ululany był w dechę, dlatego wiercił jadaczką. Ty się strzeż, to bandzior nie z tej ziemi...

— Ja go nie zaczepiam. A że wtedy dostał po uszach, to trudno. Sam zaczął — dorzucił gniewnie.

Niski, krępy kolega w czapce WSR nieprzekonany potrząsnął głową.

— Pamiętaj, że to facet od mokrej roboty...

— Niechże go jasna cholera! No co, idziemy pod „Żagle”?

— Można...

— W zastępstwie tamtych... Wiaruchna wraca już na nie swoich nogach...

Z podjazdu restauracji, pokrzykując, staczało się w ich stronę większe towarzystwo, dobrze pod datą.

— Uważaj, Edek, to Krasawczyk ze swymi... — ściszym głosem rzekł nagle student, po czym szybkim ruchem zerwał z głowy czapkę uczelni, starannie chowając ją w wewnętrznej kieszeni jesionki. — Może być rozróżba, a nie chciałbym z budy wylecieć...

Edek ściągnął brwi. Szukając łatwych zarobków, wdał się w towarzystwo rozwałęsanego młodzieży, wśród której nie brakło rasowych bandytów czy złodziejasków. Czasem dochodziło do chwilowych sojuszy, a znacznie częściej do ostrych konfliktów. Wychodził z nich zazwyczaj obronną ręką, czym wyrobił sobie pewien respekt wśród koników i lekkoduchów. Z wyjątkiem Krasawczyka... Ten widział w nim konkurenta, a nie znosił nikogo wokoło siebie, kto mu odbierał wpływy w chuligańskim środowisku. Brzydki, ze szramą od noża biegnącą przez prawy policzek, dla ironii przezwany został w swym środowisku Krasawczykiem... Szedł właśnie teraz z dwójką kompanów i dziewczyną uwieszoną mu u ramienia.

Edek z kompanami cofnął się na bok, aby nie tarasować drogi. Dostrzegł wlepione w siebie duże oczy dziewczyny. Poznał ją. Była to ukochana Krasawczyka. Od dawna wodziła za przystojnym chłopcem bardziej niż ciekawym spojrzeniem. Edek umiał ocenić jej urodę, ale nic więcej. Nie obchodziła go, wzruszeniem ramion przyjmował oświadczenia kolegów, że dziewczyna szuka podobno okazji poznania się z nim.

Jej niepohamowane spojrzenie zaniepokoiło teraz towarzysza. Uważnie ogarnął wzrokiem trójkę mężczyzn stojących u skraju chodnika. Poznał Edka. Stał w miejscu jak wryty i zaraz szarpnął się z krzykiem do przodu. Dziewczyna kurczowo uczepliła się jego rękawa, próbując zażegnać awanturę. Pozostała trójka kompanów również nie przejawiała ochoty do starcia, usiłowali bowiem powstrzymać swego prowodyra.

Krasawczyk, pijany i zaślepiiony złością ani myślał ich słuchać. Jedną ręką szarpiąc się z dziewczyną, drugą wyciągnął z kieszeni długi przedmiot owinięty w gazetę. Dziewczyna krzyknęła, próbowała go powstrzymać. Wtedy z całej siły, na odlew, machnął ją dłonią w twarz, aż zatoczyła się na pobliski parkan.

Teraz już i Edek miał dosyć. Do tej chwili pragnął uniknąć starcia, z zaciśniętymi pięściami tkwił w miejscu, śledząc całą scenę. Na widok uderzonej dziewczyny rzucił się na Krasawczyka, schylając się równocześnie przed ciosem rury. Zakotłowało się, kompani z obu grup w jednej chwili również wdali się w bijatykę. Dziewczyna krzyczała, wokół niej przewa-

łały się ciała, ktoś padał, zrywał się, parł przed siebie z wyciągniętymi pięściami, walił sierpowym, w odwecie grzmotnięty straszliwym „bykiem” zataczał się na strony.

Krasawczyk miał opinię specja w ulicznych masakrach. I teraz on właśnie atakował Edka, zwinny, czujny a zręczny, jakby kropli alkoholu nie miał tego dnia w ustach. Znów się zamachnął skrytą w gazecie rurką, zaraz jęknął boleśnie, zabolęło ramię trafione zręcznym kopnięciem, palce dłoni rozwarły się, żelazo z brzękiem upadło na chodnik.

Edek poczuł nagle, jak przeciwnik uderza nań całym ciężarem ciała. Aż się zachwiał, potknął o krawędź jezdni, runął plecami na ziemię. Tamten przysiadł już na nim, siekąc jednocześnie pięściami głowę i twarz. Tyle tylko, że zdążył się wywinąć, zrzucił przeciwnika z siebie, podpierając się rozkrwawionymi o bruk dłońmi, poderwać i odskoczyć w bok. Już się wyprostował, gdy silny cios w twarz ponownie odrzucił go do tyłu.

W ustach poczuł mdławy smak krwi. Zagryzł więc tylko wargi, czując, że słabnie, że jeszcze jeden podobny cios, a Krasawczyk nowym triumfem potwierdzi swą opinię niezwyciężonego. Schylił więc tylko głowę, wtulił ją w ramiona, przygięty spróbował ostatniego ataku. Osłabł, może wypita niedawno wódka odbierała mu siły, dość że tamten ciągle miał nad nim wyraźną przewagę. Zatoczył się, zastawił ręką przed nowym uderzeniem... I nagle uczuł, że w prawą dłoń wciska mu się coś twardego, ciężkiego. Domyślił się raczej, niż ujrzał, że to dziewczyna podała mu rurę żelazną, upuszczoną przez Krasawczyka. Nie zastanawiając się, rozgorączkowany walką, odskoczył nagle na bok, zamachnął się resztą siły. Krasawczyk nie zdołał uskoczyć. Żelazo z głuchym stukiem opadło na jego głowę. Tak jak stał, z zanikającym jękiem runął na ziemię...

Edek jeszcze się nie opamiętał, rozogniony drżał gotów do dalszej walki. Kotłowanina pozostałej piątki także nie ustawała. Dziewczyna uniosła nagle ręce do twarzy i pełna przerażenia wolniutko, półkroczkami zaczęła się cofać. Edek bardziej domyślił się, niż ujrzał przerażenie w jej twarzy i ruchach.

Oprzytomnił go w tej samej chwili nagły krzyk któregoś z towarzyszy dziewczyny.

— Zabił go, zabił...

Spojrzał. Przeciwnik leżał bez ruchu, z rozrzuconymi rękami. Ucichło nagle, bójka urwała się jak nożem ciął. Wszyscy stanęli zdjęci nagłym lękiem. Bić się, tak, to było ich żywiołem, ale nie zabijać...

W to zastygłe nagle milczenie wbiegł cichy gwizd i tupot nadbiegających kroków. Gwizdowi odpowiedział dalszy, od strony ratusza.

— Milicja! — szepnął ktoś gorączkowo.

I jakby wstąpiły w nich wszystkich nowe siły, rzucili się do raptownej ucieczki, rozsypując się na strony. Tylko dziewczyna dłońmi przesłaniając twarz została przy leżącym bez ruchu Krasawczyku.

— Nie wiem, nie wiem... On nie żyje... Nie wiem kto, nie wiem... — słyhać było jeszcze przez mrok szloch dziewczyny, indagowanej przez milicjantów, którzy nadbiegli na miejsce wypadku.

Edek, klucząc między stertami cegieł prowadzonej tutaj budowy, słyszał te jej słowa i zrozumiał z nich tylko jedno, to straszne, potwierdzające uprzednią niejasną świadomość, czego dokonał. „Nie żyje, nie żyje...”

Łatwo, już spokojny o pogoń, której odgłosy dobiegały tu jeszcze od innej strony, wy dostał się z rozbranych placów Starego Miasta na stromą uliczkę Wyzwolenia. Zasapany, wspiał się na nią i kryjąc się w cieniu, prędko skręcił od ratusza na lewo, omijając rozgwar okolic „Warmianki”.

Pragnął teraz znaleźć się jak najdalej od miejsca awantury. Bał się światła i ludzi. Nie mógł zebrać myśli, głowa bolała go, szumiało w niej i tętniło. Czuł krew krzepnącą na wargach i policzku, napotkał kilka strwożonych spojrzeń przechodniów. Nacisnął głębiej czapkę, aby rzucała więcej cienia na twarz, szukał miejsc mrocznych, o co zresztą nie było trudno w

źle oświetlonym mieście.

Szedł tak nieswoimi krokami, zagubiony nagle w ulicach tak przecie dobrze mu znanych. Szare, oślizłe w nieustannie siąpiącym deszczu mury starych kamienic, bezradne kikuty pokapujących wodą drzew, mijający go śpiesznie przechodnie, wszystko to stało mu się obce, jakby przeniesione z innego świata. Nie myślał już nawet o dopiero minionych chwilach, o dziewczynie, Krasawczyku, o ucieczce przed ścigającą go milicją. O niczym właściwie nie myślał. Po prostu było mu bardzo ciężko i źle.

Minał tunel, biegł już niemal ulicą wznoszącą się w górę. Daleko za nim została jaśniej oświetlona przestrzeń koło wybudowanego tutaj przed laty hotelu. Skręcił w lewo. Skryte w przeładowanych drzewami ogródkach drzemały tu zamożniejsze wille, tuląc się w zgodzie do ubogich parterówek.

Edek przystanął przed bramką piskliwie kolebiącą się na spracowanych zawiasach. Dłonią przeciągnął po wardze, uczył lepką wilgotność krwi.

Westchnął niechętnie, gdy zza niskich drzwi, których klamkę właśnie nacisnął, dobiegł go gderliwy głos kobiecy.

## 2. NIESPODZIEWANY WYJAZD

W niebieskawym świetle z trudem ogarniającym przedział Edek przyglądał się towarzyszowi. Długie, jasne włosy chłopaka rozsypały się w nieładzie na strony, głowa podrygiwała w takt uderzeń pociągu na spojeniach szyn. W półmroku twarz Gasińca wydawała się bardziej blada niż przed paru godzinami na zatłoczonym dworcu olsztyńskim. Pamiętał, że Mietek zawsze był wymizerowany i blady. Teraz nawet jak gdyby zmęźniał. Przecież to ładne parę lat, jak się rozstali.

Podnosząc się ostrożnie, aby nie zbudzić współtowarzysza drogi, uśmiechnął się do dawnych wspomnień. On, szkolny zabijaka, uczestnik wszystkich bójek, z natury już nie znoszący cherlaków, nie wiedzieć czemu przywiązał się wtedy do wątłego Gasińca. Nie była to nawet przyjaźń, zbyt różny był świat ich zainteresowań. Ot, po prostu wziął go w obronę przed atakami złośliwych kolegów, wymłócił paru z nich porządnie i tyle. No, jeszcze tamta historia na ślizgawce, wtedy wszystko mogło się skończyć poważniej... Ech, stare dzieje! I teraz to niespodziewane spotkanie, a w ślad za nim decyzja wyjazdu na koniec województwa, do jakiejś zakazanej dziury.

Wyszedł na korytarzyk w końcu wagonu. Drzemała tam jakaś babina przysiadłszy na obfitych tłumokach. Palił papierosa, zazdroszcząc wszystkim, iż mogą spać tak spokojnie. Jego sen nie miał się, choć był przecie solidnie zmęczony.

„Nerwy, psiakrew” — syknął niechętnie, wargami przesuwając papierosa z jednego w drugi kąt ust.

Wyjął lusterko, przejrzał się. Rozcięta warga i potężny siniec pod okiem dowodnie świadczyły o niedawnej awanturze.

Nie wiadomo, co jeszcze z tego wyniknie...

Czyżby naprawdę nie żył? Ta głupia dziewczucha darła się, że ją było słychać na drugim końcu miasta, ale skąd mogła wiedzieć? — Wstrząsnął nim dreszcz lęku. Papieros parzył wargi, rzucił go na ziemię, gniewnie przydeptał nogą.

No tak, ale gdyby nie to żelazo w gazecie, on mnie wyprawiliby dla odmiany na Abrahamowe piwo. Bronilem się...

Nie, ani nie chciał, ani nie miał siły rozmyślać teraz nad wszystkim. Przytknął gorące czoło do zroszonej, zimnej szyby. Na chwilę przyniosło to ulgę, ale nie było już żadnej różnicy między ciałem a szkłem. Zerknął na drzemającą na swych tłumokach babina, uchylił

okno. Pęd pociągu z poświstem wrzucał do wnętrza wagonu przesycone mżawką powietrze. Edek wychylił głowę, poddając ją gwałtownym uderzeniom wiatru. Stał tak długo, aż poczuł przenikający go chłód. Wtedy przymknął okno, zostawiając tylko niewielką szparę. Znow sięgnął po papierosa.

„Rozklejam się, psiakrew”.

Zły był na siebie za takie uleganie chwilowym nastrojom. Jak dotąd, skuteczniej umiał się z nimi uporać. Przed oczy nadpłynął widok Krasawczyka leżącego nieruchomo na chodniku olsztyńskiej ulicy. Czym prędzej odsunął to wspomnienie od siebie. Bał się teraz własnych myśli, chyba pierwszy raz w życiu czegoś się bał.

Za oknami lekko szarzało. Dochodziła piąta. Za godzinę będą w Rucianem potem dalej, na Pisz...

Nie był tam nigdy. Włączył się trochę po jeziorach, ale o te strony nie zawadził. Zamyślił się: jakże to będzie u Gasińca? Leśniczówka, podobno zupełne odludzie. Lasy, lasy, woda i zwierzęta. Ludzi na palcach można policzyć... Odpowiadała mu taka perspektywa. Dosyć miał wielkiego miasta. Marzył teraz o spokoju.

A w ogóle jakoś dziwnie się układa to wszystko. Odtwarzał w pamięci dalsze koleje minionego wieczoru...

Jeszcze za drzwiami usłyszał gderliwy głos siostry. Zamierzał dyskretnie przesunąć się do bokówki, w której sypiał. Gdzież tam, od razu przywitała go pełną gębą:

— Patrzenie, co za cud, jaśnie hrabicz o dziewiątej już w domu...

I zaraz przyjrzała się mu uważnie. Twarz miał pokrwawioną, podobnie ręce. Na ubraniu zastygły gęste, grube krople, skapujące z rozciętej wargi. Zaniepokojona poskoczyła ku niemu, zawołała męża.

— Dajcie mi święty spokój! Sprano mię po mordzie i tyle. Nie ma co wydziwiać.

Dopiero sobie narobił tym odezwaniem! Nasłuchał się wyzwisk od hycli i bandytów, od chuliganów, co prostą drogą zmierzają do więzienia, od lekkoduchów, co nigdzie nie pracując, jeszcze tylko kąć cudzy zajmują i z resztek objadają swych krewnych...

Miał tego dosyć. Pragnął spokoju. Poszedł do swej bokówki, nory o powierzchni dwa metry na dwa, wyjął ze schowka zwitek pieniędzy, rzucił siostrze parę czerwonych setek.

— Macie za kąć i żarcie. Przed tygodniem przecie płaciłem...

Ucichli. Niska, rozrosła kobieta o zharowanej i nasiąkłej złością twarzy szybko schowała otrzymane pieniądze w zanadrze. Udobruchała się.

— Ej, Edek, Edek, że też ty na porządne drogi nie wejdiesz! Zrób sobie kompres albo lepiej żelazo na gębę przyłóż, to odciągnie...

Godzinę mordował się z kompresami i kawałkami metalu przytykanymi do zbolątych miejsc. Potem cisnął wszystko w kąć, zasunął strzępy firanki na drzwiach swej bokówki. Leżąc myślał, co dalej robić. Pierwszy raz myśl o przyszłości przejmowała go trwogą.

Niespokojnie nasłuchiwał odgłosów z zewnątrz. Każde mocniejsze kroki z ulicy witał drgnieniem serca. Może po niego? Wypalił wszystkie papierosy. Szwagrostwo już spali. Jego sen się nie imał, zresztą bał się snu. Chciał mieć świadomość tego, co się z nim będzie działo... Od nowa próbował przykładać kompresy. Obrzęki cofnęły się wyraźnie. Zegar ścienny w kuchni wybił trzy kwadransy na dwunastą. Wtedy błysnęła mu myśl o ucieczce. Z tego domu, gdzie nie zaznał nigdy krzty serca, tylko zimne wyrachowanie, z miasta, gdzie tak się dziwnie zwichnęły jego lata, może nawet z kraju, w którym nie widział dla siebie przyszłości.

Ubierał się szybko. W kieszeń wsunął paczkę banknotów, zdziwiony, że jest tego tak dużo, prawie trzy tysiące, przeważnie z biletowych zarobków. Wepchnął do teczki parę kieszonkowych, spodnie, jakies drobiazgi. Spłoszony i podniecony, śpieszył się, nie mógł trafić kluczem do drzwi. Siostra przewróciła się na drugi bok. Przystanął, zawrócił do niej.

— Julia! — szarpnął ją wcale niedelikatnie za ramię... — Julia!

— Czego chcesz? — wymamrotała przez sen.



— Słuchaj, ja wyjeżdżam na dłużej, tydzień, może miesiąc. Zatrzymaj moje miejsce, zapłacę...

Oprzytomniała. Siadła na łóżku, szukała kontaktu nocnej lampki, budziła męża.

— Edek wyjeżdża... Co on narobił? Żeby na nas biedy jakiej nie było. Ej, słyszysz, Edek wyjeżdża...

Zatraskując za sobą drzwi, słyszał ich niespokojne głosy, zabłyśło światło. Nie bez złośliwości pomyślał, że będą się teraz głowić, kombinować, może chować jakiś towar zakupiony na lewo... Co go to zresztą obchodzi. On wie, co ma robić.

Dopiero gdy przeszedł spory kawał drogi, stuknął się dłonią w czoło. Właśnie że nie ma pojęcia, co robi. Uciekł z domu, bo bał się tam tego, co może przyjść z zewnątrz, bał się też siebie samego. Nie mógł wytrzymać w tej ciszy, przerywanej ciężkimi oddechami śpiących, nie umiał znieść zaduchu spoconych ciał i kuchennych woni. Chciał opuścić mieszkanie, które dla niego nie było domem... Powiedział Juli, że wyjeżdża... Wyjeżdża, to może i dobre. Ale dokąd? Dokąd ma jechać? Przecie nie na wczasy. Aż się uśmiechnął do tego sformułowania, tak się mu niestosownie wydało w jego sytuacji...

Nastawił kołnierz palta. Sięgnął po papierosa. Zabrakło. Dwunasta, gdzie teraz dostanie coś do palenia? Wszystkie knajpy pozamykane... Przypomniał sobie dworzec. Znów się uśmiechnął. Jakoś tak się dziwnie wszystko składało. Mówił o wyjeździe, teraz idzie na dworzec. Kto wie, może naprawdę wyjedzie. Kupi sobie bilet gdzie bądź, byle dalej. Może do Ełku, może do Kętrzyna albo Giżycka...

Na ulicach było pusto. Głucho zadudniły kroki milicyjnego patrolu. Edek skulił się, może już jest poszukiwany? Ale przedstawiciele władzy minęli go obojętnie.

Skrzywił się trochę na jasne światła zatłoczonych ludźmi hal dworcowych. Będą zwracali uwagę na jego potłuczoną gębę, może tam właśnie wpadnie milicji w oko. Tymczasem mało kogo obchodził barczysty, wysoki młodzieniec z teczką w dłoni, przystający obok kiosku, przeciskający się potem przez zator około kas do restauracji dworcowej. Ledwie ktoś tam pobieżnie musnął wzrokiem jego twarz, już mijał, zajęty własnymi sprawami...

Z satysfakcją umoczył usta w zimnym piwie.

Przez megafon oznajmiono odjazd pociągów. Ludzie rzucili się do drzwi wyjściowych na perony. W sali znacznie się prz przeczodziło. Było w pół do pierwszej. Edek pomyślał, że najwyższy czas powziąć jakąś decyzję. Nie będzie siedział tu w nieskończoność. Trzeba wykupić bilet na najbliższy pociąg. Ba, tylko dokąd? W wyniku rozmyślań zamówił trzecie piwo, choć nie miał na nie specjalnej ochoty.

Sala restauracyjna ciepła była od ludzkich oddechów i parujących wilgotnych okryć. Kwaśny odór piwa przenikał powietrze. Nie przeszkadzało to Edkowi. Myśl jego pracowała leniwie, czuł dziwne otępienie woli. Siedział tak bez końca, gapiąc się na współtowarzyszy, łykając zimne piwo, nie trapiąc się o nic... Nie jak ten chłopiec ciągle spoglądający na zegarek.

„Zaraz, ale ja znam przecież tego faceta... Toż to mój słabeusz, ani chybi...”

— Gasiniec! Mietek! — wiele nie myśląc rzucił przez kilka dzielących ich stolików.

Chudy blondyn o rozrzuconych w nieładzie włosach ze zdziwieniem powiódł dokoła oczyma. W pierwszej chwili nie poznał Zaleskiego. Było coś znanego w tej twarzy przykrytej czapką noszoną na bikiniarski sposób, w tym uśmiechu dziwacznie wyglądającym z posiniaczonej, wymiętej twarzy.

— Edka nie pamiętasz?

Dopiero teraz Gasiniec poznał kolegę. Jego pociągła, blada twarz rozjaśniła się życzliwym uśmiechem. Tłumaczył się, że w pierwszej chwili nie poznał...

— No pewnie, to już z górą trzy lata... A i pysk mam nieźle pokancerowany, rodzona matka miałaby trudności z poznaniem takiego syna... Gadaj, co z tobą? Trochę lepiej wyglądasz, aleś zawsze jednak pozostał wymoczkiem...

Na stół sfrunęły zaraz dwa piwa. Gasiniec pijał tylko ciemne, wolał unikać alkoholu. Miły był, serdeczny w stosunku do Edka. Pamiętał szkolne czasy, gdy ten brał go w obronę, bez pardonu młóćąc przeciwników swymi twardymi pięściami. Nie na próżno trenował boks w jakimś klubie. Zapytał nawet, czy ślady na twarzy Zaleskiego to rezultat jakiegoś spotkania na ringu.

— Ech tam, głupi sport, dawno już nie mam z tym nic wspólnego... To z mordobicia. Miałem dziś cięższą przeprawę, naskoczył na mnie jeden bandzior...

Nie chciał więcej mówić. Wspomnienie Krasawczyka jakimś lękiem przeszło mu serce. Aż zadrzał. Czym prędzej skierował rozmowę na inny temat.

Gasiniec opowiadał o sobie. Choroba jego, wtedy jeszcze, przed laty, zaczęła być niebezpieczna dla życia. Jedyne ratunek widzieli lekarze w zupełnym przerwaniu nauki, wyjeździe na wieś i powolnej rekonwalescencji w zmienionych warunkach.

— Ojciec właściwie dla mnie tylko siedział w Olsztynie. Praca w Dyrekcji Lasów nużyła go. Teraz więc poprosił o leśniczówkę. Zaraz po otrzymaniu świadectwa z dziesiątej klasy wyjechaliśmy do Puszczy Piskiej. Tkwimy tam do dzisiaj. Na szczęście ze mną już znacznie lepiej, uczę się nawet, na wiosnę będę zdawał maturę jako ekstern...

Edka mało właściwie obchodziło to wszystko. Nawrotami nadbiegały przed pamięć groźne chwile minionego wieczoru... Dziewczyna, tamci trzej. Krzyczeli, że zabił... Boże, Boże...

Przechylił się wtedy nad stołem, zakrył twarz dłońmi. Nawet na mijających stolik dyżurnych milicjantów spozrzał dość obojętnie. Pal sześć, mają go brać, niech biorą! Jeden pies, psiakrew! Diabli nadali tego Krasawczyka!

Uczuł rękę Gasińca z troską muskającą jego ramię. Pytał, co mu jest, czemu tak nagle pobladł i zagryza wargi... Z trudem opanował się, zaśmiał się nawet.

— Myślałem o tej rozróbie... — I nagle, odczuwając gwałtowną potrzebę choćby częściowych zwierzeń, opowiadał: — Widzisz, facet miał dziewczynę, znałem ją tylko z widzenia. Podobno podkochiwała się we mnie. Licho wie zresztą, czy to prawda, tak gadali. A że gość jeszcze był naporzony, że mu konkurencję robię z konikami pod kinem, więc szukał tylko okazji. No i trafiła się. Ja go nie zaczepiałem, pierwszy skoczył... Rozróżba wyszła niewąska, bo i jego, i moi kumple też nie czekali na dalszą zachętę. Ten fagas, wiesz, miał zgrabnie owiniętą w gazetę gazurkę, czymś takim dobrze machnąć, to i na drugi świat można wysłać. Wybiłem mu ten przyrządek z ręki, ale mnie mimo to zwalił w końcu na bruk, cienko było, gdy raptem ktoś, najpewniej dziewczucha, podsuwa mi to żelazo. Ja, nie czekając, bęc go przez łeb, poleciał jak długi. A tu już milicja nadbiega, gwizdy, gwałt, trzeba było brać nogi za pas.

Zauważył, że Mietek słuchał go załężniony, ale zarazem aż usta rozwierał w podziwie. Sam słabeusz, cherlawy, czuł jakiś kult dla siły, pasjonował się słuchaniem opowieści o różnych bójkach i awanturach, w ogóle sytuacjach, w których siła fizyczna i zręczność grały pierwszą rolę... W pewnej chwili zapytał nieśmiało:

— A z tamtym co?

— Nie wiem — Edek z trudem zmusił się do obojętnego wzruszenia ramionami. — Zostawiłem go na chodniku. Musiał porządnie oberwać. Diabli wiedzą, co jeszcze z tego wyniknie...

Gasiniec próbował go wypytywać dyskretnie o bliższe szczegóły, ale Edek nie miał już więcej ochoty do zwierzeń. Zły był nawet na siebie, że się w ogóle rozkleił. Siedział chmurny, pociągając piwo dużymi łykami. Głowa zaczęła znów boleć. Miał już dosyć wszystkiego. Przytomność wróciło mu dopiero ciche pytanie Mietka, co teraz zamierza robić. Czy wyjeżdża gdzieś, że przyszedł na dworzec? .

I wtedy strzeliła mu do głowy nagła myśl, której uczeplił się jak tonący ostatniej deski ratunku. Nie wiedział tylko, jak sprawę przedstawić, czy w ogóle jest realna. Przełknął ślinę, lepka od tytoniu i znużenia.

— Ćmoków mi zbrakło... A właściwie to myślałem też i o wyjeździe. Dosyć mam tego

miasta, biletów, rozróbek, lewych handelków, całej tej bandy, wszystkiego. Ale co tu pomoże gadanie — machnął ręką z nagłą rezygnacją. Obok przechodził właśnie kelner. Skinął na niego: — Panie starszy, duże jasne...

— Ty, Edek, boisz się może... milicji? — bojaźliwie zapytał go wtedy Gasiniec.

Musiał się zaczerwienić, czuł, jak go zapiekły policzki. Ze złym błyskiem w oczach spojrzął na dawnego kolegę.

— Cholera z milicją! Boję się i nie boję... W ogóle mam dość! Nie od dzisiaj. Tylko nie myśl — zastrzegł się — że to dla jakichś tam moralnych dyrdymalek. Nie, znudziło mi się po prostu. Zawsze to samo, bilety, koniki, taki czy inny odskok na forszę, wredne mordy dokoła, babka, wódka, w kółko i w kółko. Ja już, cholera, pewnie pół roku jak książki żadnej w rękę nie miałem. W gazetach szukałem tylko ogłoszeń, czy jakiś interes się nie nawinie.

Zamilkł, potem wspomniął jeszcze o starciu z siostrą i szwagrem. Ale dodał to jedynie dla wyjaśnienia. Minęła już chęć realizowania projektu, który go olśnił przed paru minutami. Obojętnie popatrzał na szczupłą twarz chłopaka.

— Widzisz, ja się nie nadaję do niczego. Budę rzuciłem rok po tobie, znudziły mię narzekania siostry, że ją objadam, cholere, kiedy pełno miała wszystkiego. Poszedłem do jednej roboty, drugiej, potem trafili się tacy od biletów kinowych, lekki chleb, rzuciłem wszystko inne... A w ogóle gdzieś mam cały majdan. Nudno, rozumiesz? Nudno! Diabli wiedzą, czego się chce, a czego nie...

Mietek, czuł to wyraźnie, nie mógł się zdecydować, jaki ma zająć stosunek wobec niego. Czytał w spojrzeniu tego bladego chłopaka i odrazę, i podziw, niechęć i wielką sympatię. Uśmiechnął się z tych jego spojrzeń i tyle.

Megafon obwieścił zachrypłym głosem odjazd kolejnego pociągu. Gasiniec z lękiem spojrzął na zegarek. Za kwadrans nadlecieć miał jego pociąg. Powiedział to towarzyszowi. Edek kiwnął głową z ironią.

— Frygaj zatem, bo nie zdążysz... Wszystkiego dobrego.

Ale Gasiniec nie kwapił się do pożegnania. Jakby coś ważył w sobie. Wargi drgnęły mu raz i drugi, zwarły się. Towarzysz spoglądał na niego z uśmiechem ironii.

— Łakniesz jeszcze czego? Gadaj — wrócił mu dawny, cwaniacki typ mówienia.

— Wiesz, mógłbyś pojechać ze mną, na jakiś tydzień. — Gasiniec zdobył się wreszcie na decyzję.

W spojrzeniu jego było wiele serdecznego ciepła. Edek dawno nie spotkał się z podobnym uczuciem w stosunku do siebie. Jakoś mu lżej się zrobiło. Innym już, zupełnie niepodobnym do poprzedniego tonem zapytał:

— A ojciec nie będzie miał za złe?

— Przecież nie będziesz u nas rozrabiał. Pobędziesz tydzień, dwa, połazisz po lesie, może jakiego szczupaka podchwycisz, choć to już późno, o cóż stary ma mieć pretensję? No jak, jedziesz?

— Jadę — powiedział wtedy.

Bilet kupili w ostatniej minucie. Na peronie tłok. Edek błyskawicznie przeskoczył przez tory, tuż przed lokomotywą, wpadł do wagonu od drugiej strony, zajął dwa miejsca. I teraz jadą. Pociąg postukuje, mijają kilometry, przez uchylone okno zawiewa zimny wiatr, rzeźwi zbitą i skołatana myślami głowę.

Wagon zakołysał mocniej, ze zgrzytem. Mijali jakąś zwrotnicę, zmieniali tor. Rozmyślenia Edka nad bogatym w przeżycia poprzednim wieczorem przerwał zachrypnięty głos babiny kulającej się na swych tłumokach.

— Zimno, mileńki! Dmucha przez szparę...

Wzruszył ramionami, co go to obchodziło, ale po chwili zamknął okno. Postał jeszcze trochę, sięgnął po papierosa, ale już nie zapalił. Usta miał spierzchnięte, w gardle drapało od przepalenia. Czuł znużenie. Za oknami szarzało coraz bardziej, wyłaniały się już kontury mi-

janego lasu. Zawrócił do swojego przedziału.

Gasiniec spał nadal, wtulając twarz w kurtkę zwisającą z wieszaka. Edek patrzył na niego przez chwilę z ciepłem w sercu. Potem przysiadł się obok, ostrożnie, aby nie zbudzić towarzysza. Próbował jeszcze coś sklecić w myślach, zastanowić się, ale zmęczenie było silniejsze. Ani wiedział, kiedy zasnął ciężkim snem...

...nie, ucieczka, wiedział to, nie zda się na nic. Byli tuż, tuż za nim. Słyszał już oddech najbliższego, kątem oka widział wyciągające się po niego ramię. Znów poderwał się do szybszego biegu, choć zmęczenie wyrывało mu serce z piersi, dławiło oddech. Odbił się tym razem, był już na Starym Mieście, gdzie znał każdy zakamarek, każde przejście, każdą stertę cegieł przy nowych budowlach. Jeszcze trochę, zaraz skoczy tu w bok, potem przewinie się piwnicami zburzonego domu, stamtąd przez stare podwórko wychynie na inną ulicę. Już widział się wolnym, gdy nagle zaraz po ostrzeżeniu padł strzał, potoczył się donośnym hukiem, za nim inne, jednocześnie rozległy się wokoło milicyjne gwizdy. I zaraz dłoń milicjanta zaciśnęła się mocno na jego ramieniu. Szarpnął się, krzyknął, pomyślał, że wszystko stracone, że jednak dziewczyna miała rację...

Ujrzał nad sobą strwożoną twarz Gasińca. Pociąg wtaczał się powoli na tory stacyjne.

— Co z tobą, Edek. Krzyczałeś, szarpałeś się... Śniło ci się coś złego?

Za sylwetką towarzysza zobaczył zaciekawione twarze podróżnych, jasny dzień za oknem wagonu, budynek stacyjny, tłoczących się ludzi. Zrozumiał. Tak, to był sen, okropny sen...

— Śniłem, że gdzieś biegnę, jakieś strzały, sam nie wiem...

— Głupstwo! Grunt, że już dojechaliśmy. Jesteśmy na miejscu, w Pisz. Kilka kilometrów i dom — powiedział Mietek.

Edek nie od razu przyszedł do siebie. Straszny sen stał wyraziście przed jego oczyma. I nie to go trwożyło, że był ścigany, że łapali go milicjanci, ale że Krasawczyk rzeczywiście... Nie, tego nie śmiał nazwać nawet przed sobą samym.

Po długim okresie szarugi, mżawek i deszczów dzień wstał nagle jasny, słoneczny, jeden z dni listopadowych.

Nad budynkiem stacyjnym czerniły się duże litery: PISZ.

Na ich widok Edek odetchnął wreszcie z wyraźną ulgą. Żwawo zeskoczył ze stopni wagonu, uśmiechnął się do Gasińca.

### 3. PYSKATE LICHO

Kulejący na jedną nogę czarny psiak spłaszczył się, ostrożnymi ruchami podkradając się do sarny stojącej w niemej kontemplacji przed ogrodzeniem kwiatowego ogródka. Oczy kundla łyskały łowiecką gorączką, ogon naprężył, nastroszył uszy. Już niemal sięgał płowej sukienki, gdy sarna przekrzywiła w bok głowę i jednocześnie ostrym podrzutem wyrzuciła w tył twarde kopyta. Psiak uskoczył, musiał jednak trochę oberwać, bo zaskowyczał z bólu i uczucia doznanej sromoty, po czym uciekł na próg, kuląc ogon pod siebie. Sarna odwróciła się, przechylając łeb stała chwilę gotowa do ataku.

Słońce mocną plamą legło na sukni, przydając jej lśnienia.

— Nie daj się, Kulas, hajże na nią!

Edek ze śmiechem przyglądający się tej scenie próżno podszczywał psa. Kulas wołał raczej uciepieć na psim honorze niż narazić się na dotkliwie ciosy małych kopytek, jak sprężyny wylatujących w powietrze. Spod oka, warcząc cichutko, obserwował tylko przeciwnika.

Sarna chwilę jeszcze wyczekiwała, po czym, wdzięcznie unosząc do góry łeb triumfatora, wolnym krokiem oddaliła się w stronę wabiącej rozwartymi wrotami stodoły.

Zaleski leniwie przeciągnął ramionami. Siedział na ławce przed leśniczówką, wystawiając twarz na ciepłe promienie słoneczne. Po kilku dniach ostrej wichury w lesie zapanowała niezwykajna o tej porze cisza. Powietrze było rześkie, ostre, w słonecznych ustroniach nagrzewało się jednak tak silnie, jakby to były dopiero najlepsze dni babiego lata. Tak samo połyskiwały i drgały załamując się promienie słoneczne, wzrok sięgał daleko, wszystkie kontury rysowały się wyraziście.

Ujadając przeraźliwie cienkim dyszkantem wytoczyła się na dwór małeńka psina, niemal okrągła, tak otłuszczona, że ledwie się mogła poruszać. Przystanęła u progu, rozwarła mordkę, jakby łapiąc powietrze, zakręciła się, merdnęła krótkim ogonkiem przed nosem Kulasa, przywalcowała zaraz do nogi chłopca, obwąchując ją z wielką przyjaźnią.

— Jakże, Mircia, pójdziemy na spacer?

Małeńkie uszka zastrzygły, nastroszyły się, mordka wyczekująco podniosła się ku człowiekowi. Edek dzwignął się z ławki. Śmieszyla go ta psina, z otyłości leniwa, co z kolei powodowało dalsze tycie. Koło się zamykało. Nie pomogło zmniejszenie racji mleka. Mircia ani myślała zeszczupleć i tylko silną zadyszką ubolewała nad otłuszczeniem swego psiego serca.

Dreptała teraz u nóg człowieka. Krótkie łapki drobiły z wysiłkiem. Mordka coraz to podnosiła się do góry, pysk rozwierał się urywanym szczeknięciem, stanowiącym wezwanie do zwolnienia tempa spaceru.

Trzy dni dopiero mijały od chwili, gdy wysiadł z Mietkiem z zatłoczonego wagonu na brudnej, ponurej stacyjce, a zdawało mu się, jakby przebywał w Sumach — tak zwało się leśnictwo — od dawien dawna. Zginęło gdzie wszystko, co było treścią życia w wielkim mieście, zachwycała cisza i spokój wszechwładne w leśnym pustkowiu.. Gdyby nie późne wieczorne godziny przed zaśnięciem, kiedy jawiła się przed nim twarz Krasawczyka...

We dnie myśl nie nawracała do ponurych wspomnień sprzed paru dni. Owszem, chciwie przejrzał nadchodzącą z opóźnieniem gazetę, ślepiąc za wzmianką o burdzie nie opodal restauracji „Pod Żaglami”. Ale nawet szukając czarno na białym śladów swojego czynu, nie wzruszał się silnie. Uspokoił go fakt, że jak dotąd kronika miejska milczała. Może Krasawczykowi nic się w końcu nie stało? Narobiła dziewczucha niepotrzebnego hałasu i tyle...

Nie, we dnie nie dręczyły go żadne wyrzuty sumienia, ginął lęk. Może to nowe otoczenie, odrębny od dotychczasowego tryb życia w leśniczówce zbyt go jeszcze zaciękawiły, by miał czas na rozmyślanie o przeszłości. Nie zastanawiał się nad tym. Było mu dobrze, sycił się spokojem i niczego więcej tymczasem nie pragnął.

Sumy zaimponowały mu. Słuchając na olsztyńskim dworcu opowiadania Mietka, nie przewidywał takiego odludzia. Lasy, lasy i lasy kilometrami zwartej ściany otaczające leśniczówkę — skryte wśród nich jezioro, parę hektarów mizernej roli, kręta, wyboista droga i ścieżyny leśnego zwierza. Bo nawet do szosy wiodącej z Pizsa na Turośl trzeba było przedzierać się prawie pół godziny. Trochę bliżej było do skrytej w borach osady kilku domostw, wśród których okazałej prezentował się tylko budynek nadleśniczego.

Stał teraz na świeżo zalesionym skrawku piaszczystego gruntu, opadającego ku jezioru, którego ciemnoniebieskie wody przeświecały poprzez nagie konary olszy i dębów. Mircia uprzednio już zawróciła w stronę domu: nawet z leśniczym nie zwykła była zapuszczać się na dalsze spacery. Przy takiej tuszy należało dbać przecie o siebie...

Ani najmniejszego wietrzyka, ani najcichszego odgłosu. Tylko kilka wron głuchym pokrakiwaniem mąciło przez chwilę spokój. Zdziwił się, skąd się wzięły tutaj, wśród lasów. Zarówno leśniczówka, jak o dobry rzut kamieniem odległy od niej dwumieszkaniowy domek dla pracowników leśnych, w części tylko zajęty, wydawały się w tej ciszy po prostu czymś nierealnym. Nawet dzieciaków Miętusa, robotnika leśnego, zabrakło teraz w pobliżu domu.

Leśniczy od rana tkwił w puszczy, żona jego krzątała się przy gospodarstwie. Mietek, jak co dnia, uczył się wytrwale do samego południa. W lutym pragnął zdawać egzaminy...

W gabinecie leśniczego widział sporo książek. Pan Gasiniec czytywał dużo i chętnie,

kupował też u listonosza wszystkie nowe pozycje taniej biblioteki. Edek dawno jednak zerwał z czytaniem i teraz także nie objawiał po temu najmniejszej ochoty.

Pytał wczoraj leśniczego o jakąś pracę. Ten przyjrzał mu się uważnie szarymi oczyma, uśmiechnął się lekko, doradził przede wszystkim wypoczynek. Potem, dodał, pomyśli się może o jakiejś pracy. Zaleski nie bardzo wiedział, jak potraktować tę wypowiedź. Czy jako rzeczywistą zapowiedź na przyszłość, czy też jako obawę przed przedłużeniem się wizyty dawnego kolegi syna z gimnazjum.

Wracając na ogrzaną słońcem ławkę przed domem, niechętnie i z pewnym lękiem pomyślał o powrocie. Nie, nie pragnął widzieć Olsztyna. Nie chciał teraz widzieć miasta, jego świateł i cieni, spelunek i rozświetlonych hallów kinowych, wszystkiego, co mogło wiązać się z tamtą bójką i Krasawczykiem. Najchętniej siedziałby tutaj w Sumach bez końca, spokojny, iż nikomu na myśl nawet nie przyjdzie szukać go na tym odludziu. Ale znów nie mógł obciążać swoją osobą gościnnego domu Gasińców. Zapytał Mietka, czy nie mógłby opłacać kosztów swojego pobytu. Ten jednak zachnął się gniewnie prosząc, aby Edek nie śmiał wystąpić z czymś takim przed jego ojcem. „On jest bardzo drażliwy na tym punkcie, w ogóle raptus, powiedziałaby ci coś przykrego i tyle”. Odpadła zatem i ta możliwość...

Ziewnął szeroko, nie usiłując nawet przesłonić ust ręką. Nikt go tu przecież nie widzi... Tym więcej był zaskoczony roześmianym dziewczęcym głosem, który doleciał nagle spoza kępy jarzębin i głógów dzielących leśniczówkę od leśnej drogi. Poderwał się z miejsca. Młoda, drobna dziewczyna o miłej twarzy ukazała się na ścieżce prowadząc rower.

— Dzień dobry... Cóż tutaj tak senno? Czy jest pan Gasiniec...

— Dzień dobry. — Głupio mu było po tym ziewnięciu. — Nie ma, od rana tkwi w lesie...

— Tak jak i mój ojciec. Korzystają z pięknej pogody, aby podpedzić robotę przed zimą. Kłopoty z tym zwiększeniem limitu na opałówkę. Hm, to gorzej — zatroskała się. — Kicha mi nawaliła, pompka też czegoś szwankuje. Pan bez roweru? — rozejrzała się dokoła.

Zdziwiony był bezpośredniością dziewczyny. „Niebrzydka, ale cudów też nie ma” — otaksował ją szybko starym nawykiem.

— Jest Mietek, pójdę po niego... — zawahał się. — Zaraz, a może ja co poradzę? Przeproszę bardzo, przedstawię się. Zaleski jestem, kolega szkolny Mietka...

— Dziadoń — wyciągnęła drobną rękę. — Niech pan próbuje. Miałam dziś wolny dzień, bo przy końcu roku tyraliśmy do późnego wieczora. Teraz odbijamy to sobie wolnymi. Myślałam, załatwię parę spraw, a tu taki pech... Pracuję w rejonie lasów w Pizzu — dodała widząc jego nie rozumiejące spojrzenie. — Słyszałam o panu, ojciec wspominał...

— Ojciec? — Rozmontował pompkę, chcąc sprawdzić, na czym polega usterka.

— Ach prawda, pan nie wie. Jest tutaj nadleśniczym, za tym lasem — wskazała dłonią, jakby go to mogło w czymś orientować.

— O, jest i pani Helena! Dzień dobry — podskoczyła ku krzepkiej, silnej kobiecie dźwigającej dwa pełne wiadra.

Edek również poderwał się, pragnąc dopomóc leśniczynie w niesieniu ciężaru.

— Went, sama poradzę! Jeszcze nigdy nie potrzebowałam w gospodarce dziadowskiej pomocy. Zapamiętaj to sobie na zawsze — fuknęła leśniczyna ostrym swym, suchym głosem, zupełnie nie pasującym do jej miłej postaci.

Speszony odstąpił na bok. Znowu wziął pompkę do rąk.

— Nafty by się przydało. Skórka zupełnie zaschła, przepuszcza powietrze — mruknął.

— Stoi cała bańka na dole, w prawej piwnicy — rzekła pani Helena. — Boże, co za niezguła, no ruszże się zaraz! Sama przecież nie pójdę, jak jest komu, co?

Zaklął w duchu. „Cholerna baba”.

Po paru minutach wrócił na górę. Pompka działała teraz bez zarzutu. Dziadoniówna siedziała już sama na ławce, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Zauważył, że piersi te

były wcale, wcale, przyjemnie rysowały się pod bluzką, na którą narzuconą miała kurtkę męskiego kroju.

— Jaka napoleońska poza... — rzucił zaczepnie.

— Spokojnie, panie Edwardzie, bo ja też umiem kąsać... — odrzuciła zdawkowo nie zmieniając pozy. — Odezwaniami pani Heleny niech się pan nie peszy. To złota kobieta, choć ma język niewyparzony. Znają ją wszyscy i z tej pozornej oschłości, i z serca dobrego jak rzadko. Musi pana lubić, jeśli tak strzępi sobie na nim język. — Przyjrzała mu się krytycznie. — Nie wiem tylko za co... Twarz jak twarz, figura jak figura, cała atrakcja to może tylko te sińce. Gdzie i kto pana tak zagrzał?

Kłęcząc przy rowerze, obejrzał się. „Oho, pyskate lichy”.

— Była taka jedna sikorka, nawet trochę podobna... — powiedział głośno.

— Żebyś uwierzyła, tobym źle musiała o panu pomyśleć. A nie chcę tego. Wolę widzieć ludzi lepszymi, niż są. Pana też. No jak, poradzi pan, bo mi się śpieszy, chciałam coś dzisiaj załatwić w Wądołku. To wioska, dziesięć kilometrów.

— Dętka nawaliła — oznajmił po bezskutecznych próbach napompowania.

— Mam łątki, bierzmy się do roboty... A kłócić się na początek nie warto, prawda?

— Ech — mruknął lekceważąco. — Proszę pozwolić, ja zaraz to zrobię.

— Dziękuję, zajrzę tymczasem do pani Heleny...

— Nie, niech pani nie odchodzi.

Zatrzymała się wpół kroku.

— Ooo! Łatwiej panu pójdzie beze mnie. Dwie roboty jednocześnie nigdy się ze sobą nie zgodzą.

Parsknęła na jego zdumione spojrzenie.

— Ta druga to przyglądanie się moim napoleońskim pozom. Nic, zaraz wrócę, niech pan potęskni.

Z pasją wymontował dętkę, czyścił przedziurawione miejsce tarką, przyklejał łątkę. Zdumiony był tą dziewczyną. Na głuchej wsi i tak sprytna a wygadana. „W Olsztynie nawet trudno o taką. I wcale niebrzydka...” Zaraz jednak pomyślał, że i do flirtu nie miałby teraz ochoty. Łatwo z tym było w Olsztynie, przejadły się i dziewczęta. „Ech, diabli nadali z tym Krasawczykiem, przez niego wszystko”. Opadła go nagła złość na cały świat łącznie z sobą samym. Parę minut i opona była gotowa. Umocował pompkę przy ramie, schował łątki, zapalił papierosa. Zegar z wnętrza domu wybijał godzinę pierwszą. Głodny był, ale jak się przekonał, w leśniczówce nie było stałych godzin posiłków. Określała je praca w lesie.

— Phi, tempo pierwszej klasy! Dziękuję — wyłoniła się znów niespodziewanie.

— O, pani jest, a już chciałem ziewnąć sobie potężnie.

— Nawet po tak niecodziennym zdarzeniu, jak poznanie ze mną? — Zaśmiała się, on zaś pomyślał, że doteczki, jakie tworzą się w jej policzkach, są bardzo miłe.

— Bliższym chyba z pani rowerem...

— Wymawia mi pan tę drobną przysługę? Myślę, że znajdę sposób rewanżu. Tymczasem do widzenia, śpieszy mi się.

Wyciągnęła rękę. Dojrzał, że była wyraźnie nadaśana.

— Proszę się nie gniewać. Ja też lubię mleć ozorem...

Zaśmiała się, wskoczyła na rower. Patrzył za nią, jak pedałuje nierówno drogą leśną. Pokiwała dłonią, obejrzała się ze śmiechem.

„Na bezrybiu...” pomyślał, ale zaraz machnął lekceważąco ręką. Nie były mu amory w głowie.

— Edek, chodź na obiad... — wołał od progu Mietek. — Wera tu była, nawet nie przywitała się ze mną, jak zawsze postrzelona.

— Skończyłeś już?

— Tak. Bite sześć godzin nad książką, to starczy. Wieczorem trzy. Moja norma dzien-

na... Chodź szybciej, już po pierwszej, warto wyskoczyć na jezioro. Cicha woda, ciepło, może szczupak będzie żerował.

Leśniczego jeszcze nie było. Wracał teraz późno do domu. Rewir miał rozległy, dobiegały końca jesienne prace ochronne przed szkodnikami, czyniono już przygotowania do zimowych wyrębów. Nowe zarządzenie przewidywało wywózkę zwiększonych ilości drewna opałowego. Trzeba więc było korzystać z nadspodziewanie ładnej pogody. W kilku punktach rejonu pracowały grupy robotnicze, trzy ciągniki warczały od świtu po zmrok, z wysiłkiem tocząc za sobą ciężko ładowne platformy. U skraju szosy biegnącej z Turośla do Piszawy rosły wysoko sęgi drewna. Stamtąd można je będzie zabrać niezależnie już od roztopów czy śniegów.

Edek pewniej czuł się pod nieobecność pana Gasińca. Leśniczy wzbudzał w nim szacunek, ale krępował jakąś surowością, ostrym, badawczym wejrzeniem, niespodziewanymi i zaskakującymi pytaniami. W odpowiedzi nie chciał kłamać, wdzięczny za przygarbienie go w ciężkim momencie życiowym, ale prawda nie była wszak zbyt chwalebna i wołał o niej zamilczeć. Bąkał coś półsłówkami, a wtedy szare oczy leśnika spoglądały na niego uważnie, koło warg zaś rysował się jakby cień pobłażliwego uśmiechu.

A przy tym leśniczy był bardzo życzliwy, wspominał nawet o swej wdzięczności za dawną opiekę nad synem. Tutaj znów Edek czuł się zażenowany. Ładna opieka, oparta jedynie na sile pięści i wrodzonej umiejętności bijatyki. Powiedział to leśniczemu. Ten roześmiał się wtedy szczerze, mówiąc, że i takie argumenty są czasem konieczne.

— Polowałeś kiedy? — zagadnął Mietek, przełykając olbrzymi kęs baraniny.

— Nie zdarzyło się. Kto by mi wydał zezwolenie na broń? Ale strzelać umiem. A ty polujesz?

— Też nie. Jakoś mnie nie ciągnie. Z ojca za to zapalony myśliwy. Czekaj, skończą się najpilniejsze roboty, to kuchnia zmieni się generalnie, przejdziemy na dziczyznę. Matka umie ją świetnie przyrządzać. Pycha...

Edek wstrzymał widelec w powietrzu. Zaskoczyły go słowa przyjaciela. Jakże to? Nie dalej jak wczoraj mówił leśniczy, że jeśli utrzyma się znośna pogoda i nie rozmięknie ziemia na leśnych drogach, uniemożliwiając wywóz drewna, to przy samej opałówce roboty będzie na trzy tygodnie. Chyba w tym czasie nie znajdzie się czas na polowanie. Zatem Mietek sądzi, że jego pobyt potrwa tak długo?

— Co ty gadasz, przecież mnie tu już dawno nie będzie.

— Dokąd i do czego będziesz powracał? Do swych biletowych koników?

Opuścił głowę. Prawda. Właściwie tak długo, jak nie wyjaśni się sprawa Krasawczyka, nie ma dla niego powrotu.

Nie odpowiedział, jadł powoli, przestała mu nawet smakować świetna baranina. Przed oczy nadpłynął widok ciemnej ulicy, leżące na niej ciało Krasawczyka i przeraźliwy krzyk dziewczyny...

Mietek też nic nie mówił, tylko łypał czasem znad talerza na pobladałą i zgorzkniałą nagłe twarz przyjaciela. Nie wiedział dobrze, co narobił Edek w Olsztynie, ze skąpych wyjaśnień trudno było wyznaczyć bliżej, domyślał się jednak, że sprawa musiała być poważna. Już sam tryb życia Zaleskiego skłaniał do takich przypuszczeń. W jedno Mietek wierzył, że nie było to jakieś świadome świństwo, pamiętał bowiem, że Edek miał już w szkolnych czasach sławę awanturnika.

Milczenie, jakie zaciążyło teraz nad stołem, przerywał tylko dobiegający z kuchni przenikliwy głos leśniczyny, wygrażającej spasztemu, ulubionemu kocurowi.

Szybko wypił kompot śliwkowy. Wstając już, Mietek rzucił jakby mimochodem.

— Mówiłem z ojcem. Możesz zostawać u nas, jak długo będziesz chciał. Widzisz, stare przyjaźnie są trwałe... A i nam weselej na tym pustkowiu. No, chodźmy na szczupaki, mamy ze dwie godziny światła, może coś się chwyci...



— Bez ryby nie wracajcie. Połamcie wędkę... — rybackim zaklęciem żegnała ich gospodyni.

Na jeziorze zerwał się lekki wiaterek, marszcząc gładką dotychczas powierzchnię. W przejrzystym powietrzu brzegi obramione ciemnymi pasami świerków wydawały się dalsze. Nad samą wodą ciągnął się wyblakły, żółtawy pas trzciny, nieco wyżej trzymające się dotąd gałęzi ciemnobrązowe, z lekka czerwone liście buków ostro rozcinały czerń iglastej ściany.

Płynęli do wgłębiającej się w przeciwległy przystani brzeg jeziora, gęsto poroślej oczekami i sitowiem zatoki. U wlotu jej chętnie trzymały się szczupaki i okonie. Zimą rzucano w tym miejscu na łódź gałęzie i całe krzewy, które zapadały się potem pod wodę tworząc naturalne schronienia dla drobnej ryby. Naturalnym porządkiem rzeczy krążyły wokół nich żarłoczne drapieżniki.

Zaleski z podziwem przyglądał się zręczności i wprawie, z jaką Mietek wyrzucał spinning. Srebrna rybka z cichym szelestem odwijającej się żyłki długim łukiem wylatywała w powietrze, by opaść niemal dokładnie na upatrzone miejsce. Jemu szło znacznie gorzej. Już zaraz na początku spletał sznur, długo mozolił się, nim go od nowa nawinął na kołowrotek. Podobał mu się ten sport. Za każdym rzutem czekał, aż uderzy potężny szczupak, kątem oka spoglądał już na wybierak, leżący na dnie ciężkiej, smolonej łodzi rybackiej. Wiatr znosił ich od brzegów zatoki ku szerokiej płaszczyźnie jeziora. Zawrócili od nowa, zarzucając na dno prowizoryczne kotwice z kamieni uwiązanych do sznurów. Teraz mogli wygodniej siec wodę, kierując błyski pod przybrzeżny pas trzciny.

Mietek nawijał żyłkę powoli, czasem tylko przyspieszając obroty kołowrotka albo zwalniając chwilami zupełnie. To znów podnosił krótkie wędzisko do góry lub zanurzał je na odmianną w wodę...

— Błyszczka wtedy drga lepiej, płynie nierówno, jak drobna ryba...

Edek przyglądał się, próbował naśladować kolegę. Nieskładnie mu szło.

— Kiedyś ty się tego nauczyłeś?

— Cóż chcesz, nad wodą o to nietrudno. Parę dni, i ty będziesz siekł jak stary rybak...

Widzisz, chorując, całe dni spędzałem na jeziorze, jeżeli było słońce. Gdy chmurniej, kryłem się raczej do lasu. Blisko rok cherlałem, lekarze wcale nie taili obaw przed ojcem... Boże, ileż on mi serca wtedy okazał!

Edek chciał coś powiedzieć, wyrzucił błyszkę, chlupnęła bryzgami tuż koło pasma sitowia, zezwolił jej opaść bliżej dna, wyczekał jeszcze chwilę, zaczął zwijać nerwowo, pośpiesznie.

— A co ci właściwie... Ojej, chyba jest! Jest, jest, szarpie jak diabli! — zakrzyknął nagle, zapomniał z wrażenia o kołowrotku.

— Nie luzuj, bo ci pójdzie! Skręcaj, skręcaj linkę.

Płomienie uderzyły na twarz Edka. Wolno zwijał żyłkę, czując silny opór, czasem szarpnięcie, twarde, gwałtowne, jakby ktoś ręką przytrzymał błyszczkę w wodzie.

Raptem poczuł luz, już się przestraszył, że szczupaka diabli wzięli, gdy nagle coś przewaliło się pod powierzchnią, rozbłysło białym brzuchem, znów pociągnęło w dół, aż napięła się linka, a wędziskoomal nie wypadło z rąk chłopca.

— Jak silnie będzie ciągnął, to luzuj mu trochę... Teraz zwijaj, zwijaj bliżej pod łódkę! — Mietek udzielał rad, bacznie obserwując drgania linki.

Ciężar jakby się zwiększał. Szczupak zaczął stawiać silniejszy opór. Była to duża sztuka, Mietek twierdził, że na pewno powyżej czterech kilo. Linka drgała, wędzisko dygotało w dłoniach.

— Podciągaj, podciągaj, tylko nie dawaj zbyt wiele luzu, nie wiadomo, czy mocno siedzi na błystce — z przygotowanym podbierakiem w dłoni Mietek stał czujny, przechylony nad burką.

Kołowrotek zaterkotał przeraźliwie, szarpnięty znienacka. Po dłuższej dopiero chwili

zdołał Edek powstrzymać rozwijającą się linkę. Gorączkowo skręcał ją od nowa. Poczł znow opór. Teraz sfolgował trochę. Ryba była coraz bliżej łodzi, próbowała ciągnąć do dna. Grunt był tutaj głęboko. Kołowrotek coraz to terkotał, a potem z cichym szelestem brzęczał od nowa.

— Teraz nie popuszczaj, dawaj go bliżej do łódki, w moją stronę, w moją... — Mietek zanurzył podbierak w wodzie. O parę metrów od łodzi szczupak wyrwał się na powierzchnię. Potężny był, pienił wodę machnięciami ogona, nagłymi skrętami obłego ciała. Edek dygotał, niezmordowanie zwiłając żyłkę.

Ryba wybiła nad powierzchnię desperackim skokiem, uderzeniem ogona rozsiała bryzgi po wodzie, szarpnęła w bok, zaterkotał kołowrotek, śmignęła linka, rozwijająca się z błyskawiczną szybkością. Edek aż krzyknął z wrażenia; słuchając wezwań Mietka, gwałtownie kręcił korbką. Nie czuł oporu, myślał jeszcze, że szczupak znalazł się bliżej burty, pod łodzią, ale nie, bo oto nagle wynurzyła się z wody błystka. Spojrzeli na nią nie bardzo pojmując, co się stało.

— Poszedł, cholera — zaklął Mietek, ciężko siadając na ławie i rzucając pod nogi już niepotrzebny podbierak. A potem nagle rozzłościł się. — Ależ z ciebie niezguła! Kto to widział puszczać linkę, gdy ryba pod wierzchem. Zawsze ci zerwie... Też rybak, jak z koziej...

— Ty — chmurno zawarczał Zaleski — nie lubię, gdy mnie kto próbuje opieprzać! Radzę ci, lepiej...

Urwał, choć gniew mu nie minął. Przypomniał sobie, co jest winien Mietkowi.

Ten zaś spojrzał tylko na niego i szepnął cicho:

— Przepraszam... Różnie bywa. Palnąłem, bo żal mi było takiej wspaniałej sztuki. No, jedźmy, dalej... — z rozmachem cisnął błystkę, aż zafurczała w powietrzu.

Edek milcząco poszedł w jego ślady. Ale już bez poprzedniej gorączki łowieckiej. Po kilku rzutach w ogóle zrezygnował, przysiadł na rufie łódki, przyglądając się manipulacjom przyjaciela.

— Jeśli ci się już odechciało, to może wyjmiesz kotwicę i będziesz powoli wiosłował wzdłuż brzegów. Tu już nam nic nie chwyci...

Posłuchał, odmierzał wodę równomiernymi pociągnięciami wiosł, poskrzypujących w nie oliwionych dulkach.

Mietek przyholował niedużego okonia. Dalsze rzuty nie przynosiły jednak wyników. Słońce czerwieniało i rosło, opadając ku linii horyzontu. Zmroczniało. Ostry ziać zaciągnął nad jeziorem.

— Koniec. — Mietek starannie zwił linkę. Zaleski zawrócił w kierunku domu. Nagle uśmiechnął się.

— Psiakrew, ale to emocja! Ani myślałem.

— Teraz już słabo bierze. Zaczekamy na lód, wtedy z przerębli rolować będziemy okonie. Też dobra heca, mówię ci...

— Ech, zimą to albo będę rozrabiał w Olsztynie, albo siedział w kryminale — zachnął się nagle Edek. Żal za utraconą rybą i świadomość niepowodzenia wprowadziły go w ponurą rezygnację.

— Kryminale? — powtórzył zdumiony Mietek.

— Żebyś wiedział! A co, jeżeli ja tego Krasawczyka zabiłem?

Sam nie wiedział, skąd się w nim wzięła ta szczerość. W ten sposób palił ostatnie mosty. Mimo to brnął z determinacją dalej.

— Dziewczyna darła się, że on nie żyje. Kto wie, rurka była ciężka, walałem z całej siły. Czymś takim łatwo czerep rozwalić. Rozumiesz teraz, czemu musiałem wyfruwać z Olsztyna.

Mietek siedział z szeroko rozwartymi ustami.

— Ty mógłbyś być zabójcą? Ty? — niedowierzanie i przestach kryły się w tym

sformułowaniu.

Edkiem szarpnął teraz nagły przyływ żalu i cynizmu zarazem.

— Dlaczego nie? A bo komuś potrzebny taki jak ja, zatroska się kto o mnie, pomyśli? Wychowałem się jak popychadło, przedtem u wuja, potem u siostry, gorszej niż ktokolwiek obcy. Rozrabiałem, zdarza się, ale nie kradłem, nie robiłem żadnych świństw... I co? Wszyscy powstawali przeciw mnie, wylano mnie ze sztuby rok przed maturą, poszedłem do pracy, tyrałem jak głupi. Majster się znalazł, chciał, by dla niego robić fuszerki. Odmówiłem, to zaczął się nasiadać. Dostał wreszcie w gębę. W dwa dni wyleciałem z roboty, okrzyknięto mnie chuliganem. Ta opinia szła za mną wszędzie, gdzie się tylko próbowałem ucześcić, o byle co zwalniano mnie. Aż powiedziałem, że mam ich wszystkich bardzo głęboko, jak chcą ze mnie mieć chuligana, to proszę. Zaczęły się bilety, inne takie zarobki, nie kradzione, ale i nie najczystsze. Wóda, dziewczuchy, rozróbki, bijatyki. Forsy było, ubierałem się, nawet siostra mniej pyskowała, gdy jej rzuciłem te kilka stówek na stół. Aż napatoczył się Krasawczyk, dostał w łeb, pewnie wykitował. Dziwisz się? A z tobą byłoby inaczej na moim miejscu?

Mietek nie odpowiedział. Siedział skulony na ławce, drżał, nie wiedzieć z wrażenia czy z chłodu, który nagle spadł na wody i lasy. Nad głowami ich przeleciała sowa, ciężko łopocąc skrzydłami. Gdzieś daleko, daleko zajazgotały psy. Było już prawie zupełnie ciemno, tylko na zachodzie niebo paliło się jeszcze z wolna różowiejącymi czerwonymi blaskami, zapowiadając na jutro silny wiatr.

Łódź mocno uderzyła o deski pomostu prowizorycznej przystani. W milczeniu zebrali sprzęt rybacki, wyskoczyli na brzeg. Ścieżka między krzakami i drzewami wiła się powoli do góry. Ciemną plamą zamajaczyła stodoła. Edek przystanął, przytrzymał towarzysza.

— Słuchaj, nie opowiadaj nic ojcu. Ja jutro wyjadę.

— Dokąd?

— Nie wiem.

Mietek złapał go nagle mocno, mocno za ramiona, aż się Zaleski zdumiał, skąd w tym cherlaku podobna siła.

— Nie, nie pojedziesz! Zostaniesz tutaj. A tamten, jakże go, Krasawczyk, może równie dobrze i żyje. Skąd możesz wiedzieć?

— A jeżeli nie?

— Będzie czas jeszcze pomyśleć... Teraz nie gadajmy już o tej sprawie. Muszę rozważyć wszystko, to dla mnie zbyt nagłe, za silne...

Wielki cień śmignął koło nich, począł się łąsić do kolan Mietka.

— O, Rex! Zatem ojciec już wrócił do domu...

#### 4. PIERWSZE STRZAŁY

Leśniczy siedział za stołem zasępiony. Jadł mało, pomrukiwał do siebie, spoglądał czasem na siedzącego naprzeciw Pawła, uśmiechał się od niechcienia, kiwał głową.

— Wuju, co ci załazło za skórę? — pytał młody podleśniczy o czerstwej, rumianej twarzy i bystrym spojrzeniu.

— A nic, nic, takie tam swoje kłopoty...

Edek poczuł się nieswojo. Przyszło mu na myśl, że pan Gasiniec dowiedział się pewnie od Mietka o jego przestępstwie i zamyślał, jakby pozbyć się teraz niepożądanego gościa. A może, może i co więcej? Może chce oddać go władzom? Kurczył się więc tylko nad stołem, a myśli jego to poddawały się rezygnacji, to znów wzbierały buntem. Nie, nie pozwoli się wziąć, będzie uciekał... Ale że też Mietek wypaplał? Przyjrzał się spod oka koledze. Zmęczony, bledszy niż zazwyczaj, milczał, jakby też poddał się ogólnemu nastrojowi.

Leśniczy odsunął talerz, zabrzączały sztućce. Zapalając papierosa, uśmiechnął się jakoś nieśmiało a tkliwie do Pawełka. Lubił swego wychowanka, cieszył się jego siłą, zręcznością, umiejętnością radzenia sobie w życiu.

— Wiesz co! Wstaniemy dziś po północy. Weźmiesz drugą dubeltówkę, przelecimy się wokół rewiru...

— Grasują? — rzucił tamten domyślnie.

— Od tygodnia. Dwa byki poszły, wiem na pewno. W tej wielkiej chmarze sarniej też braknie mi kozła i paru ksiut. Słysząc strzały. Czasu nie ma, pogoda dobra, trzeba gnać ze zwózką, o nasiona gwałtuja, żeby dać więcej. Nareszcie spostrzegli się, że trzeba sadzić, bo inaczej marnie z lasami...

— A ci korzystają tymczasem, bo złe nie śpi — wtrąciła nagle cichym, nieswoim głosem milcząca dotąd leśniczyna.

Edek zapomniał o niedawnych zmartwieniach. Słuchał chciwie, przerzucając spojrzenie z twarzy na twarz. Szykowała się jakaś awantura, mówiły mu o tym nie tylko słowa, ale i zachowanie się leśniczyny, smutnej i dalekiej od zwykłej rezolucyjności. Odważył się, zapytał:

— Czy to kłusownicy?

Leśniczy markotnie skinął głową.

— I co, nie można im nic zrobić? A skąd broń mają? Kary pewnie są za to ostre, prawda?

Pan Gasiniec zaśmiał się ironicznie.

— A ostre, ostre!! Dobrze jak 500 złotych każe wybulić Kolegium Orzekające, a to i upomnieniem często się kończy. A za byka zbój taki weźmie nawet i dwa tysiące. Do artykułów Kodeksu Karnego nikt dotąd się nie stosuje, diabli wiedzą dlaczego...

Edek zawahał się.

— A może i ja bym poszedł razem, dobrze? Tkwę tak beczynnym... — wykrztusił.

— Daj asan pokój. Tu można niezgorzej po łbie oberwać, nie warto ryzykować, jeszcze bez broni. Co się tam zresztą wyznasz w lesie po ciemku. Na to trzeba mieć węch i oczy leśnika. Zgubisz się w końcu i będzie kłopot. Wypoczywaj sobie, chłopcze, i nie zawracaj niczym głowy. — Podniósł się od stołu. — Muszę jeszcze zajrzeć do nadleśnictwa. Stary chciał ze mną pogadać, ale we dnie nie ma czasu.

Leśniczyna sprzątała ze stołu. Z niepokojem wodziła oczyma za mężem. Od nowa narzekał ostatnio na dolegliwości żołądkowe, łatwiej się męczył. Przy byle zdenerwowaniu piekła go zgaga, pił wtedy porcję za porcją rozcieńczoną sodę. I teraz pobrzękiwał w kuchni szklankami.

— Niechby Michałek wrócił już prędzej. Wyęczyłby trochę.

— A co z Michałem?

— Ma zastępstwo w Zielonce, leśniczy Zyga wyjechał na urlop. Lada dzień powinien już wrócić.

Paweł obejrzał się za odchodzącym Mietkiem.

— Nie pogadasz z nami?

— Później, przecie zostaniesz na dłużej?

— Jutro wieczór wracam. U nas też kupa roboty, i w ogóle...

— Ojciec mówił mi o tym „w ogóle”! Ładna chociaż?

— Et, brechdy, zawsze coś wymyślicie. — Paweł spieszył się zaczął manipulować coś koło guzików przy kurtce.

Edek widział wyraźnie, że Mietek unikał go od czasu zwierzeń na łódce. Cztery dni już minęły, a nie wybrali się ponownie na ryby. Gdy o to zagadnął, Mietek wykręcił się nauką. Jeśli tylko mógł, starał się w ogóle nie złączyć ze swojej górki. Edek wsłuchał się w jego kroki na skrzypiących schodach. „Nie ma co, jeszcze dzień dwa i trzeba się stąd będzie wynosić”, postanawiał

— Głusza w tych Sumach! Las tylko szumi, ciotka pomstuje, woda pluszcze w jeziorze i tyle. Nie to, co w wielkim mieście?

Paweł uśmiechał się do niego zyczliwie. Wysoki był, postawny, mundur leśny dopasował specjalnie do figury. Tryskał zdrowiem. Edek wyglądał przy nim marnie, cóż dopiero mówić o Mietku.

— Spokojnie, dlatego przyjemnie — odparł.

— Ja to za nic nie chciałbym tkwić stale w wielkim mieście. Mnie już nawet Pisz męczy, jak tam dłużej zabawię, co dopiero Giżycko. W Olsztynie byłem parę razy i zawsze mi się zdawało, że się zagubię wśród domów. Dziewczyny tylko tam ładne... — rozjaśnił się nagle i uśmiechnął, pewnie do jakichś wspomnień.

— Za dużo i tego dobrego. Takie kizie też się znudzą na koniec... Co pan będzie robił z tymi nabojami?

— Wuja nie ma, to sfabrykuję na wszelki wypadek parę pstrykawek na kłusowników. Siadajmy, pogadamy...

Wyciągnął z kieszeni kartonik z grubo mielonym pieprzem, z kuchni przyniósł sól. Edek przyglądał się tym niepojętym przygotowaniom. Paweł zaśmiewał się z jego miny.

— Stary kawał. Zamiast kuli daje się zwitek pieprzu z solą, pakuje w nabój. Dochodzi nawet na dużą odległość. Strzela się w smutną twarz. Taki kłusownik wije się przez tydzień, bo sól i pieprz włożą pod skórę, ani ich wydobyć, ani wypłukać. A i poznać już łatwo, kto się łakomił na zwierzynę czy drzewo... To nie jest dozwolone, podobno grozi zakażeniem, ale mnie się zdaje, że lekarze przesadzają. Po prostu niehumanitarna broń, jakby to ktoś określił. Od atomu mniej groźna... Nauczył mnie tego jeden stary leśnik, już na emeryturze, mieszka w takiej chatce, pierwszej, jak się wjeżdża od nas do Pisz. Przychodzi czasem do wuja, ten zna las, ho, ho!

— Czemu nazywa pan leśniczego wujem? — zagadnął Edek.

Młody leśnik przeciągnął ramiona, aż zatrzeszczało w stawach. Zamiast odpowiedzi rzekł nagle, uśmiechając się mile:

— Proszę mówić mi po imieniu. Nie lubię gadać tak oficjalnie.

— To i mnie.

Podali sobie ręce.

— W tym domku obok mieszka twoja siostra, prawda? Coś słyszałem, ale nie bardzo wiem. Przepraszam za ciekawość...

— Tajemnicy nie ma. Nazywam wujem, bo ojcem nie mogę, choć właściwie tak wypadłoby. Marysię i mnie leśniczowie wychowali od takich szczeniaków — przybliżył dłoń ku podłodze. — Mietka jeszcze wtedy na świecie nie było... Wuj był leśniczym koło rodzinnej mej wioski w Tarnopolskiem. Rodziców naszych nagle wywieźli. Ja z siostrą byłem właśnie o tej porze u ciotki, to nas uratowało. Marysia miała trochę nad rok, ja mało więcej. Zostaliśmy u ciotki. Potem wszystko się w wiosce pokiełbało, na koniec ciotka zmarła. Leśniczy, który już dawno wyniósł się do miasteczka, dowiedział się o tym, przygarnął sieroty. Z ojcem byli kiedyś w przyjaźni... I tak się chowaliśmy u nich przez wojnę. Już we troje, bo niespodzianie przyszedł Mietek na świat. Po wojnie mieszkaliśmy w Olsztynie, potem ukończyłem technikum leśne. Siostra wyszła za męża, ja odbywam staż, może za dwa lata dostanę swoje leśnictwo. Prosta sprawa.

— To dobry człowiek z leśniczego — w zamyśleniu rzekł Edek.

— Dobry? Mało... Obydwoje są bardzo, bardzo dobrzy. Wuj ma dziecięce serce, choć potrafi być ostry. Nie znosi grandy, żadnego świństwa. Mało to razy sprzął mi skórę? Nie żałuję, miał rację... No, zwitki gotowe, byle trafił się teraz jaki kłusownik na strzał. Wuj jest cholernie czuły na las, zwierzynę toby na rękach nosił, zobaczysz, jak będzie ją zimą dokarmił. Zna każdą sztukę w swoim rewirze. I ciągle mu ktoś kłusuje. On się nawet domyśla, ja też, to cała spółka, ale trzeba złapać za rękę, inaczej niczego się nie dowiedzie... — Popatrzył

na Edka uważnie. — Długo myślisz tu siedzieć? Może zaczniesz w lesie pracować? Pogadamy jutro, ja chcę jeszcze zamienić parę słów z siostrą, bo już późno i gotowa pójść spać. Dobrej nocy.

— Słuchaj, Paweł, a leśniczy nie weźmie mnie jutro?

— Nie. To ryzyko, kłusownik, bywa, trafi się i taki, który strzeli równie chętnie do leśniczego, jak do rogacza. Wuj nie będzie chciał ciebie narażać... Cześć.

— Cześć!

Edek został sam. Do gabinetu zajrzała pani Helena, zapytała, czy nie miałby ochoty na świeże mleko, dopiero z udoju. Podziękował, zażenowany troskliwością.

Gapił się po ścianach zawieszonych myśliwskimi trofeami. Nad obitą czerwonym pluszem kozetką rozwierał skrzydła potężny głuszec. Jego szklane oczy spoglądały bez wyrazu. Szable i fajki odyńców sąsiadowały z wieńcami rogaczy. Liczył po pięć, po siedem, przy największych nawet po dziewięć odrosli na każdym rogu. Mietek nazywał te wieńce dziesiątkiem, czternastakiem i osiemnastakiem. Nie wiedział właściwie czemu, pomyślał, że trzeba będzie wypytać się bliżej... Zaciekawiał go ten myśliwski świat, pałętały się gdzieś w pamięci zasłyszane czy wyczytane opowieści o kniejach i nagonkach. Tutaj pewnie muszą być także wilki, w takiej głuszy...

Nad nim rozległ się jakiś stukot, potem kroki. To Mietek widocznie kończył na dzisiaj naukę. Skąd ten chłopak bierze tyle hartu i woli. Uczy się dzień i noc. Chce nadrobić tamte lata, gdy po dziesiątej klasie musiał przerwać naukę dla leczenia. Żachnął się na wspomnienie, jak głupio on sam zakończył studia. Jeszcze rok i byłaby matura, a tak zawisł w próżni. Nieraz już brakowało mu tej jednej klasy. Ale cóż, jak to zwano, aha, wilczy bilet, to nie było głupstwo. Do żadnej innej szkoły nie chciano go przyjąć. Tkwił w domu, potem zaczął pracować, bo siostruńcia ze szwagierkiem sarkali, że drożyzna, utrzymanie kosztowne... Ech, pał to diabli, co ma żałować!

Wyszedł na korytarzyk. Chciał zamienić parę słów z Mietkiem. Właśnie człapał w dół po skrzypiących schodach. Spojrzał na przyjaciela zmęczonymi oczyma.

— Zmachałeś się, co?

— Może nie tyle zmachałem, ile samemu nie wszystko można ogarnąć. A o książki też trudno. Trzeba będzie znów jechać do Olsztyna, naradzić się, prosić o pomoc... — Drgnął. Czyżby to była aluzja?

— Pewnie pojedę z tobą. Czas i mnie wracać. Kiedy się wybierasz?

Mówił spokojnie, ale w nim samym skłębiło się wszystko. Nie, nie chciał wracać, nie chciał. Zbawcza myśl strzeliła mu nagle do głowy. Wyprzedził Mietkową odpowiedź:

— Jeszcze spróbuję w Piszcu, może w fabryce dostanę jaką pracę. Gdyby tak na kierowcę, dobra robota...

— Ty prowadzisz samochód?

— Pracowałem na Starze przez pół roku... Upiłem się w końcu i rozbiłem wóz. Wylali mnie, i tak się upiekło, mogło być gorzej, kryminał... Teraz bym nie pił w czasie roboty...

Po chwilowym ożywieniu Mietek znów zobojętniał. Ziewnął szeroko, aż zatrzeszczało. Edek zaśmiał się.

— Uważaj, byś sobie szczęki nie wysadził z zawiasów, to się podobno zdarza.

— Spać mi się chce. I ty byś się położył...

— Słuchaj, a może wyskoczymy jutro na ryby? Może pójdzie lepiej niż ostatnim razem.

— Nie wiem; mam jeszcze wiele do kucia. Zabierzcie się z Pawłem...

Zapadło milczenie. Dla Edka stało się jasne, że Mietek nie chciał już mieć z nim niczego bliższego. Unikał go. No tak, po tym, czego się dowiedział...

A jednak bolało go to, strasznie bolało. Złapał przyjaciela za ramię.

— Mietek, słuchaj, musisz ze mną pogadać, musisz...

— Po co? O czym?

— Wiesz dobrze o czym. Chodź tutaj — wciągał go niemal siłą do gabinetu. Mietek poddał się biernie, siadł na czerwonej kozetce.

— Gadaj.

Edek chodził beładnie po małym pokoiku. Zabrakło mu teraz słów, nie wiedział, jak wyrazić to wszystko, co się w nim kotłowało, co go bolało tak bardzo.

— Zrozum, Mietek, że ja nie jestem pewien. Nikt nie mógł jeszcze nic wiedzieć... — wybuchnął nagle. Mietek położył palec na ustach, zalecając ostrożność. — Dobrze, mogę cicho, choć mnie jest wszystko jedno... No, a jeżeli to nawet prawda, jeśli tamten nie żyje, to co? Ja przecież nie chciałem, broniłem się. On by mnie zabił. Był górą. Traf, że dziewczyna podała mi wtedy rurkę. Na odlew machnąłem ostatkiem sił. Gdzież tutaj moja wina, gdzie?

Gasiniec skurczył się, przybladł jeszcze bardziej. W nikłym blasku naftówki twarzyczka jego zapadła się, tylko oczy łyskały w niej lekkim blaskiem.

— Nie wiem, ja nie wiem, ty niby masz rację, ale tutaj coś nie jest w porządku. Ja sam się tym męczę. Ja ciebie rozumiem, chcę rozumieć, ale to nie wystarcza mi, nie wystarcza...

— To co mam robić? Iść, oddać się w ręce milicji? Kto mi uwierzy, że ja tego nie chciałem, że to przypadek, że on mnie napadł, że ja nie dążyłem do bójki? Mietek, ty mi pomogłeś, teraz nadal się nie wyrzekaj, pomóż. Przecież to straszne... — Ton jego głosu opadł nagle, zabrzmiało w nim zniechęcenie, jakaś ponura rezygnacja.

Gasiniec ścisnął czoło obiema rękami, siedział tak, chwiejąc się ze strony na stronę. Cień jego tańczył na ścianie upstrzonej rogami i kłami.

— Nie wiem, naprawdę nie wiem — powtórzył boleśnie.

Umilkli. Zegar zaczął wydzwaniać godzinę jedenastą.

Na dworze rozległy się kroki. Śpiąca dotąd spokojnie pod biurkiem pękata Mircia zerwała się i z cichym poszczekiwaniami potoczyła się korytarzem.

Wszedł leśniczy, wnosząc chłód dworu do ogrzanego mieszkania. Zdziwił się na widok chłopców.

— Gwarzycie sobie? Dobra pora, też lubię wspominki o takiej godzinie. Czas tylko nie pozwala.

— Już się wybieramy do snu. Mówiliśmy z Edkiem o szkolnej ławie...

— Aha, no dobrze. Bywajcie, na mnie pora, za trzy godziny ruszamy z Pawłem na kłusownicze tropy. Żeby diabli wzięli tego łobuza czy łobuzów, kto ich tam wie. Takiego rogacza ustrzelić, mówię wam, kapitalny czternastak. Aż serce boli.

Wydało się Edkowi, że przyjaciel na dobranoc mocniej uściśnął mu rękę. Dłoń Mietka była wilgotna od potu.

Zasnął nadszpedziewanie szybko. A tak się bał tych chwil po zgaszeniu świecy, gdy sen nie nadchodzi, a sceneria awantury przy Bramie Piastowskiej odżywa z okrutną wyrazistością. Tymczasem nie zdążył nawet pomyśleć o zachowaniu Mietka ani przedsięwziąć jakiejś decyzji, gdy już chrapał w najlepsze.

Ocknął się, zbudzony szmerami i naszczekiwaniami Rexa. Bas tego psiska, srogiego owczara, rozpoznałby na kilometr. Za oknem było czarno. Noc. Przetarł czoło ręką, skupił słuch. Co to się dzieje? Dopiero po chwili przypomniał sobie, że leśniczy wraz z Pawłem wybierają się na obchód rejonu. Zapalił zapałkę, zaraz i świeca zamigotała nierównym płomykiem. Było kwadrans na czwartą. Gdyby się tak ubrać, może jednak Gasiniec zmieni decyzję?

Skrzypnęły drzwi. Wychodzili już. Trudno. Szczelniej otulił się kocem. Noce były chłodne. Za oknami niósł się cichy szum, to wiatr buszował w gałęziach świerkowych, potrząsał nagimi konarami kilku lip rozrosłych przed leśniczówką.

Źle już spał teraz. Budził się kilkakrotnie, spoglądał na zegarek. Wskazówki posuwały się leniwie. Po piątej cienie w pokoju przeredziły się, niedługo zagładnęły do okien pierwsze ślady brzasku, zaraz potem rozjaśniło się, świt wstał przyprószony szronem, widocznym na krytym czerwoną karpiówką dachu obory.

Jeszcze jakiś czas przewracał się z boku na bok. Na dole i w obejściu słyszał krzątanie. To leśniczyna rozpoczynała swój dzień przy gospodarstwie. Od budynku dla robotników leśnych doszły dziecięce szczebioty. To siostrzeńcy Pawła.

Wyskoczył z łóżka, zrobił dla rozgrzewki parę zamachów ramionami. Na pół ubrany zbiegł do kuchni. Na dworze było już jasno, od wschodu niebo różowiło się trochę i wychynęła zaciekawiona podmarznięta tarcza słoneczna.

Z płaszczem narzuconym na ramiona stał przy drodze, rozglądając się wokoło. Jak dotąd, poza dniem przyjazdu do Pizy, nie wstawał tak wcześnie. Z podziwem rozglądał się po okolicy, innej zupełnie w tych blaskach wschodu, weselszej. W gałęziach lipy zaszczebotał jakiś ptaszek, po chwili Kulas z gwałtownym szczekaniem pognał za wiewiórką, która miała czelność opuścić się w jego obecności na ziemię. Stworzonko pędem przebiegło do najbliższego pnia, z przekrzywionym łobuzersko łebkiem spoglądało z bezpiecznej gałęzi na podrażnionego kundla.

Drgnął, pchnięty zniecka. To sarna witała go w ten sposób dopominając się o chleb. Nikt nie wiedział, skąd nabrała takich obyczajów. Pogłaskał ją po ufnej głowie, poszedł do kuchni, poszperał za jakimiś resztkami. Leśniczyna wracała z obory z pachnącym już z dala mlekiem.

— O, ranny ptaszek, nie po olsztyńsku to, prawda? Proszę na mleczko.

Smakowało mu, mimo źle przespanej nocy poczuł się tego ranka rześki i pogodniejszy. Tkliwie pomyślał o Mietku. Boi się, waha, a jednak nie wyrzuca go, chce znaleźć wyjście z tej sytuacji.

Dopijał któryś tam kubek mleka, gdy niedaleko długim echem przetoczył się strzał. Leśniczyna zbladła, przycisnęła ręce do piersi. Edek wyskoczył przed ganek. Od lasu niesły się gwałtowne krzyki; szczytami drzew raz po raz przetoczyły się dalsze dwa strzały.

— To nasi. Może ci zbóje do nich strzelają? — nasłuchiwała opanowana już pani Helena.

— To tam? — wskazał ręką kierunek.

Skinęła głową, rozwarła usta, by go zatrzymać, ale ani słuchał, co siły w nogach pędząc drogą w stronę, gdzie mogło się wydarzyć coś niedobrego.

Przebiegł może kilometr, może mniej. Znowu strzały. Jeszcze jakiś okrzyk. Potem uciхло. Przystanął. Dokąd bieć dalej? W prawo, tak, ale czy już tutaj ma zboczyć? Bór stał zwarty podnóżem świerkowych olbrzymów słało się gęste nawet teraz, bezlistne poszycie.

Zatrzeszczały gałęzie, tupot nóg nadciągał wyraźnie z pobliza. Wytrzeszczył oczy, sprężył się, jakby do skoku, sam nie wiedział, czego ma oczekiwać. O mocny rzut kamieniem od niego z gęstwy drzew wypadli na drogę dwaj mężczyźni. Rozejrzeli się, na widok Edka wsiąkli w las po przeciwnej stronie. Trzasnął swym płaszczem o ziemię. Porwał się w ślad za nimi. „To pewnie kłusownicy”, sapał w zwariowanym biegu. Niższy, w szarym płaszczu, nikał już w gmatwaniu krzewów. Drugiego jednak widział Edek dokładnie. Wysoki, z lekka zgarbiony, sadził dużymi susami, omijając korzenie i doły. Krótka, ciemna kurtka opinała go ciasno. W prawej dłoni mocno ścisnął fuzję. Edek dopiero teraz ją zauważył. Tak, był przekonany, że to właśnie poszukiwani przez Gasińca kłusownicy. Zagrała w nim ambicja. Och, gdyby pochwycić któregoś, choć w części spłaciłby dług wdzięczności. Nie patrzył, że gałęzie smagają mu twarz, że się potyka na nierównościach gruntu. Rwał wielkimi skokami, był coraz bliżej. Zakrzyknął potężnie, z trudem łapiąc oddech w zmęczone płuca: — Stój, stój!

Wysoki mężczyzna na krzyk ten obrócił się, jeszcze biegnąc przyglądał się Edkowi. Potem nagle przystanął, podniósł fuzję do ramienia, wypalił nie mierząc. Huk echem zadudnił po lesie. Edek zawahał się. Nierówna walka, gdy tak się pędzi z pustymi rękami. Gdzieś daleko, daleko za nim rozległy się wołania. Kryjąc się za rozrostym, omszonym pnem krzyknął znów swoje: Stój!...

Kłusownik pogroził mu pięścią, odkrzyknął, głos jego był mocny, wyraźny.



— Uważaj, psi pomioście, drugi raz strzelę ci prosto w łeb...

Już się porwał do dalszej ucieczki, co chwila oglądając się za siebie.

Edek nie chciał dać za wygraną. Kryjąc się za drzewa, biegł z tyłu. Odległość między nimi zwiększała się jednak szybko. Teren stał się bardziej nierówny i mocniej zarośnięty, obniżał się, nagle pod nogami zachlupotała woda.

Gdy wreszcie przystanął, nie mógł nic dojrzeć, tylko z oddali słyszał jeszcze trzask łamanych gałęzi. Taki trzask rozległ się niespodziewanie także od tyłu. Edek odwrócił się błyskawicznie.

Gasiniec z Pawłem nadbiegali nieludzko zdyszani, przejęci trwogą. Na widok Edka całego odetchnęli z ulgą. Trzymający się przy nich owczar wyglądał nieszczęśliwie: przysiadł na zadzie, wiercił się, kołował, tarł nosem o leśną ściółkę.

— Tam pobiegli... To byli oni?

— Tak. Strzelali do ciebie?

— Raz. Ten wysoki.

— No pewnie! Daj asan pokój, toś mi stracha napędził. Kto to widział, z gołymi rękami pędzić za takim bandytą. Do nas też strzelał, wcale dobrze celując. Pawłowi świsnęło tuż koło ucha.

— Taka ich mać! — kłął Paweł ze złymi błyskami w oczach. — Już byśmy ich mieli, żeby nie ta tabaka...

— Co za tabaka?

— To cwaniacy, wyższa klasa kłusownicza. Rex wytropił ich za takim świerkowym młodniakiem. Dobre miejsce, rogacz chodzi tam okazały. Pies prowadził ładnie, potem puściłem go, blisko już. Szliśmy na głos szczekania, ujadanie stało się krótkie, znak, że był przy nich. I nagle pisk, skowyt, wycie. Nadbiegamy, tych drani ani śladu, tylko szum idzie po lesie, jak uciekają. Rex wije się po ziemi, trze oczy łapami, kicha, wyje z bólu. Bydlaki, gdy pies na nich natarł, sypnęli mu w pysk i oczy garścią tabaki... Najlepszy gończy wysiada na długo, jak mu się sypnie tytoniem w nozdrza.

— Ale i tak jeszcze zabiegliliśmy im drogę. Lepiej znamy te lasy. Za wcześnie jednak postrzegli nas... zawrócili. Gdy Paweł zaczął się zbliżać, padły strzały. Jeden i zaraz dwa następne... — dodał leśniczy.

— I znowu trzy były potem!

— To ja waliłem, a i Paweł spróbował dla postrachu.

— Tym pieprzem i solą — mruknął Paweł porozumiewawczo, zniżając głos do szeptu. — Nic nie wyszło, szkoda, toby się dopiero drapał, wyjąc gorzej od Rexa...

— Już rezygnowaliśmy, gdy nagle usłyszeliśmy twój głos, a potem strzał. Uff, alem się bał, że trafił łobuz, bo z takim nic nie wiadomo, gotów człowieka zabić... Daj asan pokój, ładnie to, ale głupio. W takich sprawach nie ma zabawy — strofował leśniczy, z wyraźną sympatią popatrując zarazem na Edka.

Wracali do domu. Leśniczyna i Mietek z ulgą odetchnęli na ich widok.

— A znacie ich, wiecie, kto taki? — dopytywał zemocjonowany Edek.

— Wyższego nie rozpoznałem, choć go już drugi raz spotykam w lesie. Drugi też twarzy mi nie pokazał, ale tak mi się wydaje, że wiem, co to za jeden... Niech się strzeże... — Edek aż się przestraszył widokiem twarzy Gasińca przy wymawianiu tych słów. Ostra się stała, groźna.

Powoli emocja mijała. Leśniczy zaraz po śniadaniu wyszedł doglądać pracy przy zbieraniu nasion, Paweł pośpieszył do siostry, Mietek na swoją górkę. Co Edka najbardziej uradowało w tym dniu, to dawny, ciepły wyraz w spojrzeniu przyjaciela.

Tłukł się jeszcze po obejściu dobrą godzinę, zeszedł nad jezioro wzdymające się ugrzywioną falą, karmił sarnę, która łażyła za nim krok w krok, potem zdecydował się. Wczorajsza rozmowa z Mietkiem nazbyt była wymowna, by nadal mógł gnuśnieć w bezczynności,

korzystając z gościny tych ludzi. Odszukał leśniczyne.

— Może trzeba załatwić coś w Piszcu? Wybieram się tam. I proszę na mnie nie czekać z obiadem, zabawię dłużej, wrócę pewnie aż nad wieczorem...

Nie zdziwiła się. Prosiła o załatwienie kilku drobnych sprawunków. Zabrał teczkę, krótko przed jedenastą wyruszył w drogę, pamiętną z pierwszej wędrówki z Mietkiem. Jakoś różniej mu się zrobiło, gdy wyszedł na drogę, a leśniczówka zniknęła za ścianą lasu. „Najgorzej, myślał, gdy jeszcze się nie powzięto decyzji. Teraz wszystko się wyklaruje”.

Od tyłu rozległo się głośnie wołanie. Słuchał zaskoczony. Leśniczyna ukazała się na zakręcie drogi. Zagarniając powietrze dłońmi przykładanymi na kształt tuby do ust, wołała na cały las.

— Wracaj tu zaraz, wracaj...

Pomyślał, że stało się może coś złego i potrzebna jest jego pomoc. Dopadł do niej zdyszany. Zagniewana była.

— Piechotą przecie nie pójdziesz, dziesięć kilometrów z hakiem. Nie w takich buci-skach łązić leśnymi traktami... wracaj po rower.

— Nie będę miał gdzie go zostawić.

— Zaraz w pierwszej chacie, u starego leśnika...

Pedałując potem boczną ścieżką obok drogi, wdzięczny był pani Helenie za okazaną troskę. Uśmiechnął się na wspomnienie jej udawanej złości, gdy go zawracała z powrotem...

Dokreślił wreszcie do szosy. Dopiero tutaj smarował, jakby gnali go wszyscy diabli. Dawno już nie jeździł rowerem. Na gładkim, dobrze utrzymanym asfalcie opony furczały cienko, cieniutko; Edek wpadł w dobry nastrój. Ostatecznie, gdyby dostał robotę, mógłby przecie mieszkać w Sumach i tylko dojeżdżać co dnia. Tak, ale skąd rower, teraz trzeba oszczędzać, konikowanie pod kinami już się skończyło...

— Kurczę pieczone — burczał do siebie — jaki się to uczciwy zrobiłem...

Było mu jednak z tym dobrze. Zastanawiając się, jak postępować ma w Piszcu, ani się obejrzał, kiedy śmignął koło pierwszych domów miasteczka. Przypomniał sobie o leśniku, zawracał. Przemknęła obok sfatygowana „Warszawa”. Pierwszy pojazd, jaki napotkał na drodze.

Emerytowanego leśniczego nie zastał, ale jakaś kobiecina chętnie przyjęła rower, skoro oświadczył, że to od Gasińca z Sumów.

Było już dobrze po dwunastej, gdy dotarł do wielkiej fabryki sklejek i fornirów. Zdziwił się, gdy bez ceregieli przepustkowych wpuszczono go na teren biura, do kadr. Nie, niestety, pracy dla kierowcy nie było. Teraz w ogóle brak miejsc, latem łatwiej, gdy są roboty leśne i w polu, część robotników odchodzi. Ale zima, martwy sezon, każdy się pcha do fabryki. Chociaż, kto wie, może za miesiąc znajdzie się miejsce kierowcy, mają otrzymać z generalnego remontu starego Dodge'a. Niech poda adres, gdyby coś się trafiło, to go zawezwą.

Nie, adresu Edek nie chciał podawać. Wołał być ostrożny. Diabli wiedzą, co jeszcze wyniknie z olsztyńskiej historii. Powiedział urzędnikowi, że dopiero szuka mieszkania. Sam będzie się dowiadywał.

W zakładach drzewnych w ogóle nie chciano go przyjmować, że to już późno. Zresztą i tak mogli proponować mu tylko pracę niewykwalifikowanego robotnika, przy rozładunku transportów drewna.

Przyzwyczajony do sporych sum, przeraził się samej myśli, jak można wyżyć za kilkadziesiąt złotych. Co innego ci, którzy mają jakiś domek, gospodarstwo, dorabiają w ten sposób.

Dobry jego humor zgasł zupełnie. Jeszcze się przepytał tu i ówdzie, ale teraz, w sezonie zimowym, o robotę nie było łatwo. Niech się dowiadyuje, pocieszano go. Pamiętał takie obietnice, gdy w swoim czasie rozglądał się za nową pracą w Olsztynie.

Gospoda była pusta. Poplamione stoły i zanieczyszczona podłoga nie wpływały zachęcająco. Obiad mu jednak smakował, głodny był, wypił jedną wódkę, potem drugą. Poweselał.

Próbował nawet podszczypnąć usługującą kelnerkę, ale dziewczucha narobiła hałasu, wzruszył więc tylko ramionami. Przy wyjściu, w bufecie, kazał sobie podać większą „literatkę”. Zaczynało już szarzeć. Na ulicach pokazało się więcej ludzi. Zastanawiał się, co teraz ma robić. Na tablicy przy rynku koślawymi literami anonsowano nowy film. Postanowił rozejrzeć się w rozrywkach kulturalnych tej ponurej dziury. Nie podobało mu się miasteczko. Wzdrygnął się na myśl o zamieszkaniu tutaj. Albo duże miasto, albo taka leśniczówka, najgorzej takie coś pośredniego, br.

Zdziwił się zaopatrzeniu wiejskiego domu towarowego. Długo krążył od działu do działu, wybierając podarki dla gospodarzy. W ten sposób pragnął zrewanżować się za gościnność. Załatwił też sprawunki leśniczyny. Dochodziła szósta, czas do kina.

Na chodniku przed sklepem wspierały się o rowery dwie młode dziewczyny w towarzystwie leśnika. Ze zdumieniem poznał Pawełka. Tamten skinął na niego, przedstawił towarzyszkom. Były to nauczycielki z wioski leżącej z przeciwległej strony jeziora od Sumów. Spieszyły do domu, grzecznie wyrażając nadzieję, że kiedy Edek mieszka u pana Gasińca, to na pewno nieraz się jeszcze spotkają.

Niebrzydkie były, zwłaszcza starsza, o bardzo zgrabnej figurze...

— Czego ty szukasz w Pieszku od rana? Mówiła ciotka, żeś pojechał, obiecując wrócić dopiero na noc...

— Dowiadywałem się, może gdzieś brakuje kierowcy, tymczasem nic... — Szybko zmienił temat. — Niczego sobie te dwie nauczycielki. Ta niższa może się bardzo spodobać. Ale czemu ona jakoś tak dziwnie mówi?

Szli wzdłuż chodnika, Paweł prowadził swój rower.

— To Mazurka, ona z tych stron.

— Znaczy się, Niemra.

— Czyś ty zgłupiał, taka ona Niemra jak i ty...

Edek nie bardzo pojął, ale uznał sprawę za niezbyt ważną.

— Grunt zresztą, że ładna. Widziałeś, jakie piersi ma klawe?

— Aha. No, stary, na mnie czas...

— Do Sum wracasz? Czekał, może machnę ręką na kino i pojedziemy razem?

— Ja w inną stronę. Jutro muszę być przy robocie, a chciałbym jeszcze skoczyć do jednej wioski... Kawał drogi, dobra piętnacha.

— Masz dziewczuchę?

— Aha. No to cześć! Za jakie dwa tygodnie przyjadę na dłużej. Stary obiecuje mi urlop jeszcze przed świętami. Wtedy pohasamy, jezioro pewnie stanie już lodem, będą brały okonie. Cześć.

— Cześć.

Znów został sam. Teczka ciążyła, przekładał ją z ręki do ręki! Z trudem odnalazł kino.

Sala była zapełniona. Ledwie zdążył zająć miejsce, zgasło światło. Rozparł się wygodnie. Lubił kino, zawsze to jakiś inny świat, ciekawszy, nie taki szary jak jego życie. Wyświetlano film włoski, traf chciał, że go nie oglądał w Olsztynie. Pochłonęła go akcja, siedział wpatrzony w migocący ekran, przejęty...

Z żalem powitał zapalenie światła. Znów było ponuro i brudno. Nie śpiesząc się płynął z tłumem ku wyjściu.

Chłodny, przenikliwy wiatr omiatał mizerne chodniki. Ludzie szybko rozchodzili się w różne strony.

Mijał go jakiś mężczyzna, wysoki, w ciasno opiętej kurtce. Wydał się Edkowi jakby znajomy. Nagle aż spotniał. Przyspieszył kroku. U wejścia na rynek paliła się latarnia. W jej nikłym blasku rozpoznał. Tak, to był kłusownik, który rankiem strzelał do niego.

Co robić? Rozejrzał się. Na ulicy było pusto. Z daleka tylko dobiegały jakieś głosy, po drugiej stronie rynku majaczyło parę sylwetek. Zaczął iść szybciej, by nie stracić kłusownika

z oczu. Podbiegł nawet parę kroków. Tamten się obejrzał, raz, drugi, nagle skręcił w jakieś podwórze. Edek niewiele myśląc pobiegł teraz, przekładając teczkę do lewej ręki.

Nie, to nie było podwórze, ale wąska, ślepa uliczka. Kilka niskich chatynek ciasno kupiło się po obu stronach. Ciemno tu było choć oko wykol. W pierwszej chwili nie widział, dokąd ma iść. Nie słyszał kroków draba w opiętej kurtce. Posunął się trochę naprzód, przystanął, nasłuchując, może trzaskną gdzieś drzwi. Cisza. Wyślepiął oczy, powoli oswajał się z ciemnością. Nikogo nie ma. Zagłębił się w ciasny kanał domów. Nie, nie warto iść dalej, nic tu nie poradzi. Gdyby jeszcze miał coś w garści, z gołymi rękami niebezpiecznie. Poszukał wzrokiem, może ten płot, wyłamię jedną sztachetę. I w tej chwili zza jakiegoś załomu wysunęło się długie ramię. Edek nie zdążył odskoczyć, poczuł silne, straszliwe uderzenie, potem drugie, krzyknął, waląc się na ziemię.

— Drugim razem żywy nie wyjdiesz, sukinsynie! — głos ten dobiegł go wraz z tupotem oddalających się w ciemności kroków.

Gramoląc się z ziemi już rozwarł usta do krzyku, ale zrezygnował. Nic to nie pomoże, gotowi jego samego wziąć na posterunek, wypytywać, dochodzić. Nie, ten numer nie przechodzi...

Splunął solidnie, czując w ustach krew. Przeciągnął ręką po twarzy. Skaleczenia nie było. Z uznaniem pomyślał o dobrym ciosie kłusownika. Ale ma oczy, że też mnie rozpoznał! Przecież rano goniłem go bez płaszcza, a przez krótką chwilę, gdy widział mnie w nim na drodze, trudno było zapamiętać rysy i figurę...

Splunął znowu, tym razem z narastającej pasji i rozczarowania. Jakaś zła passa prześladowała go od pewnego czasu. Znowu oberwał po gębę, diabli w końcu wiedzą od kogo. Podniósł teczkę, obmacał ziemię wokoło, czy nic się nie rozsypało.

W znacznie wolniejszym tempie niż rano pedałowal do leśniczówki, przezuwając nieustannie gorycz porażki. Gdy skręcił z szosy na leśną drogę, miejscami musiał prowadzić rower, w latarce bowiem bateria już się wyczerpywała.

U Gasińców jeszcze nie spano. Ojciec z Mietkiem siedzieli w gabinecie przy jakiejś mapie. Przywitali go ze spokojną serdecznością. Żal mu się zrobiło tego kąta, światła lampy naftowej, ciszy idącej od lasu i wody, sarny natarczywymi bodnięciami dopominającej się o jedzenie. Dojeżdżając postanowił bowiem wracać do Olsztyna. Męczyła go nie wyjaśniona sytuacja.

Niechętnie opowiedział swoją przygodę. Było to ciosem dla jego ambicji. Wstydział się, że dał się tak zaskoczyć.

— Daj asan pokój! To by i tak wiele nie dało. Gdzież dowód, że to on właśnie kłusował? Od nas się żąda, byśmy złapali na gorącym uczynku. Wyparłby się, podstawił świadków i tyle... Trzeba go w lesie chwycić, i, dalibóg, że go chwycę.

Leśniczyna wołała go do jedzenia. Mietek dzisiejszego wieczora nie uczył się, bolała go głowa. Leśniczy spytał mimochodem o pobyt w Piszcu.

Opowiedział o niepowodzeniu w poszukiwaniu pracy. Dojrzał, że Mietek mrugnął do ojca porozumiewawczo. Zrobiło mu się przykro nie wiedzieć czemu.

— A mówiłem, daj asan pokój z tą pracą... Przyjdzie czas na wszystko. A tak w wyniku znów tylko krzywą gębę będziesz nosił przez parę dni... — Zastanawiał się przez chwilę. — To mówisz, chłopcze, że szoferujesz? Masz prawo jazdy? Dobrze, a z ciągnikiem dałbyś rady?

— Trzy miesiące jeździłem na Lancu. Ale znam także i inne...

— Dobrze, że mnie Mietek wcześniej o tym powiedział. Ot, jeżeli masz ochotę, można od jutra zaczynać. Jednego z kierowców powołano do wojska. Miał odroczenie, ale już się skończyło. Tymczasem robota pilna, nie można dnia zmarnować. No więc?

Nie wiedział, jak dziękować. Chciał koniecznie coś zrobić, choćby po to, aby zabijać czas, aby mniej myśleć o tamtym...

## 5. KRAKSA

Na leśne drogi wychodziły sarny. Wilgłymi, smutnymi oczyma popatrywały na drzewa, nie ploszyły się tak łatwo jak w gorące dni lata. Nieliczne zimujące ptaki przysiadły na gałęziach jarzębiny i kokosiły się na szczytach jodeł, gdzie dojrzewały już duże, brunatniejące szyszki. Wiewiórek przybyło w tym roku. Rade z przedłużającej się jesieni, pogrubiałe, zamiatwały gałęzie futrami, swawoliły podniecone ochotą do życia.

Przy leśnej drodze pryzmami zległa przeschnięta opałówka z wiatrołomów, wykrotów i wsięku sztuk zaatakowanych przez kornika albo przez grzyby. Wiosną przeszła tymi stronami gwałtowna burza. Stary las, odporny na nawałnice, tym razem nie wytrzymał. Setki drzew zległy pokotem.

Droga skręcała ostro, zniżala się, by z gęstwy mieszanego grondu wychynać na teren przerobowy, dyszący przez cały dzień piskiem pił i stukotem siekier.

Kierowca, dosyć niefrasobliwie rwący ciągnikiem z rozhuśtaną za nim przyczepą, przyhamował teraz, ostrożnie brał ryzykowny zakręt. Grunt był tu silnie wilgotny i mimo stale podrzucanej faszyny koła grzęzły, sypiąc na strony czarnymi, wilgotnymi grudami.

Nie opodał od miejsca przerębu można było przy pewnej wprawie zawrócić. Kierowca zatrzymał ciągnik, na zwolnionych obrotach podskakujący teraz z gniewliwym fukaniem motoru. Pryzma pachniała wilgłymi, świeżo ściętymi płaszczkami drzewa.

Edek niezyczliwie przyjrzał się wskazówkom zegarka. Jedenasta. Dopiero dwa razy obrócił. Więcej nad dwa dalsze dzisiaj już nie poradzi. To przez ten ześlizg poranny na szronem wyszlifowanej trawie. Szkoda.

Rozejrzał się, nie widząc robotników. Dopiero po chwili dostrzegł ich skupionych u wejścia do szałasu, w którym latem przechowywano beczki napelnione gęstą, lepka żywicą. Jedli spokojnie, odłamując palcami kawały chleba i popijając mlekiem z butelek.

Ćmiąc fajkę o krótkim cybuszku, przygięty w ramionach, brodaty mężczyzna zmierzał powoli ku niemu.

— Przeszło dobrze tym razem?

— Podsypałem mocno ziemią i ściółką. Ale trzeba tam suszu, bo ziemia zapada i lepi się do opon... Śniadanie?

— Tylko co siedlim. Ty nie przekąsisz?

Skinał głową. Z szoferki wyciągnął zawiniątko z chlebem i butlę mleka, przysiadł na kłocu drzewa. Stary ze stęknięciem umościł się obok. Dym fajki leniwie unosił się w cichym powietrzu, płynął ku górze, tam dopiero rozpościerał się, zanikał. Robotnik spoglądał za nim, rozczesując palcami dobrze utrzymaną brodę.

Edek podglądał go ciekawie. Macura pracujący jako brygadier, stary wyjadacz leśny, mącił wyobrażenie Zaleskiego o Mazurach. Dotąd traktował ich jako Niemców, trochę się dziwiąc zasłyszczanym czy wyczytanym twierdzeniom o ich polskości, w końcu przestał go ten problem interesować. Dopiero na przerębie zetknął się z nimi bliżej. Pracowało tu blisko trzydziestu chłopów, w większości z pobliskich wsi, Mazurzy. Rzadko który wtrącił czasem słowo niemieckie, łatwo było ich zrozumieć... Przeważnie starzy lub bardzo młodzi. W średnim wieku było zaledwie dwóch czy trzech. Macura mówił, że albo zginęli na froncie, powołani do Wehrmachtu, albo krótko przed końcem wojny zostali wywiezieni przez hitlerowców. Mało który powrócił...

Do Macury poczuł chłopak szczególną sympatię. Zresztą sprawił to zwykły przypadek. Oto w jakiejś przerwie klarując swoim jakąś gawędę, Mazur napomknął coś o obozie koncentracyjnym, w jakim przesiedział wojnę. Edka zaciekawiło to, zapytał o szczegóły. Zdziwił się, gdy mu brodac powiedział, że właściwie powodem aresztowania było przyznawanie się do polskości. Cała wieś podobnie myślała i czuła, no, nie każdy miał odwagę jawnie to

mówić. A Macura prenumerował jeszcze takie pismo, „Mazur” się zwało. To ledwie Polskę rozgromili, zabrali się za nich. Macura pojechał jeden z pierwszych do tego Mautthausen...

— Mautthausen? — Edek aż za klapę uchwycił wtedy starego. — Tam zginął mój ojciec, zawiadomienie sukinsyny tylko przysłali, że zmarł na zapalenie płuc.

— Wszystkich tak zawiadamiali. Potem w ogóle przestali wysyłać takie kartki — stary potakująco trząsł głową, sam silnie poruszony nowiną. Wypytywał o bliższe szczegóły, żądał rysopisu ojca traktorzysty.

Cóż mu mógł odpowiedzieć? Zbyt mały był, gdy ojca zabierało gestapo, koszulę jeszcze w zębach nosił. Ojca znał głównie z opowiadań matki i z paru zachowanych zdjęć w rodzinnym albumie. Nauczycielem był, w niecałe pół roku od wojny go wzięli, zaraz po śledztwie pojechał do tego obozu... Wysoki, włosy czesał do góry, blondyn, mówią, że Edek jest podobny do niego.

Macura miał teraz nie lada orzech do zgryzienia. Ojciec Edka musiał zatem trafić do Mautthausen w jednym z pierwszych transportów. Tak jak i Mazur. Jeszcze wtedy nie było takiego tłoku, jak później. Znali się właściwie wszyscy... Który to mógł być Zaleski? Włosy nic nie mówią, głowy mieli wszak ogolone, jemu, Macurze, nawet brodę obcięli, choć protestował. Zresztą ten protest kosztował go trzy przednie zęby — pokazywał dziury po wybitych siekaczach. Potem przyglądał się długo, długo Edkowi, jakby chciał przez to przywołać obraz tamtego człowieka. Markotnie kręcił głową, podsypywał tabaki do cybuszka.

I tak to Mautthausen ich pokumało. Stary przy każdej okazji starał się trzymać blisko Edka, a i jego ciągnęło do gawęd Macury. Tylko to przyglądanie się nieustannie gniewało go. Wiedział, że stary uparczywie szuka obrazów w swojej pamięci, wołał jednak dać tym wspominkom spokój. I tak nie wróci się tego, co było.

Zażyłość tych dwóch zauważyli inni. Macura powszechnie był szanowany, jego opinie o ludziach wiele ważyły. Nic więc dziwnego, że Edka witały na przerębie coraz bardziej życzliwe uśmiechy mazurskiej braci. Nie przeszkadzało to przygaduszkom, że Macura gorliwie szuka zięcia dla swojej córki, stąd jego zainteresowanie młodym traktorzystą.

Z tą córką wydarzyła się zresztą historia, która ubawiła leśną czeredę. Macura wymawiał któregoś razu Edkowi, że w wolną niedzielę nie zajrzał do ich wioski, przecież to niedaleko. A warto, takiemu młodemu chłopakowi musi wszak cknąć się do dziewczyn. W ich wiosce jest ich wiele, jak rzepy, dorodne jedna w jedną.

— To tam u was są dwie młode nauczycielki? — przypomniał Edek spotkanie w Piszu.

— One i wiele innych. Dzieuchy, aż starego bierze oskoma...

— Widziałem kilka w lesie około szosy, jak nasiona zbierały. Jedna była naprawdę ładna.

— O widzisz, wpadłbyś, może całusa jakiego załapił.

— Od tej czarnej byłoby warto — zaśmiał się Edek. — Zgrabna, włosy jej tylko wysuwają się spod czerwonej chusty, zęby łyskają, jak się zaśmieje...

— O, widzisz, a gdybyś tak...

I tutaj nagle stary umilkł, gwałtownie począł ssać przygasty cybuszek, reszta zaś drwali wybuchnęła śmiechem, aż echo poszło po lesie, a siedząca na pobliskim drzewie wiewiórka upuściła ze strachu smakowitą szyszkę jodłową.

— Cha cha cha, Macura, powiemy Kaśce jakieś ją swatał traktorzyście do całowania. Cha cha cha! Własną córę!

— A bodaj was!

Porwał Mazur siekierę i pomaszerował do najbliższego drzewa wyznaczonego na ścieżkę. Rąbał, aż trzaski tryskały na strony, a echo bieгло przez las głuchym dudnieniem.

Tamci zaś długo jeszcze nie mogli się uspokoić.

Dobrze czuł się Edek w tej zwartej gromadzie. Spokojni byli, robotni, może, jego zdaniem, zbyt poważni, za mało się śmiali, ale to już przecie niczyja wina. Któryś z nich zawsze

towarzyszył mu na załadowanej wysoko platformie, aby dopomóc przy zładowywaniu drzewa na składowisku przy szosie. Stamtąd już zawsze, zima nie zima, łatwo je będzie zabrać. Teraz należało korzystać z pogody i rwać traktorami co wlezie.

Dni mijały mu teraz szybciej, noce miał spokojniejsze. Zmęczony, ledwie się zwałił do łóżka, zasypiał zaraz twardym snem. Nie było czasu na rozważania, na lęki i wspomnienia. Nie to, żeby zapomniał sprawę Krasawczyka, o nie, nieraz zaciskał wargi, aż bieleły jedną wąziutką linią, czoło zaś zlewało się zimnym potem. To wtedy, gdy myślał, że jest może mordercą, że i tak złapią go wcześniej czy później, że nie ma przed nim przyszłości. Coraz częściej też zastanawiał się, czy nie lepiej będzie pójść przyznać się samemu, lepsze to niż ta szarpanina wewnętrzna, ciągły strach i nawroty przygnębiaenia. I znów pracował usilnie, rwał z tym drzewem jak wariat, aby w wysiłku zapomnieć.

Często towarzyszył mu Michał, młody podleśniczy. Po czasowym zastępstwie na innej leśniczówce powrócił już do pomocy panu Gasińcowi, który miał wyjątkowy trudny i rozległy rewir, zawsze zresztą szczycący się najlepszymi wynikami w całym piskim rejonie.

Michał wyglądał na pozór chuchrowato, o głowę chyba niższy od Zaleskiego, trochę przygarbiony. Edek podziwiał u niego niezmiennie dobry humor. Przyjemna, jasna twarz Michała zawsze łykała uśmiechem, który skrzył się także i nie wiedzieć czemu w brązowych, dużych oczach.

Podleśniczy miał jedną pasję: koniecznie chciał się nauczyć prowadzić ciągnik. Dlatego może i krążył, jak tylko mógł, wokół Edka, choć nie od razu odważył się wypowiedzieć swoją prośbę. Wbrew przepisom, stojąc na śliskich złączach tuż za kierowcą, wsparty dłońmi o jego ramiona, bacznie śledził każdy ruch, dopytując co chwila o to i tamto.

Edek raz i drugi pozwolił mu na szosie spróbować. Niezdarnie to szło, mało brakło, a wpakowaliby się z całym ciągnikiem do rowu. Edek zdecydował wtedy, że odłożą naukę na później, jak ukończy już wywóz opałówki z odległych i trudno dostępnych partii leśnych. W zamian za tę obietnicę wypytywał podleśniczego o sposoby połowu ryb. Michał wiedział tu wiele. Urodzony nad wodą, znał się na wszelkich sposobach, chętnie dzielił się wspomnieniami rybackich przygód. Edek pamiętając szczupaka, który tak niefortunnie uszedł mu z błyszczca na głębie, marzył o nowej wyprawie. Umówili się z Michałem na najbliższą niedzielę. Zamierzali zwerbować także i Mietka...

Jak to jednak bywa w życiu z wszelkimi planami, do niedzieli pokieroszowało się wszystko.

Najpierw wybuchła ta sprawa z Mietkiem, a właściwie nie tyle z nim, co z jego ojcem.

Był to pierwszy dzień grudnia. Od dwu dni trzymał lekki mrozik, pogłębiając się nocą. Cieniutka warstewka śniegu, ledwie, ledwie przykrywająca ziemię, ale nie mogąca jeszcze ukryć świeżej, rozrosłej w niedawnym cieple runi, nie utrudniała jazdy ciągnikiem po leśnych drogach, stanowiła jednak zapowiedź, że lada dzień nadciągnie prawdziwa zima. Edek wstał teraz przed świtem, żeby przy pierwszych oznakach brzasku z rozgrzanym już motorem wyruszyć w drogę. Z lasu zjeżdżał przy światłach, robiąc w ten sposób aż siedem tur. Przy kolacji siedział tak zmordowany, aż mu się głowa chwiała, a senność stulała zaczerwienione od wiatru powieki.

Tego dnia w zwykłym pośpiechu pałaszował jedzenie, podsuwane mu przez panią Helenę. Niewiele nawet zwrócił uwagi na jej słowa, że Mietek przeziębził się i leży. W ogóle zmarniał od tej nauki, miary chłopak już nie zna — zabiadolifa. Pokiwał potakująco głową, burknął słowa podziękowania i ciężkim krokiem powlókł się do swego pokoju. Z ulgą zrzucił krępujące odzienie.

Zdumiał się pukaniem.

— Proszę.

Wszedł leśniczy, jakiś zmartwiony, ponury.

— Chciałbym z tobą, chłopcze, pogadać...

Od razu otrzeźwiał, odeszła go ochota snu, zaginęło gdzieś zmęczenie, w sercu załomotał lęk. Musiała się sprawa wydać, Mietek powiedział wszystko ojcu.

Nie czuł żalu do przyjaciela. Z jakiej racji dręczyć się miał czyjaś tajemnicą, jeszcze tak okrutną i straszną? Pomyślał, że może i dobrze się stało, wreszcie skończy się wszystko, zapadnie decyzja, odnajdzie się wyjście. Sam przecie też długo już nie potrafi zmagać się w sobie. Teraz zabija myśl pracą, ale lada dzień wywózka się skończy. Co wtedy, jak wrócą te godziny przed zaśnięciem, gdy z każdego kąta pokoju jawi się ponura twarz Krasawczyka? Co wtedy?

— O Mietku! — po chwili milczenia dodał leśniczy, przysiadając na łóżku Edka.

— Chory podobno? Nie odwiedziłem go, myśląc, że może śpi... — Nie poznał własnego głosu. Chropawy był, jakby przepity. Nic już więcej nie mówił, zacisnął tylko dłonie, czując, że są mokre od potu. Zatem zgadł, o Mietku, to znaczy o tej sprawie. Że to chłopca gnębi, że nie można go obarczać taką odpowiedzialnością moralną... Zachnął się sam na tę myśl, przemądrzała, jak mu się wydała, sztuczną, nazbyt inteligentką. Pal diabli z moralnością!

Drgnął. Leśniczy mówił już od pewnej chwili, gdy on szamotał się z jakimś tam odruchem moralnym. Nastawił uszu.

— Widzisz, z nim coś niedobrego się dzieje ostatnio... Tak mi się przynajmniej wydaje. A ja chłopca znam. Przecież to mój jedynak. Tyle lat go chroniłem, chuchałem, wyciągałem z tego choróbka, wyczuję więc wszystko. Mówi się, serce ojca... Uczy się dużo, coraz więcej. To widzę, to i dobrze. Że tam z tego zmizernieje trochę, przyblednie, nic, głupstwo, przejdzie, jak już zrobi tę swoją wymarzoną maturę... Ale widzisz, poza zmęczeniem nauką, bo to i sam nie ze wszystkim może sobie poradzić, znów chce jechać do Olsztyna, tam się wywiedzieć, więc poza tą nauką jest coś jeszcze, o czym ja nie wiem, czego nie rozumiem i domyślić się nie mogę, w czym rzecz. Coś go gnębi, coś trapi. Zastałem go dwa razy nad książką, której nie czytał, wpatrzony w ścianę czy okno. Marnieje ostatnio, zżerany lichem wie czym. Myślałem, może zakochał się, łatwo w tym wieku. Ale mi na to nie wygląda. Zresztą od tego się czasem chudnie, ale nie traci ochoty do życia, nie zamartwia na amen.

Umilkł, jakby skrepowany mięł w rękę potę munduru. Potem podniósł głowę i w mdłym świetle świecy zaglądając Edkowi w oczy, poprosił:

— Czasem trudniej jest zwierzyć się ojcu niż koledze. Widzisz, on ciebie lubi, choć też się jakby odsunął w ostatnim czasie, ale to nic, więc widzisz, żebyś ty z nim pogadał, jak przyjaciel, kolega. Wieleś mu pomógł w szkole, nie, nie zżymaj się, ja to pamiętam, choćby tę ślizgawkę, kto wie, co by się mogło tam stać, zatem, co ja chciałem? Aha, z tej wdzięczności może być zaufanie do ciebie. Pogadaj, może ci powie. To na pewno nic wielkiego. Wyolbrzymił coś sobie i trapi się, truje... Mnie ciężko na to spoglądać. Wiesz, niedobrze, jak się ma jedno tylko dziecko, zbyt wiele się człowiek wtedy przejmuje. Zresztą, kto wie, może jak jest więcej dzieciarni, to i trosk także więcej?... Zatem pogadaj, pomóż chłopcu, jeśli potrafisz...

Podniósł się, oswiały, zbity jakiś. Z ręką na kłamce powiedział jeszcze:

— Daruj, że ci mitrzę... Ale widzisz, bo to... — zdusił w sobie jakieś słowa. — Dobranoc.

— Dobranoc — wybąkał Edek.

W migocącym świetle świecy dziwacznie rysował się na ścianie cień Edkowej sylwetki. Siedział na łóżku, trzymając głowę w dłoniach. Było mu nade wszystko bardzo smutno. Smutek był silniejszy niż lęk. Zresztą od pewnego czasu jakoś przestał się bać. Może od chwili, gdy, nie wyrażna jeszcze, niewykrystalizowana, zaczęła w nim dojrzewać decyzja. Tyle że rzecz spadła teraz tak nagle. Dobrze czuł się w leśniczówce, przy tej ciężkiej pracy, przy ulubionym zapachu spalanej ropy, wśród prostych robotników, wśród ciszy leśnej. A teraz koniec. Jutro pogada z Mietkiem. Właściwie dla formalności, bo przecie wie, co gnębi chłopca, a Mietek, pamięta jeszcze ze szkoły, zawsze był bardzo wrażliwy, bardziej niż inni. Nic dziwnego, że ciężar tej historii z Krasawczykiem był dla niego nie do zniesienia. Niepotrzebnie wtedy wyskoczył z tą swoją szczerością. I chłopak nie miałby kłopotów, a i jemu może



byłoby łatwiej... Tak, siedziałby tutaj, oswoiłby się, zapomniał...

Zachnął się, przypominając niespane noce, lęki, zjawy. Nie, jemu by nie pomogło, ale Mietek miałby spokój. Teraz gotów jeszcze się rozchorować, nie zdać matury. Dopiero by narobił...

Czas mijał, on tkwił tak pogrążony w zadumie. Ocknął się dopiero na szypienie dopalającej się świecy. Powstał, przeciągnął ramiona. Nie ma co, jutro się wszystko zadecyduje. Dobrze byłoby przedtem skończyć tę zwózkę, ale jeśli już nie sądzono, to pal ją sześć...

Zdawało mu się, że nie zdążył przyłożyć głowy do poduszki, gdy już zbudziła go, jak co dnia, leśniczyna. Zachodził w głowę, kiedy spała ta pracowita kobieta. Zawsze krzątała się, gdy choćby najpóźniej szedł spać, wstawała też dużo wcześniej, bo w kuchni o tej przedrannej godzinie zawsze dymiło już gotowane mleko i przygotowane było śniadanie.

Z ciężką głową wyszedł na dwór. Coś się zmieniło w pogodzie. Wiaterek, wiejący nad wieczór, ustał zupełnie, wyraźnie pocieplało. Tak, odwilż, słychać, jak pokapują krople z dachu. Śnieg stał miejscami, przeświecała tam murawa burozielonymi plamami.

Przejaśniało się powoli, gdy wyjeżdżał na teren przerębu. Z drzew pokapywały jeszcze krople, dokuczliwy, ostry ziąb szedł powietrzem. Niebo się obniżyło, przytłoczone kłębiastymi chmurami. „Gotów śnieg wypaść”, pomyślał.

Pierwszą platformą każdego dnia zaczynał ładować sam. Dopiero później nadchodzili do lasu robotnicy. Pozostałe dwa ciągniki zjawiały się z Pizsa, gdy on zabierał już kolejną partię. Nic dziwnego, z miasteczka był kawał drogi, obaj kierowcy tam mieszkali, tam też była baza motorów. Tylko w drodze wyjątku zezwolono Edkowi na postój ciągnika w leśniczówce.

Edek wracał właśnie od szosy po trzecią turę. Rwał szybciej niż zawsze, wysiłkiem pragnął zabić skołatana myśl. W nocy wszak postanowił już, że po rozmowie z Mietkiem pojedzie do Olsztyna, dowie się, co i jak, a potem zgłosi się na milicję. Cholera, lepiej gnąć w więzieniu niż tak się szarpać. Pal wszystko diabli...

Z bocznej dróżki wyłonił się Michał, jak zawsze uśmiechnięty.

— Mietek już lepiej się czuje... Gorączki nie ma. Przywiozłem wczorajszą pocztę. Był tam list od Kulczyka, przyjedzie tutaj, mówił Mietek... — pośpiesznie dzielił się nowinami. Listonosz obsługujący ten rejon miał wygodę. Michał wyręczał go bowiem w dostarczaniu gazet i listów do leśniczówki.

— Kulczyk? Kto to taki? — powtórzył nie zastanawiając się.

— A to przecież podobno kolega szkolny Mietka i twój... Ten, co pisze wiersze.

— Aaa, wiem! — roześmiał się nagle Edek. — Skądże on tutaj?

— Był już w Sumach parę razy... Czasem tak zjawi się nagle, siedzi miesiąc, ostatnio nawet prawie pół roku, potem znika... Strasznie śmieszny ten Kulczyk. Leśniczy mówił, że on zjawia się wtedy, jak mu się nie powiedzie w miłości. Taki kochliwy, chi chi chi — paplał Michał, trzymając się ramion kierowcy.

Na zakręcie zarzuciło ich silnie. Edek z trudem wyprostował bieg maszyny. Michał ułapił się go kurczowo, omal nie zsunął się pod przyczepę.

— Po odwilży mróz chwycił, to ślisko — oglądał się na niefortunne miejsce. — Mocno trzyma, czuję po nosie — nacierał swój spory nochał grubą, wełnianą rękawicą o jednym palcu. — No, już na miejscu — odsapnął.

— Czekać, zaraz zakurka, jak mówi Chwaściuk. — Macura pragnął powstrzymać Edka, który z taką energią wrzucał na platformę ciężkie kloce, że aż furczało.

— Chcę zrobić dzisiaj dodatkową turę, pomóżcie lepiej — sapnął, ocierając pot z czoła.

Stary przyjrzał mu się ciekawie, nic nie mówiąc, chwycił za płaszczykę drzewa. Michał stał na platformie, fachowo układał metrówki. Potem nie czekając końca roboty, przebiegł się po przerębie, coś tam zaznaczył, wskazał brygadzystom, zanotował na świstku papieru. Wrócił, gdy Edek ruszał już z miejsca.

— Czekać, i ja wracam...

Tym razem zakręci przebrnęli pomyślnie, ale nieco dalej mało brakło, a byłoby się zde-  
rzyli z drugim ciągnikiem, jadącym w przeciwną stronę.

— Cholera, co za pechowy dzień — kłął Edek, a Michał tylko uśmiechał się dobrotli-  
wie.

— Wiesz — odezwał się — teraz zima już chwyci na fest. Żeby tak przed świętami  
stanał lód na jeziorze, tobyś dopiero zobaczył, co to za gratka łowić okonie w przeręblach.

Edek słuchał, wreszcie, mając tego już dosyć, burknął ponuro:

— Gównu mnie to obchodzi. Jutro wracam do Olsztyna...

Teraz Michał zaniemówił z wrażenia.

— Do Olsztyna?

— Tak, tak, do Olsztyna! Co w tym dziwnego? Mam tu wiekować czy jak?

— Nie, nie, ale ja myślałem, że może do lata... i pan leśniczy mówił, że pewnie długo tu  
pozostaniesz...

Edek zdumiał się, aż głowę odwrócił wstecz do Michała.

— Leśniczy? Że długo zostanę?

— Aha! Że tam się podobno chuliganieś w Olsztynie, ale dobry chłopak z ciebie, pobę-  
dziesz u nas, wykierujesz się na ludzi... — Spostrzegł się, że paple coś niepotrzebnie, prędko  
dodawał: — To nie mnie mówił, gdzieżby, słyszałem tylko, jak pani leśniczynie tak gadał...

Nic mu nie odpowiedział. Wściekły był. „Diabli nadali, myślał, jeszcze sobie będą mną  
gęby wycierać. Czort im do tego, chuliganieś czy nie. A choćby, to forsę miałem jak lodu, w  
rok się nie dorobię tego, co trafiło się w miesiąc, jak szły dobre filmy... Chuliganieś, chuliganieś,  
a kij wam w oko! Klecha na ambonie się znalazł, morały będzie prawić, na ludzi kierował...”

Kłął w duchu tym więcej, im bardziej czuł gdzieś w głębi, że leśniczy miał rację. Ba,  
kędys kielkowało nawet uczucie wdzięczności do tego obcego przecież człowieka, że zoba-  
czył w nim nie samo zło, że chciał mu pomóc. Ale to wobec nocnej decyzji jeszcze bardziej  
złościło i rozpałało.

Dojeżdżali do szosy. Zatoczył półkole, stanął przy długiej, wyrosłej solidnie przyzbie  
opałówki. Płaszczki drzewa ze stukotem poleciały na ziemię. Michał, strapiiony swoją niedy-  
skrecją, milczał teraz, z zapalem pomagał w pracy.

Gdy skończyli, postanowił zejść Edkowi z oczu. „Niech mu gniew minie, taką ma miną,  
jakby przez łeb miał zamiar mnie zdzielić”, myślał.

— Cześć, ja jeszcze potem wrócę na przerębowisko — wołał z daleka.

— A bierz cię diabli! Możesz nie przychodzić — warknął Edek pod nosem.

Wygramolił się teraz z ciągnikiem na nasyp szosy. Aby zawrócić, musiał podjechać  
kilkaset metrów, tam dopiero solidny mostek przez rów zezwalał na zrobienie obrotu.

Szosa była silnie oblodzona. Wyczuł to od razu po wyraźnym poślizgu kół ciągniętej z  
tyłu, luźnej teraz przyczepy. Nasyp drogi był wyższy, gdyż liściasty las z obu stron wyrastał z  
podmokłego gruntu. Również rowy były znacznie głębsze i odpowiednio szersze.

Przed nim, lewą stroną szosy, jakaś kobieta jechała naprzeciw rowerem. „Cholera, za-  
chnął się, zawsze tu pusto, a jak wreszcie jakieś babsko się pokazało, to właśnie w ślizgawicę  
pcha się tu lewą stroną”. Zabuczał przychryplym, nie używanym dawno sygnałem. Zarazem  
próbował zwolnić bieg ciągnika, poczuł jednak, że platforma u tyłu ślizga się, napiera na  
motor, dodał więc gazu, by wyprostować bieg.

Dziewczyna, jakby nic nie widziała ani słyszała, parła prosto na niego. Zatrąbił znowu,  
aby dać jej drogę, próbował wjechać na środek szosy, maszyna ześlizgnęła się z oblodzonej  
powierzchni, ujrzał rower tuż, tuż przed sobą, kobieta krzyknęła, zawahała się, próbowała  
wykręcić, za ostro, całym rozmachem runęła z pojazdem na ziemię.

Nie mógł już stanąć, ślizgawica nie zezwalała, od chwili ośliżnięcia się ze środka szosy  
ciągnik i tak szedł niebezpiecznym ukosem.

Decydowały sekundy. Już słyszał przeraźliwy, śmiertelny krzyk dziewczyny miazdzonej ciężarem motoru, chciał przymknąć oczy, aby nie widzieć, i wtedy nagle, gwałtownym skretem kierownicy szarpnął na prawo, a nuż się przesunie samym brzegiem szosy, drzewka tu młode, nie zatrzymają, złamie je tylko...

Uczuł, jak pchane ciężarem platformy koła ciągnika całym rozpędem ześlizgują się po obrzeżu rowu. Ostatkiem świadomości wygasił motor, poderwał się, chcąc zeskoczyć w bok, nie zdążył, niebo zrobiło jakiegoś dziwnego kozła, ujrzał nagle pod sobą oblodzoną trawę, potem wszystko zważyło się na niego, stuknęło, zrobiło się jasno, czerwono. Ciało przeszył ból. Już nie wiedział nic więcej.

## 6. CO LEŚNICZY WYSZUKAŁ W GAZECIE

Najpierw zobaczył do pół skrytą pod śniegiem zieleń świerkowych gałęzi. Leniwe spojrzenie przesunęło się na biały dach przeciwległej obory. Na samym szczycie siedziała wrona, poważnie tocząc głową dokoła.

Nie mógł zrozumieć. To śnieg. Ale kiedy zdążył spaść w takiej ilości? Przecież wczoraj ledwo, ledwo było go znać...

A czyja to głowa przy stole? Nastroszona, zmierzwione włosy, śmiesznie spadziste ramiona. Pamiętał czyjaś podobną sylwetkę.

Przymknął powieki, na jakiś szmer znów je otworzył.

Roześmiana przyjaźnie chyliła się nad nim gęba, ależ tak, Kulczyka, szkolnego poety. Zresztą nie tylko szkolnego, przecież potem też było o nim słyhać w Olsztynie...

— No, nareszcie! Doktor zapowiada ten moment od paru dni, ale już przestałem mu wierzyć... Cześć, brachu! A ja, czekając, aż raczysz mnie zauważyć, ślęczę nad nie ukończonym poematem. O — porwał ze stołu gęsto zapisane kartki — będę się nad tym, ale jakoś dalekie te strofy od tego, co pragnę powiedzieć. Nie wiesz, co to za mozoły poezja...

— Kulczyk — powiedział wreszcie.

— Do usług, bracie. No, już nie tylko patrzysz przytomnie, ale i gadasz po ludzku. To pewnie sprawka tej dziewczyny, co tu była dziś rano. A w ogóle z pięć razy przychodziła do bohatera puszczańskich bezkresów Pizsa... Wera, to nawet poetycznie brzmi. Niebrzydka, cóż, kiedy mnie już teraz wdzięki niewieście mało obchodzą.

— Tratatatata, Boże, jakież gaduła! Nie wiesz, że doktor zabronił go męczyć? Dzień dobry, chłopie, nareszcie, a to już myślałam, że się nie wyliżesz. Doktor dziś przyjedzie, to się ucieszy... Może głodny jesteś, chcesz pić? — Leśniczyna uśmiechała się, nawet jej ostry głos przyjemnie brzmiał dla ucha chorego.

Jednocześnie wymachiwała za sobą ręką, wyganiając Kulczyka z pokoju. Wyniósł się z obrażoną miną,

Marszczył się, myśl pracowała usilnie. Nie wszystko jeszcze pojmował.

— Zaraz, zaraz, był ciągnik i ta dziewczyna na rowerze, musiałem skrócić na prawo, nad rów...

— O to, to! Do rowu, na łeb, na szyję! A dziewczyna cała, tylko łydki potłukła... Ja bym ją... — widząc jego ciągle pełne pytań wejrzenie, wyjaśniła szybko: — Trochę cię poprzycisnęła, przygniotła. Ran nawet nie było, tylko wstrząs mózgu i jeszcze tam jakieś uczoności, doktor ci powie... Dosyć, że czucia nie miałeś. Mieli cię brać do szpitala, ale ryzyko było przewozić, zostałeś u nas. I dobrze, już od trzech dni kryzys minął, teraz mówi doktor, pójdzie piorunem....

— Trzy dni już tu leżę?

— Trzy? Trzy od kryzysu, a w ogóle osiem. Tak, mileńki, osiem... No, ale dosyć już

wiesz, teraz zaśnij, pogadamy... A tego wiesz, jak Mietek mówi, już tutaj nie wpuszczę. O, i te szpargały mu oddam, bo zaraz się wepcha za nimi. Boże, nakreślone, że ani się wyznać...

Leżał spokojnie. Nie chciało mu się patrzeć na śnieg za oknem. Osiem dni. Wypadek. Musiał być ciężki, jeśli leżał tyle czasu bez przytomności. A ran nie było, ciekawe... Wstrząs mózgu. Kto by myślał... I cała historia właśnie wtedy, gdy się zdecydował na powrót do Olsztyna. To nic, teraz pojedzie, ale lepiej o tym nie myśleć, lepiej nie myśleć...

Co on mówił, ten Kulczyk? Śmieszny facet, poeta, też fach sobie wybrał. Zawsze był taki niewydarzony... Zaraz, zaraz, Wera, któż to? Wera? Aha, to ta pyskata mała której łątał dętkę. Nadleśniczego córka... Coś jakby pamiętał, że nachylała się nad nim drobna twarz z krótko obciętymi włosami. To ona przyjeżdżała tutaj do niego? Bohater, mówił ten Kulczyk. Dureń z niego, jakież to bohaterstwo? Że nie chciał dziewczuchy głupiej przejechać? Ech... A ta Wera to miała takie ładne piersi, rysowały się jej wtedy wyraźnie pod bluzką. Piersi... Leśniczyna dobra kobieta, dobra, choć tak ostro mówi, ale to nie jej wina, że ma taki głos... No pewnie, któż winien, że wygląda tak lub inaczej albo że mówi na swój sposób... Osiem dni, osiem dni...

Myśl rwała się, zasypiał.

Gdy się ocknął, na stole paliła się lampa naftowa. Jakiś gruby jegomość trzymał go za puls. Zadowolony był.

— A nie mówiłem, że dawno już po kryzysie, ha? — zwracał się do leśniczyny, stojącej przy drzwiach z założonymi na piersiach dłońmi. — Zdrowy organizm, poradził sobie... Teraz już mucha, każda godzina będzie nieść polepszenie, za tydzień, ba, mniej, śladu nie będzie. Ale nie wstawać, chłopcze, bez mego pozwolenia, nie wstawać. Ja tu co dzień poskoczę, jest samochodzik, to drobiazg... A pani te miksturki niech daje, daje... No, zrobimy zastrzyk. Dobra, nic nie bolało, prawda?

— Nic.

— No, pewnie, przecież mówiłem... A teraz, droga pani Heleno, wypiję tej pani dobrej herbatki, a jakże, wypiję. Razem z chorym, on też wypije, prawda? Proszę, proszę, można, a jakże...

Edek czuł się znacznie lepiej. Dziwował się gadaniu wesołego, pulchnego doktora.

Weszli leśniczy z Mietkiem. Mietek szybko podbiegł do jego łóżka.

— No, nareszcie, a tak się bałem o ciebie.

— Mietek, żebyś wiedział, ja chciałem następnego dnia jechać do Olsztyna — zniżył głos — tam zameldować, gdzie trzeba... — szeptał, wiedząc, że nie poradzi dłużej z tą sprawą.

— Nie myśl teraz o tym. Nie myśl. — Szczupła, blada twarz Mietka ściągnęła się jakimś grymasem. — Musisz dojść do zdrowia, a potem będziemy się zastanawiać, co i jak.

— Ja już to przemyślałem i postanowiłem...

Podniósł oczy i dostrzegł suchą, czujną twarz leśniczego. Przestraszył się, że może słyssał on słowa, które mówił Mietkowi. Ale chyba nie, leśniczy stoi spokojnie, ani mięsień mu nie drgnie. Nie słyszał...

— Daj asan pokój, kto to widział podobne cuda na traktorze wyprawiać? Gratuluję, żeś się z tego wykaraskał, ponuro to wyglądało — długa dłoń leśniczego łagodnie poklepała go po ramieniu.

Edek pomyślał, że leśniczy wcale się nie uśmiechnął. To pewnie z przejęcia, że tak chorował. Dobrze, że nie zna on tamtej sprawy, jakżeby w oczy mu spojrzął.

— No, dosyć powitań, dosyć. Dać teraz proszę choremu herbatki, a i coś do przegryzienia.

— Zaraz będzie rosół i kura.

— A pewnie, pewnie, pani Heleno, i tak ma pani tyle tego dobrego, że nikt nie zliczy, chyba lisy, jak zaczną podchodzić pod kurnik.

— A podłazi taka bestia, już dwie nam zarznął. Podkopać się chciał do kurnika. Ale to przybłąda, nie swojak, ten u nas nie kradnie — rzekł pan Gasiniec.

— Jakże to swój? To pan i lisa hoduje? Rozumiem sarnę, borsuka, ale lisa?

— Lisa się nie wyhoduje, to gorszy dzikus od wilka. Mówię o jednym, który ma norę w zagajniku za stodołą. Już trzy lata tu jest, ani jednej sztuki nie wyniósł... Za mądry na to, wykurzyłbym go w te pędy.

— To tak jak złodziej, co u najbliższych sąsiadów nigdy nie kradnie — zaśmiał się doktor, podnosząc grube cielsko z krzesła, które aż skrzypnęło z ochoty, uwolnione od ciężaru. — Na mnie pora. A chorego jeszcze proszę nie męczyć, niech śpi, i tyle. Jutro wpadnę znowu.

— Tu taka jedna panna przyjeżdża czasami, a ona może rozmawiać z chorym? — wtrącił się nagle Kulczyk, który również skorzystał z okazji, by wtargnąć do pokoju chorego.

— Panna to rzecz inna. Jeszcze gdy ładna. Ale też tego dobrego nie za wiele, nie za wiele...

I tak minęło dalsze parę dni. Doktor przyjeżdżał regularnie, rad był ze stanu chorego. Edek oczekiwał Wery, ale nie pokazała się. Raz tylko jeszcze zajrzał leśniczy; Mietek również, chociaż przychodził parę razy dziennie, miał jakąś smutną, niewyraźną minę.

Zaczął się nad tym zastanawiać. Leśniczy wyraźnie był inny niż przedtem. Chłodny, surowy i wcale się nie uśmiechał. Czyżby coś wiedział?

Wracało zdrowie, ale wracały i dawne udręki. Cóż z decyzji, kiedy nie mógł jej jeszcze wykonać, a tutaj każdy dzień, każda godzina stawały się coraz cięższe. Żeby móc prędzej wyjechać, skończyć z tym wszystkim.

Zapytał doktora, kiedy będzie mógł wstać. Grubas obiecał, że za dwa, najwyżej trzy dni. Oczywiście na trochę, tylko po domu... Trzeba być ostrożnym, organizm, przebył silny wstrząs...

Westchnął ciężko, słuchając tych słów. Tego dnia lekarz zjawił się wcześniej rano. Edek rad go przywitał, od samego zbudzenia się odczuwał bowiem dziwny niepokój, jakieś oczekiwanie nie wiedzieć czego. Wizyta doktora przerwała ten nastrój.

Leżał potem samotny przez długie godziny. Leśniczyna podawała jedzenie i wracała do rozlicznych swych zajęć gospodarskich. Mąż, jak powiedziała, wyjechał do Olsztyna, wezwany na odprawę do dyrekcji. Chłopcy wybrali się rowerami do Pizsa.

Wiadomość o wyjeździe leśniczego wpłynęła na niego jeszcze bardziej deprymująco. Próżno tłumaczył sobie, że to śmieszne wyobrazić sobie, aby pan Gasiniec miał tam trafić na ślady jego przestępstwa. Ma swoje sprawy i tyle...

Na szczycie obory spacerowała ta sama wrona, co zawsze. Nauczył się poznawać ją po wyskubanej części ogona. Z powagą rozglądała się wokół, kręciła głową. Uśmiechał się do niej.

Drzwi skrzypnęły. Spojrzał. Pewnie przewiew, musiała je leśniczyna źle zamknąć.

Ale nie, bo skrzyp się powtórzył. Potem drzwi rozwarły się nagle, pchnięte silnie. W progu stanęła sarna. Patrzyła chwilę swymi wiecznemi zdziwionymi, lśniąco-czymi oczyma, potem tupocząc kopytkami, szybko pomaszzerowała do łóżka chorego. Ucieszył się. Ostrożnie, by jej nie spłoszyć, wyciągnął rękę, pogłaskał schylony ku sobie łeb. Obejrzał się na stół, stał tam nasmarowany chleb od śniadania. Wyciągnął rękę, łamał kromkę na kawałki, podawał stworzeniu. Sarna chwyciła delikatnie chrapami i prawie nie gryząc, przetykała kęsy. Uśmiechał się do niej, ponury nastrój jakby się rozładował.

Gdy zabrakło chleba, sarna pokręciła się jeszcze trochę po pokoju, wreszcie tupocząc kopytkami wysunęła się na korytarz.

Ogarnęła go senność. Za oknami było biało, jasno, w leśniczówce ciepło i przyjemnie. Przymykał powieki, znów wyglądał zza nich szparkami. Słyszał gderanie leśniczyny na sarnę, która robi jej nieporządki, potem trzasnęły drzwi i tylko piskliwy, cienki głos Michała podniósł się w proteście, że on przecie jeszcze nie był, że tylko na chwilę. Przekonał widać panią

Helene, razem weszli do pokoju.

Edek uśmiechnął się, lubił tego chłopaka w zielonej kurtce, pyszniącego się swoim leśniczym zawodem.

Michał był speszony, nieporadnie miał czapkę w dłoniach, podszedł bliżej, uśmiechał się.

— Ja wszystko widziałem... Czekałem wtedy przy leśnej drodze, aż zawrócisz, bo myślałem że gniewasz się na mnie za tamte głupstwa, co ci gadałem. Platforma latała tylko na strony, a ta głupia wrzeszczy i jedzie prosto pod koła. Biegając sądziłem, że kawałki z ciebie tylko zostaną do zbierania w koszyk. Ale się namordowałem, zanim odciągnąłem te deski, które cię przycisnęły do kierownicy. Wparty w nią byłeś, aż na ubraniu odcisnęło się koło. A ta głupia zamiast pomagać, siadła na brzegu rowu, za głowę się trzyma i wyje... Zabrałem jej rower i w te pędy do nadleśnictwa po pomoc. Panna Wera załatwiła wszystko, bo ojca nie było w domu. Lekarza ściągnęła, razem przywieźliśmy cię tutaj... — Urwał na stanowcze i wymowne kopnięcie leśniczyny.

— Co wam tak wszystkim na gadanie się zebrało? Jak z ambony klepie jeden za drugim, gorzej, bo bez sensu... Uciekaj, Michał, a to kijem pogonię. On musi spać, ot co! — zamachnęła się ścierką.

— Jutro przyjdzie panna Wera, mówiła mi dzisiaj — zakrzyknął Michał od progu.

„I co ja będę z nią robił? Jakoś głupio tak leżeć choremu; a wszyscy skaczą dokoła, zabawiają i karmią. Diabli nadali”.

Obrócił się twarzą do ściany, szczelniej okrył pierzyną. Zасыpiając starał się jednak przywołać przed pamięć oblicze Wery... Ciągle jednak przesłaniała je ponura twarz pana Gasinca.

Twarz ta wychyłała znów nagle zza lampy naftowej, wraz ze skrzypem drzwi pojawiającej się w progu. Edek potrząsnął głową, pewien, że to sen jeszcze. Ale nie, rysy leśniczego oświetlane od dołu przez trzymaną przy piersiach lampę nabrały teraz srogości, straszły.

— Pan leśniczy — wyjąkał.

— Daj asan pokój, cóżeś tak się wystraszył?

Z chwilą gdy lampa stanęła na stole i odbiegły resztki snu, leśniczy stał się taki jak zwykle.

Chwilę stał, potem przysunął sobie krzesło bliżej do łóżka, usiadł ciężko. I wciąż patrzył, aż Edek zaczął się mieszać pod tym wejrzeniem, nie wiedząc, co ma oznaczać.

— Zmęczony człowiek po takiej podróży. Dobrze, że doktor odwiózł mnie swym samochodem, w województwie spotkaliśmy się. A tobym tłukł się do rana koleją... Ciasny, nieciekawo ten wasz Olsztyn, nie ma to jak w lesie, nieprawdaż?

Przytaknął skinieniem głowy. Ogarnął go dziwny lęk. Czego on może chcieć? Zadawał sobie to pytanie i nie znajdował odpowiedzi. Bo leśniczy chce czegoś, to wyraźne. Patrzy tak dziwnie, wyczekująco. Wie o wszystkim, na pewno! Może wygonić zaraz z domu i będzie spokój...

Ale pan Gasiniec zapatrzył się w okno, wsłuchał w dochodzące z podwórza szmery.

— Odwilż idzie, zaczyna już pokapywać z dachu... Tak, i teraz dopiero zima nadejdzie. A co się wywiozło opałówki, to wywiozło. Mam dla ciebie pieniądze, ładną normę wyrobiłeś, aż się nie mogli w rejonie nadziwić... Tak, odwilż. — I znów wbił w chorego swój wzrok. Brwi jego drgały nerwowo.

— A co z traktorem?

— Już lata po szosie, nic się nie stało, przyczepa trochę strzaskana, poprawili... — Spojrzał na drzwi, przysunął się z krzesłem jeszcze bliżej. — Ot, jest trochę czasu. Stara nie myślała, że dzisiaj wrócę, to i kolacja niegotowa. Mietek uczy się na górze, a Kulczyk papier po swojemu marnuje. Myślę zajrzę do ciebie, pogadamy trochę, prawda?

— Tak.

W ciszy, jaka nastąpiła wyraźnie, słyszalne było skapywanie dużych, tłustych kropeł. Leśniczy uśmiechnął się lekko. Edek drgnął. Nie pojmował tego człowieka. Czego on chce, czego on chce?

— Coś ty, chłopcze, zamartwiał się tak przez ostatni czas? To niedobrze. I Mietek też coś skrywał przede mną. To niedobrze. Czasem warto się starszych poradzić.

— Tak — szepnął udreńczonym głosem.

— Jakeście przyjechali, gadał Mietek, żeś asan narozrabiał sporo w Olsztynie. Chuliganieś podobno?

— Tak.

Głupio mu było z tym potakiwaniem. Ale co miał mówić? Zwierzać się, spowiadać? Po co? Nie miał na to najmniejszej ochoty. Ale przy takim kazaniu długo też nie wyleży. Zerwie się z łóżka i poleci na tę odwilż, pal sześć, byle nie słuchać dłużej.

— Jak tylko wstanę, chcę wyjechać z powrotem. Do Olsztyna — rzekł zdeterminowany.

— Daj asan pokój, a cóż to, wieś nie służy?

— Nie — rzekł ze złością.

Zauważył, że leśniczy posmutniał nagle. Potem podniósł się trochę, wyciągnął z bocznej kieszeni kurtki plik gazet, podkręcił lampę, płomień zapełgał mocniej. Pan Gasiniec uparcie szukał czegoś w gazetach.

Edek już wiedział. Najpewniej jest tam wiadomość o śmierci Krasawczyka. Leśniczy zna całą sprawę. Mietek wypaplał, a on specjalnie wyszukał w Olsztynie ten numer gazety, kto wie, może już zameldował milicji i każdej chwili pojawią się, aby go aresztować.

Ta myśl wywołała w nim bunt. Jeżeli tak, to co innego! On się nie da ująć jak ryba w saku. Chciał sam się zgłosić, jego rzecz. Ale wsypyany będzie się bronił. Jeszcze dzisiaj w nocy ucieknie, choćby pięściami miał sobie torować drogę. Odezwał się nagle z ironią, aż pan Gasiniec drgnął na jakiś obcy, nie znany ton w jego głosie.

— Niech pan nie szuka. Tam pewnie o Krasawczyku mowa, tak?

Przez chwilę, czekając na odpowiedź, łudził się jeszcze, że może jednak nie to, może coś zupełnie innego. Potakująca odpowiedź leśniczego dopełniła miary.

— Tak, o Krasawczyku. I nie tylko o nim. Dziwisz się, że mnie to interesuje?

— Bo co? — rzucił zaczepnie.

— Bo nic. Oto jest. Przeczytaj sobie, a potem skoro byś miał ochotę, możemy pogadać... — Podał mu numer „Głosu Olsztyńskiego” z obwiedzioną w nim czerwonym ołówkiem notatką. Lampę przysunął do brzegu stołu, aby Edek mógł lepiej widzieć. Sam przeglądał ilustrowane pismo.

Litery skakały mu przed oczyma. Wiedział, że ta notatka zadecyduje o jego losie. Przytknął na chwilę powieki, skupił się, czytał uważnie. Pod tytułem: „Kiedy wreszcie spokój zapanuje na ulicach Olsztyna?” grubą, tłustą czcionką wybita była w kronice miejscowej ta informacja.

„Przed paru dniami opodal Bramy Piastowskiej miała miejsce nowa rozprawa pomiędzy miejscowymi elementami awanturniczymi.

Spór o dziewczynę doprowadził do walki dwóch band chuligańskich. Bójka przerwana została dopiero na interwencję milicji. Jeden z uczestników awantury, znany w świecie przestępczym Olsztyna pod mianem Krasawczyka, na skutek uderzenia żelazną rurą stracił przytomność. Zabranym przez pogotowie po dwóch dniach opuścił szpital. Na miejscu zajścia zatrzymano też jedną dziewczynę. Obydwoje odpowiadać będą przed kolegium orzekającym. Pozostali uczestnicy awantury zbiegli, dochodzenia zaś milicji w tej sprawie utrudnione są faktem, iż ani wspomniany Krasawczyk, ani dziewczyna nie chcą podać ich nazwisk, tłumacząc, że nie znają pozostałych chuliganów”.

Ręka z gazetą opadła na pierzynę. Boże, Krasawczyk żyje! Niepotrzebnie tak się ma-

rtwił i trapił. Żyje... W tej chwili poczuł do Krasawczyka coś w rodzaju wdzięczności. Dyszał ciężko. Takie przeżycie. Więc nie grozi mu już więzienie, nie będzie miał wiecznych wyrzutów sumienia, że zabił człowieka...

Spojrzał jeszcze na datę. 19 listopada. A bójka miała miejsce piętnastego... Widocznie numer nie dotarł do leśniczówki, szukał przecież w tych pierwszych dniach wzmianki o awanturze...

Nie mógł pohamować serca, które łomotało teraz tak głupio, jakby chciało wyskoczyć. Wraz z narastaniem uczucia wielkiego spokoju ogarniał Edka coraz przemożniejszy wstyd. Za to zachowanie w stosunku do leśniczego sprzed paru minut, za nieufność i wrogość w stosunku do człowieka, który mu przyniósł taką nowinę.

— Przepraszam — wyszeptał.

Leśniczy drgnął, ale nie odwrócił się. Powtórzył więc:

— Przepraszam pana.

— Za co?

— Że byłem tak gburowaty, że...

Leśniczy machnął ręką.

Edek znów milczał długo. Zmagał się z tym wstydem, chciał nawiązać do propozycji rozmowy i znowu rozmawiać i ciągle nie mógł się przemóc.

— Proszę pana... — pauza, długa pauza. — Proszę pana, ja bym chciał tę rozmowę... co to pan mówił...

Leśniczy wraz z krzesłem przysunął się w jego stronę.

— Dobrze. Cóż byś powiedział? Rad jesteś z tego?

— Strasznie rad... Boże, ja tak się bałem, że go zabiłem. Chciałem jechać i zgłosić się sam. Nie mogłem wytrzymać. I Mietek tak się truł, nie wiedział, jak wybrnąć, bo sądził, że jestem mordercą.

Zastanowił się. Oczy mu zabłyśły zaciekawieniem.

— A skąd pan wiedział? Czy pan wszystko wiedział? Poprawiając spoczone, lepiące się włosy, nie spuszczał oczu z twarzy pana Gasińca.

— Mietek, jak sam mówisz, nie mógł już sobie poradzić. Obserwowałem go, bojąc się o chłopca... Do głowy mi nic takiego nie przyszło. Dopiero w czasie twojej choroby, pierwszej nocy jeszcze, siedziałem w tym samym miejscu, zacząłem się czegoś domyślać. Krzyczałeś coś o jakimś Krasawczyku, potem że nie chciałeś zabić, jeszcze coś... Wtedy wręcz zapytałem Mietka. Opowiedział, radził się, co ma robić...

— A pan? Pan co mu poradził?

— Czekać przede wszystkim, aż minie kryzys choroby. To było najważniejsze.

— A potem?

— Potem sprawdzić, jak się sprawa przedstawia. Głównie dlatego wyjechałem dziś do Olsztyna. Gotów byłem tam siedzieć choćby tydzień. Mam tu i ówdzie znajomych, wywahałbym, jak z tym Krasawczykiem...

Edek skulił się, zacisnął ręce.

— A gdyby on nie żył? Gdyby okazało się, że ja go jednak zabiłem? Wydałby mnie pan w ręce milicji albo kazał Mietkowi to zrobić, prawda? Musiałby pan tak zrobić...

Leśniczy uśmiechnął się smutno, przecząco potrząsnął głową. Duże, szerokie brwi jego zadrgały mocniej.

— Nie, tego bym nie zrobił.

Oczy Edka rozszerzyły się niepomiernym zdumieniem. Jakby nie wierząc własnym uszom, pytająco spojrzął na pana Gasińca.

— Więc kryłby pan mordercę? I tylko wyrzuciłby mnie pan z domu?

— Ani jedno, ani drugie.

Edek nic nie rozumiał.



Knot w lampce pokrył się nalotem sadzy. Leśniczy ostrożnie zdjął szkło i scyzorykiem obciął zwęgloną część. Światło zapełgało jaśniej, pogodniej.

— Więc co by pan zrobił? Musiałby pan przecież coś zrobić. Nie mógłby pan zostawić sprawy w spokoju — napierał Edek, siadając z emocji na łóżku.

— Ty byś się zgłosił sam. To było jedyne wyjście.

— Prawda. Tak chciałem zrobić... Ale czasem miałem i inne zamiary, chciałem uciekać dalej, może za granicę. Niełatwo decydowałem się na obwinienie samego siebie, skazanie się na lata więzienia... Przecież ja byłem prawie pewien, że Krasawczyk nie żyje.

Leśniczy położył mu na ramieniu swoją wysmukłą dłoń.

— Widzisz, ja przyglądałem się tobie... Zbyt wiele miałeś w sobie uczciwości, by upaść aż tak nisko, przestraszyć się odpowiedzialności za swój czyn, jaki by on nie był... No cóż, gdyby rzecz wyglądała inaczej, porozmawiałbym z tobą, wskazał ci drogę. To samo powiedziałem Mietkowi.

— I on też wierzył we mnie?

— On wierzył cały czas. Dlatego mu było tak ciężko, nie umiał sobie poradzić, szarpał się, marniał. Pamiętasz, jak cię pytałem, co się stało z moim synem?

— I tak był pan pewien? — cicho, ledwo słyszalnym szeptem powtórzył wzruszony Edek.

— Pewien, mój chłopcze. Przez lata poznało się trochę ludzi.

Wstał, podszedł do drzwi i otwierając je na rozcież, zawołał:

— Matka, dawaj kolację, głodni jesteśmy.

W tej samej chwili zatupotały szybkie kroki Mietka, który wpadając do pokoju, mocno ucisnął przyjaciela za szyję.

— Widzisz, że wszystko dobrze, widzisz!

— Co się tu dzieje? Co ty z nim, Mietek, wyprawiasz?

W drzwiach stanął Kulczyk, spoglądał po nich zdziwionymi, dużymi oczyma.

— Cieszymy się, że Edek przyszedł wreszcie do zdrowia — uratował sytuację leśniczy, stawiając zarazem na stole butelkę wina.

— O, to lubię! — z uznaniem przytwierdził temu czynowi kudłaty Kulczyk.

## 7. DZIEWCZĘTA ZZA RZEKI

Dobrze przepowiadał leśniczy. Dopiero teraz zagościła zima już na dobre. Jezioro sta-nęło. Jasna, przezroczysta warstwa szkliva jak okiem sięgnąć zalegała wody Pogubia Wielkiego. Chłopcy, gdy zbiegli ścieżką na przystań, stanęli zdumieni widokiem, jaki ujrzeli w skrzącym się słońcu.

Ostrożnie, ale z zapalem kilkunastoletnich pędraków wchodzili na zastygłą powierzchnię, podskakiwali próbując jej mocy, posuwali się coraz dalej. Zaczerwienieni, rozradowani wracali ku brzegom, ślizgając się na obcasach, jak za tych dawnych, najmilszych lat.

— Do GS-u przywieźli wczoraj łyżwy. Po siedemdziesiąt złotych — z brzegu wołał do nich Michał, zabijając po chłopsku dłonie, zmarzł bowiem, przebijając się z Pizsa rowerem przez śnieg. — Dziesięć stopni. Łód gruby. Będziemy ganiać aż na rzeczkę i Małe Pogubie.

— Ja mam łyżwy, a ty, Klem, jeździsz? Bo Edek to tak, pamiętam dobrze.

— Tylko tutaj nudno będzie się ślizgać. W Olsztynie zawsze przychodzą na lód dziewczęta — Kulczyk potrząsał swą skołtunioną czupryną.

— Nie bój się, i tu ich starczy... Po tamtej stronie jeziora z wioski sporo wychodzi na lód.

— Daleko. Jeziołem chyba ze cztery kilochy, co?

— Tak się pogna, że nie zauważysz. Edek, daj Michałowi miarę, kupi ci łyżwy w GS-ie, dobra?

Nie zwlekając, zwalili go na ziemię, odmierzili patykiem długość obuwia.

— Michał, tylko nie zapomnij o blaszkach... Wiara, walimy jutro na okonie. To będzie ochota.

Mietek był najhałaśliwszy. Najbardziej z nich wszystkich dokazywał. Od wyjaśnienia ponurej sprawy Zaleskiego zmienił się nie do poznania. Mówił, że i nauka lepiej mu idzie, miał czas na rozmówki, płatał psikusy, szczególnie Kulczykowi, który znosił je ze stoicką flegmą. Edka zresztą oszczędzał, ten bowiem po przebytej chorobie ciągle jeszcze musiał uważać na siebie.

— No, wracamy do domu, tam pewnie czeka na Edka jakaś nowa dziewczyna. Ten ma dopiero szczęście... — Palnął go dłonią przez plecy, aż echo poszło.

— I co te baby w nim widzą? — zupełnie poważnie zastanowił się Klem, lustrując wzrokiem postać Zaleskiego.

— Dajcie mi spokój. Cholera z nimi, z żadną więcej gadać nie będę.

— Kiedy ona niebrzydka, wcale, wcale...

— O której mówisz?

— Patrzenie, zainteresował się jednak. A jak wolisz? Może być Wera, może być ta Mazurka. Tak na ciebie patrzyła wczoraj, iż myślałem, że zaraz modlić się będzie jak do obrazka.

— Pieska niebieska, siadam jutro na traktor i będę na szosie polował na dziewczyny jadące rowerem. Inaczej niczego człowiek się nie dochrapie.

— Przecież ty, Klem, nawet prowadzić motoru nie umiesz.

— Tym łatwiej będzie mi wlecieć do rowu.

Edek śmiał się razem z nimi, ale czuł się zarazem i trochę zażenowany. Szczególnie tą wczorajszą wizytą. A jakże, uroczyście przyszła, z ojcem i matką, by podziękować za uratowanie życia i przeprosić, że z jej winy zdarzyło się to nieszczęście z traktorem... Połowy nie pojął, o co im chodziło, raz, że starzy gadali gwarą, a już odzwyczaił się od niej, gdy przestał przebywać z Mazurami na przerąbie, dwa, że speszył się tak, iż nawet dziewczyny nie pojmował, choć mówiła całkiem poprawnie. A jeszcze jak mu ofiarowali tę domowej roboty narzutę i spasionego, wielkiego indyka w koszu. Nie chciał przyjąć daru, ale leśniczyna podszeptała, że zrobiłby przykrość tym miłym ludziom z Karwicy. Wtedy zgłupiał do reszty. Inna sprawa, że dziewczyna była naprawdę ładna i zgrabna. Widział, jak wygapił się na nią Kulczyk, a ten, było nie było, zna się trochę na babkach...

W ogóle diabli wiedzą, czemu im wszystkim zachciało się rozdymać tę zwykłą w końcu historię. Nawet niegłupi przecież chłop ten stary Macura, a też przyszedł wieszować i patrzył na niego jak kot na szperkę. Podobno poszło to szeroko po wioskach w okolicy, jednało mu szczególnie mir wśród Mazurów. Jakby to on wybierał, Mazurka czy repatriantka albo inny jakowyś diabeł...

Drapali się teraz pod górkę, na której wznosiły się budynki leśniczówki. Minęły ich z krzykiem dzieciaki Miętusa, robotnika leśnego, żonatego z siostrą Pawełka. Im też pachniał gładki lód na jeziorze.

Edek zasapał się. Słaby był po dwutygodniowym leżeniu w łóżku. Z każdym jednak dniem wracały mu siły. Nie bardzo tylko chciał się zgodzić z warunkiem doktora, że przez miesiąc co najmniej nie powinien przystępować do pracy. Kto, wie, może w Pizzu jest teraz wolne miejsce?

— Słuchaj, czemuś ty tak obszedł się z Werą? Przecież ona bardzo się troskała o ciebie. Przyjeżdżała parę razy, gdy leżałeś bez przytomności — ciszej, korzystając z tego, że Michał z Kulczykiem szli daleko za nimi, zapytał go Mietek.

— Bo ona także dziwaczy. A w ogóle dosyć mam bab, przejadły mi się w Olsztynie. Chcę mieć spokój i tyle.

Powiedział to ostro, gburowato, pragnąc, aby Mietek odczepił się wreszcie z tymi dziewczynami. Naprawdę jednak, to było mu trochę przykro. Nieładnie ją potraktował, ale tak jakoś wyszło. Może zresztą i dobrze, ładna, miła z tą swoją niewyparzoną buzią, jeszcze by zaczął za nią łązić...

Tak, było to przedwczoraj. Pamiętał dobrze.

Korzystając z okazji, przyjechała sankami Miętusa, szwagra Pawełka. Na progu leśniczówki natknęła się na Edka, gdy z kromką chleba wychodził na poszukiwanie sarny, do której przywiązał się w czasie choroby. Widząc dziewczynę uczuł, że się rumieni, bo co tu gadać, czekał na jej odwiedzin.

— O, powitanie z chlebem, ale chyba nie z solą!?! — zaśmiała się.

— Dla sarny niosę, chce pani zobaczyć?

— Jeżeli nic ciekawszego nie ma pan do pokazania, to chętnie.

Sarny jednak nie znaleźli. Musiała odbiec w gąszcz zagajników. Wracali w dobrej komitywie, gaworząc jak starzy znajomi. Podobała mu się w sportowym stroju. Na tle ciemnego dresu przyjemnie rysowała się mała jej główka z krótko ściętymi jasnymi lokami. Zadarty nosek prychnął czasem jak u rozkapryszonej kotki leśniczyny.

— Dobrze pani w tym stroju — powiedział.

Zatrzymała się zaskoczona.

— Zwrócił pan uwagę? Nie spodziewałam się tego po sławnym bohaterze bezkresów naszej puszczy...

— Niech pani da spokój.

— Skądże! Mało, a pieśni zaczną śpiewać o panu po wioskach, jak o klasycznym heroście.

— Panno Wero, siebie chyba nie zaliczy pani do tych pieśniarek?

— Oczywiście, że tak! Inaczej nie przyjeżdżałabym tutaj pięć razy, jak to pan ostatnio wyliczył. — Zarumieniła się. Nie mogła mu darować, gdy przy poprzednim spotkaniu wymienił jej zasłyszaną od pani Heleny liczbę odwiedzin.

Skrzywił się, przepuścił ją przed sobą do gabinetu leśniczego. Mietek z Kulczykiem grali tam w szachy. Poeta poderwał się z miejsca, zakpił:

— Dobra wróżka przyjechała. I znów nie dla mnie...

— Przestańcie, do cholery... — prawie krzyknął rozeźlony już nie na żarty Edek.

Prychnęła, odwróciła się do niego.

— Śmieszny pan ze swymi humorami. Rzeczywiście, bohater z obrazka!

— Głupia koza! — wybuchnął, wychodząc z gabinetu.

Ucichło, spojrzeli za nim zdumieni. Chłopcom było przykro.

Wera zbladła, ale nie powiedziała słowa. Po paru minutach opuściła leśniczówkę. Klema, który ofiarował się, że ją odprowadzi, odprawiła ostro.

Edkowi było wstyd za swe zachowanie. Przecież nie zrobiła nic złego. Miała już taką kpiarską naturę, a że osadziła go trochę za głupie pokrzyki, to nie bez racji. Wytrąciła go z równowagi ta sprawa z Krasawczykiem.

„Wlecze się to za mną jak nieszczęście”, myślał teraz, człapiąc obok Mietka na górkę.

— Słuchaj — rzekł nagle. — Pytałeś o Werę. Bo widzisz, ja się ciągle jeszcze nie mogę otrząsnąć. Pamiętaj, że przeżyłem uczucia zabójcy, choć nieumyślnego, ale mordercy... Ciągle mi się zdaje, że to nie jest skończone, że będzie się wlokło za mną, wyskakiwało niespodziewanie, jak z tą dziewczyną, licho wie co. Rozkleiłem się...

Mówił szeptem, nie chcąc, by słyszała go para idąca za nimi.

Mietek zachnął się.

— Daj spokój. Koniec i kropka. Co się jeszcze ma stać? Skończone i nie wróci. Po chorobie osłabieś, stąd ostrzej reagujesz na każdy drobiazg.

— Może... ale mam jakieś niedobre przeczucia.

Wbrew woli Mietek zaczął się śmiać.

— Wiesz, wszystko bym łączył ze sobą, ale nie ciebie z przecuciami. Daj spokój, bracie!

Leśniczy już w progu przywitał ich rozradowaną twarzą. Wymachiwał jakimś skrawkiem papieru.

— No, nareszcie mam talon na motor. Od jutra można naszą WFM-kę odbierać.

Mietek z uciechy aż w dłonie zaklaskał, w końcu zaś, jakby i tego było mało, wywinął potężnego kozła na śniegu. Wystraszył tym Rexa, który podkulił ogon, zmykając w bezpieczny kąt podwórza.

— Jutro jedziemy po odbiór! Edek, nauczysz mnie prowadzić?

— Wszyscy nie pojedziemy, bo po co? Poproszę Edka i razem machniemy się do Pizsa sankami... Ja i tak mam odprawę w okręgu, zostanę dłużej, on zaś wypróbuje, jak gra motorek. Tylko czy pociągnie na śniegu? Szosa jeszcze nic, ale ten kawał lasami do nas?

Mietek łatwo rezygnował.

— No trudno, to teraz, Klem, galopem do nauki, pokujemy ze dwie godziny, a zaraz po obiedzie zrobimy sobie maleńki kulig. Tato da nam konia, dobrze? Przez jezioro chyba już można?

— Lepiej ostrożnie. Niech potrzyzyma mróz parę dni, lód pogrubieje. A konia bierzcie. Mam dziś robotę przy nasionach, kobiety poknociły, źle przesuszone niektóre, żołądź i bukiew też trzeba przesuflować. No, Michał, idziemy...

Klemens, który miał dobrze ułożone w głowie, gorliwie pomagał młodemu Gasińcowi w przygotowaniach maturalnych. Rad zresztą był z tego, w jakiś sposób bowiem usprawiedliwiało to jego pobyt w Sumach. Każdej zaś wolnej chwili coś pisał, mordując się przy tym w straszliwy sposób. Nieraz do późna w noc słyhać było z gabinetu, który okupował sobie na spanie, a właściwie na pracę, jak godzinami pęta się z kąta w kąt, mruczy do siebie, z hałasem odsuwa krzesło, na koniec zaś z pasją drze papiery na drobne strzępy.

Edek nudził się w czasie nauki tamtej pary. Leśniczy bezwzględnie zakazał mu jakiegokolwiek pracy.

Wałęsał się po gospodarstwie, baraszkuje z psami i sarną, czytał gazetę od deski do deski, z nudów zaglądał czasem do książki. Od czasu gdy dręcząca go sprawa olsztyńska znalazła wyjaśnienie, po trochu już tęsknić zaczynał do bujnego życia ostatnich dwu lat. Tam się zawsze coś działo, były jakieś emocje, przeżycia, choćby już nawet i wódka w ostateczności.

Na myśl o solidnym kieliszku czystej przesunął językiem po wargach.

— Ech — westchnął, układając się z braku innego zajęcia do krótkiej drzemki.

Wyrwał go z niej dopiero Mietek, wołając na obiad.

Wypasiony koń leśniczego ochoczo przestępował przy saniach z nogi na nogę. Usadowili się wygodnie w obfitej słomie, przykryli kozuchami.

— Jazda!

Droga biegła wzdłuż linii młodniaka, naprzeciw miejsca jesiennych rębówisk, potem wwijąca się krętą linią w stary, stuletni las sosnowy, jak szuba podbity gęstwą młodej świerczyny, którą zasiały tu wiatry, niosąc nasiona z innych połaci puszczańskich. Sypki śnieg, świeży, który nie zdążył jeszcze zmienić się w twardą skorupę, zalegał małymi kupkami na rozłożystych, wyciągniętych na strony konarach. Jasnobrazowa, aż w czerwień miejscami przechodząca barwa złuskanych pni współgrała z łagodną zielenią szpilek.

Z łoskotem wypadł nagle na drogę piękny rogacz, przystanął, przeraził się zrywu dzwońków u szyi końskiej, lawiną runął w gęstwą świerkowego poszycia, tylko śnieg mu buchnął chmurą spod nóg.

— Pycha rogacz! — zacudował się Mietek i cmoknął na konia, rozbijającego kopytami zwały śniegowe, aż się sypał na sanie, na kozuchy i wystające z nich rumiane od chłodu twarze.

— Śliczny, wiele w nim i wdzięku, i siły.

Edek zaśmiał się na ten naiwny trochę zachwyt Klemensa.

— Pan poeta, pan poeta! A tymczasem mięcho przeszło przez drogę i tyle.

— Cynik — sapnął Klem oburzony w swoich odczuciach estety i zaraz prozaicznie zaczął trzeć uszy, z zasady bowiem nawet zimą nie okrywał niczym swojej skołtunionej, wichrowatej czupryny.

— Dobra, ale dokąd jedziemy? Proponuję do wioski na drugiej stronie jeziora, a właściwie nad rzeczka. Mam tam znajome nauczycielki, tylko, Klem nie zakochaj się od razu, bo na piechotę to do nich niezły kawałek drogi.

— Ech, przecie wiesz, gdzie mnie dziś do kochania...

Zdziwił się, gdy pozostała dwójka mało sań nie wywróciła w napadzie śmiechu.

— Ja je też znam. Ta Mazurka ładniejsza.

— O, Edek, kiedyś ty zdążył?

— Czy to tak trudno? Paweł mi je przedstawił, wiesz, wtedy, jak oberwałem od kłusownika...

Miejscami koń zwalniał, z trudem przekopując się przez wielkie zwały śniegu.

Mietek świetnie radził sobie z drogą, gnając przez las, tak gęsty chwilami, że aż zwierający się gałęziami świerków nad ich głowami. Kulili się wtedy pod kozuchami, bo pęd zrzucił na nich olbrzymie czapy śniegowe, niecąc dokoła srebrzysty pył.

— Ej, Mietek, ale czy zdążymy wrócić za dnia? Nocą pobłądzisz...

— Klem, patrz lepiej dokoła, żebyś potem miał czym ożywiać natchnienie. Hajże, hajże...

Coraz częściej mieszała się teraz w drzewostan brzoza, czarne i ponure rozrastały się olsze. Spłynęli łagodnym spadem na otwartą płaszczyznę.

— Nasze jezioro, stąd dopiero widać, jak duże... Ten skrawek przetniemy lodem. Tu już na pewno mocny. Brzegiem trzeba by daleko okrążyć, aż po most na rzeczce. A Klem ma rację, lepiej wrócić za dnia...

Nim zdążyli coś powiedzieć, wpadł już w szerokie pasmo trzciny i sitowia. Zaszumiało, zachrząściło, furknęły przerażone maleńkie jakieś ptaszki, koń począł gwałtownie hamować, ślizgając się na gładkim lodzie.

I woźnicę lęk jakiś musiał ogarnąć, bo sam ścigał lejce, aż koń przeszedł w stępa. Wtedy Mietek przechylił się, bacznie obserwował połyskującą, gładką płaszczyznę, nasłuchiwał, czy się nie odezwie znajome tapanie. Obejrzał się na swoich. Siedzieli dziwnie spokojnie i cicho, jakby w oczekiwaniu. Ich lęk przywrócił mu odwagę.

— Hajda!

Koń zerwał lekkim truchcikiem. Obok nich, z prawa, szeleściły trzciny, jakby jakaś orkiestra grała nową, cichą melodię.

— Rzeczka. Pamiętasz, Klem, jakie tu wzdręgi brały przy wlocie? A i szczupak niezły się trafiał...

— Mocniej w lewo, w lewo — zawołał Kulczyk, a w głosie jego zabrzmiał wyraźny niepokój.

Skręcili ostro, aż koń się pośliznął. Mietek wytrzeszczył oczy.

— Co ci? — zapytał wreszcie.

— Wydało mi się, że lód w tym miejscu jest słabszy. Widzisz, dno bardziej wyraźne.

— Bo płycej... Patrzcie, jak wszystko widać. Wieleż tu gałęzi i śmiecia. Nie dziw, że tak często ma się zaczepy. Sam ze dwie błyszczki posiałem w tym miejscu.

— Ryby jakież, o tam!

— Okonie, sporo ich, ale uciekają, muszą nas dobrze widzieć. Przyjedziemy tutaj na połów — odwrócił się do swych pasażerów. — Ale masz. Edek, dobry wzrok... O... — urwał, wsłuchał się w ostre, suche trzaski, idące po lodzie. Lekko, ale stanowczo skierował sanie

bardziej ku środkowi jeziora.

— Co to?

— Widzicie, jakie rysy powstają? Czy się nie zarwiemy? — Edek na wszelki wypadek rozchyłał poły kozucha.

Mietek nie odpowiadał. Zobaczyli, że przybłądł i tylko mocno zaciskał wargi. Trzaski szły seriami, posuwały się wraz z nimi, w lodzie rysowały się białe, jak nożem cięte, krechy pęknięć...

— Nie więcej jak piętnaście centymetrów. Czy to utrzyma? No, Mietek, gadaj coś.

Dopiero gdy wjechali znowu na grubszą powłokę lodową, obrócił się do nich.

— Raczej nie spodziewałem się, ale mogło się zarwać... Klem miał rację, że tutaj, gdzie rzeczka wypływa, lód jest cieńszy. Prąd dłużej nie zezwalał na zamarnięcie. Z powrotem albo machniemy się środkiem, albo w ogóle okrążymy jezioro.

— To już lepiej okrążyć. O tej porze nigdy się jeszcze nie kapałem. Ale z ciebie mądrała, tak ryzykować.

— Może jeszcze opowiesz wszystkim, jaki ten Mietek głupi? — obejrzał się na kolegę gniewnymi oczyma.

Edek miał tyle poczucia humoru, żeby się zaśmiać. Uznał, że w sprawach związanych z jeziorem nie można zaprzeczać kompetencjom Mietka, bo się urazi, tak jak wtedy z tym pechowym szczupakiem.

Ani się obejrżeli, jak przez zamarnięte teraz torfowisko, pomiędzy kępami, czerwieniącymi gdzieniegdzie główkami żurawin, wydostali się znów na drogę i pole, przy którym, wzdłuż rzeczki, rozłożyła się spora wieś.

— Prawdziwa pustelnia, w lasach, na krańcu świata — dziwował się Edek.

Kilkadziesiąt chat tuliło się do mizernych sadków, zbiegających prawie do samej rzeczki. Z pagórka zjeżdżała na sankach dzieciarnia. Niosąca jakiś worek starsza kobieta przystanąła ustępując saniom drogi, wymamrotała pozdrowienie.

— To tutaj przecież musi mieszkać Macura?

— A tak, tylko nie wiem, w którym domu... Tam, przy końcu, widzicie, jest leśniczówka. Ale takiej bym nie chciał, przy wiosce jakoś inaczej, nie to samo, co w Sumach, prawda? A zaraz mamy szkołę, ten wyższy domek... One mieszkają na salce, te małe okienka... Czekać, przywitam je...

Aż koń, tuląc uszy, zerwał się do gwałtownego biegu, tak ostro Mietek zatrząskał z bata. Dzieciaki powybiegały na podwórza. Brzęczenie dzwoneczków zwabiło do okna salki także i twarz dziewczęcą. Mietek przywitał ją wymachiwaniem dłoni. Jakby we własnym obejściu, zeskoczył teraz, mocował się z bramą, wyrzucał z sań towarzyszy. Na podwórzu przykrył parującego konia derką, założył mu na szyję worek z owsem, wtedy dopiero pomaszerował ku oczekującej już na nich dziewczynie w narzuconym na ramiona paletku.

— Witaj, Zocha! Mam dobre serce, więc pomyślałem o was, że musicie się nudzić, zabrałem kumpli i jesteśmy.

— Mało nas nie potopił przy tej okazji — burczał Klemens, który wciąż jeszcze nie mógł ochłonać z lęku, w jaki wprowadził go trzask pękającego lodu u wylotu rzeczki...

— Co tam gadasz... — zbył go Mietek machnięciem dłoni. — Patrz lepiej, przed kim stoisz. A gdzie Truda? — pytał rozglądając się wokoło.

— Jest, jest. No, chodźcie na górę. My się przecież znamy? — podając rękę, przyjrzała się Edkowi.

— A jakże, z Pizaa... Mówiła pani, że się spotkamy, bo Sumy niedaleko, więc jesteśmy w tej zagubionej wiosce...

— Patrz, żebyś serca nie zgubił — zamruczał zadowolony z siebie Mietek.

Klem wysforował się przed kolegów, by idąc schodami w ślad za nauczycielką, móc przyjrzeć się przy okazji jej nogom. Musiał je widocznie wysoko ocenić, bo aż szturchnął

Edka z uznaniem.

Truda biła Zochę urodą, choć i tamtej nie można było odmówić wdzięku. Klemens na widok przyjaznym uśmiechem witającej ich dziewczyny aż stęknął z zachwytu, a potem gapiąc się mocno nieprzystojnie, kręcił tylko przez długi czas głową. Wreszcie Mietek trzepnął go solidnie po karku:

— Pamiętaj, wszak masz złamane serce...

Urażony w swoim uczuciu poeta wyprostował się godnie, zatrząsł czupryną.

— Proszę cię, bądź łaskaw nie rozdrapywać moich bolesnych zranień.

Dziewczyny patrzyły na nich nie rozumiejącymi nic oczyma. Truda wzruszyła ramionami, po czym, zapalając maszynkę spirytusową, zwróciła się do Edka:

— Tyle się u nas mówi ostatnio o panu... To było bardzo szlachetne, przecież o włos, a byłby przypłacił pan swoją odwagę życiem...

Mietek i Klemens wybuchnęli śmiechem. Długo nie mogli się uspokoić. Edek spoglądał na nich koso, speszył się, miał głupią minę, co ich pobudzało do jeszcze większej radości.

Młode gospodynie spojrzały po sobie, wreszcie i one zaczęły śmiać się z zachowania swych gości.

Pierwszy opamiętał się Mietek.

— Bo widzisz, Truda, bo to jest tak, Zocha, że my dokuczaliśmy dzisiaj Edkowi, iż został bohaterem wszystkich dziewcząt w okolicy, tych ładnych — skłonił się w ich stronę — że czeka go jeszcze cała seria podziwów i podziękowań z ich strony. A jego to złości... Tymczasem, masz babo placek, i wy od razu z tym wyjeżdżacie... Cha cha cha!

— Dajcie już spokój. — Edek był wściekły. Gdyby nie to, że obraziłby tym Bogu ducha winne dziewczyny, najchętniej nacisnąłby czapkę na uszy i zawrócił tam, skąd przyjechał.

— Bardzo pana przepraszam, jeśli uraziłam. — Truda dotknęła łagodnie jego ramienia.

— Ależ za co, to te diabły, cóż pani — bąkał.

— Ojej, herbata wykipi — poskoczyła ku dygocącemu czajnikowi.

Przy gorącej herbacie Edek udobruchał się. Przyjemnie było u tych dziewcząt, spokojnie jakoś i kolorowo. Niewielki pokój urządziły skromnie, ale barwnie, ze smakiem. Ciepło szło od kaflowego pieca, rozmowa kleiła się, coraz to wybuchał śmiech. Przodowała w nim Zocha, czupurna, z końskim ogonem ciemnych włosów.

— Bardzo to ładnie z waszej strony, że przypomniaлиście sobie o nas. Trochę tu głucho, a zimą do Piszki daleko. Latem rowerem to raz dwa się dopcha, ale po tych śniegach... Zresztą i niebezpiecznie. Mówią, że się wilki pokazały.

— Ech, wilki — Klem pogardliwie wydał wargi.

— Ojciec nie wspominał. Widocznie nie w jego rewirze.

Zocha zwróciła się teraz bezpośrednio do Kulczyka:

— Pan to pięknie określił w tym swoim wierszu, zaraz... „I w ciszy zrodzona pieśń — tęsknota, kolorowych snów marzenie...” — tak, prawda?

Myśleli w pierwszej chwili, że z Klemem stało się coś niedobrego. Aż podniósł się z krzesła, na którym siedział w wygodnej pozycji, usta otworzył, zaczerwienił się, przegładził ręką po zmierzwionych włosach, wreszcie wyjąkał:

— Pani wie, że piszę... pani zna moje wiersze?

— Cóż dziwnego? Mamy ten tomik w szkolnej biblioteczce, sporo tam o mazurskiej ziemi, tym miłsze to dla nas, nie mówiąc o tym, że takie ładne...

Klem odsapnął, jakby po wielkim wysiłku całego dnia.

— Pani, panie, panie są... urocze — oznajmił, groźnie zarazem spoglądając po kolegach.

Od tej chwili dla Kulczyka Truda przestała istnieć. Cały czas zabawiał czarnulę, co Edek przywitał ze szczególnym uznaniem, mógł bowiem zająć się Mazurką, której poważna uroda zaimponowała mu. Była to rzeczywiście ładna dziewczyna. Szczupła, zgrabna, niższa

trochę od koleżanki, spokojniejsza, jakby nieco dostojna w zachowaniu, zachwycała przy tym swoistym wdziękiem. Jeszcze długo potem szukał jego źródeł i odkrył je wreszcie w jakimś zaledwie wyczuwalnym smutku, który tkwił gdzieś w uczuciach dziewczyny. Włosy, też ciemne, nosiła starannie przyczesane. Poglębiało to jeszcze wyraz jej oczu, bardzo dużych.

Ujęła go już przeprosinami za swoje odezwanie o tej hecy z traktorem. Skąd mogła wiedzieć, że tak się rzeczywiście głupio składało, iż w zwykłym tym czynie chciano dopatrzeć się licho wie czego. Edek zbyt był trzeźwy i za mało romantyczny, aby nie widzieć całej śmieszności między jego naturalną reakcją a jej powszechną oceną...

„Tak, to nie ta głupia koza Wera ze swymi kpinami”, myślał.

Przypomniał sobie, co Paweł mówił o pochodzeniu dziewczyny. Rzeczywiście, wymowę miała twardą, jakoś inaczej akcentowała niektóre słowa. Zapytał:

— Pani pochodzi z tych stron, prawda?

— Z Mrągowa, zna pan to miasto? Jestem Mazurką... Dlatego też po skończeniu seminarium specjalnie prosiłam o skierowanie do wsi zamieszkaną przez ludność rodzimą. Stąd się znalazłam tutaj i nigdy tego nie żałowałam...

— A ja zawsze byłem pewien, że z tą polskością Mazurów to pic i propaganda. Że to są Niemcy i tyle... — ożywił się. — A przecież to częściowo prawda, różne się rzeczy słyszało. W takich Mikołajkach, byłem tam w zeszłym roku, ciągle słyszałem język niemiecki, a też gadano, że to są Mazury, autochtoni...

— Och, niech pan nie używa tego słowa, to obrzydliwie brzmi. Ludność rodzima, tak trzeba określać... To sprawa trudna, dlatego się jej nie rozumie. A dzisiaj stała się jeszcze trudniejsza, gdy tyle krzywd spotkało Mazurów... Pan wie, mój ojciec zmarł ze strapienia. Nie mógł zrozumieć, jak Polska mogła dla wielu z nas stać się macochą. A przecież był to dawny działacz ze Związku Polaków... Brat mój mieszka w Mrągowie, nienawidzi „junkturów”, zawsze ich nienawidził, że nas wynaradawiali, a przecież do dziś nie ma pewności, czy czuje się Polakiem. Rozumie pan, co za dramat?

Słuchał uważnie. Nie, nie pojmował jeszcze. Powiedział po prostu:

— Będzie mi pani musiała bliżej jeszcze to wytłumaczyć. Ja też wiem, że się myliłem, ale czy tak zupełnie? W lesie pracowałem razem z ludźmi z tej wioski. Był wśród nich Macura, morowy chłop, ten to na pewno swój, ale inni, nawet młodszy, często wtrącali słowa niemieckie, jakoś tak się na mnie boczyli, jak na obcego...

— W tej samej wsi, gdzie teraz jesteśmy, żeby pan wiedział, co oni zaznali w poprzednich latach... Szabrownicy, gorzej, zwykli zbóje dotarli nawet do tych pustkowi, ograbili jednego. Co z tego, że ich później aresztowano, wspomnienie krzywdy zostało... Pozabierano naszym rybakom sieci, tysiąc innych historii. Las też odebrano, mieli tutaj swoje małe spłachetki... wyzwiska od Szwałbów, od hitlerowców to nic? Teraz się zmienia wszystko, ale w sercach i duszach gorycz i żal nie są łatwe do wyplenienia.

— Truda, daj spokój, my wiemy przecież, że masz rację. Ale po co się zamartwiać od nowa. To już przeszłość — wtrącił Mietek widząc, że dziewczyna drży z przejęcia.

— Przepraszam, wiesz, że tym żyję...

— Ja bardzo dziękuję, to mi wiele powiedziało...

Edek chyba pierwszy raz w życiu rozmawiał w ten sposób z młodą, ładną, ba, bardzo ładną dziewczyną. Aż sam sobie się zdziwił. Normalnie przypuszczał dosyć obcesowy flirtański atak.

„A ta dziewczucha, myślał, ma jakąś powagę, licho wie co, jakoś trudno byłoby przykrochmaląć się do niej w zwykły sposób. A i gada ciekawie.... — Obejrzał się na Klemensa. — O, ten to się rozmarzył, grucha jak gołąb w zalotach”.

Kulczyk promieniał. On też protestował najbardziej, gdy Mietek spostrzegł się raptem, że niewiele już brakuje do zmierzchu i zatrąbił na odwrót.

— Przyjedziemy tu do was któregoś dnia na łyżwach, dobra?



Ucieszyły się. Prawda, przecież przez jezioro, po lodzie, cóż znaczy te parę kilometrów.

Koń się wypasł, aż mu brzuch wyrósł. Dziewczyny na stopniach wejściowych wymachiwały dłońmi. Mietek odjeżdżał z fantazją, śnieg tryskał grudami spod kopyt, a w powietrzu wirowało, jakby kto pierze sypał.

— Machniemy teraz przez to małe jeziorko, tu lód mocny, a potem brzegiem i koło rzeczki dostaniemy się na nasz las. No co?

— Ty, a wilków nie będzie? Dziewczyny mówiły... — zatroskał się Klemens.

— Tuzinami! Stadami! — krzyczał Mietek, potrzaskując z bata. Sanie śmigały po lodzie.

Szarzało. Od drzew kładły się długie cienie, wiatr zrywał się pod wieczór mocniejszy. Mietek popędzał konia. Parę razy omal nie wyrzucił się na wądołach i wybojach.

Przez jezioro przelecieli szybko, trochę gorzej było ze szlakiem wzdłuż rzeczki, bagnisty, upstrzony kępami teren nie zezwalał na szybką jazdę. Z ulgą skręcili w las, na drogę wiodącą szpalerem świerków nakrytych białymi czapami śniegu. Nie zważali już teraz, gdy się sypało im za kołnierze, hałaśliwie witali każdą czapę opadającą na sanie. Chwilami las aż trząsał się od krzyków.

Zrobiło się mroczno. Mietek dobrze musiał wytrzeszczać oczy, by dojrzeć drogę.

— Cudna dziewczyna. I patrzcie, jak ona pamiętała moje wiersze — entuzjazmował się Kulczyk.

— A przed tymi wierszami to ci więcej przecie podobała się Truda! Zbaraniałeś na jej widok.

— No, ładna to ona jest. Ale taka jakaś poważna, bo ja wiem, jakby jakaś księżna... Zochę to pocałowałem dwa razy w łokieć, niby za te wiersze, tamtej nie śmiałbym. A patrzeć tylko to ja nie lubię...

— A cóż twoje złamane serce?

— Zostawcie wy je w spokoju. Trzeba przecie zapełnić czymś pustkę. Zresztą, czego wy chcecie, jeszcze się przecie nie zakochałem...

— Mało brakuje. Odkąd cię znam, toś miał już chyba z dziesięć wybranek... — Mietek nie dokończył, wstrząsnęło nimi silnie, zatrzeszczało coś, próżno woźnica ścigał lejce. Prawa płoza wpadła w jakiś skryty pod śniegiem dół i całe bractwo wysypało się po uszy w sypki, wysoko nawiany w tym miejscu śnieg...

— Stój, stój! — wrzeszczał przeraźliwie Mietek, z trudem gramoląc się na nogi.

Przerażony hałasem i całą przygodą, objijając saniami o drzewa, koń rwał co siły, migając im tylko coraz dalej niewyraźną plamą.

Gonili w długich połach kozuchów, potykając się o jamy i korzenie.

— Patrzyłbyś lepiej na drogę, a nie wtrącał się do moich bogdanek! Ty woźnico! — kłął Kulczyk.

Wreszcie znaleźli konia, który ugrzązł wśród drzew przy drodze. Odetchnęli z ulgą, gdy stwierdzili, że saniom nic się nie stało. Ulokowali się od nowa na twardych, pozbawionych teraz słomy deskach. Mietek jechał uważniej. Mrok zapadł nagle, w lesie zrobiło się ciemno. Edek i Klem zmarznięci skulili się w kozuchach, milczeli.

Po jakimś czasie Mietek przystanął na leśnej krzyżówce. Zasy pyły wyrosły wyższe na tej otwartej płaszczyźnie, trudno się było w czymkolwiek rozeznać. Próżno Mietek wywijął szczęśliwie zabraną z sobą latarką. Mocny snop światła padał na jakieś zmienione, nieznanne szlaki leśnych dróg, mienił się i skrzył śniegiem wśród ciemnych gałęzi świerczyny, czasem zaczerwienił na bujnych kiściach zmarzniętej jarzębiny, ale w odnalezieniu właściwego kierunku niewiele pomagał.

— Masz, babo, placek. Toś nas wykierował...

— To tyś tak się bał wracać starą drogą...

— Dla złego woźnicy i biczysko za długie, i oś krzywa — sentencjonalnie odcinał się

Klemens.

— Nic, spróbujemy w prawo, to nasz kierunek. Może znajdę wreszcie jakiś znajomy szlak. Ciekawe, że nie widzę tutaj słupków leśnictwa.

— A bo ty wiesz, czy nie jesteśmy już dziesięć kilometrów dalej w głąb puszczy?

Przepychali się dłuższy czas nie przetartą drogą. Koń parował zmęczeniem.

Znów jakaś krzyżówka, zaambarasowana mina Mietka, wybór drogi na ślepo. Ciemno było zupełnie.

— Żeby choć gwiazdy. A to tylko chmurzyska wędrują, tak jak i my, nie wiedzieć dokąd i po co — sapał Kulczyk.

— Czego rozpaczasz, masz poetycki temat. Patrz, jaka romantyka — pokpiwał z niego Mietek, który wpadł nagle w wisielczy humor. — No, jak za pół godziny nie trafimy na znajomy szlak, to i parę dni możemy się błąkać, przy takim śniegu diabli coś rozpoznają, nie ja...

— Nie kracz!

Słuchając ich przekomarzań Edek wybuchnął śmiechem. Ostatecznie cóż, jeszcze jedna przygoda. Przynajmniej nie jest nudno.

Znów dwie przecinające się drogi. Mietek długo wodził światłem latarki po ich brzegach.

— Oszczędzaj, bo a nuż wilki, czym je odstraszysz? — biadolił przemarznięty do cna poeta.

— Wiersz im zadeklamujesz...

— Czekajcie, już wiem... Zrobiliśmy krąg, ale teraz tą drogą wyjedziemy na wielką przesiekę... Ze trzy kilometry, furda — rozradował się naraz Mietek. — I droga tu lepsza. Hejda, stary, hejda...

Porwali się szybciej. Dokoła panowały zupełne ciemności. Tuż, tuż koło nich przeleciała wielka sowa, aż się skulili w obawie, by ich nie zaczęła skrzydłami.

— Wilk, wilk!

— Głupi, to Rex! Rex, Rex, Reksiunio — rozczulił się nagle Mietek, który sam przeraził się w pierwszej chwili potężnego cienia, wyłaniającego się nagle nie opodal nich.

Odetchnęli, gdy zobaczyli wreszcie światła leśniczówki. Zaraz potem dobiegł ich gromki głos leśniczego.

## 8. ZADRA W SERCU

Motor spisywał się nieźle. Chodził równo, niewiele spalał nad normę. Zagrzewał się tylko czasem zbyt mocno. Leśniczy powierzył Edkowi troskę nad błyszczącą, nową maszyną. Od tego, jak się dotrze motocykl, zależy w znacznym stopniu jego sprawność na przyszłość. A ten chłopiec, zdaniem leśniczego, miał złote ręce do motorów. Pan Gasiniec z przyjemnością obserwował, jak Edek troszczył się o WFM-kę, jak ją przeglądał, dokręcał, sprawdzał działanie.

Edkowi też było w to graj. Pracę przyobiecał mu leśniczy dopiero po Nowym Roku. Bez motoru zanudziłby się chyba na śmierć. Mietek uczył się nieprzytomnie, z każdym dniem bliższym egzaminu zwiększał się jego lęk, że nie poradzi, że za mało wciąż umie. Kulczyk pomagał mu rzetelnie, podrwiwając z siebie, iż dopiero teraz uzupełnia braki ze szkoły...

Michał całe dni spędzał z leśniczym, znakując pnie do wyrębu. Zamarzły bagna i najbardziej nawet niedostępne oparzeliska. Tam też prace przy zrębie szły całą parą. Byle zdążyć ze zwalaniem potężnych świerków na ziemię, byle zdążyć z wywózką, nim znowu odtaje. Kilka brygad cięło na potęgę, a zakutani w kozuchy chłopcy saniami i smykiem podciągali ciężkie pnie pod szosę, skąd ciągnikami nietrudno już było dostarczyć je do Pizsa, do za-

chłannie wyczekujących na drzewo tartaków i fabryk.

Leśna przecinka do szosy była już solidnie ubita. Z biedy nawet traktor by tam przeciągnął. Tym łatwiej przemykał się motocykl, ostrożnie, małym biegiem, z przerwami, by nie przegrzać nie „ujeżdżonej” jeszcze maszyny.

Dopiero na szosie mógł Edek używać. Już kilka razy był w Piszcu, zapuścił się nawet do Rucianego, latem pełnego życia, teraz zamarłego w śnieżnej topieli. Jeszcze lepszy szlak wiódł na Białą Piską. Z wyprawy tej przywiózł Edek sporo świątecznych zakupów dla siebie i gospodarzy. Święta wszak były tuż, tuż... Myślał o nich pogodnie, nie tak jak w poprzednie lata, kiedy źle się czuł przy spekulanckim stole szwagrostwa i tęsknie wspominał wigilie spędzone z matką... Tutaj są dobrzy dla niego, nie robią różnicy między synem a jego przyjacielem. Kto wie, może nawet wróci mu ochota zaśpiewać kolędę. I nie upije się, jak u szwagrów, kiedy wódką odganiał frasobliwe myśli.

Jadąc szosą na Turośl, skręcił na lewo. Drogowskaz oznajmiał niedaleką Karwicę. Szosa wiodła wzdłuż wyciągniętego wąską kiszka Jeziora Nidzkiego, z obu stron ocienionego murem wyniosłych iglaków. Ciemną płachtą cienia spadały na skute srebrem wody jeziora.

Wioska wyłoniła się nagle u progu krzyżówki. Zamierzał skręcić, innym traktem dostać się aż za Turośl, stamtąd zaś prosto jak strzelił wracać na Sumy.

Przystanął, nie wygaszając motoru, sięgnął do kieszeni po papierosa. Ostatnie dwie sztuki smętnie wyglądały z pudełka. Rozejrzał się za sklepem GS-u. Stary jakiś safandula długo grzebał się z resztą. Pachniało naftą, mydłem i świeżym chlebem. Poczęstował papierosem sprzedawcę, sam też zapalił.

— Pusto u was, jakby wszystko wymarło. Zawsze tak?

— Zwyczajnie. Chłopcy w lesie, dziewczuchy przy firanach...

Mówił złą polszczyzną, płacząc słowa niemieckie. Edek pomyślał, że w końcu diabli wiedzą, po czyjej stronie jest prawda, jeśli chodzi o tych Mazurów. Odechciało mu się dalszej rozmowy. Przydeptał niedopałek, chciał już wychodzić, gdy drzwi zatarasowała sobą jakaś kobieta.

Poznała go od razu, rozjaśniła się, omal nie chwyciła w objęcia. Była to matka dziewczyny, którą wyratował od stratowania przez traktor. Nie dała mu przyjść do słowa. Naprędcie załatwiła zakupy, na pewno inne niż zamierzone, jak się domyślał po flaszce wódki, którą wetknęła sobie pod ramię. Próbował oponować, zarzuciła go potokiem słów, zapewniała, że to już zaraz, parę domów, a taki gość niebывały, że Wila jej nie daruje, iż wypuściła pana Zaleskiego...

Zgodził się w końcu, miał czas, dopiero mijała dziesiąta.

W małym domku, nie lepszym ani gorszym od innych, zobaczył, na co się to zanosi. Spory pokój, z okienkami mocno już przysiadłymi do ziemi, pełen był dziewcząt. Doliczył się ich aż pięciu. Pracowały nad wiązaniem osnowy utrzymanych w ludowym typie firanek, wykonywanych na zamówienie spółdzielni.

Powstał popłoch i rozgardiasz. Dziewczęta krępowwały się swoich roboczych strojów, na gwałt obciągały kiecki i swetry, przyglądały włosy, któraś szybko malowała usta. Największe wrażenie zrobił jego widok na dziewczynie bohaterce niefortunnej przygody na szosie. Zapłoniła się po skraj czoła, z opuszczonymi rękami stała chwilę bezradna, potem dopiero coś wybąkała i wreszcie, rada ze zbawczego skinienia matki, wyfrunęła czym prędzej do przyległej izby.

Zapadło milczenie. Edek poczuł się trochę niepewnie wśród ciekawych spojrzeń pozostałych dziewcząt. Spojrzał na nie raz i drugi spod oka, mrugnął filuternie. Gdy zachichotały i zakręciły się wokół siebie, wrócił mu rezon. Zaśmiał się do wtóru ich śmieszków, podszedł do firanek, o coś zapytał.

Wyjaśniały skwapliwie, pokazywały, szczęśliwe, że mają co począć z rękami, które zwieszały przed chwilą speszone i nieporadne.

Wysłuchał, zadziwował się, czymś je rozśmieszył i lody zostały przełamane. Dwie spośród dziewcząt były niebrzydkie, nie umywały się jednak do młodej gospodyni. Ta była naprawdę ładna.

Właśnie weszła znów z matką. Niosły talerze z wędliną, chleb, odpieczętowaną flaszkę wódki. Zachichotały dziewczęta, wysunęły stół na środek, zaścielały obrus. Nieczęsto trafiała się taka okazja, aby w zwykły dzień przeżywać podobną frajdę, jeszcze przy takim chłopcu, o którym myśląc, żałowały w skrytości, iż to nie im przypadła rola niefortunnej rowerzystki.

Rozochocił się po pierwszym kieliszku. Dziewczęta z aplauzem przyjmowały każdy dowcipuszek, śmiały się, poszeptywały do siebie. Tylko ładna Wila siedziało cicha, a oczy jej na chwilę nie schodziły z twarzy niespodziewanego gościa. Edek zauważył, że była już inna, w odświętnej sukni. Matka też przywdziała czarną spódnicę.

„O licha, zaraz gotowi zacząć mnie swatać, tak na gorąco”.

Przypomniał sobie o motocyklu, zostawionym przed domem. Na tym mrozie lepiej nie robić zbyt długich postojów. Zaczął coś bąkać o konieczności powrotu.

Jakby słowa te były umownym znakiem, natychmiast wypłoszyły dziewczęta pracujące wraz z Wilą. Podziękowały pięknie, uznały, że na dziś już dosyć zrobiły i że strasznie im było przyjemnie, niezgrabnie podawały rękę. Za drzwiami usłyszał jeszcze wyzwolone od nowa chichoty. Stało się to wszystko tak szybko, że tylko wodził po twarzach gospodyń zdziwionymi szczerze oczyma.

— Czemu one uciekły?

— Do domów śpieszą... Każda ma tam coś do roboty — wyjaśniała matka, podsuwając talerz z wędliną.

„Edward, bierz, chłopie, nogi za pas, dybią na twoją cnotę”.

Nie zdążył tego pomyśleć, gdy na dodatek i matka znowu podreptała do kuchni. Zbaraniał do cna.

„Zupełnie niedobrze. Co tu za dziwne zwyczaje? I jakie są w końcu granice wdzięczności?”

— Ładnie musi być u was latem. Jezioro, las — powiedział pilnując się, aby nie wpaść w ton żartobliwy. Zaambarasowany był tym spotkaniem.

— Jak człowiek się przyzwyczai, to nawet nie widzi, ładnie czy nie...

Nie miała więcej nad siedemnaście lat. Wyrośnięta tylko i niebywale zgrabna. Z przyjemnością ogarnął jej figurę spojrzeniem. Pomyślał, że chętnie by z nią zatańczył...

Powiedział to.

Zaczerwieniła się i z wstydliwym uśmiechem powiedziała, że na pewno będą tu w karnawale zabawy. Jeżeli ma ochotę przyjechać z kolegami, to się postara go zawiadomić... W pobliskim leśnictwie nie ma tak dużych wyrębów, jak w Sumach, więc kilku mężczyzn z wioski pracuje u pana Gasińca. Albo i ona sama, jeżdżąc co tydzień do Pizy dla zdawania firanek w spółdzielni, zawadzić może o leśniczówkę...

— O to, to, to! — zgodził się chętnie. — Tylko może gdzieś trochę później, nie zaraz po świętach. — Myślał o Mietku i Kulczyku, zajętych przygotowaniem do egzaminu. Nie zabawa im teraz w głowie, a sam przecież nie pójdzie. Takie zabawy na wsi to nigdy nie wiadomo, czym się zakończą.

Weszła matka, coś napomykając o kawie. Poderwał się szybko, tłumacząc, że musi odjeżdżać. Rozkładał ręce...

Już był daleko, a jeszcze, oglądając się, widział na progu sylwetki obu kobiet. Potrząsnął głową z uznaniem i zadziwieniem.

Ładna to ona jest... Tylko o co tu właściwie chodziło? Ciągłe ta wdzięczność? W każdym razie lepiej ostrożniej, żeby nie wpaść w jaką kabałę... Ale ta Wila miała gorącą rękę, gdy ją ścisnął na pożegnanie. Wila, Wila, od czegoż to skrót, czyżby od Wilhelminy? Oni tu jednak mają takie niemieckie imiona...

Dodał gazu, motor mknął równo, za nim została mgiełka wzruszonych pędem drobinek śniegu. Żałował, że nie można gnać pełną szybkością, byłaby to dopiero kawalerska jazda.

W Sumach zasiadano do obiadu, dziwiąc się trochę jego spóźnieniu. Mietek wrzeszczał przez stół:

— Gazu, Edek, idziemy na lód... Ojciec mówi, że barometr spada i w nocy może być śnieg. A wtedy zasypie lodowisko, nie będzie już takiej frajdy, jak na tym szkle.

Leśniczy przyglądał mu się uważnie. Edek czuł jego wzrok na sobie. Co znowu się stało?

— Przywiozłem ci z nadleśnictwa ciepłą watówkę. To mój przydział, ale mam jeszcze zeszlóroczną. Chłopcy też mają. Weźmiesz sobie, bo zamarzniesz na tym motorze. Jak lata?

— Pycha! Tylko muszę przejrzeć przewód od benzyny, coś tam zacina czasami i motor przystaje. A za watówkę bardzo dziękuję, ale po co pan siebie krzywdzi?

Gasiniec przyjrzał mu się raz jeszcze.

— Bezpieczniej będzie dla WFM-ki, jak cię będzie grzała watówka, a nie ćwiartka czy kielich. Nie rozwalisz ty przypadkiem maszyny?

— Ale tata masz oko, ja dopiero teraz widzę, że Edek jest mocno nabzdryngolony...

— E tam, przy okazji, niewiele... Proszę pana — strzeliła mu do głowy nowa myśl. — Czy można wziąć motor na jezioro? Pohołowałbym ich... W Olsztynie, widziałem, robili tak. To cudna jazda...

— Nie rozbijesz?

— Nie, wiem, jak trzeba jechać na śliskim. Może być pan spokojny...

Pan Gasiniec wahał się, ale widząc błagalne spojrzenie syna, ustąpił. Niechże mają uciechę.

Zszedł nawet nad jezioro, by przyjrzeć się tej nowej zabawie. Ze zrębu nadciągnął także Michał. Parę chwil i miał już łyżwy na nogach.

Rzeczywiście pocieplało, zrywał się mocniejszy wiatr, na niebo wypęły wysokie jeszcze, ale zwarte już, bure chmury.

Motor zawarczał, gdy Edek w biegu już naciskał silnie rozrusznik. Przednie koło zabalansowało na gładkiej podkładzi, ale zaraz je wyprostował. Zatoczył krąg, jeden, drugi, wrócił na brzeg.

— Można — rzekł. — Do linki w poprzek przywiążcie długi kij. Żeby nie męczyć maszyny, na hol przejdźcie dopiero, jak się już rozpędzimy.

Michałowi oczy wyłaziły na wierzch z zachwytu. Nigdy nie słyszał nawet o takim spocie.

Wyrwali na szeroką płaszczyznę szkliwia. Edek dodawał gazu, potem obrócił się.

— Już!

Zaprzestali odbijać się nogami od lodu. WFM-kę lekko szarpnęło, już potoczyła się gładko. Edek oglądał się na nich co chwila. Trzymając się drążka sunęli coraz szybciej, coraz szybciej. Wyciągał już pięćdziesiątkę. Przeciwległy brzeg przybliżał się szybko. Jeszcze dodał gazu. Motocykl sunął lekko, bez wstrząsów.

Zawracał wielkim kręgiem, w obawie, aby tamci nie zbili się w kupę i nie powywracali. Zwalniał bieg stopniowo, wskazując zarazem dłonią, co robi.

— Hop, hop, heej! — poprzez warkot dobiegł go krzyk i zaraz potem radosny śmiech.

Kulczyk w pewnej chwili potknął się, stracił równowagę, całym ciężarem rozpedzonego ciała rymnął na lód i prawem rozpędu sunął po nim jakby na saniach. Michał, trzymający się drugiego końca kija, balansował śmiesznie, już, już chwycił równowagę, ale nie poradził, przekoziołkował jak długi. Tylko Mietek przygiął się, uchwycił bezpośrednio za linkę, aż popiskiwał z uciechy.

Zahamować rozpędzony motor nie było łatwo, koło zachybotowało się niebezpiecznie, wyrównał tylko dodaniem gazu. Gdy wreszcie stanął dobry kilometr za nimi, dobrana para

dopiero gramoliła się z lodu.

— Ale jazda! Pycha! — wołał rozentuzjasmowany Mietek. — Ty masz pomysły, chłopie.

Czekali na kolegów. Klem narzekał na zbite kolano, Michał jednak nie posiadał się z zachwyty.

— Musicie uważać, tu można na gębie przejechać się ładną setuchnę... A wtedy nawet Zocha nie poznałaby ciebie.

— Guzik! Nieważne. A wiecie, jedźmy do nich. Na lodzie pustka, może są w domu? — rozochocił się nagle Klemens.

— Można, ale zrobmy jeszcze parę okrążeń, Edek, jedź, na ukos, o tędy, będziemy mieli dobre sześć kilometrów gładziny bez zakrętów. Prawda, Michał?

— Tak, jedźmy... Ja zaraz potem muszę wracać, chcę być dziś wcześniej w Pisu.

I znów pomknęli, tylko furczało. Spod kół motocykla sypały się na łyżwiarzy tumany drobnego pyłu lodowego, kłuły boleśnie w twarze. Pęd mroził, kulili się, ale gnali, nieprzytomni z wrażenia. Taka jazda! Edek czasem oglądał się, sprawdzał, czy wszystko w porządku, dodawał gazu. Jeszcze, jeszcze, jeszcze! Tu nie szosa, można śmielej wyciągać szybkość z maszyny. Pięćdziesiąt i pięć, pełna sześćdziesiątka! O, to dopiero jazda! Mrużył oczy przed uderzeniami powietrza i śniegowych okruszyn. Byle tylko któryś nie puścił drażka, bo może być kraksa, nie utrzyma motoru, gdy obciążenie za linką przerzuci się na jedną stronę.

— Eeej! — zakrzyknął pełną piersią, aż mu oddech zmroziło w płucach. — Eeej!

Od dawna już nie czuł się tak dobrze, jak teraz. Tego mu było trzeba: pędu, maszyny posłusznej dłoniom, wichury bijącej śniegiem w twarz, chłodu.

— Eeej! — darł się i było mu tak rozkosznie, wszystko wewnątrz grało radością. — Eeej!

Brzeg niedaleko. Trzeba zwalniać. Ostrożnie, powoli dać im znak, szarpnęło, więc znów gazu, byle koła nie zatańczyły... Tak, teraz wolniej, już pięćdziesiąt, tak, czterdzieści... Ale i teraz niesie, oj, niesie. Trzeba skręcać szeroko, spokojnie. Już trzydziestka; no, teraz gdyby coś się i stało, już nie tak groźnie.

Redukował szybkość, motor poddawał się bez zarzutu. Już tylko dziesiątka, lekkim kołem, tak, dobrze. Obrócił się.

— No jak? Teraz zakręcamy pod przystań.

— Pycha!

To krzyczał Mietek. A Michał mrużył tylko powieki i uśmiechał się, wniebowzięty, jak dziecko. Jeden Kulczyk miał już trochę dość tej zabawy, tarł silnie zmrożone policzki.

Edek jechał teraz ostrożniej. To jednak nie było bezpieczne. Nie warto ryzykować... Ale mimo tych samoostrzeżeń skusił się znów na czterdziestkę. Przecież motor nie rower, u licha.

Wysadzili Michała pod przystanią, sami zawrócili teraz w kierunku rzeczki. Edka też ciągnęło trochę do dziewcząt. W Olsztynie kręciło się ich tyle wokoło, że mogły znudzić. Tutaj zaczynał odczuwać ich brak. W innym wypadku na pewno nie skusiłby się choćby i na te zaprosiny w Karwicy... Wila, Wila, to nawet ładnie brzmi, tak niecodziennie, zupełnie niezwykłe.

Rzeczka u wylotu jeziora rozwierała się szeroko, potem wąskim pasem wiła się między dwoma ścianami trzciny. Za nimi piętrzyły się w nieładzie krzaki łoży i nie trzebiejonej olszyny. Szeroką płaszczyznę, aż po ścianę lasu, ciągnęło się turzycowisko, znaczone gdzieniegdzie kępami karłowej brzozy.

Długą, krętą kichą rozwarło się drugie jezioro, Pogubie Małe. Z lewa dym kłębił się nad chałupami wioski.

Minęli miejsca, w których przeprawiali się niedawno w powrotnej drodze saniami. Mietek do dziś nie mógł sobie darować, że zgubił się w lesie, który, zdawałoby się, znał przecież jak własną kieszeń.

WFM-ka zwolniła obroty, stanęli. Motor pracował teraz cichutko, spokojnie.

— Co robimy? Na górę po tym śniegu nie będę windował maszyny. Ścieżka ledwo ubita. Ugrzeźnie...

— Zobacz, Klem, czy są w domu. Jeśli tak, ściągnij je do nas na lód.

Klem skwapliwie podchwycił propozycję Mietka. Już siedział na śniegu, zdejmując łyżwy. Spoglądali z uśmiechem, jak drapał się ku chałupom.

— Patrz, jak nabiera gazu... Ale go ciągnie do babek...

— Czuję, że będzie heca, bo on gotów zakochać się w Zośce. Nawet o swojej rozwódce mało już mówi...

— Powiedz, Mietek, jak to było?

— Pół roku temu poznał młodą rozwódkę. Niebrzydka, widziałem fotografię, żebyś ty widział, z jak czułą dedykacją. Wsiąkł nasz Klem bez reszty, cały czas przesiadywał u niej. Podobno i ona początkowo szalała za nim. Wtedy właśnie ukazał się ten tomik poezji Klemensa. Musiało jej imponować, że ma adoratora poetę, o którym głośno, którego się wydaje. Miał też w tym czasie jakiś wieczór autorski. Jednym słowem sielanka. Klem tak się rozkochał, że gotów już był się żenić. Napomykał tak, owak, ona nic. Gorzej, bo mniej już teraz miała czasu dla niego, jakieś, mówiła, rodzinne sprawy.

— Znalazła pewnie innego frajera?

— Tak, tylko że Klemowi do głowy by to nie przyszło. Z tego okresu pochodzą erotyki, drukował w pismach literackich. Dla niego ona była aniołem... Ale go jeszcze nie odrzucała. Widząc jednak, że chłopak mniej się szarpie na czekoladę, na kwiaty czy inne drobiazgi, zaczęła podpytywać, ileż też Klem zarabia. A u niego forsa za tomik się skończyła, jakieś tam inne dochody też się skurczyły, bo nie miał czasu na pisanie. Wyznał jej, co i jak. Podobno była zdziwiona, bo myślała, że poeci to w złocie toną...

— Wszystkie one takie. Daj tylko i daj...

— Może nie wszystkie, ta była tego pokroju... Aż raz jej nie zastał w domu, drugi raz. Wyjechała na parę dni bez zawiadomienia, nie miała czasu dla niego. Spotkał ją za to „Pod Żaglami”...

— Fest knajpa, choć wolę „Teatralkę”, wiesz, taka dziura piwniczna pod teatrem. Poznałem tam kiedyś niezgorszą kizię... Ale gadaj dalej.

— Nie przerywaj. Otóż pod tymi „Żaglami” spotkał ją z innym, jak się do niego wdzięczyła. I do kina, widział, jak razem szli... Wreszcie przyłapał ją. Nie robiła wiele ceregieli, powiedziała, że jej uczucie było chwilowe, że nic ją z Klemem nie łączy, że teraz dopiero rozkwita wielka miłość jej życia, i inne takie koszałki...

— Musiał być gość przy forsie?

— Podobno ma sklepik z ciuchami.

— Aha. No i co Klemens?

— Czekał, ostrożnie, już idzie... Ale czemu sam? Otóż nic więcej. Wpadł chłopak w rozpacz, napisał do mnie, że przyjeżdża, aby cierpieć nad niewdzięcznością kobiecych serc...

— Zwrócił się do nadchodzącego Kulczyka. — Co, przyjdą?

— Nie. — Był ponury jak noc.

— Co cię tak złamało? Nie umawialiśmy się przecież.

— No nie. Truda poszła do kogoś we wsi, jacyś jej bliscy krewniacy.

— A Zocha?

— Zocha — głos chłopca nabrzmiał wyraźnym oburzeniem. — Zocha pojechała do Pizsa. Motocyklem, do kina.

— O, z kimże to? Klem, niedobrze z tobą! I ta nawala?

Pokiwał potakująco głową.

— Z kierownikiem młyna... I to podobno nie pierwszy raz. Często po nią przyjeżdża... Mówiła mi sąsiadka, że pewno się pobiorą. A taka niby nic, słowa nie powiedziała...

— Nie było powodów. Oświadczyłeś się jej?

— Jeszcze nie.

Nie, teraz już nie potrafili zachować powagi. Omal motocykla nie wywrócili, tarzając się po lodzie z radości. Kulczyk spoglądał na nich wyraźnie urażony. Machnął desperacko dłonią.

— Albo wy się na tym coś znacie! Ciemna masa w miłości i tyle.

— Cha cha cha! Cha cha cha!

Nie rzekł już nic, ponuro zakładał łyżwy.

— A szkoda, że tak się złożyło. Można by poganiać godzinke, dwie. Pamiętacie, jak ostatnio było przyjemnie? — rzekł Mietek.

Przed paru dniami też wybrali się na łyżwach do wioski. Dziewczeta hasały na jeziorze. Wieczór był mroźny, ale cichy. Nadokazywali się, nauganiali, podziwiali Mietka przy jego holendrach i ósemkowaniach. Jeździł najlepiej z nich wszystkich. Teraz, szkoda, trzeba było wracać do domu z nosem na kwintę.

— Edek, a może ja siądę za tobą na siodełku? Znudziła mi się już cała ta galopada łyżwiana — poprosił Klem złamanym zupełnie głosem.

— Nic z tego. — Edek bał się obciążenia nie dotartego motoru.

Powoli ciemniało. Edek przekręcił wyłącznik. Snopy światła rzucane przez latarnię kłóciły się jeszcze z resztkami dnia, ale z każdą chwilą wydłużały się i pęczniały.

Gdy wspólnym wysiłkiem windowali motor na górkę przed leśniczówką, Klemens zapytał nagle:

— Jak myślicie, a może to nic poważnego?

— Co?

— No, z tym kierownikiem młyna? Może dawny znajomy rodziców albo co? I z grzeszności zabiera ją z sobą...

Nie, nie umieli zachować spokoju. Kuksali się tylko, potęgując paroksyzmy śmiechu. Klem czekał cierpliwie. Gdy wreszcie uspokoili się, spytał:

— No, więc jak myślicie?

— Słuchaj, on ma motor, a na takiej głuszcy, gdzie diabeł zimuje, to olbrzymi atut. Pewnie też jest forsiaty, przy młynie zazwyczaj ma się gotówkę. I wreszcie z jakiej racji dziewczyna ma liczyć na ciebie? Powiedziałeś jej coś?

Edek mówił brutalnie, ale czynił to umyślnie. Jeszcze naprawdę gotów chłopak wdepnąć w tak zwane uczucie i będzie przeżywał nowe rozczarowanie.

— Nie mówiłem, ale mogła się domyślić...

— No widzisz, nie domyśliła się. Za głupia dla ciebie. Nie ma czego żałować...

Kulczyk, nieodmiennie zgnębiony, grzebiąc dłonią w swych włosach Papuasa, ociężałym krokiem wdrapał się za Mietkiem na górkę. Oj, jak mu się teraz nie chciało przerabiać wspólnie z przyjacielem historii literatury... Jakoś nikt nie umiał tam pisać o miłości. Klemens gotów był w ogóle zwątpić w pisarstwo, tak innych, jak własne...

Pchając motocykl do składziku przy oborze, zamienionego teraz na prowizoryczny garaż, Edek czuł, że tego dnia przełamał się w nim nastrój nudy, tak go ogarniający ostatnio. Wyhasał się, pośmiał, nawet gorzały nieco łyknął, pokręcił się trochę wśród dziewcząt. Musiał się trochę rozruszać, aby naprawdę się nie wściec w tym chorobowym nieróbstwie. Żeby to praca, ale jeszcze sporo dni minie bez niej. Mówił leśniczy, że dopiero po Nowym Roku...

Usłyszał za sobą głos pana Gasińca.

— Proszę?

— Słuchaj, Edek, mam wielką prośbę do ciebie... Patrz, śnieg w nocy murowany, wszystko na to wskazuje. Będzie ponowa, a na niej sporo można wyczytać. Raniutko pójde do lasu, jest po co. Tylko, widzisz, dopiero się spostrzegłem, że zostały mi jedynie dwa naboje do flinty. Nie lubię chodzić z próżną kieszenią. Gdybyś tak zechciał podjechać do nadleśnictwa,



poprosić o paczkę naboi, a jeśli wiele nie mają, to choć o kilka sztuk. Za parę dni zwrócę. Dobrze?

— Jak najchętniej. I tak nie mam nic do roboty — ochoczo zwracał WFM-kę.

Leśniczy przyglądał się mu przez chwilę. Lubił tego chłopaka, choć zdawał sobie sprawę dobrze, co za lichy w nim siedzi. Pamiętał własną przeszłość, różna ona była w młodości, a przecież jakoś wykierował się na człowieka. Może będzie tak i z Zaleskim...

— Pojechałbym z tobą — odezwał się. — Ale przyjdą tu jeszcze brygadziści po tygodniówkę dla swoich. Pozdrów nadleśniczego.

— Tak jest — przekrzykiwał już warkot motoru.

Ucieszył się tym zleceniem. Zobaczy Werę. Nie wiedzieć czemu, często wracał do niej myślami. Od tamtej sceny, gdy nazwał ją kozą, widzieli się tylko raz w Pieszku. Wychodziła właśnie z rejonu lasów, gdzie pracowała. Przywitała się chłodno, nie miała czasu na gawędę. Była wciąż zagniewana. Ale gdy się obejrzał, dostrzegł, że i ona czyni to samo. Więc jednak...

Może teraz nadarzy się okazja do fajki pokoju. Po co drzeć koty ze sobą? Chociaż pyśkająca to szelma jest, aż się jej dołeczki w policzkach robią z ochoty; jak strzeli złośliwością, to ani się pozbierać. Trzeba ją przeprosić, pał sześć, korona mu z głowy nie spadnie, a dżentelmenem wobec niej nie był, szkoda gadać...

Ale że też dzisiaj dzień taki bogaty w jazdy i w dziewczęta...

Przyhamował gwałtownie, ale i tak go podrzuciło solidnie. W ostatniej dopiero chwili zauważył sporą jamę po lewej stronie drogi, nie zdążył wykierować maszyny. Uważniej teraz wypatrywał przed siebie.

Ładnie było. Reflektor mocnym światłem zagarniał drogę, owijał miękko pnie i niższe gałęzie świerkowych olbrzymów. Jechał jedną z ładniejszych dróg w rewirze starodrzewia. Jak szerokie płachty zwieszały się ku ziemi masywne gałęzie, przygniecione warstwą śniegu igrającego w świetle tysiącem blasków. Cicho było, spokojnie, wiatr ustał czy tylko nie dochodził do niższych rejonów puszczy. Krzewy leszczyny i szczególnie obfitych w tych stronach jarzębin chyliły się ku drodze, jakby pragnęły zamknąć ją w swych objęciach.

Na niektórych gałęziach zwisały jeszcze przemarzłe kiście rumianej jagody. Na śniegu, pod krzewami, widać było ślady ptasich odchodów.

Oślepiony zając wyskoczył na drogę, biegł chwilę tuż przed motorem, odbił się w bok, przysiadł pod wielkim krzewem, by zerwać się zaraz od nowa i nieprzytomnie pognać w bezpieczny las.

Trochę ryzykownie, ostrym zakrętem, wywinął w lewo.

Leśna sceneria zmieniła się. Wysokie brzozy i graby splatały nagie konary z ostrą zieleńią iglastych gałęzi. Dołem słały się rzadkie, przytłoczone krzewy. Białe pnie brzeziny przecinały las pionowymi liniami, stawały się przez to jakby smuklejsze, bardziej wdzięczne od ciemnych drągów buczyny. Spod złoza chrustu, jak karbunkuły, zabłysły złotoróżowe ogieńki. Z dała widoczne, bacznie zdawały się śledzić nadbiegający dziwny stwór. Edek zwolnił szybkość. Domyślił się bardziej, niż rozpoznał potężną sowę. Teraz latarki oczu zgasty, zadrgały gałęzie złomu, w ostatniej chwili, niemal tuż przed maszyną, ostrym podrzutem skrzydeł sowa wybiła do góry, jakby na ślepo, zastygła w powietrzu i odrzucona pędem, ciężkim lotem frunęła pomiędzy drzewa. Duża była, puszysta.

Las rozwierał się długą płaszczyzną pola. Kwadraty światła w oknach świadczyły o ludzkiej obecności. Edek jeszcze tu nie był. Wolno podjeżdżał pod pierwsze domostwo. Reflektory zastygły na tablicy nadleśnictwa.

W podwórzu rozjazgotały się psy, słyszał ich niecierpliwy, pochrapujący skowyt i uderzenia rozwścieczonych cielsk o bramę.

Zapukał z ganku mocno, energicznie. Psy zdawały się szaleć. Zapukał mocniej, rozległy się kroki. Drzwi nie były nawet zamknięte. Nie wiedzieć czemu pewien był, że otworzy mu

Wera.

— Dobry wieczór, panno Wero!

Zdawało mu się, że w jej oczach zadrgały błyski uradowania. Ale głos dziewczęcy był powściągliwy.

— Proszę...

— Ja do pani ojca z polecenia leśniczego...

— Spodziewam się... Rodziców nie ma w domu. Wyjechali do Pizy. Może ja załatwię to zlecenie?

— Boże, jaka pani sztywna i oficjalna! — wybuchnął i zaraz ucichł. Onieśmielała go swą postawą. „Ależ zacięta”. I dziwne, ale podobało mu się to. — Panno Wero, ja wtedy nie miałem zamiaru pani urazić. Chłapałem, prawda, głupio, i chciałem przeprosić... — Wyciągnął dłoń.

Ułamek sekundy wahała się jeszcze, wreszcie wyciągnęła do niego swą silną rękę.

— Niechże pan zostawi gdzieś tę ohydną czapkę. Proszę do pokoju.

— No, ulżyło mi... A już myślałem, że wrócę jak niepyszny. Że ja w ogóle mam z panią takiego pecha, zawsze wychodzę na naszych spotkaniach jak Zabłocki na mydle... Żeby jednak nie zapomnieć, leśniczemu zabrakło nabożów, prosił o paczkę, choćby nawet kilka sztuk...

Ciekawie rozglądał się po gabinecie nadleśniczego Dziadonia. Musiał być zawołanym myśliwym. Mnóstwo wieńców i poroży zdobiło ściany, wyzywająco sterczały do przodu kły dzicze, nawet cały łeb groźnego odyńca straszył nad biurkiem. A jeszcze ptaki, których Edek nie znał nawet z nazwy.

— Co to?

— Łopaty łosie... Jeszcze z pierwszych lat pracy ojca w leśnictwie. Nie w tych stronach, z Polesia. Tam było dużo łosi... Pan poluje, panie Edku?

— Strzelam nawet dobrze. Z takiej głupiej wiatrówki w byle strzelnicy zawsze miałem trafne, mimo że tam muszki celowo wykrzywiają. A pani?

Śmiała się długo, nim wreszcie odpowiedziała.

— Tak, poluję... Lubię to, mam pozwolenie, należę do koła. W tych stronach jedyna kobieta. Ale pan był paradny z tą wiatrówką i strzelnicą z odpustu...

— Nie tylko! Znam i inną broń! — zaperzył się. „Znowu zaczyna, o rany, co za pyskate i dokuczliwe stworzenie. Ale ładna, jakoś ładniejsza nawet dzisiaj niż wtedy, przy tamtych spotkaniach”.

Wpatrzył się w nią bezceremonialnie. Widział, że się spieszyła, zarumieniła lekko.

— Jasno tutaj, nie to, co smrodziłki naftowe w Sumach. O, i telefon jest...

— Stąd przecież tylko kilometr do szosy, nie było trudności. Ojciec mówi, że są plany doprowadzenia światła i telefonu do wszystkich leśniczówek. Brak tego utrudnia pracę szczególnie latem, gdy łatwo jest o pożary.

— To musi być pycha, widok płonącego lasu...

— Osobliwe upodobania! Wypije pan herbaty?

Ujął ją za rękę.

— Panno Wero, niechże pani da spokój z herbatą. Proszę wreszcie usiąść, bo to stoi pani, jakby chcąc szybciej mnie spławić. Czy to tylko grzecznościowe przebaczenie tamtej nieszczęsnej kozy?

— Znowu!

— Ja tylko przypominam.

Wszystko w nim się śmiało i było mu bardzo dobrze.

— Szuka pan czegoś? Chyba nie czapki?

— Nie, ja tego... nic. Czapki nie, bo nie mam zamiaru stąd wychodzić tak szybko — zaperzył się.

Przyglądała mu się, jakby czymś rozbawiona, wreszcie zaczęła się śmiać serdecznie i długo. Patrzył zdumiony, chciał się rozgniewać, potem podobał mu się dźwięk jej śmiechu, wreszcie i on parsknął do wtóru.

Ujęła go za rękę.

— No, nareszcie, lody przełamane... Niech pan tu siada, na tej kanapce. A ja przyniosę herbaty.

— Panno Wero, czy pani tutaj nie nudno samej? Pustka, to dobre na miesiąc, dwa, ale nie na stałe... A ten Pisz to zakazana dziura. Koniec świata...

— Polski w każdym razie... Słyszałam, jak ktoś śpiewał kiedyś o miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Zupełnie jak u nas...

— Fajno powiedziane. Jakby orzekł nasz Klem: poetycznie.

— Może... Otóż wracając do pańskiego pytania... Nie, nie nudzę się. Czasem bywa smutno, ale rzadko. Jest i tutaj czym się cieszyć i czas zajmować. Maluję trochę...

— O, to ci dopiero, sami artyści dokoła...

— Kpi pan, a ja nie lubię.

— A skąd, gdzieżby — ujął ją za rękę, nim się zorientowała, schylił się i pocałował.

— Hola, tu nie kino...

Śmiał się.

— Zna się pani i na tym?

— Mniej się znam, jak słyszałam i o takim użytkowaniu tego przybytku. W Piszcu nawet tego nie potrafi pan zrobić, bo tam ciasno między rzędami i ruszyć się nie można.

— Zgadza się, byłem tam raz. W Olsztynie kina lepsze.

— Ba, a w Warszawie! — odcięła się.

— Zgoda. Ale jak to, nie można pocałować w rękę?

— Można nie tylko w rękę, ale jeśli się ma pozwolenie.

— Ojej, znów oficjalnie. To tymczasem nigdzie nie będę całował.

Pokiwała głową nad jego tupetem, prosiła, by wreszcie zabrał się do herbaty.

— Pani też nie pije...

Przekomarzali się jeszcze. Potem opowiadała mu o swym życiu w lesie, o sennym miasteczku, o tym, że chce przebywać z rodzicami, dlatego wróciła tu po maturze. Pytała, co myśli robić, jak długo zostanie w Sumach.

— A pani chciałaby, żeby długo?

— Letnia woda. Nie w tym rzecz.

Ba, sam nie wiedział, jak długo zostanie. Właściwie nie istniały już teraz powody, dla których nie mógłby wracać do Olsztyna. Mógł w każdej chwili, ale tymczasem nie chciał. W styczniu zacznie pracować przy ciągniku, pewnie potrwa to parę miesięcy, nawet ciekawa robota, można sporo zarobić. A potem, jeżeli mu się nie znudzi, zostałby tu jeszcze trochę, aby posiedzieć nad wodą, ryby połowić, dobry sport, podoba mu się...

— A jaka stała praca? Pan przecież ma maturę, prawda?

Zawstydził się.

— Nie, wylali mnie po dziesiątej klasie... Za dużo rozrabiałem. Może nawet nie to, ale jak już człowiek raz wpadnie na kieł, to potem wszystko wałą na niego. Tak było i ze mną. Wybił ktoś szybę, zaraz Zaleski. Po ciemku dostał inny po zębach, znów Zaleski... A ja w tym czasie biłem w zęby, owszem, ale zupełnie gdzie indziej i kogo innego...

Zaśmiała się.

— No i?

— No i tyle. Jakoś na życie się zawsze zarobi. A stałej pracy nie lubię. Na pierwszej zrobiłem grubszą grandę, to mnie również wylali... A potem w aktach personalnych opinia wędrowała krok za krokiem. I znów było jak w szkole, wszystko Zaleski. W końcu machnąłem ręką, pal was wszyscy diabli. Zarabiałem dorywczo...

— No i?  
 — Co i? I tyle?  
 — Mało.  
 — Mnie starcza. Co, może będę zakuwał po nocach jak głupi Mietek? Zresztą z nim inaczej, on chorował, a mnie wylali — powtórzył z satysfakcją. Zazwyczaj imponowało to znajomym jego dziewczętom.  
 — Jeszcze herbaty?  
 — Herbata nie wódka, wiele się nie wypije.  
 — Nie wiem, gdzie ojciec ma wódkę. Ja zresztą nie lubię pić...  
 — Niedzisiejsza pani.  
 Zamilkli. Potem Wera odezwała się cichszym głosem.  
 — Dobrze, że pan przyjechał... — podała mu rękę.  
 Ucałował ją mocno, łapczywie.  
 — A...  
 — Nie.  
 Teraz on przerwał milczenie.  
 — Klawa z pani babka, choć taka kąśliwa...  
 — Teraz pan tak osądza, czy także i przedtem, jak byłem tą... kozą?  
 — Nie wiem. Za pierwszym razem byłem zły, bo mię pani tak osadzała co słowo. Ale potem, jak się dowiedziałem, że w czasie choroby...  
 — Nie ma o czym mówić.  
 — A jest, jest... I było mi przykro za tę... kozę. Jak mnie leśniczy poprosił dziś o przywiezienie nabożów, to ucieszyłem się.  
 Przypomniała sobie. Przyniosła z szuflady biurka paczkę amunicji.  
 — Proszę. Zupełnie zapomniałam.  
 — Ja też.  
 Zaśmiali się.  
 Była już późna godzina, gdy zdecydował się wreszcie na odjazd.  
 — Rodziców pani jeszcze nie ma...  
 — Mieli pójść potem do kina. Ojciec rzadko ma czas dla siebie, więc korzystają dziś z wyjątkowej okazji...  
 Odprowadziła go do wyjścia. Stojąc na ganku długo trzymał jej rękę w swej dłoni. Nie cofała jej.  
 — Wera — powiedział, próbując ją objąć i pocałować.  
 Wyśliznęła się lekko, łagodnie. Ustami musnął tylko krótko obcięte loki.  
 — Brr, zimno — wycofała się szybko do drzwi.  
 Wracając, nie przyglądał się już drzewom ani przepłoszonej na drodze zwierzynie. Myślał o Werze. Czuł, że jakąś zadrą zalała mu w serce.

## 9. NAWAŁNICA

Zapachniało w leśniczówce świątecznymi przygotowaniami. Sroga pani Helena stała się teraz kąśliwa jak osa i w ogóle nieprzystępna. Chłopców, kręcących się czasem po kuchni, wyrzucała z impetem, jedna tylko sarna i ulubiona, tłusta Mircia nadal zachowały pełne jej względy. Nawet leniwy kocur skazany został na wygnanie. Łaził teraz po strychu, miaucząc przeraźliwie.

Klemens wyżegłował przed paru dniami do swojej rodziny pod Kutno. Odjeżdżał w doskonałym humorze, pogodził się bowiem z nauczycielką Zochą. Któregoś dnia wybrał się

do Pizsa, aby osobiście nadać grubą, poleconą kopertę. Jeśli już chodziło o jego utwory, nie dowierzał nikomu. Przy okienku zetknął się oko w oko z czarnulą. Choć przywitał się chłodno, jakoś wreszcie się dogadali, ba, nawet umówili na wspólną podróż do Olsztyna. Opowiadał potem kolegom, że wręcz ją spytał o kierownika młyna i ich wspólne motocyklowe przejażdżki.

— No i co powiedziała? Pewnie, że to dobry, stary znajomy — dworował Mietek.

Klem zadziwił się.

— Właśnie tak. Była zdziwiona, że o to pytam... Właściwie prawda, cóż to, nie może mieć dziewczyna znajomych?

Machał ręką na ich prześmiejchy. Już się nie przyznał, że umówił się z nią także po świętach w Olsztynie, gdzie wracając od rodziców zamierzał się zatrzymać u brata.

W miejsce Kulczyka przybył za to Paweł, ulubieniec leśniczego. Dzień i noc krążył z fuzją, pragnąc na święta ustrzelić, jak mówił, choć ze dwa dziki. Z trudem nakłonili go na wielką okoniową wyprawę, tłumacząc, że i ryba równie ważna jak. smakowita dziczyzna. A w dodatku na jezioro gnała ich leśniczyna, pragnąc mieć spokój w domu.

Pogoda była jak wymarzona, na pograniczu odwilży, chmurna i lekko wietrzna. Na lodzie grubą warstwą zleżał niedawno spadły śnieg, podmarznięty teraz, oślizły.

Edek nie miał przekonania do tego rodzaju łowów. Próbowali już raz, ale z żadnym wynikiem. Zaledwie mizerny okonik ucapił się wędkę Mietka. Tłumaczył, że na lodzie nie było wtedy przykrywy śnieżnej, trzymał ostry mróz, podpiekało słońce. A okoń tego nie lubi, nie wychodzi na żer...

Wybrali się w piątkę, bo i mąż Marysi, siostry Pawła, dybał na świętecznego okonia. Był to chudy, na oko cherlawy, ale w rzeczywistości silny nad podziw robotnik leśny, zręczny, tyle że piekielnie leniwy. Stąd i nie szła mu gospodarka, i poza dziećmi mało w niej przybywało.

Najbardziej cieszył się wyprawą Michał, skacząc i śmiejąc się przy byle okazji, aż Mietek go podpytywał, kiedy wreszcie się ustatkuje. Chłop jak byczysko, do wojska się wybiera, a takie chichy wyprawia, jakby koszulę przytrzymywał zębami.

Michał rechotał po swojemu, jakoś wdzięcznie i zaraźliwie, bo wkrótce śmiali się wszyscy, potykając się na kostropatym lodzie.

Operacją kierował Mietek, jako najwytrwalszy rybak w tym gronie i najlepiej obeznany z jeziorem.

— Podejdziemy pod tę zatokę — wskazywał palcem. — Tam zawsze okoń żeruje.

— Cholera, żeby to na łyżwach...

— Aha, po takiej grudzie! Musi przyjść mocna odwilż, roztopić to wszystko. Wtedy dopiero trochę mrozu i mamy gładkie szkliwo. Nic, już jesteśmy na miejscu. Michał, zaczynaj tu rąbać przeręblę. Potem przy trzcinie i trochę od niej na prawo. Ja zrobię to samo z drugiej strony. Paweł, sieczcie ze szwagrem od środka.

Z brzękiem spadły na lód zaostrome przy końcach ciężkie piesznie żelazne, dźwigane przez Pawła. Za chwilę głuche kucie echem poniosło się na lasy.

— Całą rybę wystraszymy w ten sposób.

— Nie bój się, Edek, starczy jej dla nas. Gotowe, możesz zaczynać. Nie rozwijaj więcej jak ze dwa metry, bo wplączesz błyszczkę w krześlisko. I tak jak ostatnio, powoli do góry i w dół, do góry i w dół. Nie więcej jak na długość łokcia. Jak coś, to wołaj. Aby drgnęło, podcinaj. No, już!

Z drugiego końca wlotu do zatoki rozległ się nagle radosny wrzask Michała.

— Mam, mam...

Spojrzał. Nad lodem połyskując złościście trzepotała spora ryba. Widok ten wzbudził w Edku rybacką pasję. Ujął mocno w rękę metrowe wędzidło, przytrzymał palcami kołowrotek, wypuścił przykazaną ilość linki z maleńką, ołowianą błyszczką na końcu, zarzucił. Odczekał,

potem miarowo podnosił i opuszczał ramię. Spodziewał się każdej chwili mocnego uderzenia. Czas jednak mijał, już mu ramię zmartwiało i ciągle nic...

Obejrzał się, Mietek, odległy od niego nie więcej jak o rzut kamieniem, windował sporą sztukę. Psiakość, a tutaj puchy.

— Za szybko, spokojniej i wolniej — pomrukiwał do siebie.

I znowu nic. A tamci, widział i słyszał, mieli sukcesy.

Zacisnął zęby. „Psiakość, nie mam szczęścia do ryby!” — przypomniał jesienną przygodę.

Szarpnął wędziskiem raptownie, całą siłą. Dojrzał jeszcze, jak spora sztuka obita się spodem o lód i zapadła w głębinę. Cholera! Obejrzał się, czy nikt nie widzi, jak okropnie partaczy. Za ostro pociągnął, nie opanował emocji.

Ledwie zanurzył błyszczkę i podciągnął ją do góry, lekkie drgnięcie zaświadczyło, że ryba chwyciła. Teraz już nie szarpnął, wolno, zaciskając zęby dla zachowania nakazywanego sobie spokoju, wyciągał linkę. Głowa okonia wyjrzała z wody wielkimi oczyma i... wolno odpłynęła pod lód.

Gotów był płakać z irytacji. Teraz znowu za wolno. No tak, nie podciął, jak Mietek mu mówił. Okoń słabo chwycił i zerwał...

Potem znów długo, długo nie było nic. Pocieszał się, że tamtym szło mało lepiej.

Nagle silne, ostre szarpnięcie. Podciął trochę za mocno, zaterkotał kołowrotek, wypsnął mu się z palców. Podchwycił gwałtownie, począł nawijać. Czuł silny opór. Oho, oho! Aż dygotał z napięcia. Dojrzał pod wierzchem białawy brzuch, znów terkot, znów linka luźna. Teraz ciężiej było zwijać, kołowrotek piszczał, zaledwie się obracał... Co robić?

— Mietek! Mietek!

— Co?

— Jakaś wielka sztuka, nie mogę poradzić...

Już był przy nim.

— Pozwól! O, diabli, co to jest? — popuścił chwilę. — Ryba, bo szarpie, i jak jeszcze! Coś ty chwycił? Pewnie popuściłeś za wiele?

— Zdaje się.

— Mogła zaplątać linkę w korzenie, trudniejsza sprawa.

Dłonią na płask zaczął uderzać w wędzisko. W pewnej chwili kołowrotek znowu dał znać o sobie. Mietek odczekał i równo, spokojnie zaczął nawijać bębenek.

— Teraz idzie. Masz, winduj sam. Twoja ryba... Co to może być?

Uważnie śledził poczynania towarzysza.

— Wolniej, wolniej, spokojnie. Popuść, ale tylko trochę, trochę... Ciągnie?

— Nie.

— To winduj, winduj, ale bez nerwów.

Chwila męczącego wyczekiwania.

— Czekaj, chwyć w podbierak, o już, fiuuu!

Aż zagwizdał, wyrzucając poderwaną zręcznie do podbieraka podłużną rybę. Potem złapał Edka wpół i uściskał gorąco.

— Wiesz, co to jest? Sandacz, ze trzy kilo wagi... Pierwszy raz słyszę, żeby zimą pod lodem żerował sandacz. Ty masz szczęście...

Edek promieniał. Wydał usta z lekceważeniem.

— Tylko patrz dalej! Tu dobre miejsce, jest ryba...

Na wołanie Mietka całą czeredą zebrawi się przy sandaczu. Nie mogli się nadziwić tej najmniej spodziewanej zdobyczy. Edek tymczasem, niby nigdy nic, nurzał miarowo swą wędkę w ciemnej dziurze przerebli. Nic nie brało.

— Trzeba odczekać. Zmieniamy stanowiska. Za jakąś godzinę można będzie tu wrócić.

— Ja zostaję — nie rezygnował Edek.

— Szczęście to masz, ale smykałki rybackiej ani za grosz — skonstatował ze śmiechem Mietek i odszedł na dalsze łowisko.

Chłodno było. Mimo ciepłego obuwia od lodu ciągnął przykry ziąb. Wiatr może nie był większy, ale na otwartej przestrzeni jeziora hulał swobodniej. Kołował, zawracał, znów uderzał nagłym zrywem, niecąc chmury drobnego, kłującego śniegu. Sponurzało. Mury lasów zwały się w ciemną plamę, zamgliły, mniej kontrastowały z nisko opadłą kopułą nieba.

Ściągnął mocniej pas na podniszczonej jesionce, nastawił kołnierz. Wdzięczny był leśniczemu za życzliwie ofiarowaną watówkę. Nie wytrzymałby bez niej na tym wydmuchu, brrr!

Przełożył wędzisko do lewej ręki. Nic nie brało. Czyżby Mietek miał rację? Ale miejsce dobre, taki sandacz — obejrzał się z satysfakcją na złowioną rybę, zesztyniałą już na zimnym powietrzu.

Koledzy odeszli znacznie dalej. Czasem któryś z nich wykuwał w lodzie nową dziurę, daleko niosły się odgłosy uderzeń, odbijały o las i zawracały głuche, zduszone.

Podciął zręcznie, tym razem zgodnie z zaleceniami Mietka. Najciekawsze, że zrobił to zupełnie automatycznie. Spory okoń wyskoczył na lód, opadł z błyszczką, silnymi odrzutami ogona skakał w powietrze, opadał ze stęknieniem, znów tańczył w zrywach desperackiej rozpacz i buntu.

Jeszcze dwie sztuki, raz po razie, bez pudła, pomnożyły dotychczasową zdobycz. Był zadowolony. Nie wróci z próżnymi rękami. I w dodatku ten sandacz.

Opierając się narastającej zadymce, przyczłapał do niego zmarznięty Michał. W siatce niósł kilka okoni.

— Ty masz więcej — stwierdził spokojnie, taksując Edkowy połów. — Bierze? Mnie już żadna nawet nie spróbowała. Może przejdziemy tamtą stroną zatoki, wzdłuż brzegu, gdzie trzcina wychodzi w wodę długim zakosem — wskazywał ręką. — Latem drobiazg chmarami wyfruwał tam na powierzchnię. Szczupaka też ładnego wziąłem w tym miejscu na żywca. Spróbujemy.

Poszli pod wiatr, przygięci, aby lepiej stawiać mu opór.

— Michał, ty skąd pochodzisz?

— Stąd, z Pizsa

— Z rodzicami mieszkasz?

Podleśniczy zasępił się, burknął cicho:

— Sam bliskich krewnych nie mam... Ojciec nie żyje, zginął na wojnie. Matka wyjechała razem z siostrą. Ja zostałem.

I jakby nie chcąc udzielać dalszych wyjaśnień, wskazywał, gdzie proponuje spróbować szczęścia. Z pasją kuł piesznia, aż kawałki lodu pryskały daleko. Nadlatujący świszczący falami wiatr owijał go perzynami ostrego śniegu jak muślinową zasłoną.

— Zrobię drugą przeręblę tuż koło ciebie, dobra? Tutaj woda głęboka, można wypuszczać na dobre pięć metrów, kiedyś mierzyłem...

Edek przyglądał mu się spod oka. Czemu on nie chce mówić o sobie i swojej rodzinie? Mazur, to wiadomo. Ojciec zginął na wojnie, no przecie, że nie w partyzantce... Wesoły chłopak, niby nawet gaduła, a skryty przy tym w niektórych sprawach. Szarpnął, gdyż wędzisko zadrgało. Nawijał żyłkę na kołowrotek, czuł opór, już nic, puściło. Kłapa.

Ale zaraz potem wyrzucił dużego okonia. Największego ze złowionych dotychczas. Mietek także triumfował, pokrzykując z entuzjazmem nad każdą rybą.

— Ale biorą, jak zamówione!

Rzeczywiście, trafili na świetne żerowisko. Sztuka za sztuką, łapczywie, żarłocznie, zaraz po opuszczeniu rzucały się na błyszczkę, potem oniemiałe dawały się rolować na powierzchnię i dopiero na powietrzu rozpoczynały rozpaczliwą, z góry przegraną walkę.

Edek zapomniał o zimnie, o wietrze bijącym kruszynami śniegu wprost w oczy, o nisko

przewalających się chmurach, miejscami aż brunatnych, które teraz zaczęły się kłębić w zwariowanym tańcu.

— Śnieg będzie. Czuję, że leśniczy zarządzi obchód rewiru. Nie mamy jeszcze dokładnie sprawdzonego stanu pogłowia. Ej, Edek, wybierz się z nami.

— Dobra.

— Ej, co za uciecha. Znów...

— I ja też, patrz, jaki piękny.

A potem nagle przestały brać. I wiatr się podniósł tak silny, że aż zginali się wpół, aby stawić mu opór, a nogi rozkraczali szeroko. Chmury wraz z wichrem zwały się na ziemię, zanikły w kurzawie ściany lasu, tylko głuchy szum szedł od brzegów skutego lodem jeziora. To drzewa broniły się przed atakiem nawałnicy.

— Zbieraj okonie, szybko — wołał zaniepokojony Michał.

Po omacku niemal wrzucali do siatek zimne, zeszywniałe ryby. Michał przynagłał.

Gdzieś z daleka, albo tak się im przynajmniej zdawało, doszły nawoływania pozostałych amatorów zimowych połowów. Michał odkrzykiwał, przykładając dłonie do ust jak trąbkę, zaraz jednak zaprzestał.

— Nie usłyszają, wiatr tak kołuje... wszystko wzięłeś? To dawaj rękę, biegniemy. Uważaj, żeby nie wpaść w jaką przerębłą. Nic nie widać. Ależ wichura!

To już nie była zadymka. Edek nie widział jeszcze nic podobnego. Z nieba śnieg sypnął nieprzeniknioną lawiną.

Zakłębiło się zaraz z głuchym poświstem szarpnęło nimi tak nagle, że nie przygotowani z całymi impetem runęli na lód. Edek uczył, jak szorpata nawierzchnia zorała mu rękę wolną od rękawicy, wcześniej już zabranej przez wiatr.

— Wstawajmy, hej! — Michał wrzeszczał całą siłą płuc, a przecież ledwo tylko mógł go zrozumieć.

Usłuchał niechętnie. Na lodzie było jakby trochę ciszej, gdy się wtuliło twarz w kominierz i ramiona.

Z największym wysiłkiem stawiali krok za krokiem, czasem spychani z powrotem, to znowu dla odmiany wyrzucani podmuchem do przodu.

Było już teraz zupełnie ciemno. Nawet kłębiący się śnieg szarzał, miejscami po prostu czerniał. Michał pośliznął się. Poszum wichury rozdarł dźwięk padającego na lód drążka do dziobania przerębli.

Edek z największym wysiłkiem opierał się wicherze. Śnieg narastał pod nimi w grube zwały, prawie po pas, to znowu ślizgali się po lodzie wyczyszczonym jak szkło. To już nie szum, ale trzask potężny, nieustanny, świst przeraźliwy, upiorny przewalał się koło nich. Zamieć musiała być wspomagana przez wszystkie chyba szatany. Czuli, jak narasta w nich rozpaczliwa świadomość, że nie dadzą rady, by dłużej opierać się straszному szaleństwu natury. Pochłonie ich, zmiecie, gnać będzie bezwładnych po lodzie, sztywnych jak te okonie, które tak niedawno wyrzucali na brzegi przerębli. A potem przysypie wielką zaspą śniegu i lodu, aż do wiosny, kiedy znowu zapluszczą fale jeziora.

Około kolan, pasa, twarzy zaszeleściło coś nowego, otarło się, uderzyło silniej przy nowym naporze wichury. Poznali, to trzciny. A więc już brzeg, dotarli. Jeszcze trochę, będzie las, drzewa dadzą osłonę, przytulą...

Resztką sił szybko przebiegli te parę kroków, które dzieliły ich jeszcze od zbawczego brzegu, wdarli się nań, objając o krzewy i pnie.

— Udało się...

— Tak.. Patrz, i obaj mamy ryby ze sobą!

Spojrzeni zdumieni na siebie, potem na siatki pełne osypanych śniegiem okoni i raptem zaśmiali się, szczęśliwi teraz i spokojni.

Tu, w lesie, nawałnica nie była tak groźna i silna. Wyglądało, jakby szła górą, szczy-



tami świerkowych olbrzymów, które godnym mruzcando odpowiadały na każdy atak zawiei.

Przypomniawszy sobie nagle niedawne ciężkie chwile, z wysiłkiem zwrócił bezwładną, zlodowaciałą twarz do podleśniczego.

— Michał, tyś mnie uratował. Sam bym nie wiedział, gdzie brzeg...

— Ja też nie wiedziałem. Szedłem na ślepo. Jak nasi chłopcy, czy poradzili, czy może dotąd są na jeziorze? Edek, nie siadaj, niebezpiecznie, musimy iść jak najszybciej do domu. Bo jeżeli tamci na lodzie, to trzeba ratować...

— Chwileczkę, odpocznę, nie mam sił... Oni nie byli tak daleko jak my. Na pewno zdążyli wcześniej dobrnąć do lasu... Zapalę papierosa.

Próżne wysiłki. Zesztywniałe palce nie mogły potrząść drewnianym o maskę pudełka. A gdy się to wreszcie udało, wiatr zgasił płomyk, zanim ten zdążył się rozpalić...

Michał rozpaczliwie tarmosił towarzysza, namawiając do dalszej drogi. Wreszcie Edek podniósł się z niechęcią, ledwie stawiając nogi.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytał, gdy weszli na drogę, po której wiatr hulał znowu swobodniej.

Podleśniczy rozglądał się uważnie. Powiódł oczyma po pniach drzew i wtedy roześmiał się zadowolony.. Na wiosnę ubiegłego roku właśnie na tej linii rozmieszczał budki ptasie.

— Tak i myślałem, wyszliśmy na północną stronę jeziora. Całe szczęście, nie potrzebujemy okrażać, a tak byśmy musieli maszerować aż do wieczora. I tak mamy ponad godzinę drogi...

— Ojej, aż tyle? Ja nie dam rady tyle drałować... Wszystko mi przemarzło — skarżył się Edek.

Nie zważając na opory Michał odebrał od niego siatkę z rybami. Potem wysunął się do przodu, pierwszy złoścąc ślad w syrkim śniegu. Wiatr mącił i tutaj, sypał w oczy białym pyłem, ale była to teraz dziecięca zabawa. I tak wlekli się krok za krokiem, coraz bardziej znużeni i senni.

Zawieja zdawała się z wolna ustawać. I śnieg już nie sypał tak gęsty jak przedtem. Płatki zmalały, drobnym nalotem osiadały na ubraniach.

Michał długo mordował się, nim wreszcie dobrnął do skrytego gdzieś głęboko w kieszeni zegarka. Zesztywniałą dłonią wyciągnął staroświecką cebulę, długo na nią popatrywał, wreszcie przyłożył do ucha.

— Która?

— Nie uwierzysz. Dochodzi trzecia. A wyszliśmy z domu zaraz po dziewiątej...

— Tyle czasu wojowaliśmy na tym lodzie?

Podleśniczy wzruszył ramionami.

Jakże radosne wydało się im szczekanie Rexa i Kulasa. A potem, gdy dobiegł ich jeszcze cichy pisk Mirci, gdy na spotkanie wybiegła sarna, wiedzieli, że nareszcie są w domu. Niespokojny i blady, na progu czekał leśniczy. Odetchnął głęboko.

— Bogu dzięki. Raz tylko, na Polesiu, przeżywałem coś podobnego. Daj asan pokój, prawdziwy tajfun, jakże inaczej to nazwać? — Urwał, niepokój zabrzmiał w jego głosie. — A tamci?

— Nie ma ich jeszcze? Może wyszli po tamtej stronie jeziora, od krześliska w zatoce było im najbliżej. Myśmy z Edkiem łowili głębiej, za tym dużym pasmem trzciny koło karpi-ska...

Słowa Michała nie uspokoiły leśniczego. Spoglądał to na zegarek, to na ciągle jeszcze gnące się pod naporem wiatru wierzchołki drzew, to na płatki śnieżne wytrwale zasypujące ziemię.

— Chodźcie szybciej do domu... Przemarzliście. Tam opowiecie, co i jak... Byłem nad jeziorem, widziałem, co się działo... Pomyślimy, co robić, szukać ich czy czekać.

Dużo wódki, dużo herbaty, zmiana odzieży i nacieranie aż do bólu, ciepły pokój.

„Byłoby cudnie, myślał leniwie Edek, gdyby nie lęk o pozostałą trójkę. Czyżby nie trafili na brzeg, zostali na lodzie?”

Zasnęłyby chętnie, straszliwe znużenie waliło go z nóg. Szczypał się, mrugał zapuchniętymi powiekami. Co z nimi? Co z nimi?

Wiatr przycichł. Śnieg siąpił teraz drobniutko. Leśniczyna z założonymi na piersiach dłońmi stała w progu pokoju, wyczekująca, czujna.

Zajrzał leśniczy ubrany do drogi.

— Idziesz na poszukiwania?

Poderwał się z miejsca. Leśniczyna pomogła mu się ubrać. Najbardziej chyba opanowana z nich wszystkich, sprawdziła, czy zabrali ze sobą termos z gorącą herbatą, wódkę, słoinek dla natarcia odmrożonych rąk czy policzków.

Leśniczy był też spokojny i opanowany. Tylko twarz jego szczerwieniała, wystąpiły na niej ciemne plamy, a głos cichszy był o ton niżeli zazwyczaj.

— Rex! Kulas! — zawołał.

Ruszyli na przystań. Psy pobiegły naprzód, baraszkując w śniegu, rade z niespodziewanego spaceru.

— Halo! Halo!!!

Przystanęli. Od zabudowań biegła pani Helena z wieścią, że od brzeźniaka nadeszli wszyscy trzej.

Leśniczy zdjął czapkę, chwilą milczał patrząc na ciemne, wezbrane chmurami niebo.

## 10. WIECZORNE WSPOMINKI

Jakie te siwe, ostre zazwyczaj w spojrzeniu oczy leśniczego potrafiły być pogodne i pełne spokojnej radości! Edek zerkał na twarz gospodarza i widział przede wszystkim właśnie te oczy, przysłonięte rozrostłymi brwiami. Takie były teraz ciepłe, życzliwe, śmiały się wraz z całą twarzą.

Słowa kolędy rozwalaly ściany pokoju, wybiegały za dom, na drogą i lasy. Zdziwiony Rex zaglądał z korytarza i znów wycofywał się, po czym trwał długo w skupionej medytacji nad miską wciąż pełną zarcia, mimo iż ledwo już dyszał z przejedzenia.

Najważniejsze, że tryskały z tych kolęd radość i ciepło rodzinne.

O właśnie, rodzina! Edek oddychał tą atmosferą po wielu latach przerwy, w czasie których święta były tylko okresem picia i jedzenia. U szwagrostwa też śpiewano kolędy, siostra miała kiedyś ładny głos, potem chrypa, stale zalegająca jej gardło, dusiła słowa. I on sam śpiewał, pijany jak i szwagier, z rozchełstaną marynarką i niespokojnie szumiącą głową. I właściwie nie mieli wtedy nic do powiedzenia. A jeszcze dalsi byli od marzeń...

Patrzył na Michała. Niedawna przygoda, która mogła się przecie skończyć tragicznie, zbliżyła go do pogodnego chłopaka, mówiącego chropawym językiem. Nie zostawił go, ciągnął za sobą na zbawczy brzeg... Siedzi teraz, mruży dziecięce oczy, uśmiecha się. I raczej tylko domyślić się w nim można utajonej gdzieś głęboko tęsknoty, nie spełnionego wyczekiwania.

Paweł był rozmarzony, wiadomo, myślał o swojej dziewczynie. Już jutro wieczorem chciał lecieć do niej. Nie zatrzymywali go, któż nie zaznał takich historii... Czasem ten rostry, mocny chłopiec spoglądał na leśniczego i wtedy w spojrzeniu jego nietrudno było doszukać się uczucia wdzięczności. Podobnie zresztą u Marysi, jego siostry, która każdej chwili wolnej od pilnowania swych pociech czule uśmiechała się do obojga leśniczych.

*nie może jeść gruszek...*

Głos pana Gasińca wybijał się nad inne. Aż przytupywał nogą, a twarz śmiała mu się szeroko. Jeszcze tylko mąż Marysi wyciągał równie mocny głos ze swej chudej piersi.

Mietek zawzięcie łuskał orzechy i mrugał porozumiewawczo do Edka.

Dawno już zniknęły ze stołu wigilijnego potrawy, łącznie z sandaczem bohatersko wyratowanym z zawiei. Tamta trójka porozsiewała wszystko na lodzie. Ale i tak starczyło. Wiele tam zresztą tej ryby trzeba, gdy jest i słodka pszenica, i śledź, barszcz z grzybowymi uszkami i kompot, i kisiel, i mleko makowe, trudno po prostu spamiętać. W rogu stała choina. Pachniało lasem. Pamięć Edka nasunęła wspomnienie podobnej choinki, przybranej świecidełkami. Dawno to, dawno już temu. Ojciec trzymał go na kolanach, malutki był przecie, matka troskliwie krążyła wokoło... Westchnął.

— No cóż, Michałek? — leśniczy spojrzał przyjaźnie na swego pomocnika.

— Dobrze. — Słowa te zabrzmiały z ogromnym przekonaniem.

— A o swoich tam czasem nie myślisz? Nie wspominasz?

— Bywa, chwilami... W tym roku nawet kartki nie przysłały. Zawsze to bliscy, trochę żal. Gdyby nie pan leśniczy, aniby miał się gdzie podziąć w ten wieczór. Trudno bywa samemu.

Poklepał go po ramieniu.

— Nic, Michał, odrobisz swoje, nabędziesz leśnej wiedzy, to może i bez szkoły leśnictwo dostaniesz. Tyle że dłużej to potrwa. Paweł, jak trafi się okazja, to za rok może obchodzić własny rewir. Połowę praktyki ma już za sobą... — Spojrzał na wychowanka, pogroził mu palcem. — Żebyś tylko tam kłusownikiem nie został ze swoją ochotą do zwierzyny.

— Ech, wuj wie, jak pilnuję tych spraw... Ale swoje dwa dziki jednak dostałem — rzekł z wyraźną przechwałką. — Myślałem, że po tej burzy nic już nie trafię. Noc przesiedziałem, ale wyszedłem na swoje. Pamiętałem, że zawsze ich było pełno w tej buczynie, lato czy zima.

— Opowiedz, Paweł, bo nie miałem czasu zapytać. O psiakrew, boli to kolano... — W czasie burzy Mietek silnie rozwalił nogę. Bolała go, kulał przy chodzeniu.

— Ciekawie było. Gdyby nie ambona, doszłoby do tęgiej przeprawy... Ten odyniec i pomógł mi, i przeszkodził... Trzy dni przecie zmarnowałem, nim się doczekałem swojego. Ponowa dopiero wskazała, że w buczynie jest czarna zwierzyna, widziałem tropy.

— Na ambonie zasiadłeś?

— Na ambonie. Trzeba ją podrychtować, bo już podgniła, można rymnąć na łeb... Miejsce wybrane dobrze, przy polanie, co dzieli buczynę od młodniaka po drugiej stronie. Światło księżycy rozlewa się jasno... Siedzę, siedzę, cisza, jak zbawienia nasłuchuję fukania i nic, ale to nic. Sarny przeszły, sowa zakotłowała, a o dzikach głucho. Było już dobrze po dwunastej, spać mi się chciało, zmarzłem, ale czekam. Wreszcie z daleka dochodzi fukanie, oho, myślę, idzie wataha. A tu znowu ucichło. Nic, czekam, już jest nadzieja... Znowu, ale teraz jakby szedł pojedynek. Wytrzeszczam oczy, jasno, mówię wam, jak w dzień. I prosto w światło wylaży raptem odyniec, stara bestia i kuta. Fuka, fuka, sterczy na skraju lasu. Trochę nieporęcznie mi było mierzyć, myślę, wyjdzie na polanę. A fajki i szable to widzę z daleka, chyba na karku nastroszony, no, widzieliście zresztą sami... Serce mi chodzi jak na starych zawiasach. Nie ma co, mierzę, i w tej chwili, cholera taka, cofa się raptem w buczynę. Myślałem, że zaklnę głośno... Wyczuł mnie czy jak? Ale nie mógł chyba z tamtej strony... Raptem słyszę, wali cała wataha. Pewnie on tę lochę z wycinkami przepłoszył, stąd nie mogłem się ich doczekać.

— Ja bym nie wytrzymał tak spokojnie. Waliłbym od razu... — wtrącił zasłuchany Edek.

— Pewnie, że nie było łatwo... Żałowałem, że nie próbowałem... No, ale nic. Więc wychodzi ta locha, cztery wycinki pętają się koło niej. Walą prosto na młodniak. Wybieram

jednego, na wprost. Reszta w galop... I tutaj nagle, licho wie czemu, wrywa z gąszczu ten odyniec, aż zadudniło. Składam się, strzał wychodzi mi na kulawy sztych. Zatrzęsło nim, zakręciło, ale rwie dalej. Zdażyłem posłać mu drugą kulę, gdy już wpadał w zagajnik...

— Zarył pewnie na miejscu? I co to za kulawy sztych?

— Czuję, Edek, że będziesz jeszcze myśliwym, aż ci w ślipiach łyska, jak słuchasz... Kulawy sztych to strzał na wprost, ale z lekkim ukosem... No i nie wiem teraz, leży tam czy uszedł, bo ta locha ze swymi szum ciągle robi, nie rozróżnisz, kto gdzie. Złazę z ambony, nogi mi ścierpły, jestem w pogotowiu, bo to wiadomo, jak z odyńcami... Wycinek leży na szaro, ładnie dostał... Podchodzę do zagajnika, gdzie runął ten stary diabeł, na śniegu pełno farby, wybita dziura, musiał zaryć po strzale. Zaglądam, włożę w gąszcz, ani śladu. A w młodniaku mrok zupełny. Zrobiłem pewnie ze dwadzieścia kroków, widać głębokie odbicie rapet, palcami wyczuwam farbę. I wtedy jak nie fuknie, jak nie zatrząsę drzewkami, czuję, pcha się na mnie... A ciemno, ciasno, gdzie się tam składać, jakoś się jednak udało, pchnąłem dwa naboje trochę na ślepo, raz po raz. Uff, zważył się. Nie od razu odważyłem się podejść bliżej. Ale miał już dosyć...

— Daj asan pokój, nie po myśliwsku to było... Po ciemku szukać w młodniaku raniowego odyńca. — Niezadowolony leśniczy kręcił głową.

Paweł uśmiechnął się skruszony. Ryzykował, ale tak się przejął tym odyńcem, że zrobił głupstwo.

— Nie można, chłopcze, nie można... — Zwrócił się do Edka: — Nie ma nic gorszego jak ranny taki stary wycirus. Potrafi zarżnąć swoimi szablami na śmierć.

— Ma wuj doświadczenie, jak to z odyńcem wygląda...

— A mam, mam. I jeszcze raz mówię: ostrożnie, nie żarty! Raz przesiedziałem całą noc na drzewie, a mróz był tęgi, palce u nóg sobie wtedy podmrażałem... Parę lat później zrobiłem podobne głupstwo jak Paweł. Ba, zwierz dalej był jeszcze ode mnie, na polu, dobre dwadzieścia metrów. Trafiłem drugi raz, mocno dostał, a jednak dogonił, zdołał mi nogę porać, że trzy miesiące leżałem. Jeszcze jednak odskoczyłem i już tylko kolbą trzasnąłem przez łeb. Ogłuszyłem pewnie, bo machnął o ziemię. Dla pewności aż trzy kule wpuściłem mu z bliska. O, ślad, jaki pozostał — podciągnął nogawkę spodni, zwinął skarpetkę.

Od kostki aż po kolano ciągnęła się szeroka, biała blizna, jeszcze teraz głęboka na dobry palec. Spoglądali z podziwem.

— Dobra lekcja, wuju, brrr, będę już teraz więcej uważał — wzdrygnął się Paweł.

— Ze zwierzem zawsze trzeba ostrożnie, nigdy nie wiadomo, co się może przytrafić. Opowiadał mi nadleśniczy historię z szydlarzem, tutaj już, w piskich lasach...

— Szydlarz to kto?

— Tak zwiemy starego rogacza, a czasem i sztukę o rogach jak szpice, bez odnóg... Młodego znów określa się jako szpicaka. To cały język łowiecki, trzeba ci, Edek, go poznać...

— Więc jakże, wuju, z tym szydlarzem? — zaciekał się Paweł.

Rozgadali się na łowieckie tematy. Leśniczy teraz mniej już polował, zestarzał się trochę, pracy w rewirze miał nadmiar, a i w obejściu też zajęć co nie miara. Więcej żył wspomnieniami. A Paweł? Ten dopiero zaczynał swoją karierę, mógł godzinami chłonać opowieści z pola i kniei...

Edek słuchał ciekawie, choć nie wszystko rozumiał. Coraz to padały słowa, których dotąd nigdy nie słyszał. Kie licho te badyle albo breneka? Co to za grandle czy wreszcie ten mikot? Żurawie strukają? To znaczy, co robią? Kogo określa się mianem wsteczніка i kto w lesie ma perły? Początkowo wypytywał, potem nie chciał przerywać toku gawędy. Zresztą rozleniwiał się. Rozparł się wygodniej w krzesło, wwąchiwał zapach smreczyny, było mu dobrze, spokojnie. Oczy zaczynały się kleić do snu. Uśmiechnął się. Chodził tutaj spać wcześniej o dziecinnej godzinie. Gdzież porównać z Olsztynem, kiedy życie zaczynało się dopiero, gdy zmrok zapadał, a noc była zawsze za krótka...

I nagle zatęsknił za tym bujnym, niezwykłym olsztyńskim życiem... Za włóczęgą po mieście, emocjami przy otrzymywaniu większych partii biletów kinowych, za włóczęgami po knajpach i towarzystwem ładnych dziewcząt. Ej, poszumiałby teraz z kumplami, porozrabiał, wdałby się może w awanturę czy bójkę. Tu w Sumach zbyt jednostajnie, spokojnie. Przypomniał sobie nawałnicę śniegową. No tak, ale to coś zupełnie innego, tutaj jest się bezradnym, jakż odpór stawiać szaleństwu wichury? Gdy tymczasem życie wielkiego miasta ma swoje powaby, kusi niebezpieczeństwami, z którymi czy to głową, czy choćby pięściami można sobie poradzić. Jeszcze jak się wypije ćwiartuchną jedną i drugą, pod śledzia w oliwie czy korniszonka... Ech, szumiało się tam, szumiało!

Jakoś inaczej, z góry, spozjrzał na towarzystwo zebrane w leśniczówce. Jakże mało wiedzą oni o życiu. Jeszcze leśnicy, ten wiele przeszedł, ale reszta? Chorowity, spokojny Mietek, dziecinny Michał, nawet ten Paweł, choć poznać po nim, że tego i owego na pewno już skosztował. Ale teraz wrębał się w dziewczynę, o żeniaczce zamyśla, stracony chłop... Albo Kulczyk, siedzi pewnie w rodzinnym domu, wiersz jakiś pisze. I cóż on może wiedzieć o miłości ze swoją twarzą jak kartofel i wzniosłymi piętami, jak w romantycznej bujdzie? Kochliwy, ale więcej w tej jego miłości wzdychania i cikliwych łez niż męskiej jurności. Gdyby tak trafił pomiędzy wszystkie te kizie, co to chleb miłosny jadły już z niejednego pieca. Dopieroż by przeszedł szkołę kochania... Choć kto wie, może takie kochanie jak Kulczyka więcej warte od łatwych amorów z rozhukanymi dziewczuchami? Sam przecie, bywało, tęsknił do jakiejś czystej, pięknej miłości, gdzie kochano by go dla niego samego, a nie dla innych względów. Tylko czy to warto tak kochać naprawdę? Obraz dziewczyny wyraźnie zarysował się przed nim. Wera, niebrzydka, a do tego pierońsko zgrabna. Długie i silne nogi, piersi też niczego... Zachnął się zaraz. Cóż z tego? Wera, Wera. Niby to pyskata, zadzierzysta, ale w głębi chodząca cnota, jak to wszystko wokoło. Ani przystąpić do takiej bez ślubnych obrączek. Diabli nadali! Całe to miasteczko i wioska, i leśniczówka zagubione gdzieś na końcu świata, daleko od zgiełku innych okolic, a przecie zarazem takie parafiańskie w swej nudzie, takie clikwe w romantycznych rojeniach. Z jednej strony biorą się tu podobno przy byle okazji za łby, z drugiej dziewczucha boi się wyjść z chłopcem na dalszy spacer, bo miejscowe wiedźmy rozniosą ją na językach. Dziwaczny świat... jakoś nie bardzo do niego pasuje. Choć skądinąd przyjemnie. Ot, choćby dzisiejsza wigilia. Jakby we własnej rodzinie. Choinka, kolędy, ciepło i życzliwie Kto wie, co lepsze?...

Ocknął się z rozmyślań na mocny głos leśniczego.

— Patrzenie, dwunasta, przeleciała nie wiedzieć kiedy... Pora spać, należy się we święta. Rąbniemy po jednym dla ochoty i koniec, szlus na dziś... — Z namaszczeniem rozlewał wódkę w kieliszki, na dnie których czerwieniły się jeszcze resztki domowego wina.

Gorzki, cierpki smak wódki przyprawionej na jagodach jałowca otrzeźwił Edka zupełnie. Z żalem spojrzął na nie opróżnioną flaszkę, poczuł ochotę na większą wypitkę, ale się pohamował. Pal sześć, ma w swoim pokoju pół litra, chlapną z Michałem po szklance...

Chlapnęli. Michał trochę się z początku wymawiał, że nie przyzwyczajony, rzadko pija, gdy go jednak Edek wykiął solidnie, przestał oponować. Tym bardziej że imponował mu ten przybysz z wielkiego miasta. Swoim obyciem, przeżyciami, nie wspominając już o tamtej historii z traktorem... Ciekawie słuchał refleksji z wizyty w Karwicy.

— No, siup, Michał, w twoje ręce! — Podniósł szklaneczkę po musztardzie. — Więc raptem opróżniło się, wszystkie te babki zniknęły, jakby się pod ziemię zapadły. A tu i matka smyga do kuchni. Myślę, źle będzie, trzeba jak najdalej od dziewczyny, bo zaraz gotowi do żeniaczki namawiać. A po prawdzie, to miałem ochotę cmoknąć ją, podszczypanąć tu i ówdzie. Niczego sobie ta Wila... I zaraz potem na motor, aby dalej od tych podejranych historii... Strach na takiej wiosce dziewczynę potrać, no nie?

Michał z powątpiewaniem kręcił głową.

— Ja ich znam. Nie wiedzą, jak ci się odpłacić, żeś życie jej wyratował... Widzisz, nasi

ludzie to serca łatwo nie otworzą, ostrożni są. Ale jeżeli już kogoś polubią, to wszystko by mu ofiarowali. Ty jeszcze nie znasz Mazurów...

— Może i nie znam. Ty jesteś też Mazur, tak?

— Mazur. No, Polak...

— To nie to samo, chrzaniś coś, Michał.

— A właśnie że to samo! Jak Boga Kocham, to samo...

— Et, potem pogadamy. Masz, wypij. Szkoda, że tylko pół litra, mam dziś ciąg na wódkę... No, golnij, już! Nie potrafisz tak bez zagrychy! Najlepsze picie. Jeszcze żeby tak piwo było, mieszać je z sokiem malinowym, a do tego sto gram, to ci dopiero ma smak...

— Ty dużo piłeś?

— Chciałbym mieć teraz tyle tysięcy, ile już pękło literków... Czasem cholera brała na siebie, jeszcze jak człowiek miał kaca, a potem znów łało się w siebie, co wlezie. Widzisz, tak już jest, że wódka ciągnie. O i dzisiaj, przy wili, rąbnęliśmy tyle, co kot napłakał, a już oskoma bierze, chce się więcej. Dobrze, że miałem tę flachę w zapasie.

Markotnie przyglądał się butelce z resztą płynu na dnie. Rozlał do szklaneczek. Michał wymawiał się mocno już skołowanym językiem.

— Alboś przyjaciel, albo nie. Pij! Z tej burzy toś mnie ciągnął do brzegu, a teraz takiej uprzejmości nie zrobisz? I jaki z ciebie Polak, jak wody nie żłopiesz, hę?

Rozwalił się na łóżku, dawno nie używany alkohol działał silnie. Rozjarzonymi oczyma patrzył na Michała, wciąż siedzącego przy stole w mdłym kręgu światła rzucanego przez kopczą naftówkę.

— Michał.

— Co?

— Nic... Myślę, że takie jakieś to życie głupie. Pijesz, źle, nie pijesz — jeszcze gorzej... Wypiłbym jeszcze, a potem poszedł do jakiejś babki... Są tam w Pizu ładne dziewczyny? Są, mówisz? No i co z tego, gdzie ja ich będę szukał... Wiesz, ta Wila, no ta, co to pod ciągnik się pchała, mówiła mi, że zaprosi nas na zabawę. Ale my wszystkich nie zabierzemy ze sobą. We dwójkę pójdziemy. Taki Mietek to gotów jeszcze morały prawić... Przyjdzie tutaj, zaprosi. Pójdziemy?

— Tak, Edek... A pojutrze w Pizu też będzie zabawa. Straż ogniowa urządza. Nie poszedłbyś?

Usiadł na łóżku.

— Wiesz, dobra myśl. Kiedy, w drugi dzień świąt? To dobrze, bo jutro, a właściwie już dzisiaj, nie poradziłbym. Przeżarłem się. Boże, wieleż ja wepchałem w siebie. Michał, nie ma tam więcej wody? Szkoda... Nudno. Ani wody, ani żadnej kizi w pobliżu. Ech spać się chce. Pójdziemy na tę zabawę, pójdziemy...

Zachrapał. Michał siedział jeszcze chwilę, spoglądał na towarzysza, potem ściągnął mu buty z nóg i okrył całego pierzyną. Sam też przyłożył się na drugim łóżku. W głowie mu szumiało, gdzież, tyle wódki...

Leżał patrzył na jasną noc za oknami, roziskrzoną odbłaskami księżycy na śniegu. Czasem nasłuchiwał pochrapywania Edka z pewnym jak gdyby rozżaleniem.

Michał Kłós nie był wcale aż tak naiwnym chłopięciem, za jakiego uważał go Edek. Łagodny charakter, pewna nieśmiałość sprawiały, że często spotykał się z lekceważeniem czy nawet próbami traktowania go jak niemrawego popychadła. Znosił nawet takie traktowanie cierpliwie, rzadko się buntował. Pragnieniem jego było żyć jak najbliższej ludzi, uczestniczyć w ich sprawach, być pomocnym i potrzebnym. Nie znosił samotności. Może i z tej przyczyny, że właśnie wtedy, gdy miał czas na rozmyślenia, los jego nie wydawał się mu różowy.

Ale zarazem był na swój sposób uparty i konsekwentny. Marzył, aby zdobyć w miarę samodzielną pozycję w życiu i w dalekiej choćby przyszłości założyć rodzinę. Tego właśnie najbardziej brakło niskiemu, krępemu chłopcu o łagodnym spojrzeniu jasnych oczu. I tutaj

kryła się jego największa i jedyna tęsknota. Ogromne przywiązanie do leśniczego Gasińca początek swój znajdowało właśnie w szczerym i bezpośrednim stosunku, z jakim wraz z żoną odnosili się do Michała. Wszystkie święta spędzał u nich traktowany jak członek rodziny. Leśniczy nie zezwoliłby za nic, by chłopak samotnie miał trawić świąteczne godziny w małej, zakurzonej salce na strychu domu, gdzie mieścił się w Piszcu rejon leśnictwa. Michał umiał docenić ten stosunek do siebie i za pana Gasińca oczy dałby sobie wydrapać.

Teraz nasłuchując pochrapywania Edka, rozważał jego słowa niewiary w polskość Mazurów. No tak, powiedział przecie wyraźnie, że Michał coś chrzani, bo Mazur i Polak to nie jest to samo. Dlaczego? Że niektórzy źle mówią po polsku, że łatwiej przechodzą im przez gardło słowa niemieckie, że nie pokrzykują i nie chwala się swoim patriotyzmem jak inni? A może zły przykład tych nielicznych, którzy dali się przekabacić na Niemców, rzuca cień na pozostałych? Dziś było łatwiej, wiele ludzi wyznawało się lepiej w zagadnieniu, ale przecie on sam pamiętał z własnych przeżyć to okrutnie, boleśnie krzywdzące słowo „szwab”, jakim rzucały za nim dzieci chodzące do tej samej szkoły, słowo, którym byle łobuz śmiał go piętnować dla zadowolenia swej głupiej urojonej dumy...

Zaleski przewrócił się na drugi bok. Michał nasłuchiwał. Oddech śpiącego był teraz bardziej równy, nie tak chrapliwy jak przedtem. Śpi, to dobrze. Za dużo wypił. On też pił niepotrzebnie tak wiele. Ale jak odmówić zachętom Edka? Życzliwy jest przecie dla niego, sam wspominał o przyjaźni... Tylko z tą polskością czemu on tak wyjechał? Gdyby wiedział, jak wiele ofiarował Michał dla tej właśnie polskości. Wyrzekł się własnej rodziny, skazał na samotność, wysłuchał wielu cierpkich uwag, przeżył chwile załamań, zwłaszcza przed paru laty, krótko po wyjeździe matki i siostry, gdy każdy list pisany obcymi, gotyckimi literami kusił go, zachęcał do pójścia w ich ślady, obiecywał inne zupełnie życie...

Inne życie? Nie narzekał na swój los, zwłaszcza odkąd przez przypadek trafił do leśnej służby. Terminował przedtem u pokojowego malarza, jeszcze gdy kończył w Piszcu szkołę podstawową. Matka chciała mu dać do ręki popłatny fach. Zdolny był, w krótkim czasie połapał się we wszystkich tajnikach malarskich. W końcu sam zaczął przyjmować zlecenia. Zараbiał sporo, o wiele więcej niż ta skromna, biedna pensyjka podleśniczego. Ale nie w smak była mu robota, brudna, uciążliwa, pachnąca farbami i wapnem. Od małego lubił uganiać po lesie i polach, koczować nad jeziorami czy rzeką, przyglądać się zwierzętom i ptactwu. A tu być zawsze zamkniętym w czterech ścianach, kisić się w wilgoci schnących sufitów i podłóg... Zdecydował traf. Zlecono mu odmalować pokoje rejonu leśnego. Cały budynek, całe wielkie biuro. Spisał się świetnie, szybko i dobrze ukończył robotę. Wywołał zdziwienie niskim rachunkiem, jaki wystawił. Polubili go wszyscy, od dyrektora aż po sprzątaczkę. Nawet panna Genia, maszynistka, o, ta więcej niż polubiła. Przy niej obudził się w nim mężczyzna. Tak, ale to już dawne sprawy, przebrzmiały. Już dawno nie ma panny Geni w Piszcu, podobno wyszła za mąż, nawet chyba i nie pamięta o malarczyku, który ukochał ją pierwszą, naiwną miłością chłopięcą... jednym słowem, wszyscy go polubili i nie chcieli, aby odchodził. A w tym czasie nie było wielu amatorów do nisko płatnej służby. Jeszcze na leśnictwo to były apetyty, ale na niższe funkcje choć ze świecą szukać. Namówili Michała. Że to po pięciu, sześciu latach praktyki, po zdaniu egzaminu będzie się mógł ubiegać nawet i o leśnictwo. Pewnie, ze szkołą leśną idzie szybciej, ale można i tak. Rozjaśniły się wtedy oczy chłopca. Boże, własne leśnictwo. Wielki musiał być urok tej perspektywy, skoro Michał porzucił swój fach i zgodził się żyć za kilkaset złotych pensji podleśniczego. Inna sprawa, że po paru miesiącach nigdy by nie potrafił już odejść z lasu, tak się w nim rozkochał. W Sumach też najczęściej przebywał łagodny, zawsze uśmiechnięty podleśniczy. Rewir był szczególnie rozległy, eksploatacja największa z leśnictw rejonu, musiał mieć pan Gasiniec stałą pomoc. Michał opuszczał go rzadko, ot, kiedy czasem w trakcie urlopu trzeba było, zastąpił kogoś z leśniczych. I potem, stęskniony, znów wracał do srogiej pani Heleny i znajomego świat jej męża.

A teraz ten Edek, takie głupstwa... No nic, skąd on mógł wiedzieć o tych sprawach. Tak

się wtedy zdziwił, że ojciec Michała zginął na froncie. Pewnie, że na froncie, pod Leningradem, jako żołnierz Wehrmachtu. Nikt go nie pytał, czy chce się bić za Niemcy Hitlera, czy nie chce. Mieszkał tutaj, na ziemiach należących wtedy do Rzeszy i musiał się podporządkować jej prawom. Tragedia? Pewnie, ale wszyscy Mazurzy przeżywali taką tragedię. Skąd Edek mógł znać te sprawy? Czy mógłby on wyobrazić sobie nawet, że ojciec Michała brał małego syna na kolana i nakazywał mu zawsze pamiętać o jednym: że jest Polakiem, że wszyscy Mazurzy są Polakami, a tylko Niemcy chcą ich przerobić na swoich, odebrać prawo do własnej ojczyzny...

Ech, ojciec. Nie żył dobrze ze swoją żoną, matką Michała. Młody będąc zrobił głupstwo, ożenił się z Niemką. Alboż to zresztą miłość pyta o narodowość, o tyle innych rzeczy? A jak on, Michał, zakochał się w pannie Geni, co go obchodziły szeptki, jakie życzliwi sączyli mu w ucho, że dziewczyna nic nie jest warta, że on nie pierwszy, że to i tamto, z tym i owym, wtedy i kiedy indziej? Tak samo i ojciec. Zresztą inni też mieli Niemki za żony i było dobrze. Skąd można było wiedzieć, że ta będzie wypominała ojcu jego polskość, że zakaze mu prenumerować „Mazura”, że grozić będzie policją i SS? O wielu z tych spraw Michał dowiedział się później, gdy ojciec już nie żył, nawet nie tak bardzo opłakiwany przez żonę. Obojętnie przyjęła zawiadomienie, donoszące, że pod Leningradem mąż jej zginął w obronie ojczyzny. Zajął się tylko córką, całą jej dumą, figurą w miejscowym Bund Deutscher Mädels, nienawidzącą brata, że psuje jej dobrą opinię. On bowiem nie chciał należeć do tej organizacji, jeszcze ojciec przestrzegwał go przed nią...

Tak, one wyjechały, on pozostał. Przez pamięć ojca i przez umiłowanie tej ziemi.

A teraz ten Edek! Taki miły, koleżeński. Mocny przy tym, śmiały, odważny... A nawet on wypomina mu jego mazurskość. Nic, wytłumaczy mu, wyjaśni. To trzeba zmienić powoli, powoli... Pójdą razem na zabawę, zdarzy się okazja, powie mu o swoich rozważaniach. Jak to miło, że Edek zgodził się i przyjął jego propozycję. Żeby tylko nie pił za dużo, chłopaki z miasteczka nie lubią obcych, a jak będzie pijany, mogą mu zrobić krzywdę. Ech, na to chyba on, Michał, im nie zezwoli. Czasem bywa przecież spokojnie, przyjemnie, a wytańczyć się można do syta.

Michał lubił tańczyć. Jak tylko usłyszał muzykę, już mu nogi same chodziły. I dziewczęta chętnie przyjmowały jego zaproszenie do tańca. Tak lekko prowadził. Będzie strażacka orkiestra, dobrze grają. Ech, jak porwie którąś do polki, jak zakręci, aż wszystko zawiruje przed oczyma, jak huknie obcasami w podłogę, aż kurz się podniesie...

Posłuchał oddechu Edka, uśmiechnął się ciepło do leżącego przyjaciela, zasnął z tym swoim nieśmiałym uśmiechem na szczupłej twarzy.

## 11. NOWA ROZRÓBA

Przed wielką remizą, w której zorganizowano zabawę, kupiły się gromadki młodzieży. Rząd jasnych żarówek upstrzonych kolorowymi bibułkami zdobił wejście krzywą girlandą. Umundurowani strażacy strzegli wejścia i niebrzydkiej kasjerki za małym stolikiem. Orkiestra zaczęła pierwsze tango. Ożywiło się zaraz przy wejściu, stłoczyło, jakby dopiero teraz każdy przypomniał, że przyszedł na zabawę.

— Ależ trupiarnia! Michał, gdzieś ty mnie przytaskał?

— Co, nie podoba ci się? Patrz, ładnie urządzili, przedtem było gorzej, a i to bawiono się świetnie...

Edek spojrzał na zawiedzioną jego nastrojem minę towarzysza i wybuchnął śmiechem. A gdy jeszcze jakaś czarnulka tak się, przechodząc, zapatrzyła na niego, że aż potknęła się o jakąś wypukłość w podłodze, humor jego doznał wybitnej poprawy.



— Chodź do bufetu, na tańce jeszcze czas — skinął na Michała.

Kręciło się dopiero kilka par. Pod wszystkimi ścianami na ustawionych tam krzeselkach pełno było dziewcząt, trochę speszonych, krzykliwym zachowaniem usiłujących jednak nadrabiać miną. W bufecie natomiast było już gwarno i wesoło. Wznosiły się w górę potężne kieliszki, brzękło szkło, sypały się toasty. Pachniało rozlanym alkoholem. Edek pociągnął powietrze rozdętymi nozdrzami.

— Sztafetę cztery razy sto! — rzucił do rumianej bufetowej. — I śledzia na widelec.

— Ostro zaczynasz — zaniepokoił się Michał.

— Damy radę. Forsy nie braknie.

Wypili.

— No, klawo, teraz papierosa i możemy szukać partnerek.

Przesłonięte bibułkami reflektory w rogach sali rzucały kolorowymi bryzgami światła. Reszta lampek przygasła. Od razu zrobiło się weselej i raźniej. Skocznie popłynęła polka.

— Edek, ja już ruszam. Lubię polkę. — Michał chwycił pierwszą, jaka się nawinęła, partnerkę. Edek uśmiechnął się, pokręcił przecząco głową. Uważnie lustrując salę, obchodził ją dokoła. Taksował kolejno dziewczęta, najpierw te pod ścianami, później wszystkie wirujące w objęciach partnerów. Wreszcie przyjrzał się i tym dopiero wkraczającym przez wąskie drzwi wejściowe.

Kilka dziewczyn podobało mu się. I ubrane były mało gorzej niż w Olsztynie, i na ogół wcale ciekawe. Polka huczała dalej, tupano, ktoś pogwizdywał. Nie, jeszcze ma czas. „Trzeba się więcej podhumorzyć”, pomyślał zgodnie ze starym przyzwyczajeniem.

Przy bufecie było jeszcze ciasniej. Przepchnął się jakoś, stanął obok wysokiego chłopca, raczącego się piwem. Poznał jednego z traktorzystów, z którym pracowali razem przy wywozie opałówki.

— Cześć.

— Cześć. Jak tam zdrowie, już dobrze? Czekaj, wypijemy... — Traktorzysta zamówił wódkę. — Siup!

— Siup! Teraz ja stawiam. Sztafetę, kochana! — krzyknął Edek wesoło.

— Oho, z rozmachem. Tutaj też myślisz stachanowca odwalać jak na maszynie? Opieprzali nas, że się nie staramy, pokazywali twoje wykazy. Blisko dwa razy więcej zrobiłeś... — skrzywił się tamten.

— Nie podoba ci się?

— Nie to, ale mogłoby się i nie podobać. — Zajrzał Edkowi w oczy. — Ty, brachu, nie mam nic do ciebie, inaczej bym nie pił razem. Ale radzę, nie zaczynaj, nie twoja tutaj parafia, a szkoda byłoby oczą, gdyby miały opuchnąć.

Edek spaśował. Zacisnął pięści, ale zmilczał. Wypili. Wtedy dopiero schylając się tamtemu do ucha, rzekł ostrym, wibrującym szeptem:

— Powiem ci coś. Ja z lepszymi od ciebie dawałem radę. A parafią mnie nie nastraszysz... Chcesz grabę, to ci ją teraz daję, nie, to znajdziemy inną okazję rozmowy.

— Kolejkę, paniusiu — wrzasnął w odpowiedzi traktorzysta, zaśmiał się, klepnął Edka przez ramię. — Podobasz mi się. Jakby co, pamiętaj, Antoś z tobą. A gdyby mnie było trzeba, to pomożesz, co?

— Inaczej bym graby nie dawał.

— Bo widzisz, nas tu jest paru, jakby co, rozniesiemy mydłków. Chodź, walca zagrywają, poszukamy dziewczuch...

Zgodnie pomaszzerowali na salę. Antoś zakręcił się z jakąś znajomą. Edek wypatrywał tych dziewcząt, które wyróżnił przy poprzednim przeglądzie. O, tam jest ta czarna śmieszka, z łakomymi ustami. Zaczął się do niej przeciskać wśród gęstniejącego tłumu. Aż się dziwił, skąd tylu amatorów zabawy, miasteczko przecież maleńkie...

Wydostał się na bardziej swobodną przestrzeń. Rozgrzała go wypita wódka, dodała ani-

muszu. Z daleka już wbił w dziewczynę zdobywcze spojrzenie. Uśmiechnęła się zachęcająco. Z przeciwnej strony zmierzał do niej jakiś wyfiokowany młodzian w olbrzymiej muszce pod szyją. Przyspieszył. W chwili gdy tamten już, już się skłaniał przed czarnulą, Edek wcisnął się siłą pomiędzy nich dwoje i jakby nic, ogarnął dziewczynę ramieniem, ruszając w tan. Elegant stropił się, zamruczał coś, obrzucił Edka gniewnym spojrzeniem. Dziewczyna zaśmiała się, zawołała:

— Następny taniec, Zygmunt!

— Wolnego, wolnego — zamruczał Edek.

— Pan coś mówi?

— A tak. Że następny taniec my będziemy z sobą tańczyli — przytulił ją mocniej, zawiorował, aż tchu złapać nie mogła.

— Taki pan pewny? — Podobała się jej zdobywczość przystojnego chłopca. Kto to też może być, zastanawiała się. Nigdy go jeszcze nie widziała.

— Pewny, maleńka, pewny.

Rozgniewała się.

— Za szybko pan zaczyna. Już maleńka, a nawet tańca jednego nie przetańczyliśmy.

— Przepraszam, olbrzymko. Ale taniec będzie mój, prawda?

Skinęła głową na znak zgody. Jakiś inny, odważny, ma taką śniadą twarz i ładne usta. Taki to musi całować, ech...

Przemknął obok nich zachwycony Michał. Edek mało się nie roześmiał, widząc jego partnerkę. Była to mała, niższa nawet od podleśniczego dziewczyna z twarzą popstrzoną krostami. „Też ma gust, niech go lichy porwie”.

— Niech pan tak silnie nie tuli. Ludzie widzą...

— To tylko, że ludzie? — zaśmiał się.

Koniec. Szarmancko pocałował ją w rękę.

— Można prosić panią na wino? Jak pani właściwie na imię? — Nie czekając na odpowiedź, prowadził dziewczynę do bufetu. Zaimponowało jej to.

— Leokadia — szepnęła.

— Lodzia zatem, Lodziuchna. No więc co pannie Lodzi, ciastko, czy może przedtem jedną wódkę?

— Nie można, ludzie zobaczą...

„Co ona z tymi ludźmi?” Zamówił dwie wódki, śledzie, ciastka i flaszkę owocowego wina. Utorował drogę do stolika, których kilkanaście stało w małej salce obok bufetu. Dziewczyna, oglądając się na strony, wcale wprawnie łyknęła solidną porcję wódki, równie szybko uwinęła się ze śledziem.

— Gładko, panno Lodziu, aż miło spojrzeć...

— Ja prawie nigdy nie pijam. Nie wiem, czemu właśnie dziś... — uśmiechnęła się uwodzicielsko, omal nie parsknął śmiechem, tak było to nieporadne.

Przyniósł znowu dwie wódki, postanawiając sobie, że teraz trzeba będzie zrobić przerwę. Sporo wypił, jak na początek wystarczy.

Gdy ją znowu prowadził do tańca, dziewczyna miała już dobrze w czubie. On trzymał się świetnie. „Stara wprawa” — mrucał.

— Tańczymy...

Przeplływając niedaleko wejścia, zobaczył piorunujące spojrzenie eleganta z muszką. Uśmiechnął się ironicznie.

Był w świetnym nastroju. Znow wokoło tłum ludzki, alkohol, przyjemne podniecenie, dziewczęta, gotówka w kieszeni. Życ, nie umierać. To co innego niż te nudy na pudy w zagubionej leśniczówce. Jak to Wera mówiła, aha, tam gdzie diabeł mówi dobranoc. Dobrze powiedziane, przecież na tym jeziorze to naprawdę diabli hasali, nic innego...

Jeszcze godzina i zawojował czarną Lodzie zupełnie. Opowiedziała mu wszystko o

sobie. Ojciec ma tutaj gospodarstwo, dorabia też furmankami, cichą sprzedażą drzewa, jak prawie wszyscy... Ona pracowała jakiś czas w okienku na poczcie, ale tam grosze płacą, teraz rzuciła, pomaga matce. Lubi się bawić, nie opuszcza żadnej okazji. Tylko że chłopcy tu inni, oschli, więcej wódka im w głowie niż dziewczyny, chcą od razu nie wiedzieć czego, w ogóle jacyś niekulturalni, nie umieją postępować z dziewczętami.

— Nie tak jak pan — przytuliła na chwilą głową do jego marynarki.

— Tak, tak, czarnulo — uśmiechnął się. „Łatwa ta babka, ledwo go poznała, a już się rozkrochmała”.

Zagrali rock and rolla. W Olsztynie poznał ten taniec już dawno. Tutaj dopiero zaczynał on święcić swe wielkie dni. Zaledwie kilka par tańczyło, reszta albo się przyglądała, albo ze zwiększonym zapałem szturmowała bufet. Lodzia nie znała rock and rolla, bała się ryzykować, tym bardziej że i w głowie po tym winie z wódką mocno już jej szumiało.

Rozglądając się po sali. Trochę starsza, zabójczo uczesana blondyna lekkim skinieniem odpowiedziała na jego pytające wejrzenie. Przeprosił czarnulę i już trzymał tamtą w ramionach. Tańczyła dobrze, bardzo dobrze. „Chyba nie z piskiej szkoły”, pomyślał.

— Pani nie z Pizy?

— Skąd pan wie? Nie... Widziałam pana kiedyś „Pod Żaglami” w Olsztynie. Myślałam, że już wcześniej poprosi mnie pan do tańca, ale był pan tak zajęty swoją czarnulą... To pańska dziewczyna?

Wzruszył ramionami. Uśmiechnęła się.

— Jestem tutaj przelotem. Przyjechałam służbowo.

„Kie licho mnie to wszystko obchodzi. Jak do księdza, każda od razu ze spowiedzią”.

Rozhulał się. Pozostałe pary ustępowały im miejsca. Zwartym kręgiem zgromadził się wkoło spory tłum, podziwiał zgraną parę. Edek, podniecony tym podziwem, przechodził sam siebie. Partnerka fruwała przy nim, świetnie reagując na każde drgnienie. Gdy skończyli, nagrodzono ich oklaskami. Edek uśmiechał się, ocierając pot ze zgrzanego czoła. Michał radośnie wywijał do niego rękami.

Przetańczył z blondyną jeszcze kilka tańców. Ujrzał, że Lodzia też tańczy, ale partnerem jej nie był blondyn z muszką. Ten gdzieś się zapodział. „Pewnie chla w bufecie ze złości”, pomyślał. W którejś przerwie przeprosił go Michał. Odeszli na bok.

— Słuchaj, Edek, coś ty zrobił temu facetowi?

— Aha, ten z muszką? Nic, babkę mu zabrałem spod nosa. Kto to?

— On pracuje w tartaku. Awanturnik, ma zawsze koło siebie całą bandę. Już mię wypytywał, coś ty za jeden. Odwaliłem ich, ale uważaj, bo gdyby co, to albo będą za nimi, albo w najlepszym razie nikt ci nie ruszy na pomoc, bo się go boją...

Klepnął Michała przez plecy, aż zadudniło...

— Chodź, wypijemy lepiej. Nie z takimi chojrakami dawałem sobie radę. Ej, Michał, w Olsztynie gorzej bywa. Wasi mi tutaj niestraszni... — Zły był, nasepionym spojrzeniem szukał na sali faceta z muszką.

Mimo oporów Michała wmusił w niego aż trzy kolejki. Biedny chłopak przybladł, nie pijał nigdy takich ilości. Edek też miał mocno w czubie. Ściskając dłoń Michała, chrypiał mu prosto w twarz:

— Mam gdzieś waszych chojraków, rozumiesz? Niech no mnie który zaczepi, cała buda będzie fruwała. Elegant z Pizy, psiakrew!

— Edek, uspokój się, byłeś ty był spokojny, oni nie zaczną. — Tego jednak Michał wcale nie był tak pewny. Nie wiedział, co robić. Edek nie da się przecież namówić na porzucenie zabawy. A jeszcze podpił solidnie, choć łeb ma, trzeba mu przyznać.

Z ciężkim sercem wracał podleśniczy na salę. Edek rozglądał się, szukając „blondynki na delegacji służbowej”, jak ją sobie określał. Miał ochotę potańczyć, a trudno było o lepszą partnerkę. „Ma babka sprint w nogach”. Nie było jej jednak. Lodzia też już tańczyła z chło-

pakiem o tęgiej, spoconej twarzy. Opodał siedziała, wachlując się torebką, niebrzydka dziewczyna, na którą zwrócił uwagę zaraz po wejściu. Skłonił się.

Teraz już zmieniał partnerki jedną po drugiej. Szum w głowie ustał. Postanowił unikać burdy. Sam nie zacznie, chyba że go zaczepią, wtedy trudno. Poradzi sobie, są zresztą ci traktorzyści. Antoś mrugał właśnie do niego porozumiewawczo. Dobra jest.

Dwa razy w kątach sali wybuchnęła już jakaś zwada, ale nim doszło do poważniejszej bójkii, awanturę w zaczątku likwidowali strażacy, gospodarze zabawy. Edek tańcząc obserwował ich wysiłki. „Sprytnie chłopaki, mają wprawę”.

Było już dobrze po północy, gdy czując głód, odszukał znowu Michała.

Pod piwo przegryźli na gorąco kiełbasą, jakieś paszteciki.

— Widzisz, Michał, nic z twoich strachów.

— On pije od godziny... I ciągle patrzy na ciebie.

— A kij mu w oko! Co mnie to obchodzi... No, syty już jestem. Idziemy na salę, za dużo tu wlulanych facetów, nie lubię...

Lodzia przywitała go urażoną miną.

— No co, maleńka, czego się krzywisz?

— Pan mnie tak samą zostawił...

— Trzeba było trochę pobrykać. Ale wiernie wróciłem.

— A ja znów piłam — pochwaliła się. — Ale tylko wino. Za to dużo.

Rzeczywiście, znać było to po jej oczach. Lekko ślaniała się, może tylko ze zmęczenia. W sali było bardzo duszno.

— Przejdziemy się trochę na powietrze?

Zgodziła się. Mróz nie był silny, rześkie powietrze lunęło na nich mocną falą. Dziewczyna była w lekkiej sukni. Spojrzał, zdjął marynarkę okrywając jej ramiona. Sam został w koszuli i swetrze.

Upstrzone kolorową bibułą lampki były zgaszone. Widocznie organizatorzy dbali o koszty własne. Rynek miasteczka był ciemny i głuchy. Szli powoli, dziewczyna uwiesiła się jego ramienia. Przycisnął ją silniej do boku. Westchnęła. Przystanęli pod jednym z drzew okalających szeroki plac. Z uśmiechem zajrzał jej w oczy. Wyczekiwały. Wtedy ogarnął dziewczynę ramieniem i zaczął całować. Usta jej były wilgotne i chłodne.

Zadyszany, odsunął ją wreszcie lekko od siebie. Zarzuciła mu rękę na szyję.

— Panie Edku — szepnęła.

— Cóż, Lodzia, wracamy? — Chłodno mu było. Pocałunki nie grzeją.

Zgodziła się niechętnie. Gdy przed wejściem oddawała mu marynarkę, zobaczył stojącego w drzwiach eleganta z tartaku. Zagryzał wargi, potem coś szepnął do stojącego obok jegomościa o rozkudłanych włosach. Przepuszczając dziewczynę przodem, Edek nie spuszczał tej pary z oka. Nie uczynili żadnego ruchu. Odetchnął, choć gdzieś w głębi żałował...

Trochę jakby się przeredziło. Największy tłok bez przerwy był przy bufecie. Atmosfera stawała się mocno pijacka. Michał przysunął się do Edka.

— Słuchaj, może już pójdziemy?

— Jest czas. Gdzie ci się śpieszy.

Tango. Jak dobrze. Mocno przytulił dziewczynę. Patrzyła mu w oczy, szczęśliwa. Aż mu jej było żal. Dla niego cóż, jedna z wielu. Żeby to miał się każdą przejmować, której usta całował... O, gdyby tak Wera...

A potem właściwie nie wiedział dobrze jak to wszystko się stało. Lodzia zechciała herbaty. Przepchali się do bufetu. Właśnie podał jej szklankę, próżno rozglądając się za wolnym stolikiem, gdy podszedł do nich blondyn w przekrzywionej muszce. Ramieniem oddzielił Edka od dziewczyny. Był mocno pijany.

— Wolnego, panie — chłodno rzekł Edek, a oczy zaiskrzyły się mu niebezpiecznie.

— Zostaw ją, bo... — zaseplenił blondyn.

— Zygmunt, odejdz, Zygmunt — piskliwie wdała się Łodzianka.

Dookoła ucichło, wszystkie oczy obserwowały w milczeniu tę scenę.

— Więc który z nas odejdzie? — zapytał Edek, hamując się całą siłą. Ale już brew jego drgała nerwowo. W Olsztynie znali to, bali się tego drgania.

— Ty dziadu, przybłędzie jakaś — blondyn obcesowo ruszył do przodu usiłując złapać Edka za kłapy ubrania.

Schylił się tylko, odskoczył i z całej siły, piekielnym ciosem machnął eleganta przez zęby. Ten zatoczył się, byłby runął, ale ktoś go podtrzymał.

— Edek! Edek! — Michał usiłował pohamować bójkę. Ale ktoś zatrzyma tocząca się lawinę.

Edek odepchnął go, znów się skulił przed ciosem, pięść blondyna ledwie go musnęła. Teraz przysiadł nagle, potem błyskawicznie podskoczył i wyćwiczonym, strasznym w sile ciosem głową rąbnął przeciwnika pod brodę. Ten tylko wczepił się całymi dłońmi w jego czuprynę i odzyskując w ten sposób równowagę, zamłócił pięściami.

— Uwaga, Edek! Z tyłu!

Poznał głos Michała. Odepchnął przeciwnika, odskoczył, za późno, tęga pięść jegomości, który stał przed drzwiami, gdy wracali z Łodzią ze spaceru, zdzieliła go w twarz. Zamroczyło go, zabłyśły gwiazdy przed oczyma, zatoczył się, oparł o bufet, z którego posypały się szklanki i kieliszki.

— Ach, to wy tak? — spluwając krwią syknął przez zęby.

Nikt nie wiedział, jaka była dalej kolejność wydarzeń. Widzieli tylko, jak Edek porwał nagle za kufel, grzmotnął nim w lampę, oświetlając bufet, aż żarówka rozprysła się z hukiem. Potem w rękach jego zawirowało krzesło, razy posypały się na głowy winnych i niewinnych, ugodziły strażaka śpieszącego z interwencją. Krzyk, gwałt, ktoś wzywał milicję, ktoś inny przemykał się pod ścianami, aby dalej od tej mordowni.

A Edek szalał w półmroku, rąbnął krzesłem w nacierającą na niego całą już grupę, ktoś uderzył go z tyłu, zamachnął się na odlew, czuł jednak, że słabnie, że sam nie poradzi.

— Antoś! — zawrzasnął.

— Już! — odkrzyknięto z dala, kilka postaci przedzierało się przez zwarty, dalekim kręgiem kotłujący się tłum widzów.

W czyjejs dłoni łysnęła butelka, rozległ się brzęk szkła, ktoś zawrzeszczał przeraźliwie, jakieś ręce wyrywały długi nóż z innej dłoni. Fruwały krzesła, stoliki, trzaskały o ściany solidne kufle. Kobiety uciekały z wrzaskiem, mężczyźni judzili walczących, dołączali się do ogólnej już bójki, w której nie wiadomo było, kto kogo i za co...

— Trzym się, stary, już się robi porządek!

To traktorzysta Antoś wkraczał ze swoimi na plac boju. Edek z nową energią runął na blondyna z muszką, który rwał na niego z jakimś żelazem w ręku. Schylił się, podbił tamtemu nogę, sam się wyrócił, młócił teraz w głowę, w twarz, w szyję, zajęczał, bo czerwony jak buhaj grubas kopnął go z boku. Podniósł się, zakręcił, samym rozpędem robiąc wolne miejsce około siebie. Garścią zgarnął z twarzy zalewającą go krew czy wino, nie wiedział, jakaś pięść zolbrzymiała mu nagle przed twarzą, nie zdążył uchylić się, zaćmiło się w oczach.

Przeraźliwy krzyk. Ktoś nagle wyłączył światło, w całej sali zapadły ciemności. Teraz i ci, którzy dotychczas stali na uboczu, runęli do bitwy. Każdy miał z kimś swe porachunki, morze wypitej wódki robiło swoje.

A potem lampy zabłyśły znowu. Salę przecięły ostre milicyjne gwizdy. Wraz z nimi rwali do przodu wystraszeni strażacy. Co przytomniejsi z bijących się wyrwali do ucieczki, przemykali pod ścianami, aby ujść władzy.

— O ten, panie sierżancie, o ten zaczął! On wszystkiemu winien! — wskazywał ktoś palcem na Edka, całego w sińcach, pokrwawionego, w poszarpanym ubraniu i rozerwanej koszuli, kurczowo trzymającego w dłoni nogę od krzesła.

Nie pozwalał się zabrać. Bronił się. Wreszcie uległ — poprowadzili go triumfalnie przez salę, z wywiniętymi do tyłu rękami. Jak przez mgłę dojrzał jeszcze przerażone spojrzenie również nieźle posiniaczonego Michała, potem zrobiło się chłodno, zmęczone oczy osłepił śnieg.

Normalna procedura. Protokół. Dlaczego wywołał awanturę? Zbywanie uśmiechem tłumaczeń, iż to nie on sprowokował. Wreszcie rozkaz dyżurującego oficera, by odprowadzić go do aresztu. Jeszcze przed całą kilka solidnych ciosów od milicjantów, których poturbował, broniąc się przed ujęciem na zabawie. No i twarda prycza drewniana, piekielne zmęczenie, ostry, przeszywający ból głowy...

Gdy z rana z trudem otworzył zapuchłe od ciosów powieki, kilku towarzyszy awantury spojrzęło na niego z uznaniem.

— Aleś, bracie, ty narozrabiał. — W głosie był podziw i szacunek. — To bufetowa wskazała na ciebie, żeby ją jasna cholera... Zła pewnie, żeś jej naczynia potłukł... Nas tu więcej. Ten z muszką też siedzi. Jeszcze dwie cele pełne, a jednego to odwieźli do szpitala, ma dziurę we łbie, ale nic groźnego...

Trzymając zboląłą głowę w rękach, słuchał tych informacji. A więc tak było.

— Milicjanci bali się z początku do ciebie przystąpić... Masz, bracie, parę, nawet nie wyglądasz na to... Albo tym bykiem toś po mistrzowsku zajechał. Ho! Ho! Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Może być niezgorsza rozróżba. Kto wie, czy nie sądowa sprawa, bo milicja napalona jak diabli. I strażacy pomstują, salę im powywracaliśmy, nie będzie z zabawy docho-  
du, forsa pójdzie na remont.

— Myśmy zeznali, że to Kryńczuk zaczął. Widzieliśmy...

Spojrzał. Spod olbrzymiego guza około oka uśmiechnął się do niego jeden z traktorzystów.

— Antoś też tutaj jest?

— Jego nie chwycili, schował się za bufetem.

— Dość, chłopcy, przecież on ledwie żywy. Ja myślę, z początku jeden szedł przeciw całej kupie...

Zlewali mu głowę nad kibelem, ocierali zakrwawioną twarz. Każdy dotyk piekł jak ogniem, aż syczał z bólu. „Dobrzy kumple”. Bo nawet i ubranie jako tako doprowadzili do porządku.

Usiadł znowu na pryczy. Pokręcił głową. To się nazywa szczęście, przecież on właściwie nie chciał tej całej rozróżby, ale skoro facet się przystawiał, to co, miał czekać...

Przez dwa dni wzywali ich na przesłuchania. Zeznania członków dwu grup różniły się bardzo. Milicja doszła do wniosku, że ostatecznie mniej ważne jest, kto zaczął, od faktu samej awantury. W końcu zaprzestano pisania protokołów. Niepewni, siedzieli cały trzeci dzień nie niepokojeni przez nikogo. Niektórym przyniesiono paczki z jedzeniem, dzielili się po równi z kolegami. Edkowi nic nie przysłano. Było mu przykro. „Widocznie wyrzekli się mnie w Sumach”, myślał. Dziwiło go tylko, że Michał także o nim zapomniał. Przecież dowiadywał się, okazuje się, że go nie zatrzymano. Zresztą pamiętał jego przerażone spojrzenie, gdy szedł prowadzony przez milicjantów.

Czwartego dnia zwolniono ich wszystkich, oświadczając, że z wolnej stopy odpowiadać będą przed kolegium orzekającym. Przywitali to oświadczenie uśmiechem. Obawiali się normalnego sądu, wtedy mogło być znacznie gorzej...

Edek szedł rynkiem zbiedzony. Przykro mu było wracać do Sumów. Właściwie nie czuł się tak bardzo winien, ale tłumacz to innym. Oni zobaczą sam fakt i tyle. Bolała go głowa, posiniaczona od dołu do góry, gorzej niż wtedy po bójce z Krasawczykiem. Nawet nie czuł satysfakcji, że tak dzielnie stawał, zdobywając mir wśród gawiedzi Pisha.

Skręcając z rynku w ulicę wiodącą do emerytowanego leśnika, gdzie czekał jego rower, niespodziewanie dostrzegł przed sobą Werę. Stanał jak wryty, zawstydził się swego wyglądu,

całej tej awantury. Skłonił się nieśmiało. Zaledwie skinęła mu głową. Rozzalił się. I ona przeciw niemu!

— Panno Wero — zawołał.

Nawet się nie obejrzała.

— Panno Wero — jeszcze głośniej, z prośbą w głosie.

Widział, jak przyspieszyła kroku. Uciekła od niego.

Przystanął smutny. Nawet nie chciała wyjaśnić. Pewnie, że to się jej nie może podobać, pewnie...

A potem ogarnęła go złość. „Też siksa, myślał, Bóg wie, co sobie wyobraża. Ciągłe fochy stroi, a to nie tak i tamto inaczej. Pal ją diabli!”

— Pal cię diabli — powtórzył głośno, ale wcale nie przyniosło mu to zadowolenia.

## 12. ZASADZKA W STODOLE

Na trudno dostępnych połaciach lasu, otoczonych bagnem i torfowiskami, nieprzerwanie trwał wyrab. Krępe, chłopskie koniki ze skrzypem ciągnęły przez las zrąbane kłody, zrzucając je na sterty koło szosy. Dni były mroźne, ale w słońcu śnieg tajał, by potem ściągać się w twardą, zlodowaciałą skorupę.

Snuł się po lasach, wyszukując ścieżek wydeptanych przez leśną zwierzynę. Znajdował zadowolenie w tej przymusowej samotności. Po bójce na strażackiej zabawie czuł się jakiś niezadowolony, żywił ukryty żal do otoczenia. Dopiero w lesie opuszczały go natrętne myśli, mijało rozgoryczenie, przysiadł na jakimś pniaku i gładząc leniwie miękką sierść Kulasa, przyglądał się nie znanemu światu. Powoli zaczynał go lepiej poznawać, przenikać tajemnice, na pozór niewidoczne, znajdując jakąś wewnętrzną spójnię z tym wielkim organizmem, groźnym i poetycznym zarazem.

Czasem myśl jego zahaczała o wspomnienie czupurnej dziewczyny z nadleśnictwa, ale zaraz machał niechętnie dłonią, a kulawy psiak podnosił wtedy ku niemu mądry łeb i spoglądał wyczekująco.

Potem, po przyjeździe Kulczyka i jego zapowiedzi, że zamierza nawiązać bliższy kontakt z dziewczyną, przestał o niej myśleć zupełnie. A niechże ją sobie Klem bawi...

Klem powrócił dopiero po Trzech Królach. Zapowiedział, że tym razem na dłużej. Przyciągnął ze sobą sporą walizę, pocztą nadeszły dwie paczki książek.

Mietek podpytywał go o Zoche. Mieli się przecież spotkać w Olsztynie? Klem zerkał podejrzliwie, ale widząc stoicko spokojne miny kamratów, uznał za stosowne wyzalić się.

— Wiecie, ona coś nazbyt ogląda się za spodniami... To prozaiczne, kobieta musi mieć w sobie coś z romantyzmu.

— Gdyby to były twoje spodnie... — podsunął Mietek, Klem bowiem utonął w nagłym zamyśleniu.

— A właśnie, że moje i nie moje... W Olsztynie była, spotkaliśmy się w tej kawiarence koło Pedetu. Teraz to dziura, żałowałem nawet, że nie wybrałem innego miejsca.

— No i co?

— Przyszła, trochę spóźniona... Zresztą nie miała wiele czasu. Umówiliśmy się na następny dzień do kina. Jaki ja miałem kłopot z biletami, żebyście wiedzieli, cudem wreszcie dostałem u koników.

Mietek porozumiewawczo popatrzył na Edka. Interes, jak widać, idzie dalej.

— Wyobraźcie sobie — głos Klema uniósł się oburzeniem. — Zjawia się z jakimś gogusiem, spodnie jak rurki, króciutki płaszczyk, uklepany beret na głowie...

Mietek nie potrafił zachować powagi. Dając sójkę w bok Edkowi, zatrząsł się od tłu-

mionego śmiechu.

— A tyś pewnie zamierzał zaprosić ją potem na kawalerkę, aby pokazać swe wiersze, co? Przyznaj się...

— Głupstwa mówisz. Ja poważnie traktuję kobiety. Ale czego wy znów ryczycie? Ech, nie będę nic mówił...

— Mów, Klem, mów, ulży ci.

— Przedstawia i mówi, że to jej kuzyn. A mnie co to obchodzi, kuzyn nie kuzyn, w ogóle nie życzę sobie żadnego faceta, choćby to był i ojciec rodzony. Myślałem, że go spławiemy, były tylko dwa bilety. Ale on się zaraz uwinął i dostał trzeci. No, nic, niech sobie siedzi w innym gdzieś rzędzie. Tymczasem... — tutaj poeta spłonął się rumieńcem wstydu. — Tymczasem tak mnie wykołowali, że niby jestem krótkowidz, iż siedziałem trzy rzędy przed nimi, sam, tylko śmiech jej czasem do mnie dobiegał. I wiecie co? W najmniej stosownym momencie filmu...

— Jak mamę kocham, nie wytrzymam... To ci dopiero kuzyn, cha cha cha!

— I ja tak myślę, że to musiał nie być kuzyn.

— No i co dalej, co dalej, Klem?

— No i nic. Przy wyjściu zaraz się pożegnałem, byłem bardzo zły. Ale Zocha szepnęła mi, żebym jutro wieczorem był w tej kawiarence na Starym Rynku. Wyobraźcie sobie, nawet nie przyszła, żeby przeprosić. Zrywam z nią wszelkie stosunki. Jeżeli już można tu z jakąś dziewczyną rozmawiać, to chyba z panną Werą — oznajmił.

— Oho, tu ci Edek dla odmiany wejdzie w paradę. Jako brat stryjeczny tym razem...

— Dajcie mi spokój! Cóż mnie ona obchodzi? Klem ma moje błogosławieństwo — szybko odrzucił Edek, ale w głębi serca coś go jednak zakłuło.

— A poza tym, poza tym mam zamiar napisać tom opowiadań z życia leśnego, ludzi i zwierząt... Myślę spróbować sił w prozie. Jak myślicie?

Wzruszyli ramionami. Nazbyt odległe były od nich tajniki twórczości.

Wtedy Michał rzucił złośliwie, niby to mimochodem:

— Jakaś wrócił z aresztu, toś był bardziej spokojny. Teraz już wywietrzało ci ze łąba, znowu szumisz...

— Michał, bo cię...

— Uważaj, bierze!

Rzeczywiście brało.

Swoją drogą musiał mu przyznać rację. Do leśniczówki wracał wtedy bardzo przygnębiony. Niefortunne spotkanie z Werą nastrój ten jeszcze pogłębiło. Nie wiedział, jak przyjmie go pan Gasiniec. Mógł przecie oczekiwać najgorszego, nawet że go przepędzi jak psa. Nie znana przedtem skrucha i żal za swoje wybryki budziły się w nim wraz z fatalistycznym przeświadczeniem, że już nie ujdzie swemu losowi. Losowi, który każe mu wieść życie wśród awantur, łatwych dziewczyn, śliskich zarobków, wódki i innych łajdactw. Wiedział, że początkowo świadomie prowokował starcie. Wynudził się w tym lesie, chciał się wyszumieć. No tak, wyszumiał się, nie ma co, miesiąc pewnie będzie się teraz obnosił z poharataną głową. I co z tego? Żadnej satysfakcji nie dały mu pocałunki czarnej dziewczyny, wplątał się w kabałę, zawsze to mała przyjemność stawać jako winowajca choćby i przed kolegium orzekającym, zrobił przykrość tym ludziom, którzy go tak serdecznie przyjęli... Od długich lat pierwsze święta spędził jak dawniej, gdy matka jeszcze żyła, ciepło, rodzinnie. A teraz taka rozróżba. Kto wie, może i lepiej by się czuł, gdyby Gasiniec uczynił mu jakieś ostre uwagi, wymówił dom, skłął chociażby niemilosiernie. Nic z tego. Traf chciał, że krzątał się właśnie przed wejściem do domu, gdy z ostatniego załomu drogi ukazał się Edek prowadząc rower. Leśniczy wyprostował się, patrzył na chłopca. Rex położył się spokojnie u jego stóp.

Podchodząc widział tę nieodłączną parę, niepewność usiłował nadrobić tupetem.

— Dzień dobry panu. Nareszcie mnie wypuścili.



— Dzień dobry — i dalej przyglądał mu się badawczo swymi szarymi oczyma.

Edek zmieszał się, stanął bezradny. Wyjąkał:

— Ja, proszę pana, nie myślałem...

— Dajże asan pokój z tłumaczeniami. Głupie to było, bo głupie, ale nie ja ci będę nauki prawić. Masz własny rozum.

— Czy ja mogę tu jeszcze zostać?

— Na dworze?

— Nie, w Sumach...

— Chyba jesteś, chłopcze, zmęczony aresztem. Radzę, byś dobrze się przespał... — i uśmiechnął się lekko. — Michał opowiadał. Bić się to umiesz, odwagę masz... No, i pracować też potrafisz, gdy zechcesz. Teraz wszystkie maszyny robią w leśnictwie Wądołki, tam teren ciężki. Potem zaczniemy u nas. Pewnie wtedy „Zetor” będzie już po remoncie, na nim pojedziesz...

— Dziękuję panu — myślał nie o traktorze, ale o tym niezmiernie dobrym przyjęciu, jakiego ponownie doznał, wbrew wszystkiemu, co się stało.

Leśniczyna wracała z obory niosąc wiadra. Stała przy mężu, patrząc za chłopcem, który zniknął w drzwiach sieni.

— Powiedziałeś mi co?

— Nie. To harda natura, obrazi się, wróci do swojej bandy i zmarnieje. Uratował wtedy Mietka, pamiętaj... Szkoda byłoby, gdyby miał zejść na psy. Z takim trzeba ostrożnie, powoli. A jeszcze, że ja go jakoś lubię.

Potrząsnęła głową, ni to przytakując, ni to wyrażając jakieś wątpliwości.

— Ty też za młodu byłeś podobny.

Leśniczy nic nie odrzekł, tylko z uśmiechem podniósł wiadra, które postawiła na ziemi. Nie zaoponowała przeciw pomocy. Jeszcze patrzyła na drzwi, którymi w ich dom od nowa wszedł Edek Zaleski.

— Chodź na mleko, ty mały rudzielcze — powiedziała wreszcie do sarny, która przysalopowała z podwórka i tuliła łeb do jej ramienia.

A w Edku zbudziło się tego dnia jakieś głębsze przywiązanie do leśniczego i jego żony. Dotąd byli mu obojętni, właściwie obcy, tak, nawet wtedy, w wieczór wigilijny. Dopiero od tego powrotu coś się w nim zmieniło.

Dawniej może by na to nie zwrócił uwagi, ale teraz nie mogło go nie obejść trapiące leśniczego jakieś zmartwienie. Zapracowany był, całymi dniami przepadał nieraz z domu, wracał potem śmiertelnie znużony, a tylko w obecności Mietka starał się nadrabiać pogodą. Edek patrzył na wychudłą twarz pana Gasińca, nasłuchiwał cichych pomrukiwań, gdy siedząc nad papierami, przekonany, że jest sam w gabinecie, wspierał czasem głowę na dłoniach i coś szeptał do siebie.

Chciał go parę razy zagadnąć, czym się tak martwi, uznał to jednak za niedelikatne, gdy zaś pragnął się czegoś wywiedzieć od Mietka, ten był bardzo zdziwiony, nie spostrzegł bowiem w zachowaniu ojca nic nowego. Niemniej zapytał go, czy nie ma jakichś kłopotów, bo Edek zauważył, iż chodzi strapiiony.

— Pewnie, że mam kłopoty. Brzuch mi rośnie... A wiesz, że tłustych nie lubię — wykpił go ojciec.

Wieczorem jednak skinął na Edka.

— Daj asan pokój, co ty wyrabiasz? Chłopak wrażliwy, gotów zacząć się martwić i nauka pójdzie mu gorzej. Pewnie, że mam zmartwienia, i to niemałe, ale lepiej niech Mietek o nich nie wie... Skończą się kłopoty, będzie znów dobrze.

Potem dorzucił jeszcze:

— Kłusownicy mi tu grasują. Dnia prawie nie ma, żebym strzałów nie słyszał... Ostatnio znów mi rogacza utłukli. Ranioną lochę zdybałem w krzakach przy torfowisku. To nie

partacz robi, ale stary wyga leśny, ani go mogę uchwycić... Już mi i nadleśniczy uwagę zwrócił, niemiła to rzecz.

— Zasadzkę zrobić, chwycić drania. Może to ten sam, co mnie w Pizzu tak sprytnie zdzielił przez łeb w zaułku. Cholera, żeby mi trafił w ręce...

— Daj asan pokój, znowu byś trafił na posterunek. Tu trzeba inaczej, no nic, może się co poradzi... Wczoraj z dziesiątek wnyków i sieci przyniosłem. Mądrze stawiane. Rutyniarz, co lasy zna i zwyczaję zwierzyny.

— Pewnie ktoś z Mazurów?

— Chyba nie — pan Gasiniec pokręcił głową. — Oni praw pilnują, a i zna się ich trochę. Chociaż kto wie. Że to, cholera, za rękę nie mogę złapać łobuza. Wiesz, do tego doszło, że mi koło karmików, gdzie liściarkę czy owies stawiam, też wnyki zakłada. Tego nie robi nawet uczciwy kłusownik.

— I to pana tak martwi?

— Dużo by gadać. Nie pomożesz mi, chłopcze, co tam masz sobie głowę zawracać... Patrz, dziki dobierają się do kopców za stodołą. Kiedyś, zima była ostra, przez jedną noc pół kopca kartofli schrupały jakby nic... Kto wie, czy na zasiadkę nie trzeba się zdecydować. No, pora mi do roboty, muszę przygotować raport zrębowy. Może być potrzebny — pokiwał głową, na której przybyło siwych włosów.

Coś w tych wyjaśnieniach jeszcze nie grało. Dopiero Michał następnego dnia wprowadził Edka w istotę sprawy. Ale najpierw z samego rana przyjechała do Sumów błękitna „Warszawa”, w niej zaś trzech jegomościów. Długo gadali z leśniczym, coś potem sprawdzali w obejściu, wreszcie pojechali razem z gospodarzem. Po paru godzinach odwieźli leśniczego i zaraz zawrócili w powrotną drogę. Edek zauważył, że pan Gasiniec był bardzo smutny i zły zarazem. Nawet Rexa łaszącego się do jego dłoni odtrącił ostro, co mu nigdy się nie zdarzało. Potem zamknął się w swoim gabinecie i więcej tego dnia nie wychodził.

— Ty, co jest ze starym? — zapytał Edek Michała, gdy ten po skończonym dniu pracy pokazał się w leśniczówce.

— Ech, przykra sprawa. Ktoś chce go rozrobić. Były w rejonie doniesienia, że leśniczy na lewo sprzedaje drzewo budulcowe, potem, że sam zakłada wnyki na zwierzynę i sam ją strzela, dla zatarcia śladów narzekając tylko na kłusowników.

— O, jasny gwint! A tamci dwaj, a ten w skórze?

— Ja przecie wiem... Dość, że dzisiaj była kontrola z Olsztyna. Ci faceci z „Warszawy”. Liczyli dłużyce na zwalach przy szosie. Zgadzały się, ale to ich nie przekonało. Powiedzieli, że leśniczy mógł być w zмовie z wozakami.

— Mordy bym strzepał gówniarzom...

— Nie im, a tym, co robią donosy. Leśniczy taki uczciwy...

— Ty, Michał, a żeby jakoś mu pomóc, co?

— Ja już łązę po lesie więcej jak trzeba, myślę, a nuż złapię ślad kłusowników, zawsze na śniegu łatwiej, ale trudno. Mądrzejsi oni ode mnie.

— To taka chryja, kurczę pieczone!

— Sam widzisz...

Edek milczał, rozmyślając nad tym, co słyszał. Potem podrapał się w dłoń.

— Lewa łapa mnie swędzi. To pierwszy znak, że ktoś otrzyma ode mnie po zębach. Przed każdym mordobiciem tak bywa... Trzeba coś obmyślić. Zły jestem, na takiego człowieka! Wiesz, Michał, przywieź jutro flachę, zanocujesz, obgadamy jakiś plan. Masz tutaj forszę...

— A po co flacha, daj spokój.

— Wtedy lepsze myśli przychodzą do głowy. O kurczę pieczone! Ja bym wszystkie donosy palił nie czytając, to świńska sprawa.

— Pewnie, pewnie. Dzień dobry...

Stali w oddaleniu od leśniczówki, aby nikt nie usłyszał, co mówią. Tutaj w miejscu,

gdzie droga wsiąkała w las, znalazł ich Klem, gładko wygolony, z papierową teczką pod pachą.

— O, Klem, dokądże to?

— Napisałem takie sobie opowiadanko, wiesz, z tej jazdy saniami, jak to Mietek nie mógł wtedy odnaleźć drogi. Filozoficznie sprawę ująłem. Teraz idę do nadleśnictwa, tam jest maszyna, chcę przepisać i wysłać do redakcji...

— Aha, no to szczęśliwej drogi — mruknął Edek, choć w głębi ukłuło go nieprzyjemnie.

— Czekaj, idziemy razem! — zawołał Michał. — Tak, prawda, coś trzeba zrobić — pośpiesznie zegnał się z Edkiem.

Ten patrzył za odchodzącymi. „Taka to tam maszyna, pewnie raczej maszynistka cię ciągnie, ty naiwniaku kochliwy” — mruczał pod nosem.

To, czego dowiedział się o kłopotach leśniczego, bardziej go teraz absorbowało niż wspomnienie Wery. Długo w nocy myślał i zdawało mu się, że znajduje pewne rozwiązanie. Chciał, by zaświtał już następny dzień, aby można było podzielić się swymi zamierzeniami z Michałem.

Ranek jednak przyniósł inne nowiny, które mocno zmieniły program najbliższych dni.

Już zaczynało świtać, gdy cały dom zerwał się ze snu, zbudzony gniewnym, natarczystym naszczekiwaniem czujnego Rexa. Leśniczy pierwszy wyskoczył z łóżka i w narzuconym na bieliznę kożuchu wybiegł na podwórze. Rex zerwał się wtedy jak szalony, z ujadaniem ginąc za stodołą. Pan Gasiniec dopiero się zorientował, wrócił po dubeltówkę, pobiegł za psami, bo i Kulas pognął za Rexem szybko, jakby nie brakowało mu czwartej łapy, nawet pękata Mircia próbowała toczyć się za wszystkimi.

Ujadanie oddaliło się, potem donośny gwizd przywołał psy z powrotem. Za stodołą zastali zagniewanego leśniczego. Latarką oświetlał rozgrzebany kopiec i śnieg usłany nie dojeżdżonymi ziemniakami.

— Dziki?

— A dziki, żeby je diabli! Przeczuwałem to, ale dzisiaj wypadło mi wszystko z głowy, miałem ważniejsze sprawy... sporo zeżarły, szatany z piekła rodem.

— Czemu tata nie strzelał?

— Chciałem w pierwszej chwili postraszyć, bo o trafieniu mowy nie było, już tylko cienie smyrgały w las... Ale i tak by wróciły, nie jutro, to za tydzień. Lepiej zrobimy zasiadkę w stodole, widok jak na dłoni. — Wyciągnął rękę w powietrze, badał kierunek wiatru. — Od lasu ciągnie, jeśli się nie zmieni, to może się uda, noce teraz jasne.

— Tato, my razem siądziemy, dobrze?

— Jeśli macie ochotę, czemu nie?

— Ale dasz nam fuzje? Masz przecie drugą, a i Paweł zostawił swoją u ciebie...

— Michał dostanie, ma zezwolenie. Wy nie. Przepisów trzeba pilnować.

— Ale to przecie pod twoją opieką i tylko z tej stodoły.

— Daj asan pokój, nie to nie! — stanowczo uciął leśniczy.

Wrócili do domu, pogadując o bezczelności dzików. Sporo ich było, sądząc po śladach.

W połowie drogi spotkali Klema, który dopiero zdołał się ubrać i biegł im naprzeciw. Nie mogli powstrzymać śmiechu, nawet leśniczy mimo przygnębienia uśmiechnął się szczerze.

— Co się stało? Słyszałem szczekanie, potem jakiś gwałt, głosy...

— Niedźwiedzie podeszły pod leśniczówkę — parsknął Mietek.

— Niedźwiedzie? To tutaj są niedźwiedzie?

Mietek z wielkiej uciechy aż kozła fiknął na śniegu.

— Daj asan pokój, żartują z ciebie — leśniczy ujął się za poetą. — Dziki były i tyle, kartofle zeżarły... Aleś ty, chłopcze, szybki, niechże cię kule!

— Wróciłem późno, bo przepisywałem w nadleśnictwie opowiadanie. Jeszcze nie skończyłem... Spałem mocno, więc nie od razu się zorientowałem...

Swoją naiwnością wprowadził ich w świetne humory.

Edek ucieszył się z wieczornej perspektywy.

Osamotniony przez całe dni, bo Mietek się uczył, raz po raz ulegał napadom nudy. Bał się jej, wzbierała bowiem jak wrzód, by wreszcie rozładować się przy najmniej oczekiwanej okazji. Jak choćby na tej zabawie...

Dlatego niezależnie od sympatii do leśniczego tajemnicę jego, której dowiedział się za pośrednictwem Michała, przyjął z ożywieniem, więcej, z lekkim nawet zadowoleniem. Kłusownicy, fałszywe doniesienia, kto wie, co za tym się kryło. Może pan Gasiniec był komuś niewygodny właśnie tu, w Sumach? Może jeszcze jakieś nieznanne sprawy kryją się za całą aferą?

Nocny alarm z powodu dzików urozmaicał jeszcze bardziej spokojne, słoneczne dni puszczańskie zimy. „Zetor”, na którym miał pracować, wciąż jeszcze tkwił w remoncie. Dobra więc każda przygoda, choćby najmniejsza, która skróci godziny oczekiwania.

— Tato, a one nie przyjdą właśnie teraz? — niespokojnie zapytywał Mietek, gdy po kolacji gaworzyli przy okrągłym stole w jadalni. — Przecież jesienią zasiada się na nie właśnie o zmierzchu.

Leśniczy potrząsnął głową.

— Te są sprytniejsze. Do późna trwa u nas ruch. Matka przecież do północy tłucze się po obejściu, pali się światło, psy wałęsają się po dworze... — Spojrzał na zegarek. — No, ale już powoli możemy się zbierać.

Zegar wybijał trzy kwadranse na dwunastą.

— No, Klem, zaraz nadejdą twoje niedźwiedzie — wspominał Mietek ranną historię.

Tylna ściana stodoły wychodziła na otwarte pole, zamknięte wysoką, czarną ścianą świerkowego lasu, mocno poszytego krzewami. Tuż za budynkiem trzema równymi liniami wznosiły się kopce kryjące ziemniaki przed mrozem. Jeszcze za dnia leśniczy wraz z Michałem przygotowali zasiadkę. W dachu budowli wyjęli szeroki płat blachy, jednocześnie przybijając do łąty kawał deski dla uniknięcia brzęku i stworzenia wygodnego oparcia dla fuzji. Siano, przerzucone wysoko pod krokwie, zezwalało na wygodną pozycję obserwacyjną.

Przy wyjściu leśniczy spoglądał przez chwilę na łąszącego się mu do nogi Rexa.

— Trzeba go zabrać, bo w domu znowu narobi harmideru i dziki przedwcześnie pójda w las.. Matka, Kulasa zamknij, nie taki on czujny, ale dla spokoju... — machnął dłonią.

Stęknęły drzwi stodoły. Ze śmiechem, osuwając się, gramolili się na sam szczyt. Tam się długo mościli, kryjąc nogi w pachnącym sianie. Dopiero wyjrzeni na pole.

Księżyc wszedł w pełnię. Przed paru godzinami czerwoną gębą triumfalnie wypłynął na niebo. Jasno było, śnieg powlókł się ostrą barwą niebieską, w załamaniach przechodzącą aż w fiolet. Świerki rzucały długie cienie, strzępiaste u wierzchołków.

Leśniczy obrócił się ku chłopcom.

— Cicho możecie rozmawiać. Wiatr trochę skręcił, ale ciągle jeszcze idzie od lasu... Nie wyczują. Michał, masz dobre złożenie z tej pozycji?

— Tak.

Skorzystali z zezwolenia. Ładnie to ładnie, ale jak długo można przyglądać się zaśnieżonemu polu i ceniom lasu? Rozgadali się. Działał na nich urok rozświetlonej księżycowym, zimnym blaskiem styczniowej nocy. Klem zapatrzył się na zamknięte lasem pole, westchnął.

— Niby takie to jasne i proste, a spróbuj no tylko tak opisać, by trafiało do serc i wyobraźni... Mordęga. Słowa za ciasne, pojęcia zbyt jednoznaczne, obraz wykrzywiony, niepełny. Może dlatego pisarze tak unikają dziś opisów przyrody, bo brak im obcowania z naturą.

— Nie lubię. Jak są opisy, to zaraz kartkuję książkę — burknął Edek.

— Gadasz, bo sam nie znasz dobrze lasów i wody, i zwierząt. Zbyt dalekie ci to i obce... Prawda, Mietek?

— Nie wiem. Chyba tak, ja właśnie takie partie najwięcej lubię... Słuchaj, Klem, przepisałeś wczoraj opowiadanie?

— Nie jeszcze, może jutro tam pójde i skończę...

Edek drgnął.

— Co ci? — zdziwił się Michał.

— E, nic, zimno trochę.

— Mróz spada, chmurzyska nadciągają z wiatrem. Żeby tylko nie zaciemniły nieba... Ziąb wisi w powietrzu.

— Michał, dawaj flachę.

Strzeliło coś cichuteńko. To Edek wprawna dłonią wybijał korek. Wziął z ręki Michała szklaneczkę, nalał, podsunął leśniczemu.

— Proszę na rozgrzewkę.

— Hm, pomysł niezły... a nie popijecie się tutaj? Michał, ty uważaj, z bronią jesteś. No, wasze zdrowie, chłopaki!

Starczyło i na drugą kolejkę.

Pogwarzyli jeszcze, pośmiali się, tylko leśniczy milczał, słuchając ich przekomarzań. Wzrok jego nie opuszczał białej roztoczy przed stodołą. Czasem tylko mocno pociągał nosem powietrze, kręcił głową, przyglądał się gęstniejącym chmurom, za które coraz częściej kryła się otoczona wyraźna czapą tarcza księżycy.

— Na odwilż idzie. Gotów śnieg wypaść... Ciemno się robi...

— Druga minęła — Michał z trudem wypatrzył cyfry na starej, pękatej cebuli. — I nic, zwąchały pismo nosem czy jak?

Rex, drzemiący dotąd słodko, zwiercił się teraz w sianie, cichuteńko zawarczał, wysuwając nos poza krawędź wyrwy w dachu. Ręka leśniczego łagodnie spoczęła na jego łbie. Pies zamilkł, tylko wyprężone jak do skoku ciało świadczyło o wewnętrznym napięciu.

Ocknął się i Klem drzemiący w pachnącym okryciu siana, przetaił okulary, wraz z innymi wysłepiał oczy na zmroczyła nagle płaszczyznę pola.

Edek wzniosł oczu ku niebu. Ciemna, duża chmura połknęła właśnie księżyc, zrobiło się ciemno i ponuro. Wzrok gubił się w zwiewnej szarzyźnie, gdzie nie wiedzieć, w którym miejscu kończyło się powietrze, a zaczynała ziemia.

Tęsknie wyglądali raz po raz za pyzatom, beztroskim księżycem. Czas mijał, Rex prężył wysunięty do przodu swój pysk owczara.

— Kurczę pieczone, ciemno jak w mogile — szepnął Edek, uczył w tej chwili na swoich ustach rękę Mietka, leśniczy zachnął się z niemym wyrzutem.

Z niewyraźnej czerni od dołu doszły ich nagle odgłosy człapania dziczych rapet, potem szelest, jakby odgarnianej zmarzniętej ziemi. Wreszcie zadowolone fukanie, a potem rozgłosne, pełne niewysłowionej rozkoszy ciamkanie i mlaskanie zaświadczyło, iż dziczą wataha przystąpiła do uczy.

Nie, nie można tak długo utrzymywać wewnętrznego napięcia. Lada chwila, a odchrząknie któryś z nich głośno czy zaklnie z pasją na brykający poza chmurami księżyc. Edek czuł, jak serce wali mu nieprzytomnie, a ręce wilgotnieją. Otworzył szeroko usta, gorączkowo łąpał oddech. Na ramieniu jego zacisnęły się czyjeś palce. Wyczuł raczej, niż poznał, Mietka.

Chwilami ucztowanie urywało się, jakby dziczą czereda łąpała zmieszane wonie płynące powietrzem. Wiatr ustał teraz, dziki każdej chwili mogły ich wyczuć. Ale nie, zawzięte cmokanie i mlaskanie na przemian z rozradowanym fukaniem rozległo się znowu, wyraźniej niż przedtem.

I ciągle jeszcze ciemno, a do twarzy przylegać poczęły jakieś lepkie kruszyny. Śnieg. Nadciągnął wraz z chmurami, przykrywającymi już niemal całą powierzchnię nieba. Jak w oczekiwaniu zbawienia wpatrywali się w niewielką przestrzeń wolną jeszcze od pierzastych chmur. Przestrzeń ta zdawała się ciągle pomniejszać, jakby zachłanne chmury, wcześniej nim

księżyc znowu wypłynię, pragnęły objąć ją w posiadanie.

Aż wreszcie, niemal w ostatniej chwili, gdy gorączka wyczekiwania doszła zenitu, zadrgało u skraju chmury, jeszcze za mgielną przesłoną ukazała się tarcza księżyca, wreszcie wolno, dostojnie wypłynęła w całej okazałości

Odetchnęli tak głęboko, że każdy z nich przestraszył się, czy dziki nie usłyszał.

Zjaśniało na polanie, rozlały się na niej od nowa potoki zimnego niebieskawego światła, bardziej tylko niż przedtem przesycone fioletem. Koło kopców wierzciły się ciemne, podłużne plamy. Wlepili w nie oczy, Rex drżał febrycznie. Wzrok jakby się zaostrzał. Jeden dwa trzy... osiem, liczyli.

— Bierz od lewej — prawie niedosłyszalnie wionął leśniczy w stronę Michała.

Sam też zmierzył się. Niemał równocześnie suchym trzaskiem strzały przecięły powietrze. Rex rozjątrzył się w naszczeku, przejęci kibice wydali gwałtowne, urwane okrzyki.

Dziczą wataha zerwała się gwałtownie w kierunku lasu. Tylko na jednym kopcu zakotłowało, czarna, podłużna sylwetka zakręciła się wokół swej osi, stoczyła do podnóża rozmytego wału.

Leśniczy znów strzelił. Z cwałującej watahy pozostał jeden cień, ale i on, chociaż w zwolnionym tempie, podążał za resztą. Dwa kłaśniecia zwały się w jedno. Cienie zastygły na białej płaszczyźnie polany. I w tejże chwili tarcza księżyca znów się skryła za chmury, tym razem na stałe tej nocy, niebo bowiem, jak szerokie i długie, kłębiło się wezbranymi chmurami. Płatki śniegu stały się gęstsze, spokojnie opadały na ziemię.

— W którego teraz biłeś? — pytał leśniczy Michała, rozprostowując zdrętwiałe członki i szykując się do zejścia na gładką polepę stodoły.

— W tego samego, co przedtem, widziałem go, zostawał, ale parł jednak za swymi...

Rex, który dawno wyprzedził ich wszystkich, ujadał preraźliwie około kopców. Gdzieś z głębi domu odpowiedział mu podniecony głos Kulasa.

— Dłużej bym nie wytrzymał. Nie wiem czemu, ale chciało mi się krzyżeć w tej cholernej ciemności — sapał Mietek, biegnąc obok Edka ku spodziewanej zdobyczy.

— Uwaga, chłopcy, ostrożnie! Z dzikiem nigdy nie wiadomo. Może was poharatać szablami, że się nie pozbieracie.

Zabłyły silne dajmonki. U stóp kopca leżało tęgie cielsko dużego dzika. Z rozwartej paszczy łyssały spore szable.

— Ten gotów — ostrożnie schylił się nad nim pan Gasiniec.

— Mój też — od środka śnieżnej płaszczyzny radośnie wołał Michał.

Śnieg, miękki przy nadciągającej odwilży, znaczył się głębokimi odciskami rapet. Szlak farby trzeciego ranionego dzika ciągnął się aż do lasu. Rex chrypnął w naszczeku z pobliskiej gęstwy leszczynowych pędów.

— Uwaga. Zostańcie tutaj. Po chwili strzał oznajmił koniec i trzeciej sztuki.

— Wycinek — krótko rzekł leśniczy, otrząsając śnieg z kurtki.

Długo jeszcze trwało, nim przetransportowali zdobycz do leśniczówki.

Pani Helena niezbyt radośnie patrzyła na trzy okazy czarnej zwierzyny. Wiedziała, jaka czeka ją jutro praca... Mietek za to pomrugiwał do kolegów wesoło: bardzo lubił dziczyznę.

— Ta ponowa musi nam pomóc... — powiedział cicho leśniczy.

A potem, popatrując na młodzieńczą czeredą, dodał:

— Jak tylko ustanie, wyjdziemy wszyscy na obchód rewiru. Trzeba zliczyć zwierzynę, płową i czarną, także i drapieżniki... A jeśli się uda, to może przychwycimy i tych dwunożnych rabusiów.

W głosie jego wyczuł Edek nadzieję i zarazem jakąś mocną, prawie okrutną zaciętość. Pomyślał, że nie chciałby się znaleźć w skórze tej drapieżnej dwunożnej zwierzyny.

### 13. PONOWA

Rewir należący do Sumów najrozleglejszy był w całym rejonie. Plany na przyszłość przewidywały rozbitcie go na dwa leśnictwa, ale wiązał się z tym szereg niełatwych do rozwiązania problemów. Tymczasem więc prowizoryczny stan przeciągał się, a dobre włodarzenie pana Gasińca nie nagliło do przeprowadzenia zmiany.

Śnieg padał jeszcze w nocy, ale krótko przed ranną szarówką ustał zupełnie, tylko niebo ciągle wisiało nad ziemią. Leśniczy jakby nie dowierzając barometrowi, uważnie przyjrzał się pułapowi leniwych chmurzysk.

— Koniec — oświadczył kategorycznie. — Zresztą i pochłodziło. Ponowa jak złoto...

Mieli już za sobą parę godzin znoonej włóczęgi i wydostali się wreszcie poza obszar szeroko rozsiadłych u zachodnich krańców jeziora rozlewisk i mokradeł, zaciągniętych teraz lodowym szkliwem i przysypanych śniegiem. Z oddali dobiegały czasem uderzenia toporów i szczęk nożyc. To grupa robotników wycinała nadmiernie wybujałe odrośla na zalewiskach. Pręty wierzby koszykarskiej, rozrosłej nad brzegami rzeczutki łączącej jeziora, odkładano na bok do moczenia i korowania.

Przysiedli na zwalonym wichurą pniu sosny. Gładka przestrzeń garbiła się tu niespodziewanie w wysoki, kształtny pagórek, może ślad jakiegoś dawnego grodziszcza. Gęstwa dookolna młodego brzeźniaka, zwarta, wybujała, przechodziła w mieszany las dębów, buków, brzozy i świerku. Z rzadka tylko przeświecały tu i ówdzie czerwonym brązem kory małe skupiska strzelistej sosny, gdzieniegdzie wystrzelał grab.

Na prawo gładką śniegową równiną aż po kraj horyzontu ciągnęło się jezioro. Dopiero stąd można było w pełni ocenić jego rozległość. Wdzięczną, pokreconą linią zatok i ostrych półwyspów wyrzuszało się silnie na wschodnią stronę, a potem ostrym skosem podchodziło niemal pod leśniczówkę.

Leśniczy i Michał przyzwyczajeni byli do włóczęgi po nierównym terenie, do przebijania się puszczańskimi ścieżkami, prześlizgiwania przez zamrożone mokradła i zalewiska, gdzie kryły się małe stawki, rozżarzone latem od słońca, kąpieliska dziczych watah i wodopaje płowej zwierzyny. Edek czuł jednak silnie w nogach ten parogodzinny marsz po śniegu, z wierzchu sypkim, ulatającym chmurami pyłu, u spodu obmarzłym i śliskim. Spoglądał teraz wstecz na wyraźny na świeżej ponowie ślad ich nóg, prostą linią, czasem tylko mijającą bokami trudniejsze przejścia, znaczący się na długiej przestrzeni, ginący wreszcie w brzozowym młodniaku, już po przeciwnej stronie rozlewisk. Potem przenosił wzrok na poważną twarz leśniczego, spod daszka zielonej czapki wodzącego uważnie oczami po wierzchowinach świerkowych. Jakże ten człowiek znał las, jak umiał w nim czytać to, czego by Edek w ogóle nigdy nie zauważył. Zdumiewał się łatwości, z jaką po okrażeniu partii młodniaka czy starodrzewu wymieniał konkretne ilości przebywającej w tej części lasu zwierzyny. Michał potakiwał, notował na kartkach, miętoszonych w przepastnej kieszeni kurtki.

Podleśniczy zaciekał się tropem biegnącym bezpośrednio od jednej sosny do drugiej, stojącej na bardziej otwartej przestrzeni. Z przeciwległej strony pnia było spore wgłębienie i znów wyraźnie odbijały się na śniegu ślady drobnych łapek, ale tym razem już w większych odstępach.

Obok nich były inne ślady, większe. Jedne i drugie kończyły się szerokim placykiem rozrzuconego śniegu, paru kropelkami krwi i strzępami kłaków. Potem w kierunku niedalekich krzewów ciągnęła się dróżka gładko wymieciona, jakby ktoś przeciągnął tu miotłą. Michał ujął strzępy futra w palce.

— Wiewiórka? — mruknął.

Podniósł się leśniczy, przyjrzał śladom, skinął na Edka.

— Domyślasz się, co tutaj zaszło? Tam do sosny idzie trop wiewiórki. A dalej?

Edek patrzył, ale niewiele mógł wywnioskować. Ktoś pożarł wiewiórkę? Czy tak?

— Widzisz, jasno tutaj jak w książce. Wiewiórka złakomiła się na szyszki sosnowe. Na tamtej samotnej drzewinie było ich więcej, bardziej złociste. O, parę leży pod drzewem, rzuciła je, jedząc. Na sośnie dostrzegła nagle czającą się kunę. Rzuciła się do ucieczki. Śnieg postrącany na czubkach gałęzi to ślad biegu wiewiórki. Lżejsza, trzymała się czubków gałęzi, kuna pędziła przy pniu. Tutaj wiewiórka zeskoczyła na ziemię. Silniejsze odciski to tylne łapki, którymi się odpycha. Ucieka, kuna jest szybsza. Tutaj ją dogoniła. Kropelki krwi. Potem pociągnęła do krzewów, stąd ten zatarty szlak.

Rozejrzył się po okolicznych drzewach.

— Śpi teraz pewnie. Szkoda, że nie można dziś strzelać, bo przepłoszymy zwierzynę i nic nie wyjdzie z otropienia rewiru... Na pewno byśmy ją zaraz znaleźli...

Tak, teraz wszystko było jasne. Edek ciekawie przyglądał się tropom. Przeszedł za nimi aż do zwartej grupy drzew. Nagle zakrzyknął przejęty:

— O, tutaj szły wilki. Ależ pazury...

Rex podbiegł do niego, węszył zapalczywie.

Michał zaśmiał się serdecznie, aż echo potoczyło się szeroko, a z najbliższych drzew spadło kilka okiści śniegowych strąconych głosem.

— To borsuk, nie żadne wilki. Wilk ma przecież ślad podobny do psiego, spójrz, jakie tropy zostawia Rex... Takie olbrzymie, długie jak haki pazury ma tylko borsuk... Była odwilż, zbudził się, wylazł z jamy, położył i znów się schował...

— Tu jest kilka jam borsucznych. Wzgórze suche, piaszczyste, spokój, więc się trzymają. Ten nasz śpioch też stąd pochodzi. Matkę jego drwale zabili, to wziąłem małego na wychowanie. Zobaczysz z wiosną, jaka z łobuza uciecha — rozgadał się leśniczy. — No, ale pora na nas, idziemy dalej...

Edek zauważył, że gdy mowa o lesie i jego sprawach, leśniczy nie tylko że nie jest małomówny, jak zwykle, ale robi się nawet gaduła. „On tym żyje”, pomyślał.

— A wiesz ty, jak chodzą wilki, gdy skradają się na przykład do wsi? Nie poznasz, czy dwa były, czy dziesięć. Trzeba bardzo wprawnego oka. Pan Gasiniec sobie poradzi, ja jeszcze nie... One idą w ten sposób, że każdy następny stawia łapy w tropie poprzedniego. I masz tylko jeden sznureczek. Takie to zmyślne...

Michał też dużo wiedział. Leśna szkoła pana Gasińca dawała swoje wyniki. Młody Mazur lubił się popisać przed Edkiem znajomością lasu. Tutaj on mógł imponować, toteż przez cały czas wędrówki gadał niemal bez przerwy.

Wyruszyli tylko w trójkę. Klem pracował usilnie nad nowym opowiadaniem, aż Mietek podkpiwał, że robi to jedynie w tym celu, aby częściej zaglądać do nadleśnictwa, gdzie korzystał z maszyny do pisania. Edek niechętnie słuchał tych przekomarzań. Trzpiotowata twarz Wery rysowała się wtedy przed nim przeraźliwie wyraźnie. Mietkowi dolegało jeszcze kolano, zrezygnował więc z eskapady. Wolał zresztą powtarzać materiał przed maturą. Z każdym dniem zbliżającym do egzaminu odczuwał pogłębiający się strach, że nie zda. Uczył się więc nieprzytomnie, aż go matka i Kulczyk musieli strofować, aby nie naraził zdrowia.

Zeszli ze wzgórza. Musieli przedzierać się teraz przez zbity gąszcz zarastającej podmokły teren wierzbin, łoży, drobnych, karłowatych brzózek, smukłych topoli, rozłożystych dębów, grubych buków i potężnych, przewyższających nieraz człowieka nie znanych Edkowi bylin. Z wolna krzewy przechodziły w skupiska czarnej olszyny, ze smętnie zwisającymi ciemnymi konarami, grunt się trochę podnosił, w podszyciu jarzębiny, tu i ówdzie obwieszona jeszcze kiściami czerwonych, pomarszczonych w mrozie jagód, przeplatała się z długimi, zdatnymi na wędziska prętami leszczyny, a wszystko krasiał mocną, soczystą zielenią delikatny jałowiec, stożkowato pnący się w górę.

Leśniczy przystanął.

— Okrążymy ten oddział z dwóch stron. Idź, Michał, od lewej. Tu będzie co notować...



Ty ze mną?

Edek przytaknął. Skręcili w prawo... Michał, pogwizdując, zgiął w kłębowisku gęstego podszycia.

— Latem nie przejdiesz tędy suchą nogą.

Przyglądał się ciekawie drzewu o szarym, gładkim pniu.

W ogóle puszcza wyglądała tutaj jak nie zagospodarowana. Wszelkie rodzaje drzew mieszały się ze sobą, miejscami zalegały drogę zwalone pnie, plątał się susz, omijać trzeba było liczne wykroty, pochylać pod tunelami z gałęzi. Brzoza sąsiadowała z grabem i buczyną, olcha ze świerkiem, a tuż za nimi pięto się kilka rozcapierzonych sosen.

— Tutaj nie ma wyrębu?

— Ta część należy do jeziornego rezerwatu. Przecież to razem szmat ziemi, siedemset siedemnaście hektarów...

— Rezerwat? — zdziwił się.

— Nie wiesz? Masz ci los, dwa miesiące siedzisz w Sumach i nikt ci nie powiedział? To jeziorny, a ściślej ptasi rezerwat. Całe jezioro, wszystkie rozlewia, bagniska i turzycowiska. Ech, zobaczysz wiosną i latem, jak się tu bractwo rozgacze, rozgega i rozćwierka... Łabędzie, żurawie, czaple, nawet czarne bociany, nie mówiąc o kormoranach i drobnicy, jak kaczki, perkozy, kurki wodne... Czasem zapłaczą się i dzikie gęsi. W zeszłym roku były trzy gniazda... Lęgnie się tego tysiącami. Aha, czekaj, dwa, sześć, dziewięć. Ładna chmara. O, to trop rogacza, a tamten łani. Zanotuj sobie od razu. Musi tędy chadzać i wielki pojedynek, kapitalny...

Edek wpisywał na kartce podaną mu liczbę jeleni. Ciekawie wygapiał się na wyraźne odciski kopyt, nie pojmując, jak leśniczy mógł z tego określić, co jest rogaczem, a co łanią.

— Tam śpi zając pod krzakiem. Widzisz, tędy jeszcze kluczył, a potem zrobił odskok powietrzem i przycupnął pod gałęziami. O, masz go!

Duży szarak zerwał się nagle spod wskazanego pnia i przerażony pomknął w las. Tylko śnieg opadł na ziemię z trąconych krzewów.

Ponowa była tutaj głębsza, nogi zapadały się prawie po kolana. Szli skrajem lasu, przecinając zagajniki dzielące oddział od jeziora. Leśniczy odczytywał trop po tropie, Edek notował zgrabiętymi rękami, od lasu ciągnął bowiem ziąb nasiąkły wilgocią.

Odetchnął, gdy znów wychynęli na mniej zarośnięty teren i spotkali się z Michałem. Mazur podsumowywał wspólne obliczenia. Leśniczy był zadowolony, znacznie wzrosło pogłowie tak czarnej, jak i płowej zwierzyny. Zaniepokoiły go tylko lisy, których namnożyło się w tym oddziale nad miarę.

— Aha, Kuternoga tu jest! — przypomniał Michał.

— Kuternoga? Tutaj? Hm, nigdy nie zaglądał w te strony. Czyżby go tamci przepłoszyli? Jesteś pewien? — pytał Michała.

— Chce pan, mogę doprowadzić do tropu. Niedaleko...

— Co za Kuternoga?

— Jeleń. Wspaniały rogacz, dwudziestak. Nie mamy drugiej takiej sztuki w rewirze. A i w nadleśnictwie nie będzie... Tyle że to okaz selekcyjny, na odstrzał. Ponieważ jednak trzyma się zawsze granic rezerwatu, więc go nie ruszamy. Ma szczęście... Skoro jednak ruszył, może powędrować dalej, trafi kiedyś pod strzał. Byłoby szkoda. Tutaj jedynie kłusownicy dla niego straszni. Pewnie go przepłoszyli — rozgadał się Michał, a twarz jego płonęła przejęciem.

Wspinali się długim, łagodnym zboczem przez sosnowo-swierkową wydmy. Edek zastanawiał się nad rozmiłowaniem w lesie dwu jego przewodników. Zupełnie byli tu inni niż w domu, w otoczeniu ludzi. Weseli, żywi, zaambarasowani każdym drobiazgiem, pewni siebie, bez tej nieśmiałości, która, zdawało się, krępowała czasem zarówno pana Gasińca, jak i Michała.

Od dawna to widział, nie mógł jednak zrozumieć. Cóż w końcu jest do miłowania w

tych obszarach drzew, rozlewisk i wody? Wciąż tak samo, bez zmian, zielono albo niebiesko. Mokra, zmęczenie towarzyszy każdej wędrowce. Ciszą i spokojem można przecież delektować się tylko pewien czas. A potem znudzi to wszystko, obrzydnie do reszty...

Teraz i jego las zaczynał pociągać, zupełnie inaczej nawet niż przed tygodniem i dwoma, gdy godzinami trawił czas na samotnych łążkach. Wtedy las wydawał mu się martwy, ani przeczynał nawet wartkiego życia, które w nim tkwiło. Skąd mógł wiedzieć, jak trzeba stąpać po mszarnej czy śniegowej podścieli, aby już z dala nie płoszyć zwierzyny, gdzie kierować wzrok, aby dostrzec w gęstych koronach sosen czy świerków gniazda ptasie, kto miał mu wskazać zamaskowane wejścia do nor borsuczyczych czy lisich. Ostatnio dopiero rozumiał, że las trzeba umieć wyczuwać, podkładać się myślą pod instynkt zwierząt, kierować się ich zwyczajami, czytać treść zawartą w każdej zdeptanej trawce, w nadłamanej gałązce, w jamie wygniecionej na szlamistym brzegu leśnego stawku czy bajora. Biały śnieg łatwiej odślaniał księżę leśnych tajemnic.

Edek słuchał uważnie, wysłepiał oczy, sam już potrafił rozróżnić odbicia badyli jelenich od sarnich, szlak drobnych łapek przepiórki od dreptania nówek kosa pod wyniosłą świerczyną. To było coś nowego, nieznanego, pachniało nie wiedzieć jaką przygodą, wabiło nieznanym.

Podobała mu się puszczańska partia rezerwatu, z której wyszli niedawno, nie tykana ręką człowieczą. Jakże tam musi być latem, pod tą przykrywą zieleni od góry, kryjącą słońce, w tej płataninie poszycia, gdzie skłócone, zwarte w walce pędzą ku górze smukłe pędy leszczyn, pienne pnie jarzębiny, a dołem jeszcze oplatają je paprocie i nawet z nazwy nie znane rośliny. Czasem strącony burzą, spróchniały we wnętrzu olbrzym leśny runie, a w rozwarte niespodzianie okno światła pędzą już nowe drzewa, które pierwsze, które wyżej i mocniej. Nieustanna walka, wyścig siły i sprytu. A jeszcze niżej grunt nierówny, pełen wilgotnych zapadlin, jam, wykrotów i długich tuneli pod skręconymi korzeniami leśnych olbrzymów. W nich także bujne życie, pleniące się szybko, łakome świata.

Pierwszy raz tego dnia, w połowie długiej wędrowki przez rewir, przyszła Edkowi myśl do głowy, że może warto byłoby wrócić w las tak jak tamci, by nie miał już przed nim żadnych tajemnic, i pozostać w tym lesie na zawsze. Uśmiechnął się zaraz do siebie. Nie, to nie dla niego, jakżeby tutaj wytrzymał bez tych radości, które daje miasto, bez ruchu ludzkiego, bez gwaru i rozterek wielkomiejskiego skupiska.

I chociaż myśl ta zginęła bez śladu, tak jak nagle i niespodziewanie nadbiegła, jednak w jakiś sposób musiała oddziaływać na jego nastrój, bo nagle uczuł przepełniającą go pogodę wewnętrzną, ba, radość tak wielką, że chciałby stanąć gdzieś na skłonie lasu ku lodowej płaszczyźnie jeziora i wołać, krzyżeć na całe gardło. Musiał doświadczony leśniczy umieć czytać nieźle i w ludzkim sercu, bo przyjrzał się chłopcu i uśmiechnął dyskretnie a przyjaźnie...

Koło południa chmury trochę się rozrzedziły i chwilami przebłyskiwało spoza nich nieśmiałe jeszcze, ostrożne słońce. Na świeży, biały śnieg kładły się wtedy wśród drzew długie, świetliste pasma i ponure, ciemne kolory cienia, zaczynało grać wszystko półtonami, jakby niewidoczny malarz poprzecigał teren dyskretnie a szybko farbami z różnobarwnej palety. Małymi, głębokimi plamkami cienia odbijały teraz na śniegu zwierzęce tropy. Michał notował je starannie, spoglądając na pana Gasińca. W pewnej chwili podleśniczy uściskał ramię przyjaciela.

— Patrz — wionął mu szeptem w samo ucho.

Stanęli wszyscy. Przez bór wiodła przecinka, kończąca się młodym zagajnikiem sośniny, prawie zupełnie zakrytej grubą warstwą osiadłego na szpilkach śniegu. W słońcu, na samej przecince stanęła chmara sarnia. Na czele tkwił duży kozioł, patrzył w stronę trojga zastygłych ludzi. Któraś z łań podeszła do niego bliżej, odgonił ją niecierpliwym drgnieniem kształtnego łba. Jeszcze patrzył, a potem dał sygnał ucieczki. Zakurzyło śniegiem, aż mgłą zwinął się podniósł ku górze, chmara z tupotem zapadła po drugiej stronie młodziaka. Tylko

zabłyły w promieniach płowe suknie, mignęły zgrabne ciała.

— Warto wyjść w las, by coś takiego zobaczyć, prawda? — uśmiechnął się leśniczy do Edka, a potem wskazał na inny trop przebiegający przecinkę. — Wiesz, kto tędy przebiegał?

— Zając?

— Ech, dajże asan pokój, zająca trop już ci pokazywałem. Szarak ma ślad zupełnie inny, tylne skoki zostawiają ślad długi, piętę rozróżnić można wyraźnie, przednie natomiast ślad krótki, okrągły. A tu jednak ciągnie się przez całą przesiekę.

— No, ale chyba nie psa...

— Jużeś lepiej trafił. Lisica tędy ciągnęła, może myszy szukając, bo jak widać z tych linii dwukropków i częstych pętelek, niemało ich tutaj... Lisicy ślad podobny trochę wilczemu, tylko że mniejszy. Pies ma krótszy ślad, o, spójrz na Rexa, bo łapy nie kurczy i palce odbijają się jedną plamą. A tutaj widzisz? Ślad długi, niemal że znać pazury, a i poduchy palców wyraźne...

Śmiejąc się przechylił się nisko, by na ukos przeciąć zagajnik. Michał z Edkiem obchodzili ten sam oddział wokoło. Mazur był jakiś niespokojny, uważnie ślepił po śniegu, czasem zbaczał na strony.

— Czego tak szukasz?

— Tu zawsze rogacz się trzymał, a teraz ani słyhu...

Leśniczy też nie znalazł. Przeszukali dokładnie jeszcze kilka pobliskich oddziałów. Wtedy spojrzeli na siebie znacząco.

— Był tu przed niespełna tygodniem. Czyżby znowu ci dranie? I chmara sarnia bez kozła...

— W tej partii lasu robią nam najwięcej szkody. To oni pewnie przegnali stąd Kuternogę. Może i dobrze, zginałby marnie... Żebyś ty go, Edek, zobaczył, olbrzym, jak na tych obrazkach ze świętym Hubertem...

Edek, który zapałał chęcią wykrycia kłusowników, naiwnie wysunął się naprzód, jakby sądząc, że zostawią oni wyraźny jakiś ślad. Drogę jego przecięły gęste odciski dzichych rapet, głęboko odcisnięte w śniegu.

— Dziki — stwierdził z dumą, oglądając się na Michała.

— Tak, ładne sztuki, poznać po rapetach, patrz, jakie dziury. Niedawno tędy przeszły...

Jakieś westchnienie, nie westchnienie, jęk nie jęk doszły ich nagle z bocznej, krętej ścieżyny, wyraźnie widniejącej spod nawisu gałęzi. Edek skoczył w tamtą stronę, spojrzął i zmartwił.

— Ojej, chodźcie tu prędzej. Taka jak nasza w Sumach.

— Cholera, niech to grom strzeli! Znowu wnykarze. A trzy dni ledwo, jak byłem w tej części, oddział był czysty... No tak, takie same żelaza, poznaję — kłął rozwścieczony leśniczy. — Chyba od wczoraj, bo śnieg zasypał wszelki ślad. Niegłupi on, by na ponowę włączyć z nogami. Odczeka trochę...

— Biedna, czy wyżyje?

Na boku, patrząc na nich zastrachanymi, pełnymi bólu i przerażenia oczyma leżała sarna. Śnieg dokoła był zryty, widocznie w rozpaczliwym szamotaniu z pułapką zwierzę szukało ocalenia.

— Noga strzaskana w trzech miejscach — przyjrzał się dobrze pan Gasiniec.

Ostrożnie uwalniał sarnę. Zrobiła ruch, jakby chciała zerwać się do ucieczki, ale po chwili przewaliła się bezradnie na drugi bok. Złamany badył włókł się z tyłu po miękkim śniegu.

Żelazo na sporej lince stalowej przymocowane było do pnia krętej brzozy, pochylonej nad zwierzęcą ścieżyną.

Edek odwrócił w bok głowę, gdy leśniczy odszedł o parę kroków i przyłożył fuzję do ramienia. Huknęły dwa strzały, jeden po drugim. Sarna szurgnęła parę razy kopytkami, zama-

rła w bezruchu.

— No co, nie zabierzemy jej teraz ze sobą? Dawaj, Michał, odniesiemy ją na stronę i wwindujemy na drzewo. Wieczorem podjedziesz koniem, wiesz, tą drogą koło jeziora, niedaleko stąd, zabierzesz... Psiekrwie, tak psuć zwierzynę... Trzeba dobrze przeszukać, na pewno będą inne żelaza. Chłopczy, kije w rękę i uważać, bo jak was capnie, to też może nogę połamać. Takie diabelstwo to i rogacza unieruchomi. Szukajcie na podobnych ścieżynach.

Oglądał wnyki, robione fachową kowalską ręką. Mocna sprężyna zwieriała dwie szczęki tak silnie, że z trudem dawały się rozchylić rękoma.

— Rex, do nogi!! — leśniczy nawoływał psa, bojąc się, by nie wpadł w potrzask. Nie było to potrzebne, bo pies, wdrożony w tajniki lasu, unikał teraz wydeptanych ścieżek, przedzierając się bokami, pośród zarośli.

Początkowo Edek badał teren z wielkim zapałem, jak minier wyciągniętym patykiem starannie wypróbować grunt przed sobą. Z boków słyszał stapania pana Gasińca i Michała. Powoli, gdy czas mijał, a nie miał żadnych rezultatów, zmęczenie zaś niezwyczajną łazęgą dawało coraz mocniej znać o sobie, zlekceważył trochę swoje zadanie. Rzadziej poszturchiwał drągiem po ścieżce, jedynie w miejscach, które wyglądały na podejrzane. Przystawał, długi czas przyglądał się kosowi, który pod wielkim, rozcapierzonym aż do dołu świerkiem próbował dogrzebywać się jakiegoś pożywienia spod lekko tylko okrytych śniegiem grubych korzeni. W pewnej chwili ptak dostrzegł chłopca, zawrzeszczał przeraźliwie i frunął niskim lotem, znikając Edkowi z oczu. Zaśmiał się do tego wesołka leśnego, ruszył dalej ciągnąc za sobą ciężkawy kij.

I w tejsze chwili tuż, tuż usłyszał ostry szczęk, kłapnięcie, kij wstrzymany nagle szarpnął go silnie do tyłu. Struchlał. O niecały krok od śladów jego stóp dopiero teraz widoczne spod śniegu szpony pułapki tak silnie schwyciły drąg sosnowy, że go niemal zmiążdżyły. Mimo woli spojrzął na swoją nogę.

— Kurczę pieczone! Ładnie bym wyglądał.

I nagle go porwała piekielna złość na złoczyńcę. Przypomniał sobie pogoń za kłusownikami w pierwszych zaraz dniach pobytu i nocną przygodę w Pizzu. Ostrożnie rozgarniając śnieg, wydobyl wnyki, odwiązał linkę od drzewa.

Trzymając zdobycz pod pachą, kroczył już teraz bardzo, bardzo ostrożnie. Zapomniał o zmęczeniu, o wielogodzinnej wędrówce, aż zęby zaciskał na myśl o nieznanym wrogach, których uznał teraz niemal za osobistych nieprzyjaciół.

Gdy wreszcie wychynał na drogę śródleśną, zastał tam już Michała. Mazur też trzymał coś pod ramieniem. Były to pętle na zające i drobniejszą zwierzynę.

— Sarnę też zdusi, jak dobrze trafi. Masz żelaza, nie chwyciły cię?

— Mało brakło. Ale to dopiero cholera! Żeby tak złapał łobuza, sam bym mu wsadził kopyto w takie żelazo. I co by mi potem kto zrobił?

— Warto, pewnie. O, leśniczy ma aż dwa.

Pan Gasiniec zbladł i od tej bieli tym silniej odbijały czerwone plamy wypieków na twarzy. Był podenerwowany.

— To razem aż cztery. Będzie ich więcej, tylko trudno odnaleźć na ponowę... I zawsze się kręcą w tej części lasu. Stale tu zaglądam, nigdy nie mogę przyłapać na gorąco...

Leśniczy szedł chmurny, nie mówił wiele. W pewnej chwili stanął u krzyżujących się dróg leśnych i wskazał Edkowi.

— Tu kończy się granica naszego rewiru. Tam już teren Marcińskiego. Pójdziemy wzdłuż granicy, a potem przejrzymy ostatnią partię. Choć przyznam się, że straciłem zupełnie ochotę. Diabli nadali, co za los...

Nie był jednak sądzony koniec utrapień leśniczego w tym dniu. Drogą dzielącą rewiry nie przeszli połowy kilometra, gdy nagle pan Gasiniec przystanął, a Rex, obwąchując jakiś ślad, pomknął w las ledwie znaczącą się wśród pni dawną drogą, mocno już zarosłą

pędami młodej leszczyny.

Doskonale widoczne, na drodze tej odbijały się ślady kopyt końskich i płozy sań.

— Oho, to dzisiejsza sprawa, już po świeżym śniegu. — Leśniczy przyspieszał kroku, prawie biegł za nawracującym Rexem. Chłopcy szli za nimi.

W pewnym punkcie lasu, trochę luźniejszym od drzew, sanie zakreśliły nieomal w miejscu. Przez zarośla ciągnął się szlak zmieczonego śniegu, jakby ktoś przeciągnął tu wielką miotłą. Czasem na tym tle odcinały się ślady butów.

Michał spojrział tylko wymownie na Edka.

Pas zmieczonego śniegu ciągnął się przez kilkaset metrów. Leśniczy szedł teraz wolno tym tropem, czasem przystawał, oglądał gałęzie krzewów, przychyłał się do ziemi. Edkowi przypomniały się czytane ongiś książki Coopera o tropieniu śladów przez Indian.

Szlak urwał się przy potężnej kupie chrustu, zwalonej na stronę. Śnieg nasiąkły był krwią. Pan Gasiniec zdjął z którejś gałęzi pasmo sierści. Przyjrzał się, nim je rzucił pod nogi.

— Zgadza się — rzekł smutno. — To, Michale, rogacz, którego nam brakło w tamtym oddziale. Musieli go wczoraj dostać, jeszcze przed śniegiem. Dlaczegoś schowali pod chrustem, a dziś zabrali saniami. Ślad okrzepł, byli pewnie z samego rana. A ja, psia mać, wahałem się rano, czy od tej strony nie zacząć obchodu. Chybiłem. A bylibyśmy na nich trafili. No cóż, wracamy śladem...

Edek schylił się ku ziemi i dokładnie, drobiazgowo przyglądał się wyraźnym odciskom dwóch par butów na śniegu.

— A żeby tak odszukać, kto nosi takie buty... O, w tym prawym blaszka przy obcasie jakoś krzywo przybita, jeszcze duży kawał skóry zostaje poza nią. Patrz, Michał, przychył się, widzisz!

Leśniczy lekceważąco machnął ręką.

— Daj asan pokój, tu nie indiańskie zabawy. Nic to nam nie da, bo gdyby nawet, jak udowodnisz? A zresztą, kto tam będzie sprawdzał odciski obuwia? Głupota... — sarknął gniewnie i zgnębiony powlókł się dalej.

Wrócili na drogę dzielącą dwa sąsiadujące rewiry. Płozy sań głęboko wbijały się w śnieg, musiał leżeć na nich potężny ciężar. Na równiejszej drodze zniknęły odciski butów, widocznie obaj mężczyźni również wsiedli na sanie.

— Na szosę skęcili — rzekł Michał.

Dobrnęli aż tam. Edek odzyskał nadzieję, że dojdą śladem aż do sprawcy przestępstwa. Pomyślał sobie, że nie patrząc, co powie leśniczy, czy się będzie gniewał, czy nie, on złapie drania za gardło i dokumentnie spierze mu mordę, żeby popamiętał na długo...

Gniewny okrzyk Michała przerwał tok tych marzeń. Wychodzili z leśnej drogi na szosę wiodącą z Pizsa na Kolno. Ślady sań skręcały w lewo do miasteczka i... ginęły. Zwalone na boki zwały śniegu świadczyły, że później niż sanie przeciągnął tędy pług śnieżny, oczyszczając drogę.

— Diabli nadali! — zaklął leśniczy. — Zawsze się spóźniają, a właśnie dzisiaj musiało im być tak śpieszno.

Widocznie i on musiał żywić, jakieś ciche nadzieje, które pług śnieżny rozwiął teraz zupełnie.

Postali chwilę, po czym zawrócili w las. Mijając rów dzielący szosę od lasu, leśniczy przystanął i podniecony wpatrzył się nagle w daleki jakiś, niewyraźny stąd trop.

— Oho! — sapnął.

Pobiegli za nim zaciekawieni. Musiał trafić na coś bardzo ważnego.

Edek początkowo nic nie rozumiał. W śniegu odcisnięte były wielkie łapy, większe niż Rexa. A spokojny i posłuszny dotąd Rex teraz nagle zjeżył się i zawarczał głucho.

— Spokój, spokój, piesku...

Pan Gasiniec zawrócił tropem, szedł jakiś czas po nim w głębię lasu. Potem znów przy-

stanął koło rowu przy szosie.

— Jeden pędził. Samotnik. Basior, ale potężna sztuka.

— Co to basior? — spytał Edek podnieconego Michała.

— Wilk samotnik. Cholernie niebezpieczne bydlę. Potrafi wkraść się do obory i krowę udusić. Taki diabeł leśny...

Przeszli przez szosę. Trop basiora pojawił się tam znowu, wyraźny, długi. Wiódł prosto w największy gąszcz leśny.

— Pędził dokądś na całego. Ale nie uciekał, bo szlak jest równy, bez zrywów... — medytował leśniczy.

— Skąd pan to wie? — zdumiał się Edek.

— To bardzo proste... Gdy wilk idzie powoli albo podbiega sobie truchcikiem, to wtedy bardzo dokładnie jego tylna lewa noga trafia w odcisk prawej przedniej. Podobnie tylna prawa w przednią lewą, tak że powstaje na śniegu jedna prościutka linia, jakby kto kijem wytyczył... Dopiero gdy rwie, wygląda to tak jak u tego basiora. A przy nagłej ucieczce jeszcze inaczej.

— W Piszcu gadali, że wilki pokazują się tu i ówdzie — rzekł Michał.

— Zawsze gadają, u nas już dwa lata nie było tych diabłów... Ten też wygląda na przechodniego... Blisko, jak widać, się nie zatrzymał. W każdym razie trzeba będzie uważać...

Edek, pogadując z Michałem, spoglądał w powrotnej drodze na przygarbione, zmęczone plecy leśniczego. Pomyślał, jak w obecnej sytuacji musi go dręczyć to nowe niepowodzenie. Serdecznie zapragnął, by mu jakoś dopomóc. Ale jak?

Koniecznien trzeba naradzić się z Michałem. Chłopak dobrze zna las. Muszą się znaleźć jakieś sposoby na kłusowników.

## 14. KLEM OSACZONY

Dotąd zima z lekka tylko dawała znać o sobie. Ale teraz rozhułała się na dobre.

Śnieg w lesie i na polu zlodowaciał, twardy był, chrzęścił pod nogami, nie zapadał się. W powietrzu było cicho i dostojnie. Zamarły wiatry, jakby ich tchnienie zostało zwarzone ostrym, nielitościwym mrozem. Śnieg na gałęziach świerkowych zastygł sztywną skorupą, czasem tylko gwałtowniejszy ruch dużego ptaka strącił z łoskotem białą bryłę. Zaciągnęły się twardym szkliwem nawet oparzeliska, nie dymiły już w pogodne dni tak jak dawniej. Na jezioro każdego dnia schodziła grupa robotników, by w grubej na długość ramienia tafli wciąż od nowa przebijać przeręble dla ryb złaknionych tlenu. Głucho biegły wtedy ustokrotnione echem uderzenia pieśni, zderzały się z nadlatującymi z innych oddziałów leśnych ostrymi ciosami toporów na zrębie i z poskrzypliwą melodią pił.

Zwierz leśny jakby mniej bał się teraz człowieka. Paśniki, lizawki i inne karmiki leśne, napełniane co dnia liściarką, pędami wierzby, osik i dębów, kasztanami i żołądkami, buczyną i owsem w snopkach, ziarnem i sianem, miały już swoich stałych odbiorców. Nawet rogacz, zwany Kuternogą, tak zawsze płochliwy, teraz nie czekając zbyt długo na oddalenie się sań przywożących karmę, wychodził z lasu na małą polanę, wyciągając potężny łeb do smakowitych snopków owsa. Gniewnie pochrapywał na drobne ptactwo, mysikróliki i sikory bogatki, raniuszki i jemioluszki, próbujące uszczknąć coś z łaskawego daru człowieczej dłoni. Spłoszone, zerowały na berberysie, jałowcu czy jarzębinie, pilnie łuskając ostatnie jagody.

Zające bezczelnie podchodziły pod dom, odganiane przez psy podenerwowane takim najazdem. Nawet mała Mircia, stojąc przy progu na swych kabłąkowatych nogach, cichym poszczekiwaniami dodawała otuchy Rexowi i Kulasowi. Dziki próbowały jeszcze parę razy podchodzić do solidnie przykrytych przed mrozem kopców, ale przepłoszone strzałami zrezy-

gnowały, odchodząc w dalsze rewiry. Najłagodniejsze były sarny. Każdego ranka można je było zobaczyć w kilku dużych chmarach, sycące się przy paśnikach wzdłuż zagajnika niedaleko od leśniczówki. Tęsknie wyciągały szyje ku ludzkiej sadybie, a wtedy w ich dużych, wilgotnych oczach odbijały się blaski wstającego słońca, by potem rozłożyć się równomiernie na płowych sukniach. Sarna chowana w leśniczówce wychodziła czasem na spotkania żerującej przy paśniku chmary, przystawała w pół drogi niepewna, co czynić dalej. Stała tak długo, pewnie serce jej mocno biło w nieświadomości wyboru między dwoma przywiązaniami. Ze zwieszoną głową, ostrożnie stawiając badyłki, wracała w końcu do stodoły, gdzie skryta w słomie nocowała teraz w najmroźniejszy czas.

W Sumach znowu unormowało się wszystko, szło zwyczajnym, codziennym trybem. Mietek uparcie powtarzał materiał, już tylko dni dzieliły go od egzaminu. Chodził zarośnięty, wychudł, ciemne oczy, z niewyspania otoczone sinawą obwódka, błyszcząły na pół przytomnie. Na przyjaciół spoglądał czasem z jednoczesnym wzdychaniem, aż mu Edek radził rąbnąć w kącie książki, iść gdzieś do lasu czy na zabawę do dziewcząt.

— Zmarnujesz się, chłopie, i tyle — mówił z wyraźną troską.

Mietek uśmiechał się, potrząsał przecząco swą jasną fryzurą. Edek nie bardzo mógł zrozumieć sens tej mordowni, jak określał naukę przyjaciela. Skoro tak bardzo już pragnął matury, mógł rozłożyć naukę na dłuższy okres. Słaby jest, chorowity, po diabła się tak wypompywać.

A jednak gdy trząsał się na starym „Zetorze”, od tygodnia mu przydzielonym, bywało, że odczuwał lekkie uczucie zazdrości. Matura. Pewnie, można i bez niej się obejść, ale jednak... Mietek chce zostać w lesie, tam pracować. Bez studiów teraz taki numer nie przejdzie. Ot, choćby Pawełek, skończył liceum, już obiecują mu leśniczówkę, ledwie posiadał trochę tej praktyki. A biedny Michał ileż lat będzie musiał jeszcze czekać na wymarzony awans?

Pchał wtedy ciągnik szybciej, aż naładowana grubymi dłużycami przyczepa, a właściwie tylko jej rozciągnięte podwozie chwiała się ze strony na stronę, pomocnik zaś, uczeplony Edkowych barków, chwycił je mocniej, w obawie, aby nie runąć na szosę.

Od świtu do późnej nocy szalał na tym „Zetorze”, dudniąc na odcinku szosy między stosami zwalonego przy niej drzewa a piskim tartakiem. Pomocnik, silny, wytrwały chłop z wioski za jeziorem, ze zdumieniem spoglądał na zwariowanego kierowcę. We dwójkę ładowali dłużyce na daleko od siebie ustawione osie przyczepy, rwali szosę, zrzucali z impetem na składowisku tartacznym, znów zawracali i tak bez końca. Ledwie trochę czasu poświęcał Edek na zjedzenie śniadania. Spieszył się, nie wiedzieć dlaczego. Sam się zastanawiał nad tą harówką, jaką sobie dyktował. Czy zależy mu tak bardzo na zwiększonym zarobku, czy jakaś ambicja pcha go do popisu pracą w nie znanym tempie? A może pragnie zagłuszyć coś w sobie? Wzruszał ramionami, zwracał myśli ku innym, bliższym zagadnieniom. A potem, aby ostatecznie dobić nurtujące go wątpliwości, kupował w Pieszku flaszkę wódki i wypijał ją wraz z pomocnikiem, od chłodu, jak mówił. Mróz bo zresztą dawał się im we znaki. Przemarzłe, oblodzone dłużyce parzyły dłonie, w czasie jazdy podmuch wiatru wnikał aż pod fufajki, ziębił ciało. Potrzebna była czasem i druga flaszką...

Tego dnia, kiedy niespodziewanie spotkał Werę przy budynku rejonu, upił się tak, że ledwie doprowadził traktor do leśnego składowiska. Mroczniało już, ostatni chłopci podciągali smykem długachne pnie, zawracali do domów. I „Zetor” zamilkł tego dnia wcześniej niż zwykle...

Właściwie to nic przecie nie zaszło. Gdy ją dostrzegł, przyhamował motor, z twarzą zarumienioną od mrozu zawadiacko zamachał czapką. Była to sobota, więc wcześniej wracała do domu. Odkłoniła się, zdawało się, jakby nawet pragnęła przystanąć. Zarył ciągnikiem niemal w miejscu, aż rozpedzone dłużyce grzmotnęły w maszynę, zeskoczył, szedł szybko do Wery. Zatrzymała się speszona. Niezadowolenie jej było zupełnie wyraźne w ściągnięciu warg, w drganiu małego noska. Dostrzegł to, z wyciągniętą kordialnie dłonią zastygł w jednej

chwili, opuściła go cała werwa i pogodny nastrój.

— Pewnie przeszkadzam — rzekł cicho, ale z budzącą się w nim złośliwą przekorą.

— Śpieszę do domu. Muszę odebrać rower w warsztacie, trzeba było założyć nowe szprychy, bo mi koło zósemkowało — mówiła wolno, jakby się tłumaczyła.

— Wera — rzekł z żalem.

Żachnęła się.

— Słucham pana — zaakcentowała ostatnie słowo, spojrzała niechętnie. Wzrok jej zatrzymał się mimo woli na tablicy ogłoszeniowej.

Przeczytał. Koślawymi, kolorowymi literami zawiadamiano o projektowanej na dziś wieczór zabawie. Zrozumiał. Zagotowało się w nim.

— Może się razem wybierzemy? — zakpił. — Jak już będę rozrabiał, to w pani obronie, dobrze?

Oczy jej rozszerzyły się, ale słowa nie powiedziała.

— Do widzenia.

Zaledwie skinęła głową, odchodząc. Gapił się za nią przez chwilę, potem nasunął czapkę na oczy, splunął sobie pod nogi i nie słuchając nawoływań pomocnika, pomaszzerował prosto do sklepu z wódką. Gdy wyszedł, kieszenie miał mocno wypchane.

Po wyładowaniu przyczepy w tartaku pili razem z tamtejszymi robotnikami. Wstąpili potem do gospody przy rynku. A jeszcze w drodze powrotnej Edek kilka razy zatrzymywał ciągnik i chleptał prosto z butelki. Towarzysz jego w pewnej chwili zrezygnował, miał dosyć. Z przestrachem spoglądał na kręty ślad zostawiony na szosie przez koła maszyny. Przy reflektorach już dobrnęli jednak na miejsce.

Jeszcze większym cudem odstawił Edek „Zetora” do leśniczówki. Pomocnik, który zazwyczaj żegnał się z nim przy leśnym składowisku i wracał rowerem do domu, tym razem konwojował kierowcę, rower przytracając do kół przyczepy.

Na podwórzu ciągnik poterkotał jeszcze chwilę i wreszcie zagasał do poniedziałku. Edek chwiejnym krokiem poczłapał do domu, pomocnik jego zniknął już w powrotnej drodze do Pisz.

Pani Helena, dźwigająca wiadra mleka z obory, przyglądała się kołowaniu Edka. Kręciła głową. Ostatnio pił stanowczo za dużo. Kulas wyskoczył do niego, omal nie upadł, gdy przechylał się do psiej głowy, by ją pogłaskać.

— Edek, gdzieżeś się tak ululał?

W śmiesznej czapie futrzanej na głowie stał przed nim Kulczyk. W mroku, rozjaśniony blaskiem śniegu, wyślepiął zza okularów oczy na Edka. Pod pachą trzymał teczkę wypchaną papierzyskami. Edek nie zwrócił uwagi na słowa Klema, wgapił się tylko w tę teczkę. Głos jego zabrzmiał tłumioną pasją.

— Idziesz do nadleśnictwa? Przepisywać te swoje gryzmoły?

— Tak. A czemu... — nie dokończył. Edek przerwał mu śmiejąc się grubo.

— Idź sobie do tej sikuchy, idź! Tylko mi nie zawalaj o przepisywaniu. A ode mnie możesz ją pozdrowić i powiedzieć, że jest nudna jak flaki. Nudna i głupia...

— Edek...

— Tak, głupia jak but! I brzydka jak nieszczęście! Cnotuchna cholerna... Ale zaproszenie na zabawę podtrzymuję niech przyjdzie, pokażę jej, jak się tańczy. Słyszysz, powiesz jej to?

— Tyś zupełnie pijany.

— Uważaj — zasyczał. — Nie podsuwaj się, wypierdku, bo cię tak wykołuję moimi rączkami, że się...

— Co tu się dzieje? Spokój, chłopcy! — Leśniczyna ostro zgasiła wzbierającą awanturę. Po czym gwałtownymi ruchami wypchnęła Klema w stronę drogi, pragnąc, aby prędzej zniknął z oczu rozjuszonemu Edkowi.



Ale ten już się zreflektował. Burknął coś pod nosem i począł do domu.

Pani Helena z kuchni nasłuchiwała niezgrabnego krzątania się Edka w jego pokoju. Po krótkim czasie ukazał się w progu ubrany jak do wyjścia.

— Dokądże to kawaler? Czy nóżki nie za słabiutkie? — zadrwiła.

— Czy, czy... mogę wziąć rower? Jadę na zabawę do Pizy.

Głos jego miał suche, twarde brzmienie. Nie patrzył na leśniczynę, ale na swoje buty. Wypucował je, błyszczały.

— Żebyś znowu czego tam nie zmalował... Lepiej byś poszedł spać, pijany jesteś, jakże pojedziesz po ciemku.

Potrząsnął głową.

— Nic, zaraz przejdzie. Do widzenia...

Na nic by się tu zdało odmawianie go od wyprawy. Ubzdurał sobie, że musi iść, na to się nie poradzi. Gdyby mąż był, to co innego.

Drgnęła, bo przypomniała sobie, że Klem poszedł niedawno tą samą drogą. A nim skręci do nadleśnictwa, może go Edek dogonić. Gotowa wyniknąć awantura. Uspokoiła się jednak, od odejścia Kulczyka minęło sporo czasu, a Edek ledwie się wlecze na swych niepełnych nogach. Nawet rower prowadzi, bojąc się, aby nie ugrzęznąć w śniegowych zaspach.

Edek zaś, rozradowany swoim pomysłem, właśnie na złość tej głupiej, hardej dziewusze, powoli nabierał dawnej sprawności. Wreszcie dosyć zgrabnie wskoczył na siodełko, puścił przed siebie mocny snop światła reflektorka, nacisnął pedały.

O Klemie nie pamiętał. Dopiero gdy w blasku latarki ujrzał nagle przed sobą jego niekształtną sylwetkę, zbaczającą drogą do nadleśnictwa, wróciła mu pamięć niedawnej rozmowy. Zeskoczył z roweru, stanął rozkraczony, wołał:

— Klem, hej, Klem!

Kulczyk odwrócił się. Pomyślał, że Edek goni go, aby się z nim rozprawić. Ale nie uląkł się, zacisnął tylko swe drobne pięści. Będzie się bronił...

— Czego chcesz? — odkrzyknął przez dzielącą ich odległość kilkunastu metrów.

— Przypomnieć ci, żebyś dokładnie powtórzył Werze to wszystko, co powiedziałem. Że jest głupia, brzydka i w ogóle gęś. Rozumiesz? Ale na zabawie mogę z nią zatańczyć, niech przyjdzie...

Klem machnął ręką, tak jak się macha na człowieka niespełna rozumu. Stał, przyglądał się, jak Edek znów wskoczył na rower, zadrgało światelko i oddaliło się w kierunku szosy. Nagle zrobiło mu się żal tego dzikiego, narwanego chłopaka. Od Mietka wiedział sporo o jego przeszłości.

Przyśpieszając kroku w miarę zbliżania się do nadleśnictwa nie bez pewnej sympatii myślał o tym wykojejonym, jego zdaniem, koledze. W końcu przecież to morus, coś mu tkwi tylko w zakamarkach duszy i psuje obraz. Może jeszcze jakaś nie ujawniona historia w rodzaju tej z Krasawczykiem? Kto go tam wie. Edek jest taki tajemniczy.

Ścisnął mocniej pod pachą tekturową teczkę. Pęczniała powoli od stron maszynopisu, mających złożyć się na tomik opowiadań. Pierwszy raz pracował tak usilnie jak w ostatnim czasie. Świetnie mu się pisało. Tylko czy to naprawdę będzie dobre? Czy tak mu się tylko wydaje?

Ucieszył się, że już staje na ganku nadleśnictwa. Wszelkich rozważań, jakichś dziwnych lęków i obaw ściskających serce na myśl o własnej pracy bardzo nie lubił. Gasiły resztę jego pewności siebie. Gdyby nie Wera, może by nawet zrezygnował z przepisywania, odłożył teksty, niech się uleżą, niech narośnie dystans czasowy, można by wtedy całość lepiej ocenić.

Wera, o właśnie, to dobry duszek jego pracy. Zaraz ją zobaczy, przywita, ona uśmiechnie się... Ba, pewnie by nie napisał tyle, gdyby nie ona. Dziwne są motory twórczości...

Pochłonęła go ciepła atmosfera domu nadleśniczych.

Dobrze czuł się tutaj, lepiej niż w Sumach. Nad leśnicówką zaciążyła ostatnio jakaś

ponurość. Mietek, wydręczony nauką, nie był już taki jak dawniej. Leśniczy miał swoje kłopoty. Edek, ech, o nim Klem nie chciał myśleć. Nie lubił go od pewnego czasu. I jeszcze brak dobrego światła w długie zimowe wieczory, siedzenie przy naftówkach lub karbidzie. Tyle że cisza i spokój, dobre miejsce do pracy...

Nieprzyjemne wrażenie po starciu z Edkiem zaważyło na jego humorze. Gdy po powitaniach przeszedł do gabinetu nadleśniczego i zasiadł przy maszynie, nie rozpoczął pracy od razu. Trąc czoło zastanawiał się, czemu przypisać taki wybuch wściekłości u na ogół opanowanego Zaleskiego. Wera mu się podobała, napomykał o tym Mietek, ale czyżby to był wystarczający powód? Bo chyba on się w niej nie podkochuje? Taki dziwkarz, czy w ogóle on umiałby kochać? A może?

Spojrzał za siebie, na dziewczynę opartą o ciepły piec. Uśmiechnęła się.

— Co za mina. Nie udało się coś? Nawet paru słów nie chce pan ze mną zamienić...

— Bo to przez Edka — wybuchnął, ale zaraz się pohamował. Przecie nie będzie oczerniał przed nią kolegi.

Zauważył, że drgnęła lekko na dźwięk tego imienia. Ale ton jej był obojętny, gdy oświadczyła, że też się z nim dziś spotkała.

— Namawiał mnie na zabawę w miasteczku...

— Na zabawę? I mnie mówił, nawet prosząc o przypomnienie pani, że będzie czekał.

— Świntuch.

— Kto?

— Cały ten Edek. W ogóle nie chcę o nim gadać. Nie będę przeszkadzać... — i jakby ją wymiotło, zniknęła z gabinetu.

Westchnął, nic nie rozumiejąc, zaczął przeglądać przepisane strony tekstu. Przyniósł dziś dalszą partię rękopisu. Piliło go, aby wykorzystać swój rzadki zapal do pracy i doprowadzić wszystko do końca.

Nie mógł się jakoś połapać w zadrukowanym papierze. Nie zgadzały się strony. Przecież przedwczoraj w tym miejscu zakończył, a tutaj...

Szybko przerzucał kartki. Ktoś przy nich manipulował bez jego wiedzy. Zrobiło mu się przykro. Nic by nie miał przeciw temu, aby Wera czytała jego opowiadania, sam jej podsuwał, ale w swojej obecności... A tutaj? Drgnął, ależ tak, blisko dwadzieścia stron ktoś przepisał za niego. Na pewno Wera. Jaka miła... Dlaczego to zrobiła? Czyżby?

Uczuł tylko, jak go palą policzki, a ręce drżą. Przecież nie trudziłaby się z samej tylko sympatii. To musi być coś więcej. Może go zrozumiała, domyśliła się narastających jego uczuć, może jest mu wzajemna? O Boże! To by dopiero była radość. Może wreszcie się nie zawiedzie...

Zbladły nagle wspomnienia o dawnych sympatiach. Aż się zdziwił, jak mu się mogły podobać tamte kobiety. Żadna przecież nie może się nawet umywać do Wery. Do jej sposobu bycia, do oczu skrzących się chochlikami, do chłopięcej czupryny, do zgrabnej, małej figurki, do inteligencji... Tak, na każdym polu biła jego dawne miłości. Nareszcie znalazł. Dlatego tak mu szła praca. Trudziła się, przepisywała mu teksty... Złoto, nie dziewczyna. Taka kochana...

Rozczulił się, porwał się z krzesła, pobiegł jej szukać. Zdziwiona jego zgorączkowaniem nadleśniczyna oznajmiła, że córka wyszła na chwilę w sąsiedztwo, zaraz powróci. Czy stało się coś?

— Nie, nie, tak się tylko chciałem zapytać panny Wery, poradzić... — bąkał wycofując się z kuchni.

Trochę stukał w klawisze maszyny, ale szło mu nieskładnie, wreszcie nadeszła Wera, nie wiedział, jak ma jej dziękować. Z zarumienionymi od mrozu policzkami patrzyła na niego z uśmiechem. Siedziała na fotelu, z nogą założoną na nogę, a on, jakby pierwszy raz dopiero ją widział, wgapił się w te nogi, w ich zgrabną linię, aż trochę zażenowana, pociągnęła spódnicę na kolana.

Długo gwarzyli. Klem nie pamiętał zupełnie o czasie. Nie bardzo też wiedział, co mówi, tak był przejęty odkrytą tajemnicą. Już, już chciał wyznawać jej swoją gorącą miłość, potem się wahał, czekając na jakiś znak Wery. Ale widocznie nie zależało jej jeszcze na oficjalnym stwierdzeniu, bo niczym go nie skłaniała do wyznań. Potem zresztą nie było już okazji, pojawili się rodzice, wszyscy razem jedli kolację, nadleśniczy coś opowiadał, on mu potakiwał na pół przytomnie, aż parę razy wynikły z tego nieporozumienia. Składali je na karb jego poetyckich talentów. Literat ma prawo być półprzytomny, tworzy przecież, to zaprzęta całą jego uwagę.

Ani się spostrzegł, gdy wybiła dziesiąta. Jeszcze nigdy tak długo się nie zasiedziało. Nadleśniczy z trudem tłumił ziewanie. Klem rozgrzeszał się wprawdzie, że jutro niedziela, będzie mógł pan Dziadoń się wyspać, niemniej trzeba było odchodzić.

— Ma pan dobrą latarkę? — zagadnął gospodarz. — Noc wprawdzie księżycowa, ale w lesie ciemno... — Tu zafrasował się. — Mam meldunki, że po obławie w Mikołajkach i koło Orzysza, gdzie pokazało się ich sporo, część wilków ruszyła w naszą stronę. Trochę niebezpieczna taka droga nocą przez las...

Kiedy indziej Klem byłby się przeraził tych słów, teraz jednak przecucie, że Wera dąży go wzajemnością, nasyciło go bohaterstwem. Co tam wilki, nie bałby się nawet tygrysów, gdyby takie znalazły się w Puszczy Piskiej. A latarkę miał mocną, baterię założył dopiero niedawno. Parę kilometrów, mało to razy już robił tę turę?

Wera zdumiała się przy pożegnaniu, gdy nagle zaczął cmokać ją po rękach, aż niezadowolona musiała je schować za siebie. A jeszcze bąkał coś o wdzięczności, o swoim szczęściu i popatrywał na nią zza okularów tak jakoś dziwnie. Wyprawiła go czym prędzej.

— Dziwaczni ludzie tacy poeci, nieprawdaż, mamó? — uśmiechnęła się i gdyby matka przyjrzała się jej w tej chwili, odkryłaby może w tym uśmiechu niemało zwykłej próżności kobiecej.

Klem krocząc ochoczo drogą dopiero po dłuższej chwili spostrzegł się, że nie zabrał teczek z materiałami do skorygowania. Zawsze część pracy zabierał do leśniczówki, aby rankami nanieść na maszynopis ostatnie poprawki. Przystanął, obejrzał się za siebie. Ściana drzew dawno już zakryła światelka nadleśnictwa. Wracać nie wypadało, zbyt późna godzina. Nie będzie sobie zawracał tym głowy, Jutro przyjdzie i zabierze, będzie miał pretekst, by znów spotkać się z Wera...

Cmoknął zachwycony, rozpatrując jej urodę. Tak chłopięca była z tą krótką, wichrowatą czupryną. Tylko łyskały spod niej trzpiotowate, intensywnie niebieskie oczy. Albo nos nie nazbyt kształtny, ale taki jakiś jedyny w tym swoim lekkim podgięciu do góry. Marszczy się i prychnie, gdy jest czymś podniecona. I robią się jej dołki w policzkach, gdy się śmieje. Kąśliwa, język ma ostry, a przecież dziś mu się nie odcięła ani razu, była jakby onieśmielona. To też sporo mówiło. Tak, zgadza się, nareszcie coś się wykluwa w jego życiu. Bo Wera nie będzie taka pusta jak tamte wszystkie. Jak choćby ta czarna Zocha z Pogubia za jeziorami... Tak go okpiła, ładny tam jej znajomy, kto wie, może po prostu kochanek. Nawet nie przyszła na spotkanie, szelma. Ale brzydka to nie jest... — Aż westchnął na wspomnienie i zaraz się opamiętał. — Gdzie jej do Wery! Niby drobna, ale zgrabna piekielnie, te nogi, trudno by szukać podobnych.

Potknął się potężnie o korzeń, aż zaklął od cholery. Nie chcąc wyładować baterii, o które w Pieszce było bardzo trudno, tylko w ciemniejszych miejscach oświetlał drogę latarką. Zresztą było dosyć jasno mimo gęstych cieni rzucanych przez drzewa. Szczelinami przez nakrycia ciemnozielonych gałęzi przenikały pasma księżycowego, niebieskawego światła. W silnym mrozie śnieg skrzył się w tym blasku, odbijał jakąś na pół realną poświatę. Gdzieś w głębi puszczy rozlegał się czasem trzask ostry jak strzał karabinowy. To pnie świerkowe pękały we wnętrzu, nie wytrzymując mroźnych okowów. Spłoszona blaskiem latarki z rumorem przeleciała przez drogę locha z parą wycinków. Aż zadudniło.

Szedł szybko, skręcał już na szerszą drogę, wiodącą od szosy na leśniczówkę. Tu było jaśniej, gałęzie drzew nie łączyły się bowiem ze sobą w zielony tunel. Zgasił latarkę i zwolnił kroku. Zadyszał się poprzednim marszem. Właściwie nic ma potrzeby pośpiechu. Dzisiaj i tak nie będzie pracował. Myśli zbyt zajęte ma Wera. Szkoda gadać, cudo nie dziewczyna... Jak to pięknie chciała ulżyć mu w pracy. Może znów coś przepisze, zanim on zjawi się w nadleśnictwie? Zzłymnął się, łapiąc się na tej interesownej myśli.

Z prawej strony wśród drzew błysnęły nagle ostre ogniki, zielonkawe w odcieniu. Błysnął w tamtą stronę latarką.

Ogniki zginęły. Las przerzedzał się, na wąskim odcinku przechodził nawet z tej strony w krzaki, obsiadłe na silnie podmokłym, bagiennym gruncie.

Przyśpieszył kroku, bezwiednie, nie zastanawiając się nad swoją decyzją. Po jakimś czasie obejrzał się. Zielonkawe latarnie łyskały tajemniczo, w innym już miejscu. Nie opodal nich pojawiły się inne.

I nagle, mimo silnego mrozu, Klemowi zrobiło się gorąco, aż duszno. Bezwiednie sięgnął dłonią ku szyi rozluźniając zapięcie kurtki. Przypomniały mu się słowa nadleśniczego Dziadonia o wilkach, które spłoszone obławą na innych terenach, pojawiły się podobno gdzieś koło Piza.

Ogniki łyskały z brzegów drogi, jakby kryły się w krzakach. Było ich teraz więcej. Może to sowy? Ale czemu wszystkie łażą po ziemi? Ciekawe, czy sarnie oczy też świecą nocami? Też tak łyskają?... O, ogniki są znowu, jak gdyby bliżej... A jeżeli to naprawdę wilki?

Pot zwilżył mu koszulę, jakby ją kto w wodzie zanurzył. Poczuł, jak serce rozdygotało się wariacko. Zaczął biec. Już niedaleko, mało nad kilometr do leśniczówki, może zdąży ująć przed tymi łyskającymi ognikami.

Są zupełnie blisko. Niechby już wybiegły na drogę, może by poznał, czy to naprawdę wilki. Niechby zawyły, byłby to jakiś znak. Prawda, latarka, może to je powstrzyma. Zakręcił za sobą smugą świetlną. Ogniki zagasty, skryły się, gdzieś tylko drgała gałąź przydrożnej leśniczyny. Ale nie, tam znowu zabłysły. Jakieś cienie u skraju. Trudno rozpoznać. Boże, jak to serce bije. Nie da rady biec dłużej, osłabnie. Licho, zacięło się coś, latarka nie działa. A ogniki błyskają, zupełnie blisko, jakieś cienie ciągną drogą. Już dobrze, pali... Jezusie, wilki!

Krzyknął przerażony. Teraz dopiero poznał, co znaczy lęk. W blask dajmonki trafiły trzy cienie, sunące nisko przy udeptanym śniegu. Światło wstrzymało je, zboczyły trochę w las, tam tylko łyskały głodnymi, wściekłymi latarniami ślepiów.

Buty ciążyły, kurtka wydawała się jak z żelaza, pot ciurkiem spływał na oczy spod futrzanej czapy. Zgubił gdzieś rękawiczkę z prawej dłoni, zaciskał w niej teraz kurczowo latarkę, biegł niemal bokiem, siekąc za sobą snopem migocącego światła. Latarnie w krzakach nie gasły, posuwały się. Jakich cień wyskoczył na drogę, gnał nią przez chwilę, znów wsiąknął w lesie.

Zacięło się... Czemu ten Dziadoń tak półgębkiem tylko wspomniał o wilkach? Gdyby stanowczo przedstawił sprawę, zanocowałby w nadleśnictwie, wrócił dopiero rano... Boże, już tak blisko, już pewnie słyszałby ich tupot, gdyby przystanął. O, nareszcie, jest światło! Stanęły, nie uciekają więcej w las, skupiły się przy sobie. Trzy, nie, cztery. Biegna, tylko nie przybliżają się w świetle latarki. Ale światło słabsze, czy tak się tylko wydaje. Co się robi w takich okolicznościach? Zaraz, prawda, na drzewo, trzeba co szybciej na drzewo, byle grube i łatwe do wspięcia się.

Teraz pognały pomimo światła! Nie boją się. Ostatnia chwila, na drzewo, wszystko jedno które pierwsze lepsze.

Runął przez zaspę za rów przydrożny, silnym podskokiem złapał się za najniższą gałąź, poderwał nogi do góry, otulił nimi pień, już sięgał ręką dalej, wyżej, piał się jak nigdy w życiu.

U dołu grzmotnęło coś w drzewo, rozległ się cichy warkot. Sięgnął do kieszeni kurtki,

tknięty lękiem, że wkładając tam w rozpaczliwym biegu latarkę, upuścił ją po prostu na ziemię. Zimny dotyk blachy uspokoił go. Puścił strumień światła w dół, pod drzewo. Zakotłowało się, cztery cienie odskoczyły w bok, przycupnęły, któryś łysnął zielonymi oczami, zakręcił się, przystanął.

Klem dopiero teraz odczuł szalone zmęczenie, ogarniającą go słabość. Kurczowo przytulił się do drzewa, mocniej objął pień rękami, by nie spaść. Mdlilo go, może od szybkiego biegu, a może ze strachu. Któż by się mógł spodziewać czegoś takiego! Tyle razy chodził już samotnie tą drogą i nigdy nic. To ci cholerni myśliwi, nie tylko, że nie zabili wilków, ale jeszcze pognali je w inne strony, właśnie by Klem musiał natknąć się na nie. Masz ci, chłopie, książkę, masz ci amory! Mróz blisko dwudziestu stopni, nie wysiedzi tu długo, zmarznie, ręce zdrętwieją, spadnie prosto w paszcze tym diabłom. Słyszać, jak zieją, jak przeraźliwie sapią.

Próbował usadowić się wygodniej, na bocznym, grubym konarze. Sęki strzelające na wszystkie strony nie ułatwiały zadania. Jedną ręką zaczął odpinać pas od spodni. Niemrawo to szło, jeszcze gorzej z podwiązywaniem się. Pas był za krótki, sprzączka wydawała się zbyt słaba. Jakoś się z tym wreszcie uporał. Łysnął latarką. Już bestie nie umykały, tylko pomruk poniósł się groźny do góry. Skuliły się blisko siebie, kryły łby przed blaskiem.

Co robić? A gdyby tak wyleźć na szczyt drzewa, latarką dawać sygnały, właściwie do leśnictwa nie tak daleko, ten zakręt i potem jeszcze jeden. Może dostrzegą, zrozumieją, że to alarm.

Wróciło mu trochę otuchy. Wygapił się w górę, puścił tam strugę światła. Gałęzie rosły gęsto, zbite miejscami nie do przedarcia. Pień zresztą nie odznaczał się wielką grubością. Porównał z innymi drzewami, były wyższe. Niefortunnie wybrał. Trzeba było już przedtem pakować się na drzewo. Tam, gdzie rosły dęby. Akurat! Przecież by się na nie wdrapał, smukłe, nie posiadały u dołu żadnych gałęzi. I właściwie ten pomysł z sygnałami też wiele nie da. Kto tam w lesie będzie wypatrywał jakichś migotań latarki. Jeżeli w ogóle światło będzie widoczne... Lepiej krzyczeć, a nuż usłyszą. Pani Helena o tej porze zagląda do obory. Psy zresztą będą czujniejsze, zaalarmują...

Rozdarł gardło w krzyku, długim, drżącym jak struna potracona lekko palcami. Przeraził się cichego brzmienia swego głosu. Nic to, że szedł dalekim echem, ale słaby był, jakby nie jego. Może to zmęczenie, a może lęk paraliżuje mu gardło? Krzyczał znowu, odpowiedziało mu szamotanie u dołu. Wilki odbiegły o parę kroków, przyczaiły się w krzakach. Krzyczał dalej, i jeszcze, i jeszcze, wciąż i wciąż, tak długo, aż ochrypl zupełnie i tylko głuche szypienie wychodziło mu z piersi. Co jakiś czas nasłuchiwał. Nic, cisza, sztywność mrozu, ostra, groźna, i to posapywanie, to mruczenie od dołu. Bestie krążyły wokoło drzewa, chybkie, rozwścieczone, łuskające latarniami z trójkątnych łbów tęsknie unoszonych ku górze.

Mróz bezczelnie dawał znać o sobie. Klem czuł, jak spocona koszula lodowacieje teraz, ziębi ciało. Prawa noga ścierpła i zeszywniała.

A co będzie za godzinę, za dwie, za trzy? Bo przecież jedyna szansa zbawienia to doczekać świtu. Wtedy już go wilki opuszczą, skryją się gdzieś w puszczańskich chaszczach? Nie był zresztą pewien, może go będą pilnować i za dnia, aż do skutku, gdy wreszcie zmarznie, pas nie wytrzyma, pęknie, a on jak dojrzała gruszka osunie się do tych czterech strasznych, wygłodzonych paszcz.

Wpatrzył się pod siebie. Było tu ciemniej aniżeli na niedalekiej drodze. Tym wyraziściej świeciły wilcze oczy, rozbiegane, krążące wokół drzewa, niecierpliwe. Nagłym błyskiem latarki zmieszał bestiom szyki. Paliła się już słabiej. Licho wie, jak długo siedzi już na tym drzewie. Zegarek dawno mu się zepsuł, nawet go nie nosił ze sobą.

To dobrze, że właśnie dzisiaj zostawił u Wery swą teczkę. Leżałaby teraz pod drzewem, a te upiory zszarpałyby ją i zdeptały.

Gdybyż Wera wiedziała, co z nim się dzieje. A ona pewnie śpi sobie w najlepsze. Może myśli o ich uczuciu? Ej, licho wie, czy się mu nie wydało, że dziewczyna odwzajemnia jego

miłość. Jakież ma na to dowody? Że była uprzejma, miła, że tak ładnie przyszła z pomocą w przepisywaniu. Boże drogi, to nie wymaga od razu miłości... Ech, czy to wiadomo? Mało już razy sparzył się na tych niby pewnych uczuciach kobiecych? Choćby ta czarna Zocha, trzpiot taki, przylepka, znała jego wiersze, i co się okazało...

Poprawił się i struchlał, rękami łapiąc się za drzewo. Tak niedawno bał się drzemki, a właśnie przed chwilą jej uległ. Mało brakło, a spadłby z drzewa. Zadrzał na tę myśl...

Latarka rzucała słaby tylko, przyćmiony blask. Wilki krążyły niezmordowanie, cofały się o krok na blask światła, ale nie uciekały. Zgasił reflektorek, trzeba oszczędzać resztki baterii. Tak, krótko paliła, co za tandetny wyrób. Która też godzina? Gwiazdy jeszcze mocne, wyraźne, podobno można po nich nieźle się orientować w czasie, Gasiniec to umie. Podła taka praca leśniczego, obok wilków, które mogą nadejść nie wiedzieć kiedy... Że też on musiał mieć właśnie takiego pecha...

Ściągnął szal z szyi, na to miejsce szczelniej zapinając kołnierz kurtki. Szalem przywiązał się silnie do drzewa, tak będzie bezpieczniej. Twardo siedzieć i niewygodnie. Najgorzej, że nóg już zupełnie nie czuje. I ręce zgrabiały, ledwie może nimi poruszać, głupi szalik wysmykiwał się, przelatował między palcami, nim wreszcie go związał. Czy wytrzyma do rana? Właściwie co gorsze, zmarznąć na śmierć czy zostać zjedzonym przez wilki? Z dołu dobiegł znów jakiś tęskny, ponury pomruk czy skowyt. Wstrząsnął się, nie mróz byłby znacznie lepszy.

Jeszcze próbował krzyczeć, ale głos jego słabł, ścięty mrozem, przenikającym zachłanie całe ciało. Latarka rozżarzała się słabym blaskiem. Z dołu dochodziły niepokojące szelesty, spotęgowane narastającym płaczliwym pomrukiem. Wilki to przysiadają na zadach, podnosząc łby do góry, to krążyły ostrożnymi, szybkimi krokami.

Ostatkiem czucia w zgrabiających dłoniach sprawdził umocowanie pasa i szalika. Skurczył się w niewygodnym rozszczepieniu pnia z konarem, zastygł w bezruchu. Tak, nie ma innego wyjścia, musi czekać do świtu. Teraz pewnie nie ma jeszcze północy. W takich sytuacjach czas wlecze się bardzo powoli. Niebo gwiaździste, mróz na pewno się wzmacnia, rankami dochodziło ostatnio powyżej dwudziestki. Dawno już nie pamiętał tak ostrej zimy. W lesie cisza, jakby w nim nie było żadnego innego stworzenia prócz wilków.

W domach, ciepłych, zabezpieczonych przed mrozem, wszyscy już śpią. Wera na pewno skończyła jakąś książkę, znużona przeciąga się pod kołdrą. A Zocha? Czemu on zawsze nawraca do niej myślami? Miła czarnula, pewnie szaleje na jakiejś karnawałowej zabawie. Z tym kierownikiem młyna. Ech, brzydtko to było z jej strony.

Edek też na zabawie, żeby znów nie zrobił awantury, już był pijany... Czego on chce od Wery? Przecież sam sobie winien, zachował się po świńsku wobec dziewczyny, która tak go pielęgnowała w chorobie... Edek, Edek, Boże drogi, a jeżeli on teraz będzie wracał z zabawy? Pijany, niczego nie zauważy, wilki się rzucą na niego...

Zadrzał na tę myśl, bezradny. Zaraz jednak się uspokoił. Michał na pewno zaprosi Edka na nocleg do siebie, pijanego nie wypuści na taką drogę, nocą w ciemności. A może za jakąś awanturę znów go zamkną w milicji... W każdym razie warto co jakiś czas wołać, albo ściągnie to pomoc, albo ostrzeże.

Tak był słaby i zmęczony, że głos ledwie, ledwie wydierał mu się z gardła bolesnym krzykiem.

Zapadał w drzemkę, wydawało mu się, że mróz jakby się zmniejsza, już nie było tak zimno, budził się nagle, a poruszeniom jego odpowiadały wtedy ożywione gmerania, deptanie i pomruk wilczej watahy. Wstrząsał się lękiem, znów czuł działanie mrozu, zaczął nawet wymachiwać rękami w lęku, by nie zmarznąć na śmierć. Czy doczeka ranka? Tyle się słyszało o ludziach zmarzniętych na samotnych drogach, w puszczach i nieprzebytych wertepach.

I znowu drzemał, marzyły mu się sukcesy pisarskie, rozgłos jego książki, recenzje, nagrody. Miał swój dom, ciepły, przytulny, gospodarzyła w nim jakaś urocza dziewczyna o

twarzą jakby Wery, ale i jakby Zochy, a nawet tamtej rozwódki z Olsztyna... Wszystko jedno, dosyć, że była piękna i czuła, że witała go w progu uściskiem ciepłych ramion. Z radia dobiegała się cicha, łagodna muzyka, w drugim pokoju pewnie byli goście, bo słyszał głosy...

Zadrżał, serce rozłukło się jak szalone. Nie wiedział w pierwszej chwili, gdzie się znajduje. Mocny, wyraźny dobiegł do niego z daleka znajomy głos, wołający go po imieniu, towarzyszyły mu dzwoneczki u szyi końskiej. Od leśniczówki jadą po niego, ach, jak dobrze! Chciał wołać, otwierał usta, ale tylko cichy pisk z nich się wydierał. Próżno się z sobą mocował. Przypomniawszy sobie wtedy latarkę, omal nie upuścił jej z nic nie czującej już ręki. Łysnął żółtawym, mizernym światłem w stronę, skąd dobiegły go głosy. Jednocześnie na drodze z przeciwnej strony zabieliła się jasna smuga.

Ostre strzały podniosły się mocnym echem. Skowyt, pisk trzask gałęzi, jakaś paniczna ucieczka. Głuche, basowe szczekanie Rexa i cieńsze, ale bardziej zapalczywe, zachłanne Kulasa. Snopy światła rzucone w górę, na gałęzie drzewa, w którym tkwił Klem.

— Hej, Klem, poradzisz sam?

Coś wybełkotał, przejęty, wzruszony.

Mietek już podskakiwał do najniższej gałęzi, drapał się na drzewo jak kot. Leśniczy dla postrachu posłał jeszcze kilka strzałów krzakami. Rex i Kulas warczały złowrogo obok ścierwa ubitego wilka. Trop kapiący farbą wiódł w pobliskie zarośla. Psy porwały się w tamtą stronę, leśniczy z trudem osadził je na miejscu.

— Co za rozróżba, jak wódcę kocham? — Pijany Edek przystanął, gramolił się z roweru, drapał się przez śnieg w ich stronę.

— Mocno trzymaj się mnie za szyję. Będziemy spętać do dołu — Mietek był już przy Klemie, ostrożnie oswobadzał go z uwięzi paska i szala. Jak zmije spłynęli na ziemię. Klem w niczym nie mógł pomóc przyjacielowi. Całe jego ciało zdrętwiało, przemarzło na jeden wielki sopel lodu. Nie czuł ani nóg, ani rąk. Plecy parzyły jak lodowa tafla. Mietek sapiąc zsuwał się z gałęzi na gałąź. Na najniższej niezdeterminowany zatrzymał się ze swym ciężarem. Leśniczy rozkrzyżował ramiona.

— Skaczcie, nie ma innej rady.

Zwalili się na ziemię, w śnieg zdeptany nogami wilczymi, obok ścierwa ubitej sztuki.

Edek trochę już oprzytomniał. Pomagał Mietkowi dźwigać przyjaciela do sań suto moszczonych słomą. Leżało na nich kilka pochodni. Nie zdążyli ich nawet zapalić.

— Pilnuj Klema, ja wracam do ojca...

Skrzeszał zapalniczkę, przytknął do smolnej pochodni. Chwilę skwierczała, a potem buchnęła mocnym, gryzącym oczym płomieniem i dymem.

— Daj asan pokój, ja i latarką z nim poradzę. Musi być blisko.

Pan Gasiniec wypuścił już psy w pogoń za ranioną sztuką. Wilk farbował obficie, nie mógł ubiec daleko. Mietek trzymał dubeltówkę, przygotowany na strzał.

Psy gmerały po zaroślach, raptem rozdarły się w gniewnym zapamiętałym naszczeku. Leśniczy popędził w tamtą stronę, huknął strzał jeden, drugi. Coś tam działo się niedobrego. Mietek runął przez krzaki. Zobaczył ojca. Z reflektorkiem zawieszonym na piersiach mierzył do skrytej pod krzakiem szarej sylwetki ranionego wilka. Zwierz pomrukiwał, aż psy kulily się, a potem rwały ku niemu z nowym zapasem wściekłości.

— Rex, Kulas, do nogi, psiekrwie — syczał leśniczy.

Rozwścieczony pies nie usłuchał, zapalczywie poskoczył do przodu, nagle zaniósł się przeraźliwym jazgotem, przechodzącym w rżenie.

Huknął strzał. Raniony wilk wyprężył się, podskoczył i w drgawkach rozpląszczył się na śniegowej podścieli.

— Co to było, ojczu?

— Mamy go! To wadera, ładna sztuka... No, bierzmy się za nią, trzeba gnać do domu, bo jeszcze chłopak zamarznie. Szkoda tylko Kulasa, nic już z niego. Na dobiecie.

Rex warczał spoglądając na broczącego farbą wilka.

Huknął strzał, kładąc kres życiu odważnego Kulasa.

Wypoczęty koń, płochliwie przez cały czas strzygący uszami, porwał się do biegu jak szalony.

Edek cmokał tylko ustami. Ładna historia. Gdyby nie wyprawa ratunkowa leśniczego z Mietkiem, trafiłby z rowerem w sam środek tego balu. „Miałyby wilczyska niezłą ucztę. Nawet zakrapianą”, pomyślał z wisielczym humorem.

## 15. BASIOR

Stary Macura, który w przerwie obiadowej przyczłapał do zwałów dłużycy przy szosie, z rozmachem walił się ramionami po plecach. Aż kos próbujący grzebać pod nawisłym okapem świerkowych gałęzi porwał się przerażony, ulatując daleko w bok.

Wozacy, ciągnąc smykiem dłużyce grabu, pokrzykiwali na konie zmordowane wysiłkiem, na pół skryte w kłębach pary buchającej z rozgrzanych ciał. Wygładzona droga miejscami zlna była wodą dla zwiększenia poślizgu. Ostro kute koniki zapierały się silnie w twardą polepę, aż skrawki lodu kruszyły się na drobniutki pyłek.

Po zrzuceniu pni na zwałisko odprowadzali konie na bok, nasadzając im na głowy worki z obrokiem. Sami przystawali grupkami, ćmiąc papierosy.

— Potrzyj tak jeszcze z tydzień, do nowiu. Potem popuści. — Pykając z krótkiej swej lulki, popatrywał Macura na jasne niebo nie zamażone żadnym obłoczkiem.

Nadjeżdżające z Piszki ciągniki dudniły tęnym warkotem.

— Edek już nie wyrywa, razem jeżdżą — zauważył któryś z wozaków.

— Odechciało mu się... Woli sobie popijać.

— Wczoraj mało brakowało, a byłby wpakował się z dłużycami do rzeczki, tak już miał w czubie.

„Zetor” Edka ostatni podjechał pod zwałisko. Zeskakując na ziemię z dygocącej równomiernie maszyny, chłopak przeciągnął się rozprostowując znużone i zmarznięte członki. Uśmiechnął się do zdążającego mu naprzeciw Macury.

— Cześć, dziadku, dawno już nie widzieliśmy się. Będzie okazja do wypicia.

Wyciągnął z prowizorycznej szoferki torbę, a z niej butelkę wódki i szklaneczkę po musztardzie. Wprawnie wybił korek uderzeniem dłoni w dno flaszki.

Macura nie odmówił. Łyknął wódkę jednym haustem, aż chuchnął w powietrze i oczy zmrużył. Edek zaśmiał się, teraz on przepił do starego. Oczy miał już zmętniałe, podkrążone cieniami.

Przysiedli na którejś dłużycy, z wolna żuli chleb ze słoniną. Mazur ciekawie przyglądał się Edkowi. W słowach jego dała się odczuć lekka troska.

— Pijesz dużo, tak mówią. Niedobrze za wiele. I robota gorzej ci leci.

— Piję za swoje. A zdrowia tracić na traktorze nie myślę. Sam jestem, wystarczy to, co zarobię, po cholere mi akord? Dość nahasałem się przedtem. — Zabułgotała wódka, podał staremu pełną szklaneczkę. — Pijcie, dziadku dobra.

— Uch, mocna... Rozbijesz się ze swoim „Zetorem”...

— Na takim ślimaku? Ciężarówką kiedyś wyciągałem osiemdziesiątkę, będąc pod większą muchą i nic. Ma się to czucie w rękach — wyciągnął do przodu i jakby dopiero widział je pierwszy raz, przyjrzał się swoim dłoniom.

Macura również uważnie spoglądał na ręce kierowcy. Aż się przechylił do przodu, aby nic nie stracić z tego widoku. Dłonie Edka były długie, wysmukłe, tylko kciuki odsadzały się znacznie od pozostałych palców, inaczej niż w dłoniach jego, Macury. Stary podniósł na Edka



zdumione wejrzenie wyblakłych oczu. Wskazał na te kciuki.

— A to czemu u ciebie aż tak?

— Te palce? Że nisko osadzone? Bo ja wiem, podobno po ojcu. Koledzy kiedyś śmiali się, że to pozostałości małych przodków. Sprawdzałem w Zoo, w Łodzi. Nieprawda, u małych są znacznie bliżej. Wtedy natłukłem kolegów po mordach i skończyło się... — Zerknął na dziwny wyraz twarzy Mazura. — A co wy, dziadku, z tymi palcami?

— To mówisz, że po ojcu? Tak? To ja ci rzeknę, że już pamiętam twojego ojca. Widziałem jego ręce tak dobrze, jak teraz twoje. Przyjrzałem się im. Ech, dobrze pamiętam. — Westchnął i począł nabijać cybuszek jakąś mieszaną tytoniu.

Edek widział stare, pomarszczone, a przecież wciąż żwawe palce, żółtkłe od tytoniu. Drżały teraz, szeleścił w nich wąty paseczek bibułki. „Buja stary czy prawdę mówi? Może chce mnie rozczulić, bym jeszcze wódy postawił... Ej, chyba nie. Na to Macura za uczciwy”.

Zaciążyło mu zapadłe milczenie. Obejrzał się. Wozacy grzali dłonie przy rozpalonym około szosy ognisku. Dwaj traktorzyści i ich pomocnicy zaśmiewali się z jakiegoś dowcipu.

Macura siedział wyprostowany, ssąc swój cybuszek. Otulił się szczelniej kożuchem. Słońce padało na nich wielką plamą światła, ale mróz mimo to nie popuszczał, ścinał oddech, kłębamii pary wzbijając się prościuteńko w górę. Edek wpatrywał się w czerstwą jeszcze, choć pomarszczoną twarz i nie wiedzieć czemu, bał się prosić Mazura o dalszy ciąg opowieści o ojcu.

Przejął go nagły dreszcz. Wstrząsnął się, sięgnął do flaszki, nalał. Macura chętnie wyciągnął rękę, tym razem nie skrzywił się nawet. Patrzył, jak Edek wylewa resztę płynu z butelki, która szerokim łukiem frunęła potem pod gałęzie świerkowe. Wyciągnął dłoń do chłopca.

— Ty lepiej nie pij. To już nie pierwsza flaszka dzisiaj, prawda?

Skinął w odpowiedzi głową i nie zważając na słowa Macury, wychylił ostry płyn. Uśmiechnął się, lęk sprzed chwili minął, powiedział cicho, po prostu:

— Powiedźcie, dziadku, jak było z ojcem. Ja wiem, że przecież nie zmarł na zapalenie płuc. Wykończyli go na swój sposób. Powiedźcie...

Macura zaciągnął się dymem, uznał rację Edka.

— Kopaliśmy wtedy głębokie rowy. Grunt był twardy, kamienisty, brakło dobrych narzędzi. O świcie nas wyganiaли, pod lato już szło. Psy pilnowały, aby który się nie oddalił. Nie żałowali ludzi, zbili, skopali, jak padlinę... Sił brakło... Był z nami jeden stary człowiek, podobno z Krakowa, profesor. Siwy, słaby zupełnie. Ochraniał go nasi, jak mogli, pomagali w robotcie. Silniejsi zawsze stawali przy nim, robili robotę za niego. Tak jakoś szło parę miesięcy. Ale ten profesor słabł coraz bardziej, ledwie mógł chodzić. Nawinał się jakimś kapo na oczy, bandyta był, za morderstwo siedział w obozie, jeszcze sprzed wojny. Jedno zło, a nie człowiek. Gardło komuś nogami przydusić, zwalić na ziemię i kamień wielki na piersi złożyć, aż zebra pękały, nic to było dla niego...

Zapatrzył się na sikorkę bogatkę, przysiadła u drugiego końca dłużycy, na której siedzieli. Przechyliła w bok główkę, jakby też przysłuchiwała się słowom Mazura. On zaś pociągnął z cybuszka, puścił duży kłęb dymu, mówił dalej:

— Ten kapo wziął się na siwego profesora. Popędzał go w pracy, uderzył, bywało, kopnął, aż padał na ziemię... Wszyscy na ten widok zaciskali zęby i nic. Pewnego dnia, pewnie to był już lipiec, bo widzieliśmy w sadach, jak owoce zaczynały dojrzewać, otóż tego dnia kapo przyszedł do nas na robotę pijany. On często pił z esesmanami. A przy profesorze był twój ojciec i jeszcze jakiś młody, silny chłopina. Pomagali staremu. Kapo przyleciał, narobił wrzasku, że stary nie pracuje, uderzył go w twarz. Potem stał i patrzył, a ten ledwo kilof mógł podnieść. Ci dwaj pomagali mu, jak mogli; rozzłościło to bandytę. Chwycił kij, jednemu z tych, co pomagali profesorowi, kazał obić staruszka... Chłopak zacisnął zęby, przemógł się i kilka razy lekko uderzył. Kapo śmiał się, rechotał jak wieprz... I wtedy kazał twojemu ojcu bić starego. Ojciec wziął kij do ręki, ale nie uderzył. Stał spokojny, niby milczący, ale ci, co

byli bliżej, opowiadali potem, że mu się tylko ogniem paliło w oczach. Czuliśmy, że dobrze się nie skończy. Kapo chyba oszalał, tak się miotał, wreszcie zapytał krzyżąc, czy ojciec będzie go słuchał i bił tamtego, czy nie. Struchleliśmy słysząc, jak mówi, że nie, nie będzie...

Macura nie patrzył teraz na Edka, wzrok miał wbity gdzieś daleko w las, za drzewa, za śniegi. Zdawało się, że widzi wyraźnie tamten obraz z jasnego dnia lipcowego. Zakaszłał się, odchrząknął, minęła chwila, nim mówić mógł dalej.

— Dосkoczył wtedy i zaczął bić twego ojca po twarzy. On tylko się skurczył, ale nic, nie protestował, wiadomo, w obozie nie było miejsca na protesty. Kapo zrozumiał, że nic w ten sposób nie wskóra... Odszedł parę kroków, przyglądał się tej trójce, coś kombinował. I nagle znów zarechotał, przystąpił do starego człowieka, chwycił go lewą ręką za ramię, a prawą zaczął masakrować mu twarz. Cios po ciosie, aż dudniło wokoło. Profesor jęczał, słał się, ale bandyta trzymał go mocno i wciąż siekł a siekł. Dłonie twojego ojca stały się białe jak śnieg, tak zaciskał je na stylisku łopaty, ale wciąż się jeszcze hamował, jeszcze stał w miejscu. A kapo spoglądał na niego i dalej bił profesora. Twarzy nie można było już poznać... Ktoś zaszlochał, inny zakrzyczał przeraźliwie i znów stanęła głucha, ponura cisza... Wtedy kapo puścił starego, który głucho padł na kamienie. Kapo zaczął go kopać, skakać po piersi i wciąż rechotał popatrując na twojego ojca. A on stał ciągle i teraz dla odmiany czerwieniał na twarzy. Nie wytrzymał jednak, skoczył, chwycił kapa za ramię i z potężną siłą, skąd się ona w nim wzięła po tyłu miesiącach obozu, rzucił do tyłu, aż ten się wyrócił. No i zaczęło się piekło. Kapo zerwał się, gwizdnął na esesowców, sam zaś skoczył do ojca. I wtedy, widziałem, łopata zawirowała w powietrzu, a potem opadła na głowę tego bandyty, złodzieja. Twój ojciec rozplątał mu czaszkę. Esesmani już biegli. Kilka strzałów i ojciec twój nie żył...

Umilkł Macura, a potem dokończył cichym zupełnie głosem, nieomal szeptem.

— Nieśliśmy trzy ciała do obozu. Ja byłem wraz z innymi przy twoim ojcu. Ręka jego zwisała bezwładna i sztywna. Wtedy zobaczyłem, że ma tak nisko osadzony kciuk jak u ciebie... Twardy był człowiek.

Dodał jeszcze, spoglądając na Edka siedzącego na dłużycy z głową skrytą w ramionach:

— Już wtedy, jakeśmy się zgodali na wyrębie, coś mnie tknęło... Tobie w oczach też się czasem tak pali jak jemu.

— Na zapalenie płuc napisali — rzekł zamyślony Edek. — Ano tak, rąbnął drania przez łeb. A oni: zastrzelić, a potem zawiadomić o zapaleniu płuc. Ale ani matka, ani nikt temu nie wierzył.

Schylił się nagle i ucałował starego Mazura w oba policzki.

Potem przeciągnął ramiona, spojrzął na stłoczonych przy ognisku wozaków.

— Co oni teraz wszyscy tak kupą pracują?

Macura zaśmiał się zgryźliwie.

— Wilki, syneczku, wilki. Łazi ich w tych stronach niemało. Nie dalej jak wczoraj zarżnęły w naszej wiosce dwie owce, podkopały się pod oborę. Pies tak się bał, że nawet nie szczeknął.

— Jak tamten, zdrów? — z daleka wołali wozacy.

— Kto? Kulczyk? Po trzech dniach wstał i zaraz pojechali z młodym Gasińcem do Olsztyna, na egzamin... Już mu strach minął po ten nocce na drzewie...

— Michał łązi po rojstach, chce dranie otropić, podobno kryją się tam.

— Niech lepiej uważa, tu nie ma żartów.

— Ech, we dnie nic mu nie zrobią. Nocami diabły groźne. No, jazda, bo dzień krótki, a robić trzeba.

Zakotłowało się, poganiali konie; objijając się o lód dzwoniły przenikliwie grube łańcuchy, którymi przymocowywano dłużyce przy ciągnięciu ich smykiem.

Traktory dźwigały się po podsypnym piaskiem nasypie, załadowane już piękną grabi-  
ną. Edek skinął na swego pomocnika, zabrali się do roboty. Macura stał jeszcze długo,

przyglądał się im kopiąc swą lulkę, pokiwał wreszcie Edkowi dłonią i odmaszerował w las, drogą na rębowisko.

Nie szła praca Edkowi. Z ulgą przywitał koniec dnia, wtoczył ciągnik na podwórze leśniczówki, patrzył na czerwono zachodzące słońce, co wróżyło wiatr, bezwiednie głaskał głowę Rexa. Leśniczyna zagnała go w końcu do domu, gderząc swym ostrym, przenikliwym dyszkantem.

Gdy zaraz po zjedzeniu skierował się do swego pokoju, leśniczy zatrzymał go.

— Daj asan pokój, co ty z sobą wyprawiasz? Chodzisz do człeka niepodobny. Masz jakie zmartwienie czy gorzały wlałeś w siebie za dużo?

Potrząsnął głową.

— Wie pan, Macura przypomniał mi mojego ojca z Mautthausen. Opowiadał, jak zginął... A oni przysłali zawiadomienie, że na zapalenie płuc. Myślę o tym przez cały dzień...

Pan Gasiniec zmieszał się bardzo. Na twarzy wystąpiły mu ciemne plamy, jak zawsze, gdy był przejęty czymś lub wzruszony.

— Aha, aha. To prawda, że lepiej takie sprawy przeboleć samemu. Bo ja chciałem o Mietku, ale odłożymy, jest czas...

— Zda na pewno, przecież kuł nieprzytomnie. Nie ma obaw.

— Tak, tak. No to kładnij się do snu, wypoczniesz, pora późna — spojrzął na zegarek, było zaledwie parę minut po ósmej. Speszył się jeszcze bardziej.

Jak najdalej było mu do snu. Leżał ubrany na łóżku, a myśl wracała do dawnych dni. Ojca słabo sobie przypominał. Nie miał jeszcze czterech lat, gdy go zabrało gestapo. O, ale ta noc silnie wraziła się w dziecięcą pamięć. Zbudził się na dźwięk podniesionych głosów, zaraz czyjeś obce, gwałtowne ręce poderwały go z łóżeczka, postawiły na ziemi. Mundury, mężczyźni w cywilu, błada matka, ojciec w kącie pokoju ze wzniesionymi do góry rękoma. Niewiele rozumiał, wiedział tylko, że dzieje się coś niedobrego. Zaczął szlochać, a potem nie miał już nawet siły na płacz. Widział, jak wyprowadzali tatę, jak matka długo, długo stała w nie domkniętych drzwiach, nasłuchując ze schodów ich kroków, jak potem podbiegła do okna i wypatrywała za autem odjeżdżającym z głuchym warkotem. A potem jeszcze długo, długo tuliła go w objęciach...

Chciał sobie przypomnieć twarz ojca. Przymykał oczy, rysowało się przed nim niewyraźne, podłużne oblicze, o ciepłym uśmiechu. Ojciec potrafił opowiadać mu bajki całymi godzinami; słuchał ich z rozwartymi ustami, czasem znużony zasypiał na ojcowskich kolanach...

Zastrzelili go. Dobrze jeszcze, że nie zginął skopany czy zmasakrowany.

Matka ciężko przeżyła te dni, nigdy już nie wróciła do siebie, zatracił się gdzieś jej ciepły uśmiech, zgorzkniała, zaczęła chorować. Było im coraz trudniej, z domu znikaly sprzęt po sprzęcie. I koniec wojny niewiele u nich poprawił. Rok mijał za rokiem, wegetowali z mizernej pensyjki matki. Chorowała coraz częściej, przeszła dwie operacje, zawsze była smutna, gładziła go coraz częściej po głowie, ale on nie lubił ani tych pieszczot, ani nie słuchał jej słów. Gnało go do kolegów, na wspólne zabawy, już wtedy wodził rej we wszelkich eskapadach, tłuł się, gdzie i z kim popadło, pierwszy był do szkolnych kawałów, do alarmującego dzwonięcia w obce drzwi, do zaczepiania dziewcząt wracających ze szkoły... Czasami bywało mu przykro, gdy widział, jak matka płakała, wracając z wywiadówki czy ze specjalnego wezwania do dyrekcji. Wtedy i sobie, i jej przyrzekał poprawę, ale już następnego dnia wszystko musiało się obrócić inaczej. A potem przyszło to stałe: Zaleski, Zaleski, Zaleski — choćby był Bogu ducha winien...

Matka zachorowała z wiosną. Leżała długo w szpitalu. Potem jeszcze wróciła do pracy, krótko to trwało, tydzień, dwa może, znów ją zmogła choroba, teraz poszło szybko, parę dni i zgasła cicha, spokojna, z tą swoją bładą, wiecznie znękaną twarzą. Trafił wtedy do ciotki, i tak się już zaczął późniejszy ciąg jego dni. Jakiś kaprawy los uwziął się, zawsze mieszał mu szyki...

Westchnął, niedopałkiem papierosa rąbnął o podłogę, sięgnął do pudełka po nowy. Pomyślał, że los ten prowadzi go jednak czasem dziwnymi ścieżkami. Musiała być ta afera z Krasawczykiem, spotkanie z Mietkiem i wyjazd do Sumów, praca w lesie, aby tam wreszcie poznał jednego z ostatnich towarzyszy ojca...

Od stodoły doniósł się przez okna jakiś ni to kwik, ni to beczenie, rumor, potem przeraźliwie rozszczekał się Rex, niespokojnie, urywanie, trzasnęły drzwi domu, zabrzmiały głuche kroki, oddalał się bas psiego naszczeku, padł strzał jeden i drugi.

Nie zwlekając, szarpnął okno. Zimne powietrze falą buchnęło do wnętrza, zakołowało w dymie, Edek biegł już w kierunku hałasów, mało co widząc w ciemności.

— Rex, Rex!

To leśniczy wracał od zagajnika, gwałtownie przyzywając psa, którego naszczek dochodził aż znad jeziora. Edek pobiegł im na spotkanie.

Pan Gasiniec oświecał latarką jakiś ciemny kształt. Podchodząc bliżej, rozpoznał. To sarna z przegryzioną szyją leżała nie opodal stodoły, w której nocowała ostatnio. Drzwi stodoły były z jednej strony rozwarte.

— Widzisz, jak te cholery już śmiało podchodzą?

— Wilki?

— Daj asan pokój, głupie pytanie, a któż by inny? Trzy były, psiekrwie. Już zagryzły Kulasa, teraz sarnę. Ładna historia... Jest ich tutaj nadspodziewanie... Rex, Rex, głupia cholera, zarzną go w krzakach. Rex, Rex!

Nadbiegł po chwili niechętnie, zziąjany, ze zjeżonym włosiem. Leśniczy pogłaskał go czule.

— Odważny, nie każdy pies pogna za wilkami...

Wzięli sarnę, nieśli do domu.

— Zima mroźna jak rzadko, hultajstwo lata głodne i łakomi się już na ludzki dobytek. Trzeba obławę zrobić, bo rady nie mamy.

— Tyle ich jest?

Złożyli sarnę w korytarzyku przy wejściu. Leśniczy otarł ręce o jakąś szmatę. Zły był. Skinął na Edka, poszli do kuchni.

— Robota będzie, matka, trzeba sarnę obrządzić, tyle z niej i zostało... Daj nam wódki, złość ugasić.

Wypił, zerknął na ręce zakrwawione jeszcze sarnią farbą, popatrzył na Edka.

— Widzisz, jak to jest w takiej głuszy, gdzie tylko diabli mówią dobranoc. Ludzie jak wilki: kradną, kłusują, paski stawiają, jeszcze na człowieka donosy robią fałszywe, że sam u siebie niszczy zwierzynę. A obok prawdziwe wilki, ani gorsze, ani lepsze od tamtych drani. Tyle, że te muszą jeść i nie rozumują. Piekielny kąć, czarcie siedlisko!

Wstał, mówił teraz, gwałtownymi krokami przemierzając kuchnię. Leśniczyna usunęła się pod okno, tam stała ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, popatrując na zagniewanego męża. Rzadko kiedy bywał w tak złym humorze.

— Myślałem, że w moim rewirze trzymają się tylko dwa niedobitki z watahy, która atakowała Klema. Michał obstawił je dzisiaj na rojstach przy wlocie jeziora. Mają tam dobre schowania... Spotkałem też tropy w tym oddziale, gdzie Kuternoga się trzyma. Ale tutaj trzy były. Nalazło tego paskudztwa. Trzeba je dobrze otropić i jeśli się da ofladrować. Nie ujdą diabły.

Popatrzał na Edka.

— Teraz chyba będzie już spokój. Kładź się spać. Ja z żoną oporządę sarnę...

— Panie leśniczy, a czy w tym polowaniu na wilki będę mógł wziąć udział? Bardzo bym chciał...

— Daj asan pokój, porządku trzeba pilnować, toż pozwolenia nie masz. Chyba że tak tylko pójdziesz w kompanii.

Edek zwiesił nos na kwintę i pochmurny odmaszerował do siebie. Złościł go upór leśniczego. Psiakość, w jakąś pogodną, jasną noc dobierze się do jego dubeltówki i o nic nie pytając spróbuje coś upolować. O, to będzie najlepsze. A na polowanie nie pójdzie, nie będzie się włóczył jak dureń z próżnymi rękami. Zresztą ma przecie swoją pracę, nie zostawi traktora...

Utwierdziła go w tym zamiarze wiadomość, że w obławie na wilki weźmie udział także i Wera z ojcem i jeszcze paru myśliwych z okolicy. Gorzej, że planują to na niedzielę. Guzik, wsiądzie sobie na rower i pojedzie do Pizsa. Gdyby tak motor, skoczyłby do tej Wili, ale od czasu pijatyk leśniczy nie chce dawać swej WFM-ki, tłumaczy, że niby to zima i śniegi. Pal go sześć.

A jednak dwa dni dzielące go od niedzieli spędził w pochmurnym nastroju. Bolało trochę wspomnienie opowieści Macury o ojcu. Niby to nie nowina, dawno już przyzwyczaił się do myśli, że tatek jego nie żyje, ale był to fakt daleki, przysypany odległością lat, jak dąbrowa pokładem starych liści. Teraz rzecz odżyła z całą wyrazistością.

Męczyła go też samotność. Leśniczego albo nie było w domu, albo zajęty był swoimi sprawami. Chłopcy wrócić mieli dopiero w najbliższy wtorek lub w środę. Michała prawie nie widywał ostatnio. Podleśniczy pracował przy dalszym wyrębie, zaraz po robocie zmykał stamtąd do Pizsa, aby zdążyć przed zmrokiem. Z wilkami nie było żartów. Zewsząd szły wieści o ich wyczynach. Jakiś chłop jadący saniami ledwie uszedł, pięć sztuk gnało za nim jak wściekle.

Świadomość, że Wera weźmie udział w obławie na wilki, do reszty wytrąciła go z równowagi. Próżno się zżymał na siebie, czemu ciągle nawraca myślami do tej dziewczyny: było to jednak silniejsze od niego. Żadna nie zadzieriała tak głowy, żadna tak nim nie pomiatała, jak ta mała z zadartym noskiem. Nie pozwoliła nawet się wytłumaczyć, choć sama decyzja na ten krok tak wiele go kosztowała. Nie wydawało mu się, aby miał się w niej podkochać.

To chyba raczej jej upór sprawiał, iż nie mogąc pogodzić się z przegraną, musiał o niej myśleć tak często. A jeszcze to, że taki łamaga jak Kulczyk umizgał się do niej z powodzeniem, przynajmniej na to wyglądało.

W sobotę, ledwie przywiózł do Pizsa pierwszą partię dłuźyc, zaprosił do gospody pozostałych kierowców i razem z pomocnikami popijali tak w szóstkę. Wychylił parę kolejek, więcej niż inni... Mogło wszystko skończyć się znacznie gorzej. I tak były duże kłopoty. Po większej wódce zawsze teraz brawurował. Wybił się ze swym „Zetorem” przed tamtych dwóch. Na zakręcie, niedaleko już od zwałiska dłuźyc, poszkapił, i motor całym rozpędem zwałił się do głębokiego rowu. Cudem jakimś go nie przygniotło, tyle że wypadł i potoczył się na śnieg. Motor pracował, koła zaryły się w brzeg rowu i kręciły się w miejscu, sypiąc dokoła śniegiem zmieszany z ziemią.

Blisko cztery godziny stracili na windowanie maszyny z rowu. Edek, zamiast pomagać, wyciągnął z kieszeni ćwiartkę i jeszcze sobie doprawił. Na ich molestowania odpowiadał niezmiennie, że wszystko i wszystkich ma bardzo głęboko.

Mógł Bogu dziękować, że miał takich kolegów. Za pomocą łańcuchów dwa traktory wydobyły wreszcie jego „Zetora”. Szczęśliwie, pobiła się tylko latarnia i wygięta żelazna rama w podwoziu przyczepy. Razem z pijanym kierowcą odstawili wszystko do leśniczówki. Początkowo Edek stawiał opór, rwał się do bójki, potem ogarnęła go senność i leciał im tylko przez ręce.

Pani Helena aż ręce załamała na jego widok. Szczęśliwa była, że mąż z Michałem tkwił w lesie, zajęty otrapianiem wilczych kryjówek. Tym razem mógłby się unieść i nie wiadomo, jakie by to przyniosło skutki. Jej zaś żal było chłopca, lubiła go, ciągle myślała, że jeszcze się zmieni... Ułożyła go w łóżku, poiła mlekiem, zrobiła jakieś okłady na czoło. Z kierowcami dogadała się, zostali jeszcze i na gorąco naprawili drobne uszkodzenia. Obiecali nawet wystarać się w Pizsu o nową latarnię.

Edek zaraz zasnął niespokojnym, pijackim snem i chrapał do wieczora. Zbudził się z

bólem głowy, powoli odtwarzał sobie w pamięci, co zaszło. Było mu przykro. Głupio narodził się. Żeby nie kumple, mogły być grubsze nieprzyjemności. Odebrano by mu prawo jazdy, nie ma dwóch zdań... Jak się on teraz pokaże leśniczemu na oczy?

Paliło go pragnienie. Ogarnął się trochę i zajrzał do kuchni. Leśniczyna krzątała się przy płycie. Patrzyła na niego, nic nie mówiąc. Dopiero gdy sięgnął do wiadra z wodą, wstrzymała go ruchem dłoni.

— Lepiej mleko, zimne, dobrze ci zrobi.

Nie miał ochoty na mleko, ale bał się jej teraz sprzeciwiać. Wypił zachłannie, znów nalał do kubka.

— Coś ty, Edek, narobił? Dobrze, że męża nie ma. Nic nie wie, a i mówić nie trzeba, będzie się złościł. Uważaj ty, chłopcze, na siebie.

Stał ze spuszczoną głową. Coś zaburczało pod nosem. Chcąc pokryć zażenowanie, sięgnął po kubek z mlekiem. Ze dworu rozległy się głosy i mocne kroki.

— Nasi idą. Uczesz się, bo włosy stoją ci dęba.

Weszli obaj zmęczeni, zziębnięci marszem przez śniegi.

Michał ucieszył się na widok Edka.

— Udało się. Otopiliśmy ich w takim gęstym młodniaku. Dobry oddział, bo jedną stroną wypada na stare rębawisko, jest dobra widoczność dla strzału. Ofladowaliśmy, wokoło, nie ujdą chyba, prawda?

— Z flader wilk sam nigdy nie uszedł — przytwierdził pan Gasiniec. Potem dorzucił w stronę Edka: — Mówiłem z nadleśniczym, czyby ci nie zezwolił pójść z moją drugą fuzyjką. Chętnie by dopomógł, ale przepisy, nic nie poradzi...

Zawstydzony Edek wbił wzrok w podłogę. Leśniczy chciał mu pójść na rękę, starał się w jego sprawie, a on taki. Nie wiedział co ma powiedzieć, na szczęście wybawił go bardzo podniecony dziś Michał. Młody Mazur cieszył się na jutrzejszą wyprawę...

— Byłoby nam flader przybrało. To wielki oddział, oprócz młodniaka zahacza o kawał starodrzewia, pamiętasz, takie świerki z okapami gałęzi prawie do ziemi? To najlepsze miejsce na kryjówkę dzikiego zwierza.

— No, Michał, jedz, chłopie, jedz i spać. Jutro wcześniej wstajemy — zarządził leśniczy.

Dopiero w pokoju mógł Edek wypytać Michała o bliższe szczegóły.

— Przed wszystkim co to takiego te fladry?

— Sznur z przyszytymi w pewnych odstępach czerwonymi kawałkami materiału. Powiewają na wietrze i żaden wilk nie odważy się przekroczyć takiej zapory... A wiesz, że nie łatwo było je otropić, teraz śnieg stary, nie poznasz, który ślad świeży, a który dawny. Pewnie będzie ich tam więcej niż trzy, to się zobaczy dopiero jutro. A jak zdamy, to i na zalewiska się przejdzie, tylko tam już bez fladowania. Nagonka trochę popłoszy, a nuż wyskoczy który pod kulę. Szkoda, że ty nie możesz polować...

— A szkoda. Lodem to macie blisko do tego oddziału. Nie to, co wtedy brzegiem, pamiętasz?

— Tam, gdzieśmy trafili na ślady kłusowników. I teraz kłusują. Trzy wnyki znaleźliśmy, dobrze, że puste... I kozła brakuje, nie mówiąc o dzikach. Pan Gasiniec kłął jak pioruny.

Rozgadali się na ten temat. Dotychczas nic bardzo mieli okazję. Czas mijał, wreszcie rozsądniejszy Michał doradził, by trochę zasnąć. I zaraz zachrapał.

Pukanie leśniczego do drzwi zbudziło także i Edka. Smętnie spoglądał za podnieconym Michałem. Rad by poszedł wraz z nimi. Takie polowanie to rzadka okazja. A i Werę mógłby zobaczyć. Niepotrzebnie zdeklarował się wczoraj że nie pójdzie. Teraz głupio byłoby zmieniać plany.

Przewrócił się na drugi bok. Sen odbiegł go już zupełnie. Na domiar złego piekielnie bolała głowa. Sięgnął do kieszeni po proszki. Przełknął pigułkę wysuszonym gardłem, omal

nie dławiąc się. Kwaśny smak pozostał w ustach. Z podwórka obok skrzywienia płóz sani niósł się gromki głos leśniczego i cienkawe popiskiwanie Michała. Zajazgotały od drogi wesole dzwoneczki. Ktoś przyjechał.

Od chłodnej podłogi mrozem przebiegło go przez całe ciało. Wstrząsnął się. Szybko teraz ubierał się, zdecydowany dołączyć do wyprawy. Co się tam będzie unosił głupim honorem.

Znów hałas i żwawy rozgwar na dworze. Wyjrzał przez zamrożone szyby, palcem odskrobał w szronie maleńką szparę. Dwoje sani skręcało ku bramie. W pierwszych obok nadleśniczego i jeszcze jakiegoś mężczyzny zobaczył drobną twarz Wery. Jasne włosy dziewczyny wymykały się spod ciepłej wełnianej czapeczki, zarumieniona od mrozu oglądała się na okna leśniczówki jakby z jakimś zawodem.

Chciał krzyknąć na Michała, aby zaczekał, ale ten właśnie trząsknął z fantazją z bata, nie słysząc Edkowego dudnienia dłonią o szybę.

Cholera, kłął mocując się z butami. Długo trwało, nim wreszcie wciągnął je na nogi. Spieszył się, nie wiedzieć czego. Dopiero na progu domu oprzytomniał. Nic już nie poradzi, skoro tamci odjechali. Nie będzie przecie piechotą gonił za saniami. Mróz był ostry, przeniknął go do szpiku. Miał już zawracać, gdy spostrzegł szwagra Pawłowego, mocującego się z dziwnymi saniami, jakby szeroką, zbitą z desek platformą. Był to zwierzynek albo karawan po myśliwsku, na którym przewoziło się ubitą zwierzynę. Chude chłopisko gmerało się leniwie.

— Leśniczy wyzywał, że jeszcze niegotowe. Ale przecie jest czas, póki tam co zastrzeżę, to już trzy razy będę na miejscu, no nie? — Z flegmą zapalał papierosa.

— Pojadę razem, dobra?

— A pewnie, miejsce jest...

Koń, chociaż dychawiczny, ale po równej płaszczyźnie przysypanego śniegiem jeziora ciągnął wcale ochoczo. Chudzielec szczerze opatulony w wyliniały kozuch kopcił Edkowe papierosy jednego za drugim.

— Po tysiąc złotych płacą za zabitego wilka... Ładny grosz, można by potem przez miesiąc nic nie robić... — marzył pomiędzy jednym a drugim zaciągnięciem się dymem.

Jechali już lasem. Edek początkowo poznawał teren znany z włóczęgi z leśniczym i Michałem, ale wkrótce zagubił się zupełnie. Jakoś plątały mu się kierunki, wszystkie drogi leśne i przecinki wyglądały tak samo, jeden młodniak deptał po piętach drugiemu, a partie starodrzewu niczym się nie różniły między sobą.

— O, tutaj na lewo będzie ofladrowany młodniak... Ja jadę trochę dalej pod krzyżówkę. Tak kazał leśniczy, żebym nie wlaź pod kulę... — Cmoknął na konia.

Edek rozglądał się chwilę, potem ruszył wskazaną drogą. W dalszej części krzyżowała się z innym leśnym szlakiem. Nie bardzo wiedział, kędy ma się teraz udać. Trzymał się prawej drogi, tym bardziej że dojrzał na niej ślad płóz.

Na fladry natknął się niespodziewanie. Opasywały młodniak wzdłuż zarośniętej, nie uczęszczanej drogi, dzielącej go na dwie części. Zawrócił więc przy linii furkocących przy najlżejszym powiewie czerwonych szmatek, uwiązanych do sznura.

Chytry sposób, myślał, patrząc na dziwaczną zaporę. Ale i wilki głupie, że boją się podobnej hecy...

Gdzieś daleko poza nim las rozbrzmiał pokrzykami, nawoływaniem, gwałtownymi stukami, klaskaniem w dłonie. To ruszyła nagonka.

Fladry kończyły się, zagajnik pojedynczymi świerczkami i młodą sośniną wypływał w aleję starodrzewu, poszytą u dołu nieprzebytym gąszczem bylin i krzewów. Przystanął, rozejrzał się. Hałas za nim narastał, przybliżał się, potęgując się z każdą chwilą. Odsuwając dłonią tarasującą drogę gałąź świerczyny, wyszedł na wolną przestrzeń.

— Edek!

Usłyszał ten krzyk, w którym było przerażenie, i zdziwienie, i jakaś radość. Równocześnie z nim ujrzał Werę, powoli, powoli opuszczającą fuzję wycelowaną dokładnie w jego stronę. Dyszała ciężko, w pociemniałych teraz oczach czał się lęk.

W paru susach przebiegł dzielącą go od niej przestrzeń kilkunastu kroków. Wszystko w nim rozdygotało się w wielkiej ucieście. Zawołała go po imieniu! A więc jest coś, co ich łączy ze sobą. A więc nie zapomniała o nim, nie wyrzekła się całkowicie.

— Wera, co się stało? Wera,..

Stał naprzeciw, patrzył w przybladłą nagle twarzyczkę, z wolna napływającą od nowa krwią. Gdzieś daleko w bok zabrzmiały strzały, i jeszcze, i znów...

— Aleś pan głupi, choć mu zęby wybierz — zdołała wreszcie wykrztusić z siebie. — Kto widział wałęsać się przy ofladowanym oddziale? Sekunda, a byłabym strzeliła. Myślałam, że to wilk.

Teraz dopiero pojął, jakie głupstwo uczynił. Speszony, cofnął się trochę na stronę. Z linii rozległy się dwa strzały, jeden po drugim. Dziewczyna oprzytomniała na ten huk, podniosła opuszczone ramię z dubeltówką, ale jakby brakło jej jeszcze siły.

A on, nie wiedzieć jakim impulsem powodowany, łagodnie, ale szybko wyjął z jej dłoni broń, podniósł... Nie, oczom swoim nie wierzył. Niemal z tego samego miejsca, w którym sam omal nie zginął przed chwilą, wypadł nagle szaropiaskowy stwór o trójkątnym łbie i uszach spiczastych, długi a chybki. Dużymi susami, nie śpiesząc się zbytnio, sadił na podbity gąszczem starodrzew.

Edek złożył się. Zwierz dostrzegł ich w tej chwili, zerwał gwałtownie. Huknął strzał. Widzieli, jak wilk zrolował i zapadł w krzaki.

Niedaleko od nich strzał. W lesie znów podniósł się gwałt. To chłopci z nagonki dawali znać, że wychodzą na linię myśliwców.

Wcisnął dubeltówkę w ręce dziewczyny.

— Nie mów nic, że to ja. Nie mam zezwolenia. No, i wyda się moje gapiostwo, a nie chciałbym tego, dobrze? To twój wilk — szeptał szybko, nerwowo.

Kurczowo trzymała fuzję w dłoniach. Na linii zaroilo się. Ktoś mówił, że widział dwie sztuki.

— Tak, ale uszły, diabli wiedzą kędy i kiedy. — Poznali głos ojca Wery.

Któryś z naganiaczy sadił w miejsce, gdzie zrolował trafiony przez Edka wilk. Zaraz podniósł się jego wrzask.

— Ale wilk? Jak koń!...

Szarpnął dziewczynę za ramię.

— Chodźmy, to twoja sztuka.

Kilkanaście osób zgromadziło się wokoło wyciągniętego już z chaszczy wilka. Stary był, aż siwawy, potężny.

Leśniczy kiwał w podziwie głową.

— Basior. Kto wie, czy nie ten, którego tropy oglądaliśmy niedawno. Myślałem, że uszedł w inne strony. To dopiero sztuka. Ale i strzał piękny, bez zarzutu. Gratuluję, panno Wero.

Zagryzła usta, a potem zdecydowanie wysunęła się do przodu, przed rajcującą grupę.

— To nie ja strzelałam, lecz pan Zaleski — wskazała na Edka, który zbaraniał w tej chwili i wgapiał się w nią z głupią miną.

— Jak to? — zdumiał się pan Gasiniec.

— Po prostu. Coś mi zawadzało w oku, dałam na chwilę fuzję panu Edkowi, właśnie wtedy napatoczył się ten basior... Strzelił i tyle...

Zapadło milczenie.

I zaraz po słowach córki, ledwo tylko ochłonął z wrażenia, pan Dziadoń zerwał najbliższą gałązkę jedliny, umoczył jej koniec w farbie basiora i złożywszy na wierzchu zdjętej



leśniczej czapki, z ukłonem podał Edkowi.

— Należy się panu ten złom, jako królowi polowania — rzekł z uśmiechem i podziwem.

Aż śnieg posypał się z gałęzi smreczyny, tak mocno zahuczały oklaski i pobiegły w las głosy uznania.

— Daj asan pokój, myślałem, że jak truteń wyleguje się w łóżku, a on tymczasem na króla się wyszykował — dziwował się uradowany pan Gasiniec.

Dyskretnie nikt już nie pytał o prawną stronę Edkowego sukcesu. On zaś oglądał się za dziewczyną. Chciał jej podziękować za to, co uczyniła, porozmawiać, ale trzymała się teraz ojca i nie było okazji. Przyzostał więc w tyle razem z Michałem, który nie posiadał się z radości, że właśnie Edkowi przypadł w udziale największy sukces myśliwski.

Całą grupą maszerowali teraz w stronę niedaleko stąd znajdujących się sań, aby jechać próbować szczęścia na rojstach, gdzie Michał otropił wczoraj dwa wilki.

Na karawanie powożonym przez chudziaka z Sumów jechał zabity wilk; leśniczy utyskiwał ciągle za wilkami, które umknęły im nie wiadomym sposobem.

Michał nachylił się do ucha Edka.

— Ja wiem, kędy one przeszły. Obok stanowiska panny Wery. Pewnie w tym czasie, jak podawała ci fuzję. Ale lepiej o tym nie gadać.

Edek także uznał to wyjście za najlepsze. Coś myślał, szedł bowiem teraz z opuszczoną głową. Nagle aż gwizdnął cieniutko, przystanął, gwałtownie łapiąc Michała za poję kubraka.

— Ty — szepnął mu w ucho. — Patrz na ten odcisk buta, tutaj, na nie zdeptanym śniegu.

Michał nie rozumiał.

— Bo co?

— Pamiętasz, wtedy, jak tropiliśmy sanie kłusownika? Też był taki odcisk... Na prawym bucie blaszka przybita jakoś inaczej, jeszcze spory kawałek obcasa za nią zostaje. Ty, on jest tu razem... — Podniósł głowę. — Ten z prawej, w krótkiej, szarej kurtce. Kto to?

— Ten? To szwagier leśniczego Marcińskiego... z sąsiedniego rewiru — rozdziawiając szeroko usta, informował zdumiony Michał. — I co zrobimy?

— Nie trzeba nikomu nic mówić. Nawet leśniczemu. To nasza tajemnica. W domu obmyślimy, jak rozegrać całą batalię. Musimy złapać ich na gorącym uczynku.

— Ich?

— No, a co myślisz, że on jest jeden? A ten, co mi gębę obił?

— Aha.

Michał spoglądał na towarzysza z wielkim nabożeństwem. Żeby tak odkryć tajemnicę po śladach, jak Indianin, trzeba mieć dobrze w głowie...

Edek widział ten jego wzrok pełen podziwu. Spojrzał na idącą z przodu Werę. Nawet się nie oglądnęła ani razu. Zmarkotniał.

Zaraz jednak przypomniał sobie jej okrzyk, gdy wyłonił się niespodzianie z młodniaka... W tym musiało być coś więcej niż zwykły przestrah.

Uspokojony takim wnioskiem, dumny ze zdobyczego mu czapkę złomu i z ostatniego odkrycia, wraz z innymi mościł się po chwili do sań, gęsto wysłanych słomą.

Mróz trzymał, ani myślał popuszczać. Szczyty świerków złościły się w promieniach mocnego, późnolutowego słońca.

Pełnymi piersiami zaczerpnął ostrego powietrza. Znów poczuł się dobrze, wróciła mu wiara w siebie. Czyżby sprawił to sukces łowiecki, a może odkryty trop kłusowniczy? Uśmiechnął się do swych myśli. Rzecz prosta, że wszystko zapisać trzeba było na konto Wery.

## 16. MICHAŁ ODNALAZŁ TROP

Był wczesny ranek. Słońce dopiero wciągnęło cię na niebo, w powietrzu wisiał rześki chłód. Sople lodowe na gałęziach iglaków skrzyły się czerwienią i złotem. Zmarznięty śnieg chrzęścił pod nogami i załamywał się całymi płatami. Ptactwo poćwierkiwało nieśmiało.

Od paru dni, a ściślej, od pamiętnej obławy na wilki, kiedy tak niespodziewanie zwieczony został myśliwskim złodem, Edek wrócił do dawnego tempa w pracy. Wjeżdżał już do Pizsa z pierwszą partią dłuźyc, gdy pozostałe ciągniki z hurkotem wyprawiały się dopiero do lasu.

W powrotnej drodze nie obciążony „Zetor” równo pochłaniał gładką przestrzeń szosy.

Z leśnej drogi wyskoczył Michał, zadyszany, ze szcerwieniałą od zmęczenia twarzą i gwałtownie począł wymachiwać rękami.

Edek zatrzymał maszynę.

— Co się stało?

Podleśniczy ledwie mógł oddech złapać. Przez chwilę otwierał tylko swe mięsiste, szerokie usta, wreszcie wykrztusił:

— Nakryłem go dzisiaj. Rogacza wiózł pod stertą suszu...

— Kto? Gdzie? Mów jaśniej! — potrząsał go silnie za ramię.

— Zaraz, zaraz... Co teraz robić? Zawiózł go na leśniczówkę Marcińskiego. Nie wiadomo tylko, czy stamtąd nie zabierze się ze ścierwem gdzieś dalej.

Edek zastanawiał się marszcząc w wysiłku wysokie czoło. Można było jechać do domu, stamtąd motorom na milicję do Pizsa. Ale to by trwało zbyt długo. A czas pili. Więc co, chyba do nadleśniczego? On ma telefon, w razie czego jest tam także motocykl.

Za chwilę traktor gwałtownie skręcił na boczną drogę i kolebiąc się po nierównościach, dygotał całą siłą maszyny. Michał, trzymając się ramion kolegi, sapał ciężko. Opowiadał rwącym się jeszcze głosem...

Umówili się po odkryciach minionej niedzieli, że Michał będzie teraz wstawał wcześniej i szedł od Pizsa na Sumy okrężną drogą, nie opodał rewiru Marcińskiego. Najczęściej bowiem o świcie niosły się stamtąd głuche strzały... Jeśli trafi na jakiś ślad, zaraz da znać Edkowi. Trzy pierwsze dni nie przyniosły rezultatów, prócz odnalezienia kilku już dawno stawianych wnyków. Dopiero dziś rano...

Był jeszcze daleko, gdy usłyszał strzały. Zaczął biec sobie tylko znanymi przejściami przez las, skracającymi drogę. Żałował, że nie ma z nim Rexa. Będąc sam zachowywał szczególną ostrożność. Żadną miarą nie zezwolić, by dostrzegły go czyjeś oczy. To stanowiło podstawowy warunek powodzenia.

Traktor podskoczył na większym wyboju, Michał kurczowo obłapił Edka za szyję.

— Obszedłem dookoła wszystkie oddziały przylegające do tamtego leśnictwa. Czas mijał, mało już było nadziei, abym mógł coś wyszperać. Zostawała tylko nadjeziorna, rezerwatowa część starodrzewia. Wszedłem w nią z obowiązku, gdyż wydawało mi się, że strzały niosły się z innego kierunku.

— Gadaj prędzej!

— Już niewiele. Przebijałem się przez oddział, trudno coś wytropić, ślady pomieszane ze sobą, śnieg stary, zdeptany, jeszcze po tych odwilżach, dużo odcisków butów, ale mało wyraźne, mogły być moje czy pana Gasińca.

Stanęli przed nadleśnictwem.

— No i co dalej?

— Natknąłem się na świeżą farbę, głębokie odciski rapet... Wiesz, oni zastrzelili Kuter-nogę, ja zawsze poznam, kędy on przeszedł... Byłem teraz bardzo ostrożny. No i zobaczyłem sanie, a przy nich szwagra Marcińskiego. Wiózł chrust. W paru miejscach kapnęła farba, choć

drań szedł z tyłu sań i uważał na drogę. Oczekałem, śladem płóz podszedłem prosto pod Piaski. Wtedy machnąłem się przez jezioro do ciebie. Ot, wszystko.

— Czy jest mąż, proszę pani? Ważna sprawa... — poskoczyli ku Dziadoniowej.

— W szopce na podwórzu. Zaraz miał wyjeżdżać.

Pobiegli. Nadleśniczy manipulował przy motocyklu. Podniósł się na ich widok.

— Pan, zdaje się, mechanik? — ucieszył się. — Bo właśnie mam kłopot...

— Zaraz, to potem — obcesowo przerwał mu Edek. — Inna rzecz ważna. Gadaj, Michał, tylko krótko...

Nadleśniczy Dziadoń słuchał uważnie. Nie czekając końca Michałowej opowieści po-ciągnął ich za sobą do domu.

— Jesteś pewien, że do Marcińskiego pojechał?

— Widziałem na własne oczy, odbicie płóz było wyraźne... I samego Wierzbika pozna-łem...

Nadleśniczy sięgnął po słuchawkę telefoniczną. Jeszcze się zastanawiał.

— Leśniczy wie o tym?

— Nie, w Sumach dotąd nie byłem.

Teraz już zdecydowanie nakręcił korbkę starego aparatu, uniósł słuchawkę.

— Rejon lasów? Dziękuję... Dyrektor? Tu Dziadoń... Zdaje się, że nareszcie mamy trop. Jest u mnie Michał Kłos. W rezerwatowym oddziale od strony Marcińskiego natknął się dziś na kłusownika. Rogacza zastrzelił... Tak, tak, zaraz z rana...

Z przeciwnej strony przewodu padały pytania.

— Tak, podobno pewne. Jak dawno? Zaraz.

— Nie więcej jak półtorej godziny — domyślił się Michał.

— Półtorej godziny. Proponuję akcję, ale zaraz. Ja? Tak, też tam przybędę. Oczywiście. To nie od dziś sprawa... Czekać? Dobrze, tylko proszę o pośpiech.

Położył słuchawkę.

— Musimy czekać. Dyrektor porozumie się z milicją. Nie wiadomo, czy mają swego gazika na miejscu... Że to pod bokiem Marcińskiego, nigdy bym nie pomyślał. Ciekawe, czy on sam wie coś o tym? Choć trudno sądzić, aby nie zauważył. Ten Wierzbik nigdy mi nie trafiał do gustu, ponury typ. Ale cóż, było wolne mieszkanie, Marciński prosił dla szwagra, zezwoliłem, choć nie ma on nic wspólnego z lasem...

— Norki hoduje i lisy...

— Wiem, wiem, podobno dobrze mu szło. I czego się facet łakomi jeszcze na kłusowni-ctwo?

— Tamta leśniczówka jest budowana tak samo jak w Sumach. I taki sam domek dla robotników... — szeptał Michał Edkowi.

— Michał, jak się tam dostaniemy najszybciej? motocykl przejdzie?

— Nie. Drogi zasypane, niektóre zupełnie nie przetarte. Można do nas traktorem, a dalej piechotą.

— Kawał drogi, potrwa zbyt długo... Zaraz, zaraz, koń Gasińca przy zwózce czy w domu?

— W domu, przy zwózce jest dosyć koni, wszyscy chłopci ściągnęli do lasu na dobry zarobek...

— To wiesz? Łap za mój rower i pędź na Sumy. Niech leśniczy zaprzęgnie konia, albo ty sam, jeżeli go nie ma... My przyjedziemy traktorem. No, już, szkoda czasu.

Michał porwał się z miejsca, wyprowadził z sionki rower, mignęła przed oknami jego sylwetka.

— No, no, nigdy bym nie posadził... Ciekawe, kto wobec tego pisał donosy na Gasińca... — zamruczał nadleśniczy, niecierpliwie spoglądając na milczący aparat.

Edka tknęło coś na te słowa.

— Na pewno ci sami! My już z nimi od dawna mamy na pieńku. A o Wierzbiku też myśleliśmy, od niedzieli zaś byliśmy pewni. Te jego buty...

— Jakie buty?

Opowiedział historię odcisku obcasa z krzywo przybitą blaszką. Nadleśniczy uśmiechał się, potem spowaźniał.

— Jak się okazuje, dobrze czasem za młodu czytać Coopera czy Maya. Przydało się... Bezcelnie sobie jegomość poczynał. No, mając zresztą osłoną w leśniczym, starym praktyku...

— Żeby tak jeszcze złapał gdzieś tego wysokiego draba. Ja mu nie zapomnę ani tych strzałów, ani tego, żem oberwał od niego po gębie — mruknął Edek, którego ponosiła ochota dalszego działania.

O leśnej strzelaninie w jesieni pan Dziadoń wiedział. Z zainteresowaniem natomiast wysłuchał Edkowej przegody w Piszcu.

— Wysoki, w skórzanej kurtce? Kto by też mógł to być? — kręcił głową. — Co oni tam wyrabiają? Wierzbik gotów zatrzeć wszystkie ślady.

W tejsze chwili przeraźliwie zaterkotał telefon, Edek poderwał się i stojąc nasłuchiwał rozmowy.

— Tak, tak... Kiedy? Najdalej za pół godziny? Dyrektorze, przyspieszcie, bo zostaniemy na lodzie. Dowiedziałem się nowych szczegółów. Zdaje się, że skupi się tutaj całość ostatnich strat w zwierzynie... Aha, ten Wierzbik oprócz nerek ma i lisy, nie wiedziałem o tym. Potrzebne mu zatem było i mięso... Tak, naprawdę? Ciekawe. My z Sumów przyjedziemy saniami obejrzę po drodze miejsce odstrzału... Tak, do widzenia.

Odsapnął.

— No dobrze, gazik szczęśliwie jest. Najdalej za pół godziny milicjanci wyjadą. Dyrektor też będzie, czeka na „Warszawę”, którą wysłał do Rucianego...

Ubrał się szybko. Traktor prychnął i śmiałym zakolem wypadli na szosą. Edek oglądał się co jakiś czas na stojącego za nim nadleśniczego. Twarz jego była surowa, ścięła się teraz na czole grubymi zmarszczkami. „Ojciec Wery, myślał, podobna do niego, tylko pogodniejsza”.

— Wiesz ty, były sugestie, że to sam Gasiniec kłusuje na swoim terenie? W rejonie nie wiedzieli, co o tym myśleć. Ja nigdy nie wierzyłem, choć kłopot był z tą masową rzezią zwierzyny... O, Michał już czeka, i Mietek. Ale leśniczego nie widzę... Jakże Mietek zdał ten egzamin?

— Zdał bardzo dobrze. Strasznie szczęśliwy...

Omal nie zawadził „Zetorem” o bramę, tak zawadiacko wpakował się na podwórze. Zaraz wygasił maszynę. Przecież pojedzie razem, nie daruje, choćby nie wiem jak miał prosić o to nadleśniczego.

— No i co? Jada? — wołał podniecony Mietek.

— Jada. Dzień dobry, chłopcze. I gratuluję matury — nadleśniczy wyciągnął do niego rękę.

— O przepraszam, dzień dobry... Tak się przejąłem opowiadaniem Michała... I dziękuję za gratulacje. Nadrobiłem czas choroby... Co z tą historią?

— Milicja zaraz wyjeżdża. A my saniami... Ojca nie ma w domu?

— Dzień dobry panu... Mąż zerwał się jeszcze o świtaniu i pognął w las. Mówił, że słyszał strzały od tamtej strony. Jeszcze nie wrócił — informowała leśniczyna, mocno podenerwowana zasłyszczanymi wieściami. — Zawsze się boję o niego, jak idzie na tamten brzeg. Z takimi drabami żartów nie ma, uwzięli się na mojego starego.

— Nic, pani Heleno, może się wreszcie skończą kłopoty. O, mamy sanie, siadajmy... Co, wy też? Wszyscy?

— Ja muszę, panie nadleśniczy. Proszę zezwolić. — Mietek aż ręce złożył.

— Jedźcie, co to szkodzi.

Nie chcąc mitrężyć czasu okrażaniem, Mietek wybrał karkołomną trasę zjazdu na jezioro. Za uzdę, prowadził konia ostrym spadem do przystani. Kopyta ślizgały się, pasażerowie przezornie woleli wyskoczyć i przejść ten kawałek pieszko.

Koń nie utrzymał ciężaru napierających sań, galopem runął w dół, przez krzewy, omal nie nadział się na poręcz mostu, z rumorem wypadł na lód. Mietek biegł obok, całym wysiłkiem przytrzymując uzdę, wreszcie nieomal zawisł na niej. Kopyta rozjechały się na śliskiej podścieli, koń potknął się raz i drugi, podźwignął się jednak, zwolnił, przeszedł w kłus, a potem w wolnego stapa. Zatrzymali się daleko od brzegu.

— Niechże cię diabli, chłopcze, czy ci życie niemiłe? — Nadleśniczy nadbiegł błady z przejęcia.

Wsiadali, Michał stanął z tyłu na płozach. Koń zerwał się do szybkiego biegu. Jezioro leżało przysypane grubym, ubitym, na pół zlodowaciałym, chropawym śniegiem, płozy po nim szurały z grzechotem, jakby kto potrząsał kołatką.

— Podjeżdżaj od zatoki, prosto na rezerwatowy starodrzew — krzyczał Michał. — Staniemy przy lewym młodniaku, tam dalej jest droga...

— Powinni już byli wyjechać — nadleśniczy spoglądał na zegarek.

— Niewiele nas wyprzedzą.

— Zaraz, zaraz, nie możemy być pierwsi. Spłoszylibyśmy...

Sanie dźwigały się już na drugi brzeg, rozgarniając szeleszczącą trzcinę. Wsiąkli w cień wysokich drzew.

— Tu możemy stanąć, stąd będzie najbliżej.

Michał prowadził na miejsce odstrzała rogacza. Lubił Kuternogę, przez kilka lat przywiązał się do potężnego zwierza.

— Dwudziestak, panie nadleśniczy — powtarzał z rozzaleniem. — To nic, że selekcyjny, radził sobie niegorzej, a kulał ledwo, ledwo... O, tu widać jego trop, tak, tu...

Przystanął za kępą rozrostłych krzewów leszczyny, nic opodał strzaskanej jakąś burzą sosnowej suszki. Wskazał dłonią.

Wyraźnie odbijała się podczerniała już plama farby w mocno wgniecionym śniegu. Tutaj musiał stać potężny rogacz, celnie trafiony wystrzelił rakieta w górę, podbiegł parę kroków i runął. Ślad wyraźnie rysował przebieg mordy. Kilka zrąbanych leszczynowych gałęzi również znaczyło się zastygłą farbą. Kłusownicy, dwie pary nóg odciskały się bowiem na śniegu, po tych gałęziach wciągali na sanie zewłok jelenia.

Edek przyjrzał się, po czym pokazał nadleśniczemu wyraźniejszy w jednym miejscu odcisk obcasa z krzywo przybitą blaszką. Ten uśmiechnął się aprobująco.

Przeszli za tropem do leśnej drogi. Sterta suszu była porozrzucana. Stąd brał kłusownik gałęzie, którymi maskował swą zdobycz.

— No, wracamy. Wiatr z tamtej strony, powinniśmy usłyszeć motory.

Przez las poniosło się gwałtowne, rozsierdzone ujadanie, przeszło we wściekły naszczek.

— To Rex atakuje jakiegoś zwierza — szepnął Mietek. — Ojciec musi być blisko.

Jeden i zaraz po nim drugi strzał, ostro, przenikliwie, do reszty zmaćił leśny nastrój. Naszczek psa zmienił się w przerażony, zbolały jazgot i zaraz umilkł zupełnie.

— Oho — mruknął nadleśniczy i popędził w stronę, skąd dobiegły strzały. Za nim rwała trójka młodych. Mietek zbladł, wysunął się przed innymi, potężnymi skokami przesadzał zwalone pnie drzew, przewijał się przez wykroty.

Nowy strzał, długi, ponury, pobiegł lasem, aż z drzew z łopotem zerwały się jakieś ptaszyska i opadło głucho parę zlodowaciałych czap śniegowych.

Nawet Mietek musiał zwolnić, taki panował gąszcz w nie pielęgnowanym, pozostawionym jako rezerwat lesie. Przedzierali się przez skłębione poszycie, oślizgiwali na zwalonych

burzą pniach, płatali w sterczących ponuro odnogach korzeni.

— Stój, bo strzelam!

— Ojciec! — Mietek poznał głos leśniczego.

Byli już przy nim. Leśniczy prawą ręką opierał dubeltówkę o przedramię. Lewa ręka zwisała bezwładnie, skapywała z niej krew znacząc się na bieli śniegu jasnymi plamkami.

— Panie Gasiniec, pan ranny?

— Znienacka mnie strzelił, musiał zacząć się, gdy biegłem do Rexa... Widzicie? — wskazał ruchem głowy. Błady był, zagryzał wargi.

Przy krzywej jarzębinie, na której zostało jeszcze kilka ostatnich pomarszczonych mrozem jagód, leżał Rex z rozwaloną głową. Krew krzepła powoli, czerniała...

— Kto to był?

— Nie wiem... Rex go zwęszył, naskoczył, wtedy go zastrzelił. Pierwszy strzał trafił w nogę, dopiero drugim wykończył. Szkoda psa... Zobaczyłem, jak drgają krzaki za tym wzniesieniem. Pobiegłem i wtedy on strzelił. Dobrze, że tylko ramię...

— Michał, prowadź najkrótszą drogą do Marcińskiego.

— Z kilometr jeszcze będzie...

— To lepiej saniami. Wracamy.

Mietek łyskał oczyma i pięści zaciskał, aż Edek zdumiewał się, ile w tym chłopcu bierze się pasji. Nigdy nie posadzał kolegi o tyle nienawiści, ile wyglądało w tej chwili z jego pociemniałych oczu.

Sam zresztą również nie posiadał się z oburzenia i wściekłości. Znów się im udało, psie-krwiom! Bandyta. Żeby go dostać, oj, toby sobie z nim potańcował...

Z daleka dobiegł warkot motorów. Edek pomyślał, że trochę późno przyjeżdżają, przecież strzały mogły ostrzec współników w leśnictwie.

— Od dawna podejrzewałem — mówił Gasiniec — można powiedzieć, że wiedziałem. Ale brakło mi dowodów, a Marciński ostatnio miał większe uznanie w rejonie niż ja... Nic dziwnego, że tamten czuł się pewnie pod jego opieką. Tu zresztą nie jeden człowiek i nie dwóch maczało palce. Zobaczymy, co milicja wyświekli. Jeżeli już nie uprzątnęli śladów, bo znów będzie figa...

— Spokój, spokój, panie Gasiniec, niech pan się nie męczy mówieniem... Zaraz się pana opatrzy. O, już są sanie. Michał, najkrótszą drogą!

Musieli jednak sporo kołować leśnymi przesmykami i zasypanymi śniegiem drogami, nim wreszcie dotarli do leśniczówki. Odetchnęli, widząc tam milicyjnego gazika i rejonową „Warszawę”. Z lasu dobiegały nawoływania. To część milicjantów poszukiwała źródła niedawnych strzałów, które dobiegły ich, gdy znajdowali się jeszcze na szosie i skręcili dopiero w leśną drogę do leśniczówki.

Oczy pozostałych zatrzymały się zdumione na krwawiącym, bladym jak ściana Gasiniec, pytając spoglądały po reszcie nadchodzących.

— Jakiś zbój zabił psa i potem strzelał do leśniczego... — krótko rzekł nadleśniczy.

Na próg leśniczówki wyszedł w tej chwili Marciński.

— O, nowi goście, anim się spodziewałem... — Urwał, zawołał z przejęciem: — Co to, pan ranny, co się stało? Może te strzały, które słyszałem?

— Potem będziemy gadać — sucho urwał dyrektor rejonu. — Ma pan apteczkę? Trzeba opatrzeć rannego i zaraz odwieźć do lekarza...

— Kula przeszła na wylot, panie dyrektorze — wystękał Gasiniec.

Jegomość w cywilu, stojący przy gaziku, łypnął oczyma, słysząc te słowa. Mrugnął zaraz na milicjanta siedzącego przy kierownicy. Ten odciągnął Michała na stronę.

— Znacie miejsce, gdzie padły te strzały?

Michał potwierdził.

— Dobra. Potem nam pokażecie... No co? — zawołał w stronę lasu, widząc wyłaniają-

cych się stamtąd milicjantów. Starszy już wiekiem sierżant ocierał pot z czoła.

— Nic nie znaleźliśmy. Taki gąszcz, że diabeł się wyzna.

Edek zauważył, że twarz Marcińskiego, który po wskazaniu apteczki znów wyszedł na dwór, drgnęła leciutkim, niedostrzegalnym prawie uśmiechem. Aż strzelił palcami na myśl, która mu wpadła nagle do głowy. Dokładnie przyjrzał się sylwetce Marcińskiego, oblanej teraz jasnym słońcem. Gwizdnął i zaraz nachylił się do nadleśniczego. — Niech pan spojrzysz na jego lewy but. Taka plama, jakby od krwi...

Nadleśniczy skinął głową, dając zarazem znak, aby milczał.

Milicjanci naradzali się. Na ganku ukazał się pan Gasiniec, prowadzony pod ramię przez Mietka.

— Chyba „Warszawą” pana podrzucimy do szpitala, co?

— Nie, panie dyrektorze. Już nie krwawi, głupstwo, ja bym bardzo chciał tutaj pozostać...

— Hm, rozumiem... No to siadaj pan spokojnie na tej ławeczce. Jakby coś gorzej, zaraz jazda...

Początkowe zamieszanie ustąpiło teraz miejsca świadomej, zorganizowanej akcji. Na plan pierwszy wysunął się mężczyzna w cywilu.

— Panie Wierzbik, gdzie ma pan tego rogacza?

— Jakiego rogacza?

— Dwudziestak, Kuternoga z rezerwatu — wykrzyknął podniecony Michał.

— Spokój! — wrzasnął gniewnie jegomość w cywilnym ubraniu.

— Słyszysz pan, panie Wierzbik? Przywiózł go pan saniami pod suszem. O, widzi pan, koło pańskiego domu leży chrust, może to ten?

— Pałę chrustem, więc zawsze jest tego pełno. A o rogaczu nic nie wiem. To pewnie ten szczeniak mnie fałszywie oskarża...

— Sprawdzimy, sprawdzimy. Ile pan ma lisów?

— Dwadzieścia trzy sztuki. I sto dziesięć nerek.

— Ładnie, dochodowa hodowla. Tylko z mięsem dla lisów trudno?

— Biorę w Piszczu z rzeźni. Zostawiają mi odpadki... Mało, ale jakoś wystarcza. Mam kwity i może pan zapytać...

— Dostyc, panie Wierzbik. Więc nic nie wie pan o rogaczu?

— Nie.

— Sami go poszukamy... A pani dokąd?

— Chciałam...

— Proszę tu zostać...

Milicjanci rozpoczęli dokładną rewizję. Zabudowań było sporo. Obok leśniczówki i dwurodzinnego domku dla pracowników leśnych stodoła, obory, składziki, przysypana darnią piwnica, lodownia.

Cywil rozmawiał z dyrektorem i nadleśniczym. Edek szturchnął nagle w bok ojca Wery.

— Panie nadleś...

Zorientował się szybko.

— Hola, panie Marciński...

Leśniczy, który schylił się właśnie do buta i glansował go rękawem, podniósł się gwałtownie, na twarzy jego zamigotał niepokój.

— Co to, polował pan dzisiaj, że aż buty pan sobie pokrwawił?

Cywil spojrzął na nadleśniczego, uśmiechnął się, podszedł do ganku, gdzie leśniczy uparcie odwracał się bokiem do pana Gasińca i siedzącego przy ojcu Mietka.

— Co to, naprawdę krew?

— Nie, nie, panie poruczniku, nie wiem...

— Mąż wczoraj zarzywał kurę, jedliśmy na obiad, widziałam plamę na butach, ale zapo-

mniałam wyczyścić — szybko wtrąciła Marcińska.

— A właśnie, kura, zupełnie zapomniałem...

Porucznik odezwał się teraz całkiem innym, niemal przyjacielskim już tonem. Nawet uśmiechnął się do gospodarza.

— Pan się niepotrzebnie przestraszył. Ale ja rozumiem, zawsze to przykre: milicja, rewizja... Choć nie do pana osobiście, ale zawsze po sąsiedzku, a nawet w rodzinie. Wierzbik to pana szwagier, tak?

— Tak, szwagier... A że nieprzyjemnie, to mało. Nigdy nie miałem z milicją do czynienia. Ani szwagier. To jakiś fałsz, krzywda, panie poruczniku...

— Służba nasza taka niewdzięczna, panie Marciński. Wybacz pan... Aha, co to ja chciałem? O, już pamiętam. Może pan pokaże mi swoją dubeltówkę. Mamy czas, a ja mam jakiś sentyment do broni myśliwskiej. Zaraz pójdę z panem... Izdebski, chodźcie razem — skinął na milicjanta.

Nadleśniczy z uznaniem spojrzął po chłopcach. Podobał mu się ten porucznik, sprytnie prowadził śledztwo.

Gdy po paru minutach cała trójka ukazała się znów na ganku, Marciński miał niewyraźną minę, porucznik zaś uśmiechał się leciutko, leciutko. Pokręcił głową.

— Oj, panie Marciński, tyle lat w służbie leśnej i taki mały szacunek ma pan dla broni? Wczoraj straszyl pan dziki, co to panu podchodzą pod kopce, i jeszcze do teraz nie oczyścił pan dubeltówki? Aj, aj, aj...

— Roboty dużo. Wiosna idzie.

— No pewnie, żartuję przecież. Widzi pan, bo ja zawsze pamiętam o broni, dlatego się zdziwiłem. O, proszę, jak błyszczą caczuszko — wyciągnął z kabury pistolet, znów go schował. — Izdebski — zwrócił się do milicjanta — obejrzyjcie te kopce...

Dwaj milicjanci, w towarzystwie Wierzbika przeprowadzający rewizję, meldowali porucznikowi:

— W stodole po wierzch zawalone zbożem i sianem. Polepa czysta...

— To ładnie. Szukajcie dalej... Widzi pan, panie Marciński, wszystko dobrze. Jak tak dalej pójdzie, będziemy musieli przeprosić i odjedziemy w zgodzie... Hola, panie Wierzbik, chwileczkę... Niech się pan tam zatrzyma, o tu, na czystym śniegu.

Wolnym krokiem podszedł do hodowcy nerek i lisów.

— Tak, a teraz niech się pan przesunie o krok... — Schylony przyjrzał się odciskom nóg Wierzbika na śniegu. — Cóż pan tak niestarannie blaszki przybija, szkoda obcasa, prawym pan chodzi częściowo na skórce... No, już nic, nic, może pan iść...

Tamten popatrywał na porucznika spod oka, nie bardzo rozumiejąc, o co mu chodziło. Poprowadził teraz milicjantów do obory. Marciński, który niespokojnie patrzył przedtem na poczynania porucznika, teraz zaprotestował gorąco.

— Panie poruczniku, obora moja. Wierzbik w tamtej małej trzyma swoją krowę i konia... Przecież pan mówił, że to nie do mnie...

— I powtarzam, my tymczasem do pana Wierzbika. Ale jak tak gospodarki macie o krok, to mógł przecież coś schować u pana, prawda?

Dyrektor rejonu spojrzął na leśniczego Gasińca. Siedział błądy z nastroszonymi brwiami, milczący.

— Żle się pan czuje? Nie krwawi? Radzę, niech pan nie oponuje. Gazik zaraz pana zawiezie. Kto inny będzie za niego świadkiem rewizji...

— Panie dyrektorze, dobrze jest, nie krwawi, a że boli, to nic. Ja muszę tu być, ja chcę sam widzieć — ostatnie słowa zaakcentował mocno. I dodał jeszcze po chwili: — Pan wie dlaczego. Do mnie też przyjeżdżała „Warszawa”, aż z dyrekcji w Olsztynie...

Wzrok jego zawisł na twarzy dyrektora. Ten zmieszał się, chrząknął, wreszcie zamruczał:



— Jak pan chce...

Marcińska zapraszała do wnętrza domu.

— Nie, tu nam wygodniej. Taka piękna pogoda, proszę, jak z dachów woda leci, a w cieniu mróz nadal trzyma...

Przez podwórko wracali z obory milicjanci z Wierzbikiem i asystującym im szoferem rejonu. Z daleka już przecząco potrząsali głowami. Porucznik naradzał się z sierżantem. Potem popatrzał na Wierzbika, poczęstował go papierosem. Podziękował, nie pali...

— Hm, a ja myślałem, że z pana palacz pierwszej klasy. To czemu ma pan wobec tego aż tak brązowe końce palców? To przywilej palaczy i... garbarzy...

Michał poruszył się gwałtownie. Usłyszał, jak na słowa porucznika siedzący tuż obok leśniczy Marciński zaklął przez zęby.

Leśniczyna przechyliła się i uspokajająco gładziła męża po ramieniu.

— Nic, nic, zobaczą, że to kłamstwa, i odjadą, jak przyjechali...

Edek bezczelnie zajrzał jej w twarz i uśmiechnął się ironicznie.

Przeszyła go nienawistnym wzrokiem, ale nie powiedziała nic.

Porucznik stał przed wejściem do małej obórki, gdzie odbywała się obecnie rewizja, i palił papierosa. Zza domu szedł do niego milicjant Izdebski.

— Melduję, panie poruczniku, że pełno śladów tych cholery, cały teren podeptany, a jeden koniec, widać, że był rozryty...

— Dziękuję. Idźcie do tamtych na ganek.

Odczekał, aż Izdebski zajął wyznaczone miejsce, wtedy zniknął w obórce, skąd dolatywała teraz ożywiona rozmowa.

Leśniczy Marciński melancholijnie kiwał głową, nasłuchując tych głosów. Żona mocno ścisnęła go dłonią za ramię. Edek musiał pomyśleć o niej z uznaniem. Twarda baba.

Po chwili milicjanci wynieśli z obórki dwa złoby napełnione świeżym mięsem. Przykryte były od wierzchu sianem.

Na ten widok westchnienie ulgi, mocne, rozgłosne, dobyło się z piersi Gasińca. Aż się Mietek uśmiechnął i czule spojrzął na ojca.

Wierzbik wydawał się zupełnie złamany. Na zapytanie porucznika, gdzie schował skórę rogacza, bezradnym gestem wskazał u boku podwórza na wysoki nasyp piwnicy.

— Prowadźcie.

— Klucz w domu. Przyniosę...

— Dziękuję, nie! Izdebski, przynieście klucz.

Milicjant uwinął się w jednej chwili. Wierzbikowa dała klucz bez żadnych wstrętów.

Hodowcę nerek puścili przodem. W niskim wejściu do wkopanej w ziemię piwnicy trzeba było zginać się niemal wpół. Sierżant zapalił latarkę, nora straszyla czernią.

— Hola, hola, nie tak szybko!! — wrzasnął nagle sierżant i zsunął się momentalnie do środka, za nim drugi milicjant.

— Józwiak, Izdebski, uważajcie! — krzyknął porucznik i wyciągając rewolwer pobiegł pędem w kierunku piwnicy.

Z wnętrza słychać było jakieś pokrzyki. Edek i Michał poderwali się z miejsca, ruszyli w tamtą stronę, nie zważając na protesty milicjanta.

— Trzymać go, trzymać!

Edek zadygotał z wściekłości. Za piwnicą wznosiły się sągi drzewa. Przesłaniały widoczność. Dlatego Wierzbik mógł się już oddalić na sporą przestrzeń. Przeskakiwał właśnie niski płotek ogrodu, klucząc, rwał w kierunku niedalekiego zagajnika.

Koło sągów wygramolili się milicjanci. Porucznik strzelał z pistoletu. Izdebski zerwał się z ganku, biegł, przystanął kolo piwnicy, puścił serię z automatu. Zagwizdało w powietrzu. I zaraz zaklął. Przez sad jak wilki rwali dwaj chłopcy...

Edek nie wierzył w celność strzałów z takiej odległości. Zresztą nie bardzo się nad tym

zastanawiał. Na widok ucieczki ogarnęła go furia. Żeby teraz złapał draba w swoje ręce, zmasakrowałby chyba. Taki cwaniak. Ale kto się mógł spodziewać, że z piwnicy jest drugie wyjście od strony sadu, zamaskowane sagami drzewa.

Milicjanci zyskali przestrzeń do strzałów, ale kłusownik ginął już w gęstym młodziaku. Rwali więc za chłopcami w tamtą stronę. Tylko Izdebski zawrócił, wypełniając rozkaz porucznika. Czujnie patrzył teraz na leśniczego i jego żonę. Pachniało tu grubszą awanturą, jeszcze i ci ruszą do ucieczki albo ataku. Tak samo bacznie na drugim ganku pilnował Wierzbikową milicjant Józwiak.

Pan Gasiniec zszedł na podwórze, aby lepiej widzieć. Dyszał ciężko, na jego twarzy białe plamy przemieszały się z ciemnobordowymi cętkami.

Wierzbik lepiej znał teren niż ścigający go. Zmęczeni i do ostatka zziębnięci wracali powoli z nieudanej pogoni. Porucznik był wściekły, kurczowo zaciskał pięści, aż kciuki białeły. Edek odchodził niemal od siebie. Tak puścić drania...

Jeszcze bardziej rozwścieczyło go triumfujące spojrzenie leśniczego Marcińskiego, który nie umiał ukryć swej satysfakcji.

„Czekaj, myślał Edek, już ja cię uspokoję...”

Pan Gasiniec zgodził się teraz, by go odwieziono na opatrunek do szpitala w Piszcu. Chwiejnym krokiem poczłapał do „Warszawy”.

Porucznik rozmawiał na uboczu z dyrektorem zespołu i nadleśniczym.

— Skórę musimy znaleźć. Nie mogli jeszcze jej wywieźć. I w ogóle śmierdzi ta sprawa bardziej, niż mogłem przypuszczać. Gdyby rzecz szła tylko o kłusownictwo, to znając niski niestety wymiar kary, nie próbowaliby oni zabójstwa człowieka ani ten cały Wierzbik nie rwałby się do ucieczki...

— To pan ich podejrzewa o strzały do leśniczego Gasińca?

— Nie wiem. Od strzałów do naszego przyjazdu minęło z dziesięć minut. Nasz gazik zbuntował się na śniegu. Jeżeli strzelano tak blisko stąd, jak oni mówią — wskazał na Michała — to można było zdążyć powrócić na leśniczówkę. Tym bardziej iż dubeltówka wskazuje, że z niej niedawno strzelano. Inna sprawa, że dziki rzeczywiście podchodzą... Zobaczymy, wysłałam kierowcę, by mi przywiózł jeszcze dwu ludzi. Mam nakaz rewizji i wykonam ją najdokładniej. Wracacie, panowie?

— Tak. Najważniejsze znamy, nareszcie wyjaśniła się trapiąca nas z mora kłusownictwa na wielką skalę. Biedny Gasiniec, będzie miał spokój... Ale kto by myślał, że tak pod okiem leśniczego Marcińskiego...

— Nie jestem wcale pewien, czy tylko pod okiem... — mruknął porucznik. — Muszę jeszcze poprosić Kłosa, żeby wskazał nam miejsce, gdzie leży pies i skąd strzelano do leśniczego... A z tymi blaszkami u butów to się chłopakowi udało.

## 17. MOKRA PRZYGODA

Przestrzelone ramię leśniczego goiło się szybko. Nie chciał nawet na parę dni zostać w szpitalu, tego samego dnia powrócił do domu. Smutny był ten powrót. Ulubione psy nie wybiegły na spotkanie, tylko pękata Mircia, błyszczącym nosem trącając w but swego pana, dopominała się o cukierka.

W Piszcu i całej okolicy mówiono tylko o wielkiej aferze z leśniczym Marcińskim. Gruntowna rewizja dała nadspodziewany rezultat. Znalaziono świetnie zamaskowaną, na dużą skalę urządzoną nielegalną garbarnię. To przesądziło los leśniczego, trafił pod klucz. Wierzbik mimo usilnych starań nigdzie nie można było odszukać. Zapadł się jak kamień w mętłą wodę.

W Sumach powracał powoli dawny spokój. Nikt już nie pustoszył rewiru z najcenniejszych okazów zwierzyny, jeden ze złoczyńców czekał na proces. Tylko ten jego szwagier... Różne ciche szepty niosły wieść, że Wierzbik krąży po lasach, kryje się, że na coś czeka.

Leśniczy zbyt długo żył w lesie, zbyt dobrze znał ludzi, aby nie mieć się na baczości. Jeszcze teraz, gdy nie miał psa. Wieczorem starannie ryglował drzwi.

Mróz musiał skapitulować, wycofał się pod osłonę nocy, straszył jeszcze rankami, ścinał przymrozkami roztające za dnia kałuże. Czasem sypnęło śniegiem, zima ustępowała jednak ze swoich pozycji. Przedwiośnie. Z wędrówki na rozlewiska Mietek z triumfem przyniósł do domu jedwabistą wełniankę. Zakwitła srebrem pod osłoną rozłożystego krzaka. Koło zagajnika ukazały się pewnego ranka dwie małe, puchate kulki. To zajęczyca powiła już młode.

Jeziro tylko stało twardą, nienaruszoną taflą lodową. Ale już w ciągu dnia sączyły się po niej wąskie strumyczki wody, w nocy od nowa zaciągając się przezroczystym szklivem. We wczesnych godzinach cudnie się wtedy jeździło na łyżwach.

Drwale na zrębowiskach dobywali ostatnich sił, by skończyć robotę, nim soki wiosenne zaczynają krążyć po drzewach, a narastająca grząziel uniemożliwi wywóz dłużyc na szosę. Oparzeliska od nowa zaczęły dymić, okrywały się zwiewną chmurą pary. Gałęzie pobliskich krzewów tam najszybciej pokrywały się nabrzmałymi pąkami.

Leśniczy wychodził pod wieczór na teren bardziej nasłonecznionych szkółek leśnych, gdzie już się zaczynała wiosenna robota. Wypatrywał ciągnących słońce, uchem chciał złapać wabiące chrapanie i poświst tych rdzawych jak liść jesienny, nakrapianych czernią ptaków. Jeszcze ich nie było, ale za to nadpłynął wysoko na granatowe niebo klucz dzikich gęsi, zatoczył wielkie koło, zapadł gdzieś naci Jeziorem. Leśniczy zachłysnął się marzeniem, że może zostaną już na Pogubiū...

Borsuk wciąż jeszcze spał, zaszyty w stodole pod słomą. Próżno Mietek zaglądał tam ciekawie, a nawet próbował zruszyć ciepłe nakrycie. Odchodził niezadowolony, chciał bowiem pochłubić się przed Edkiem niezwykłym wychowawcem.

Rozbiła się młodzieńcza czereda w Sumach. Kulczyk tkwił w Warszawie, gdzie w wydawnictwie nicowano jego tomik. Nadesłał krótką kartkę, w której najbardziej charakterystycznym zdaniem było, że „moja redaktorka to pyszna dziewczyna”... Mietek gotów był z góry przepowiedzieć, jakie będą dalsze relacje Klema z tej znajomości.

Panu Gasińcowi powierzono tymczasowo opiekę nad leśnictwem Marcińskiego. Było z tym sporo kłopotu: dwa rewiry w wiosennej porze to prawdziwa mordęga. Dlatego w Piaskach, tak bo zwało się tamto leśnictwo, przebywał teraz Michał, przeprowadzany na każdym kroku niezyczliwymi spojrzzeniami osamotnionych kobiet.

Mietek próbował jeździć z Edkiem jako jego pomocnik. Nauka wyczerpała go jednak, nie bardzo radził sobie z ciężką harówką przy ładowaniu dłużyc na rozstawione osie przyczepy. Może by zresztą i okrzepł, gdyby nie szalone tempo Edkowe. Od nowa zakasował inne ciągniki. Wróciła mu ochota do pracy, śmiał się, wyśpiewywał za kierownicą na cały głos frywolne piosenki.

— Edek, czego ty harasz tak nieprzytomnie? — zapytał go kiedyś Mietek.

Po kolacji siadywali w gabinecie na miękkiej kozetce. U ich stóp rozkładała się astmatyczna Mircia.

Uśmiechnął się, odrzucił w tył dawno nie przystrzygane włosy.

— Nie umiem wolno pracować. Zresztą mogę sobie pozwolić, nie na długo takiej roboty, ostatnie dłużyce ściągają ze zrębowiska. Zwały przy szosie dobrze jak wystarczą na kwiecień...

— Potem będziesz miał opałówkę.

— Na dwoje babka wróżyła. Jeżeli wiosna będzie sucha, to dobrze, ale po deszczach nie wepchnę się traktorem do lasu... Zresztą ja myślę sobie potem zluzować. Zrobić takie wakacje

jak w szkolnych latach. Dlatego muszę więcej zarobić. Będziemy jeździć na ryby... — Zastanowił się, zagadnął z innej beczki: — Ty kiedy masz egzamin na to swoje leśnictwo?

— W drugiej połowie czerwca...

— To czerwiec będziesz trochę podkuwał. Dobrze się składa...

Mietek wybałuszył oczy. Przed chwilą przecie oznajmiał, że wspólnie będą jeździć na ryby...

Edek spieszył się. Przychylił się i począł głaskać miękkie futerko Mirci.

— Bo widzisz... co tam! Bo w czerwcu ma urlop Wera...

— A, tuś mi, bratku... Biedny Klem, nigdy nie ma szczęścia. Chyba że go ta redaktorka pocieszy. Kiedy Wera wróci z Olsztyna?

— Dopiero w początkach kwietnia. Wyjechała na trzy tygodnie.

— Przeżyjesz jakoś?

— Daj mi spokój. Klawa babka, ale i bez niej dobrze na świecie.

— Ej, mnie się wydaje, że i ty robisz się kochliwy jak Klem.

— U mnie z tym nie tak łatwo... — urwał rozmowę.

Długo w noc jednak zastanawiał się potem nad słowami przyjaciela. Nie, chyba się w dziewczynie nie kochał. Och, na pewno nie... Bo to zresztą pierwszy raz się zdarza, że mu się któraś dziewczyna podoba i chętnie spędza z nią czas?

Ale z Werą było zupełnie inaczej. Od pierwszego spotkania, wtedy, gdy naprawiał jej rower. Podobała mu się jej zjadliwość, dowcipny, złośliwy język. Bo jeśli chodzi o urodę, Wera nie była specjalnie ładna. Już ta nauczycielka Zocha biła ją na głowę, a może nawet i Wila z Karwicy. Bestia, miała zaprosić na zabawę, i nic. Pewnie doszła i do niej opinia, jaki z niego rozrabiacz... No więc z urodą Wery też średnio. Tyle że jest piekielnie zgrabna. I gdzie się takie coś wychowało w tych lasach?

W ogóle dziwnie wyglądała ta znajomość. Przecież na palcach łatwo policzyć się ich spotkania. A i wtedy obrywał wciąż paternoster czy nawet w ogóle nie chciała z nim gadać. Może to właśnie sprawiało, że ciągnął jednak do niej, myślał częściej, niż pragnął. Na pewno było w tym wszystkim wiele podrażnionej ambicji.

Jakiś czas dużą rolę odgrywała wdzięczność. Wtedy gdy się dowiedział, jak często go odwiedzała w chorobie. Stąd może świadomość winy, gdy wyzwiał ją nieopatrznie od głupich kóz. Ale już w czasie wizyty w nadleśnictwie czuł coś innego. Wcale jej nie pragnął, tak jak tych różnych kociaków w Olsztynie. Tamto wszystko było przelotne, z góry obliczone na krótko. A tutaj w ogóle nie chciał wychodzić, zapomniał o nabojach, po które przyjechał, bał się nawet objąć dziewczynę i pocałować.

Potem rozróżba na zabawie i w efekcie jej pogardliwe spojrzenie na rynku w Piszcu.

Albo polowanie. Jej okrzyk. Odczuł to jak niebywałe szczęście. Jakże rad był z pojednania, jakie nastąpiło pomiędzy nimi. Odwiedził ją po dwóch dniach. Była bardzo miła, jakby speszona. Umówiła się na niedzielę. I wtedy dowiedział się, że wyjeżdża. Reorganizacja w prowadzeniu administracji leśnej. Dyrekcja organizowała w Olsztynie specjalny kurs księgowości. Rejon musiał właśnie ją wytypować! Wiadomość ta uderzyła go jak obuchem w łeb. Nie potrafił tego ukryć, choć bardzo pragnął. Była zaskoczona jego zmartwieniem. Pamiętał, jakby się to działo przed chwilą, odprowadziła go na próg, pogłaskała po policzku, mówiąc, że będą się potem częściej spotykać. I że w czerwcu ma urlop, całe dni spędzą wtedy nad wodą... A ten Mietek się dziwi, że w czerwcu nie chce mieć nic wspólnego z nim ani z jego rybami.

Rozejrzał się po pokoju. Odbita od śniegu poświata oświetlała puste pomieszczenie dosyć wyraźnie. Pomyślał, że przydałoby się tu jakoś lepiej urządzić. Coś powiesić na ścianie, zdobyć parę krzeseł, może niewielką szafę na ubranie. Bo przez dłuższy czas koczować w podobnej pustce czterech ścian to nie ma sensu.

Tym razem rozzłościł się na dobre. Zerwał się i zaczął krążyć dokoła stołu. Przez dłu-

ższy czas... Niedawno myślał, że zarobi na zwózce i wróci do Olsztyna. Na jakiś czas starczy mu grosza, rozejrzy się od nowa za dobrą pracę. Dosyć, tego konikowania i burd ulicznych... A tu nagle chce mu: się pokój urządzać na tym zadupiu, meble nawet kupować, psiakrew. O licho, niedoczekanie! W takiej głuszy, jakże ją określiła Wera? Aha, gdzie diabeł mówi dobranoc, właśnie.. I on ma tu wiekować? Lato można przetrwać, ale potem? A nawet po czerwcu będzie już można wyjechać...

— Wera, Wera, Wera! — z pasją głośno rzucił te słowa w ciszę pokoju, z rozmachem pokładając się znów na łóżko, które tylko jęknęło i zapiszczało wszystkimi sprężynami.

Ale aż do zaśnięcia ani na chwilę nie odczepił się od imienia dziewczyny.

A wiatr zerwał się koło północy niespodziewany, gwałtowny, rozeгнаł resztki łapczywego mrozu, lunął ciepłą falą w twarz grubym jeszcze w załomach i bardziej cienistych miejscach warstwom śniegu, zakołysał drzewami, strącając twarde, zakrzepłe w soplach okiście, zwilżył dachy, które pokapywać jeły bujnymi kroplami.

Tylko jeziora nie umiał zmóc ten pierwszy wiatr naprawdę wiosenny. Na próżno spłukał całą powierzchnię lodową przezroczystą i jasną wodą, za każdym podmuchem z cichutkim furkotem marszczącą się w maleńkie fale, na próżno przygiął lód tu i ówdzie, gdyż w górze w tych miejscach zaszumiały rwące potoki, zwłaszcza w pobliżu brzegów i nad podwodnymi górkami. Ale gruba tafla została, a z nowym wieczorem, gdy wiatr dalej odpłynął z wiciami wiosny, znów zaszklila się przezroczystą, twardą i zimną powłoką.

— Gruby lód w tym roku. Nieprędko jezioro ruszy — mówił leśniczy.

Dobrze wyznawał się na tych sprawach. Każdego dnia woda od nowa stawiała na lodzie, drażyła go, podmywała, wgryzała się uparcie w mocną warstwę i nad wieczór dawała za wygraną, sztywniejąc po wielkim wysiłku.

Edek, jeżeli znalazł wolną chwilę, stawał na brzegu i patrzył. Nigdy nie widział podobnego zmagania. Czasem lodem szedł głuchy, długi trzask, szypiała gdzieś woda, tryskała fontanną do góry, zwiększała strumienie rwące ku brzegom. Potem zaczęły się tworzyć wyraźniejsze już szpary, wyrzucające na wierzch masy wody. I znów szczyrby ścigały się po to, by tworzyć się w innych miejscach.

Przez Pogubie, jak długie i szerokie, śmigwały przed wieczorem, przez rwącą wodę, sanie wozaków wracających ze zrębowisk do wioski. Konie szły żwawym kłusem, kłaskały o lód kopyta, tryskały spod nich strumienie wody czasem sanie nurzały się głęboko w rwącym strumieniu, to znów robiły krąg, by ominąć zdradliwe szczeliny.

Ani się Edek spodziewał, że sam dozna wrażeń podobnej przejażdżki. Zaraz po południu „Zetor” odmówił mu posłuszeństwa. Mordował się długo, nim wreszcie wydobył nadłamaną zębatkę. Trzeba było pomyśleć o nowej. Leśniczy chętnie użyczył swej WFM-ki, dawno już minęły poprzednie uprzedzenia i lęk, że podpity Edek rozwali motor.

Niestety, w bazie nie mieli zapasowej zębatki. Obiecali wytoczyć ją przez dwa dni. Rad nierad, znalazł się w obliczu wolnego czasu.

Rano następnego dnia Michał przywłókł się do Sumów. Przyjechał po sanie, leśniczy chciał bowiem przewieźć z Piasków część nasion, których mu brakło.

Michał rad był z tej małej odmiany. Tęsknił za Sumami, dosyć już miał krzywych spojrzeń kobiet, które czuły się pokrzywdzone odebraniem im mężów i wietrzyły w młodym podleśniczym sprawcę ich nieszczęścia.

Trzasnął wesoło z bata, zakrzyknął do Edka:

— Jedziesz razem? Za dwie godziny wracamy...

Wskoczył na sanie. Koń zerwał od razu z miejsca. Dzień był bardziej ciepły niż poprzednie. Na otwartych przestrzeniach śnieg już stopniał, nieśmiało zaczęły się pokazywać kiełki młodej trawy. Gdy Michał skreślił w stronę jeziora, Edek zakreślił się niespokojnie.

— Przez lód jedziesz? Tam wody po cholewę i szpary co chwila się tworzą...

— Nie ma strachu. Jeszcze lody nie ruszyły. Dopiero posłyszysz huk, jakby z armat kto

walił! Jazda, kary, jazda! — pokrzyknął na konia, który z wahaniem wstępował na lód, ślizgał się i niepewnie spoglądał na wodę tryskającą mu spod kopyt.

— Hoplaa!

Sanie zadudniły, przeskakując przez szczelinę szerokości co najmniej dwóch dłoni.

— Hooopla! — nowa szczelina, jeszcze szersza.

Woda rozlana była wąziutką jedynie warstwą. Edek już się oswoił, podobała mu się ta jazda. Nawet woda zmywająca lód pachniała wiosną. Wierzchem dłoni ociekał krople osiadające na twarzy z bryzgów wachlarzami rozsypujących się spod kopyt. Krople były ciepłe, nagrzane słońcem.

— Tu górka podwodna, patrz, jak woda wybiła — zawołał Michał.

Szeroki strumień tryskający spod lodu płynął im naprzeciw. Kryształowa przejrzystość wody zezwalała zobaczyć nierówne, wybrzuszone podbicie lodowe, a jeszcze niżej gniławe od zwiędłych wodorostów, miejscami upstrzone żółtym piaskiem dno jeziora. Prąd z sykiem walił w kopyta końskie, odbijał się o sanie, mącił przejrzystość widoku. Unieśli nogi, koń bowiem nurzał się po kolana, dno sań pokryło się wodą. Edek przerzucił się na wyższe, tylne siedzenie. Było mu trochę niewyraźnie.

— Hooopla!

Płozy zazgrzytały, sanie przechyliły na lewą stronę, koń się pośliznął, silnym szarpnięciem utrzymał jednak równowagę, ciągnął swój ciężar ustawiony teraz niemal prostopadle do płaszczyzny jeziora. Edek stracił równowagę, jeszcze chwycił się rękami brzegów sań, balansował ułamek sekundy, przy nowym szarpnięciu pięknym łukiem runął w sam środek wesołego, rozhukanego strumienia.

Poderwał się, znów upadł. Nogi jego rozjechały się na lodzie w dwie strony. Zimny, ostry chłód wody sparzył go. Michał hamował konia, sanie wróciły do normalnej pozycji.

— Cholera z twoją jazdą!

Gramolił się na sanie, zły i zmarznięty, ociekając wodą jak szczur w czas powodzi. Co teraz robić? Do domu daleko, chyba już pędzić czym prędzej do brzegu, tam, w Piaskach, ogrzeje się, może zdobędzie jakieś ubranie na zmianę...

Michał popędzał konia, ale przy brzegu nie było to łatwe. Woda stała tam bowiem wysoka. Uważał teraz, omijał szczeliny, by nie ześliznąć się w którąś z nich. Edek czuł, jak mimo słońca zastyga na nim przenikliwy pancerz.

— Pędzej, pędzej!

Wydostali się wreszcie, przez las rwali co koń wyskoczy, aż ich gałęzie krzewów siekły po oczach, a sanie przewalały się po nierównym gruncie. W Piaskach kominy dymiły w obu domach. Leśniczyna niechętnie zgodziła się na wtargnięcie Edka do kuchni. Cała podłoga spłynęła wodą. Zrzucił ubranie, został tak, jak go Bóg stworzył, przykryty kurtką Michała. Wyżymał bieliznę, suszył koszulę przy buszującym ogniu.

Marcińska gniewnie krzątała się w przyległym pokoju. Drzwi zostawiła otwarte. Twarz jej miała zły, zdecydowany wyraz. Edek przypomniał sobie to spojrzenie i opiekę nad tracącym panowanie nad sobą mężem. „Twarda baba”, pomyślał.

Michał uwinął się migiem. Worki z ziarnem liściaków leżały już na saniach.

— Pani Marcińska, proszę pożyczyć nam jakieś robocze ubranie męża. Zamarznie człowiek, nim wrócimy do domu. A tego na siebie nie włoży...

— Nie — warknęła.

— Pani Marcińska!

— Nie. Kuchnię mi zaświniliście.

Edek w milczeniu, łypiąc tylko na babę wściekłym spojrzeniem, podał swe spodnie przyjacielowi. Wykręcali je całą siłą; woda spływała ciurkiem. Nie oszczędzali podłogi, szamotali się po całej kuchni. Kobieta stała ponura, przyglądała się. Nie powiedziała już ani słowa.

— A tam? — Edek spojrzeniem wskazał za drzwi, myśląc o pożyczce w sąsiednim domu. Michał zaprzeczył drgnięciem głowy. Musiał już próbować. Zgnębiony był, spoglądał bezradnie na przyjaciela i jego mokre ubranie.

— Jak ty pojedziesz? A może ja sam szurnę do domu i przywiozę coś ciepłego.

— Kuchnia mi potrzebna. Pośpieszcie się.

Edkiem zatrzęsło w pasji. Co sobie ta baba myśli?

— Zostanę tutaj, jak długo będzie trzeba.

Pohamował się, nie powiedział jej nic obelżywego. Coś mu mówiło, że porachunki z tymi ludźmi jeszcze nie zakończone. Nie chciał prowokować, lepiej niech działa czas. Grunt, że facet pod kluczem, a leśniczemu Gasińcowi nikt już nie robi przykrości. Ustąpiły ponure zmarszczki na jego czole...

— No jak, Edek? Jechać?

— Nie, wracamy razem.

— W tych łąkach?

— Słońce jest, ciepło. Jakoś się machniemy, w domu się przebiorę. Może pani Helena ma wódkę, ogrzeje...

Ale gdy zaczął wciągać na siebie wilgłą bieliznę, omal nie zrezygnował. Przemógł się jednak, ubrał się szcękając zębami, wygalopował czym prędzej z kuchni.

— Pojedziemy brzegiem?

— Daj spokój, droga podmokła już na bardziej otwartych przestrzeniach, godzinami trzeba się będzie przebijać. Przez lód nie ma strachu!

— Wszystko jedno. Mogę się teraz kąpać, ani to mi pomoże, ani zaszkodzi.

Dopiero teraz można było zobaczyć siłę działania marcowego słońca. Michał musiał jechać ostrożnie, okrążyć miejsca bardziej niebezpieczne, uważnie wypatrywać szczelin. Tam gdzie przedtem była na lodzie delikatna tylko warstewka wody, teraz nakrywała już ona końskie pęciny. W pewnych partiach szklista powłoka tapiała wyraźnie pod ciężarem sań. Czasem tapanie przekształcało się w huk i w niespodzianych miejscach wytryskiwała na powierzchnię pieniaiąca się woda. Coraz więcej było strumieni, wypływających w jednych miejscach, ginących w innych po gwałtownym biegu.

Edek mocno trzymał się boków sań, coraz to windował nogi do góry, kładł pod nosem serdecznie a obficie, aż się Michał oglądał czasem z niemym podziwem na dobroduszej twarzy.

— Długo już nie pojeździ, jeżeli potrzyzyma taka pogoda. Pora już zresztą...

Nie pokrzykiwał już teraz swego hooopla, z ulgą odetchnął, gdy wygramolili się wreszcie na ląd.

— Edek, jest poczta do ciebie — z daleka już wołał Mietek, potrząsając trzymaną w rękę widokówką. Dopiero teraz spostrzegł stan, w jakim znalazł się jego kompan. — Co z tobą? Wywróciliście się? Na jeziorze? Chodź prędko, przebierz się, ja bym już nie wymigał się od zapalenia płuc... Wy wszyscy jesteście konie... — dodał z nutką żalu.

Nigdy jeszcze z taką rozkoszą nie wkładał świeżej, suchej bielizny. Dopiero teraz, gdy mijała już emocja niefortunnej przygody, poczuł dreszcz przebiegający przez ciało. Nie pomogła nawet gimnastyka.

— Matka pichci w kuchni jakieś mięsiwo. Zaraz się rozgrzejesz... Ale słuchaj, czemuś tak rzucił tę kartkę, nawet nie spojrzalesz, kto ją przysyła? — i zaśmiał się cichuteńko.

Edek spojrział na niego zezem. Co ten znów szykuje za kawał? Pochwycił standartową widokówkę olsztyńskiego ratusza. Aż powiekami zamrugał. To Wera przysyłała zdawkowe pozdrowienia. Ale zarazem podawała swój adres w wojewódzkim ośrodku szkolenia. Zalało go jakąś ciepłą falą. A zatem pamiętała.

— Nie przyglądaj mi się spod oka. Do nas też przyszła kartka, ale do wszystkich razem, rozumiesz? A nie mówiłem, że coś tam cichaczem kleicie ze sobą. Idziemy, matka woła.

W progu ukazała się sylwetka pani Heleny.

— Mietek, przed chwilą twój gamoń wylazł ze słomy. Ależ chudy, ledwom poznała...

— Mruk? — poderwał się podniecony.

Ale już jej nie było. Nie było także i Mietka. Edek pytająco spojrział na Michała, który gorączkowo pakował do ust ostatnie kęsy jedzenia.

— Borsuk! Idziesz?

W butelce było jeszcze trochę wódki na dnie. Edek przechylił do ust flaszkę, wygulgał wszystko, szeroko złapał powietrze. Teraz pobiegł i on.

Zwierzak siedział przy drzwiach stodoły, tyłem do słońca mrużył przekrwione, małe ślepka. Rzeczywiście, chudy był, aż mu bujne futro obwisało na bokach. Melancholijny, jakby zaspany, obojętnie, ale bez lęku przyjmował pieszczoty Mietka.

Edek pierwszy raz widział takiego stwora. Wydał mu się jakiś niezgrabny, jak zmięty worek rzucony na ziemię. Do przodu wysuwała się jedna łapa, zakończona olbrzymimi pazurami. Futro było naprawdę ładne, szare plamy przeplatały się z białymi i czarnymi łatami, a bokami przechodziły w kolor przegniłych liści.

Mruk poruszył teraz głową z białym pasem przez środek czaszki, powęszył długim, wysuniętym do przodu ryjem. Tak stulił małe oczka, że zostały jedynie niewielkie szparki. Niezgrabnie, zataczając się, poczłapał do wnętrza stodoły. Tam znów przysiadł, wyczekując jakby spoglądając na Mietka. Tylko Edek budził w nim niepokój, nawąchiwał od tej strony, łyskał ślepkami.

— Przecież on głodny. Tylko nie spłoszcie...

Mietek przypomniał sobie o swych obowiązkach. Zaraz wrócił z dwoma kurzymi jajkami i paru kawałkami świeżego mięsa. Mruk zaburczał cichutko, wejrzał na położone przed sobą przysmaki, oglądając się na chłopców. Potem bardzo szybko i zgrabnie uwinął się z jajkami, tylko migał różowy język. Mięso pałaszował znacznie rozważniej, przy trzymując je pazurami.

— Jakby tak szarpnął, brr!

— Łagodny, mówię ci, Edek, jak baran. Zobaczysz latem, co on będzie wyrabiał o zmroku.

— Łazi za Mietkiem jak pies... Rex kiedyś go napadł, otrzymał taką szkołę, że potem na pięć metrów omijał — dodawał Michał.

— Mruk, poproś, dostaniesz jeszcze.

Mietek pokazał ulubieńcowi kawałek mięsa. Zwierz znów coś mruknął, ale nie słuchał, tylko oczka żywiej mu zabiegały.

— Mruk, poproś! Zapomniał, czy co?

Niechętnie, bardzo niechętnie, na krótką chwilę borsuk uniośł przednie łapy do góry, przysiadając na zadzie. Mignęło u spodu jednolicie czarne futro. Jakby trudno mu było równowagę utrzymać, Mruk opadł zaraz na klepisko, ale oczu nie spuszczał z Mietka, nawąchując ciekawym, myszkującym ryjem. Białe płaty przy uszach drgały przy każdym głośniejszym słowie.

— Masz, masz — Mietek z lubością głąskał ulubieńca po jedwabistym karku. — Ależ chudy, patrzcie, jak mu płaty skóry zwisają. Tylko że on szybko się odje. Strasznie się cieszę. Ale że tak wstał w jasne słońce, ciekawe...

Stanęli z boku, obserwując zwierzaka. Podrapał pazurkami o klepisko, uniośł się trochę, jeszcze węszył, a potem truchcikiem obok nóg chłopców wytoczył się na podwórko, zmrużył oczy, jakby porażony blaskiem, a potem szybciej, niżby ktokolwiek przypuścił, podreptał do otwartych szeroko drzwi obory.

— No, to już wiosna. Ciekaw byłem, czy zaszyje się znowu w słomę, czy pójdzie na swoje miejsce. Wiesz, on całe lato siedzi w oborze, ma taki kąk w tej wolnej przegródce, gdzie leży siano. Mówią, że borsuk jest nietowarzyski. Nieprawda. Ojciec znalazł kiedyś gniazdo



borsucze obok lisiego. Pod zachód słońca młode bawiły się razem...

— Co tam dobrego? — przywitał ich głos pana Gasińca, wracającego ścieżką od jeziora. — Krowa cieli się może? — zdziwił się, gdyż byłoby to przedwcześnie.

— Mruk wstał i schował się tutaj w sianie. Żebyś ty widział, jaki on chudy.

— Zawsze tak po zimie... Czas, bo wiosna na całego. Widzieliście jezioro? Kolo nas szczeliny na pół metra, a woda pluska fontannami. Lada dzień lody ruszą.

— Oni jeździli do Piasków i wykapali się. Edek właściwie...

— Przez lód? Ależ mądrale! Mogliście nie wrócić, te pęknięcia niejednego już zjadły. Michał, tyś taki mądry?

Podleśniczy milczał, zaczerwieniony. Teraz uświadomił sobie, jak ryzykował. Pan Gasińiec pożałował chłopaka.

— Patrzcie, jak już trawa się zieleni... A pąki? Ładnie, co?

## 18. JESZCZE RAZ WIERZBIK

Spał niespokojnie. Położył się wcześniej, już z wieczora czuł przenikający go ziąb i dreszcz. Pod kocami było mu zimno, narzucił płaszcz i kufajkę, kulił się pod przykryciem. Samo wspomnienie niespodzianej kąpieli w jeziorze jeszcze pogłębiało uczucie przerażającego chłodu. A przy tym dręczył go jakiś nieokreślony niepokój, niczym właściwie nie podbudowany.

Sen miał ciężki, nerwowy. Śnił, że ktoś go ściga, tak jak niegdyś pojawiła się przed nim szczerząca zęby twarz Krasawczyka. Potrząsał pięścią i groził...

Ocknął się w pewnej chwili. Spocony był, kapał się w mokrej bieliźnie. Wysunął rękę, ale zaraz ją cofnął, sparzony przenikliwym chłodem, ogarniającym rozgrzane ciało. Dreszczy już nie odczuwał. Pewnie spływały wraz z potem.

Leżał z szeroko rozwartymi oczyma. Znów wrócił dręczący go wieczorem dziwny niepokój. Nie chciał o niczym myśleć.

Wydało mu się, że w pewnej chwili odbił się na szybach jaśniejszy blask, zamigotało coś, przygasło. Potem znów jakieś żółtawe drgania nadbiegły od okna.

Pomyślał, że ma jednak gorączkę, podniósł dłoń do czoła. Wilgotne było, ale chłodne. Przymknął oczy. Poczł teraz nawrót zmęczenia po minionym dniu.

Gdy po chwili znów podniósł powieki, na szybach migotał nierówny różowy blask. Przeniósł oczy na ścianę przeciwległą kwadratowi okna. Ten sam blask tańczył tam nieforemną plamą. Co jest, u licha?

Gdzieś z głębi domu usłyszał okrzyk, jakiś hałas, zarazem blask w oknie poszerzył się, rozjaśnił pokój. Wskoczył z łóżka, podbiegł do okna. Z głuchym trzaskiem rozwarły się drzwi wyjściowe, zatupotały kroki.

Od częściowo przysłoniętej magazynem stodoły rozszerzał się czerwonawy blask, aż spaşowiały gałęzie nie opodal rosnącej samotnie jodły.

Pożar! Rzucił się do ubrania. Co się stało? Jakim cudem mógł powstać ogień?

Z trzaskiem rozwierając drzwi wpadła pani Helena.

— Pożar! Wstawaj szybko.

Chciał pytać, ale biegła już korytarzem, głos jej dobiegał teraz z podwórza. Gwarno tam się zrobiło, słyszał brzęk wiader, gwałtowną pracę pompy, szum wody.

Stodoła płonęła przy lewym rogu, przylegającym nieomal do młodego jedniaka. Płomienie sięgały dachu, jeszcze cofały się, niechętnie jakby obłapiały nawilgocone drzewo, ale czasem strzelały już wysokim słupem, siały iskrami, poddawały się podmuchom wiatru, chwiejącego strugami ognia.

Jasno było jak w dzień. Od resztek śniegu płomień odbijał się dalekimi refleksami. Leśniczy szarpał bosakiem pokrycie dachu, popędzał Janickiego, aby szybciej drapał się na szczyt, stamtąd próbował stawiać tamę coraz śmielej buszującemu ogniovi.

Pani Helena i Marysia biegały z wiadrami wody. Do studni było dobre piętnaście metrów. Mietek parł tam z długim wężem, mordował się z nakrętką.

— Edek, bierz z magazynu gaśnicę! — wołał leśniczy.

Marysia pompowała teraz miarowym naciskaniem ramienia pompy. Woda popłynęła długim wężem, nie miała jednak tyle siły, by buchać strumieniem z jego wylotu. Ale nie trzeba już nosić wiader, napełniali je na miejscu, chlustali na płomień. Syczał, czerniał na chwilę, a potem, jakby chichocząc, strzelał iskrami i buchał falą mocniejszych, żółtoczerwonych płomieni.

Edek pchał się z gaśnicą na dach. Omal się nie pośliznął na mokrych szczeblach drabiny. Uderzył mocno rączką, omal się nie wywrócił, strumień białej piany zalał mu twarz, prędko obrócił gaśnicę we właściwym kierunku. A ogień już szalał na dachu, ogarniał go mimo posyków wilgoci, popędzany wiatrem skakał do przodu, znowu się cofał. Zadymiło, zasnuło się mgłą pod białą pianą bijącą z gaśnicy z ogromną siłą. Janicki sięgał po koniec węża, podawany mu przez panią Helenę. Marysia bez przerwy pracowała przy pompie. Leśniczy drapał się na dach, aby bosakiem stawiać zaporę rozwielniającemu się żywiołowi.

Z góry dostrzegł Mietka, jak schylił się raptem i podniósł z ziemi pustą bańkę blaszaną. Potrząsnął nią:

— Cholera, benzyna! O, jak tu ziemia zdeptana, w błocie widać ślady...

— Daj spokój, rzucaj to, chodź nam na pomoc — wołał na niego ojciec.

— On musi tu jeszcze gdzieś być, od zagajnika nadszedł, widać wyraźnie...

— Stój, durniu, czekaj!

Nie pomogło. Mietek, pchany silniejszym od niego impulsem, pobiegł w kierunku wskazywanym przez głęboko odcisnięte w błocie odciski nóg. Nic, że zaraz się urywały na twardszym gruncie, że właściwie cały pomysł ścigania złoczyńcy, który na pewno dawno już uciekł, był nonsensem, a pozbawiał ratujących pary niezbędnych rąk.

Płomienie strzeliły wysoko w górę, blask rozlał się aż na zagajnik, na krzewy jarzębiny przy ścieżce wiodącej do jeziora. To ogień dosięgnął środka stodoły, zachłannie zagarnął znajdujące się tam sterty słomy i siana. Uciekali z dachu. Janicki po prostu zsunął się zeń, nie szukając drabiny, na ziemię. Ogień poparzył im twarze, leśniczy ramionami gwałtownie ocierał głowę, aż na nią bowiem sypnęły iskry...

— Jest tutaj, jest! — i syk, i trzask, i głosy lęku przebił wrzask Mietka, który już się wstrzymał przed chwilą i chciał zawracać.

W nagłym rozlewie światła dostrzegł przyczajoną przy wyniosłych sosnach zostawionych tu kiedyś jako nasienniki, niewyraźną, ciemną sylwetkę ludzką, łysnęła mu wpatrzona w płomień plama twarzy. Nie zważając na nic popędził w tamtą stronę. Ciemna postać oderwała się od pni, zatrzeszczały jakieś gałęzie, blask pożaru opadł, zmroczniało, ścieżka do jeziora skryła się w gąszczu drzew i krzewów. Tylko tupot nóg wskazywał kierunek.

Potknął się, w ostatniej chwili zaczął się ręką o pień jarzębiny, skoczył przez rzuconą niedbale stertę chrustu, nie wiedząc kiedy zarył się nogami nad brzegiem szumiącego falą niewierzchniowej wody jeziora. Oczy powoli oswajały się z mrokiem. Chlupot jakiś szedł od lodu. Dojrzał wyraźnie przygięty, zmykający przez wodę cień. Zawahał się. Jezioro wyglądało groźnie, woda uderzała twardo o brzeg, trzask pękającej skorupy zagłuszył przez moment inne głosy.

— Stój — krzyknął. — Stóóój!

Cień na lodzie przystanął. Zamajaczyła w blasku księżyca niewyraźna, jaśniejsza plama twarzy. Rozgłośny, okrutny śmiech poniósł się z wiatrem do Mietka.

— Stóóój!

Cień zerwał się do dalszej ucieczki. Mietek z bólem widział, jak się oddala od niego. Dzieliło ich już na pewno ponad sto metrów. Jeszcze się zawahał, a potem, nie myśląc więcej, runął w jezioro, w syczącą wodę i ślizgając się po zdradliwym szklwiu, popędził za podpalaczem. Upadł, mokry podniósł się, wpatrzony w wyraźną teraz w świetle księżycowym postać złoczyńcy. Pod nogami słyszał tapanie lodu, nie zważał na nic. Strumień pędzącej wody uderzył go w nogi, pochłonął po pas, ledwie się przezeń przedarł, biegł dalej, pamiętny tylko jednego, by dogonić tamtego, by nie dać mu dosięgnąć przeciwległego brzegu.

A czarna w niebieskawym, srebrnymi błyskami migocącym na wodzie mroku postać zdawała się ciągle oddalać. Mietek czuł, jak serce mu wali, jak plamy jakiejś wirują przed oczyma, znów się pośliznął, nie upadł, wariackimi poruszeniami ramion zachował równowagę.

— Stóóój, bo strzelam!

W chlupocie nie słyszał nawet własnego głosu, czuł tylko wysięk płuc.

Nagle zbrodniarz zatrzymał się, zakołował, jakby skoczył do tyłu, wszystko to jednocześnie z mocnym, złowrogim trzaskiem pękającego lodu. Trysnęła wysoka woda, zasrebrzyła się w świetle księżycowym. Podpalacz upadł, jeszcze się podniósł. Mietek widział biegnąc, jak zmniejsza się przestrzeń między nimi. Znów tąpnięcie, znów mocny, głuchy trzask, i nagle przez jezioro, na lasy, pod księżyc poniósł się przeraźliwy krzyk, okropny wrzask trwogi. Mietek zadrzał, stanął, wysiępił przerażone oczy.

Wielką fontanną pluchnęła wartka woda, postać człowieka zachwiała się, zatrzepotały ramiona jak skrzydła wiatraka, wszystko się nagle zapadło, i tylko krzyk, przeciągły, śmiertelny krzyk przerażenia pozostał nad wodą, biegł z wiatrem na brzeg, odbijał echem od ściany leśnej, trwał w zdjętym trwogą sercu Mietkowym.

Stał, patrzył, nie zwracając uwagi, że strumień wody podbija mu kolana. Czekał, a nuż się ukaze jeszcze ciemna postać, w tej chwili nagle mu bliska w obliczu mocy wodnego żywiołu, już nie wroga, nie niebezpieczna. Biegłby wtedy na ratunek, na pomoc.

Ale nic, tylko woda szumiała wokoło coraz mocniej, a od środka jeziora niosły się coraz częstsze i mocniejsze trzaski. Lód pękał.

— Mietek! Mietek!

Poznał głos matki. Nie widział jej na tle ciemnej ściany krzewów. Zawrócił wolno, teraz dopiero zdjęty przerażeniem i lękiem wobec swej poprzedniej wariackiej decyzji. Wokoło szumiała woda, zapadał się raz po raz w jakieś wgłębienia, niewiadome kotliny i wklęśnięcia na lodzie. Tapilo zewsząd, goniły za nim trzaski, nagle buchające strumienie. Ledwie powłóczył obciążonymi ciężarem mokrego ubrania nogami.

— Mietek!

Teraz zobaczył matkę. Stała na brzegu z ramionami wyciągniętymi w jego stronę. Z ulgą wszedł na suchy grunt. Powiedział tylko:

— Utonął...

Nie odezwała się, przynaglała go do szybszego biegu. Bała się o zdrowie jedynaka, zawsze tak słabe.

Gdy wychynęli znów pod nasienne sosny, na jasno rozświetloną pożarem przestrzeń, w górę strzeliło wysoko, wysoko białe, migocące światło, potem rozlało się szeroko, oświetlając cały teren dokoła.

— Ojciec przyniósł raketnicę. Wiatr pędzi iskry na resztę budynków — westchnęła pani Helena.

Podziwiał jej spokój. Teraz zielona raca wzleciała do góry. I znów biała.

— Idź, przebierz się i zaraz wracaj — przykazała, sama zaś pobiegła w stronę obory, na której dachu raz po raz siadały złowrogie iskry, a to i całe płaty płonącej słomy niesione wiatrem.

Usłuchał, po drodze nie wiedzieć czemu przypomniał mu się borsuk, który właśnie

poprzedniego dnia opuścił stodołę i przeniósł się do obory. Czyżby przeczuł pożar? I nagle ogarnęła go niezachwiana pewność, że ogień nie strawi już nic więcej, przecież Mruk nie wybierałby w przeciwnym razie obory.

Ogień szalał, płonęła słoma i siano, trzaskało zboże i sterta koniczyny. Stodoła była już nie do uratowania. Stali na przyległych dachach, zlewając je wodą, ślepiąc za każdą iskrą, za każdym podmuchem wiatru, wionącym grozą niebezpieczeństwa.

Blask niósł się daleko, po zagajniki, na drogę, na starą bronę wciągniętą dla bocianów na ucięty szczyt rostej topoli.

Magazyn narzędzi leśnych kryty był blachą. Ale tuż za nim stojąca obora strzepiła się starymi, powyginanymi ze starości gontami. Od wielkiego żaru stopniały już na nich resztki śniegu, wysychała gwałtownie nasiąkła przez zimę wilgoć. Na okapie siedział okrakiem Janicki, trzymając w dłoniach gaśnicę. Ostatnią, jaka jeszcze pozostawała z zapasu. Z drugiej strony Edek, wsparty o najwyższy szczebel przystawionej do dachu drabiny, zlewał go wodą płynącą z węża. Leśniczy zastępował teraz przy pompie opadłą już z sił Marysię. Strumień wody był mocniejszy, tryskał o kilka metrów, ułatwiał Edkowi pracę.

— Wyprowadzać bydło?

Gasiniec skinął głową. Zrzucił przedtem marynarkę, potem i sweter, targał ramieniem pompy w samej tylko koszuli. Rzucił przez zęby:

— Powinni byli w nadleśnictwie zobaczyć. Może przyjadą z pomocą...

Nie była tego tak pewna. Latem, gdy istnieje ciągły stan pogotowia przeciwpożarowego, to co innego. Dyżurny od razu dostrzeże race. Ale zimą, gdy wszyscy śpią?

Leśniczyna rozwierała szeroko drzwi obory. Bydło ryczało od dawna, tworzył się nieopisany harmider i jazgot. Muczenie krów splatało się z beczeniem owiec, koń walił kopytami w przegrodę, rozgdakane, półślepe, spłoszone kury biegały po podwórzu, kilka z nich pognało prosto na ogień, spopieliły się w żarze.

Spojrzała nagle na traktor. Ropa, mój Boże! Wybiegła znowu na zewnątrz, krzyczała do Edka, starając się przegłuszyć poszum i trzask płomieni:

— Traktor, traktor!

Oprzytomniał. Machnął wężem o ziemię, zeskoczył, gnał do ciągnika. Ładna historia, że mu to na myśl nie przyszło. Ale jak teraz zapuścić wystygły motor? Stał wprawdzie daleko, niemal pod budynkiem mieszkalnym, iskry jednak zalatywały aż tutaj. Krzyknął do pani Heleny:

— Worki, mokre worki!

Zrozumiała. Zaraz nadbiegła z powrotem, rozścieliła mokre płachty na masce „Zetora”, potem Edek zawrócił do beczki z ropą, leżącej pod płotem od strony drogi. Na pomoc przy-skoczył przebrany już Mietek. Z trudem przetaczali potężną beczkę, grzęznącą w rozmięklej ziemi. Żar sięgał chwilami aż tutaj, gdy nadnosił go mocniejszy zryw wiatru.

— Wzmaga się — z niepokojem spojrzał Edek na gałęzie gnące się pod powiewem.

Leśniczy stał teraz na drabinie, zlewając dach wodą z węża. Przy pompie znów pracowała Marysia. Chłopcy skoczyli matce na pomoc. Nie mogła sobie poradzić z krowami. Ledwie zwierzęta zobaczyły blask rozlany na dworze, ledwie doszedł do nich wyraźniejszy teraz trzask walących się krokwi, śwąd spalenizny, a przed wrotami obory zabłysły iskry, zaryły się kopytami i za żadną cenę nie zezwalały się wyprowadzić. A gdy wypchali już na dwór pojedynczą sztukę, rwała się do ognia, jakby urzeczona jego potęgą. Z wysiłkiem wyprowadzali stworzenia aż na drogę, pod sam zagajnik, tam uwiązywali postronkami do drzew. Ryczały przeraźliwie, szarpały się strwożone, w wielkich, wybałuszonych oczach dygotał strach.

Jedna z owiec zerwała się, uciekła, ani śladu po niej nie było.

— Dobrze, że o wilkach teraz nie słychać — rzucił Mietek.

— Słuchaj, co tam się stało? Skapałeś się w jeziorze? Był ktoś naprawdę?

— To nie wiesz nic?

— A skąd mam wiedzieć, sterczałem na dachu.

— Był. Wyrwał co siły w nogach. Przez jezioro. Pognałem za nim, wołałem, odpowiadał jakimś szatańskim śmiechem... Łód pękał, wyrwy co krok, nagle zachwiał się, strasznie krzyczał, chciałem biec na pomoc, zapadł się i nic już...

— Utonął?

— Tak... To straszne.

— Dobrze draniowi. Ale śmierć ponura, brrr!

— Mietek! Edek!

— Ojciec woła.

Pobiegli. Leśniczy wskazywał na dach obory. Zajął się już w dwóch miejscach, tliło tam dopiero, ale każdej chwili mógł buchnąć ogień, tym bardziej że wiatr podsyczał nowe zarzewia.

Ugasili bez trudu, założyli te miejsca mokrymi szmatami, których stertę przyniosła pani Helena. Edek skoziółkował z dachu na ziemię, szczęśliwie, wypaśćkał się tylko w błocie.

Śnieg wokół stopniał bez śladu, tak potężna była siła żaru. Do stodoły nie można było podejść nawet na dziesięć metrów. Co chwila jeszcze strzelały w górę snopy iskier, wzmagał się słup ognia, potem opadał, a dołem, szerokim prostokątem znaczyła się warstwa rozpalonego żaru.

— Mruk został! — zakrzyknął nagle Mietek, porwał się do obory.

Z trudem odnalazł zagrzebanego głęboko w słomie ulubieńca, na rękach niósł go do domu Marysi, tam zamknął w sionce. Borsuk był niespokojny, wyrwał się, chciał go nawet złapać zębami za rękę, w porę zdążył ją cofnąć.

Ogień strawił już zboże, słomę i siano we wnętrzu stodoły. Zapadł się dawno dach, runęła jedna, potem druga ściana. Płomienie zniżyły lot, ogień buchał mniejszymi plamami, tylko dym niósł się naokół coraz mocniejszy i gęstszy. Wiatr jakby ucichł, czasem tylko zawiął silniej, rozgrzebując z popiołów strugi iskier.

Leśniczy stał w koszuli, mokry, brudny, zziąjany, ocierał pot z czoła, nie mówił nic. Czasem tylko spojrzenie jego biegło smutnie ku niewidocznemu za drzewami jezioru, a wtedy kiwał głową jakby do wtóru swym myślom.

Od wschodu niebo zszarzało, księżyc dawno skrył się za linią boru. Mroczniej było teraz, na krótko przed brzaskiem. Tylko bydło, uwiązane przy drodze, nie ustawało w protestach. Wróciła do stada zbłąkana owca, pani Helena odetchnęła z ulgą. Kury przycupnęły pod gankiem, stroszyły pióra, chcąc wydobyć z nich więcej ciepła. Pękata Mircia wierciła się przy nogach ludzkich, czasem przetaczała się nieco bliżej stodoły, przystawała i z mordką wznieśioną do góry w zdumieniu przyglądała się nie znanemu dziwowisku. Musiało ją niepokoić, bo wstrząsała się gniewnie i poszczekiwała cienko, piskliwie.

Świt zastał ich piekielnie zmęczonych, ale nadal uważnych i czujnych. Stodoła dopalała się.

Pani Helena wyniosła gorącą zacierkę. Siedząc na pniakach pod domem siorbali łąpczywie gorącą strawę. Wszyscy byli znużeni do ostateczności. Wzrok każdego kierował się co chwila ku dopalającym się zgliszczom. Niebezpieczeństwo malało z każdą chwilą. Leśniczy był strapiony, zdawał sobie sprawę z poniesionych strat, z trudności, jakie go teraz czekają, z wydatków...

Mietek dokładniej opowiedział teraz nocną przygodę. Słuchali w napięciu, zdumieni tak nieoczekiwanym końcem złoczyńcy.

— Pewien jesteś, że utonął? A może tylko upadł i potem poderwał się znowu?

— Nie, tam już tylko woda tryskała fontanną, a potem słychać było szum wydobywającego się wyrwą potoku.

— Tlen dostaje się pod lód, rozrywa go — rzekł leśniczy.

— Kto to mógł być? Nie poznałeś, Mietek? — Edek był zafrapowany postacią podpalacza.

— Gdzież można było kogo poznać w ciemności? A jeszcze biegł przykurczony, tylko ciemny cień śmigał po lodzie...

— Ciekawe, czy w ogóle się dowiemy...

— Jak to? — zaoponował Edek na słowa leśniczego. — Przecież go woda wiosną wyrzuci...

— Powinna, ale nie zawsze tak bywa. To nie rzeka, lecz jezioro, głębokie miejscami na czterdzieści metrów. Były już tu wypadki, że ktoś utonął i śladu po nim nie zostawało... — Urwał, zasłuchany w mocniejszy poszum i trzask jakiś niosący się od Pogubia.

— Co tam, tato?

Uciszył go skinieniem ręki. Słuchał, a na zmęczonej, zszarzałej troską twarzy zarysowało się znów ożywienie, zabłyśły oczy.

Od jeziora poniósł się nagle w ich stronę potężny, wzbierający na mocy huk. Toczył się grzmotami, napełniał sobą powietrze, dudnił, potem zagrzmiął krótko, gwałtownie, jakby jednoczesną serią artyleryjskich strzałów, i znów przeszedł w głuchy, przeciągły pomruk.

Zerwali się z miejsca, nasłuchiwali tak stojąc.

— Lody ruszyły — rzekł podniecony leśniczy.

— Łamanica — rzucił Janicki.

— Wiosna — zawtórował im Mietek. — Teraz już naprawdę.

— Pilnujcie, kobiety, ognia — przykazał im pan Gasiniec. I jakby mu sił nagle przybyło, jakby odmłodniał, pobiegł obok zgliszcz stodoły w dół, ścieżką wiodącą nad jezioro. Wraz z nim wszyscy mężczyźni.

Szarówka pierwszych minut świtania przetała się już zupełnie, było jasno, choć chmury zaścieniały niebo niskim okapem.

Wsparciu o poręcz małego pomostu w prowizorycznej przystani, wytrzeszczali zachłannie oczy na ten jedyny, niepowtarzalny obraz.

Popielate, siwe w tej chwili jezioro, jakby przytłoczone zwaliskami burych, ciężarnych chmur, drżało całe wielkim oczekiwaniem. Gdzieś z głębokich toni szły głuche dudnienia, narastały, wzmagaly się, jakby kawalkada koni nacierała na nieznaną obiekt; potem cichły, by wezbrać znów z jeszcze potężniejszą, niepoohamowaną siłą.

I teraz nagle, w różnych stronach rozległego jeziora, poczęły otwierać się szczeliny w lodowatej caliznie, woda tryskała gejzerami, z szypieniem i bulgotaniem, potem z rozgłośnym hukiem zapadało się wszystko, tafla lodu jak gdyby falowała, opadała i znów wzdymała się, szczeliny rosły, dzieliły połączenie zatok na wyraźne pola, rozszerzały się, aż do chwili, gdy gdzieś opodal tryskała nowa kaskada, wspierana podwodnymi gromami i przed oczyma patrzących rozwierała się nowa szczyrba.

— Teraz patrzcie!

Krawędzie szeroko rozwartych przed chwilą pasów zaczęły się zbliżać popękkanymi brzegami, wparły się silnie o siebie, chwilę tak trwały, jak zawodnicy, gdy próbują własnych sił, a potem ze zgrzytem, z dudnieniem i jazgotem miazdzonego lodu przepychały się nawzajem. Lód trzeszczał, drżało jezioro, krawędzie lodowe zaczynały wspinać się jedna na drugą, trzaskały, zapadały się, znów napierały na siebie, unosiły się w górę wysoko, wysoko, jak człowiek, jak śmigły krzew, jak stóg samotnie stojący na białym polu.

Na sekundę zastygała wtedy cisza, wykwitłe nad jednostajną płaszczyzną lodu wzgórze chwiała się, dygotało, wstrząsane wewnętrznymi mocami, aż wreszcie zapadało z hukiem, z łoskotem, tryskało wodą, całymi fontannami, budziło wiatr, który nagłym powiewem docierał do brzegów i muskał ludzkie twarze.

I zaraz od nowa, bez wytchnienia, bez przerwy, powtarzała się groźna sceneria. Narastały wewnętrzne dudnienia i trzaski, przeciągle przetaczały się grzmoty, wytryskami wody

pojawiały się szczeliny, krawędzie lodu odpływały od siebie, jak tancerze w klasycznej figurze, by za chwilę zmierzyć się w walce, spiętrzyć się zwałiskami lodowych brył i zapadając, rozkołysać obudzone z długiego snu jezioro.

W miejscach dopiero co zdruzgotanych zwałisk powstają pierwsze zatoczki wolnej od lodów wody. Kawały kry tańczą w niej, wirują, uderzają o siebie, wykruszają się coraz bardziej. A wolna woda wypływa na zwarty jeszcze lód, rozlewa się z bulgotem i szypieniem, wiruje jak oszalała radością, zwija się wężowymi skrętami, wpada do nowych, wciąż rozwierających się szczelin, rozbija twardą caliznę.

— Na wielkich wodach, jak Śniardwy czy Mamry, piętrzą się czasem góry wyższe od domów, prawdziwe kolosy — cicho, jakby bojąc się zakłócić ten akt odbywający się w naturze, szepnął leśniczy.

Edek spojrzał na jego suchą, stanowczą twarz, na siwe oczy, zawsze tak ostre i władcze. Ze zdumieniem nie zobaczył w nich teraz zmartwienia po stratach minionej nocy ani znużenia po walce z ognistym żywiołem. Wyraz tych oczu był spokojny, malował się w nich nieopisany zachwyt, niemal uwielbienie dla sił przyrody, z którą związany czuł się na śmierć i życie.

Patrzył dyskretnie w te oczy przez długi czas, na twarz bladą, miejscami tylko nabrzmiewającą ciemniejszymi plamami krwi i myślał z zazdrością o spokoju wewnętrznym i szczęściu, jakie musi dawać człowiekowi wielkie ukochanie. Wszystko jedno czego: innego człowieka, idei jakiejś czy potężnej przyrody, jak w wypadku Gasińca.

Mietek wskazał Edkowi leżącą trochę na boku, niewielką bańkę od benzyny.

— To ta...

Oglądał ją ciekawie. Potem przychylił się ku zdeptanej ziemi, z licznymi odciskami śladów.

— Daj asan pokój, zostawmy wszystko na miejscu, nim nie przyjedzie milicja. Trzeba ich powiadomić.

Edek jednak nie odchodził. Ciekawie przyglądał się odciskom widocznym wyraźnie na błotnistym, wilgotnym gruncie. Przeszedł za nimi kilka kroków w stronę udeptanej ścieżki. Gdy wyprostował się, w oczach jego jaśniało zrozumienie zaszłych wydarzeń.

— Taki koniec był mu widać sądzony...

— Panie Gasinie, co się stało? — Od drogi biegł nadleśniczy Dziadoń z paru jeszcze osobami. — Dopiero rano powiedział mi jeden z nowych robotników, że nocą strzelaliście race... Wysztorcowałem go, co się zowie... Jak to się stało? — wskazał na zgłiszcza, sączące się strużkami szarego dymu.

— Podpalenie! Tak mi się zdaje: Wierzbik, panie nadleśniczy.

Edek nie słuchał ich rozmowy. Zaciekawionymi oczyma wpatrywał się w pierwszego w tym roku motyla, żółtego cytrynka z powycinanymi skrzydłami, który niepewnymi jeszcze zrywami leciał ku niedalekim leszczynom, siejącym wokół drobniutkim pyłkiem.

## 19. MICHAŁ NA WIDOWNI

Z głową zadartą do góry często ślepił teraz na niebo. Aż się dziwił sam sobie, jak prędko połapał się w niektórych z tych zawikłanych przecie spraw. Wystarczyło kilka uwag Michała czy leśniczego, by z dala poznać mógł wielu z rezerwatowych mieszkańców

A pactwo ciągnęło ze wszystkich stron, opadało na szeroko rozlane wody, brodziło po nagrzanych połaciach schowanych pod wodą łąk, gmerało się wrzaskliwie w zatokach, kosiło miłośnię w sitowiu i trzcinie.

Raz, z samego początku wiosny, zawstydził się mocno. Patrzyli pod słońce na lecące wysoko ptaki, w jasnym blasku nie można było rozeznaczyć kolorów. Wyrwał się zadowolony ze

swej wiedzy.

— Gęsi.

Michał śmiał się serdecznie. A potem, gdy ptaki, zatoczywszy wielkie koło nad lasem, siadły na wodę zatoki, wskazał je palcem:

— Patrz, jak podrosły i zbiełały...

Kilka sztuk kołysało się na łagodnej fali. Któreś podniosło się na wodzie i zatrzepotało skrzydłami.

— Łabędzie, tak? Ale leciały podobnie jak gęsi. Długa szyja wyciągnięta do przodu, skrzydła odchylone do tyłu, mały ogon, nogi podkurczone, że ani ich widać. A pod słońce nie odróżnisz, szare czy białe...

Teraz jednak wiedział już dobrze, że jeśli skrzydła ptaka umieszczone są w środku ciała, a do przodu wyciąga się długa szyja prościutko jak kij, przedłużony do tyłu linią nóg, to na pewno będzie żuraw. Jeśli zaś ułożenie nóg jest podobne, ale skrzydła są zgarbione, a szyja przypomina znak zapytania, będzie to czapla siwa. Podobnie rozróżniał i czajki harcujące nad łąkami, wiedział, jak krzyczą stadka kulików, jak kwaczą kaczki krzyżówki. Lubił jastrzębie, gdy ważyły się wyniosłe ponad drzewami albo pikowały czasem nad rozfalowane jezioro. Poczieszne były perkozy, buszujące na całej toni. Unosiły główkę z wysokim czubem, bacznie wypatrywały, a potem ukazując w podskoku kuperek, znikały na długo pod powierzchnią. Trzepoczące wokół mewy ciekawie wypatrywały wtedy z góry kierunku ich podwodnej włóczęgi.

Z błotnistych moczarów około wpływu rzeczki ploszył bekasy kszyki, natykał się na bojownicy-bataliony i dubelty, oglądał się za nagle podrywającymi się z krzewów żółciutkimi trznadłami. Przestraszył się, gdy nagle zatrzepotała przed nim duża kania, o rudawym upierzeniu, i piszcząc żałośliwie, frunęła niskim lotem pod osłonę rozłożystej wierzby. Znał przepiórki i chrusciele, szczególnie lubił jarząbki, wierne tym stronom przez całą zimę. Wszędzie, na samym jeziorze i w okolicznych zagajnikach i lasach ptactwo szalało radością wiosennych poranków i długich, jasnych wieczorów. Gwizdały kosy i drozdy, zawodziły czajki, dukał jakby z elementarza wytrwały dzięcioł, rozdzierały gardziółka zięby, z traw cziczirikały kuropatwy. Koło domu na uciętej topoli zagościły bociany, przedtem staczając walkę z parą intruzów, łakomą na ich dawne gnieździsko. Leśniczy ustrzelił dwa jastrzębie-gołębiarze, dla postrachu przed łakomą na owoce ptasią gawiedzią przybijając je na wysokich tyczkach w czereśniowym ogródku.

Przed miesiącem obficie rozmieszczane na drzewach, zwłaszcza wzdłuż leśnych dróg, budki ptasie zaroily się teraz pierzastymi lokatorami. Edkowi nigdy by nawet do głowy nie przyszło, że tyle tego tałatajstwa może się gnieździć na niewielkiej stosunkowo przestrzeni jeziora i przyległych lasów.

— Dlatego i mamy tutaj rezerwat — mówił dumny ze swego przychówku leśniczy. — Nikt ich nie strzela, więc się mnożą spokojnie i szczęśliwie. Na całą okolicę nie znajdziesz takich tokowisk...

Na tokowiska cietrzewia i głuszcza było jeszcze za wcześniej. Tymczasem leśniczy wyprowadzał Edka na krótko przed zmrokiem do lasu, by przyjrzał się i przysłuchał ciągom słońek. Szczególnie lubił te ptaki, najwcześniej rozpoczynające miłosne gody o świcie i o zmierzchu, z charakterystycznymi odgłosami śmigające nisko ponad drzewami.

Edek lubił te wyprawy, które powtarzali kilkakrotnie, najciekawsze wtedy, gdy z niskiego nieba mżył drobny, ciepły deszcz. W drugim oddziale od leśniczówki rozłożyła się niewielka polana, otoczona mieszaniną rozrosłych brzoź, olch i świerków. Było tu dość wilgotno. Przychodzili na krótko przed zachodem. Czasem dołączał się do nich Michał, częściej teraz spędzający w Sumach wieczory, a nawet i noce.

Zmrok zapadał powoli, wydłużały się cienie, szczyty drzew powlekały się szarą mgłą. Łagodny wiatr wtórował cichutkiemu szmerowi drobniutkich kropelek deszczu. Palili papie-



rosy, nasłuchując ostatnich przed zachodem pokrzyków drobnego ptactwa. Najgłośniej ćwierkały czerwone rudziki, gustujące szczególnie w leszczynach; przygłuszyć swoim kłaskaniem chciały je drozdy, ukryte w wierzchowinach świerkowych. Niewidoczne zza chmur słońce musiało zapadać właśnie za mgłą spowity horyzont.

W lesie nagle cichło, zostawał jedynie poszum wiatru i szelest deszczowych kropli.

Ciepło było, prawie parno. W zapadłą dopiero co ciszę wdarło się nagle zbliżające się od strony zamglonych łąk gardłowe, głuche kworkanie:

— Ark, ork! Choo-r-r-r-r. Khook — kwor-r-r!

Mietek mocno ścisnął ramię Edka.

— Ciągną.

Na jaśniejszy fragment nieba nad polaną napłynęły nagle dwa ptaki, kworkając raz po raz. A potem niemal że równocześnie rozległ się cienki, przenikliwy świst.

— Csi, csi, csiiii!

Tuż nad drzewami niosło się to cyrkanie, to znów zmieniało w pochrap, gruby, gardławy. Teraz więcej cieni śmignęło nad płaszczyzną polany. I jeszcze para. A stamtąd jeszcze jedna sztuka rozgłośnie wabiła miłosną pieśnią.

Był jakiś ogromny urok w tej krzątaniu godowej nad wierzchołkami drzew. Powoli mrok gęstniał, na burym tle nieba wzrok ledwie, ledwie odróżniał kontury ptasich sylwetek. I coraz rzadziej już słyszeć było trzepot skrzydeł, świstanie i kworkot. Wraz z nocą ustawało wabienie. Gdzieś zaszamotały pod ciężarem wierzchołki drzew, ucichło. I znów wróciła nad las poprzednia cisza.

— Widziałeś słonkę z bliska? — pytał Mietek, gdy oczarowani tą pieśnią wieczornego ciągu rdzawobrunatnych ptaków, wracali wolno do opancerzonego wysoką mgłą domu.

— Niecee.

— To ci pokażę przy okazji. Sporo ich tu się trzyma. Nie boją się, od lat żadnej nikt jeszcze nie ściągnął z godowego lotu... Te, co leciały po dwie, to były pary, samiec zawsze leci w asyście i w niego celuje myśliwy... Rano też ciągną, ale krócej... Czekaj, zobaczysz jeszcze toki cietrzewia i głuszca. To dopiero rozkosz.

Leśniczy przystanął w progu swego gabinetu, skinął na chłopców.

— Zajdźcie na chwilę. Korzystając, że nie ma Michała, chciałbym z wami pogadać o tym chłopcu.

Edek spojrział ze zdumieniem na przyjaciela. Mietek pokiwał aprobująco głową. Musiał coś wiedzieć.

Dawno już spostrzegł niezwykłą wyrazistość oblicza pana Gasińca. Ogólny wyraz tej twarzy zawsze pozostawał surowy, ale może tym silniej odbijała się wtedy treść wyrażana oczyma. W ich siwych źrenicach łatwo odzwierciedlał się ból i zmartwienie, smutek czy radość. Teraz właśnie były one jakoś bardzo ludzko zatroskane i pełne przejęcia.

— Zauważyliście, że chłopak chodzi przybity i osowiały, a przecież normalnie gęba mu się nie zamyka. Teraz milknie, łązi po kątach jak mruk. Zmarniał też, wychudł ostatnio. Myślałem, że nie dojadła, także i dlatego kazałem mu z Piasków przychodzić na noc, niby że to znacznie bliżej niżeli do jego nory w Piszcu. Głównie jednak chciałem, żeby przebywał z wami, odpoczął w przyjaznym środowisku.

— Może on chory?

— Daj, asan, pokój, też filozof się znalazł... On ma swoje zmartwienie i ja teraz już wiem, wcale nie małe.

— Prawda, i mnie jakoś omijał, coś mu jest — wtrącił Edek.

— Otóż to. Ja doszedłem już po trochu do przyczyny. Przedwczoraj zabrałem go na obchód rewiru, pogadaliśmy przy okazji, trochę mu się serce otwarło, powiedział jedno i drugie, choć na pewno nie wszystko... Trzeba go jak najprędzej zabrać z tamtej leśniczówki. To go wykończy.

— Piaski? A o cóż tam może chodzić?

— O co? Ludzkie jęzory, żeby je diabli! Te przekłete babska, Marcińska i Wierzbikowa, rozpuściły wieści, że to Michał wszystkim winien, że jako Niemiec, rozumiecie, jako Niemiec, nasadził się na tamtych, bo Polacy, a jemu smakowała ich leśniczówka.

— Cholera, a co jedno ma z drugim wspólnego? — poderwał się Edek. — To na mnie musiałyby gadać, żem Chińczyk...

— Daj asan pokój z Chińczykiem! Ludziom aby tylko żertwę dać na jęzory. Puścili bajdę dalej, ba, zaczęli litować się, jaka to Wierzbikowa biedna, mąż zginął nie wiedzieć za co, ona sama morduje się z gospodarką, a przecież ma dwoje małych dzieci... Kłusownictwo, garbarnia, podpalenie, rozumiecie, to wszystko nic, mucha... Tak samo żałują Marcińskiej. Jak teraz wyszło na jaw, niejednemu sprzedawał on drzewo na boczku, szczególnie budulcowe. Niektórym żal źródła i pomstują.

— To pewnie ci Mazurzy z wioski, prawda?

Leśniczy spojrział na niego dużymi oczyma, zamigotały w nich iskierki gniewu. Sięgnął po papierosa.

— Mówiłem już, że u nich rzadko się znajdzie złodzieja... W Pizzu siacy i owacy kupowali, z nimi Marciński miał spółkę. Tam różne szwy pękają przy śledztwie... Dosyć, że z tego wszystkiego zrobiła się nagonka na biednego Michała. W Piaskach przez cały dzień pomstują baby, wyzywają, bywa, że doskoczy która i uderzy, chłopak nie wie, co robić, z babami tłukł się przecież nie będzie...

— Prawda — mruknęli.

— Otóż to. W Pizzu także dokuczy jeden i drugi: „Ty szwabie, niemiecka wywłoko”. Chłopaka to doprowadza do szału. Wiecie, jaki on wrażliwy. Dlatego tak spochmurniał, zamknął się w sobie.

— Jakież on szwab?

— Widzisz, Edek, zacznasz trochę rozumieć — wtrącił się Mietek, słysząc ten okrzyk przyjaciela.

— Czekajcie. Jest jeszcze i druga sprawa. Od czasu, jak zaczęła się akcja łączenia rodzin, matka i siostra przypuściły szturm na Michała. Co parę dni listy dostaje, paczki, ba, złoty zegarek niedawno przysłały, ledwie się zdobył na opłacenie cła. Nie chciał nosić, dał mi na przechowanie. Kuszą go, aby rzucił tu wszystko i przyjeżdżał do nich. Pracę zapewniają, mieszkanie. Może to się i zgadza, może nie, diabli tam dojdą. Dosyć, że te rzeczy niedobrze zbiegły się razem. Nic mi nie mówił, ale boję się, że chłopak zaczyna się wahać. Jeszcze gdy widzi, jak czasem prócz Niemców wyjeżdżają Mazurzy-Polacy.

— Z Pizza wyjechał ten Biedka, który wojnę przesiedział w niemieckim obozie za przynależność do Związku Polaków w Niemczech... Płakał wyjeżdżając. Ponura sprawa.

— Nie rozumiem, Polak, cierpiał za to, po cóż wyjeżdża?

— Czy ty, Edek, nie wiesz jeszcze, jak tu było poprzednio? Zaraz po wojnie, a i długo potem, łążyły bandy, byle szabrownik rabował, bywały mordy, władze też różne były. Potem bandytów uspokojono, poszli za kraty, ale stosunek do Mazurów nie był dobry. Rozżalili się więc do Polski, która była tak inna od tej, na którą czekali.

— Czekaj, czekaj — przerwał Mietkowi. — Ale teraz się poprawiło, jest inaczej...

— Jeszcze nie jest, dopiero zaczyna się zmieniać na lepsze. Od razu nie wskrzesisz w człowieku utraconej wiary.

— Tak to jest, tak — potakiwał leśniczy, uważnie śledząc tok Mietkowych wywodów.

— A że została jeszcze pewna ilość Niemców, ci, korzystając z okazji, też nastawiali odpowiednio nie zawsze w pełni świadomych wielu spraw Mazurów. Teraz, po wielu latach, zezwolono wreszcie wyjechać do rodzin swoich w Niemczech tym, co mają na to ochotę. Trzeba było to wcześniej zrobić, wielu nie siedziałyby u nas wbrew swojej woli, wyrzekając i pomstując przez cały czas... No, ale dzisiaj oprócz Niemców także i wielu Mazurów korzysta

z okazji wyjazdu. Ci przeważnie, co się zetknęli z największą krzywdą, albo u których poczucie polskości nie było silniej ugruntowane...

— No dobrze, a tacy, jak ten, jakże mówiłeś, ten z Pizsa?

— Biedka? To już chyba akt rozpaczny. Coś takiego musi dziać się z Michałem. Tatko chce, aby jakoś mu pomóc, doradzić, tylko ja nie bardzo wiem jak. Ciągłe jeszcze spotyka się uprzedzenia do Mazurów, posądza ich o niemieckość. Ty sam przecież też tak myślałeś początkowo, pókiś ich bliżej nie poznał przy wspólnej robocie, jak choćby Macurę, tamtą dziewczynę spod traktora, pamiętasz, czy naszego Michała.

— A czemu tak wielu z nich mówi po niemiecku. Mało, że starzy, ale dzieciaki, które chodzą przecież do polskich szkół?

— Daj asan pokój takim pytaniom. A jakby kto walił cię po łbie, krzycząc, żeś Niemiec, jakby kradł i rabował twoje dobro, pomstując, żeś hitlerowiec, to co byś robił? Właśnie na przekór i im, i sobie zacząłbyś zbliżać się do niemczyzny. Ba, kto wie, czy czasem nie tęsknić. Nie do niemczyzny w hitlerowskim mundurze, ale tej gospodarnej, porządnej, spokojnej. Tym bardziej że czas usuwałby wspomnienia szykan niemieckich, zostawiałby pamięć raczej dobrych stron... Przecież tych ludzi przez więcej jak dziesięć lat pchało się z powrotem w objęcia niemczyzny. Dziw, że jeszcze tak wielu nie poddało się temu. Jasne? — ostro, dosadnie uzupełnił leśniczy wywód swojego syna.

Edek przypomniał sobie słowa Trudy, którym jeszcze wtedy nie bardzo chciał wierzyć, uważał za jakieś naciąganie. Rzeczywistość jednak potwierdzała to wszystko, o czym słyszał, ba, co już zdążył zobaczyć. A teraz w dodatku Michał, takie pocziwe, z lekka przygarbione chłopisko, zawsze życzliwy, spokojny, z dobrodusznym wejrzeniem swoich dużych brązowych oczu... Czego cholery chcą od niego w leśniczówce?

— To co robić? — zapytał Mietek.

— Staram się, żeby jak najprędzej wyrwać go z Piasków. Niełatwa sprawa, bo nie ma ciągle leśniczego, który by odpowiadał dyrekcji w tym trudnym rewirze. No cóż, Paweł czyni starania, choć mu jeszcze prawie pół roku praktyki braknie. Trochę go popieram, ale niewiele mogę, bo mogłoby to komuś wydać się kumoterstwem.

— Pawełek? Ależ to byłoby cudnie — rozpromienił się Mietek.

— Poradziłbym, pomógłbym przecież... Nadleśniczy też chciałby go mieć. A dyrektor rejonu gładziutki teraz jak aksamit, po tamtych podejrzaniach wobec mnie, pamiętacie? W tych dniach zapadnie decyzja. Pawłowi też by się to przydało. Chłopiec zakochał się jak nieprzytomny. Przedtem na każdej zabawie cztery uwodził, taki był zapiewajło, a dziś tylko za tą ślepi oczyma. Niechby się żenił, mieliby gospodarstwo, lepiej by może szło niż Marysi z Janickim — rozgadał się leśniczy.

— No a Michał? Co wtedy?

— Mówiłem też o nim. Zlikwidowałyby się jego norę w Pizsu, zamieszkałby u nas. Byłby jak w rodzinie... Daleko od Piasków i Pizsa. Zresztą tej Wierzbikowej mają wypowiedzieć mieszkanie, ona sama zresztą chce się przenieść do brata. Z Marcińską rzecz się wyjaśni dopiero po rozprawie sądowej. Kłopot z tym, pojutrze znowu mam być u prokuratora na przesłuchaniu. Pewnie i was zawezwie. Tam podobno różne sprawy wylazły...

— Ale to wszystko jeszcze potrwa. A mówiłeś, tatko, że Michał już się przepytywał kogoś o wyjazd, jak to wygląda, jakie formalności...

— Tak mi bąkano, nic pewnego.

— Dureń ten Michał, jeżeli chce wyjeżdżać.

— Daj asan pokój, biedny, a nie dureń! Pamiętam, jak wyjeżdżały jego matka i siostra. Małoletni był jeszcze, nie miał nic do gadania. To do lasu uciekł, tydzień cały o głodzie się błąkał, aż wyjechały bez niego. Gdy go milicja złapała, to płakał na posterunku, że chce tu zostać, że ojciec mu kazał, że on tylko w Polsce. I został. Wiele trzeba przeżyć, żeby się potem zawahać po takim wyborze. Wy postarajcie się go jakoś rozruszać, pogadajcie, zabawcie,

bo ja wiem co. Niechby się czuł tutaj najlepiej.

— Czemu on dziś nie przyszedł?

— Nie wiem, roboty nie ma teraz za wiele. U nich tam w Piaskach mało szkółek, a z tym największa mordęga. Miał być, coś mu widać strzeliło do głowy. Pewnie do kina się wybrał.

— Nie, tato, tajemnica gdzie indziej. Jezioro z tamtej strony bardzo wylało, nie tylko na łąki, ale i na młodziak. Rowerem się nie dostanie do nas, a piechotą narzekał wczoraj, że kawał drogi.

— Może być — zgodził się leśniczy i wymownie spojrzął na jakieś kwitariusze rozłożone na biurku.

— Nie jesteśmy już potrzebni — zaśmiał się Mietek. — Chodź, Edek, do mnie, zagramy w coś, wcześniej jeszcze. O, ktoś przyjechał, może Michał?

Słychać było, jak ktoś zeskakiwał pod domem z roweru i stawiał go przy ścianie. Zadudniły kroki. W progu stanął, cały zabłocony, jeden z robotników leśnych zamieszkałych w osadzie przy nadleśnictwie.

— Panie leśniczy, ja od pana Dziadonia, co to kazał powiedzieć, że telefon był z Pizsa. Ten mały Kłos, przywieźli go do szpitala, raniony, nie wiadomo kto, znaleźli go chłopcy z wioski za wodą, jak wracali wozami z Pizsa.

— Co ty gadasz, chłopie? Michał raniony? Strzelali do niego, kto? — Pan Gasiniec poskoczył do posłańca, szarpał go za ramię.

— Toż ja nic nie wiem — bronił się. — Tyle tylko nadleśniczy kazał powiedzieć. I to jeszcze, żeby pan do niego zajechał.

— Teraz?

— A to ja już nie wiem. Do widzenia.

— Słuchajcie, rowerem przejechaliście? — wstrzymał go Mietek.

— Rower prowadziłem, kto tam przebrnie przez takie błoto...

— Daj asan pokój, my o tym chłopcu, a on w tym samym czasie raniony, nie wiadomo, może dogorywa, bo inaczej byłaby jakaś informacja, kto to zrobił i czemu. Mietek, pędź do konia, zaprzęgamy i jedziemy. Inaczej nie poradzi. Żeby nie roztopy, można by WFM-ką. Czasem niedobrze w takiej głuszy...

— Gdzie diabeł mówi dobranoc — przypomniało się Edkowi powiedzenie Wery.

— Co, jak? Aha, gdzie diabeł mówi dobranoc? Prawda, że to diabelski ką. Nic, tylko po łbach się piorą, kradną, strzelają jedni do drugich, wyzywają... Jedziesz z nami? — Rozglądał się już za kurtką i czapką.

— Oczywiście. — Edek zadudnił nogami.

Miejscami tylko mógł koń rwać kłusem, przeważnie drobił powoli rozmiękłą drogą, pełną szerokich kałuż, skrytych teraz gęstą mgielną powłoką. Z lasu ciągnął ostry zapach zbutwiałych liści. Miejscami było zupełnie ciemno, tam, gdzie drzewa tunelem zamykały się nad drogą. Przyświecali sobie latarkami, bojąc się złamania osi.

— W tym roku muszą mi już dać wreszcie ze sto wozów żuźla, podobnie jak wysypali od szosy do nadleśnictwa, bo zatoniemy przy jakiejś okazji — kłął pan Gasiniec.

— Kto go mógł tak urządzić? Ja już nie będę czekał na żadne prawo. To potem zawsze się rozchodzi po kościach. Niech tylko się dowiem, pójdę i tak boki poprzetrącam, że się długo będą musieli zbierać, łobuzy...

— Kto, ja też w głowę zachodzę. — Mietek był bardziej systematyczny. Mówił z namysłem. — Znaleźli go podobno między wioską a Piszem, zatem w pobliżu Piasków. To na pewno wiąże się z leśnicówką i ze sprawą Marcińskiego... Że też nie może już być końca całej aferze.

— Takie rzeczy długo się ciągną. — Edek przypominał swą praktykę z chuligańskich środowisk Olsztyna.

Wreszcie dotarli do drogi do nadleśnictwa, wysypanej twardo ubitym żużlem. Pan Dzia-  
doń, uwiadomiony przez posłańca, czekał już na nich gotów do drogi.

— Jedźmy, po drodze opowiem szczegóły. Mój motocykl nawalił, mam kłopot — spoj-  
rzył na Edka. — Może by kolega przy okazji zobaczył, bo w warsztacie to oni będą tydzień  
się grzebać.

— Bardzo chętnie.

Pomyślał zarazem, że szkoda wielka, iż nie ma Wery. Miałby okazję widywania dzie-  
wczyny. Słuchał opowieści nadleśniczego.

— W ogóle co tu u nas się dzieje! Zagubiony ką, ludzi mało, ale różnych awantur nie  
zliczysz... Mało co wiem właściwie. Telefon otrzymałem, niedawno, mroczniało już... Dzwoni-  
ła komenda milicji. Prosiła, żeby przyjechać, wyjaśnić. Powiedziano mi tyle, że zajście mia-  
ło miejsce już blisko trzeciej, tak wynika z relacji Kłosa.

— To znaczy jest przytomny?

— Nie od razu go docucili... Podobno złapał brata Wierzbikowej na jakiejś kradzieży.  
On od pewnego czasu przyjeżdża i przewozi do siebie jej dobytek. Mieszka gdzieś koło Białej  
Piskiej. Wynikł spór i wtedy wszyscy skoczyli na chłopaka. Pobity, zaczął uciekać, dobrnął  
do szosy, tam stracił przytomność...

— Cholera, ja ich... — zaczął Edek.

— Zaraz, chłopcze, chwileczkę... Milicja tam była, wrócili z niczym. Tamci zgodnie  
zeznają, że Michał napadł na Wierzbikową, gdy mu coś przygadała... Stanęli wtedy w obronie  
kobiety...

— To ci hycle! Napadł na Wierzbikową! Michał!

— Daj asan pokój, daj asan pokój — pomrukiwał rozeźlony leśniczy.

— Nie wiecie się nam w tym roku, panie Gasiniec, prawda?

— Nie wiecie, oj, nie wiecie!

Bryczka toczyła się szybko po asfaltowej nawierzchni, na którą wjechali przed chwilą.

— Żona mi trochę choruje, też kłopot, a tu jeszcze córka pisze, że przedłużyli im kurs o  
cały tydzień...

— To panna Wera tak długo nie wróci? — wyrwał się Edek.

— Ano, dopiero po piętnastym kwietnia. Jeszcze ponad dwa tygodnie. Nic, niech się  
uczy, przyda się to dziewczynie...

— No pewnie — zabąkał ponuro.

Umilkli wszyscy, odzywali się rzadko i półgębkiem. Na dobitkę zaczął od nowa mżyć  
deszcz; nastawiali kołnierze kurtek, kulili się przed nocnym chłodem.

— Butkiewicz dostanie pewnie nominację na leśnictwo. Ta sprawa przyśpieszy decyzję,  
bo jakże pan inaczej poradzi z drugim rewirem — rzekł nagle Dziadoń.

Edek zmartwił się. Jakiś Butkiewicz, więc jednak nie Paweł, szkoda. Powiedział to  
głośno.

Tamci uśmiechnęli się.

— Ty, głupi, przecież Paweł nazywa się Butkiewicz — szturchnął go Mietek.

— Nie wiedziałem...

— No, już Pisz, ładnie ciągnie chabeta — z uznaniem cmoknął leśniczy na swoją  
szkapinę.

Nadleśniczy wysiadł przy rynku, udając się na posterunek.

— Zajrzę potem do dyrektora zespołu i będę czekał was przy gospodzie...

W szpitalu lekarz dyżurny nie chciał się początkowo zgodzić na tak liczne odwiedziny  
chorego. Tym bardziej że było to już po godzinach normalnego urzędowania.

— Bo to jednak chłopak jest po silnym wstrząsie od uderzenia. Szczęściem miał zwy-  
czaj noszenia listów pod podszewką czapki. Dlatego uderzenie orczykiem ograniczyło się w  
skutkach do rany ciętej i uniknęliśmy pęknięcia czaszki. Trzeba było zszywać. Podobnie na

prawym ramieniu... Solidnie oberwał.

Zgodził się jednak w końcu, zaznaczając, że wizyta musi być bardzo krótka.

W małym pokoju stały tylko trzy łóżka. Na pierwszym leżał Michał. Nie poznali go w pierwszej chwili, miał obandażowaną całą głowę i ramię. Tylko wyraz oczu pozostał bez zmiany.

— Daj asan pokój, kto to widział — burczał wzruszony leśniczy. Bardzo lubił Michała.

— Miałem wracać do Sumów, zajrzałem tam na odchodnym, pakowali na wóz sprzęt z magazynu. Chciałem przeszkodzić, wtedy on chwycił orczyk i skoczył do mnie...

Mietek gładził go po zdrowej dłoni, uspokajał łagodnie.

— Zuch jesteś, Michał. Ale teraz spokojnie, nie przejmuj się niczym. Trochę poleżysz i wrócisz do nas.

Twarz chorego ściągnęła się grymasem. Stojący obok lekarz spojrział niespokojnie. Ale to nie ból fizyczny skrzywił twarz młodego Mazura.

— Baby mu pomagały, Marcińska rzucała kamieniami, krzyczała, żeby zabić tego parszywego hitlerowca — urwał, potem dodał wyjaśniająco: — To niby mnie...

Spojrzeli wszyscy po sobie. O tych właśnie sprawach mówili przed paru godzinami.

— Daj asan pokój! Tylko złodzieje tak gadają, a nie żaden porządny człowiek. Masz sobie czym głowę zawracać.

— No pewnie, przecież każdy cię dobrze zna, wie, kim jesteś — dodał Edek.

Brązowe, duże oczy spojrzały na niego pytająco.

— A ty sam też nie chciałeś wierzyć, pamiętasz?...

— To było dawno, teraz już wiem dobrze, jak to jest z Mazurami — pośpieszył Edek i zrobiło mu się bardzo przykro, że i do niego nie nabrał Michał pełnego zaufania. No tak, ale przecież posprzeczaali się nawet wtedy...

Chory przymknął oczy, wyglądał na zmęczonego. Lekarz dał znak, że trzeba go zostawić samego.

— Bywaj, Michał, jutro podrzucimy ci coś dobrego z jedzenia — ciepło, serdecznie uśmiechał się do niego pan Gasiniec.

— Górą nasza — Mietek dodawał otuchy.

Uśmiechnął się znowu łagodnie, dobrotliwie.

— Cholera, ja bym tego draba! — Edek zaciskał pięści.

— Spokój, spokój, na wszystko przyjdzie czas — uspokajał go leśniczy.

Nadleśniczy już czekał na nich. Zarzucili go pytaniami.

— W milicji nic ciekawego. Trzy osoby przeczą świadectwu jednej. Kradzieży wyparli się tamci zupełnie. Zostaje sprawa o pobicie, do kolegium orzekającego, a i to wynik niepewny...

— Kolegium, psiakość — kłął Edek, który znał tę instytucję także z własnych, nawet już i piskich doświadczeń, i wiedział, jak wszyscy lekceważą sobie drobne kary, przez kolegium wymierzane.

— Druga sprawa wygląda lepiej — podjął znów Dziadoń. — W tych dniach wyjdzie z dyrekcji rejonu wniosek o nominację Butkiewicza na leśnictwo w Piaskach. Okręg w Olsztynie na pewno zatwierdzi...

— Daj asan pokój, to dobra nowina. A długo potrwa cała ta procedura?

— No, z parę tygodni...

— Biurokracja piekielna — zaklął powściągliwy zazwyczaj Mietek.

Edek przysiadł się na przednie siedzenie do powożącego kolegi. Szeptali długo, z przejęciem. Edek lansował projekt, by jeszcze tej nocy w tajemnicy przed wszystkimi wybrać się do Piasków i tam zniemacka sprać głębiej bratu Wierzbikowej.

— Ani się nawet dowiedzą kto, a facet będzie ostrożniejszy na przyszłość — mruczał zachęcająco.

Mietek wahał się. Nie wydawało mu się to w tej chwili nazbyt rozsądne.

— Słyszycie?

Nadleśniczy potrząsnął ramieniem woźnicy, aby stanął. Mżawa, noc spokojna była, bezwietrzna.

Z lasu dobiegał głośny, przenikliwy gwizd ptasi. Było w nim coś z tęsknoty, był jakiś zew i zarazem przemożna, wielka moc życia.

— Sóweczka. Kilka ich gnieździ się tutaj. Drobne to, rozmiarów gila, ale żarłoczne i silne. Łapie ptaki równe sobie wielkością, myszy, nawet maleńkie zajaczki. Zawsze tak świszczycie wieczorem.

Słuchali jeszcze czas jakiś leśnych odgłosów. Jakieś ciche poszepty, cykania, głuchy gardlany poszum niosły się spośród starych drzew.

— Wiosna — mruknął nadleśniczy.

Edek przeciągnął się, zapomniał teraz o Michale, o wszystkich sprawach wiążących się z Sumami, z Piszem i Piaskami. Pomyślał o sobie, czując, że i jego ogarnia wiosenne, leniwe znużenie.

Westchnął.

## 20. WIOSENNE AMORY

Siedzieli w ciemnej sali mocno przytuleni do siebie. Spoglądał na profil majaczący obok, jakby zamglony w półmroku. Spotykał wtedy jej wejrzenie, dostrzegał, jak drga nos dziewczyny, a pełne wargi rozchylają się w nieświadomym oczekiwaniu. Poznał ich żarłoczność przed dwoma dniami. Mało która umie tak całować jak ta czarnula z łyskającymi oczyma...

Film znał jeszcze z Olsztyna. Ale to mu nie przeszkadzało. Lekka komedia francuska miała uroczy wiosenny smaczek, może dlatego wszystkie pary na sali tuliły się do siebie. Aktorka miała usta podobne do ust siedzącej przy nim dziewczyny.

Przeciągnął się w ramionach jak kot. Zawsze wiosną odczuwał powrót sił żywotnych. A tutaj, w Sumach, tym bardziej. Może sprawiał to inny tryb życia, praca, mniej wódki, mniej przygód z dziewczętami i przehulanych nocy. W kwietniowe, zasnute mgłą noce czuł się silniejszy i bardziej spragniony. Dobrze, że się tak spotkali niespodziewanie. Wiedział, że to nie koniec, że wszystko się dopiero zaczyna. Czas przecież jest taki. A z dziewczyny przylepka. Choćby i teraz, przylgnęła do niego ramieniem i całym bokiem; napiera, jakby brakło jej miejsca.

Myślał jednak o niej z uznaniem. Pochlebiało to jego męskiej ambicji. Ale teraz lepiej oglądać film, dobry jest, wszystko ma swój czas...

Na ekranie dojrzywała scena pocałunku. Para bohaterów w zbliżeniu spoglądała na siebie szeroko rozwartymi oczyma. Przez salę przebiegły gorące westchnienia.

Przypomniał sobie tamte chwile sprzed dwóch dni.

Wracali wolno rowerami, dobrze wyszutrowaną drogą. Drobiny żwiru pryskały spod kół, uderzały lekkim dźwiękiem o szprychy. Noc była ciepła, przesycona wilgocią, bezwietrzna. Zgrzali się, zawsze to parę kilometrów. Spośród drzew dobiegały ciche odgłosy leśnego życia, zagwizdał ptak, dziwnym śmiechem zaniosła się sowa, przed światelka rowerów wyskoczył młody zajac, ogłupiały ścigał się z nimi przez chwilę, wreszcie zagubił się w rowie.

Ciemno było, księżyc wschodził późno, młody jeszcze i jakby niezaradny. Oparli rowery o pień sosny przydrożnej, ujął ją za ręce.

— Cieszę się, żeśmy się spotkali. Bardzo byłem samotny ostatnio.

Czuł wilgotne ciepło jej rąk; zadrzały lekko.

Nie odpowiedziała, zaśmiała się cicho, drażniąco. Wtedy ogarnął ją silnie ramieniem. Przytuliła głową do jego piersi, czuł zapach jej włosów, fale ciepła przebiegały przez ciało. Łagodnie, czule podniósł do góry bródkę dziewczyny. Zobaczył fosforyzujące oczy, wielkie, o rozszerzonych źrenicach, i drzenie oczekujących warg. Spokojnie, jakby już z góry delektując się ich smakiem, zanurzył się w nich gorąco, z tajoną namiętnością ostatnich paru miesięcy.

Umiała całować! Aż tchu brakło, aż w oczach wirowało, aż się nogi ślaniały.

Potem wpatrywali się w swoje twarze, pochłaniali spojrzeniami. Gładził jej długie loki, związane tasiemką w modny koński ogon. Pamiętał, zauważył wtedy, że brunetki mają włosy mocniejsze, grubsze, bardziej jakby zmysłowe, gdy blondyny znów delikatne, puchem owijające się wokół dłoni, zwiewne jak mgła.

Na brzegu lasu bieliły się szczapy opałówki, starannie ułożonej w metry. Rozrzucił stos, wybrał okrągłaki, przysiedli na nich. Znad łąk niósł się śpiew słowika. Nieznane ptaki pogwizdywały namiętnie z krzewów. Nie było wiatru, a przecie las nie ustawał w gorącym, namiętnym poszumie.

Tulił dziewczynę mocno do siebie. Oddychała ciężko, widział, jak się mrużyły jej oczy i tylko ze szparek wypływało gorące spojrzenie.

Przestał panować nad sobą. Ruchy jego stały się gwałtowniejsze.

— Zocha.

I wtedy łagodnie, czule odsunęła jego ramiona, zajrzała w oczy, krótkim pocałunkiem przebiegła po spieczonych wargach i szybko podniosła się z miejsca. Odruchowo otrzepała spódniczkę, poprawiła sweter, uśmiechnęła się jakby przepraszająco.

— Ty łobuzie.

— Zocha — powiedział znowu, wstając niechętnie.

— Późno, już po drugiej, patrz, ile czasu tu przesiedzieliśmy.

Gdy ujęła kierownicę swego roweru, chciał towarzyszyć jej nadal, ale zaoponowała.

— Po co? Patrz, pierwsze domy tuż, tuż... Spotkamy się pojutrze w Piszcu, tak samo jak dziś, dobrze? — i zaraz dodała innym już tonem, jakby w przekorze czy kpinie, z niego czy z nich obojga, nie wiedział. — Będzie zmiana programu w kinie... Jesteś śliczny chłopiec — rzuciła jeszcze całując go na pożegnanie, jakby w chęci złagodzenia zawodu.

Długo stał patrząc za ginącym światłem roweru, słuchał podnoszącego się gwałtu wioskowych psów, potem wskoczył na siodło, nacisnął pedał. Do domu miał kawał drogi.

Nie śpiesząc tłukł się przez kocie łby Pizsa. Miasteczko już spało.

Zetknęli się najzupełniej niespodziewanie. Zawracał z tartaku po którejś już turze, zmęczony, zgrzany słońcem. I wtedy zobaczył Zochę wychodzącą ze sklepu pod idiotyczną nazwą: artykułów użytku kulturalnego. Stała, z uśmiechem wyciągnęła dłoń, chwiał się jej czarny koński ogon, przewiązany bordo tasiemką.

— Ładnie to, żaden z was nie zajrzy nawet do naszej wioski. Niewdzięczni jesteście...

— Kulczyka nie ma, siedzi murem w Warszawie.

Skrzywiła się lekko.

— Miły chłopiec. Ale skoro go nie ma, to i temat nieaktualny. Co z panem, panie Edziu?

Spoglądała na niego wyzywająco. W lekkiej sukience, w narzuconym tylko na ramiona sweterku wyglądała bardzo ponętnie. Musnął okiem kształtną linię jej nóg.

— Pracuję na tym gracie. A u pani co słyhać? — i aż zawstydził się swego zdawkowego pytania.

— Pracuję. Cóż pan z tej wysokości tak patrzy się na mnie. No już, hop na ziemię — zaśmiała się podając rękę.

Jakby go coś żgnęło prądem przy dotyku lekko wilgotnej, ciepłej dłoni dziewczyny. Inaczej już popłynęła rozmowa. Umówili się na wieczór, musiał tylko obiecać, że ją odholuje



rowerem do domu, bo sama boi się jeździć nocami...

I tak się zaczęło. Wiedział, że to nie koniec. Dziewczyna była zbyt gorąca, on spragniony, wiosna piękna; pojutrze spotkają się znowu.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła trzecia. Przed czwartą się nie położy, trudno będzie jutro z robotą. Nic, zdrzemnie się w czasie przerwy obiadowej.

Skręcił z szosy na lewo. Zaraz tu będzie szła w bok odnoga do nadleśnictwa. Tam stawał teraz na noc swego „Zetora”, roztopy tak zmiękczyły dalszą drogę do Sumów, że motor grzęznął po osie.

Wspomniał Werę. Zasiedziała się w tym Olsztynie. Jeszcze jakieś dziesięć dni. Szkoła... A właściwie to może nie. Kto wie, czy skleiłby się wtedy tak ciekawie zaczęty romansik z Zochą. Przy Werze nie ciągnęło go do innych dziewcząt. I w ogóle do niej podchodził w zupełnie inny sposób. Z jakimś szacunkiem, bez flirciarskich podskoków...

Wera, z chochlikami w oczach, zjadliwa, dowcipna. I taka zarazem poważna, tak bardzo na serio. Potrząśnie głową, zaśmieje się krótko, zawsze postawi na swoim.

Przyszło mu na myśl, czy tym, co rysuje się za spotkaniami z Zochą, nie krzywdzi w jakiś sposób Wery. Aż zdumiał się własnymi wątpliwościami. Nigdy jeszcze nie pomyślał o czymś podobnym. Zdziwaczał w tych Sumach.

Ale myśl ta prześladowała go uparcie. Próżno tłumaczył sobie, że przecież niczego Werze nie ślubował. Tak naprawdę, to nawet bardzo mało się znają. Ciagle coś stawało pomiędzy nimi. Boczyła się, miała o coś pretensje, on też miał pecha, zawsze musiał zrobić jej jakąś przykrość. A mimo to coś innego niż z dotychczas spotkanymi dziewczętami, niż z tą czarną Zochą chociażby, łączyło go z córką nadleśniczego. Dowód najlepszy i w tym, że nawiązują go teraz dziwne skrupuły.

Et! Zakręcił mocniej pedałami. Ostatecznie może się nie spotkać z tą nauczycielką. A dotąd nic się nie stało. Te parę pocałunków, to się nie liczy. Nie pojedzie pojutrze wieczorem do Pizy i tyle...

Myśląc tak, wiedział jednocześnie, że na pewno pojedzie, że spotka się z Zochą, że znów będą się całowali.

Zeskoczył. Już był na miejscu.

Kładąc się do łóżka, jeszcze chaotycznie przeskakiwał myślą z tematu na temat, widział podniecone oczy czarnej Zochy, kulił się wewnętrznie pod ostrym spojrzeniem Wery.

Harował nieprzytomnie przez następne dwa dni. Ciepłe były, pełne słońca, nasiąkłe ożywczą wilgocią, pijane pąkami i kwieciami, rozkrzyczane ptasią czeredą. Właściwie nie było teraz potrzeby takiego podganiania roboty. Najgorętszy okres już się zakończył. Od paru dni rzekami ruszyły pierwsze spławy, dłużycy wiązane w tratwy wodą podpływały pod tartak na kłocowisko. Traki zgrzytały, nie mogąc podołać z nadmiarem drewna do przetarcia.

Na szlaku Pisz—Sumy pozostał już tylko „Zetor”. Pozostałe traktory skierowano do innych prac. Leśniczy obliczał, że dłużyc wystarczy dla Edka co najmniej na miesiąc, nawet przy jego tempie wywózki.

A mimo to ganiał teraz, wydobywając ostatnie siły z rozgrzanej maszyny. Od wielu miesięcy nie tulił do siebie żadnej dziewczyny, trudno bowiem poważnie traktować pocałunki na zabawie w strażackiej remizie. Dopiero wieczór z Zochą wyzwolił w nim przygłuszone tęsknoty i pragnienia. Nieustannie czuł smak jej ust na swoich wargach i dygotał na wspomnienie gładkich ramion, tulących go mocno do siebie...

I oto znowu od paru godzin są z sobą. W ciemnej sali kina czuje obok jej oddech.

Od chwili gdy ujrzał ją roześmianą, oblekającą go czułym spojrzeniem, uspokoił się. Minęło podniecenie poprzednich dni. Może oglądać film, przeżywać rozwijającą się akcję. Ma satysfakcję, że dziewczyna obok jest tylko dla niego, że jak i on czeka chwili, kiedy znów będą sami.

Miał świadomość nieuchronności spełnienia swych pragnień i oczekiwań minionych

dni. Jej pragnienia wybiegały mu naprzeciw, wiedział o tym dobrze. Właściwie nie było już podniecenia płynącego z niewiadomej dalszego rozwoju ich znajomości. Wszystko było z góry wiadome, a przecież urocze. Uczuł sięgającą do jego ręki dłoń Zocha. Wilgotna była. Ucisnął mocno jej długie palce. Spojrzała, w półmroku sali oczy jej rozjarzyły się silnie.

— Patrz na film — szepnął uśmiechając się.

Dziwił się, dlaczego Zocha tak śpieszy tym razem. Ostatnio wlekli się koło za kołem, przystawali, starali się, aby droga przewlekła się jak najdłużej.

— Zocha — zawołał w pewnej chwili.

Przystanąła. Ucałował ją. Blaski reflektorków przenikały ciemności puszczy, rozgrzanej i parującej. Nisko nad ziemią, potrącane łagodnym wiatrem, niosły się zwiewne mgiełki. „Tutaj zawsze są mgły”, pomyślał.

— Jedźmy już.

— Gdzie ci tak śpieszno?

— Nigdzie... odwrotnie, chcę jak najdłużej być z tobą. — Odgarnęła mu włosy z czoła, zajrzała w oczy. W półmroku twarz jej odbijała od cienia białą, fosforyzującą plamą.

Teraz wolniutko kręcili już pedałami. Zdumiał się, mijając rozrzucone sagi drzewa, ale nie powiedział nic. Uważał, że tak będzie najlepiej.

Psy zerwały się z ujadaniem, gdy jechali przez wioskę. Zatrzymali się przed szkołą. Okna wyglądały ponurą czernią.

Spojrzała na niego dziwnie i jakby w zawstydzeniu szepnęła:

— Edek...

Przysiedli na progu. Całowali się długo, długo. Psy w okolicznych chatach zmęczyły się ujadaniem, przekonane o dobrze wypełnionym obowiązku.

Rzeński chłód kwietniowej nocy, sączący się oparami z pobliskiej rzeczki i złączonych nią jezior, docierał przed szkolny budynek. Trzymając dziewczynę w objęciach, zajrzał w ciemne w półmroku oczy. Wyczytał w nich to samo pożądanie, które ośwładnęło go całą siłą.

— Zocha — szepnął, a było w tym i pytanie, i wyrzut zarazem.

Podniosła się i bez słowa otworzyła drzwi sionki. Szedł za nią, wytarte stopnie poskrzypywały. Przypomniawszy sobie podobne wędrówki olsztyńskie. I nagle drgnął, mocno uchwycił ramię idącej przed nim dziewczyny.

— A Truda?

Zaśmiała się półgłosem. W śmiechu tym było wiele obietnicy.

Zazgrzytał klucz w drzwiach. Pchnięte silnie otworzyły się szeroko. Jeszcze się zatrzymał na moment. Więc ma się skończyć to wszystko rozmówką we trójkę, jakąś cienką herbatą? Złość go ogarnęła na dziewczynę, że tak go wykołowała.

— No chodź już, bo zimno ciągnie od schodów...

Przez niewielkie okienko salki wpadało do pokoiku niebieskawe światło jasnej, rozgwieźdzonej nocy. Nie usłyszał obcego oddechu. Zamigotała zapałka, zaraz rozpełzł się żółtymi błyskami knot naftówki, gasząc urok płynących zza okna nocnych światel.

Trudy nie było. W ogóle nie mieszkała już tutaj. Pokoik był umeblowany inaczej niż wtedy, gdy był tu z Mietkiem i wniebowziętym Klemem. Tak się biedak cieszył, że dziewczyna zna jego wiersze. A tymczasem ona teraz...

Stała przed nim, uśmiechnięta, zachwycona i tym, że są razem i psikusiem, jaki uczyniła, aby powiększyć ich radość. Ale i jakby cień zawstyżenia malował się na jej twarzy, odbijał od ciemnych włosów mocnym rumieńcem policzków. Przytuliła głowę do jego piersi. Utulił ją, całował te włosy, związane w koński ogon, niezgrabnie rozwiązał przytrzymującą je tasiemkę. Rozsypały się szeroko. Zocha wydała mu się jeszcze ładniejsza.

Ale i w nim było ledwie wyczuwalne skrępowanie. Z pewną ulgą przyjął zapytanie, czy nie napije się kawy.

Przysiadł na tapczanie. Od pieca, na którego kaflach widniały jakieś koślawe malunki,

biło ciepło. Z boku szczykała pompka prymusa. Poszedł, przeczytał napis na jednym z kafli: Szczęść Boże.

— To stare kafle mazurskie — wyjaśniła.

Kolorowy był ten pokój, choć biedny. Kretoniki, tanie ozdobne materie stwarzały urok przytulności i ciepła. Przypomniawszy ponure wnętrza pokoju w Sumach. Westchnął.

Prawie zapomniał już smaku kawy. W Sumach jej nie pijano, w Pieszku raz zamówił, ale obrzydliwej lury nawet nie dopił. Siedzieli bliźniutko siebie. Edek poczuł, że jest mu teraz bardzo dobrze, myślał, jak mało ciepła zaznał w życiu, jak mało domu, spokojnej atmosfery, takiej właśnie kawy przyrządzonej dłońmi ładnej dziewczyny, miłej i nie wulgarnej, innej od większości tych, które dotąd znał bliżej. Przez moment jakby się uzależnił nad swoim losem. Zauważyła zmianę jego nastroju.

— Co ci?

— Ech, nic, wspominki. Pocałuj, Zocha — poprosił leniwie.

Ujęła jego głowę w ramiona. Oczy jej rozjarzyły się nagle, tak jak w kinie, jak przed chwilą na schodkach, ramiona zadrgały. Przyciągała go gwałtownie. Przymknęła powieki...

Mało mówili ze sobą tej nocy. Po co zresztą potrzebne były słowa, gdy młodzi leżeli obok siebie w kwietniową noc, płynąca do nich tajemniczymi pogłosami zza uchylonego okna, gdy oboje wciąż byli sobie spragnieni, a wiosna grała w nich wzburzoną, gorącą krwią.

Wydało mu się, że jeszcze jest bardzo wcześnie, gdy dziewczyna szepnęła z żalem:

— Czas, żebyś jechał. Nie możesz tu być do dnia. Pamiętaj, to mała wioska. I z Trudą byłoby mi jeszcze trudniej, a to dobra dziewczyna, tylko że wielu spraw nie umie zrozumieć...

— Do świtu daleko.

— Nie, musisz. Ale przecież spotkamy się znowu. Często będziemy się spotykali, prawda, Edek?

— O tak — powiedział z przekonaniem.

Przejął go ostry chłód poranka. Gdzieś za lasami puszczy zaraz zabłysną światła brzasku. W innym nastroju wracał dzisiaj do domu. Nie czuł już żadnych skrupułów, żadnych wyrzutów, przejeżdżając obok nadleśnictwa, zupełnie obojętnie pomyślał o Werze. Trudno, życie jest silniejsze, on nie zwykł żyć w pustelni, jeszcze gdy Ignie do niego tak urocza dziewczyna jak ta czarna.

— Zocha, Zocha — szeptał pedałując zawzięcie, a cichy poszum opon zdawał się wtórować tej jego miłosnej pieśni.

Tym razem nie udało mu się wśliznąć cichutko do leśniczówki. Przed domem dostrzegł w mroku sylwetkę pana Gasińca. Leśniczy jak zawsze wstawał wcześnie, wychodząc na tokowisko. Nie mógł się nacieszyć leśnym ptaków kochaniem.

Edek poczuł się trochę głupio. W końcu miał prawo postępować, jak chciał, ale zawsze... Nie wiadomo, jak leśniczy zareaguje.

On był jednak wyrozumiały. Uśmiechnął się do chłopca z lekką ironią.

— Daj asan pokój, cóż to, bomblujesz z wiosną? Ano, taki czas... Idziesz spać czy przejdiesz się z nami na tokowisko?

Zgrzytnęły drzwi. To Mietek śpieszył do ojca. I wtedy pan Gasiniec szepnął jeszcze do Edka:

— Tylko nie rozpowiadaj za wiele mojemu chłopcu. Niech każdy zna własny swój czas...

Edek uśmiechnął się myśląc, że nawet liberalizm leśniczego maleje, gdy myśli o własnym synu. Czy go zresztą zna dobrze? Bo Mietek, witając się z przyjacielem, mrugnął do niego porozumiewawczo.

— Chodźmy, chodźmy, bo rozjaśni się i będzie za późno — poganiał ich leśniczy.

— Zdążymy, tokowisko bliskie.

— Już ty tam wiesz lepiej, akurat!

Edek dogonił ich koło pierwszych zagajników. Musiał przecież wciągnąć długie gumowe buty, w lesie bowiem było w tym roku szczególnie mokro.

Szli szybkim krokiem. Upatrzone tokowisko mieściło się na podmokłej polanie u wygięcia sporej zatoki. Zbity starodrzew z gęstym podszyciem dawał schronienie ptasim godom.

Leśniczy niechętnie spoglądał na niebo. Gwiazdy powoli przygasały, blakły, mrok przereźdzał się. Ale w lesie było jeszcze zupełnie ciemno, musieli pomagać sobie latarkami. Od polany dzielił ich już krótki odcinek, ale przebrnięcie go o tej wiosennej porze było nie lada wyczynem. Edek, zmęczony przeżyciami nocy, potykał się o karczce skryte pod suszem i badyłami wyschłych bylin, plątał się w rozgałęzionych korzeniach, omal nie grzmotnął się do zalanego wodą wykrotu. Mietek ślizgał się w gumowych butach po grubej warstwie miękkiej, siąpiącej wodą próchnicy.

— No już — ledwie słyszalnym szeptem tchnął w ich stronę leśniczy.

Kładąc palce na ustach, podkradali się do ukrytej pod wielkim dębem przesłony, czegoś w rodzaju budki. Uśmiechnął się. Zdążyli na czas. Ale była to już ostatnia chwila. Las i niedalekie wody ożywały. Przedświt. Nad ziemią niosła się lekka, zwiewna mgła. Kontury pękatych jałowców stawały się wyraźniejsze. Z oddali przeciągle i jednostajnie buczał bąk. Ostрым głosem ozwał się gdzieś bekas-kszyk.

Mietek uściskał nagle dłoń przyjaciela. Przez szary, zamglony półmrok przebiegł mocny poświst skrzydeł i na środek polany opadł duży ptak. Niewyraźnie majaczył ciemną plamą. Chwilę siedział spokojnie, bez ruchu. Potem raz i drugi rozdarł się stłumionym, chrapliwym pokrzykiem. I znowu zastygł w milczeniu. Żywiczna woń świerkowych gałęzi spłynęła na budkę, dodając dziwnego uroku tej chwili.

Ciemna plama koguta poruszała się, okręcił się, błysnęły na tle czerni białe opaski na skrzydłach. A potem napuszył się, ogon rozwinął wachlarzem, skrzydła rozpląszczył, końcami przyginając je ku ziemi, i rzucił w puszcę niskie, gardłowe wezwanie, charkotliwą pieśń miłosnego podniecenia.

— Czuf-fyy, czuuuf-fyy.

I znowu. Dziwne tony w tym wołaniu niosącym się daleko, daleko, w mglisty, bezwietrzny brzask nadciągającego dnia. Edek zapomniał o zmarzniętych w gumowym obuwiu nogach, o zmęczeniu i niewyspaniu. Pierwszy raz zetknął się z czymś podobnym. Kogut-przodownik tokowiska aż chrypiał w zewie najwyższego upojenia, aż zachłystywał się bełkotem pożądania.

— Czuf-fyy, czuuuf-fyyy! Szuuussz-szyy.

Z innej strony odezwał się podobny, chrapliwy okrzyk, jakby piał dorzynany domowy kogut. Zaszumiąło i na świerkowej, wysokiej gałęzi rozsiadły się dwa ptaki. Mietek wymownym znakiem objaśnił Edka, że to samice przybyły na widowisko. Było ich więcej, widocznie nocowały przy polanie, bo ożywiło się i na innych drzewach.

Kogut przycichł, jakby zdumiony, że nie znajduje odpowiedzi na swe wyzwanie. Ale zaraz znów zaśpiewał, zaniósł się bełkotem, zaczuszykał, jak mógł najmocniej, podskoczył wysoko, rozdarł się nową gamą miłosnego szaleństwa.

Powietrze przeciął łopot i świst. Kilkanaście wielkich ptaków opadło na polanę. Aż stuknęła nieobeschła jeszcze murawa pod uderzeniem silnych nóg.

— Stuk — z innej strony nadleciał dalszy kogut.

— Stuk — i znowu jeden.

Przodownik nagle wyrósł, każde pióro stanęło dęba, ogon rozdał się wachlarzem, skrzydła końcami omiatały ziemię, głowa schylała się ku niej w bojowej postawie. Przedreptał parę razy, podskoczył w górę co najmniej na równą sobie wysokość, zaczuszykał potężnie:

— Czuuuf-fyy, czuszszy-szy, czuuuf-fyyy.

Zabełkotał, zasyczał, jeszcze się przygiął ku ziemi, zamiótł ją skrzydłem. Hej, kto się odważy? Podskoczył, zachrypiał wściekłością. Hej, który tu równie mocarny?

Edek drżał z emocji. Było coś piekielnie podniecającego w tej pieśni koguciej starego przodownika, niecącego tokowe obrzędy, w tym ptasim mocarzu, czarnym jak noc, łyskającym białymi pasami na skrzydłach, migocącym ostrym płomieniem obwódki około oczu. Już z przerzedzającego się mroku wyłaniały się jakby zarysy barw.

I nagle jeden z przybyłych kogutów zakołował, zaczuszykał, zaniósł się pasją, z bulgotem i wyzywającym świstem poskoczył ku przodownikowi. Zniżyły oba głowy nisko, nisko ku ziemi, podskoczyły, tupnęły nogami.

— Czus-szy-szy!

— Czuff-fyy, czusz!

Znów podskoczył, z pasją wydziwiając i drażniąc przeciwnika. Przodownik pierwszy uderzył. Mocno, z impetem, z poświstem.

— Czuszs — zachrapał, odskakując.

— Cufff-buch — uderzył tamten.

Przodownik był wygą. Nie dał się ubiec. Zderzyli się w powietrzu, zatrzepotały skrzydła, siekąc z rozmachem. Zalśniło ciemnym granatem piór, lśniącym, jakby je kto lakierem pociągnął, tylko zawirowały białe obwódki.

Oho. Przodownik wyżej podskoczył, nakrył sobą przeciwnika. Zasyczał, zaczuszykał. Znów się szcepili. Znów stary górą. I jeszcze się zwarli. Łopot skrzydeł na cały las. Bo i pozostałe koguty już się biją pomiędzy sobą.

Wszystko na polanie wiruje, tańczy, skacze, chrypi, posykuje z nienawiścią i pasją.

Stary kogut został sam na placu boju. Przeciwnik skapitulował. Przodownik nastroszył się dumny, podniósł głowę, jakby sprawdzić chciał wrażenie wywołane swoim zwycięstwem na kokoszących się wśród gałęzi samicach. Omal nie przegapił ataku nowego przeciwnika. W porę odskoczył, głos jego podniósł się, zachrypiał wściekłością. Czussz-szszy-fyyyy! Sypnęły pióra, trzepotały skrzydła w powietrzu.

Dygotała cała polana. Hałas na niej jak na wiejskim kiermaszu. Syk, jakby kto gniazdo zmij rozgonił. Chrapanie, jakby pułk wojska robił to na komendę. Zew upojenia, bełkot gniewu, spazm uniesienia. Ogony jak liry. Skrzydła jak wspaniałe wachlarze. Cuszszy-szy. Czussz-szy.

Edek w podnieceniu przestąpił z nogi na nogę. Zatrzeszczała gałązka. Leśniczy obejrzał się gniewnie. Na świerku nie opodał budki z hałasem zerwała się cieciora, ko-ko-ko-ko, fruwała na drugi kraj polany. Ale koguty nie zwróciły na to ostrzeżenie uwagi, zaślepione namiętnością miłosnego boju.

Edek odetchnął z ulgą. I znów się zapatrzył, zasłuchał. Pomyślał, że i on tak samo skoczyłby do gardła każdemu, kto by zechciał mu teraz odebrać Zochę. Oczy by wydarł, zmiażdżyłby rywala...

Świtało. Poprzez pas brzeźniaka od wchodu zaróżowiło niebo. Znikały w błękicie ostatnie gwiazdy. Nad cumulusy spłynęło odbłaskami światło świtu.

A tokowanie wciąż jeszcze trwało. Dokoła rozświergoliły się, rozświerkały, rozświstały inne ptaki, a nic to nie obchodziło szalejących cietrzewi. Stary przodownik ruszał do nowego ataku. Który już pokonany przeciwnik umknął sromotnie? Kogut krwawi, strużką spływa krew spod oka, tej samej barwy co mocne, karminowe obwódki. Jeszcze bardziej lśni ciemno-granatowa szata, przecięta na skrzydłach pasami bieli. Groźnym wachlarzem drga rozpostarty ogon. Szamoczą się w powietrzu, ani rozerwać, który górą. Wreszcie jeden odpada, ze skrzydła sterczą mu połamane pióra. Kuszyka na bok, a stary po raz już któryś zanoszą się miłosną pieśnią triumfu, ochrypli, znużony, ale ciągle jeszcze natchniony miłością, zaślepiony godami. Okręcił się w koło, jak na pokazie. Zakokosiły się na drzewach samice. Oto triumfator, oto samiec najpiękniejszy z pięknych, najdzielniejszy z dzielnych, najgorętszy z gorących. A on łyskał pomarańczowym blaskiem podogonowych pokryw, ślepił granatem, radował bielą.

Blask wstającego za lasem słońca spłynął na szczyty świerków, rozjaśnił nagie gałęzie

dębowego olbrzyma. Brzeźniak rozjaśnił się leciutką seledynową mgiełką przyszłego listowia. Ciężko zamiatając ziemię skrzydłami, kilka kogutów zerwało się do lotu. Odpływały wolno i ociężale, zmęczone uniesieniami nocy. Stary kogut sam został na tokowisku. Odleciały z hałasem cieciorki.

I wtedy zatoczył dumne koło, szukając ciągle nowego wroga. Nie było go już. Stanął, nadał się, resztą sił, mocno, rozgłośnie rzucił w przestrzeń, jasną już, przejrzystą, pieśń wielkiego zwycięstwa, czystą pieśń zdobywczą miłości. Czuszykał, bełkotał, szypiał, chrapał, sykał, piał, aż las, zdawało się, dygoce i z uznaniem szemrze do taktu jego triumfowi.

Aż potem urwał nagle wodzirej pieśń swą w pół taktu, przysiadł na chwilę, zwinął swój wachlarz, przykurczył skrzydła, jakby czegoś nasłuchiwał, wreszcie ciężkim, pijanym od zwycięstw lotem wolno przepłynął nad polaną, ginąc za szczytami wyniosłych świerków.

Leśniczy przyłożył palce do ust. Jeszcze na coś czekał. Jak za dotknięciem czarodziej-skiej dłoni rozśpiewany, dotąd las umilkł. Nie zakwilił, nie zaćwierkał żaden ptak. Jakby i wiaterek, lekko kołyszący konarami drzew, także ustał, zatrzymał się w pół oddechu.

— Co się stało? — szepnął zdumiony Edek.

— Szabas — drgnęły usta Mietkowe.

Zastygli i oni w tej przeraźliwie niemej ciszy. Zabłyśły jeszcze silniej drzewa, zamigotały wyraźnie cienie, mocny, pełny blask dnia zawładnął lasem.

Wzeszło słońce. Od nowa rozgadało się wszystko.

Wracali wolno, wstrząsani dreszczami chłodu, który głęboko przeniknął ich ciała, upo-  
jeni wrażeniem tej wielkiej pieśni miłosnej.

Edek wspominał ciszę sprzed chwili. Dowiedział się, że szabas w gwarze leśnej oznacza chwilę wschodu słońca, kiedy wszystko, co żyje, zastyga na moment w przyrodzie, jakby pragnąc uczcić wielką chwilę budzącego się dnia.

— Kochliwe ptaszki, co? — z rozmarzeniem w głosie zagadnął leśniczy.

Edek znowu pomyślał o Zochnie, o uścisku jej ramion, smaku ust i zapachu czarnych, rozsianych na poduszce włosów. Zatęsknił do dziewczyny, do chwili, kiedy znów ją mocno przytuli.

## 21. DALSZY NOWINY

Dzień zapowiadał się ławo. Skłębione chmury opadły na lasy. Ciepło było, nieomal parno, bezwietrznie.

Mietek bawił się z Mrukiem. Borsuk poplątał się zupełnie w godzinach dnia i nocy. Tylko jasnego słońca nie lubił, zaszywał się wtedy w głębi nory wygrzebanej w kacie obory i spał. Na łowy wypuszczał się wieczorami, spotykali go czasem nad jeziorem, w odległych nawet rewirach. Na długo jeszcze przed brzaskiem wracał do obory, wślizgiwał się specjalnie dla niego pozostawioną we wrotach szparą, pomlaskując żarłocznie wychłępywał przygotowane dlań mleko, wtulał długi ryj w gęste futro i zasypiał.

Drzemać lubił zresztą o każdej porze. Ale na lekki gwizd Mietka zrywał się natychmiast, węszył, drobne oczka błyskały uciechą, potężne łapska o długich pazurach tupwały głośno. Na podwórzu zaczynały się gonitwy i Mietek musiał często dobrze wyciągać nogi, aby ująć przed pościgiem Mruka. Edek nie mógł wyjść ze zdumienia, jak taka „fura tłuszczu” może się zwinnie poruszać. Mruk był łakomy. Dla żaby, żuka czy kawałka mięsa potrafił przez długie minuty wdzięcznie stawać na tylnych łapach. A już jajko kurze wprawiało go w nieprawdopodobny zachwyty. Pomrukiwał, oczy przymykał i łaścił się jak pies do nogi Mietkowej.

Potem szli na spacer. Borsuk potrafił towarzyszyć chłopcu jak najbardziej obłaskawiony pies. Szczególnie w okresie grzybowym przemierzali całe kilometry lasu szukając pękających

borowików. Biała głowa o czarnych pasach smykała przez najgęstsze zarośla, a za nią przelizgiwał się szarobiały tułów.

Michał właśnie nadjechał z Pizsa.

— Choć tutaj — krzyknął Mietek.

— Zaraz, tylko pocztę zaniosę — pomachał w powietrzu plikiem gazet.

Za chwilę już był z powrotem.

— Mam trochę czasu. Potem pójdziemy z panem leśniczym na nowe siedliska buku i modrzewia...

— Muszę go nauczyć skakania przez kij. Mówił mi stary leśnik z Pizsa, że widział borsuka wyczyniającego podobne sztuki.

— Ech, nie wiem, czy poradzi...

— Mietek, Michał, chodźcie tutaj szybko, chłopaki — wychylił się pan Gasiniec przez okno leśniczówki.

— Coś się stało. Tatko jest mocno przejęty.

Siedział zaaferowany za biurkiem, wpatrzony w list rozpostarty przed jego oczyma. Uśmiechał się radośnie.

— Wiecie, kto pisze? Stary Butkiewicz!

Mietek wytrzeszczył zdumione oczy. Był pewien, że się przesłyszał.

— Butkiewicz?

— Ojciec Marysi i Pawełka. Obydwoje starzy wrócili. Dwa tygodnie już siedzą w kraju, dopiero teraz udało się im zdobyć nasz adres. Pytają, czy można by się u nas zatrzymać, póki się nie rozejrzą. Daj asan pokój, kto by się spodziewał. Dawno ich opłakałem, a tu taka wiadomość...

— Trzeba odpisać.

— Co tam pisać. Telegram zaraz wyślę. Michał, na siedliska zdążymy później, a choćby i jutro. Leć do Edka, niech nada na poczcie. Co za nowina... Mietek, szukaj matki i Marysi. Niech się ucieszą.

Młoda, spracowana kobieta zbladła, dłuższą chwilę nie mogła wymówić słowa, tak na nią podziałała wiadomość. Dopiero pani Helena swym ostrym tonem przywróciła ją do równowagi.

— Ileż ty wtedy miałaś, niewiele nad rok? A Paweł mało starszy. Nic nie pamiętacie.

Zadumał się.

— Daj asan pokój, co to wojna wyczynia! Żeby dzieci poznawały rodziców, gdy mają już własne potomstwo... Trzeba się wam będzie dopiero przyzwyczajać do siebie...

— Ano tak — zauważyła Marysia i nagle z oczu jej polały się łzy.

— A ty czego? — zdumiała się leśniczyna.

— Ja tak... nie wiem... Przyzwyczaiłam się do sieroctwa, w was miałam rodziców. A tu takie szczęście, bo ja wiem...

Przytuliła się serdecznie do leśniczyny. A potem, przytykając brudny fartuch do oczu, wyleciała z domu jak oparzona.

— Niech tam, musi się wypłakać, przemyśleć — miękko szepnął leśniczy.

— Pawełka trzeba zawiadomić.

— Edek teraz wcześniej wraca, podjedzie motocyklem.

— Przebije się to do szosy? Takie błota?

— Poradzi sobie...

— Jeżeli znów go nie pociągnie gruchanie. Psieje chłopiec. Którą to on tak upodobał?

— Nie wiem. Gadali wioskowi, że lata do tej czarnej nauczycielki. Ciągłe widzą ich razem.

— Jak to nic nie wiadomo. A myślałam, że z Dziadoniówną coś się wykręci. Ta by go wzięła w obroty. Jak ja ciebie. Też byłeś latawiec, nie wiedzieć, który z was lepszy.

— No cóż, każdy ma swój czas i musi się wysumieć.

— E tam, gadanie... Niech go, ma chłopiec swoje lata. Pić przynajmniej ostatnio zapomniał. To już dobrze.

— Kto by myślał, Butkiewiczze. Ciekawe, jak ten Albin teraz wygląda. Krzepki był chłop, pamiętasz?

— Co bym nie miała pamiętać. Patrz ty, jaki to czas już minął. Tyle lat. Z ciebie stary dziad, ja tam jeszcze się trzymam.

Obruszył się, potem wybuchnął śmiechem. Paradna ta jego baba, zawsze taka była. Jak i wtedy, zagięła na niego parol i już było po wszystkim.

Z niejakim podziwem spojrzął na żonę. Uśmiechnęła się rozumiejąc. Ciepło zajrzeli sobie w oczy.

— No widzisz — powiedziała, zawracając do swoich robót.

W drzwiach obróciła się jeszcze.

— Jak myślisz, kiedy przyjadą?

— Pewnie za dwa, trzy dni. Trzeba się przygotować.

— Aha — mruknęła.

W związku z tą najbardziej niespodzianą nowiną wywrócił się cały porządek życia w Sumach. Leśniczy trawił czas na przygotowaniach i wspomnieniach. Marysia zabrała się do gruntownych porządków, starczyło jej nawet energii na zaprężenie do nich leniwego małżonka. Utyłłany wapnem i kredą, malował mieszkanie. Leśniczyna kursowała między obu domami, pomagając, doradzając i rozważając wszystko. Jej przenikliwy, ostry głos wybiegał daleko na las i jezioro.

Edek bez wielkiego entuzjazmu przyjął propozycję leśniczego, aby spróbować przeдрzeć się WFM-ką do szosy i stamtąd bez trudności już dotrzeć do Pawełka.

— Pojadę z tobą, dobrze?

Chętnie przyjął propozycję Mietka. Sam nie poradziłby w leśnych roztopach. Motor zaskoczył po paru pchnięciach rozrusznika. Zaryzykowali jazdę, ale ledwie pochłonął ich mrok lasu, koła zabuksowały, mało brakło, a skapałoby się w rozkiśnionym błocie.

Przepychali maszynę bokami, ciągnęli ją przez zarośla, omijając zdradliwe wądoły, napelnione wodą. Edek kłął siarczyście i rzewnie dumął o miękkim łózku.

— Wracając zostawimy maszynę u Dziadonia. Szkoda mordęgi — zdecydował.

— Słuchaj, nie tęsknisz do Wery? — zagadnął Mietek na wspomnienie nadleśnictwa.

Odpoczywali u progu żuźlowego szlaku. Umorusali się i przemokli, pot poprzyklepił koszule do zgrzanych ciał. Edek przeciągnął dłonią po czole, nie odpowiedział od razu. Pytanie Mietka zakłuło go nieprzyjemnie. Pewnie, czasem nawracało coś wspomnieniem, ale odrzucał je.

— Czego ty się na nią niasiadasz? A potem dla odmiany lecisz na dziewczuchę, że tylko się kurzy.

Pokręcił głową.

— Ty, Edek, jesteś jakiś dziwny w stosunkach z kobietami... Teraz zbliżyłeś się do Zochy, właśnie gdy Wery nie ma. A jak wróci, to co?

Zacisnął pięści. Niech się gówniarz nie czepia. Jaki jego interes w tym wszystkim?

— Odwal się, dobrze? Nie lubię, jak mi kto za pazuchę zagląda... Jedziemy.

Wyprowadził motor na żużel, obejrzał się, czy Mietek dobrze umościł się na tylnym siodełku.

Zły był. Zawsze, gdy w podobnym nastroju znajdował się za kierownicą, dusił go w sobie wariacką jazdą. I teraz, nie pamiętając, że WFM-ka nie była jeszcze dobrze dotarta, że przy deszczu szosa może być śliska, wyduszał wszystkie siły z motoru. Mietek trzymał się go kurczowo, bezskutecznie próbując pohamować kawalerskie zapały. Licznik wskazywał osiemdziesiątkę, momentami nawet strzałka podskakiwała wyżej. Niewiele zwolnili wypada-



jąc na bruki Pizsa. Edek obejrzał się po wskazówki.

— W prawo i potem znów w prawo.

Skinął głową, ledwie wyrwali się z miasteczka, znów dodał gazu. Maszyna szła równo, postusznie. Zamarzył, aby mieć własny motor. Właściwie mógłby go sobie kupić, zbierał sporo forsy przez te parę miesięcy harówki. Tak, ale skąd talon? Są zresztą potrzebniejsze wydatki. I odłożyć trzeba, diabli wiedzą, kiedy znów coś zarobi...

Ten Mietek zawsze musi z czymś takim wyskoczyć. Co on mi swata tę Werę? Pal ją sześć, niech się z nią inni mordują, ot, Kulczyk pewnie już niedługo przyjedzie... Zocha to co innego, będzie tkwił przy dziewczynie, jak długo mu starczy ochoty. Warto. Chociaż... Na niemile wspomnienie odpowiedział dodaniem gazu. Motor warczał jak opętany. Mietek na tylnym siodełku zbladł z wrażenia. Ten wariat gotów roztrzaskać ich na pierwszej przeszkodzie. A jeszcze deszcz siąpi...

Od tygodnia coś się zmieniło w zachowaniu Zochy. Trudno to było dokładniej określić. Raz przełożyła spotkanie, kiedy indziej kazała mu czekać na siebie trzy dni. Wczoraj też nie bardzo chętnie uległa jego namowom na nowe spotkanie pojutrze. Obok szkoły zauważył odbicie opon motocyklowych. Zapytał ją o to wręcz. Wzruszyła ramionami, ale była zmieszana. Jeszcze bardziej speszyła się, gdy warknął, czy znów nie zaczyna się jej podobać tamten jakiś kierownik młyna. Nic nie odpowiedziała.

Psiakrew, smarkata, nie wie, że z nim nie można się bawić jak z myszą. Dwóch będzie miała na zmianę? Postanowił wywachać, co w trawie piszczy...

Mietek szarpnął go silnie za ramię. Zwolnił.

— Już zaraz będzie droga na lewo, za tymi chatami. Stamtąd niecały kilometr. Jedź wolniej, szosa dziurawa.

Odeszła go ochota do wariackiej jazdy. Co się będzie przejmował? Mało dziewcząt na świecie?

— W tym lesie jest niewielkie jeziorko, płytkie, zarasta. Latem nie znajdziesz lepszego miejsca na połów raków. Będziemy musieli przyjechać.

Zatrzymali się przed leśniczówką. Mietek poszedł odszukać Pawła. Wrócił z niskim leśniczym o przyjemnej twarzy.

— Jakies dwa kilometry, a potem będzie strzałka w lewo. Droga możliwa, w wiosce, jak wjedziecie, przedostatni dom... A co tak pilnego?

— Ach, prawda, nie powiedziałem panu. Wrócili rodzice Pawła. Obydwoje.

— Co? Są u was?

— Nie, ale będą za dwa, trzy dni.

— Taka nowina... U nas teraz niewiele roboty, szkótek mamy mało, zwolnię Pawełka na kilka dni.. Zresztą on i tak już odchodzi na Piaski.

— Jest już decyzja? — radośnie poderwał się Mietek.

— Nie, ale rzecz pewna. Mówił mi dyrektor rejonu. Dobrze się składa, będzie miał Paweł gdzie ulokować swych starych. I pewnie się zaraz ożeni. On szaleje za tą dziewczyną.

— Ładna chociaż? — rzeczowo wtrącił się Edek.

— Licho ją wie, może nawet nie bardzo, ale ma w sobie coś takiego, że naprawdę oskoma bierze — mówiąc to, dyskretnie obejrzał się na dom. I jakby pragnąc zupełnie już zatuszować wrażenie swojej uwagi dorzucił: — Zresztą ona podobnie w niego wpatrzona jak on w nią. Nikomu tam nie przystąpić.

Z trudem doszukali się wskazywanych przez leśniczego dróg.

A jakże, przytuleni spacerowali sobie za wsią po szosie. Edek aż się zaśmiał, widząc ten sielski obrazek.

Paweł zbladł słysząc nowinę. Jakaś wielka radość odbiła się w jego oczach. Spojrzał na dziewczynę.

— Widzisz, jak się nam składa? Nie będę sierotą, weźmiemy ich do siebie na Piaski.

Uśmiechnęła się, ciekawie przyglądała się chłopcom znanym jej dotąd jedynie z opowiadań. Trochę peszyło ją badawcze spojrzenie Edka.

Tak, nie była ładna, ale miała jakieś chochliki migające przez twarz. Mogła się cholewnie podobać. Wysoka, prawie że wzrostu Pawła, jasna. Pukiel włosów, zwilżony mżawką, przylepił się jej do policzka. Wyglądało to bardzo dziewczęco.

— Kława — szepnął Edek do Pawła.

Podleśniczy uśmiechnął się triumfująco.

— Leśniczy mówił, że cię puści na kilka dni — krzyczał jeszcze Mietek z motoru.

— Daj spokój, on bez niej nie wytrzyma tak długo — zaśmiał się Edek. — Wklepał się na amen...

Był teraz w lepszym humorze. Nawet znużenie jakby minęło. Żałował, iż nie umówił się z Zochą na dzisiaj.

Tak się pogрузzył w rozpamiętywaniach, że w Pieszku zamiast skręcić drogą na Sumy, pognął przez rynek szlakiem, jaki z Zochą tylekroć już odmierzili rowerami. Mietek też spostrzegł się dopiero, jak byli już za miasteczkiem. Zaczął walić Edka po plecach.

— Stój, stój, wariacie, gdzie pędzisz?

Edek przystanął, miał głupią minę. Wreszcie zaczął się uśmiechać. To ci heca dopiero!

Mietek pokiwał głową z podziwem. Śmiał się. A potem przez chwilę pożałował, że i on nie ma jakiejś dziewczyny. Bo to i Paweł, i Edek, jakoś im lepiej z tym, łatwiej.

Zawrócili, Edek dodawał gazu. Na zakręcie w ostatniej chwili rzucił maszyną na prawo, zaklął szpetnie. Omal nie zderzyli się z motocyklem, jakimś starym „Zündappem” z przyczepą, rwącym wariacko, bez przyhamowania na zakręcie.

W przyczepce siedziała Zocha. Choć mrok słał się powoli nad ziemią, było jeszcze na tyle jasno, że ją poznał bez trudu. Zaskoczony nie zdążył przyjrzeć się dokładnie towarzyszo-  
wi dziewczyny. Odwrócił się, hamując motor, ale grzmiący dziko „Zündapp” ginał już w oddali.

— Drugi wariat — rzekł Mietek myśląc o nieprzepisowej jeździe tamtego.

Zastanowiła go blada twarz Edka. Przyhamował, chciał stanąć, a potem nagle zakręcił. Prawda, tam przecież była Zocha. Oho, kroi się awantura, Edek niepodobny do siebie. Nie zważając, że może spowodować kraknę, zaczął go ciągnąć i szarpać za ramię.

Edek obejrzał się, zobaczył rozwarte usta przyjaciela, nie pojmował, o co chodzi. Wściekły, że tamci mu ujdą na dobre, zatrzymał motocykl.

— Czego chcesz?

Mietek odsapnął.

— Nie bądź głupi, zostaw!

— Dogonię, zobaczę i mordę tak skuję, że mu się odechce. Drań jakiś, cholera...

— Może to zwyczajna grzeczność? — Mietek chciał zyskać na czasie.

— Mów takie bzdury Klemowi, nie mnie. To jego kiwała ze znajomymi w Olsztynie...

— Urwał, pomyślał, że dziewczyna musi mieć nie lada wprawę w amorach. Jakoś powtarzają się te same chwytły. — Jedziesz ze mną, czy zaczekasz tutaj? — zapytał ostro.

— Wracamy do domu. — W głosie Mietka zabrzmiała dziwna u niego stanowczość. — Nie wiem, co jest między wami, ale wątpię, czy ma ona jakieś zobowiązania wobec ciebie. Żenisz się z nią?

— Dureń! — chlusnął ze złością.

— Więc o co chodzi? Edek, nie bądź głupi, nie rozrabiaj. Może w tym naprawdę nic nie ma, a zrazisz sobie dziewczynę. Spotkasz ją, to się dowiesz. Proszę cię.

Machnął desperacko ręką.

— Pies ją drapał. Machnę na nią i tyle.

Zawrócił, wolniutko kolebali się po kocich łbach Pieszka. Edek marszczył czoło. Kogoś mu przypominała ta sylwetka za kierownicą. Jakaś znajomą postać. Kto to mógł być? Ktoś z

traktorzystów, chyba nie... Z tartaku, może kierownik kłocowiska, też raczej nie on... Zaraz, zaraz, a może to tamten?

— Mietek, wiesz do kogo ten gość podobny? Do kłusownika, który w październiku omal mnie nie postrzelił i od którego oberwałem w Piszku po uszach. Może jednak pojechać i obejrzeć facjatę?

— Zostaw, masz zawsze dzikie pomysły. Deszcz znowu pada, wracajmy lepiej, nim noc zapadnie. I tak już będziesz musiał palić reflektor.

Bez przeszkód już dobrnęli do nadleśnictwa. Pan Dziadoń nie miał nic przeciw temu, aby WFM-ka pozostała w jego garażu.

— Kiedy Wera wreszcie wraca? — zapytał Mietek.

— Pisała, że dwudziestego pierwszego. Ciągłe im przedłużają ten kurs. Żeby to przynajmniej naprawdę się poprawiło po tej reorganizacji. A to więcej papierków, jak prawdziwej roboty w lesie.

Odprowadził ich kawałek drogi. Edek szedł chmurny. Wiadomość o powrocie dziewczyny przywitał niechętnie. W ogóle, do diabła z babami. Zawsze są z tego jakieś kłopoty.

— Aha, byłbym zapomniał. Powiedźcie panu Gasińcowi, że dzisiaj nadeszło zatwierdzenie Butkiewicza na leśnictwo w Piaskach. Może je obejmować od zaraz. Marcińska już się przeniosła do mieszkania opróżnionego przez Wierzbikową.

— A my wracamy właśnie od Pawła. Tęby się dopiero ucieszył. Ale może już jutro tu będzie. Jego rodzice wrócili z Rosji.

Z kolei zdumiał się nowiną nadleśniczy. Zaśmiał się.

— Jak dalej będę was odprowadzał, to jeszcze sto nowin znajdziemy... Bywajcie, chłopaki.

Zostawili go stojącego w zamyśleniu na drodze.

— Edek.

Milczenie.

— Edek, coś ty, ogłuchł?

— Daj mi święty spokój.

Szli jeszcze po gładko ubitym żużlu, chrzęszczącym pod nogami. Mietek wziął przyjaciela pod ramię. Rzekał cicho:

— Zmieniłeś się ostatnio w stosunku do mnie. A przecież wiesz, że ci dobrze życzę.

— Co się tak nagle roztkliwiasz?

— Bo mi ciebie żal. Sam nie wiesz, czego chcesz... Szarpiesz się, chwytasz to albo tamto, szamociesz się z sobą. O, i teraz, mruyczysz, klniesz mnie w duchu, że ci za pazuchę, jak mówisz, zaglądam. A wcale nie o to chodzi. Pamiętasz, jakieś mię wtedy obronił na ślizgawce?

Edek stanął. W mroku twarz Mietka zlewała się w białą plamę. Powiedział wolno:

— Zostaw te wspominki. Po co ci one?

— Ma to sens, pozwól mi gadać. Idziemy... Banda łobuzów, dużo ich łąziło na jezioro, często bez łyżew, czasem podpitych, napadła na jakąś dziewczynkę. Wywrócili ją, rycząc jak osły, całowali w usta. Ludzi było mało, a i ci, którzy się blisko znaleźli, widząc grandę, odjeżdżali czym szybciej... Wtedy rzuciłem się na ratunek...

— Nic by jej nie było. Te szczeniaki miały już taką modę, by całować dziewczęta, ale nic więcej...

— Wystarczy. Ona nie miała więcej jak piętnaście lat... Wiesz, jaki ze mnie był wtedy słabeusz. Ledwie wskoczyłem pomiędzy nich, już oberwałem porządnie. A potem postawili mnie na nogi, wzięli pod ramiona i zaczęli ciągnąć daleko na bok. Wyrwałem się, zacząłem uciekać, próbowałem znów swoich pięści. Któryś mocno oberwał, pewnie przez przypadek. Strasznie mnie wtedy stłukli, rozbestwili się, nie chcieli przestać. Myślę, że w głupocie mogli mnie zmasakrować na śmierć. I tak przeleżałem parę dni... I wtedy nagle ty się zjawiłeś, nie

wiem, skąd miałaś tyle siły. Rozgoniłeś ich, któryś pamiętam, leżał jęcząc na lodzie. Tej dziewczynki dawno nie było. Uciekła w strachu. I nigdy jej potem nie spotkałem...

— Gadaj dalej — rzekł z kpina w głosie.

— Już niewiele... Przypominam to, bo w tobie jest zawsze jedna część dobra, szlachetna i druga, rozrabiacka, pijacka, w ogóle wredna jakaś — ucieszył się, że znalazł najodpowiedniejsze słowo, bo nie chciał powiedzieć: zła. — Wspominam, bo wtedy miałaś jakiś cel. Rozrabiasteś sporo, jeszcze więcej zrzucali na ciebie niesłusznie. Ale, pamiętam, marzyłeś, żeby być inżynierem, drogowcem bodaj, stawiać mosty, tunele... Potem jakiś czas śniłeś o marynarce. A teraz kpisz ze wszystkiego, wszystko wyśmiewasz, boję się, czy już nie straciłeś i marzeń.

Zamilkł. Edek szedł chmurny, nie zważając, że chlapie po błocie i wpada w kałuże, skręcili już bowiem na Sumy. Raptem zaśmiał się i wywalił Mietkowi prosto w twarz:

— Wiesz, czemu nie lubię, gdy wspominasz o tej ślizgawce? Powiem ci. Tamta banda to byli moi kumple. Myśmy razem robili ten sport z całowaniem dziewcząt, chciały czy nie. Rozumiesz? Ciebie broniłem, boś mi w szkole dopomógł w klasówce. Gdyby usłuchali i odeszli spokojnie, nic bym im nie zrobił.

Mietek tylko westchnął.

— A te cele, marzenia, jak ty mówisz... Gówno, ot co! O czym mam myśleć? O tej orce na traktorze? Na to nie trzeba było iść do liceum, nie trzeba coś więcej umieć, nie trzeba mieć głowy zawróconej kupą przeczytanych książek. Zawisłem w próżni. Budy nie skończyłem, gdzie mam się drapać, do czego dążyć? Ty się uczysz, pójdziesz teraz na leśnictwo, masz drogę otwartą. A ja? Chyba myśleć o grubszej forsie, tak czy inaczej zdobytej, odstawić czcigodnego obywatela.

— Też mógłbyś się uczyć — szepnął Mietek.

Zaśmiał się zjadliwie.

— Aha! Nie tak łatwo, jak się ma tyle za sobą, co ja. Nie kradłem i nie mordowałem, ale wszystko inne mam już za sobą. Z tego się łatwo nie wyłazi, a tym bardziej nie wraca do nauki. I po co zresztą? Ja już nie mam ambicji, kicham na wiedzę. Za leniwy jestem.

Była jakaś gorycz w jego słowach, w tonie głosu, w zawadiacko żalonych podrzucaniach głowy, w przymuszonym akcentowaniu pewnych słów, w wyraźnie robionej brutalności. Dodał:

— A ty mi, Mietek, nie zaginaj podobnych gadek. Niepotrzebne są. Myślisz, że mnie nic i nigdy nie szarpie, że ja ci nie zazdroszczę twej woli i ambicji? O, jeszcze jak, ale tłamszę to, bo po co mam się łamać sam z sobą? Gówno to wszystko warte.

## 22. TRUDNA ROZGRYWKA

Butkiewiczów witano w Sumach bardzo serdecznie. Pan Gasiniec pod nóż oddał dobrze już podrosłego cielaka, pani Helena poczyniła spustoszenie wśród drobiu. Edek nie przypomniał sobie, by kiedykolwiek w życiu był tak skandalicznie obzarty.

Potem wszystko żyło przeprowadzką Pawła na jego własne leśnictwo. Meble zbierano, skąd się dało, bo tylko najniezbędniejsze mógł kupić Paweł ze swych bardzo skromnych dotychczasowych dochodów. Ale że to w Sumach znalazła się szafa, parę krzesel, że i leśniczy, u którego Paweł praktykował, to i owo pożyczył, jakoś wszystko się uładziło. Za przyczyną pani Heleny znalazły się nawet dwa świniaki w chlewie i trochę kur oraz gęsi, zakokościło się na podwórzu.

Po wyprowadzeniu się Wierzbikowej Marcińska przycichła, starała się nie przeszkadzać nikomu. Zajęta była zbliżającym się procesem jej męża.

Michał także odetchnął, od pamiętnej przygody nie znosił bowiem terenów leśnictwa w Piaskach i rad był, że teraz nie ma żadnych obowiązków. Chłopak był bardzo smutny; leśnicy zastał go kiedyś na dawnym wyrębie, jak siedział na pniaku z twarzą ukrytą w dłoniach. Gdy ją podniósł na odgłos kroków, nie potrafił ukryć odbijającego się na niej głębokiego strapienia i wewnętrznego bólu. W rozmowie nie chciał jednak niczego wyjawiać.

Powrót starych Butkiewiczów przeżył szczególnie silnie. Cieszył się ogólną radością, życzył jak najlepiej Pawłowi i Marysi, wszystko to jednak pogłębiło w nim uczucie osobliwe-go sieroctwa. Ojciec — wiadomo, umarli z grobów nie wstają. Ale matka, to jakieś straszne, mieć ją i nie mieć zarazem. Wiedzieć, że żyje, myśli o nim, świadczą przecież o tym najlepiej listy pisane jej ręką, paczki, ciepłe wezwania. I przy tym odczuwać boleśnie, bo który syn znieśnie obojętnie taką świadomość, że właściwie nic go z matką nie łączy. Takie sieroctwo jest chyba najcięższe...

Edek też był sierotą. Jego ojciec i matka nie żyli. Kto wie, może to jest nawet łatwiejsze niż sytuacja, w jaką los wpakował Michała. Garnął się do Edka jak do pokrewnej duszy, ale niewiele z tego obcowania wynosił bezpośredniej pociechy.

W ogóle poza domem leśniczych nie miał jej skąd czerpać. Gdy dłonią przeczesywał włosy, natrafiał na ślad szerokiego przecięcia od ciosu orczyka. „Ty szwabie, hitlerowski pomioście”, och, jak pamiętał te słowa, bardziej niż ból ramienia i głowy. To było najstraszniejsze, gorzej, to wcale jeszcze nie minęło. Michał unikał ludzi, ale całkowicie nie mógł zerwać z nimi kontaktu. I nieraz w czyimś spojrzeniu, w mrugnieniu nieprzychylnym, w jakiejś uwadze łapał echo tamtych bolesnych słów. Nawet jeżeli nie tyczyły one bezpośrednio jego samego.

Akcja łączenia rodzin trwała. Co pewien czas wyruszał transport, najczęściej kobiet wracających do mężów w jednych czy drugich Niemczech. Zostawiały gospodarki, na które było wielu łakomych, sprzedawały za bezcen meble i inny dobytek. Różni amatorzy kręcili się około tanich okazji. I tym łapczywiej spoglądali na pozostających rzeczywiście Niemców czy Mazurów, już samymi spojrzeniami zdając się zachęcać ich do wyjazdu. Znowu byłaby możliwość zdobycia mebli, statków domowych, innego dobytku.

Tu i ówdzie wytwarzała się niedobra, zła atmosfera w stosunku do całej ludności mazurskiej. Bo jeszcze można się było na niej dorobić, łatwym sposobem pomnożyć własny stan posiadania. Niby to ludzkie, ale i obrzydliwe, dla Michała zaś stawało się nowym zaczynem pod gnębiące go, wątpliwości.

Nadszedł nowy list od rodziny. Pisała siostra. Ciepło, serdecznie, jak nigdy nie bywało w ich wzajemnych stosunkach. Zawsze różnili się bardzo i stronili od siebie. Nie tylko dlatego, że należała do Hitlerjugend. Ale była inna i w zamiłowaniach, i w stosunku do życia. Choćby sprawa ojca. Siostra niechętnie go wspominała. Wiadomo, że ciążył zawsze do polskości, że tylko pod presją matki nie angażował się oficjalnie. Pamiętano o tym i nieraz dziewczyna spotykała się z trudnościami w przyjmowaniu jej gorliwości za dobrą monetę.

A teraz taka w niej zmiana. Nagła, niespodziana. Pisała, że przemyślała wszystko, że niepotrzebnie spierali się z sobą, że chce mieć brata, a różnice poglądów to kwestia wtórna. Że i ona zmieniła się wiele. Wspomniała nawet, że i tam jest sporo Polaków, jakoś sobie radzą, pozostają sobą. Przecież to nie czasy führera... I że matka zamartwia się jego nieobecnością, jest już stara, zmęczona i chciałaby odpocząć przy swoich dzieciach...

Nie wiedział, co ma myśleć. Takie listy na długo wytrącały go z równowagi, drażniły powoli, stwarzały stan wewnętrznej sprzeczności. I jeszcze ta samotność. Ani się z kim podzielić swoimi sprawami, ani poradzić. Jeśli nawet próbował, nie znajdował u przeciwniej strony takich argumentów, jakie by przekreśliły żalosny niepokój. Sam zresztą nie wiedział, co by go miało przekonać.

Wyszukiwał sobie dodatkową robotę w lesie. Mietek zauważył, że chłopak stroni od nich, potem powraca ze wzmożoną tęsknotą, i znowu przepada w swej samotności. Nie było

na to rady. Leśniczy uznał, że nie wolno włożyć kopytami w czyjeś sumienie i serce. Niechaj Michał sam zwalczy w sobie gorycz, ich rzeczą dopomóc mu serdecznością.

Nie była to sztuczna wylewność ani tani sentyment, ale szczere przywiązanie i dobra wola zapracowanych, prostych ludzi, zagubionych w wielkich obszarach Piskiej Puszczy.

Michał zdawał sobie sprawę z ich stosunku do siebie. Sumy stały się dla niego jedyną ostoją. Bez tej leśniczówki zagubiłby się zupełnie, uciekł chyba tam, gdzie pieprz rośnie, może nawet wyjechał wraz z innymi. Nie do Niemiec, nie, stamtąd ruszyłyby dalej w świat; leśników czy malarzy wszędzie potrzeba.

Załamywał się. Nie widział drogi wyjścia. Pewnie, można było przenieść się na drugi koniec Polski, tam znaleźć spokój. Ale tutaj była ziemia ojca, jakiejś wielkiej, jedynej jego miłości. Stale miał w pamięci nakaz tego człowieka, wbrew sobie ubranego w obcy mundur i ginącego za cudzą sprawę. Więc jakże uciekać? Ale i jak trwać? A w przeciwwadze kuskie-lskie listy z tamtej strony, wabiące paczki, dziwna przemiana w poglądach siostry.

Leśniczówka była obszerna. Michał otrzymał mały pokoik, przewiózł tam graty, jakie pozostały mu z nie spieniężonych przez matkę resztek rodzinnych. Ale połowe łóżko w pokoju Edka zostało i chłopak często prznosił tam swoją pościel. Gawędzili w te wyjątkowe wieczory, gdy Edek zostawał w domu, nie goniąc gdzieś na rowerze. Właściwie nie gdzieś, Michał dobrze znał obiekt zapałów kolegi. Ale nie rozmawiał z nim na ten temat, bo po co? W tych rzeczach każdy ma przecież swój rozum. Michał też miał, a że poparzył się mocno, jego rzecz... Ale były inne sprawy i leżąc w łóżkach, wśród kłębow dymu, gwarzyli o nich do późna w noc. Czasem o zwierzynie leśnej, o rybach, ale zagalopowali się, bywało, i w zgoła bardziej skomplikowane dziedziny.

Ostatnio Edek często bywał zły. Sapał, mrucał do siebie, kłął pod nosem tak siarczyście, że Michał, choć osłuchany w tym słowniku, zdumiewał się ilością pięter w połajankach awanturującego się druha.

Któregoś dnia Edek zerwał się nagle z posłania i usiadł na łóżku.

— Słuchaj, jak jest właściwie z tym kłusownictwem? Czy jeżeli stwierdzę, że widziałem kogoś z bronią, jak strzelał, będzie to już stanowić wystarczający dowód?

— O kim ty myślisz?

— Pamiętasz, jak tylko pojawiłem się tutaj, leśniczy i Pawełek gnali za leśnymi bandziorami. Tamci ostrzeliwali się, celowali także i do mnie, gdy nagle zabiegłem im drogę. Jeden był bardzo wysoki... Ten, co mnie stłukł potem w Pisz. Pamiętasz już?

— Przecież mu się dobrze nie przyjrzałeś?

— Nie, ale sylwetka, głos, te bym zawsze rozpoznał. I tak mi coś chodzi po głowie, że może rozpoznam. On musi mieć coś wspólnego z Marcińskim i całą bandą z Piasków. Wystarczy takie moje oskarżenie?

— Nie. Trzeba konkretnych dowodów.

— Nawet jeżeli jestem pewien?

Tajemnicze pytania Edka zniecierpliwiły Michała.

— Teraz jest spokój. Zaczną kłusować, zacznie się z nimi walka, choć trudna to rzecz.

— To znaczy nic nie da się zrobić? — nawracał Edek do uparcie nurtującej go myśli.

— Nic.

— To już wiem, co mam począć. Dobra, taka jego mać! — zamruczał w pasji i znów się wyciągnął na łóżku.

— Edek, o kim ty myślisz?

— O nikim.

Zapadło milczenie. Zabłył ogieniek Edkowej zapałki. Zaciągnął się „Sportem”.

— Michał, znasz ty kierownika młyna? Wiesz coś o nim?

— Z widzenia. I jakoś nic nie słyszałem.

— Toś cep. Mieszkać tyle lat i nie znać ludzi w takiej Pipidówce jak Pisz.

— Ech! — Michał poczuł się urażony w lokalnych ambicjach.

Edek długo nad czymś medytował. Michał napracował się tego dnia solidnie, sen zaczął mu kleić oczy. Słyszał jeszcze niecierpliwe postękiwanie Edka, błyskał gdzieś żarzący się nierównym ognik papierosa.

Poderwał się, uderzony czymś twardym. Szklanka z trzaskiem stoczyła się z koca na ziemię.

— Co się stało?

— Nic. Chciałem ci coś powiedzieć... Ty masz swoje kłopoty. Z tą historią mazurską. Żeś Polak, a różne gady wyzywają cię od szwabów. Przejmujesz się diabli wiedzą czego... A ja ci powiem. Nie warto się niczym przejmować, ale niczego też nie można zostawiać na gładko, pozwalać, żeby czyjeś rozróbki uchodziły mu potem na sucho. Kapujesz?

— Tak sobie — ziewnął.

— Skończ z tym spaniem, jeszcze wcześniej, wypoczniesz... Ja też mam swoje kłopoty. I jak się okazuje, tylko sam je mogę rozwiązać. Nic i nikt tu nie pomoże. Więc co, mam się szarpać, przejmować? Guzik. Znajdę sposób, żeby sprawę załatwić. Najlepszy sposób to mordę obić takiemu, który płacze się nie tam, gdzie potrzeba. A jeśli to kobieta, powiedziec jej trochę do słuchu, niech wie, co o niej się myśli.

— A jeżeli nie można odejść, jeżeli się kocha?

— Kochałeś się?

— Chyba tak...

— Chyba, sam widzisz, że lipa to całe kochanie. Nie wierzę. A wracając do tego, co ci mówiłem, nie przejmuj się niczym, nie chodź jak wyciśnięta cytryna. Źle ci, zlej komuś kubeł, od razu ulży. Zawsze tak robiłem, myślę że i teraz też zrobię.

— Kogo ty chcesz bić? Daj spokój, Edek. Znów trafisz na milicję.

— Nie bój się. A kogo? Jak do tego już dojdzie, to ci opowiem. Idź spać, mało jeszcze rozumiesz.

Michał poruszył się niespokojnie i zaczął niepewnym głosem:

— Mówisz, że wystarczy obić mordę... To wcale nie tak. Słaba pociecha, że ktoś będzie miał sińce pod oczyma.

— Słuchaj, Michał. Byłeś dziś w nadleśnictwie? Co tam? — przerwał mu nagle, a Michałowi zrobiło się przykro, że słowa jego nie docierały do Edka.,

— Nic, nadleśniczy skrobie w papierach i wyzywa, że się spod nich już nie wygrzebie, tyle tego jest. A panna Wera, słyszałem, umawiała się z kimś do kina...

— Z kim? Mężczyzna? — zapytał gwałtownie.

— Nie wiem, chyba nie, wyglądało, jakby mówiła z dziewczyną.

— Aha. No i co?

— Nic. A ty czegoś chciał? Może Wera...

— Guzik tam Wera. Spać mi się nie chce. Kimaj, Michał, dobranoc. Aha, słuchaj, czy można już przejść suchą nogą przez zalewiska koło rzeczki, wiesz, żeby trafić do wioski?

— Jeszcze nie, tam najpóźniej obsycha. Ryzyko. Do mostka wprawdzie dochodzą kładki z żerdzi, ale niektóre pogniły...

— No to śpij.

Słuchał mocnego oddechu Mazura, wypił resztkę wódki, otrząsnął się z obrzydzeniem. Było mu duszno. Zrzucił z siebie koc, leżał nie przykryty. Myślał o radach, jakie udzielał przed chwilą podleśniczemu. Wiedział przecież dobrze, że się nimi niczego do końca nie załatwi. Oszukiwał sam siebie. Ale bo tak skotłowało się wszystko, świat tak obrzydł, stał się szary i ponury, że braknąć zaczynało już na nim miejsca. W dodatku cały bal przez dziewczęta. Co się z nim zrobiło na tym pustkowiu? Czemu tak przejmują się byle głupstwami. Zocha. Wera... Jakież to głupie, a mimo to boli. A może tylko drażni?

Ten list poranny od Zochy. Wykpiła się. Nie od dzisiaj tak się wykpiwa. Dwóch tygodni

nie trwał ich romans, a już zaczęła się wymigiwać, nie chciała spotykać się w Piszku, jakby się kogoś bała. Gdy jakoś docierał w końcu do jej pokoiku na górze szkolnego budynku, w gorących uściskach stawała się taka jak przedtem. Ale zaraz potem gasła, lekliwie wyprowadzała go na dwór, zaklinając, aby starał się z nikim nie zetknąć... Wypominał jej tamten motocykl. Zaśmiała się najpierw, ale potem bąknęła coś o dobrym znajomym. Że to kierownik młyna, mieli z sobą kiedyś trochę na pieńku, ostatnio się pogodzili, on ją przeprosił i teraz jest dobrze. Nic poważnego. Prychnął jej wtedy w nos, przypomniał bowiem relację Klema z jej dobrych znajomości olsztyńskich... Dobrze jeszcze, że nie awansowała tego młynarza na swego kuzyna. Dopiero byłaby uciecha. Jakoś go jednak ułagodziła. Tuliła się mocniej niż zwykle. I znów tej nocy całkiem zapomnieli się w sobie...

Potem był jeszcze u niej dwa razy. Wyraźnie zmieniła się. Bąknęła coś, że chciałaby wyjechać z tej wioski, głuchej dziury, jest tutaj osamotniona, z Trudą źle teraz żyją, taka moralistka, zimna jak żaba, nie rozumie, co znaczy chłopiec... Jest ktoś, kto chciałby się z nią ożenić. I ona nie wie, bo przecież Edek...

Żachnął się. Czy ona nie wyobraża sobie miłości bez małżeństwa? Bo jemu ani w głowie żeniaczka. Zostawia to dla innych, choćby dla tego kierownika młyna.

— Bo on jest inny, lepszy. Tobie tylko te sprawy w głowie...

Był zdumiony. Niczego jej nie obiecywał. Podobali się sobie, dobrze im było razem i tyle. Więc o co chodzi?

Nie chciała już więcej mówić. Zrzuciła mu ramiona na szyję, jakby z żalem szepcząc jego imię. Lubiła go jednak.

Powiedziała, że będzie go zawsze pamiętać, że na pewno nieraz zatęskni. Jasne było, że przygotowywała rozstanie, miała jakieś własne, inne zamiary. Nie mógł jej nawet mieć tego za złe. A jednak miał. Bo dotychczas to on zawsze odchodził od dziewcząt, tutaj pierwszy raz miałoby stać się odwrotnie. Czuł się urażony w ambicji. A i pragnął jej jeszcze, choć daleko już był od pierwszych szaleńczych uniesień. Może dlatego, że Wera wplątała się od nowa w to wszystko. A myślał, że tamto już wygasło, że obojętną mu będzie ta czupurna, jakże inna od łaskawej Zochy dziewczyna... Gdyby z Zochą nie plątało się teraz, przynajmniej w ten sposób utarłby nosa zawziętej Dziadoniównie. Tymczasem i ta wystawia go na pośmiewisko...

Tak, wszystko wskazuje, że to już koniec. Ten list dzisiejszy, właściwie kartka wyrwana z zeszytu.

Doręczyła mu ją za pośrednictwem robotnika, pracującego przy pielęgnacji leśnych szkółek. Pisała krótko, że dzisiaj nie może się z nim spotkać, tak jak się umawiali. I następny dzień też będzie miała bardzo zajęty. I w ogóle że mu da znać tą samą drogą, kiedy się wreszcie zobaczą. Tyle. Żadnego cieplejszego słówka. Tylko przed imieniem dodała: całuję.

Zmiał kartkę w kieszeni, a gdy znalazł się sam, zaklął w głos. Najlepiej byłoby odpisać jej krótko, tą samą drogą, że bardzo się cieszy, bo on w ogóle nie znajduje już dla niej czasu. Tak byłoby najprościej. Ostatecznie trochę się już zmordował zachłannością życia ostatnich tygodni. Mniej już, znacznie mniej ciągnęło go do dziewczyny. Tyle że miał czym czas zapełnić, był ktoś bliski, kto tulił się mocno i mówił serdeczne, gorące słowa. A jemu trzeba było tego ciepła.

Jeszcze do tego Wera. Obeszło go to stokroć więcej, niżeli przypuszczał.

W nieskomplikowanym życiu leśniczówki kalendarz nie był potrzebny. Edek często tracił rachubę dni, a już zupełnie nie orientował się w datach. Dlatego zaskoczył go powrót Wery. Jak co dnia zostawił traktor w nadleśnictwie, pieszo bowiem wracał do domu. Droga powoli już podsychała, postanowił któregoś dnia zmienić własne nogi na WFM-kę. Zaszedł do domu i pierwszą osobą, na którą się natknął, była Wera.

Stanął przed nią zbaraniały, długo trwało, nim się wreszcie przywitał. Śmiała się ubawiona jego zażenowaniem.



— Jednym słowem, tak zwane osłupienie, nieprawdaż? A ja już dwa wieczory zastanawiam się, czemu to wieńczony złomem myśliwy nie raczy tu zajrzeć, choćby dla zwykłej grzeczności. Nie czekałam kwiatów, ale odrobiny pamięci. Bo i na kartkę nie otrzymałam odpowiedzi...

— Wera, dosyć! — zaczerwienił się z irytacji. — Skąd mogłem wiedzieć, kiedy powracasz, ciągle zmieniałaś terminy. Najprościej było wyjść przed dom i przywitać się.

— Prawda — przyznała. — Tylko, widzisz, przyjemniej mi byłoby...

Zrozumiał. Oczekiwała z jego strony dowodów pamięci, przywiązania, kto wie, może tęsknoty. Żałował teraz, że tak łatwo wyrzekął się tej dziewczyny przed samym sobą. Wyłądniała przez ten miesiąc nieobecności. Zadarty nosk marszczył się pociesznie, duże niebieskie oczy wpatrywały się w niego uporczywie spod grzywki krótko uciętej fryzury. W lekkiej sukience wyglądała piekielnie zgrabnie. Zapatrzył się na dziewczynę, jakby ją pierwszy raz widział. Podobało się jej to, uznała jednak, że nie należy przedłużać tej niemej kontemplacji.

— Wydawało mi się, że jesteś rozmowniejszy. O, Sumy zbierają się, jak widzę, w komplecie...

Obejrzał się, do nadleśnictwa szedł Mietek. Z daleka już wymachiwał ręką na przywitanie.

— Dzień dobry, nie wiedziałem, że przyjechałaś.

— Wszyscyście jednakowi — zadąsała się.

— Dobra, Edek, że jesteś. Przyszedłem, żeby ci zaproponować odstawienie motoru do domu. Czas, żebym się nauczył prowadzić. Zgoda.

— Dobrze, dobrze.

Edek i rad był ze zjawienia się Mietka w kłopotliwym momencie, i zły zarazem na niego. Odżyły dawne niepokoje, gdy myślał o dziewczynie. Coś go złapało za gardło i oczu nie mógł od niej oderwać. Co się z tobą dzieje, zapytywał sam siebie.

Mietek rozgadał się, paplał Werze o wszystkich nowinach, zapowiadał się na dłuższą wizytę. Przypomniał wreszcie, że ma wręczyć nadleśniczemu jakieś papiery.

— Ojciec w gabinecie — poinformowała.

Przysiedli z Edkiem na małej ławeczce przed gankiem. Już się opanował, wracała mu pewność siebie; razem ze świadomością, że to wcale nie koniec, że myśli o tej dziewczynie wcale tak łatwo się nie wyzbędzie.

Słońce już opadło ku zachodowi, na ziemię słały się długie cienie, powietrze wibrowało ciepłymi falami.

— Ładna jesteś, Wera — uśmiechnął się.

Zatrzepotała rękami, chciała odpowiedzieć uszczypliwością, ale tylko się uśmiechnęła i spojrzała nań bez zwykłych figlarnych błysków w oczach.

— Cieszę się, że tak mówisz — powiedziała bardzo prosto.

Spojrzał na swoje umorusane ubranie, potem na garaż, gdzie stała WFM-ka leśniczego.

— Chętnie bym został dłużej, ale brudny jestem po pracy, no i ten, Mietek, znalazł czas na myślenie o prawie jazdy — sarknął.

— Takiś pewny, że i ja bym chciała twój obecności?

Zaśmiał się lekko. Przecież to widać z jej twarzy, z nowego, bardziej intymnego tonu głosu.

— Jutro będę cię czekać...

— No, już gotowe. Garaż otwarty. Możemy jechać.

— Powoli, zdążymy — warknął Edek.

Wera zaśmiała się, musiał jej zawtórować. Mietek przyjrzał się obojgu, nie bardzo rozumiał, w czym rzecz.

Dłużej przytrzymała rękę Edka w swej dłoni. Widzieli, jak stała na ganku i spoglądała za dymem spalin.

Gdy dobrnęli do Sumów. Mietek zapytał Edka z przyjemnym uśmiechem:

— Widzę, że dzisiaj nie bardzo jesteś chętny do wysyłania jej w diabły. Jak teraz wybrniesz z kabały, Zocha i ona? Powiem ci prawdę, trochę mi Wery żal, to bardzo porządna dziewczyna i nie wiem, czy dobrze, że inaczej patrzy na ciebie niż na innych. To widać wyraźnie.

Edek przybliżył ku niemu swą twarz.

— Pilnuj swoich spraw, Mietek. Jasne?

Przyciszony jego głos zabrzmiał groźnie. Mietek pokiwał głową. Tak, naprawdę szczerze mu było żal Wery.

Odechciało mu się nauki jazdy. Odszedł, rzucając tylko dla informacji:

— Kulczyk niedługo przyjeżdża.

Mało Edka to obchodziło. Myślał o Werze. Właściwie Mietek ma rację, szkoda dziewczyny. Jednak trochę musiała za nim tęsknić, czekała na list, miała nadzieję, że spotka go w dzień powrotu. Nie to zresztą jest najważniejsze. Problem z Zochą. To już nie pocałunki z jakąś Lodzią na strażackiej zabawie. Trochę grubsza historia. Wera nie zniesie konkurentki. Zresztą i nie w tych kategoriach sprawa. Zocha nie jest konkurencją. Wiadomo, że to przelotna historia...

Zaraz, zaraz, pohamował własne zapędy. A z Werą miałyby stać się inaczej? Trwalej? Et, bzdura! Trzeba z niej w ogóle zrezygnować. Łatwizną tu nie ujedzie, na pewno nie zaprosi go ona do swego pokoju, nawet gdyby nie było rodziców. Inna jest i szkoda zachodów, aby jej głowę zawracać. Jej i sobie... Tak, droga już podeschła, z biedą przepcha się przez nią traktorem. Zamiast do nadleśnictwa, przyciągnie „Zetora” tutaj, w ogóle nie pokaże się w pobliżu dziewczyny. Obrazi się i wszystko się rozejdzie po szwach.

Cóż z tego, że tak sobie postanowił, gdy długo w noc, rad, że Michał nocuje u siebie, przewracał się na łóżku i nie mógł wytracić z pamięci obrazu tej drobnej, piekielnie zgrabnej dziewczyny o ironicznym uśmiechu i marszczącym się nosku. Cóż z tego, gdy rano zabrał ze sobą zawiniątko z innym ubraniem, kryjąc je wśród dłużyc przy szosie. Cóż z naiwnych ślubowań, gdy wcześniej niż zwykle skończył robotę i umyty, przebrany, wjechał traktorem na podwórze nadleśnictwa.

— O, jaki pośpiech! Nie lubisz zasypiać gruszek w popiele — przywitała go po swojemu, choć wydało mu się, że w kpince tej zadźwięczał jakiś nowy ton.

Zaproponował spacer. Poszli drogą wzdłuż gęstego jedlniaka, klinem wciskającego się między dostojny starodrzew świerkowy.

Ujął jej dłoń. Łagodnie wysunęła ją, schylając się po polną stokrotkę przy skraju drogi. Czuł się znowu niepewnie. Coś niedobrego wisiało w powietrzu. Słowa rwały się, gadali o głupstwach, było jakoś inaczej niż wczoraj. Odeszli już dosyć daleko od domu. Wtedy stanęła, zajrzała mu w oczy, uśmiechnęła się smutno.

— Wczoraj, jakeśmy się pożegnali, myślałam patrząc za tobą, że dzisiaj będziesz musiał mnie pocałować...

Odetchnął. Ach, więc nic innego, jak to właśnie zmieniło jej nastrój. A on już bał się nie wiedzieć czego. Przysunął się do dziewczyny, chciał ją objąć.

— Zaczekaj, Edek. To wczoraj tak myślałam. A dzisiaj chciałam cię zapytać o parę rzeczy. Można? I prosić, abyśmy rozmawiali ze sobą zupełnie szczerze.

— Proszę, ale o co chodzi?

Wiedział już doskonale, ale przecież coś musiał odpowiedzieć. Psiakrew, głupia kabała.

— Bardzo ty lubisz Zośkę, tę nauczycielkę? Bo przecież często się widujecie, prawda?

— Ktoś ci bzdur musiał nagadać.

— Zostawmy tego kogoś w spokoju. Jak jest naprawdę z Zochą?

— Daleko mi do kochania. Miła dziewczyna, ładna i tyle. Ale miłość za wielkie słowo.

— A czego ty chcesz, Edku, ode mnie? Też jestem miła, może i ładna, tak przynajmniej

wczoraj mówiłeś. Bo ja się nie lubię całować tylko dla całowania. Próbowałam, nic ciekawego...

— Wera, daj spokój. Że się trochę przespacerowałem z tamtą dziewczyną, cóż w tym złego?

— Ależ nic, na pewno nic. Ja zresztą nie mam żadnych uprawnień, aby ci coś zarzucać. Tylko myślę, że teraz za nic bym już nic chciała, abys mnie pocałował. Chyba rozumiesz, prawda?

— Mam odejść? — obruszył się nie wiedzieć czego. — Klem przyjeżdża, może on będzie ciekawszy.

I złość, i żal pchały mu na usta dalsze słowa, wyrzuty, kpiny, może nawet obrazy. Pohamował się jednak. Czuł się jak smarkacz wytargany za uszy.

— Nie zatrzymuję. Nie mówiłam o zrywaniu znajomości. Tylko o tym, że ja nie lubię być kolejnym czy równoległym obiektem czyichś amorów. Takie już są moje uprzedzenia.

Złość minęła nagle, spojrzał na nią proszącym wzrokiem.

— Wera.

— Proszę?

— Ja się z nią więcej nie będę widywał. To naprawdę bez znaczenia.

Zaśmiała się złośliwie.

— Nie trudź się. Nie warto. Wracajmy lepiej, bo chłodno. Zostaniesz u nas na herbacie, prawda?

Teraz on zaśmiał się. Przy ganku pożegnali się. Wyciągnął z traktora zawiniątko z roboczym ubraniem, wsadził pod pachę, oddalał się szybko, jakby go coś goniło. Nie oglądał się, i tak był pewien, że na pewno nie spogląda za nim jak wczoraj.

Na wieczór umówiony był z Zochą. Przedtem myślał, że właśnie on zawiedzie tym razem, wcześniej zakończy sprawę, nim go usunie z jej objęć kierownik młyna. Teraz pędził do Pizsa, pedałując, ile tylko mu sił starczało.

Wrócił nad ranem.

Mimo gorących pieścizot dziewczyny mało przyczyniła się ta noc do zmiany jego nastroju.

Zaraz potem skomplikowały się i stosunki z Zochą. Aż dzisiaj rano nadeszła ta kartka od niej. Zatem dziś nic z ich spotkania, i jutro, i w ogóle nie wiedzieć kiedy.

Michał pochrapywał przez nos. Edek pomyślał, że i on ma swoje kłopoty. Nie bardzo wprawdzie rozumiał, czemu w końcu tak bardzo przejmuje się młody Mazur ludzkimi gadaniami.

Kłusownik, kierownik młyna. Sam nie wiedział, czemu nagle zaczął kojarzyć ze sobą te dwie postaci. Nie miał właściwie żadnych dowodów. Że mu coś znajomego mignęło w sylwestrze motocyklisty, to przecież nie ma znaczenia.

A mimo to nie mógł obronić się od myślenia o tej sprawie w kategoriach coraz bardziej realnych. Rozwazał słowa zasłyszane od Michała. Gdyby to nawet było prawdą, żadne jego świadectwo nie ma znaczenia. Trzeba dowodów rzeczowych. Ba, to nieosiągalne... Ale puścić łajdakowi całą rzecz płazem? Mało już kłusownictwa, tym niech się martwią Gasiniec czy Paweł, to ich zadanie, ale drań strzelał do ludzi. Do leśniczego i do niego. Szczęście, że nie trafił, choć to nie zmienia istoty, faktu. Musi być jakaś kara na łobuza.

Drgnął. A gdyby tak naprawdę sprawdzić i potem gruntownie obić facetowi mordę? Mówiąc do Michała, raczej żartował, teraz zaczął zamyślać nad tym poważnie. Oczywiście równałoby się to zerwaniu z Zochą, pal sześć, może to nawet i dobrze. Dziewczyna pali się do tamtego, i tak nie wskóra długo w tej konkurencji. Zresztą miał już jej trochę dosyć. Odczuwał znużenie po tylu razem spędzonych nocach.

Usnął wreszcie, ale pierwsza myśl po zbudzeniu dotyczyła tych samych spraw. Musiał się decydować. Najpierw jednak należało sprawdzić.

Około południa zostawił „Zetora” w tartaku, sam zaś pomaszerował nad Pisę, aby przyrzec się staremu młynowi. Przegrodzona tamą ze śluzami, rozlewała się w szeroki, mocno po brzegach zarośnięty staw. Przez wysoko podniesione zapory śluz woda spadała na drugą stronę grobli pieniając się obficie kaskadą.

Przystanął na podmurszałym drewnianym mostku, przyglądał się zmaconej wodzie. Brzegi stawu strzępiły się w małe zatoczki, chronione przez nawisie nad nim gałęzie krzewów. Obok Edka zatrzymał się stary chłop z biczyskiem w ręku. Widocznie czekał na swoją kolej przemiału.

Na bardziej nasłonecznionym brzegu stawku woda mieniła się drobnymi falami, chwilaми niemal kipiała.

— Jaka to im uciecha. Jest tego tutaj — długim biczyskiem chłop wskazywał na rozdraganą wodą.

— Czego? — spytał Edek.

— Krasnopiórka, tarło ma... Tu w ogóle ryba dobrze się trzyma. Lin ładny, trafiają się i sumy. Muł wielki, dlatego. Tylko że kierownik nie pozwala odławiać.

— Czemu?

— A kto go wie. Mówią, dla siebie szczeni... O, idzie właśnie.

Edek drgnął, ręce wsparł mocniej o poręcz mostka. Wysoki, barczysty mężczyzna średniego wieku kołysał się z nogi na nogą. Ten chód przypominał sobie przecież doskonale. Tak, to jegomość z Pizy. Ten z lasu. Ten z motocykla. Zgadzało się. Hamował się całą siłą, przechylił się nad poręczą, pilnie wypatrując w wodzie. Wzburzony był, dawne wspomnienia nadbiegły gorącą falą, dołączyła się gorycz porażki z Zochą, zwyczajna męska gorycz. Tylko nie zrobić teraz głupstwa, tylko zachować spokój.

Słyszał odgłos kroków swego wroga. Minęły go, zacichły na zdeptanej, podmokłej ziemi. Gdy się Edek obejrzał, kierownika już nie było. Zniknął w ciemnym wejściu do młyna.

Odszedł bez słowa. Chłop z biczyskiem obejrzał się za nim zdziwiony.

W Edku wszystko wrzało. Więc jednak odnalazł go. A tak się zawsze oglądał po miasteczku, szukając znajomej, nienawistnej sylwetki.

Zszedł nad brzeg stawku, aż na miejsce, gdzie ryby kipiały w miłosnych zapałach. Stojąc przy okrywających się drobnymi listkami krzewach, przyglądał się, jak igrają barwne wzdregi. Oszołomione miłosnym stanem, nie bały się wcale, kłębiły się przy samym wierzchu, duże nieraz na łokieć, o karminowych płetwach i złocistych łuskach. Duże oczy barwy dobrze wyczyszczonego mózdzierza odbijały promienie słoneczne w chwili, gdy któraś sztuka wychynęła na moment nad wodą. Pluskały, ocierały się, przepychały, jakby brakło im miejsca. Ciemnozielone grzbiety sunęły wynurzone nad powierzchnię, potem ryby odbijały się ogonami o wodę i jakby kozły fikały, odsłaniały lśniące boki, a nawet podbrzusza. Czerwieniły wtedy wodę jaskrawością obfitych płetw, jakby wymyślnym godowym strojem.

Długo się im przyglądał, odzyskując zachwiany spokój. Spokój pełniejszy niż kiedykolwiek dotąd. Bo nawet wspomnienia dziewcząt, szczególnie zaś Wery, zatarły się z chwilą, gdy powziął decyzję przeprowadzenia rozprawy z kłusownikiem na własną rękę. Bo prawda, cóż mógł mu udowodnić? Jak potwierdzić, że to on strzelał, że on napastował w ciemnej uliczce Pizy. Któż by uwierzył jego, Edka zeznaniom?

Snując się swoim „Zetorem” po do znudzenia znanej już drodze, ładując ciężkie dłużyce, obmyślał warianty ich przyszłego spotkania. Nie w Pizy, nawet nie koło młyna. Ale też i nie bezpośrednio u Zochy, gdzie bywa z całą pewnością.

Kłębiło się w podnieconym i skołowanym łbie. Wziąć ze sobą jakieś żelazo, ułatwić sobie w ten sposób zadanie? A może wykraść dubeltówkę leśniczego? To byłoby najprostsze... To też najbardziej kuśiło.

Gubił się w tej rozterce. Od przeżyć po historii z Gasińcem zaprzysiągł sobie nie walczyć inaczej, jak czystymi rękami. Na zabawie mógł chwycić jeden czy drugi kufel, butelkę,

krzesło. Ale czynił to jawnie, na oczach przeciwników i widzów. Inni mieli podobne możliwości. Ale tutaj napadać niespodziewanie, z zasadzki, trzaskać w głowę żelazem, strzelać? Nie, po stokroć nie! Aż się wzdrygał na samą myśl. Zresztą nie miał przecież zamiaru zabijać. Nawet nie kaleczyć. Po prostu dać jegomościowi zwykłą męską nauczkę. Ale wtedy przypominał się pochmurny wieczór jesienny w Pisz, ciemna uliczka i piekielnie mocny cios kłusowniczej dłoni. Podobne ciosy mogą posypać się w odpowiedzi także i teraz. Szanse byłyby zupełnie nierówne. Więc jak?

Przywołał na pomoc cały rozsądek. Nie chciał działać w zaślepieniu. Postanowił cierpliwie poczekać na odpowiednią chwilę. Wtedy wystąpić. Na prawach równej szansy. O tak, to najszlachetniej. Jeśli przegra, to trudno.

Ta decyzja przywróciła mu równowagę. Bawił się z Mrukiem, potem pomagał Mietkowi w przygotowywaniu wędek na węgorze. Od maja można je łowić.

— Nocą, rozumiesz? Ciepło, łódką podjedź się w trzciny, na płytkiej zatoce, gdzie najchętniej żerują. Można różnie, z dzwoneczkiem, ale to niekoniecznie, bo one biorą mocno i ciągną od razu pod korzenie, krzewy czy trzciną, aby owinać się wokół nich... Mówię ci, cholerna emocja, trzeba tylko ciepło się ubrać. Jeszcze jak trafi się księżycowa noc. Koło rzeczki też dobrze biorą. Może znowu będziesz miał szczęście, jak z tamtym sandaczem.

— Albo jak z tym pierwszym szczupakiem. Aleś zrugał mnie wtedy.

— Szkoła pomogła, zaraz zrobiłeś się stary fachman rybacki — śmiał się Mietek. — Dzisiaj już późno, ale jutro możemy przejść się do Pawła, zobaczymy, jak się mu żyje. Wiesz, on chce za miesiąc, dwa brać ślub.

— Wariat.

— Może, nie wiem. Brzydka to ona nie jest, ma coś takiego w wyrazie twarzy, wiesz...

Edek zaśmiał się. Jakoś się jeszcze nie gadało mu z Mietkiem o kobietach w ten sposób. A do Pawła chętnie się wybierze, morowy chłopak. Teraz już pan leśniczy, a jakże. Poradzi sobie, ma łeb do tych rzeczy.

Do zmroku ganił na WFM-ce. Mietek coraz sprawniej zataczał ósemki na gładkiej murawie podwórza.

— Żeby tak drugi motor, można by i do Olsztyna się machnąć, co?

Słuchali potem w gabinecie transmisji z międzynarodowego meczu piłkarskiego. Przegraną Polski przyjęli ponurymi minami. Ale w ogóle zapanował tego wieczoru w leśniczówce jakiś dawno już nie znany, rodzinny nastrój. Nawet Michał śmiał się razem z innymi i zdawał się mniej trapić swymi sprawami.

Gdy układali się do snu, zagadnął go Edek ponownie:

— Widziałeś, jak kolo rzeczki? Można się teraz przedostać?

— Trochę podeszło, ale grząziel. Chyba kładką na mostek, ale wszystko oślizłe. Ryzyko. Czemu ciągle o to się pytasz?

— Bo mi przez Pisz daleko, rozumiesz?

— Uhm. To Truda już razem nie mieszka?

— A niech cię diabli. Daj mi spokój ze swoją Trudą.

— Jak to, Edek, więc Truda? A ja myślałem, że Zocha.

— Cymbał! Osioł!

Zdetonowany Michał machnął ręką i zaczął się rozbierać. Edek leżał ćmiąc papierosa. Mazur śledził uważnie. Już raz omal nie doszło do pożaru, gdy Edek zasnął z tłym się papierosem. Żar spadł na koc.

Księżyc przesunął się i niebieskawym swym światłem ślepił prosto w okno pokoju, spadł wreszcie na Edkowe posłanie, uparczywie jakby przyzywająco zaglądał mu w twarz.

Tak, on jest najbliżej, zdawałoby się, że tylko ręką sięgnąć. O tak...

Edek nie wiedział, spał czy tylko drzemał. Usiadł na łóżku, księżyc swym dziwnym światłem oblewał pokój. Michał chrapał. Było dopiero piętnaście po dziesiątej. Nie minęło

więc pół godziny od chwili, gdy ułożyli się do snu.

Siedział na brzegu łóżka, wahał się. W dwa papierosy później zdecydował się. Przeszczerzeń za oknem kusiła, przyciągała niebieskawa poświata. Ubrał się szybko, wciągnął gumowe buty, włożył w kieszeń latarkę. Cicho skrzyknęły drzwi, Mircia zawarczała z części domu zajmowanej przez leśniczych. Noc była chłodna, jasna, niebo wytapetowane gwiazdami, między którymi jak kogut w kurniku panoszył się księżyc. Edek wstrząsnął się od zimna, ruszył dla rozgrzewki truchcikiem. Było na tyle jasno, że bez trudu, nawet wśród drzew, odnajdywał leśne szlaki. Wbrew Michałowi ryzykował przeprawę przez rzeczkę. Skracalo to drogę do niemal że jednej piątej. Nie będzie przecież tłukł się wokoło rowerem. Przystanął na skraju rozległych łąg nadrzecznych, upstrzonych plamami ciemnych w blasku księżyca krzewów i rozrostłych drzew wierzby.

Wyszukał mocną i długą tyczkę. Potem za pomocą latarki wytropił kładzioną z żerdzi kładkę, wiodącą aż po spróchniały mostek. Gumowe buty ślizgały się po nasiąkłym wodą drzewie. Kilka razy noga obsunęła się w zimną topiel. Żerdka, którą się podpierał, z bulgotem zanurzała się w rozkisie błoto. Dobrnął tak w pobliże mostka. Rzeka, wezbrana wiosennymi wodami, rozlewała się szeroko, sięgając aż do podcieni mostowych. Zrobił dalszy krok, tapnęło, żerdka pod ciężarem ciała zanurzyła się głęboko, zachwiał się, drzewo prysnęło spod nóg, runął w namuloną brudną wodę, latarka frunęła na bok. Wygmerał się, spluwał wodą zmieszana z namulem, gwałtownie czepiał się żerdzi, klnąc w duchu całą wyprawę. Długo trwało, nim dobrnął wreszcie do mostka. Ociekał wodą jak lniany sernik serwatka. Dygotał.

Z drugiej strony brzeg był wyższy, parę kroków i stanął na suchym gruncie. Uśpiona wioska leżała przed nim, znacząc się ciemnymi konturami drzew i chat. Stał rozżalony. Zdawał sobie sprawę, że to wszystko nie miało sensu. Jakaż gwarancja, że właśnie dzisiaj kierownik będzie u Zochy? Na próżno zmarnował noc, kto wie, jakie jeszcze będą skutki kąpieli. I kędy teraz zawracać? Chyba nie zaryzykuje ponownej przeprawy przez moczary? Oglądnał się na przebytą drogę. Księżyc odbijał w okienkach i szerszych kałużach wody. Niewyraźnie znaczył się ciemny szlak kładki.

Błysnęło mu, by pójść do Zochy, u niej wysuszyć ubranie, ogrzać się, wypić coś ciepłego. Łagodnie wznoszącą się ścieżką począł iść ku niedalekim domom. Wyczuły go psy, rozdarły się natrętnym ujadaniem. Klął je serdecznie. Gotowe postawić wszystkich na nogi.

W ten naszczek od strony lasu wpadł nagle warkot motoru. Poznał go od razu. To „Zündapp”. A jednak! Wracają z Pizsa. Byli najpierw w kinie, a potem zasiedzieli się w kawiarni, może Zocha była u niego.

Stał niepewny, co robić. Światło reflektora długim pasem znaczyło drogę, omiatało domy, gubiło się pomiędzy nimi.

Nagle zrozumiał, że oto nadarza się najlepsza okazja. Jeśli wjeżdża tak śmiało motorem do wioski, to dowód, że nie będzie gościł dziś u dziewczyny. Może też ona postępuje z nim inaczej? Podobno tak robią dziewczęta w stosunku do mężczyzn, z którymi wiążą poważniejsze zamiary. Kierownik zatem odwiezie ją i najpewniej po niedługim czasie zawróci. Trzeba mu zabiec drogą, tam, w lesie.

Nie bez ironii pomyślał, że zamiast w ciepłych objęciach dziewczyny rozgrzeje się w walce z kłusownikiem.

Poderwał się i pobiegł w przeciwną stronę niż ta, w której zniknął motocykl. Warkot ustał. Edek słuchał, czy tamten wygasza motor. Ale ujadanie psów głużyło wszystko.

Bieg rozgrzał go trochę, choć nogi przestawiał z trudem, tak ciążyło nawilgłe ubranie. W pewnej chwili przysiadł na jakiejś kłodzie, aby wylać wodę z gumowych butów. I znów zerwał się do biegu. Bo jeżeli tamten zaraz zawróci, przepadnie wyśmienita okazja. Dyszał ciężko, ale i las był coraz bliżej. Teraz śmiało już wybiegł na drogę, domy wioski zostały poza nim.

Już drzewa, tam zaraz muszą być metry opałówki. O, bieleją przepołowionymi pła-

szczyznami. Nie słysząc jeszcze warczenia motoru. To dobrze, odpocznie trochę. Zaraz, ale jakże go tu zatrzymać? Doda gazu i minie zasadzkę...

Chwytał ciężkie metrówki, tarasował nimi drogę. Dopiero wówczas odetchnął spokojnie. Reflektor wymaca przeszkodę, kłusownik będzie musiał zatrzymać się. Wtedy wyjdzie naprzeciw niego. Powie krótko co i jak. Niech się broni. Ponownie uświadomił sobie w tej chwili, że tamten jest zdecydowanie silniejszy i szanse wcale nie będą równe.

Zatem zostają mu spryt i zwinność przeciwko sile.

Przysiadł na którejś ze szczap. Serce rozdygotane po biegu, uspokajało się. Już nie odczuwał zmęczenia. Tylko chłód od nowa osaczał go zachłannie.

Motoru ciągle nie było słyszeć. Zdziwił się. Czyżby już Zocha aż tak jawnie obnosiła się ze swymi sprawami? Zaczynał wątpić, czy doczeka się tutaj swojego wroga. Długo tak nie wysiedzi w mokrym ubraniu. Sięgnął po papierosa. Znalazł w kieszeni jedynie niekształtną, nawilgoconą masę tytoniu. Smętnie pokiwał głową.

Zdawało mu się, że nie opodal stoi Wera i intensywnie wpatruje się w niego ironicznymi oczyma. A potem przecząco potrząsa głową. Nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Od wioski dobiegł narastający warkot „Zündappa”. Otrząsnął się z widziadeł, myśląc, czy nie ma czasem gorączki; nietrudno o nią po takiej kąpieli. Powstał, skupiony już, zniknęło uczucie chłodu, narosła świadomość własnej siły.

Zza niedalekiego zakrętu wy błysła smuga światła i zamigotała, przełamując się na gałęziach drzew. Edek pomyślał, że właściwie wszystko to nie ma sensu, on zaś pakuje się po wariacku w nieprzytomną awanturę. Jednocześnie skupił się, przykucnął za pnem świerkowym. Motocykl hamował z wizgiem opon, przystanął o metr przed zwałonymi w poprzek drogi szczapami. Z siodełka zgramolił się wśród przekleństw rosły mężczyzna, rozglądał się, drgnął, gdy z cienia wyłoniła się nagle mroczna sylwetka.

— Chwileczkę — rzekł sucho Edek.

— Co jest? Kto ty? Przecież mogłem się tutaj zabić.

— Nie ma strachu. — Edek podszedł bliżej. Tamten mógł już zobaczyć dziwną, pokapującą wodą postać z umorusaną mułem twarzą.

— Ach, to ty, pętaku! — poznał nareszcie, głos mu narósł wściekłością.

— Tak, ja, ten z lasu, do którego strzelałeś, i ten z Pizsa, z zaułka. Ty kłusowniku, bandyto!

Tamten charcząc ruszył ku niemu.

— O, właśnie o to chodziło!

Mokry cień uskoczył przed wyciągniętym w ciosie ramieniem motocyklisty. Z boku natarł na wysoką, barczystą postać. Kilka silnych uderzeń, jedno po drugim, odskok, spóźniony, bo ciężka jak bochen łapa osiadła na szczęce Edka. Stęknął i zaraz poderwał się swym słynnym ongiś w Olsztynie „bykiem”. Zadudniło przy zetknięciu jego głowy z podbródkiem kłusownika, który zachwiał się, ale już odzyskał równowagę, o mały włos, a byłby złapał odskakującego napastnika. „Oho, pomyślał Edek, tylko nie to. Jak mnie złapie, to będzie już koniec, nie dam z nim rady”.

Przeszkadzało mu nasiąkłe wodą, ciężkie ubranie. Skupił się. Przeciwnik nacierał. Bokserską gardą osłonił się przed paru uderzeniami, inne odrzuciły go w tył, omal nie potknął się o szczapę, rozpaczliwym skokiem prysnął w lewo, trzasnął młynarza w nalany policzek. Zarechotał tylko wśród przekleństw. Edek aż ugiął się pod nowym ciosem. Czuł, że przegrywa, że wszystko na nic, ulegnie i nie wiadomo, co się z nim stanie.

Tym razem już nie uniknął zwarcia. Obłapiły go twarde ramiona, tchu zbrakło w klatce piersiowej, wolną prawą ręką zaczął młócić jeszcze po pulchnej, kwadratowej gębie, ale czuł, jak słabnie coraz bardziej. Ostatnim zrywem podciął przeciwnikowi nogi. Z trzaskiem i łomotem zwalili się na ziemię, ucisk wrogich ramion na chwilę rozluźnił się. Edek wyrwał się z nich silnym szarpnięciem.

Błysnęła mu myśl, aby uciekać. Ucieczka? Nie! Nigdy jeszcze mu się to nie zdarzyło. Będzie, co ma być. Tamten już powstał, rwał do przodu jak taran. Edek dla zmylenia podskoczył, jakby chciał atakować, i nagle zwinął się, całym ciałem runął na ziemię, prosto pod nogi kłusownika. Podrywając się oberwał obcasem w głowę, ale już przypadł z boku do leżącego, spuścił na uchylającą się gębę grad twardych uderzeń, odrzucił rękę chwytającą go za rękaw, szarpnął się do tyłu. Nie zdążył. Potężnym kopniakiem w brzuch odrzucił go przeciwnik daleko od siebie. Edek grzmotnął z rumorem na ziemię, zamroczony piekielnym bólem. Znalazł jeszcze tyle sił, by się poderwać, odskoczyć przed zwałającym się na niego młynarzem.

Motor pracował spokojnie na wolnych obrotach, reflektor oświetlał niemo przyglądające się dziwnemu widowisku świerki i brzozy. Edek usłyszał mocne, gwałtowne sapanie kłusownika. To mu wróciło nadzieję. „Męczy się szybko”, pomyślał.

Odparował atak uchYLENIEM głowy, sam trafił celnie, gdzieś w okolice oka, jak wyczuł twardo zwiniętą pięścią. Kłusownik zawył z bólu i pasji. Już nie obliczał z precyzją ciosów, młócił swymi dłońmi, wielkimi i twardymi jak bochny czerstwego chleba. Czasem trafiał i wtedy Edek czuł, że się chwieje, widział blaski przelatujące mu przed oczyma. Jedyńy sposób to sprężyć się odbić się w takiej chwili nogami, odskoczyć, natrzeć z boku. O, tak, i jeszcze, jeszcze! A teraz można zaryzykować byka.

Jęknął. Nie udało się, źle musiał obliczyć, nadział się po prostu na straszną pięść. Rechot i stek kłąt. Ciemna masa zrywa do przodu. A tu przed oczyma migoce, nogi się uginają w kolanach. Lewym sierpem, tak, dobrze. Och, ależ ma cios! Zgiął się w pół, przewinął pod groźnym ramieniem. Już lepiej, minęło. A myślał, że omdleje. Teraz, facet dyszy jak miech. Kto dłużej przetrzyma?

Uwaga, kopie. Uchylił się, but zahaczył go jedynie o bok. Kłusownik na chwilę stracił równowagę. Edkowi ten widok przywrócił siły. Podbił mu nogę, waląc zarazem pięścią w kwadratową, wilgotną gębę. Dobrze. Zwalili się na wilgotny piach. Edek nagle zacharczał, złapany za gardło. Zamłócił obydwojoma ramionami. Puścił, musiał się bronić. A teraz nalot na tę skrzywioną gębę. Jeszcze, jeszcze, jeszcze. To nic, że on też siecze, też wali, też wie, że najbliższe chwile zadecydują.

O diabli! Kłusownik szarpnął się, odbił nogami od ziemi, teraz on nakrył Edka ciężkim swym ciałem, puścił w ruch pięści. Teraz już koniec. Nie, nie koniec. Cielsko draba przechybneło się trochę na bok, Edek skorzystał, resztą sił przerzucił swój uwięziony korpus na tę samą stronę. Kłusownik zachwiał się, musiał podeprzeć się dłonią o wilgotny grunt. To wystarczyło, aby Edek mógł się wyśliznąć. Nie dał tamtemu przyjść do równowagi, natarł desperacko, straszliwie. Jeżeli teraz nie poradzi, to potem więcej sił już z siebie nie wydobędzie.

Tak jeszcze nigdy się nie bił. Na nikogo nie puścił takiej ulewy ciosów. Nikt z dotychczasowych jego kompanów nie wytrzymałby podobnej mordowni, a ten wciąż jeszcze odpięrał uderzenia, wierzgał nogami, ukląkł nawet, próbując powstać. Teraz. Gruchnęło i młynarz całym ciałem runął do tyłu. Tak, przysiąść draniowi na piersi, przydusić sobą i walić, i młócić, i trzaskać, żeby nie znalazł chwili wytchnienia. Pięści jego już słabo pracują, zatraciły swoją piekielną siłę, już przechyliła się szala. Tylko uważać, uważać jeszcze i ciągle tłuc, tłuc, tłuc...

Siekł jak automat. Aż wreszcie usłyszał jęk i potem syczącą prośbę:

— Zostaw...

Przygniatając mu swym ciężarem piersi, zastygł z ramieniem wzniesionym do uderzenia.

— Zostaw... I powiedz, czego ty chcesz? — sepleniał, spluwał na stronę.

— To mała nauczka za tamte strzały do ludzi, rozumiesz, bandyto? To za te trzepnięcia w piskim zaułku, po kinie, pamiętasz, draniu? To za kłusowanie po lesie, jeśli chcesz wiedzieć. To za...

Tu Edek umilkł. Nie, nie za Zochę przecież się bił. Jeśli takiego drania sobie wybrała,



niech się nim cieszy. I w tej dziwnej chwili uczuł, że go ta dziewczyna nic a nic więcej już nie obchodzi. Tak, jakby jej nigdy nie było.

Młynarz szarpnął się pod nim.

— Uwaga — syknął w odpowiedzi.

— Nie, zostaw, już nie chcę... — i mełł jakieś przekleństwo w wykrzywionej gębie.

— Teraz uważaj. Jeżeli ktoś z nas złapie cię jeszcze na kłusowaniu, nie wyjdiesz żywy, rozumiesz?

Kłusownik stęknął przeciągle.

— O dzisiejszej zaś hecy słowa nie piśniesz, bo inaczej my cię wsypiemy za sprawy z Wierzbikiem i Marcińskim. Oni nie gadają, ale my wiemy, mamy dowody, pojmujesz?

— Tak. — Powiedział to bardzo wyraźnie, aż Edek pomyślał, że przypadkiem musiał utrafić w sedno sprawy.

Ostrożnie podniósł się, ani na chwilę nie spuszczać oka z leżącego.

— Nie próbuj wstawać — powiedział.

Podszedł do „Zündappa”. wyłączył motor, zgasił reflektor. Drogę zaległa nagle ciemna noc. Wszystko pograżyło się w cieniu. Edek zszedł na bok i miękkim poszyciem ruszył w kierunku Piasków. Obmyje się u Pawła i poprosi go o pomoc w odprowadzeniu do domu. Sam nie poradzi na tych piekielnych rozlewach.

Czuł zmęczenie. Jakby ktoś wycisnął go jak cytrynę i pozostawił same strzępy. Z trudem włókł nogi. Na policzkach zasychała krew. Chłód od nowa zaczął się dawać we znaki. Dygotał.

Nie miał pojęcia, jak długo brnął do Pawłowego leśnictwa. Zegarek stanął jeszcze przy bagiennej kąpieli. Nie wiedział, w którym pokoju szukać ma towarzysza. Zapukał do pierwszego od brzegu okna. Cisza. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał czyjś zdziwiony głos, jakieś krzątanie.

— To ja, Edek.

— Edek? Zaraz!

Paweł stanął na progu w samej bieliźnie. Zdumiony spoglądał na Edka. W blasku księżyca widać było wyraźnie jego pokrwawioną twarz, pomięte, mokre ubranie, straszne znużenie w całej postaci.

Nie pytając, ujął go pod ramiona, prowadził do domu. Zaraz zapełgała lampka, Edek uczuł gorzki, krzepiący smak wódki w ustach. Potem drżał pod wodą, szorowany przez Pawła. Przyjął pomoc przy rozbieraniu się, z ulgą uczuł na ciele suche, ciepłe ubranie. Pił jeszcze herbatę z wódką. Wreszcie odetchnął głęboko, głęboko, czując, jak po trochu wracają mu siły.

Paweł siedział milczący, uważnie spoglądał na przyjaciela.

— Możesz mówić? — zapytał widząc ożywienie Edka.

— Biłem się niedaleko stąd. Straszna walka, myślałem, że mnie wykończy... Z tym wysokim drabem, który strzelał do nas w październiku, tam w Sumach. I który potem rozkwaśił mi gębę w Piszcu...

— Kto to był? Jak go poznałeś? Skąd ty w ogóle tutaj się wzięłeś? Byłeś u tej dziewczyny? — teraz Paweł mógł już nadrobić poprzednie milczenie. Paliła go straszna ciekawość.

— Kto? Kierownik młyna.

— On? Nie uwierzyłbym, choć prawda, bąkali coś o tym w rejonie... Gadaj dalej.

— Przypuszczałem, że będzie odwoził Zoche. Przebrałem się przez rzeczkę, skapałem się. Czekałem na niego, gdy wracał, zatarasowałem drogę. I tak się zaczęło...

Paweł słuchał krótkiej relacji z morderczej bójki. Kiwał w zdumieniu głową.

— To za tę dziewczynę takeś się napalił na niego?

Edek potrząsnął zboląłą głową.

— Nie. Ona mnie już nic nie obchodzi. To było kiedyś, dawno... Za tamte sprawy, za to,

że strzelał do ludzi i nikt mu nie może nic zrobić. Za Pisz...

— Toś wariat. Trzeba było mnie zawiadomić. Pomógłbym. Warto takiego wyświęcić... No, zaraz położysz się, odpoczniesz. Ale ci gęba puchnie, psiakość — dorzucił z podziwem.

— Ja chcę do Sumów. Tam posiedzę przez parę dni, bo z taką gębą ludziom się nie pokażę... On słowa nie piśnie, będzie się bał. Powiedziałem na ślepo, że znamy jego konszachty z Marcińskim. Wystraszył się piekielnie.

Umilkli, bo z oddali dobiegł spokojny warkot motocyklowego motoru. Porozumiewawczo spojrzeli po sobie.

Paweł podrapał się w głowę.

— Mam tu konia. Na tydzień pożyczył go mi mój dawny leśniczy. Jest trochę orki. Zaprzęgnę, zawiozę cię lasami wokół jeziora. Pieszko nie poradzisz.

— Może i nie poradzę.

Gdy niedługo potem przesmykiwali się leśnymi drogami, Paweł oglądał się ciągle na Edka. Kręcił głową i splotwał nieustannie tym jednym słowem:

— Wariat, jak Boga kocham, wariat!

Edek nie słuchał go. Myślał, w jaki dziwny sposób skończył się szaleńczy romans z Zochą. I nawet był z tego rad.

Bardziej bolesna była świadomość, że skończy się i tak dziwnie kiełkujące uczucie do Wery.

I to było najgorsze. I dlatego nie radowało zwycięstwo dopiero co odniesione, nie cieszyło wykonanie samowolnego sądu nad kłusownikiem. Przez myśl przebiegło nawet wahanie, czy słusznie postąpił.

A potem myślał już tylko o Werze i użalał się nad sobą.

## 23. WĘGORZOWE NOCE

Klem wrócił z nadleśnictwa szybciej, niż się spodziewał. Był bardzo wzburzony i zdziwiony. Chłopców znalazł na podwórzu, szykowali się do rybackiej wyprawy. Michał, trzymając między palcami nylonową żyłkę, patrzył jak Edek nawija ją na brzęczący kołowrotek. Mietek mozolił się z przywiązywaniem haczyków do zapasowych przyponów.

Poeta wpadł pomiędzy nich jak bomba.

— Co wyście narozrabiali wokoło? Wczoraj w wiosce nie mogłem się z żadną dogadać, dzisiaj znów Wera, przedtem mało że się nie rozbeczała, a potem wyгнаła mnie z domu. Co się stało?

Miał minę niebywale zakłopotaną.

Mietek niechętnie wzruszył ramionami.

— Ty byś lepiej pilnował swojej dziewczyny w Warszawie zamiast przewąchiwać za kiecką po wszystkich kątach.

— Musiałem przecież podziękować Werze za pomoc w przepisywaniu. Może to jej szczęśliwa ręka sprawiła, że mi tak łatwo poszło z wydaniem tomiku. Za miesiąc będę wam wypisywał dedykacje. Nie wykręcajcie się, gadajcie. Edek, coś ty jej zrobił?

— Komu?

— Cymbał, jakby nie słyszał! Nie mnie, Werze... — Przysiadł na pieńku sosnowym, przetań czoło. — Wiecie, to jakoś dziwnie wyglądało. Przychodzę do nadleśnictwa. Pani Dziadoniowa ucieszyła się, zaraz kazała mi wypić szklanekę pysznej śmietanki. Pokazała się Wera. Wymizerowana, zbiedzona, nawet oczy jej jakby zmartwiały. Speszył mnie ten wygląd, zapytałem wprost, co jej dolega. Zakpiła, że to z tęsknoty za mną. Potem gadaliśmy o tym i owym. Wspomniałem, że szalejecie za rybami, aż pachnie nimi w całym leśnictwie,

bąknąłem o gębie Edka, kolorowej, nieczytelnej jak dzisiejsze malarstwo... I wtedy jakby ją giez ugryzł. Zatupała, krzyknęła, że jestem nudny, że żaden z nas nic ją nie obchodzi, że przyszedłem, aby ją denerwować. Dodała, że ma mnie dość i nie chce słyszeć o moich kiepskich opowiadaniach i wierszach ani o plotkach warszawskich. I zaraz wzięła książkę do ręki, udając, że czyta. — Zniżył konspiracyjnie głos nieomal do szeptu. — Wiecie, że trzymała książkę do góry nogami? W oczach miała łzy i w ten sposób starała się je ukryć przede mną... Wstałem do odejścia, dotknąłem jej ręki chcąc się pożegnać. Odepchnęła mnie i uciekła do innego pokoju. Nic z tego nie rozumiem. Co tu się stało?

Edek gwałtownie motał żyłkę na kołowrotek, aż wyszarpnął ją z dłoni Michała i splątał w straszliwy sposób. Jakby rad z tego, gorliwie zajął się rozsupływaniem nawęzleń, nie podnosząc głowy znad swej roboty. Mietek przyjrzał mu się uważnie, uspokajał przejętego Klema.

— Pewnie ma dziewczyna własne kłopoty, może jest chora. Lepiej nie zawracaj jej głowy.

Klem był w podejrzliwym nastroju.

— Wy coś kręcicie...

— Pewnie, że kręcimy, nie widzisz, tę oto żyłkę! — Edek zerwał się gwałtownie i splątany kłęb razem z kołowrotkiem podetknął poecie pod nos. Gest był zbyt wyraźny i jednoznaczny, aby nie ostudzić ciekawości chłopca.

Mietek rzekł krótko:

— Edek, daj mu spokój. Nie wiem, co narozrabiał, ale do Klema naprawdę nie masz co żywić pretensji.

— Niech się odwali ze swymi pytaniami. Tu nie szkoła.

Zaległo milczenie. Klem usiadł obok Michała, pomagał w zakładaniu ciężarków na wędki gruntowe.

Popołudnie było ciepłe, nagrzone mocnym słońcem. Listowie gęstniało niemal na oczach.

W leśniczówce wraz z rozstłonecznionymi dniami zapanowała gorączka rybacka. Jeszcze karp, leszcz czy płotka miały tarło, pieniała się od pływających ryb woda w płytkich, ogrzanych zatokach, ale już po niedawnych miłosnych zapalach zerowała wzdrga, za którą uganiał wygłodzony szczupak, już łakomił się w nocne godziny na przynętę śliski węgorz, wielkimi falami ataku pruły przez jezioro okonie, w głębokich jamach krył się jaź o krwistych skrzelach.

Właśnie na początek tych uroczych dni przyjechał Kulczyk. Odmienił się nie do poznania. Żwawszy się zrobił, weselszy, pełen był optymizmu na przyszłość. Mietek przyjrzał mu się przy powitaniu uważnie, potem trzepnął dłonią przez kark.

— Tym razem nie wracasz z rozdartym sercem? Zyskałeś chyba wzajemność?

— Skąd wiesz? Przecież nic jeszcze nie opowiadałem.

— Promieniejesz tak, że mógłbyś swoją facjatą reklamować pastę do butów czy lakier do podłóg, jeszcze z napisem: jaśniej słońca.

Nie obruszył się, zaśmiał się pogodnie.

— Niech i tak będzie. A latem przywiozę ją tutaj, sami zobaczycie...

Tymczasem w prezencie dla leśniczego przywiózł pieska, młodego szczeniaka, jak zapewniał, owczara. Berbeć rzeczywiście zdradzał oznaki, że wyrośnie na zabijakę. Przez kilka dni zdążył już pogryźć ulubione pantofle pana Gasińca, wyrzucił w kuchni wiadro z mlekiem. Mircię lekceważył w ostentacyjny sposób, siusiając na podłogę niemal że przed jej nosem, w ogóle zachowywał się tak, jakby on był w Sumach najważniejszą osobą. Jedyne w stosunku do borsuka przejawiał pewien respekt i wolał okrążyć z daleka dziwnego stwora, gdy ten pod wieczór gramolił się ze swej dziury w oborze i wyruszał na nocne łowy.

Naśmiali się z okazji Rapsoda, tak bowiem Mietek nazwał psa na cześć ofiarodawcy,

widząc zdumienie Michała nad solidną porcją psich papierów. Chłopak nigdy jeszcze nie sły-  
szał, aby pies miał swą metrykę, więcej, bo cały rodowód.

— On musi nawet meldować o swoich amorach — pokpiwał Edek. — Gdzie, z jaką  
suką i kiedy. Żeby mezaliansu przypadkiem nie było...

— Czego żeby nie było?

Długo musieli tłumaczyć, co znaczy ten mezalians i z czym się to je. Michał w końcu  
nie wiedział już, czemu wierzyć, a co wkładać między bajania. Niemniej na Rapsoda spoglą-  
dał z niejakim szacunkiem.

A właśnie od domu rozległo się natarczywe, piskliwe ujadanie psiaka. Gonił na swych  
pękatych nóżkach za leśniczyną idącą z wiadrami do obory. Atakował, próbował ją łapać za  
nogi, opędzała się mu z udanym gniewem.

Już dostrzegł czwórkę chłopców zajętych rybackimi sprawami, jak szalony pocwałował  
w ich stronę. Wpadł jak burza, roztrzącał wędkę, omal nie nadział się na haczyk, wpakował się  
wreszcie na Edka i stając na tylnych łapkach, usiłował polizać go w twarz.

Rozładował się napięty nastrój po refleksjach Klema z nieudanej wizyty u Wery. Edek  
opędzał się od małego natręta, Mietek podszczywał go zanosząc się od śmiechu.

— On ma artystyczne zamiłowania. Podobały mu się malunki na Edkowej gębie.

Przywiązał ostatni haczyk, zapasowe przypony starannie schował do szklanej rurki.  
Przeciagnał ramiona.

— Gotowe! Chłopcy, słońce nisko, trzeba się śpieszyć. Jazda ubierać się. W nocy może  
być zimno. Klem, wybierzesz się z nami? Na węgorze. Pierwsza nocna wyprawa.

— A dla mnie wędkę macie?

— Dwie nawet. Chodź, będziesz miał temat opowiadania...

Na węgorza łakomili się od dawna. Dopiero tego dnia jednak Mietek uznał się, aby po-  
stawić na swoim. Znudziły ich wzdręgi i okonie, zapachniała bardziej szlachetna i trudna do  
schwywania ryba.

Gdy rozsiedli się w łódce, cały jej dziób zajęły ciepłe fufajki, koce i płaszcze. Michał  
starannie piastował maszynkę spirytusową i sporych rozmiarów czajnik. Edek tylko pomruki-  
wał trochę, gdyż podleśniczy zapomniał w Piszku zakupić wódkę. Tłumaczył się bardzo, co  
jeszcze wzmagало Edkowe podejrzenia, iż uczynił to najbardziej świadomie.

Edek z Mietkiem wpierali się w wiosła śpiesząc do odległej zatoki, wybranej na połów.  
Brzeg był tam wysoki, bezdrzewny, łatwo dostępny w wypadku potrzeby nocnego biwaku.

— Michał, drewno na rozpałkę?

Pokazał garść smolnych drzazg. W dłoniach ugniatał zaprawione żółtym barwnikiem  
ciasto na rybę. Przy nodze pęczniała bańka tłustych, żwawych rosówek. Uśmiechał się. W  
towarzystwie całej bandy czuł się różnie, znikwały jego rozterki. Mrugnął okiem do Klema,  
wskazując na wiosłarzy. Zaparli się mocno nogami w dno łodzi; aż im żyły pęczniały na czo-  
le, tak zagarniali wodę wiosłami, nawzajem usiłując się przeprzeć. Ale łódź szła równo, bez  
zboczeń, z tyłu zostawał szlak spienionej wody.

Nie dojeżdżali do miejsca upatrzonego przez Mietka na węgorzową zasadzkę. Do  
zachodu pozostawało sporo czasu, trzeba było postarać się o żywca. Może też jakaś wzdręga  
czy okoń złakomi się na przynętę.

Zajechali od strony trzciny, niskich jeszcze, młodziutkich, czasem zaledwie wychylają-  
cych się nad powierzchnię wody. Z samotnej sosny na brzegu zerwał się duży ptak, zakolem  
spłynął w las. Michał powiódł za nim spojrzeniem.

— Orlik. Dużo szkody narobi. Gdzieś tutaj musi mieć gniazdo...

Wędkę cicho spadły na wodę. Mietek i Michał śmigali małymi żywcówkami. Oprócz  
rosówek mieli wprawdzie zapas końskich pijawek, ulubionej potrawy węgorza, z rybą jednak  
nigdy nie wiadomo, warto było zabezpieczyć się także w żywca. Zaraz też srebrnym łukiem  
poczęły wypryskiwać ukleje pachnące rześkim chłodem jeziora.

Gdzieś niedaleko zakipiała woda, łukowato zagiętą ławą ruszyły pod brzeg okonie w pogoni za drobnicą. Całymi stadkami wytryskiwały maleństwa nad wodę w panicznej ucieczce przed bystrą zagładą. Plusk, plusk, plusk, chwila ciszy i nowy szturm. Aż się pienilo wokoło. A potem znów wyrównywało się wszystko i śladu nie pozostało po wielu tragediach, które miały tu miejsce.

— Patrzenie — szepnął poruszony Edek, wskazując przeciwległy brzeg zatoki.

Było tam płytko, dno w pogodne dni żółciło się złotym, czyściutkim piaskiem. Tutaj już nie kipiało, ale po prostu przelewało się wszystko, strugi wody buchały w górę, mieniając się w słońcu, ciemne, skłębione kształty przesuwają się raz leniwie, to znów błyskawicznie szybko, napierały na siebie, chlastały ogonami, nikły albo wyskakiwały nad powierzchnię.

— Karpie. Tarło. Ależ byki, i ile ich jest! — Mietek aż stanął, aby nic nie uronić z rzadkiego widoku.

Woda w zatoce była nagrzana, łakoma dla miłośnych igraszek. Obłe cielska przesuwają się chmarami, to znów rozstrzelały na strony pojedynczymi kształtami, bełtały w wodzie, bryzgały, pryskały, przelewały ją z miejsca na miejsce, siekły fontannami, jakby się otrząsały, znów napierały na siebie, tuliły się silnie, namiętnie, podciągały aż pod brzeg, zawracały gwałtownymi skokami w głębię, by potem wynurzyć się całym grzbietem, aż rozwarły szeroki pysk którejś sztuki wychynął czasem nad wodę.

A potem zrzędy strugi wodne, zmniejszyła się fala i wyrównała, jeszcze w oddali wynurzył się jakiś grzbiet, zacichło, uspokoiło się zupełnie.

— Do jutra — uśmiechnął się Klem.

— Ciągnij — krzyknął na niego Edek.

Spojrzał, pławka nie było, drgała tylko szczytówka wędki, rwała do przodu. Szarpnął, podciął, zaterkotał kołowrotek.

— Ooo!! — stęknął przyjemnie zdziwiony. Nie miał szczęścia do ryby, nie miał wycucia ani cierpliwości rybaka.

— Zwijaj, zwijaj — sapał Mietek, zdejmując drobną płotkę z żywcówki.

— Lepiej ty, ja nie poradzę. — Klem z ulgą oddał wędzisko przyjacielowi.

— Michał, trzymaj podrywkę! Na co łapałeś?

— Rosówka.

— Pewnie okoń, duży, bo daje opór jak diabli.

Długo mocował się z rybą. Za nic nie dawała się podciągnąć pod wierzch. Gdy tylko podwindował ją trochę do łodzi, nagłym zrywem, odbitym w terkocie kołowrotka, znowu uderzyła w poblizsze dna, za wszelką ceną usiłując się wyswobodzić z uwięzi.

— Może węgorz? — zastanawiał się zasapany Mietek.

W końcu ryba zaczęła ulegać. Gdzieś w głębi zabłysło jej cielsko. Mietek systematycznie nawijał żyłkę. Ryba próbowała umykać pod łódkę, w kierunku trzciny. Mogłaby się tam urwać w płataninie korzeni i zielska, trzeba jej było przeszkodzić.

— Michał!

Podleśniczy błyskawicznie zanurzył podrywkę, szarpnął, wśród perłowych oczek wody zatrzepotał jaź długości co najmniej łokcia. Łyskał białawożółtymi bokami i ciemnoniebieskim grzbietem, mieniły się czerwone płetwy, pysk otwierał się rozpaczliwie. Zatrzepotał mocniej sprężył się i skoczył, głucho odbijając się o ściany podrywki.

Na dnie łodzi Mietek uspił go silnymi uderzeniami wiosła poniżej głowy.

— Jaż rzadko kiedy bierze tak ostro. To piekielnie ostrożna ryba. Dlatego nie przyszło mi do głowy, że właśnie on wziął się na wędkę. Masz szczęście, Klemek! No, żywca jest dość, tutaj zresztą nic już nie weźmie, tyle plusku się narobiło.

— Zaczekajcie trochę. Posiedźmy, warto popatrzeć — poprosił Kulczyk. — Jaka masa ptaków. Skąd się tyle tego nabrało? Co za wrzask przeraźliwy...

— Przed zachodem tak zawsze.

Od brzegów słały się na wodą długie cienie. Srebrzysta tonacja fali zmieniała się od wschodu w ciemnoniebieską, jakby dla przeciwwagi mieniającej się całą gamą pastelowych barw zachodniej połaci jeziora. Szeroki, ruchomy cień rzucała na tę paletę mknąca szybkim lotem czapla z wygiętą szyją. Przysiadła cicho w płytkiej wodzie przy trzcinie, zastygła w skupieniu, jakby przypatrując się swemu odbiciu. Z dzikim wrzaskiem poderwało się stadko kaczek, łopocąc skrzydłami w niskim locie przeniosło się na inną połac jeziora.

— Podgorzałki, bardzo je lubię. Wolę od krakw i cyranek — uradował się Mietek. A potem wyciągnął dłoń, wskazując dziwaczny obrazek.

Dwa perkozy o głowach czerwono mieniających się w blaskach zachodzącego słońca kołysały się naprzeciw siebie na wodzie, co jakiś czas nurkowały, zaraz po wynurzeniu robiąc najprawidłowszą stójkę. Płetwami opierały się o wodę, zamachami krótkich skrzydeł dopomagając sobie w utrzymaniu równowagi. Potem znów opadały, wpatrywały się w siebie, nurkowały, i tak bez przerwy.

Na oblany czerwonym światłem zachodu pas wody wypłynęły łabędzie, które przedtem zapodziały się gdzieś w sitowiu. Było ich dziewięć. Płynęły wolno, dostojnie, czasem tylko jak od niechcenia zanurzając szyję w wodzie. Od jasnego tła wyraźnie odbijały ich czarne dzioby.

Z łąki klekotał bocian, odpowiadał mu chruściel śmiesznym swym gardłowaniem. Nad podmokłymi olszniakami nadbrzeżnymi smyrnęła siwka, zaskrzypiał niewidoczny żuraw, rozklekotała się kurka wodna. Samotna kaczka krzyżówka poderwała się z przeraźliwym wrzaskiem: coś ją musiało spłoszyć. Głowy innych ptaków zwróciły się czujnie w jej stronę, po chwili wróciły do swoich zajęć.

Nurków pojawiło się zatrzęsienie. Migwały ich zadki, gdy strzelały pod wodę wyrzutem ciała. Z gęstych chaszcz trzcin, sitowia i oczeretów zagegliła gęś, rozgniewała tym widać bąka, który zabuczał i zasypiał ponuro, głuszac bębnienie kszyka. Sprowokowały derkacza, rozwrzeszczał się przeraźliwie.

Słońce zniżyło się nad krzewy wierzby i łoży, zolbrzymiało, zalało się rumieńcem, rozkrwawiło jezioro, powodując nowy wybuch ptasiego rejwachu; potem lekko zsunęło się za krzewy, ciągle rosnąc zerkając przez moment połową tarczy, już tylko rąbkami, i nagle zapadło, pozostawiając odbity w wodzie mocny rubin zachwyconego nim nieba.

— Jedźmy, trzeba zasiąść przed mrokiem — urwał zachwyty trzeźwy Mietek.

Klem odetchnął głęboko, spojrzął na niego z wyrzutem.

Miejsce było dobrze wybrane i przygotowane już poprzedniego dnia. W upatrzonym punkcie Mietek wysondował głębokość zatoki, wbił w grunt dwie tyki rozwidlone u końców. W rozwidlenia te włożył długą żerdkę. Siedząc w łodzi, można było opierać o nią ciężkie wędziska, ujmując sobie w ten sposób niemało trudu. Za pasmem trzcin widniał na brzegu spory stos chrustu.

Gruntówki mokły już w wodzie. Próbowali na pijawki, rosówki i na rzucające się w wiaderku ukleje. Pławiki przy nich drgały leciutko.

— Dno tu bardzo muliste, węgorze to lubią — szeptał Mietek.

— Będziemy mogli gadać? — zapytał Edek.

— Byle nie za głośno. Przy nocnym połowie można.

Ściemniało. Tylko od zachodu się jeszcze lekko żółciło.

Ptactwo przycichło, jeden bąk nieodmiennie pokrzykiwał swym grubym głosem. Na niebie zabłysło dyskretnie kilka pierwszych gwiazd.

— Będzie dosyć jasno, choć nie to samo, co w księżycowe noce.

Siedzieli jakiś czas spokojni i zadumani. Spokój wieczoru łagodził ludzkie wnętrza. Pławików na wodzie nie można już było dojrzeć. Trzymali dłonie wsparte o wędziska, by wyczuć najłżejsze ich drganie. Mietek i Michał piastowali po dwie wędki, pozostała para po jednej.

— Jak złapiemy pierwszego, to rozpalimy ogień, na zmianę będziemy siedzieli tu i na brzegu — rzekł Mietek.

— Chcę się położyć na trawie i patrzeć w noc — uśmiechnął się Klem. — Wiecie, wciąż o niej myślę. Jaki to dziwny traf. Właśnie ją przeznaczono na redaktorkę mojego tomiku. Miałem podwójne szczęście, bo i ona, i jakaś luka w planie, trafił się mój tomik, nieduży, wstawili go i wyjdzie w rekordowo krótkim czasie.

— Powiedz, jaka ona jest — poprosił Mietek.

— Kiedy wy się śmiejecie, a mnie byłoby przykro...

— Nie będziemy — burknął Edek. — Blondynka?

— Ciemna blondynka. Wiecie, ona nosi warkocze, oczywiście zwija je około głowy. To cudnie wygląda, gdy je rozpuści; osypują się falą, są bardzo gęste i takie zarazem delikatne, jakby pajęczyny na wietrze... Jaka ona jest? To bardzo trudno powiedzieć, ja przecież świetnie wiem. Ma drobną twarz. Dołeczek w lewym policzku pociesznie się kurczy, gdy się uśmiecha. Jasne oczy, chyba szare, choć czasem jakby łyskały łagodną zielenią, a czasem błękitniały, zwłaszcza gdy jest uradowana...

Zamilkł, zdjął okulary i przecierał je długą chwilę. Zawsze tak robił, gdy był wzruszony. Od lasu, przytłumione odległością, dobiegło znajome czuszykanie. Cietrzewie jeszcze tokowały. Czuff-ffyy, czuszszy, czuff. Nasłuchiwali tych rozedrganych miłością głosów, splatających się z niosącym się gdzieś od pól wioski czy od zarośli wierzbowych nad rzeczką trelem słowika.

— Mów dalej — cicho rzekł wreszcie Mietek.

— Trudno mówić — westchnął Klem. — Jest drobna, niższa ode mnie. Nawet bardzo malutka, ale piekielnie zgrabna, delikatna, ręce ma maleńkie i bardzo białe. W ogóle jest blada. Taka jakaś filigranowa, aż czasem lęk mnie ogarniał, że upadnie i rozbije się, jak szlachetna porcelana. Mówią o niej, że niebrzydka. Ma kilka piegów przy nosie. A nosek jej drga, gdy czymś się cieszy... I mówi takim niskim głosem.

— Tak ją bardzo kochasz?

— Słuchaj, Klem, będziesz się żenił? — sucho zapytał Edek.

— No pewnie, jak najszybciej, zaraz po wakacjach.

— A z czego będziecie żyli? Ty przecież nie masz wielkich dochodów.

— Będę miał. Ja dopiero teraz chcę pisać, i czasem, choć rzadko, myślę, że w końcu potrafię tak napisać, żebym mógł być z siebie zadowolony. Takie licho, okazuje się najtrudniej zadowolić samego siebie.

— Zawsze myślałem, że najłatwiej — bąknął niespodzianie milczący dotychczas Michał. Aż się zdziwili, bo nigdy nie zabierał głosu w podobnych rozmowach.

Pojękując, nad głowami ich przeleciał lelek-kozodój.

— Wzięło u mnie, rwie do przodu! — drgnął Edek, kurczowo uchwycił wędzisko.

— Poczekaj, niech wje się mocniej. Węgorz potrafi wypluwać przynętę, zanim nie połknie jej głębiej. Wtedy już tylko odcinać przypon... Teraz ciągnij!

— Co za siła.

— Ależ ma siłę. W dno bije.

— Uważaj, bo zapłacze się w korzenie lub w kłacza czy wbije się w muł i nic nie poradzisz, chyba że zaczniesz walić na płask w wędzisko, a wtedy nam wszystko wystraszysz... Ciągnij, ciągnij, żyłka mocna, wytrzyma. No?

Aż palce bolały, tak energicznie nawijał linkę na kołowrotek. Czuł silny, rozpaczliwy opór, energiczne szarpanie. W pewnej chwili węgorz próbował uciekać pod łódkę. Edek dostrzegł to, poderwał się na nogi, wysoko unosząc wędzisko. Zabłuzgała woda, długi wijący się kształt wychynał nad powierzchnię, białym brzuchem łysnął w podstawionej przez Mietka podrywce.

Na dnie łódki węgorz węzowymi skrętami mknął ku ciemniejszym miejscom na

dziobie, wyglądał jak tęga, niebezpieczna żmija. Edek sięgnął ręką, dotknął oblepionego śluzem, wymykającego się ciała, cofnął się z lękiem. Mietek roześmiał się. Wprawnie, całą dłonią uchwycił rybę poniżej głowy, szczyrykiem uciął linkę wystającą z drobnego pyska.

Węgorz jakiś czas wiercił się jeszcze po łodzi, a Edek i Kulczyk wysoko podnosili nogi, gdy znalazł się w ich pobliżu. Potem ryba zaszyła się w jakiś kąt, zastygła w spokoju.

— Nigdy jeszcze nie miałem czegoś takiego w ręku. Nieprzyjemny...

— Przyzwyczaisz się. Ładna sztuka, ale nie z tych największych. Tu są potężne okazy, grube na ramię.

— Jeść mi się chce — sapnął w odpowiedzi Edek. Jakoś nie miał przekonania do węgorzy, sukces nie zachęcił go do dalszego łowienia.

— Czekaj, niech weźmie jeszcze jeden.

Klem, wyrwany z zadumy nagłym szarpnięciem wędziska, aż krzyknął z wrażenia. Mietek tym razem nie pozwolił mu przekazać wędki nikomu innemu. Poszło jednak nadspodziewanie łatwo. Węgorz był znacznie mniejszy od sztuki schwytej przez Edka.

— Jest jeszcze jeden! Wysiadka, bo chłodno i głodno — skonkludował Edek.

Mietek zgodził się niechętnie. Ostrożnie układał wędki na łódce, potem odholował pozostałą trójkę na brzeg. Michał zziąbł również, łakomił się na gorącą herbatę. Mietek zawrócił samotnie na wodę zatoki. Ambicja rybacka kazała mu czym prędzej zapisać coś i na swoim rozkładzie.

Ogień buchnął wysoko. Michał zawiesił czajnik na żelaznym uchwycie, przy blaskach płomienia z zapalem oparował jazia.

Leżeli obok siebie na rozłożonych kocach, chłód przebiegał przez plecy nie ogrzewane płomieniem ogniska.

Klem patrzył z uśmiechem na przejętego swoją robotą Michała. Z suszu sosnowego wysoko strzelały żywiczne iskry, płatki popiołu wibrowały w ciepłym powietrzu jak śnieg.

— Pamiętasz, Michałku, tamtą wiewiórkę, którą kuna poraniła zeszłego roku? Jak bandażowałeś ją i leczyłeś, aż wyzdrowiała i poszła znów w świat.

— Ugryzła mnie w palec, blizna została. Ale później była już bardzo łagodna.

— Napisałem w związku z tym małe opowiadanie. Dedykowałem je tobie.

— Dedy... co to znaczy?

— Poświęciłem je tobie. U góry będzie wydrukowane — Michałkowi Kłosowi, podleśniczemu w Sumach, z przyjaźnią.

— Mnie? Tak będzie wydrukowane? — Oczyszczony już jaź wysunął się z ręki chłopca. Wbił w Klema wielkie, zdumione oczy. Potem przegarnął włosy dłonią pełną krwi i łusek rybich, zapytał nieswoim głosem. — Mnie?

— Tobie.

— I tak na każdej książce? Wszędzie będzie mógł każdy przeczytać, że to napisałeś dla mnie? Dla Michałka Kłosa, podleśniczego? — Mówił wolno, zastygły w nienaturalnej pozie nad leżącą na murawie rybą.

— O Boże, skończ, Michał, z pytaniami, bo cię huknę przez grzbiet, żebyś wreszcie zrozumiał — zaśmiał się Edek.

Michał nic już nie odpowiedział. Patrzył jak osłupiały na Klema, potem z westchnieniem pochylił się nad jaziem, ostrożnie uniósł go w dłoniach, dźwignął się, aby opłukać mięso w wodzie.

Klem patrzył za nim, jakby rozumiał wzruszenie chłopca. Szepnął do Edka:

— Teraz najbardziej się cieszę z tej dedykacji. Chłopak został sam, łamie się ostatnio; jak wyjdzie poza Sumy, osaczy go zmowa różnych drani. I tutaj dowód pamięci. Wygląda, że jest to dla niego przeżyciem.

Edek przewrócił się na grzbiet, założył dłonie pod głowę. Rzekł z nutką drwiny, choć Kulczyk łatwo uchwycił niespokojnie kołącą się pod nią głębszą myśl:



— Głupio się wśród was czuję. Mietek niby chłopak jak każdy inny, ale jakiś delikatny, wie, czego chce, nie ma w nim świństwa. Ty i Michał też jesteście dobrzy wariaci. Śnią się wam dziewczyny o mieniających się oczach, ckliwi jesteście jak średniowieczne kochanki. Wiewiórki, wspomnienia, złożone problemy w prostych sprawach. To obce dla prymitywu w moim typie. Jakbym się dostał na inną planetę.

— I co?

— I nic. Byłbym głupi, gdybym powiedział, że przez to mi źle. Najwyżej dziwnie. Choć może czasem i źle...

Zachnął się, przysiadł, zapalił papierosa od głowienka z ogniska. Krzyknął w stronę zamarłego nad brzegiem Michała:

— Dawajże tego jazia! Zreć mi się chce.

W uśmiechu Klema było wiele zrozumienia. Jeszcze niedawno nie lubił Edka za jego tupet, nonszalancję, za cyniczny, jak to określał, stosunek do życia. Teraz myślał, że wszystko to być mogło Edkową maską, okłamywaniem samego siebie. On naprawdę nie czuł się dobrze ze samym sobą. A nie umiał czy nie chciał wyjść z kręgu własnych przyzwyczajęń.

Michał zjawił się cichy jak cień, na patelni przywiezionej przez zapobiegliwego Mietka pociął jazia na części, grzebał w koszyku szukając słoniny. Razem ze swądem i skwierczeniem tłuszczu dobiegło znad wody donośne szamotanie i plusk.

— O, Mietek nareszcie ciągnie — zaśmiewali się.

— To dopiero węgorz! — krzyczał do nich rozradowany.

Zostawił wędkę, po czym i on przybił do brzegu. Z triumfem unosił z zastawki na rybę potężnego węgorza.

Z niekłamany respekt spoglądali na wijącą się rybę.

Czajnik zakipiał, wrzątek z sykiem siał kroplami na ogień. I jaż skwierczał już smakowicie. Mietek krajał chleb, brząkał szklankami. Podleśniczy odszedł na bok, szukając wielkich liści łopucha. Rozkładał je przed towarzyszami w zastępstwie talerzy. Był jakiś poważny, milczący, spojrzenie jego zatrzymywało się często na Klemie.

Edek uśmiechał się, widząc, jak chłopak nakłada poecie najpiękniejszy kawałek ryby, jak podsuwa mu chleb i nalewa herbatę. Klem zauważył to, było mu przez chwilę przykro, ale nic nie powiedział rozumiejąc uczucia Mazura.

Gdzieś daleko doniół się od piasków warkot motoru.

— „Zündapp” — Mietek pytająco spojrzął na Edka. Ten skinął głową.

— O czym mówicie? — zainteresował się Klem.

— Do Zochy nadjeżdża jej kierownik, pamiętasz, mówiła ci, jej dobry znajomy. Widocznie już się mu podgoiły sińce od Edkowych pieści.

— Powiedziała wczoraj, że wychodzi za niego za męża. I w wiosce też będzie mieszkała tylko do końca roku szkolnego.

Edek drgnął, zacisnął wargi. Mietek zerknął na niego uważnie. Schylił się blisko, szepnął:

— Żałujesz jej?

— Nie. Od tamtej chwili minęło mi, jakbym w ogóle jej nie znał.

Ogień trzaskał, z przeciwległego brzegu jeziora przez idealną ciszę powietrza niósł się głos bąka, gdzieś bardzo daleko, ledwie słyszalnie czuczykały cietrzewie. Z podrzuconych na ognisko gałęzi jałowca buchnął jasny płomień, uchylili twarze przed żarem. Edek spojrzął na Michała i w blasku ognia ujrzał w oczach chłopca spokój. Czyżby to w związku z dedykacją Klema?

## 24. KLEM

Sprawa byłego leśniczego Marcińskiego dobiegała końca. Śledztwo zostało zamknięte. Jeszcze raz prokurator wzywał mieszkańców leśniczówki na przesłuchania. Edek przyjmował rzecz obojętnie, natomiast Michał i Mietek przeżywali te spotkania silnie, każdy na swój sposób. Dla Mietka łączyły się one z ponurym wspomnieniem Wierzbika, podpalacza, w czasie ucieczki znajdującego swój koniec w szczelinach pękających lodów Pogubia.

W usposobieniu Michała zaszła duża zmiana; było to widoczne dla wszystkich. Od pierwszej węgorzowej wyprawy chłopak stał się taki jak dawniej, pogodny, uczynny, skory do śmiechu. Stosunek jego do Klema uległ zupełnemu przeobrażeniu. O ile niegdyś skłonny był traktować poetę pobłażliwie, z przejętym od innych mieszkańców leśniczówki uśmiechem dobrotliwej wyrozumiałości, to teraz zdawał się w nim widzieć jakby symbol głębszych i szlachetniejszych uczuć. Pocziwy chłopak nie mógł uwierzyć swojemu szczęściu. Wyróżniony przez pisarza, doczekał się dedykacji opowiadania w książce, której setki i tysiące egzemplarzy znajdują się pośród ludzi, to przerastało po prostu jego wyobraźnię. Wydawało mu się, że w niczym nie zasłużył na podobne wyróżnienie, przypisywał je dobremu sercu Klema i pragnął odplacić za nie serdecznością i przywiązaniem.

Każdej wolnej chwili snuł się za nim jak cień. Na propozycję Klema zdecydowałby się na największe szaleństwo. Wypowiedzi jego słuchał z respektem, choćby dotyczyły one najbliższych spraw. A zarazem pokochał go całą mocą swego osamotnionego serca. Klem stał się dla niego najbliższą osobą. Dzięki temu przełamał narastający w ostatnich czasach kompleks swej mazurskości. Jeżeli taki człowiek jak Klem ofiarował mu swoją przyjaźń, cóż znaczą czyjeś docinki, wyzwiska, niesprawiedliwości? Trzeba mieć właściwą miarę tych spraw.

Od matki i siostry nadeszła w tym czasie paczuska z różnymi drobiazgami. Jeszcze przed tygodniem stałaby się powodem nowych utrapień i wątpliwości. Teraz przyjął przesyłkę obojętnie, a potem napisał do obu kobiet ciepły i serdeczny, ale stanowczy list, w którym oznajmiał swoją wolę pozostania zawsze w Polsce, w ojcowskiej ziemi. List ten dał do przeczytania Klemowi. Poeta wzruszył się zarówno zaufaniem, jak i treścią niezgrabnego elaboratu, gorąco wyściskał Michała. Powtórzył potem w zaufaniu Gasińcom i Mietkowi treść pisma. Leśniczy z uznaniem pokiwał głową.

— Każdy ma swoje czułe miejsce. Trafiłeś w nie u Michała swą dedykacją — powiedział zadowolony.

Klem dużo pracował znajdując odpowiednie dla siebie warunki. Mietek od wczesnego ranka kokosił się na wodzie. Ubiegłe lato poświęcił nauce. Teraz więc z podwójnym zapałem odbijał stracone rybackie okazje. Edek trząśł się już od nowa swoim traktorem. Sińce z twarzy powoli schodziły, mógł pokazywać się ludziom.

Kulczyk rad był z tych samotnych przedpołudni. Gdy był zmęczony pracą, odpoczywał, pisząc listy do Eli. Świadomość, że ta dziewczyna istnieje na świecie, że gdzieś tam w dalekiej Warszawie myśli o nim, że za parę tygodni znów się spotkają, a on już będzie miał ładny kawał dobrej roboty za sobą, sprawiała mu wielką radość. Zdumiewał się czasem, ile jest w tej radości nie znanego mu przedtem spokoju. Całe swe krótkie życie kręcił się koło kobiet, ciągle zdawało mu się, że kocha, i zaraz od nowa przeżywał rozczarowania. Dzisiaj widział, że tamte uczucia były złudzeniem, bardziej odzwierciedleniem jego tęsknot niż realnym kształtem konkretnych zaangażowań zewnętrznych. Mijały szybko, wietrzały w pamięci.

Dopiero Ela. Życie jego zmieniło barwy, mógł o nim wiele powiedzieć, znacznie więcej rozumiał — że też jedna drobna, mile uśmiechnięta dziewczyna potrafi tak bardzo poszerzyć świat!

Listy wymieniali bardzo często. Już to samo napawało go zdumieniem. Nie lubił pisy-

wać, zawsze grzeszył zaległościami w korespondencji. We wspomnieniach jego nie zachowało się też zbyt wiele liścików od dziewcząt. Teraz linijki drobnego pisma wędrujące pocztą w jedną i drugą stronę pachniały przyszłością. O niej też myślał często. Zwierzał się któregoś wieczoru Mietkowi, jak to będzie, gdy się już z Elą pobiorą i zamieszkają razem w jej maleńkim mieszkanku na Mokotowie. Jest tylko kuchenka i pokój, za to z dwoma oknami. Oddzielił jedną część tak, aby stworzyć zaciszny kątek do pisania. Będzie tam siedział wieczorami, w kręgu jasnej lampy, ze świadomością, że obok jest ona, że każdej chwili będzie ją można przytulić, ucałować.

— A potem mieć dzieci, paprać się pieluszkami, wyjeżdżać z wózkiem na spacer — dworował przyjaciela.

Klemowi zapalały się wtedy oczy, uśmiechał się pogodnie.

— To też musi być wspaniałe, nieprawda?

I co było z nim robić?

Co parę dni całą czwórka przedsięwzięli nocne wyprawy. Rozochocili się do węgorzy. Co dziwne, że obok Mietka entuzjastą stał się niespodziewanie i Edek. Znalazł w nocnych połowach nowe emocje. Nie chciał też przyznać się nawet przed samym sobą, że w ten sposób mniej pamiętał o Werze. Najgorsze były wieczory. Nie mógł zapomnieć dziewczyny. Ani pozbyć się świadomości, że właściwie sam zablokował wszystkie drogi przed sobą. Bo przecież nie pójdzie i nie powie, że z Zochą dawno skończone, że to było chwilowe odurzenie, wiosna, samotność, dawne przyzwyczajenia. Śmieszne są takie tłumaczenia. Jakież były dane, że przy następnym wyjeździe Wery wszystko się nie powtórzy, tym razem z jakąś inną dziewczyną? Sam nie mógł ręczyć, czyby się tak nie stało. Chociaż chyba jednak nie. Bo z Werą w ogóle odmiennie rzecz wyglądała. Jak choćby teraz. Tęsknił za dziewczyną z każdym dniem coraz mocniej. Dotychczas uczucie to było mu zupełnie nie znane. Więc jest jakoś inaczej...

Nocne włóczęgi łodzią po jeziorze, gawędy przy ognisku na brzegu oddalały tęsknoty, na krótki czas kazały zapominać o strapieniach. Tym bardziej że i emocja rybacka wiele znaczyła. Pierwsze lęki przed śliskimi węzowatymi skrętami węgorzy minęły, już je śmiało ścisnął dłonią tuż za nasadą głowy, energicznie pakował do przeznaczonej na rybę przegrody w łódce.

Pogoda zmieniła się. Często mżył deszcz, niebo kiło w brudnych, rozwałęsanych chmurach, było parno i duszno. Noc nie przynosiła orzeźwienia. Wiatry, które czasami zrywały się, żarem przesyciły powietrze. Parowały lasy i łąki, znad moczarów nie ustępowała gęsta, mleczna mgła, rośliny bujały jak w fantastycznej cieplarni. Leśniczy wzruszał ramionami: nie pamiętał jeszcze takiej pogody w początkach maja.

— Węgorz lubi parną pogodę. Woda jest mętna, spływa nią wiele żeru. Pojedziemy dzisiaj nad rzeczkę. — Objuczeni schodzili nad wodę, opędzając się od borsuka, który zachwycony towarzystwem, człapał koło nóg chłopców, zabiegał im drogę, aż potykali się o niego w ciemnościach.

— Zabierz go, Mietek, na łódkę. To będzie zabawa.

— Bestia ryb nie żre, śmierdzą mu chyba. Próbowałem parę razy. Ale ciekawe, że gdy puściłem wczoraj pod nos Mruka żywego węgorza, skoczył i przegryzł mu głowę. A potem obwąchał i zostawił. Mruk, uciekaj, przeszkadzasz.

— Ale ciemno — sapał Michał, gdy zasiadając przy wiosłach usiłował wzrokiem wytyczać kierunek.

Parno było niesamowicie. Siedzieli tylko w koszulkach, a i to ciała zlewały się potem. Chłodziło dopiero około północy.

Z trudem dobrnęli nad wpływ rzeczutki, zagubiony w gąszczach i sitowiu. Oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności, jezioro i brzegi rysowały się tajemniczymi, ciemnymi plamami. I woda była czarna, ponura, bardzo zimna w porównaniu z żarem powietrza.

Wędki chlupnęły cichutko. Rozsiedli się wygodniej, zapęłgały ogniki papierosów.

Od zalewów rzeczulki i płytkich od tej strony brzegów jeziora dobiegał nieustanny pogwar żerujących kaczek. Pluskotały, trzepały skrzydłami, gwarzyły dyskretnie, ale plotkarsko. Od skrytej poza zastygłą mgłą wioski niosły się leniwe poszczekiwania psów.

— Wyjeżdżam pojutrze na parę dni — rzekł nagle Klem.

Zdziwili się. Uprzednio nic nie wspominał. Michał z wrażenia aż upuścił wędzisko, z głuchym pluskiem opadło na wodę.

— Cicho, rybą wystraszysz — sklął go Mietek. Po chwili zwrócił się do Klema: — Do Warszawy jedziesz?

— Zajrzę i tam. Ale przedtem do matki. Piętnastego ma imieniny. Już dwa lata nie byłem w tym czasie w domu. Teraz pewnie zakwitną bzy na ten dzień, wyjątkowo wcześniej w tym roku. To ulubiony jej kwiat, przywiózłbym całe naręcza.

— Zaraz, to przecież Zocha także ma imieniny. Może byśmy...

Mietek zamilkł speszony. Też się wyrwał! Chciał zaproponować wyprawę imieninową do dziewczyny, jak wtedy zimą saniami. Zapomniał, ile się zmieniło od tego czasu.

Widział, jak Edek w pasji cisnął w wodę niedopałek papierosa. Zaległo długie milczenie.

Na szczęście węgorz zatargał wędką Michała. Wszczął się rwetes, jak zawsze przy takich okazjach. Jeszcze nie zdążyli podstawić podrywki pod śliskiego stwora na wędce Michała, gdy niemal jednocześnie podnieśli w emocji głos Edek i Klem. Pierwszemu poszło łatwo, ryba była niewielka. Klem nie mógł sobie poradzić, mało pomógł i Mietek. Węgorz gwałtownym ruchem szarpnął się, smyrgnęła nad miarę linka kołowrotka, ryba wbiła się pod brzeg zarosły krzakami łożyny, musiała się tam okręcić o jakieś korzenie czy karcze, nie pomagało szarpanie, żyłka naprężyła się do granicy zerwania.

— Jest tylko jeden sposób — burknął Mietek. — Dłonią na płask trzeba walić w wędzisko. Po jakimś czasie węgorz sam się odwinie z korzeni. Daj mnie, spróbuję...

— Uważaj, bierze u ciebie.

Poskoczył do swojej wędki. Wywindował do łodzi sporego węgorza.

— Ale miejsce znaleźliśmy — cieszył się Michał.

Mietek mógł teraz powrócić do wędki Klema. Miarowo uderzał dłonią o wędzisko, próbował co jakiś czas, czy węgorz nie zwolnił splotów około podwodnej przeszkody. Nic, żyłka nadal była napięta jak struna, tylko lekkie drganie świadczyło, że na haczyku znajduje się ryba. Głuche uderzenia słały się ciężko na wodzie, odbijały od ścian trzciny, wracały pogłosem.

— Pewnie go już nie dostaniemy. Tu są wądoły pod brzegiem, podmytym wodą. Musiał gdzieś silnie ugrzęznąć — powiedział Mietek po dobrym kwadransie dudnienia, aż go dłoń zabolęła. — Próbować na siłę?

— Zaczekaj jeszcze, a nuż puści. To musi być wielka sztuka, szkoda byłoby — powstrzymał go Edek.

Uśledzał. Uporowi ryby postanowił przeciwstawić swój upór. Dobre pół godziny trwała już walka, a węgorz ciągle owijał się desperacko wokół zatopionych gałęzi. Chwilami tylko popuszczał lekko, kołowrotek zaczynał terkotać, zaraz jednak ryba podciągała linkę ponownym zrywem i Mietek popuszczał ją znowu w obawie przed zerwaniem.

Zmieniał ręce, bolały; głuche dudnienia wypłoszyły z pobliza kaczki, które z oburzonego kwakaniem przeniosły się gdzieś dalej. Tylko słowik przysiadł skryty w bujnie już ulścionej łoży i zanosił się radosnymi trelami.

— No, puścił — odsapnął Edek. Słowa te wyrzekł z niebywałym triumfem i ulgą. Gorączkowo nawijał kołowrotek. Węgorz nie stawiał więcej oporu. Najwidoczniej wyczerpał wszystkie siły w kurczowym przytrzymywaniu się zatopionych krzewów.

Michał stał schylony nad ciemną wodą, gotów poderwać rybę. Wzburzyła się toń, w ostatniej chwili węgorz trzepnął ogonem, aż chlupnęło na twarze chłopców, próbował ucie-

czki. Za późno, Michał był szybszy.

— Ale koń! — zakrzyknął.

— Pokaż, pokaż!

Skupili się nad rybą, świecili latarkami. Mietek kręcił głową. Takiego węgorza nie widział w swym życiu. Walcowaty, dochodzący na oko metra długości wił się, łyskając ciemnozielonym grzbietem, to znów dla odmiany ukazując żółty brzuch, popstrzony drobnymi plamkami. Śluz zostawał na dnie łodzi całymi płatami. Klem odwinął rękaw i przyłożył ramię obok cielska ryby. Cieniutkie się wydało w swej bieli przy ciemnej skórze wodnego olbrzyma.

— Dam głowę, że waży dwa kilo — rzekł Mietek.

— Nie dochodzą aż takiej wagi — sprzeciwił się podleśniczy.

— Wiem, ale to jakiś okaz, pewnie król węgorzowy.

Zaśmiali się. W każdym razie triumf był zupełny. Jeszcze nie słyszało się na tych wodach o takiej bestii.

Ryba była spłoszona, apetyty także przypominały o sobie. Czas był na przerwę w łowieniu. Powoli zbliżała się północ.

Musieli cofnąć się łodzią aż na jezioro, tam dopiero wysiąść na brzeg. Rzeczka rozlewała się na moczary i trzęsawiska, ani mowy, by można tam było znaleźć miejsce na biwak.

Pochłodziło trochę, wciągali swetry. Ale i tak było duszno i parno.

Klem wraz z Edkiem zajęli się rozpalaniem ognia i przygotowaniem posiłku. Mietek zabrał Michała na wodę, w miejsce, gdzie dobrze brały leszcze. Przypomniał się im smakowity jaź, przyszła ochota na smażoną rybę. Zapluskwały wiosła, wsiąkli w ciemnię nocy.

Edek powiedział głośno:

— Wiesz, nigdy by mi przez myśl nie przeszło, że utkwię w jakimś leśnictwie na końcu świata. Ja, który umiałem żyć tylko miastem i w mieście.

— Awantur w dawnym stylu nie braknie ci i tutaj — uśmiechnął się Klem, wyrwany z zadumy. — Masz rację, coś tutaj ciągnie, ileś już lat wpadam tak do Gasińców, potem wyrwam i... muszę znów wracać. Z Elą także będziemy tutaj przyjeżdżać. Może zarobię tyle, że nie będzie musiała pracować, wtedy wpadalibyśmy tutaj także zimą i taką wiosną, jak tegoroczna, i w jesienne chłody, kiedy uroczno jest łązić po lesie i słuchać, jak liście szeleszczą pod nogami... Każdego w końcu porwie ta głusza, nie głusza, bo ja wiem, przecież więcej tu życia niż gdziekolwiek indziej. Tyle ptaków, zwierzyny, ludzie ciekawi, mniej skomplikowani, bardziej dobrzy, a czasem i bardziej okrutni. Inaczej, inaczej zupełnie.

— Inaczej — powtórzył Edek, bardzo podobało mu się to określenie. Właśnie tu jest zupełnie inaczej. I to przyciąga, to zatrzymuje.

Wodą nadbiegły głosy. Wracali Mietek z Michałem. Podnieceni byli, głośno nad czymś debatowali.

— Co się stało?

— Jakiś diabeł połamał wędkę Michała — wołał Mietek przez czern.

— To musiał być sum. Jedną wędkę zarzuciliśmy na żywca: a nuż złapie się węgorz. Michał położył wędzisko na skraju łodzi, łowił leszcze na ciasto. Nagle wędzisko wyskoczyło do góry, całą siłą łupnęło go przez oczy, ledwie je złapał w powietrzu, chciał ciągnąć, gdzież tam, ani mowy, tylko trzasło, wędzisko rozsypało się na trzy kawałki i tyle.

— Nie widziałem suma, jak żyję.

— Rzadko kiedy się uda je złapać. Mazurzy opowiadają, że w tym jeziorze jest jakiś sum olbrzym, większy niż łódka, pojawia się tylko wtedy, gdy ma nastąpić nieszczęście...

— To może on właśnie tam był? — zaniepokoił się Michał.

— Nie połakomi się taki na twoją ukleję... Ojciec przed trzema laty złapał suma, ważył dwadzieścia kilo, głowę miał jak u konia. Cholernie smaczne mięso. Trzeba będzie założyć sznur którejś nocy: drut miękki, mocny, u końca spora kotwiczka, na niej żaba odarta ze

skóry...

— Brr, ja się nie piszę — wstrząsnął się Klem.

Przywieźli ze sobą dwa spore leszcze. Oprawiali je teraz zbiorowym wysiłkiem. W powietrzu zrobiło się jeszcze parniej, ucichł nawet leciutki wiaterek, ściemniało. Mietek rozejrzał się, wskazał na południową stronę nieba.

— Spójrzcie, co za chmurzysko!

Nadbiegała niskim, czarnym pułapem, niemal tuż nad głowami, cicha i ponura. Tylko duszno robiło się coraz bardziej.

— Przecież o tej porze nie będzie burzy? — niepewnie zapytał Edek.

— Jedźmy prędko, nie ma lepszej pogody na węgorku — poderwał się Mietek, świadomy wszystkich rybackich arkanów.

— Psiakość, w domu nigdy ryba tak nie smakuje jak tutaj — sapali, spluwając drobnymi ośmi leszcza. — Co, do cholery, grzmoty?

Niebo zadudniło długo, przeciągle. Czarna chmura zwała się na nich, olbrzymiała, trwał długi, groźny grzmot, kędyś ostrą smugą błyskawica przecięła horyzont, zaraz nadpędziła ją druga, dwa trzaski piorunów złały się w jeden, kanonadą zaniósł się wokoło, chwilkami blask się robił tak jasny, że mogli widzieć wyraźnie swe skupione, pobladłe z wrażenia twarze.

— Likwidujemy się gdzieś pod krzewy, zaraz deszcz lunie i zmokniemy jak lichy. O, wiatr nadchodzi.

Nadciągał dalekim jeszcze szumem, wyprzedzany błyskawicami siekącymi krechami światła, zakotył się szczytami drzew, potem nagle opadł nisko, nisko nad ziemią, przygiął w gładkim pokłonie krzewy i trzciny, wzdął falę, poniosła się na daleką toń, narastała, wznosiła się grzywaczami.

Klem stał z szeroko rozwartymi ustami, pełen zachwytu. Groza burzy, zwiększająca się z każdą chwilą, miała niebezpieczny, straszliwy urok. Wpierał się silnie w ziemię, nie poddając się gwałtownie narastającym podmuchom wiatru, ślepił za piorunami, kreślącymi już niebo bez przerwy, wprost z góry na dół, na ukos, łamanymi zygzakami, grubymi krechami, jakby szalony malarz prznosił na ciemne płótno nieziemską wizję.

Grzmoty rwały się nad nimi, głużyły każde słowo. Pioruny tonęły w jeziorze, w sekundowym ułamku ciszy zabiadoliły przerażone kaczki; Mietek złapał Edka za ramię, stali zdumieni i zatrwożeni. Tylko Michał ze swoim zwykłym spokojem zbierał koce i starannie wygaszał ogień, coraz to strzelający iskrami.

— Uciekajmy do lasu — zawołał Mietek, otrząsając się z pierwszego wrażenia.

Edek zatrzymał go nagłym rzutem ramienia.

— Patrz, co to?

Za rzeczułką, od strony wioski, wpełzały nad horyzont jaśniejsze blaski, stapiały się z tłem w chwilach olśnień błyskawic, potem występowały znów mocniej, migotały, przelewały się wirując barwami.

— Co, u licha? — tarł oczy Mietek. — To pożar. Las albo wioska!!

— Ogień!

I jakby na potwierdzenie, poprzez pioruny i grzmoty, wraz z wiatrem poniosły się zza rzeki mocne, ponure dźwięki sygnału alarmowego.

— We wsi. Jedziemy!

Gwałtownie spychali łódź na wodę, skołtunioną grzywiastą falą. Wiatr gnał ich ku środkowi jeziora. Mocowali się dłuższą chwilę, w żaden sposób nie mogąc wjechać w wylot rzeczułki.

— Pchamy prosto na brzeg, gdzie najbliżej — Mietek przekrzykiwał harmider przyrody.

Stawiało ich bokiem do fali, chlupało wodą do środka, wyteżali w odporze wszystkie

siły.

Wreszcie dobili. Szarpnęli łódź na brzeg, już pędzili ku drodze, tej samej, na której tak niedawno Edek tarzał się w śmiertelnej walce z młynarzem. Skurczeni opierali się wiatrowi, biegli sapiąc, oślepiani piorunami, głuszeni grzmotem, teraz już prawie nie ustającym. Nawalnica wchodziła w swój szczyt. A deszczu dotychczas nie było ani kropli, chociaż czarna chmura rozesała się na całym niebie, zagarniała pod siebie ziemię. Wiatr też był duszny, gorący jak w najskwarniejszym lipcu.

Niebo czerwieniało nad wsią, zapachniało swędem spalenizny, dobiegał wyraźny jazgot, hałas, przeraźliwe naszczekiwanie psów, ryczenie bydła, ludzkie wołania.

Edek pomyślał, że pożar stodoły w Sumach był zabawą w porównaniu z grozą, ku której biegli.

Ogień kłębił się, walił skrami, zaciągał wszystko dymem i znów rozwiewał się otwartym widokiem. Jasno było, przeraźliwie jasno. Twarze ludzi zwijających się przy pożarze ociekały strugami potu, czerwone były, potępieńcze w niesamowitych blaskach.

Wszędzie płątały się dzieci, jazgoliły baby, przez okna wylatywały poduszki i pościel, meble, statki domowe.

Cała lewa strona budynków w tym końcu wsi objęta była płomieniem. Tlił się już jeden z przeciwległych domów, próżno paru mężczyzn bosakami próbowało powstrzymać ogień. Zgrzytała pompa, z węża sikał nikły strumień wody, podstawiano pod niego wiadra, łańcuch rąk przekazywał je coraz bliżej i bliżej w stronę żywiołu. Chlustano w ogień; na moment przyczajał się z sykiem i zaraz jeszcze silniej buchał od nowa. Przeraźliwie zawodziła młoda kobieta, darło jakieś niemowlę, gwałt i popłoch utrudniały akcję.

Gromadka mężczyzn zrywała płoty łączące zabudowania, ktoś gwałtownie darł z małego chlewiku słomiany dach, chlustała woda, rozkładano mokre szmaty. Świszczący wiatr kpił z tych zachodów, porywał całe skrzydła dachu, całe żagwie niósł daleko od płonących budynków, rzucał nimi o ziemię, skrzył na dalsze domy. Edek obejrzał się na szkołę. Nie było już od niej daleko.

— Deszczu, deszczu — wołał ktoś trwożnie, błagalnie.

Ale deszczu nie było. Tyle że pioruny biły rzadziej, mniej oślepiały błyskawice, a huk grzmotów ginał w zgiełku pożaru. Tylko wiatr nie ustawał, największy teraz, niepowstrzymany wróg.

Całą czwórką rzucili się pomagać w wynoszeniu rzeczy z najbliższych domów, w prowadzaniu opornych, przerażonych zwierząt, w zabezpieczaniu dachów.

Wiatr przycichł, przyczaił się, jakby skupiając siły do nowego ataku, gdy naraz ostry jak cios miecza, olśniewający błysk wraz z głuchym trzaskiem wtargnął pomiędzy ludzi i zaraz zagaśł, a odpowiedział mu tylko pełen jęklivego przerażenia gwar głosów, zmieniający się w krzyk przerażenia.

Piorun, dziwaczny jakiś, skręcony spiralą, uderzył w jeden z domów po przeciwległej stronie ulicy, znacznie dalej od głównego ogniska pożaru. Jak masa fajerwerkowa cały budynek podniósł się nagle ogniem, wyrósł krwawymi piętrami, zatrzęsł się sykiem, rozmigotał skrami, zaśmiał rosnącym krzykiem przerażenia.

To była już klęska. Na nic wszystkie środki zapobiegawcze, przedsięwzięte wzdłuż pierwszej fali pożaru. Przeciw niespodziankom pioruna nie ma odporu. Jeszcze ktoś rzucił w sad graty, jeszcze się zwijał przy oknie, zaraz wyskakiwał, otrząsając z włosów i twarzy gorące skry tarzał się po wilgłej ziemi, tłamsząc tłące się ubranie. Jeszcze ktoś próbował ciągnąć pomiędzy ścianami ognia opierającą się krowę, jeszcze świny wrywały w popłochu, podbijając nogi stojącym na ulicy.

W tejsze chwili przeraził ich pełen zwierzęcej trwogi rozdzierający krzyk.

— Peter, mój Peter!

Stanęli. Wysoka, byle jak w popłochu odziana kobieta, z rozpuszczonymi na ramiona

włosami, stawiając oczy w szept, obu ramionami wskazywała na drugi z ogarniętych pożarem domów. Jakby zdrętwieli wszyscy z trwogi, jakby zamarli w obliczu tej matczynej klęski, bólu i rozpacz. A ona już nie wołała, tylko szeroko rozwartą gębą darła się przeraźliwie, jednostajnie:

— Aaaaaaaaaaaa!

I nagle wszystkie oczy rozszerzyły się przerażeniem zmieszonym z podziwem. Spomiędzy nich wyrwał się niski chłopak w okularach, drobnymi, szybkimi krokami pognął ku pożarowi, trzymając w ręku zwilżony worek. Przed drzwiami stanowiącymi już tylko ścianę ognia zatrzymał się na ułamek sekundy, jakby się zawahał, jednym ruchem zarzucił sobie worek na głowę i schylony, wyciągając przed siebie ręce, nurknął w płomień i dym.

— Klem, Klem! — Michał jak nieprzytomny popędził w ślad za przyjacielem.

Nie dobiegł, podcięła go podstawiona przez kogoś noga. Poderwał się, ujrzał, Mietka, oczy podleśniczego zapłonęły złością, chciał znowu skoczyć w kierunku ognia. Tamten złapał go kurczowo za ramiona, nie bacząc, że oszalały z rozpacz Michał wali go pięściami, kopie i gryzie. Podbiegło kilka osób, oddał w ich ręce szarpiącego się Michała; z bosakami skoczyli wraz z Edekem w kierunku syczącego żywiołem domu. Rozrzucali głównie, szarpali dach, bezradni niemal, świadomi całej grozy faktu, jakiego są świadkami. Z tyłu huczało poprzez wiatr i rozgwar ludzkich głosów przeciągłe zawroźnienie nieszczęsnej matki.

Już uformował się szereg przerzucając z rąk do rąk wiadra napełnione wodą. Najbliżsi chlustali je w płomień, syczały, migwały czernią, znów gorzały krwistą, wstrząsaną dygotami powłoką.

— Mietek, ja idę! — krzyknął Edek.

— I ja!

Skoczyli nie patrząc na nic, świadomi nonsensu, samobójczej zbrodni. I nagle musieli się cofnąć, bo z trzaskiem, wzbijając w górę głównie, sypiąc skrami, z rumorem i hukiem zarwała się część dachu domostwa. Z piersi krzątających się wokół ludzi poleciał przeciągły jęk. A potem czyjś okrzyk nadziei:

— Jest!

W lewo od drzwi wejściowych, w ogarniętym ogniem otworze, okiennym, w nie zarwanej, ale podejrzenie trzeszczącej części budynku ukazała się raptem płonąca, coraz to przesłaniana falą płomieni sylwetka ludzka. Ręce na ślepo macały za framugi, których już nie było, cofały się przed żarem, niewidoczne nogi przepychały się do przodu. Edek biegł, wyciągał bosak, zahaczał ostrzem o ubranie czy może nawet ciało kolegi. Ciągnął, znów trzask, zakrył tylko głowę przed sypiącymi się kawałkami płonącego drewna, przed belkami i powodzią iskier. Odskoczył, ktoś go odciągnął, ktoś chlustał wiadrem wody na tłące się włosy...

Mietek szarpał za bosak, wczepiony gdzieś w ubranie Klema. Kilku mężczyzn rwało palące się belki, rozrzucano zgliszcza, nie bacząc na piekielny żar i osiadające na nich tlejące węgielki, przyskające żwawo na wszystkie strony.

Jeszcze gdzieś rwał się sufit, zapadały ściany, oni pamiętali już tylko o jednym: ratować człowieka. I ratowali, choć wiedzieli, że człowiek ten na pewno już dawno nie żyje, że tylko szczątki mogą ocalić przed zupełnym strawieniem przez żywioł.

Wiadro za wiadrem spływała w to miejsce woda, coraz niżej piętrzyła się kupa żagwi. Ogień palił się spokojniej, nie szarpany tak podmuchami jak przedtem, łatwiej było podejść w pobliże grobu dwóch istot: dziecka i mężczyzny, który je chciał ratować.

Gdzieś z tyłu aż trzech ludzi szamotało się z oszalałym Michałem, który jęcząc rwał się do ognia, już nie aby ratować, ale ginąć wraz z Klemem.

Jeszcze dalej jakiś mężczyzna nieprzytomnie okładał pięściami wysoką kobietę z rozpuszczonymi włosami, ciągle jeszcze zawadzając gardłowo.

Nikt ze stojących obok nie pośpieszył kobiecie z ratunkiem. Jak prądem usztywniły ich ciała słowa mężczyzny wykrzykiwane w paroksyzmie złości i bólu:



— Peter jest! Peter jest!! U Hildy był!

Macura aż się cofnął o krok, zdjęty straszliwą grozą. Truda kurczowo złapała go za ramię. Zaciśnięte dłonie, jakby chciał palce sobie wyłamać, mamrotał coś drżącymi wargami.

Michał pierwszy musiał w pełni pojąć całą wymowę tych słów. Przestał się szamotać, osunął się na ziemię ze strasznym, rozdzierającym szlochem. Świadomość próżnej ofiary Klema odjęła mu resztę sił.

I jakby dla większej ironii, jakby dla powiększenia grozy dopiero teraz zaszumiało, zatrzęsło się w powietrzu, z czarnej, zastygłej nad wioską chmury sypnął gęsty, obfity deszcz, narastał, potężniał, niebывałą ulewą zasłonił ziemię. Syczały zgliszczka, czerniały żagwie jedna po drugiej, gasł blask pożaru. A ludzie nie odchodzili, kupili się coraz większą gromadą naprzeciw domu o jednej tylko ocalałej ścianie i ponuro wołającym do nieba kominie, opodał małego sadku, gdzie pod drzewem biała płachta przykrywającego coś prześcieradła.

Przy płachcie, trzymając jej brzeg obu rękami, kulił się człowiek w mundurze leśnika, już nie szlochał, nie płakał, tylko przez szum wichury powtarzał zbolonym głosem to samo wciąż słowo:

— Klem! Klem! Klem!

## 25. NIEOCZEKIWANE SPOTKANIE

Zbudził go ruch w przyległym pokoju. W ogóle budził się teraz za lada szelestem. Nasłuchiwał przez długą chwilę. Michał nie spał, chodził po pokoju, szeleścił kartkami, otwierał okno.

Edek niechętnie opuścił nogi na podłogę, otulił się kocem. Zimno było. Po niedawnych upałach, zakończonych pamiętną burzą, pochłodziło teraz, jednego ranka złapał nawet ziemię jadowity przymrozek szroniąc trawę i dachy.

Maj dobiegał końca. Prawie dwa tygodnie minęły już od pożaru wioski i śmierci Klema. Niepotrzebnej śmierci. Dziecko znajdowało się pod opieką ciotki, odprowadzone tam przez ojca. Ta świadomość zupełnie jałowej ofiary najbardziej udręczyła ich wszystkich. Ciężko przeżywali ją też mieszkańcy wioski.

Za ścianą znów coś zaszleściło. Czyta? Przecież on to chyba już umie na pamięć? Począł bosymi nogami na korytarz, nie pukając szarpnął drzwi i wsunął się do pokoju Michała.

Leżał na łóżku. Na przysuniętym krześle filując paliła się lampka naftowa. Chłopak wpatrywał się w sufit, na piersiach jego leżała otwarta niewielka książka. Zwrócił na Edka swe duże oczy.

— Edek, stało się coś?

— No pewnie, że stało. Co ty wyczyniasz po nocach?

— Nie mogłem zasnąć. Wiesz, myślałem o nim. Czytałem to opowiadanie... — wskazał na książkę. — Siadaj.

Przysiadł na łóżku, zapalił papierosa. Michał był niepodobny do siebie. Wychudł, zmarniał, oczy zapadły mu i tylko jarzyły się w zestarzałej twarzy.

Edek przyglądał mu się, kiwał głową. Nie był ani zły, ani stroskany, raczej może zdziwiony i zawstydzony swą rolą. Nie umiał pocieszać, ale przecież nie można było tak zostawić chłopaka z jego zmartwieniami.

Milczenie przeciągało się. Michał nie wydawał się zaskoczony ani przejęty nocną wizytą. Leżał spokojnie, gapiąc się na białe bielone ściany. Powiedział ni stąd ni zowąd:

— Jak będę miał wolny dzień, wymaluję pokój na niebiesko. Klem bardzo lubił ten kolor. U niego w książce tyle tej niebieskiej barwy, w różnych odcieniach, prawda?

Potaknął, choć po prawdzie nie zwrócił na to wcale uwagi. Zaniepokoili go słowa Michała. To już stało się chorobliwe. Przy każdej okazji nawracał do Klema, żył jego myślami, rozpamiętywaniem jego powiedzeń.

— Michał, nie możesz tak stale myśleć o nim... To już minęło trzeba pamiętać o własnym życiu — zaplątał się w tych słowach, umilkł. Jakież to banalne.

Michał niespodziewanie ożywił się, usiadł na łóżku, przytaknął ochoczo.

— Tak. Dzisiaj podobnie myślałem. On pisze zupełnie coś takiego w ostatnim opowiadaniu — wskazał dłonią na książkę. Spojrzał na Edka z wyrzutem. — Wiem, dlaczego przyszedłeś. Niepotrzebnie boicie się o mnie. Leśniczy i jego żona, Mietek i ty, niepotrzebnie. Ja, widzisz, bardzo przeżyłem tę sprawę. I to, że on tam pobiegł tak niepotrzebnie. Choć może to naprawdę nie jest tak ważne... Ważne jest, że w ogóle tam pobiegł ratować mazurskie dziecko, o którym sądził, że ginie w płomieniach.

Michał nauczył się ostatnio palić. Przynosiło mu to pewną ulgę. Zaciągnął się papierosem, po czym, marszcząc się, jakby z trudem nawracał do przerwanej myśli, mówił dalej. Z trudem dobierał słowa, zaciął się chwilami, wahał w wyborze właściwych określeń.

— Widzisz, ja go bardzo pokochałem ostatnio. Po tym, jak mi powiedział o tym opowiadaniu. Pamiętasz, po tych wyzwiskach od szwabów i hitlerowców nie wiedziałem, co robić ze sobą. Wahałem się nawet, czy nie wyjechać... Klem mnie od tego odwiódł. Tym opowiadaniem, które dla mnie poświęcił, moim opowiadaniem. Zawstydził mnie. A przecież nawet nie mówiliśmy na ten temat. On to umiał zrobić jakoś inaczej. I wtedy go pokochałem. A ja czułem się bardzo samotny. Mam matkę i nie mam jej, mam siostrę i jakby była obcą osobą. Ojciec, wiesz, zginął. Tylko leśniczowie, ale to już co innego. I dopiero Klem... Ledwie, ledwie to zrozumiałem, jego zabrakło. I tylko ta Ela przywiozła na pogrzeb pierwsze, jak mówiła, egzemplarze jego książki. Z tym opowiadaniem... Nie ma jeszcze dwóch tygodni. Przecierpiałem bardzo. Ja inaczej nie umiem, każdy pozna moje uczucia, zobaczy, że się czymś trapię. I długo jeszcze będę Klema wspominał. Czytam i myślę, że jest blisko. Przecież w tych opowiadaniach jest wiele z tego, co mówiłem, gdy łaziliśmy po lesie. Myślałem, że to głupie, nieważne, a u niego wyszło zupełnie inaczej...

Uśmiechnął się.

— Idź spać. Ja nie zwariuję ani rozchoruję się ze smutku. Przecież roboty pilnuję dobrze. Widzisz, jest coś innego. Ja chcę, żeby Klem ze mną został już zawsze. On mi wtedy tak pomógł. Chcę, żeby pomagał i teraz. Dlatego muszę wszystko pamiętać. Wiesz, on bardzo dobrze znał ludzi, rozumiał ten świat. Dopiero teraz to pojmuję. Z tego, co napisał.

I znowu uśmiechnął się smutno i bardzo, bardzo serdecznie.

Kładąc się do wystygłego łóżka, Edek niezupełnie jeszcze uświadamiał sobie sens tej dziwnej rozmowy. Michał bardzo dojrzał od śmierci Klema. Nigdy tak nie mówił jak teraz. Czasem trudno go było zrozumieć, a przecież miał rację. Prawda z tym Klemem. Przecież i on, Edek, zwierzał mu się po trochu, choćby na węgorzowych wyprawach, gdy zostawali sami przy ognisku. Dały mu coś odpowiedzi Klema, jego uwagi... A Michał, prawda, o co oni się boją, czego chcą właściwie od niego? Jakaś potężna przyjaźń. Może i zmartwienie tym samym musi być znacznie potężniejsze. Rodzice Klema, ta miła jego dziewczyna na pewno rozpaczają nie mniej niżeli Michał, tylko że to nie budzi niczyjego zdziwienia, jest naturalne. Co innego, gdy człowiek pozornie obcy tak to przeżywa. Bo nikt nie rozumie, co ich ze sobą łączyło...

Pomyślał, że powie jutro o tym leśniczym i Mietkowi. A w ogóle cała ta ponura i smutna sprawa nie tylko Michała wytrąciła z jakiegoś ustalonego porządku. Nie chodzi tu o zmartwienie, o żal, smutek, nie, ale o głębsze choć wtórne zjawiska. Jak choćby w nim samym też coś się przełamało, zmieniło. Jakoś inaczej, od nowa ujrzał wiele rzeczy.

Zastanawiało go jedno. Właściwie Klem nie odznaczał się niczym szczególnym. Był taki jak oni. Miał swoje miłości, aż pocieszne były te jego zapały i zaraz potem nadciągające

rozczarowania, wszystko utrzymane w romantycznym i trochę przy tym dzieciennym stylu. Wałęsał się jak i oni po lesie, uczestniczył w wędkarskich przygodach. Śmiał się, żartował, bywał uparty, dziwaczny nawet. Zdawało się, że niczym specjalnie się nie wyróżnia. Bo i pisarstwo jego nie było przecież znane, dopiero startował.

A teraz, gdy Klema zabrakło, ocena jego uległa przewartościowaniu. Stał się kimś niesłyszany ważnym dla Michała. Mieszkańcy spalonej wsi tłumnie uczestniczyli w pogrzebie, głośno było o powziętej przez nich decyzji, aby u wjazdu do wioski ustawić kamień pamiątkowy na cześć człowieka, który zginął, ratując dziecko. Ta Ela mówiła, że z Klemem zginął duży talent. Ba, on, Edek, też wyniósł ze wspomnień o tym chłopcu wiele cennego...

Jak więc jest naprawdę? Czy Klem w jakiś sposób przerastał ich wszystkich, czy też dopiero piękna śmierć, choć tak bardzo niepotrzebna, wyzwoliła legendę?

Wzruszył ramionami. Nie takie to wszystko proste. Gdyby tak mógł porozmawiać z Wera, ona znała Klema lepiej może niż inni, gawędzili ze sobą długie godziny, zwierzał się jej ze swych planów.

Myślał teraz o tej dziewczynie. Nie wiedział, poprawiły się trochę ich stosunki czy wszystko pozostało bez zmian.

Bo i wtedy, przy rozstaniu, ona przecież wyraźnie mówiła, że nie chodzi jej o zrywanie znajomości, tylko o coś innego, o to, co wiązało się już pomiędzy nimi, czego wyrazem była jej chęć, aby ją ucałował. Sprawa Zochy stanęła na przeszkodzie. A Zocha wychodzi za mąż za swego kierownika...

Nawet na procesie upiekło się łobuzowi. Marciński ani słowa o nim nie pisał. Edek miał przez pewien czas wyrzuty sumienia, czy słusznie postąpił, samowolnie wymierzając karę kłusownikowi. Tym bardziej że gdzieś w głębi nie był ostatecznie pewien, czy na decyzji rozprawy z młynarzem więcej zaważyła Zocha, jakiś problem zadrażnionej męskiej ambicji, czy naprawdę tamte jesienne historie w lesie i w Pisu.

Wbrew początkowym przypuszczeniom proces przeszedł jakby na marginesie zainteresowań miasteczka i najbliższej okolicy. Pożar wioski i śmierć Kulczyka przesłoniły tamte, dla opinii w jakimś stopniu przebrzmiały już sprawy. Wyrok pięciu lat więzienia przyjęto z satysfakcją i, co znamienne, Marcińskiego obwiniano nie tyle o kłusownictwo czy tajną garbarnię, ile za usiłowanie zastrzelenia człowieka.

Edek odetchnął z ulgą, że i ta sprawa jest już poza nim. Nie lubił sądów, procesów, a tym bardziej bezpośredniego w nich swego udziału. A przecież tutaj, podobnie jak Michał i obaj Gasińcowie, występował w charakterze świadka dowodowego. Powtórzył zeznania złożone przed prokuratorem. Wracając na miejsce dostrzegł w szeregach publiczności wpatrzony w niego, ironicznie uśmiechnięte oczy kierownika młyna. Było w nich jakby wyzwanie i zapiekła nienawiść, kryjąca się pod maską lekceważenia. Jakby zapowiedź, że rachunki pomiędzy nimi ciągle jeszcze nie zakończone.

Uśmiechnął się teraz na wspomnienie tamtego wejrzenia. Kierownik to już była dla niego przeszłość. Straszna walka w lesie zakończyła konflikt nie tylko między nimi dwojgiem, ale i jakieś zmagania wewnętrzne w Edkowym sercu. I już wszystko rysowałoby się jaśniej, zupełnie inaczej, gdyby nie Wera i nie Kulczyk.

Nasłuchiwał, ale w pokoju Michała było teraz cicho i spokojnie. Pewnie już zasnął. Każdy ma swoje przeżycia, troski, każdy je musi przetrwać sam w sobie. Żadne kazania z zewnątrz wiele tu nie pomogą. A zresztą życie krzyżuje tak wiele rojeń, że może w ogóle nie warto sobie na nie zezwalać. Choć inna sprawa, cóż wtedy warte byłoby życie. Klem opisywał im swoją dziewczynę, był taki wzruszony. Roił, jak się potoczy ich wspólne życie. Zamierzał odwiedzić matkę, w dniu imienin osypać ją ulubionym kwiatem. Przecież takie myśli ułatwiały życie, czyniły je o wiele piękniejszym. Dziewczynę znalazł bardzo miłą, ale w urodzie przeciętną, daleko jej było do obrazu wyczarowanego zakochanym sercem chłopaka. Ważny jednak chyba był właśnie ten jego obraz, a nie miara rzeczywistości.

Ciekawe, czy w oczach innych Wera odpowiada temu rysunkowi, jaki on w sobie ma-  
luje? Na pewno nie. I chyba słusznie. Każdy musi mieć coś własnego, jakieś bardzo osobiste  
wyobrażenie przynależnego do niego wycinka świata. Inaczej byłoby szaro i nudno, choćby  
nawet świat był mądry i piękny, kapał się w barwach i śmiechu.

Za parę dni zakończy zwózkę dłużyc. Nie słyhać o innej robocie. Trzeba będzie powa-  
żnie zastanowić się nad jutrem. Przecież wiekować w Sumach nie będzie. Wakacje? Przedtem  
o nich marzył, łącząc je z urlopem dziewczyny z nadleśnictwa. Obecnie traciły swój sens.  
Pora wracać do miasta.

Myślał o tym obojętnie i jakoś nieobowiązująco. Właściwie Olsztyn wcale go teraz nie  
ciągnął. Nie to, co dawniej, kiedy obco czuł się w puszczy i jej skomplikowanym życiu.  
Tylko że i w puszczy trzeba mieć swoje miejsce. On dla siebie takiego miejsca nie widział.  
Stanowił w tym trwałym organizmie jakąś sztuczną fastrygę. Paweł dopiął już swego; mozo-  
lniejszą drogą, trudniejszą pchał się w górę i Michał. Mietek ma studia przed sobą, potem  
znów las. Każdy tkwi tu mocno, jest w jego obecności głębszy sens. On zaś jest przypadkową  
postacią. Kierowca ciągnika? Sezonowa robota. Więc uplasować się w Piszcu, rozbudowują  
tam zakłady, mogą być miejsca? To także niczego nie rozwiązuje. No i jeszcze w pobliżu  
Wera, jakby trwałe świadectwo przegranej, więcej: klęski.

To było rzeczą, z którą się nie mógł pogodzić. Przegrana, porażka, tak, ale nie klęska.  
Bo klęska to już jest koniec, to zamknięcie czegoś bez szans powrotu, to kapitulacja życiowa.  
Coś się zmieniło ostatnio. Może jeszcze powróci nadzieja?

Z zażenowaniem chwycił się jej cieniutkich niteczek, jakie zaczęły się wiązać w osta-  
tnim czasie. Zarazem bał się, aby nie były to nowe rozczarowania. Jeszcze tego nie nazwał,  
ale wiedział już, że z Werą wiąże go coś zupełnie innego, najbardziej różnego od dotychcza-  
sowych stosunków z dziewczętami. Przed wszystkim to było trwalsze.

W kilka dni po pogrzebie Klema Mietek powiedział, że na wieczór Wera prosiła ich na  
rozmowę. W pierwszej chwili zachnął się i odmówił. Po co? Pękło coś między nimi i chyba  
nie da się skleić od nowa. Mietek wzruszył ramionami i uśmiechnął się lekko. Znał już Edka.

Oczywiście, że poszedł. Uszczęśliwiony i pełen niepokoju. Wera wydała mu się jeszcze  
bardziej bliska, jedyna.

O właśnie, jedyna!! Odmienna zupełnie od innych dziewcząt. Nie mógł się pohamować,  
aby nie popatrywać na nią ukradkiem. Wiedział, że dziewczyna dostrzega te jego spojrzenia.

Nic sobie wtedy nie powiedzieli. Zresztą śmierć Klema była jeszcze zbyt niedaleka, aby  
ten temat nie dominował nad całą rozmową. Wera wiedziała o nim dużo, w trakcie wieczorów  
spędzonych przy przepisywaniu dopiero napisanych opowiadać zwierzał się przed nią wiele.  
Umiała słuchać, a on musiał mówić. Przy wszystkich śmiesznoścach, zresztą poczciwych, to  
był, jej zdaniem, mocny charakter. Nic dziwnego, że tak zaważył na życiu Michała.

— Wiecie, jakie było jego marzenie? — spytała. — Marzył, aby w przyszłości, gdy bę-  
dzie miał swój dom — nie znał jeszcze Eli — aby wtedy osiedlić się gdzieś w tych stronach,  
koło puszczy, nad wodą. I im poświęcić swą twórczość. Uważał, że ludzie tutaj ciekawsi, głę-  
bsi, że cechy prymitywu są tylko pozorami. Cywilizacja, mówił, odhartowywała charaktery, a  
ich kształtowanie to właśnie udział przyrody. Chciał mieć wokół siebie oswojone wiewiórki,  
wydry, borsuki i sarny, żeby bez lęku podchodziły do rąk...

— Tu każdy musi w końcu się poddać. Patrz na Edka. Przyjechał na krótko, teraz ani  
mu w głowie wyjazd.

W jej obecności gotów był tylko potwierdzić słowa Mietka. Dokąd, po co wyjeżdżać?

Przy pożegnaniu powiedziała krótko:

— Edek, ja nie wiedziałam, o co chodziło w tej leśnej bójce. Że to sprawa strzelaniny i  
napadu w miasteczku. Myślałam, że tylko kwestia Zochy i było mi przykro...

Zaśmiał się, mocniej uściśnął jej dłoń.

— Zocha to była już wtedy przeszłość.

Spojrzała, źrenice jej rozszerzyły się, ale nie powiedziała nic.

A on nie mógł się uspokoić. W tym ostatnim powiedzeniu kryła się jakaś zapowiedź. Następnego dnia tak lawirował, aby przy końcu pracy biurowej znaleźć się w pobliżu rejonu. Doczekał się Wery. Uśmiechnęła się, rozmawiali przez parę minut. Zapytał, czy może do niej przyjść któregoś wieczora. Kiwnęła potakująco głową.

Przyszedł. Tego samego dnia. Ale jakoś nie kleiło się między nimi. Rozmawiali sztywno, zbyt oficjalnie. Nie nawrócili do dawnej zażyłości. Czasem tylko oczy zdawały się mówić więcej.

Najważniejsze było, że umówili się znowu. U Wery to wiele znaczyło...

I tak się wahał między obawą klęski a nieśmiałą nadzieją. Tyle wiedział, na pewno, że Wera zadecyduje o dalszych jego losach.

Wstał po tej nocy zmęczony i niewyspany. Skotłowało się wszystko w jego umyśle. Michał i zmarły Kłem, Wera i potrzeba decyzji, co robić z sobą po zakończeniu zwózki, nadzieja i strach przegranej.

Ledwie po odstawieniu pierwszej tury drewna opuścił tartak, dymiąc straszliwie przydzieloną mu zanieczyszczoną ropą, natknął się na Wilę z kilku jeszcze dziewczętami. Wiozły duże bukiety kwiatów, przewieszane przez kierownice rowerów. Uśmiechnęła się do niego. Patrzył, jak skręciły w boczną uliczkę wiodącą do starego cmentarza. Domyślił się, kogo chcą tam odwiedzić. Był tym wzruszony. Przypomniał wdzięczność Mazurów, gdy uchronił dziewczynę od śmierci pod kołami traktora. Teraz znowu sprawa Klema. Ratował przecież mazurskie dziecko.

Zamierzał również zajrzeć na cmentarz, ale zrezygnował, dziewczęta mogłyby to źle zrozumieć. Był zresztą przy grobie przed dwoma dniami. Zdumiał się olbrzymią ilością kwiatów i świeżo splecionych wieńców. Znosili je Mazurzy z całej okolicy. Jeżeli Kłem to widzi, musi mu być chyba przyjemnie. Doceniono jego ofiarę.

Zresztą już sam pogrzeb najlepiej ilustrował uczucia ludności. Dawno nie widziano w Piszach takich tłumów. Najwięcej Mazurów. Byli nawet miejscowi Niemcy.

Edek miał uraz na punkcie pogrzebów. Nie lubił ich. Cały ceremoniał, kłębiący się tłum, głuchy stukot grudek rzucanych na trumnę rozklejały go psychicznie, uciekał od podobnych obrzędów. Bał się też pogrzebu Klema. Rodzice jego, ta mała, przygnębiona dziewczyna, Ela. W ogóle cały nastrój.

Ale tym razem było inaczej. Jakoś naprawdę zupełnie inaczej. Kilka przemówień, oczywiście banalne, jak można się było spodziewać. Z wyjątkiem tego, co powiedział Macura, w imieniu mieszkańców wioski, a jak sam podkreślił, w imieniu Polaków-Mazurów. Stary był wzruszony, ręce mu drżały, ale panował nad sobą, nawet głos mu się nie załamał. Edek nie mógł już dokładnie przypomnieć jego słów, ale było tam o śmierci, która staje się czasem początkiem, a nie końcem. Jak właśnie śmierć poety Kulczyka. Podkreślił zawód Klema. Że taka śmierć łączy Polaków zamieszkałych na tej ziemi, że niszczy przegrody. Potwierdza, że człowiek jest człowiekiem, dziecko jest dzieckiem, bez podziałów i sztucznych różnic. Zmarły nie wybierał, nie pytał, czy to mazurskie dziecko, czy repatrianckie albo kogoś z centralnej Polski. Na pewno zresztą ratowałby tak samo dziecko niemieckie.

Mądre to było i powiedziane jakoś inaczej, ładnie, serdecznie. A potem te kwiaty. Chyba z całego Pisz i okolic zerwano wszystkie, co rosły w ogrodach i lasach, na polach i nad brzegami rzeczulek. Całą górą pokryły świeży grób. Pamiętał jeszcze, jak Ela, ta mała jego dziewczyna, położyła na szczycie stosu opowiadania Klema o tej ziemi, razem z bukietem fiołków, przewiązanych niebieską wstążeczką. Właśnie niebieską, ulubionym kolorem tamtego...

Tak, to był dziwny pogrzeb. Na pewno by się Klemowi podobał. I coś dziwnego w późniejszej wiadomości, że mieszkańcy wioski chcą ustawić pamiątkowy kamień, który by mówił o czynie chłopca. Że co dnia przybywają na jego grób w Piszach świeże bukiety

kwiatów, przynoszone przez dziewczęta, jak te z Karwicy, przez dzieci i starszych. To było normalne. I jakieś takie podobne do Klema... Może prawda, że go bliżej nie znali, nie widzieli wartości, jakie w nim się kryły. Aż śmierci było potrzeba, aby w pełni się ukazało to wszystko...

Zjechał na rynek, traktor zadudnił mocniej na kocich łbach. W drzwiach gospody stał jakiś człowiek. Sylwetka jego wydała się Edkowi dziwnie znajoma. Kaszkiet tak założony, jak u olsztyńskich cwaniaków. Czyżby to on?

I tamten musiał go poznać, uporczywie przypatrywał się traktorzyście. Wreszcie zdecydował się, chwiejącym się w biodrach krokiem przecinał drogę „Zetora”.

Tak, to był Krasawczyk. Co za licho go tu przyniosło? Może szuka odpowiedzi na tamtą historię koło Piastowskiej Bramy? Wstrzymał maszynę. Krasawczyk uśmiechał się, przyjaźnie kiwał dłonią.

— Zaleszczak? Kurczę pieczone, na końcu świata! Kto by pomyślał.

Uściskał z siodełka wyciągniętą dłoń. Tak był zdumiony tym spotkaniem, że nie wiedział, co odpowiedzieć. Patrzył na brzydką twarz, z krechą blizny od noża na prawym policzku, na zwinną postać, na ręce nieprzyjemnie spocone, o krótkich, grubych paluchach.

— Złaż z tego tronu, dziabniemy trochę. — Krasawczyk przejmował inicjatywę. — Pamiętasz, jakeś mię oporządził w Olsztynie? Parę dni leżałem w szpitalu, własną gazurką się oberwało. I potem cię wyniosło nie wiedzieć gdzie. Musisz przynajmniej postawić za tamto — zachęcał.

Zgodził się, odjechał tylko na boczną ulicę, aby nie stawiać maszyny pod knajpą. Krasawczyk przypomniał mu Olsztyn, środowisko podobnych typów. Mój Boże, westchnął, jakże był teraz od nich daleki. Inny świat...

— Tyś nie wiedział w Olsztynie, co robić. Trzeba było z Krasawczykiem się skumać. Wszystkim byśmy trzęśli, żaden kizior ani by pisał. No, hop, siup, alleluja, pojechali!

Krasawczyk nalewał znów do wysokich stopek, roześmiał się.

— Ja cię szukałem przez cały miesiąc. Nie wiem, czy uszedłbyś cało. Potem mi przeszło, niepamiętliwy jestem.

Znowu wypili. Edek po wódkach poczuł się lepiej. Wróciła mu stracona na krótko pewność siebie. Cóż tam Krasawczyk, stare dzieje. A wypić można, nie szkodzi.

— Że cię aż do Pizsa przyniosło — zdziwił się.

— Na to zadupie, tak? Mam tu, widzisz krewniaka, przyjechałem odwiedzić. Ale za parę dni wywalam z powrotem, zdechnąć tu można z nudów. Nawet babki ciekawszej nie można podgruchać, wszystkie gnojem prześmierdły.

— Cholera, delikatnyś się zrobił!! Co w Olsztynie? Jak wiara? Koniki są?

— Jak i dawniej. Tylko gliny mocniej naskakują. Dali im samochody, radia, więcej trzeba głową pokręcić, żeby grosz lepszy zarobić. Ale są sposoby, radzi się jakoś... Mnie, widzisz, cztery miesiące trzymali, obsunęła się noga przy jednej robótce. Byłoby gorzej, ale poszkodowany facet bał się, zeznawał, że nie pamięta. Postraszyli go trochę koleżki. Jak oliwić, to dobrze, stara zasada. Gadaj, co robisz na tym traktorze? Dawno tu siedzisz? Myśleliśmy, że kiblujesz, jakeś tak zniknął z oczu.

— Dawno. Pracuję, wożę dłużyce do tartaku.

— Gównno, nie dla mnie robota! Harasz, harasz, i co, dwa patyki jak wyciągniesz, toś rad, no nie?

— Różnie bywa. Mnie tu dobrze. Mieszkam nad jeziorem, u leśniczego, spokojnie, ryby łowię.

Krasawczyk odchylił się wraz z krzesłem do tyłu. Podejrzliwie przyglądał się Edkowi. Nie wierzył, wyraźnie nie wierzył.

— Byczysz! Taki kizior i spokojna robótka. Myślisz tu może cokolwiek zagaić?

— Daj spokój. Ani mi w głowie.

— Na biletach w tej mordowni też nie zarobisz. Byłem wczoraj w kinie, widziałem; kto tu wesprze konika?

— Dziabniem. — Edek podniósł szklaneczką. Zaczynała go nudzić ta rozmowa.

Krasawczyk za to wpadł w świetny humor i z każdym kieliszkiem nabierał większego rezonu. Klepnął Edka przez plecy.

— Daleko mieszkasz?

— Z dziesięć kilometrów. Sumy się to nazywa.

— Sumy, fiumy, trala la. Bierz ogórka.

— A ja myślałem, że ciebie zabiłem. Miałem pietra.

Twarz Krasawczyka spoważniała. Szczerwieniała krecha na prawym policzku. Przyjrzał się Edkowi.

— Toś ty zaraz wtedy wywiął przed glinami? I jeszcze siedzisz? Ty, ty może do dziś myślałeś, że ja nie żyję?

— Nie, wiem z gazet, że się wszystko upiekło. Pijesz?

— Piję, zdrowie mamusi, co robi siusi, piję! Ale coś tu mnie nie gra. — Wyciągnął ramię przez stół. Spod mankietu koszuli wyłoniły się linie tatuazu. Złapał Edka za kłapy. — Gadaj, maleńki, naprawdę wiedziałeś, że żyję?

Ostrożnie, ale silnie ujął jego rękę, wyswobodził z niej kłapę.

— Krasawczyk, nie zaczynaj! W zgodzie zaczęliśmy pić. Powiedziałem, że wyczytałem z gazet o naszej awanturze.

Patrzył na niego zwężonymi szparkami oczu, zarechotał.

— Stawiasz się jak i wtedy. Ale ja lubię odważniaków. Dawaj, siup tate na mame!

Przechylił się nad stolikiem, rozczochraną czupryną dotykał głowy Edka.

— A ja ci mówię, rzuć, bracie, to wszystko. Na wiosce będziesz gnić? Na takim zadupiu? Będę na ciebie czekał w Olsztynie. Zabrakło dobrej wiary, tacy dwaj jak my świat zawołują. Forsy, bab, wódy będzie powyżej uszu. Nie bój się, bez mokrej roboty. To niepopłatny dziś fach. Są inne sposoby. No jak, przyjedziesz?

— Nie wiem jeszcze. Długo tu będziesz? — wołał zmienić temat rozmowy. Dawno nie pił i mocno czuł w czubie alkohol wypity w dużej ilości.

Krasawczyk zaniepokoił się. Wyślepił w towarzysza oczy o przykrym wyrazie, zamglone lekko, ale wciąż czujne. Wylał resztę wódki z butelki.

— Tankuj. Patrz, basa już wychlapaliśmy. Zamawiać?

— Nie. Ja mam dosyć.

— Nie gadaj. Zawsze, wiem, byłeś kozak w picciu, więc czemu wysiadasz. Krasawczyk może tobie się nie podoba? Pytałeś, długo tu będę? Nie wiem. Może dzisiaj jeszcze wyjadę, może jutro. Krewniak zatrzymuje, ale do kitu z jego gościąną. Haka z piwem wypijesz?

— Może być.

Miał już dosyć wszystkiego. W głowie czuł pustkę. Dyszał ciężko. Łapczywie nadział na widelec ogórek i aż dławił się kwaśnym sokiem. Orzeźwiło go to.

Stały przed nimi piwa zmieszane z wódką. Popijali powoli. Krasawczyk znowu stał się serdeczny. Zdawał się szczerze troskać losem dawnego przeciwnika w mętym światku olsztyńskim. Edek odpowiadał półsłówkami, zmęczony był. Krasawczyk ani grzał go teraz, ani też ziębił. Spokojnie patrzył na szczerwieniała od alkoholu twarz tamtego, na nabrzmiałą dawną bliznę od noża.

Wydębił piwo do dna. Dobre było, zimne, chmiel zagłuszał smak alkoholu. Przywołał kelnerkę, zapłacił cały rachunek. Krasawczyk, trzymając głowę na łokciu, spoglądał przymrużonymi oczyma.

— Wyglądasz, jakbyś więcej kosił niż dwa patyki na miesiąc.

— Różnie bywa. Jak jest robota...

— Zaleszczak! Ty mi nie zalewaj! Nie chcesz gadać, nie gadaj, twoja rzecz, choć ja

bym nie robił sekretów przed dobrym kumplem, który cię naprawdę poważa. Idź sobie w diabły, tylko pamiętaj, w Olsztynie albo ze mną, albo przeciw mnie. Ale wtedy gazzurka nie moją roztrzaska głowę...

— Pomyślę.

— Cześć. Idź sobie, idź. To w leśniczówce siedzisz? Jak kto woli...

Edek widział jeszcze od drzwi, jak Krasawczyk przywołuje kelnerkę i zamawia znów piwo z hakiem. „Ulula się w pestkę”, pomyślał.

Powietrze orzeźwiło go. Na wacianych nogach powlókł się do swego „Zetora”. Terkotał niezmiennie, tak jak go zostawił za rogiem najbliższej uliczki. Wdrapał się na siodełko, powoli ruszył swoją drogą. Dosyć miał roboty na dzisiaj, marzył, aby dojechać do domu i spać, spać, aż do wieczora.

Wieczorem przecie miał spotkać się z Werą.

O Krasawczyku, postanowił, nikomu nie będzie wspominał. Dawne dzieje, lepiej do nich nie wracać.

Wera, tylko Wera jest ważna.

Do wieczora. Wieczorem się z nią zobaczy.

## 26. GROM Z JASNEGO NIEBA

— Mieliśmy iść na spacer.

— Nic z tego. Mama wykorzystwała okazję i zabrała się do Olsztyna razem z ojcem. Muszę być w pobliżu telefonu. W lasach jest stan ostrego dyżuru, niebezpieczeństwo pożaru...

Przypomniał sobie tak bardzo jeszcze niedawny pożar w wiosce. Gdy wreszcie przybyła pomoc z Pizsa, ulewa gasiła resztki zgliszcz. Spłonęło jednak osiem domów.

Gdyby to była inna dziewczyna, uradowałby się z tak sprzyjającej sytuacji. Sam na sam z Werą w jej domu nie zmieniało jednak charakteru ich stosunków. Wiedział o tym dobrze, zresztą i on ją traktował całkiem inaczej. Nawet żałował straconej okazji spaceru. Wieczór był ciepły, w ostatnich dniach pogoda się ustaliła, podmuchy wiatru niosły zapach kwitnących drzew i krzewów, ptaki kokosiły się zawzięcie. Przyjemnie było.

Wera spojrzała z ukosa, zaśmiała się. Lubił jej dyskretny, szeleszczący śmiech.

— Herbatę zrobimy później. Teraz zatańczymy, jeśli masz ochotę.

Kręciła gałką aparatu szukając odpowiedniej muzyki.

Co najmniej o pół głowy wyższy był od niej. Dziwne, ale prowadził ją inaczej, niż zawsze czynił to na zabawach. Delikatniej, łagodniej, bez nadmiernego przytulania do siebie. I wcale mu to nie przeszkadzało. Wera bardzo dobrze tańczyła, lekko, miękko.

Podniosła głowę i zaglądała mu w oczy. Uśmiechnął się, a potem ucałował jej włosy nad czołem. Pogroziła palcem. Znow się uśmiechnął, energicznie zakręcił dziewczyną.

— Dobrze mi z tobą, Wera — powiedział prosto.

I zaraz dodał:

— Wczoraj skończyłem zwózkę dłużyc. Niedawno, wtedy, jakeśmy się nie widywali, decydowałem się już na powrót do Olsztyna. Nie miałem tutaj co robić.

— A teraz? — spytała.

— Teraz — błysnął oczyma — teraz znow mi się nadarza robota. Przyznano pogorzecom specjalny fundusz na odbudowę i przydzielono materiały. Będę je zwoził. Zajmie to dwa tygodnie.

— I potem wyjedziesz? — dworowała zawiedziona, że nie powiedział ani słowa o innych przyczynach, które skłaniały go wtedy do opuszczenia puszczańskich szlaków.

Przytulił ją mocniej.



— Nie, bo potem ty będziesz miała urlop. Pamiętasz, mówiliśmy o wspólnych kąpielach, włóczędże łodzią, łowieniu ryb.

Tańczyła teraz z lekko przymrużonymi oczyma. Głowę poddała ku jego piersi. Widział na karczku jasny meszek włosów, połyskujących w mocnym blasku żarówki. Nic mógł się przyzwyczaić do tego światła po mdłym ogniu naftówki w Sumach.

Zaskrzypiał głos spikera. Wera przekreśliła gałkę.

— Siedź teraz grzecznie, ja przygotowuję herbatę.

— Nie warto...

— Warto — tupnęła.

Westchnął przesadnie ciężko. Czuł się tutaj piekielnie dobrze. Nie przypominał u siebie takiej swobody i pełni wewnętrznego spokoju.

Była w skromnej kretonowej sukience, szczerze opinającej drobną, zgrabną figurę. Z satysfakcją spoglądał na szczupłe i prężne nogi.

Został sam w pokoju. Przez otwarte drzwi gabinetu nadleśniczego ciekawie zaglądały ze ścian trofea myśliwskie. Przypomniał zimową nagonkę i tak niespodzianie strzelonego wtedy wilka-basiora. Pan Dziadoń wspominał, że skórę każe wyprawić. Musi zapytać Werę, gdzie jest ta skóra. Boże, jak ona wtedy się przestraszyła. Był głupi, nie domyślając się wielu rzeczy, które kryły się w jej okrzyku.

Spotykali się ostatnio niemal co dnia. Gdy w któryś z wieczorów Edek zostawał w Sumach, nie umiał znaleźć dla siebie miejsca. Przeważnie wypuszczali się wtedy z Michałem na ryby, polując na szczupaki. Nigdy żaden z nich nawet nie wspominał o węgorzach... Mietek powoli przygotowywał się do egzaminu, nie brał więc już udziału w rybackich emocjach. Zresztą i one nie wystarczały Edkowi. Wciąż myślał o Werze i nie umiał zapełnić w sobie tej pustki. Z tym większą radością pędził następnego dnia drogą do nadleśnictwa.

Przełamały się ostatnie lody, zniknął zupełnie chłód Wery. Nie wspominali o sprawach, które ich poróżniły.

Zocha jakby nie istniała na świecie. Edek sam się zdumiewał, jak z jej imieniem nie łączyły się w nim żadne wspomnienia. Nic, zupełnie nic. Aż było mu trochę przykro...

Na ich beztrzęsą cieniem kładła się czasem pamięć Klema, życie jednak było silniejsze. I coraz częściej Wera wybuchała swoim zaczepnym śmiechem, on zaś próbował bronić się rozpaczliwie przed jej drobnymi złośliwościami. W końcu dawał za wygraną. Wera peszyła się, czy aby nie uraziła go zbyt. Wtedy wybuchał śmiechem, wszak jej niepokój był jakimś jego zwycięstwem.

Nie pocałował jej dotąd. A marzył o tej chwili. Jak żadne podobały mu się jej drobne usta, lekko nabrzmiałe i wilgotne. Przy każdej próbie wywijają się zwinnie i zaraz wszczynają rozmowę na błahe tematy. Wdzięczny był jej, że nie odmawia wprost. I czekał. Już nie pocałunku samego w sobie, ile jakiegoś symbolu, jaki pragnął w nim widzieć.

Przed sobą samym już się przyznał. Niełatwo mu to przyszło; zawsze bał się wielkiej, prawdziwej miłości. Bał się powiązań i ograniczeń, jakie niesie za sobą. A przecież gdy którejś nocy nagle, z nieodwracalną jasnością uświadomił sobie ten fakt, poczuł się szczenięco rozradowany, gotów był tańczyć po całym pokoju.

Kocha, jasne, że kocha. To takie proste. Dlatego inaczej czuł się przy niej niż przy innych dziewczynach, dlatego tak dręczył się w okresach ochłodzenia ich znajomości. Chciał wyjeżdżać, bo tracił nadzieję, że będzie mógł z nią przebywać. Nie tyle nawet wyjeżdżać, co po prostu uciekać, aby móc potem zapomnieć.

Nic jeszcze jej nie powiedział. Nie miał odwagi. Że go Wera lubiła, tego był pewien, inaczej nie spędzałaby z nim aż tyle czasu. Ale lubić nie znaczy to samo co kochać. Bo jeśli ona go nie pokocha? Takiej odpowiedzi nie chciał usłyszeć. Czekał, ale w tym czekaniu było już tyle nadziei, że mógł czuć się naprawdę szczęśliwy. Jakże daleki był od niedawnych myśli o swojej klęsce.

— No już. Jesteś pewnie głodny?

Uśmiechnął się. Za nic by nie powiedział, że śpiesząc do niej kolację jadał dopiero późnym wieczorem. Wyrozumiała pani Helena zostawiała mu ją w pokoju.

Musiał mieć rozmarzony wyraz twarzy, bo przyjrzała mu się uważnie pytając:

— O czym myślałeś, jak mnie nie było?

Zawahał się. Może chce, żeby jej to powiedzieć?

Wstał z krzesła, nie skoordynowanym gestem przesunął tacę z herbatą i kanapkami.

— Powiem ci, jeżeli pytasz...

Patrzyła mu w oczy. Musiała widocznie domyślić się czegoś, bo nagle zatrzepotała rzęsami.

— Nie, nie. To później. Teraz zajmijmy się herbatą, bo wystygnie.

Z pasją spojrział na dymiące złocistym płynem filiżanki. Najchętniej trzepnąłby nimi o podłogę.

Uśmiechnęła się przepaszająco. Machnęła dłonią.

— No dobrze.

Iroześniał się. Umiała go rozbroić. I co najgorsze, że rad był z tego.

Kanapki okazały się wyśmienite, on zaś bardzo zgłodniały. Z zadowoleniem witała jego apetyt. Po uprzątnięciu nakrycia zaproponowała niespodziewanie.

— Przejdziemy się. Masz ochotę?

— Tak. Ale czemu przedtem mówiłaś, że...

— Można przejść się także do sadku, prawda? Zawsze usłyszę stamtąd telefon.

Było mu zresztą wszystko jedno. Wystarczyła jej obecność. Kręcił nad sobą głową w niemym podziwieniu. Co to się robi z zakochanym człowiekiem?

— Narzuć coś, może być chłodno — spojrział na jej odkryte ramiona.

W sadzie osypywały się na ziemię ostatnie płatki. Niektóre drzewa przekwitły już wcześniej, wśród listków, młodych jeszcze, niewykształconych, można było wyszukać dłonią drobnutki, delikatne zawiązki. Mocny zapach stał w bezwietrznym powietrzu. Przekwitający bez pachniał bardzo silnie, na jaśminie znaczyły się dopiero białe pąki. Od ziemi czuć było jak gdyby pleśń.

— Brakuje tylko słowika — zakpił, nastrój wydał mu się nazbyt już romantyczny.

— Zaraz będzie, jest tu taki włóczęga w krzaku leszczyny, zaczyna trele nie wcześniej, jak po północy. Masz rację, prawdziwa sielanka. Jeszcze powinnam złożyć głowę na twojej piersi i wzdychać omdlewająco.

Siedzieli na małej ławeczce. Księżyc wałęsał się jeszcze za lasem, ale i bez tego mogli rozróżnić w mroku swe twarze.

Koło nóg za chrzęściło coś, fuknęło niespokojnie. Szybki tupot zdradził jeża. Edek porwał się, kłując dłonie przyniósł amatora nocnych przechadzek, postawił na ławce. Kolczasta kula przy każdym dotknięciu podskakiwała wysoko w górę.

— Młody, pewnie z jesiennego miotu. Ale spójrz, jaki już tłusty. Nie fukaj, nie fukaj, zaraz puścimy cię wolno.

Położyła go sobie na dłoni. Czując twardy grunt, jeż wyprostował się, ryjek zwiesił i węszył nim zapalczywie. Edek sięgnął po papierosa, na ten szmer nocny pasażer fuknął, prychnął, już tylko kłująca kula chybotwała się na krawędzi dziewczęcej ręki. Wolno opuściła jeża na ziemię. Wyciągnął się, węszył, nasłuchiwał, przedreptał parę kroczków, jeszcze stanął, a potem całym pędem wyrwał w gąszcz pobliskiego żywopłotu.

— Teraz mi powiedz, o czym myślałeś?

„Masz babo placek — pomyślał. — Tu jeż, a tu mam gadać o mej miłości. Paradna ta Wera. I w ogóle czy już mam jej o tym powiedzieć?”

— Naprawdę chcesz, żebym mówił?

— Chcę.

Nie widział, ale był pewien, że nosek jej zmarszczył się. Jakżeby chętnie ucałował to miejsce.

Zdecydował się. I tak musi to kiedyś nastąpić.

— Myślałem, jak cię Kocham. I że będę musiał ci to powiedzieć. — Próbował ją objąć. Nie oponowała. Siedziała wpatrzona gdzieś przed siebie. Ale czuł, że ramiona jej drgają.

— Chcę wiedzieć, jak ty...

Powiedziała bardzo spokojnie i prosto.

— Tak, Kocham.

Aż się zdziwili oboje, że to poszło tak prosto. Jakoś inaczej wyobrażali sobie tę chwilę, uroczyściej czy może poważniej, w każdym razie inaczej.

— Prawda, jakie to łatwe? — zaśmiała się trochę nienaturalnie.

I zaraz powiedziała bardzo miłym tonem:

— Pocałuj teraz.

Wargi jej były chłodne. Całował długo, tak jak nie całował jeszcze w ten sposób żadnej dziewczyny. Narzucony na sukienkę żakiet zsunął się na ziemię, czuł dotyk ramion opasujących jego szyję.

I wtedy w leszczynie zaniósł się śpiewem słowik. Poderwała się z miejsca.

— Nie, za dużo już tego dobrego! Prawdziwa sielanka z cikliwej powieści. On ją Kocha i ona jego, noc ciepła, pachnie kwiatami, księżyc, gwiazdy, pocałunek i na dodatek słowik. Do kompletu niczego nie brakuje.

Śmiali się. Objął ją w pół i idąc tak, czuł drżenie ramion dziewczyny. Tak, to był ostatni brakujący jeszcze motyw tej sielanki.

— Wiedziałaś, że to właśnie tak jest, gdy się Kocha?

— Nie. Ale ty musisz wiedzieć. Przecież już się Kochałeś?

— Tak jeszcze nigdy.

Gdy znów siedli w gabinecie nadleśniczego, musiał wrócić do tego tematu. Musiał, choć mu wcale nie było przyjemnie. A w ogóle powinien był jej to przedtem powiedzieć. I nie tylko o dziewczętach, ale w ogóle wszystko.

O różnych sprawkach olsztyńskich, o pijaństwach, o łatwych zarobkach, o bójkach i awanturach. Niech go zna takim, jaki jest naprawdę.

Słuchała popatrując spod leniwych, półprzymkniętych powiek. Nie wiedział, jak głęboko trafiają do niej jego słowa. Opowiadał. Wszystko. Od tamtej Kasi, ona była pierwsza, smarkata. Był jeszcze w liceum, w ósmej klasie. Też była wiosna. Dotąd jedynie całował się z dziewczynami. Tamto nastąpiło dopiero z Kasią... A potem było ich wiele, i zawsze tak samo. A tutaj też, właśnie...

— Wiem — przerwała.

Może i miała rację, po co wspominać Zoche? To było wiadome i zbyt bliskie. Więc teraz mówił o innych sprawach. Ze poszkapił trochę ze swoim życiem. Zawisł gdzieś tak pośrodku. Ale poszuka sobie jakiejś pracy bardziej właściwej. Bo obecnie trzeba przecież inaczej myśleć, prawda?

Powiedziała nieoczekiwanie:

— Ojciec zapytał mnie wczoraj, coś ty ukończył. Powiedziałam... I myślałam, że rodzice bardzo wcześniej wiedzieli, co z nami się dzieje. Może wcześniej niż my.

Obeszły go jej słowa o ojcu.

— Pytał o mnie...

— Tak. Dodałam jeszcze, że masz zamiar uczyć się, coś takiego. Może źle zrobiłam. Ale widzisz, mnie już obrzydła biurowa robota. Nic to nie daje. W przyszłym roku pójdę chyba w ślady Mietka.

— Na leśnictwo?

— Najpewniej tak. Nie wiem jeszcze.

— A czemu łączyłaś to ze mną?  
— Tak sobie, bez żadnej myśli.  
— A to wszystko, co ja mówiłem? Co ty na to?

Przytuliła się do niego.

— Boże, czyż ja tego nie wiedziałam? Przecież o tobie głośno było w Pizzu. Ale to wszystko minęło.

Całował. I jak całował. Tchu złapać nie mogli. Wargi Wery nie były już chłodne.

Pierwsze brzaski skłóciły się ze światłem lampy na biurku. Wera aż zaklaskała w dłonie.

— Ładna historia! Spójrz za okno.

— Zaraz będzie świtało — potwierdził.

— No właśnie. Nie myślałem, że pocałunki są aż tak długie — wróciła do zwykłego swego kpiarskiego tonu. — Uciekaj, Edek, jutro znów przyjdiesz...

Zgorszył cały las, tak wyśpiewywał pełnym gardłem, wracając do Sumów.

Powoli wstawał dzień. Brzask szybko, jak to latem, przedzierzgał się w świt. Szczyty zlepionych seledynem listków brzoź zaróżowiły się, migotały w porannym świetle.

Edek pomyślał z zadowoleniem, że nie musi wyjeżdżać dzisiaj w codzienny kurs do Pizy. Ani jedna dłużycza z zimowego wyrębu nie została na zwałisku. Będzie spał dłużej, potem przejrzy i oczyści traktor. Przywiązał się do swego „Zetora”, zawsze parę miesięcy byli razem, nie zawiódł go nigdy. Dobra maszyna.

Przeciagnał ramiona. Wykapałby się z ochotą. Woda wprawdzie nie nagrzała się jeszcze, aż mrozi, gdy się włoży w nią ramię, ale to nic, potem można rozgrzać się bieganiem po brzegu. Furda sen, nie będzie się kładł. A może tak wyskoczyć z błyskiem na szczupaka? Koło krześliska krążył wielki żarłacz, widzieli go z Michałem, jak wyskoczył raz nad powierzchnię w pogoni za rybą.

Mógł ważyć nawet i dziesięć kilo. To dopiero byłaby walka z takim olbrzymem!

Zszedł trochę na bok, uszczknął kwitnącą gałązkę nie znanego mu z nazwy krzewu. Drobne kwiatki narastały pąkami, w środku płatków skrzyło się złotawe serduszko. Pachniały świeżyzną, lasem.

Droga rozwarła się na pasma zagajników i niewielkie pola leśnictwa. Z komina siwy dym niósł się wąską smugą prosto ku górze. Na pogodę, pomyślał.

Przystanął, patrzył na różowiejące w słońcu domy. Czerwonawą dachówkę pokrył leciutki nalot mchu. W oknach refleksami odbijało się rozprzestrzeniające się światło. Uświadomił sobie, że blisko osiem miesięcy spędził już w tej zagrzebanej wśród puszczy leśniczówce, na końcu świata, gdzie tylko diabeł mówi dobranoc. Niby życie tu prostsze, ludzi mało, a przecież wiele już przeżył w tak krótkim czasie, wiele spadło nań nie znanych problemów, wiele przemyślał. Od grozy świadomości, że jest zabójcą, aż po pierwszą prawdziwą miłość. Dziw, jak tyle spraw; mogło się nawarstwić na takim odludziu.

Zdumiał się nad wnioskami, jakie wyłoniły się niespodziewanie przed jego myślą. Ostatnio spostrzegał w życiu wiele spraw, które dotychczas uchodziły jego uwagi.

Z tym imieniem Wery coś się spełniło w jego życiu. Pierwszy raz poczuł, że nie jest sam. Była jakaś błogość w tej świadomości.

Kos radośnie rozgwiształ się w krzewach. Słuchał chwilę, zawtórował mu skradzioną melodią. Ptak zamilkł w zdumieniu, zatrzepotał pośród gałęzi, a potem, rozłoszczony, usiłował przekrzyczeć dziwnego konkurenta. Edek zmienił melodię, kos podchwycił ją natychmiast, rozdarł się jeszcze mocniej.

Śmiejąc się poszedł do domu. Zaraz u wejścia natknął się na leśniczynę, biegnącą w zaaferowaniu z jakimiś wiadrami.

— Tak wcześnie? — zapytał z uśmiechem.

— Et, pieklimy się od trzech godzin. Ruda nam się cielifa, ciężko szło. Ale już po

wszystkim. Bo też i cielę potężne, gdzie się to tak rozrosło? — W zdumieniu nie zamknęła ust, zobaczył jej złote zęby, porwał nagle kobietę za ręce, okręcił wokoło siebie.

— Puśćże, wariacie, tak cię już wiosna opętała, że i do starych bab się przywalasz? — śmiała się rozbrojona jego humorem. Pogroziła palcem. — Oj, Edek, Edek, żeby z tego wiosennego gruchania nie było kłopotów w lutym...

Poszedł z nią razem. Mietek stał z ojcem w pobliżu obory. Zmęczeni byli, z uczuciem ulgi wystawiali twarze na słońce.

— Co, już po akuszerii?

— Już. A ty, ladaco, gdzieżeś się włóczył? — uśmiechnął się Mietek.

— Gdzie? Po lesie. Grzyby zbierałem — mrugnął okiem. — Wiesz co, wykapmy się.

— Dobra myśl.

— Dajcie pokój, w maju? Szpital w domu zrobicie — obruszył się pan Gasiniec.

Ale nie słuchali go, jak młode, rozdokazywane żrebaki galopowali do jeziora. Patrzył chwilę za nimi, potem machnął ręką. Każdy przecie był takim.

— Matka, zrób im kawy czy gorącego mleka, bo naprawdę gotowi się pochorować.

Pani Helena pokiwała głową. Nie ma to jak młodzi.

Woda była zimna. Pod trochę ogrzaną wierzchnią warstwą od dołu ciągnął piekielny chłód. Ciała ich szczerwieniały, ale nie poddali się, przepłynęli spory kawałek.

— Wynocha, Edek, nóg już zupełnie nie czuję.

Na brzegu rozbrykali się. W słońcu było zupełnie ciepło. Mocowali się, gonili za sobą, w rozpędzie omal nie przewrócili Michała wracającego z lasu, gdzie sprawdzał wykopane wzdłuż linii szkółek pułapki turkuciove.

— Edek — rzęził zmęczony Mietek. — Coś tak ufrajdnięty? Kogoś tam znów przygruchał? Bo nie byłeś u Wery, nie trzymałaby cię do rana...

Zaśmiał mu się prosto w nos. Prychnął:

— Czekaj, i na ciebie takie coś zleci, że ani się będziesz spodziewał...

Pognał do swego pokoju, aby się przebrać. Czuł jeszcze tę kąpiel w całym ciele. W kuchni dymił na stole olbrzymi gar mleka. Przypadli do niego łapczywie.

Zaraz potem wyjechali na ryby. Gdzież myśleć o śnie, kiedy ranek tak piękny, a ryby pluszczą kusząco na gładkiej tafli jeziora?

Wracali krótko przed południem. Zmęczeni słońcem i emocjami. Na dnie łódki złościły się wzdręgi o krwistych skrzelach, a między nimi królowały dwa spore szczupaki.

— Chyba trochę się teraz zdrzemniemy? — Edek ziewnął bardzo przekonywująco.

Od drogi dobiegł warkot motoru. Zaciekawieni wylegli przed dom. Milicyjny gazik zarył nieomal w miejscu.

— Który z was jest Zaleski? spytał oficer.

— Ja.

Zdumiony wyszedł naprzeciw. Czego chcą od niego, u licha?

— Jesteście aresztowani, obywatelu. Siadajcie z nami... Bez gadania! — dodał ostrzej, widząc, że Edek chce coś powiedzieć.

Gazik zawrócił, a Mietek podchwycił niepomiernie zdziwione spojrzenie Edka, siedzącego ciasno między dwoma milicjantami.

## 27. ZAGMATWANA SPRAWA

Świt zaglądał do okna, gdy Edek zbudził się wstrząsany dreszczami chłodu. Podkurczył nogi, ale nie było od tego cieplej. Twarda, drewniana prycza nie zachęcała do dalszej drzemki. Zza drzwi pobrzękiwały klucze.

Znajdował się w przejściówce. Przywieziono go konwojem ubiegłego wieczora, a właściwie już nocą. Że też musiał mieć jeszcze i tego pecha, aby trafić na milicjanta, z którym miał na pieńku od czasu strażackiej zabawy.

W trakcie konwoju cichaczem poczęstował go kilku solidnymi kuksańcami. Pał go sześć, w końcu to najmniej ważne.

Czas od wczorajszego południa przeżył jakby w gorączce. Niespodziewany przyjazd gazika do Sumów, aresztowanie, sroga przestroga przed próbami ucieczki. Areszt w Piszcu, dziwne półsłówka milicjantów, powiadomienie o nakazie prokuratorskim osadzenia go w więzieniu śledczym, coś o bandycie, o jakimś banku... Nic z tego nie rozumiał, a gdy zapytał, roześmiali mu się w nos. Że niby udaje naiwnego.

Potem konwojowanie do innego miasta, w którym znajdowało się więzienie. Suchy urzędnik, monotonicznie spisujący personalia. Jeszcze jedna rewizja osobista: pasek, podwiązki, wszystkie drobiazgi z kieszeni. Wreszcie ta przejściówka.

Nie, nie mógł się w tym połapać. Kaprawy los, cholera! Wszystko układało się pięknie, a tu, masz babo kaftan, trafił człowiek do pudła i co gorsza, nie wiedzieć za co.

Próbował robić rachunek sumienia. Może jakieś sprawy olsztyńskie? Ale ostatecznie nic takiego znów nie przeszkrobał, aby zaraz aż prokurator, ba, kajdanki w trakcie konwoju. I ta aluzyjka na posterunku, jakby złapali jakiegoś mordercę, zbrodniarza, diabli ich w końcu wiedzą.

Więc tutaj, w Piszcu? Ale co? Bójka na zabawie skończyła się paruset złotymi w kolegium orzekającym. „Zetorem” nie przejechał przecie nikogo. Zaraz, zaraz, a może ten piekielny młynarz złożył doniesienie za pobicie go w lesie. Mogło być właśnie to. Tylko że prokurator? Jakoś i to nie siedzi. Omyłka? Ba, kilka lat temu wszystko było możliwe, ale, do diabła, przecież nie dziś...

Więc co, u jasnej Anielki?

Nie umiał znaleźć odpowiedzi. Dał spokój dociekaniom. Dowie się w swoim czasie. Zwłóknął się z pryczy, z pogardą spojrzął na wyliniały, cienki kocyk, zaczął tłuc się z kąta w kąt małej przejściówki. Zły był, jeść mu się chciało, chłód łąził po ciele. Pieski los.

Dopiero po paru godzinach otrzymał kawę i chleb z kostką sera. Zjadł, wypił, zatęsknił za papierosem. Zabrano je przy rewizji.

Ktoś zapukał cichutko do drzwi, podniosło się wieczko judasza. Jakies ciemne oko przypatrywało się mu ciekawie.

Przysunął się bliżej.

— Ty, koleś! Palisz?

— Pewnie — bąknął.

— Na wymianę chcesz?

— Jak?

— Dasz sweter, dam ci dwie paczki „Sportów”.

— Co?

— Dwie paczki „Sportów” za sweter.

Ogarnęła go szewska pasja. Żeby nie te drzwi, psiakrew! Sweter za parę ćmoków. Cholera. Krzyknął:

— Pocałuj mnie, zrozumiałeś?

Wieczko judasza opadło bezszelestnie. Domyślił się, że musiał to być któryś z funkcyjnych więźniów, mających prawo przebywania na korytarzach. Handlowiec, pieska jego niebieska.

Niedługo potem wykapano go i przeniesiono do innej celi. Siedziało tam dwóch młodzików. Z aprobatą powitali współtowarzysza.

— Cześć, koleś. Za co?

Wzruszył ramionami. Nie wie, naprawdę nie wie. Śmiali się serdecznie.

— Każdy taki przyjemniaczek nigdy nie wie, za co trafił do mamra. A potem okazuje się, że mamusię na tamten świat wysztyftował, szofera zrobił na mokro czy przynajmniej sklep przenosił w workach na inną ulicę...

Popatrzył na nich ponuro.

— Zamknijcie jadaczki, panowie.

— Bo co?

— Bo was pomacam po zebrach...

— Pomału, pomału, groźniejsi tu byli.

Ale ucichli, jego postawa musiała wzbudzić w nich respekt. A Edek wpadł teraz w jakiś wisielczy nastrój. Kichał na wszystko. Jeżeli zamknęli go właśnie wtedy, kiedy zamyślał, jakby uporządkować swe życie, to znaczy, że taki już jego sobaczy los żyć inaczej niż zwykli ludzie. Chcą zrobić z niego bandziora, to dobrze, proszę bardzo. Gdyby dwaj przygodni towarzysze celi nie ustąpili, z chęcią roztrzaskałby im buzie na kwaśno. Byłaby przynajmniej rozrywka. A w ogóle...

Szczęknęły drzwi.

— To pewnie po ciebie, koleś. Szybko zaczynają, znaczy sprawa ważna.

— Zaleski? Wychodźcie!! Do prokuratora.

Znalazł się zaraz na dole gmachu, w przestronnym, jasnym pokoju. Kazano mu usiąść na taborecie umieszczonym pośrodku. Za biurkiem siedział starszy już mężczyzna o siwych skroniach. Długo przyglądał się Edkowi. Gdy wszedł protokolant, sprawdził personalia. Pytał o pobyt w Sumach, o poprzednie lata w Olsztynie.

— Gdzieście byli ubiegłej nocy?

— Poza domem.

— Ale dokładnie, gdzie?

Pomimo zaskoczenia niespodziewanym pytaniem był opanowany i spokojny. Myślał intensywnie. Gdzie był wczoraj? Jasne, że z Werą, w nadleśnictwie. Ale czy powiedzieć im o tym? A jeżeli naprawdę przyczepią mu jakąś sprawę, to co, ma w to plątać dziewczynę? Rodziców jej w domu nie było, a ona wtenczas przyjmowała chłopca aż do jasnego świtu. Ładne by poszły ploteczki w okolicy, miałyby zepsuta opinię. Guzik, nie powie, niech sobie myślą, co chcą.

— Poza domem, ale nie mogę powiedzieć gdzie.

— Zatem odmawiacie zeznań?

— W tym punkcie tak.

Prokurator spojrział na niego niechętnie. Pomyślał, że ci młodzi przestępcy zawsze tak zaczynają. Inna sprawa, że ten był dosyć niezręczny. Nawet nie próbował wyszukać dla siebie alibi.

— Jak dawno przyjaźnicie się z Florczakiem?

Próżno przebiegał pamięcią krąg swoich znajomych. Z Florczakiem nigdy się nie zetknął.

— Nie znam takiego.

— Florczaka nie znacie?

— Nie znam. Ja, panie prokuratorze, w ogóle nie rozumiem, o co chodzi.

Prokurator uśmiechnął się krzywiąc wargi.

— Kto ogłuszył strażnika?

Poderwał się z miejsca. Protokolant spojrział spłoszonym wzrokiem.

— Nic nie rozumiem. Czego pan chce ode mnie?

— Pytam, kto ogłuszył strażnika? Wy czy Florczak?

— Nic nie wiem.

O co go podejrzewają? Jaki Florczak? Co za strażnik? To jakaś piekielna omyłka? Kto go tak zrobił?

— Czyj to był pomysł z próbą okradzenia banku?

— Banku? Panie prokuratorze, to wielka omyłka. Ja naprawdę nic nie wiem.

„Gdyby nie pewność, gotów byłbym uwierzyć, tyle zdumienia przebija z jego twarzy, myślał prokurator. Co za wytrawni rutyniarze, choć tacy młodzi”.

— Więc w ogóle nie chcecie mówić na ten temat?

— Ja nic nie wiem.

Ogarnęła go desperacja. Przedtem zamierzał protestować, wywołać jakąś awanturę, diabli wiedzą co. Teraz zrezygnował. Tylko pogorszy to sprawę. A w ogóle śni może czy co, u licha? Jeszcze nigdy nie czuł się tak głupi jak teraz.

— Dobrze. Na teraz przerwiemy naszą rozmowę. — Nacisnął dzwonek. W drzwiach ukazał się strażnik. — Proszę odprowadzić podejrzanego.

W celi siedział długi czas z twarzą ukrytą w dłoniach. Niczego nie pojmował. Co za Florczak? Jaki bank, strażnik, napad?

— No i co, koleś? Mocno cię zagiął? — ze współczuciem patrzyli na niego towarzysze niedoli.

— Zagiął? Ani się z tego wyplątać. A najgorzej, że nic nie rozumiem, o co im chodzi.

— Wytłumacz ci pomaleńku... — zaśmiali się.

Znowu zgrzytnęły drzwi.

— Zaleski? Wychodźcie!!

Ponownie zasiadł przed prokuratorem. „Co za system, myślał. Gotowi mnie tak dręczyć przez dzień i noc. Zwariować można”.

— Więc twierdzicie, że nie znacie Florczaka?

— Nie znam.

— Dobrze.

Nacisnął dzwonek dwukrotnie.

Drzwi się otworzyły, w towarzystwie dwóch strażników stanął w nich... Krasawczyk. Dla Edka w tej chwili wszystko stało się jasne. Może nie wszystko, ale to, za czym przyczyną znalazł się tutaj.

— Florczak, poznajecie tego obywatela?

— Tak jest. To Zaleski, Edek.

— Panie prokuratorze, ja nie wiedziałem...

— Spokojnie, Zaleski, was teraz nie pytam. Powiedźcie, Florczak, jak doszło do napadu na bank.

Patrzył na Edka ironicznie, koło warg błąkał się mu zły grymas. Krecha od noża na prawym policzku znaczyła się białym pasmem.

— Prosta rzecz, ja wolę prawdę od razu... Znamy się dawno, od lat. Z Olsztyna. Byliśmy kumplami...

— Nieprawda...

— Zaleski, uspokójcie się, proszę.

— A więc byliśmy kumplami. Ja nie rozumiem, czemu Zaleski nie przyznaje się teraz do tego... Różnie tam bywało, pobiliśmy się nawet parę razy, jak to przy wódce i o dziewczyny, wie pan prokurator...

— Streszczajcie się, Florczak! Chodzi o bank.

— No więc tak, panie prokuratorze. Zaleski przeskrobał coś w Olsztynie, dobrze nawet nie wiem co. Musiał wyjechać. Ulokował się tutaj, w leśniczówce. Sumy się to nazywa, woził drzewo traktorem... Niedawno dał mi cynk, żeby przyjechać, bo się szykuje kława robótka.

— Ty skurczybyku!! — Porwał się do niego, ale silne ramiona strażnika złapały go od tyłu jak w kleszcze.

Krasawczyk zmrużył oczy, uśmiechnął się, nie spieszony mówił dalej:

— Przyjechałem. Popiliśmy, jak to zawsze. Powiada mi, że bank tu jest mały w starym



budynku, nawet skarbcza nie ma, tylko specjalny magazyn w piwnicy. No i ustaliliśmy na wczoraj. Zaleski żelazem rąbnął strażnika, od tylnej ściany rozwaliliśmy mur, nawet cicho poszło, zresztą noc, kogo tam co obchodzi, a banczek trochę na boku... Wleźliśmy do środka, już dobieraliśmy się do tej piwnicy, ciężko szło, bo ja na wytrychach i innych takich kasiarskich sztukach się nie znam, dawałem tylko cynk, a grasował Zaleski... I wtedy usłyszeliśmy jakieś kroki. W nogi, ale już milicja dokoła. No i mnie wzięli, a on uciekł, ale już także trafił. Powiedziałem panu prokuratorowi od razu prawdę. Zawsze może rok jakiś mniej się zarobi, nieprawda? Edek, i ty się przyznaj, nie wyszło, co się będziesz załgiwał...

O Boże, gdyby mógł trzasnąć w tą ohydną, uśmiechniętą gębę. Zmasakrowałby, więcej, zabił padalca. Ale strażnik trzyma, nie da rady. To on tak mści się za Olsztyn, a przy wódce udawał wielkiego przyjaciela. Sprawa mętna, co tu robić?

— Zaleski, znacie Florczaka?

— Panie prokuratorze. Ja nie wiedziałem, że Krasawczyk to Florczak... Tego znam.

— Jak mówicie? Krasawczyk?

Edek dostrzegł, jak cień niepokoju przemknął przez twarz Krasawczyka. Nie musiało mu być na rękę zdekonspirowanie przezwiska.

— Tak. Znałem go, ale słabo. Nigdy nie byliśmy kolegami. Biłem się z nim raz, bo na mnie napadł. I potem zobaczyłem go dopiero przed paru dniami, tutaj w Pisz. Piliśmy razem wódkę w gospodzie. A o żadnym banku nic nie wiem.

— No dobrze, dobrze... Zabierzcie Florczaka.

Gdy znów zostali we trójkę z kancelistą, prokurator długo się przyglądał Edkowi. Nie mógł się oprzeć uczuciu sympatii dla młodego człowieka. Tamten od razu widać, że nicpoń, ale ten? Nawet dobrze mu z oczu patrzy. No cóż, fakty są jednak faktami.

— Przyznajecie się teraz, Zaleski, po tym, coście słyszeli z ust Florczaka?

— Nieprawda, to wszystko nieprawda, panie prokuratorze!

— Trudno — westchnął — będzie z wami więcej kłopotu. Zaczniemy od początku... Więc kiedy poznaliście Florczaka? Jakie były wasze stosunki? Aha, ale przedtem, czy przypomnieliście sobie, gdzie byliście wczoraj w nocy?

— Nie potrzebuję przypominać, bo wiem. Ale... ale nie mogę powiedzieć.

— No dobrze, dobrze. Zatem, jakże ta znajomość z Florczakiem alias Krasawczykiem?

Po dwóch godzinach prokurator nic nie wskórał, Edek zaś wpadł w czarną rozpacz. Nie widział wyjścia z kabały, w jaką go wkopał Krasawczyk. Nie mógł się przyznać, że przez całą noc był razem z Wera, nie, takiego świństwa nie robi. Jeszcze gdy wszystko zapowiada się tak ponuro... Psi los. Diabli go nieśli jesienią do tego Pisz. Naprawdę diabelska dziura.

Dalsze dwa dni przesłuchań nie posunęły sprawy naprzód. Edek odpowiadał monosylabami, był już ostatecznie zmęczony, gotów do powierzenia wszystkiego swojemu losowi. Na cóż zda się jego obrona, wszelkie argumenty, gdy zaraz pada zza nich to samo pytanie: Jakie go łączyły stosunki z Florczakiem, co robił tej nocy, czym ogłuszył strażnika, skąd miał rozeznanie w topografii banku, dlaczego tak uparcie odmawia zeznań? To samo i to samo. Na cóż zda się przeczenie? Zastanawiał się, czy w ogóle nie odmówić składania zeznań? Po co ta idiotyczna gra w ciuciubabkę?

Czasem, dając w ten sposób upust szarpiącej go złości popuszczał cugli swej gębie i kłął tak serdecznie, sypał takimi piętrami, że oniemieli towarzysze celi zastygli dosłownie w pewnym podziwu zachwycie. A potem wbijał twarz w dłonie i tkwił tak godzinami.

Ale i prokurator z każdą godziną orientował się, że wbrew spodziewaniom będzie miał ciężki orzech do zgryzienia. Wiele nie pasowało w zeznaniach obu poszkodowanych. Jakoś zawile kształtowały się w relacjach dane o ich olsztyńskiej znajomości. Zastanawiała pasja, z jaką Florczak przerzucał główną odpowiedzialność na barki Zaleskiego. Nie mniej szokujący był upór tamtego w zaprzeczaniu konkretnym, zdawałoby się, faktom.

Opinie z Olsztyna o Zaleskim nie były ostatecznie tak bardzo złe. Znany był jako lekko-

duch, jeden z konikowych hersztów, miał kilka spraw o awantury, parę orzeczeń kolegium, ale nie mieszano go ze środowiskiem zdecydowanie przestępczym, w jakim obracał się i rej wodził Florczak — Krasawczyk. Jesienne zajście obok Piastowskiej Bramy w Olsztynie też kazało skłaniać się na stronę zeznań Zaleskiego...

W Pizzu wiadomo było milicji, że pije, że wywołał awanturę na zabawie. Po cichu, bo brakło dowodów, łączono jego osobę z pobiciem młynarza. Ale zarazem chwalono go jako sumiennego pracownika. Najbliższe zaś otoczenie z leśniczówki nie miało dla chłopca słów uznania. Coś znaczyła także jego postawa, gdy narażając własne życie uratował od przejechania młodą rowerzystkę, podobnie jak udział przy gaszeniu pożaru tej nocy, kiedy zginął młody poeta Kulczyk. A jeszcze pomoc w wykryciu bandy kłusowniczej i nielegalnej garbarni. Wszystkie te fakty świadczyły na korzyść, podkreślając zarazem bujną, nieokiełzaną naturę.

Czwarty dzień od aresztowania Zaleskiego przyniósł prokuratorowi nowe kłopoty. Z samego rana zameldowano mu, że dla złożenia ważnych zeznań prosi o posłuchanie młoda dziewczyna, córka nadleśniczego Dziadonia. Prokurator znał dobrze ojca, zetknął się też parę razy z córką. Zaciekawiony poprosił ją do gabinetu. Weszła blada, z ponurymi błyskami w podkrążonych oczach.

Przywitał ją ciepło.

— Proszę, panno Wero. Cóż panią do mnie sprowadza?

Siedziała na brzeżku krzesła. Patrząc mu w twarz, powiedziała, wyraźnie akcentując słowa.

— Przychodzę w sprawie mego narzeczonego, Edwarda Zaleskiego.

Zdumiał się. Wyczuwał jakąś nową kabałę. Dziadoniówna narzeczoną tamtego łobuza?

— Słucham — powiedział.

— Słyszałam, że Edek odmówił podania danych, gdzie spędził noc, w którą popełniono napad na bank. Noc tę spędził u nas, w nadleśnictwie. Co dnia prawie przychodził. Tej nocy byliśmy sami, został dłużej. Zaręczyliśmy się.

Nie, w twarzy jej nie było żadnego zażenowania ani fałszywego wstydu. Przypuszczał, że mówi prawdę. Pomyślał, że ładna była ta delikatność w stosunku do dziewczyny, choć od strony prawnej Zaleski popełniał głupstwo. Należało rzecz zbadać dokładnie. Bo jak z tym pogodzić zeznania Florczaka? Wiadomo, że było ich dwóch. Zeznał to stróż, zeznali milicjanci, którym wspólnik Florczaka wymknął się niemal z rąk. Więc jak? Pokręcił głową strapiony nowym problemem. I już mniej zdawał się ufać słowom dziewczyny. Ostatecznie z miłości ludzie robią nie takie głupstwa.

— Czy widział ktoś Zaleskiego tej nocy w nadleśnictwie?

— Nie, byliśmy sami.

— To bardzo mało jako dowód.

— Mnie się wydaje, że to zupełnie wystarcza — powiedziała ostro. Zadał jej jeszcze kilka pytań, potem spisał krótki protokół. Podziękował.

Po wyjściu dziewczyny długo się głowił nad sprawą. Po południu postanowił przesłuchać Zaleskiego w tej nowej okoliczności.

Weszła sekretarka.

— Panie prokuratorze. Zgłosiła się dziewczyna, Mazurka, w sprawie Zaleskiego.

— Co, u diabła? A ta czego chce? Prosić!

Zaciekawiony, uśmiechając się, patrzył na nową interesantkę. Nie znał jej. Ładna była. Wysoka, zgrabna, o śniadej cerze i ciemnych włosach. Wyglądała na mocno speszoną. Kręciła w dłoniach chusteczkę, twarz miała spoconą.

Jeszcze nie zdążył zapytać, gdy sama oświadczyła, z czym przychodzi.

— Ja, proszę prokuratora, żeby powiedzieć, że pan Zaleski był tamtej nocy ze mną w lesie... I że on przez to nie winien, bo jak mógł tutaj być, jeżeli był ze mną?

Zgłupiał. Rzadko się to zdarzało w jego karierze. Ależ ten chłopak to urodzony uwo-

dziciel. Już druga. Ile jeszcze przyjdzie z oświadczeniem, że spędziły z nim tę fatalną noc? Nie wierzył już teraz ani Werze, ani tej młodej, ładnej Mazurce.

— Proszę mi powiedzieć dokładnie.

— No, to było tak. On przyszedł do mnie wieczorem...

— W domu?

— Nie... do lasu, przy wiosce. Umówiłam się tak w Piszcu, żeby nikt nie widział. I byliśmy razem aż do samego rana. I potem on poszedł do leśnictwa, a ja do domu...

— I nikt was nie spotkał?

— Nikt, panie prokuratorze.

Oczywiście jedna i druga zeznawała tak samo.

— Czy Zaleski był może pani narzeczoną?

— Nie... ja mam innego narzeczonego. Z mojej wioski, z Karwicy.

— I to ładnie tak, mając narzeczonego, całą noc spacerować z innym?

Twarz jej poczerwieniała. Spuściła oczy. Powiedziała wolno i cicho:

— On mnie tylko całował, nic więcej...

— Aha. I to na pewno było tej nocy?

— Tak, na pewno, panie prokuratorze.

Odetchnął z ulgą, gdy został znów sam. Sprawa była prosta, obie dziewczyny kłamały, rację jednak musiał mieć Florczak. Zresztą kto wie, czy Zaleski nie umówił się z którąś z tych dziewczyn, nie przypuszczając, że druga mu wejdzie w paradę... Pewnie, należy zbadać to wszystko, ale to czcze już jedynie formalności.

Weszła sekretarka z aktami do podpisu.

— Panie prokuratorze, właśnie tę dziewczynę Zaleski uratował od śmierci i kalectwa. Wtedy, z traktorem, jak wjechał umyślnie do rowu, aby zostawić jej wolną drogę...

— Ach tak. Teraz rozumiem. Wdzięczność... — Pokiwał głową. Dziewczyna wzbudziła w nim szacunek.

Gdy po południu ponownie prowadził przesłuchania, po namyśle postanowił nie wspominać Zaleskiemu o dzisiejszych zeznaniach dziewcząt. A nuż będzie szukał w tym zaczepienia dla swojej upartej obrony.

Pragnął rozdłubać twarde orzech, w jakiś sposób zaskoczyć podejrzanego. Zaleski początkowo powtarzał swoje przeczenia, potem jednak oznajmił podniesionym głosem:

— Panie prokuratorze, proszę zaprotokołować, że odmawiam składania dalszych zeznań. Powtarzam, że jestem niewinny, że to jest oszczerstwo rzucone na mnie przez zemstę, i więcej nie chcę już na ten temat mówić.

— I nie podacie mi żadnej motywacji, gdzie spędziliście wiadomą noc?

— Nie

— Więc do rozprawy sądowej już się nie zobaczymy?

— To nie ode mnie zależy. Ja w każdym razie nie odstąpię od mojej decyzji.

Zadzwonił.

— Proszę wyprowadzić podejrzanego. — Rzucił to ostro, ze znużeniem i złością w głosie.

Edek wracał do celi zły na siebie. Że spotkał się z Krasawczykiem, to trudno. Mały żal, że zaszli razem do knajpy. Tylko co mu kazało pleść tamtemu, gdzie pracuje, u kogo mieszka, co robi; tego nie mógł sobie darować. Nic by wtedy nie mógł mu Krasawczyk zarzucić. A tak oplątał go swym oskarżeniem, ani się z niego wygrzebać.

Proces. Prokurator mówi o procesie. Tak, trzeba myśleć o tym dniu. Tam dopiero mówić. Przemyśleć wszystko dokładnie, przygotować gruntownie obronę. Przecie nie może tak być, żeby mieli go skazać dosłownie za nic.

Czuł wielki żal do świata. I tęsknił, bardzo tęsknił za Werą. Czasem przychodziła mu straszna myśl do głowy, a jeżeli uwierzyła ona temu wszystkiemu? Uspokajał się, że przecież

wie, co robił tej nocy, więc może go być zupełnie pewna. Ale znów bał się, że dziewczyna mogła nie skojarzyć dwu dat i myśli o nim najgorzej, wyparła się go, stara się zapomnieć.

Częściej jednak sądził, że kocha go nadal, pewna jest jego niewinności i tęskni podobnie jak on. I znowu wtedy zastanawiał się, dlaczego nie ujawni wobec tego prokuratorowi, że tej nocy był u niej, w nadleśnictwie? Może dlatego, że w braku świadków nie daliby jej zeznaniu wiary i nic by z tego nie przyszło. Na pewno tak, więc milczy. I ma rację. Kochana dziewczyna. Boże, znów być obok niej, słuchać jej głosu, całować te drżące usta. Jakaż za tym drżeniem musi się kryć namiętność...

Minęło kilka dni. Prokurator nie wzywał go już na przesłuchania. Wpłynęło to na Edka uspokajająco. Myślał jednak często o tym poważnym, starszym panu ze szpakami przy skroniach, o jego upartym nawracaniu do tych samych spraw, o próbach wydobywania z Edka obciążających go zeznań. No cóż, tak musi, jego służba. Ale mimo to nie mógł znaleźć w sobie dla tego człowieka nawet cienia sympatii. Żeby niewinnego tak gnębić...

Gdzieś za biurkiem czy w domu u siebie znienawidzony przez Edka prokurator również nie mógł nawet na chwilę uwolnić się od dziwnej, nie spotykanej jeszcze w jego praktyce sprawy. Wiele nici nie miało końców, niejedno z zeznań Florczaka gmatwało się. Natomiast wszystko to, co oświadczył Zaleski, choć bardzo mało było tych jego zeznań, pasowało idealnie do materiału, jaki milicja zdołała zebrać. Leśniczy Gasiniec i jego syn, Mietek, wskazali motywy przyjazdu Edka do Pizsa, które też zresztą dopiero z czasem się wyjaśniły. Znalazła się notatka w gazecie o bójce w Olsztynie. Pamiętnej nocy Edek, to prawda, wrócił nad ranem, ale był w doskonałym humorze, co byłoby nie do pomyślenia w wypadku udziału w nieudanym napadzie. Młody Gasiniec wskazał na bliską zażyłość Edka z córką nadleśniczego, zwłaszcza w ostatnich tygodniach.

Kelnerka i bufetowa potwierdziły fakt bytności Edka w gospodzie wraz z człowiekiem, który miał szramę na policzku. Pili dużo, ten z bliźną, wyglądało, jakby się odgrażał. Nadleśniczy Dziadoń potwierdził fakt nieobecności swojej i żony konkretnej nocy, jak też częste wizyty chłopca w nadleśnictwie.

Nie zgadzały się natomiast z prawdą zeznania dziewczyny z Karwicy. Spała tej nocy w domu w jednym pokoju z matką. Nie mogła więc spacerować po lesie. Wprawdzie potem na jakiś gest córki matka zaczęła się płatać w relacjach, ale to już nie miało znaczenia.

Gdzie więc jest prawda? Gdzie klucz do tej dziwacznej zagadki. Winien ten chłopak czy nie winien? A jeżeli nie, gdzie podział się wspólnik Florczaka? Strażnik, który po ogłuszeniu zaciągnięty został na tył domu, a potem ocknął się, odczołgał w stronę rynku i zataczając się, dobrnął do posterunku, mówił coś o wysokim napastniku. Tymczasem Zaleski był raczej średniego wzrostu.

Kłopoty prokuratora zwiększyły się z chwilą, gdy otrzymał zarządzenie władz zwierzchnich, aby proces potraktować jako pokazowy i przeprowadzić go w Pizsu. Nie można dopuścić do żadnego blamażu, czas nagli, a tu wszystko nie chce trzymać się kupy.

I tego wieczora również tłukł się, siedząc w fotelu, z swymi myślami, aż żona spoglądała na niego z niepokojem i jakby żalem, że słowa z nią nie zamienił od powrotu z biura, gdy zadzwonił telefon. Niechętnie podniósł słuchawkę. Znów jakieś głupstwo.

— Halo?

Słuchał uważnie. Komendant posterunku alarmował już samym swym podnieconym głosem.

— Co? Tak, naprawdę? Dobrze, zaraz przyjeżdżam. To dopiero nowina. I sądzicie, że na pewno? Nie wiecie, co o tym myśleć? Jestem pewien, że znajdzie się rozwiązanie. Podeślijcie mi waszego gazika. Dobrze?

Jakby mu sił przybyło. Zerwał się z miejsca, nakłada marynarkę, oglądał się za czapką.

— Wychodzisz?

Podszedł do żony, czule pogładził po spracowanej dłoni.

— Muszę. Widzisz, sprawa banku... Komendant dzwoni, że przypadkiem wpadli na trop drugiego współnika. Jest u nich... Muszę go przesłuchać nie zwlekając. Może naprawdę dzieje się krzywda temu chłopcu...

— Komu, co? Przecież aresztowaliście obu? Co znowu za jeden?

— Ten Zaleski może okazać się niewinny, rozumiesz?

Skinęła z przekonaniem głową. Tak, teraz rozumiała, jasne, musiał być tam jak najszybciej.

Za oknami rozległ się klakson.

— Szybcy są — uśmiechnął się prokurator.

W swojej celi uśmiechał się w tej chwili także i Edek. Śniła mu się Wera, rozradowana wyciągała ku niemu stęsknione ramiona.

## 28. ZNOWU W SUMACH

Edek rozpiął szeroko kołnierz koszuli, strząsnął dłonią kropelki deszczu osiadłe na włosach. Gdyby nawet lało tak, jak w czasie pamiętnego pożaru, uważałby, że jest piękna pogoda.

Zaraz po zwolnieniu z więzienia udało mu się złapać na szosie ciężarówkę pędzącą do Pizsa. Na pociąg czekałby parę godzin. Szedł teraz co siły w nogach. Aby prędszej do domu. Uśmiechnął się do tych słów. Sumy naprawdę stały się jego domem. Ciekawe, czy wiedzą tam, że został zwolniony? Chyba nie, prokurator mówił, że sprawa wyjaśniła się dopiero wczoraj wieczorem i pierwszą rzeczą jaką zrobił dziś rano, było uchylene nakazu aresztowania.

Wstrząsnął się na myśl, jakby dochodzenie toczyło się dalej, gdyby przypadek nie dopomógł milicji w ujęciu rzeczywistego współnika Krasawczyka. Głupi, upił się i zaczął się przechwalać, jaki z niego bohater...

Ale ten Krasawczyk! Drań, taki pamiętliwy, jak to sobie sprytnie obmyślił, trudno było cośkolwiek zahaczyć. Znali się? — Tak. Spotkali się w Pizsu? — Tak. Spędził tę noc za domem? — Tak. Wszystko tak. I co się dziwić, że prokurator nabrał się na takie łgarstwa.

Przez chwilę pożałował, że Krasawczyk nie jest na wolności. Sprawy facetowi gębę tak dokładnie, że nie miałby już po co pokazywać się wśród ludzi. Ech, cholera, lepiej dalej od takich. Potem wyskakują podobne historie...

Bo nawet gdyby się przyznał, że był wtedy cały czas z Werą, mało by to pomogło. Zeznanie Wili pogmatwało rzecz jeszcze bardziej. Swoją drogą porządna dziewczucha. Która by chciała tak ryzykować po prostu z samej tylko wdzięczności?

Wera, jaka kochana! Dobrze, że mu prokurator o tym powiedział. Wie teraz, co o kim ma myśleć. Parsknął głośnym śmiechem, aż mijająca go staruszka obejrzała się w zdumieniu. Jaką też prokurator musiał mieć minę, jak go tak zapewniały jedna po drugiej, że Zaleski całą noc przebywał w ich towarzystwie. Ciekawe, której bardziej skłonny był wierzyć.

Co oni myśleli tam w Sumach? Krowa się im cielili, widzieli, że wrócił nad ranem. Nawet Mietkowi nie powiedział, gdzie był. A tu zaraz milicja, wiadomość o bankowej aferze. Czy choćby przez chwilę mieli wątpliwości? Zawiódł ich przecie nieraz.

Skręcił w lewo na drogą wybitą żużlem. Ani się obejrzał, jak przeszedł te kilka kilometrów z miasteczka. O, znowu deszcz, teraz mocniejszy. Przyjemnie. Wykapie się dzisiaj, woda na pewno już ciepła. Całe dziesięć dni przesiedział w więzieniu. Brr, nie miałby ochoty trafić tam znowu.

Jak tu przyjemnie w lesie. Rozrosło się wszystko, wybijało, w bok od drogi nie ma już wcale prześwitów, tak gęstą ścianą listowia pokryły się krzewy i chwasty. Wwąchiwał rześką

wilgoć parującą z puszczańskich ostępów. Gwizdnął za sroką przesmykującą nad drogą. Zmieniła kierunek lotu, ciekawska przysiadła na najbliższej gałęzi, przechylając głowę przyglądała się samotnemu człowiekowi. Uznała, że widok jest mało frapujący, zatrzepotała skrzydłami, zniknęła w gąszczu liści kaliny, połyskujących, jakby oblano je lukrem.

Zatrzymał się niezdecydowany. Gdzie iść? Przedtem do leśniczówki, tam się umyć, przebrać i potem dopiero do Wery, czy od razu do niej, przywitać się, nacieszyć jej widokiem? Przeciągnął dłonią po twarzy. Nie golił się od trzech dni. Ubranie było pomięte, jakby je psu z gardła wyciągnął. Więc?

Zdecydowanie zawrócił do Dziadoniów. Sumy mogą zaczekać. Tu sercu najbliżej.

Dopiero gdy wyłoniły się przed nim zabudowania nadleśnictwa i ujrzał dym oplatający wysoki komin, palnął się dłonią w czoło. Przecież to rano, Wera jest teraz w rejonie. Do licha, wszystko się mu pokiełbasiło w tym mamrze. No, ale przywita się przynajmniej z jej rodzicami.

Nadleśniczego nie było w domu. Wyjechał w teren. Na błocie znaczył się jeszcze ślad kół motocyklowych. Pani Dziadoniowa z wrażenia omal nie upuściła dzbana. Odstawiła go szybko. Nim Edek się spostrzegł, nim przychylił się do jej ręki, już go zamknęła w swoich tęgich ramionach.

— Biedaku! nareszcie cię wypuścili. Co to się Wera nazamartwiała.

Gdy ochłonął po takim powitaniu, wzruszony, czując, jak mu coś taje w sercu, poprosił nieśmiało:

— Czy mogłaby pani zadzwonić do Wery, powiedzieć, że wróciłem i zaraz po obiedzie przyjadę do niej?

— Kotek mileńki, toż sam możesz jej to powiedzieć.

Pomogła mu, nakręciła korbkę przestarzałego aparatu, dopiero wyrzuciła numer.

— Tu Dziadoniowa, poproszę córkę... — oddała słuchawkę.

Usłyszał jej głos, o którym tyle myślał w więzieniu dni i nocy... „Mama? Co się stało?”... Odchrząknął, powiedział:

— To ja, Wero...

Nagła cisza w słuchawce zaniepokoiła go. Co się stało? Aż dopiero usłyszał wykrzyknięte swe imię, głośno, bardzo głośno, a zaraz potem zasypała go pytaniami, gdzie jest, kiedy został zwolniony, jak się czuje, co teraz będzie robił i wreszcie zapowiedź, że wcześniej zwolni się z pracy, bo... Nie dokończyła zdania, ale przecież wiedział i tak.

Dziadoniowa uśmiechała się nadal, trzymając dłonie złożone na poplamionym fartuchu. Odłożył słuchawkę, spojrzął na nią oszołomionym wzrokiem, zagryzł wargi, coś mu się zamgliło w oczach. Boże, przecież nie może się popłakać, tożby dopiero była kompromitacja. Ale było mu tak dobrze, tak radośnie, tak się uczył w tej chwili szczęśliwy.

Gdy po godzinie siedział w Sumach za stołem, podkarmiany obficie przez panią Helenę, ciągle jeszcze nie mógł ochłonąć z tej wielkiej, przeogromnej radości. Wylewność pierwszych powitań dopiero minęła. Leśniczy sączył wolniutko czerwone wino, które specjalnie wypłynęło na stół przy takiej okazji, mrużył oczy, kręcił w podziwie głową.

— Ale ty i masz szczęście, daj asan pokój. Jak sam czego nie zbroisz, to cię za innego posądzą. Tym razem była to brudna sprawa. Na różne sposoby próbowaliśmy o ciebie wować, ho, ho...

— Wiesz, ja się zupełnie uczyć nie mogłem. A egzamin na karku. Teraz już będę mógł spokojnie nadrabiać zaległe — dodawał Mietek.

— Z nim jeszcze pół biedy. Ale Michał odurniał zupełnie. Ciągłe tylko deptał wszystkim po piętach i wmawiał, że jesteś niewinny, że to pomyłka, że on już wie najlepiej. I do Piza jeździł, i nawet próbował uzyskać widzenie z tobą w więzieniu. Pomyłony chłopiec. Choć co prawda posypało mu się na głowę. Dopiero Kulczyk zginął, teraz ciebie zamknęli — szybko, goniąc słowo za słowem, dorzucała informacji pani Helena.

— Pijcie, chłopaki, bo muszę do roboty. Dobrze, że się już to skończyło... A inna sprawa, nie dziwię się, żeś wtedy tego Krasawczyka obił w Olsztynie. Dobrze tak łobuzowi, widziane te rzeczy, na kogoś winę zwałać?

Wino było słabe, a przecież Edkowi szumiało w głowie. Gdy tylko było można, wyrwał się i popędził nad jezioro.

Przez pierzaste, mleczne chmury figlarnie przeglądało co jakiś czas słońce. Leniwie pluszcząca o brzegi woda skrzyła się wtedy, załamywała w odbiciach światła. Niedaleko brzegu kołysały się nurki, to znów posuwały się szybko jak żywe torpedy. Nad lasem cierpliwie krążył potężny jastrząb.

Całym rozpędem wpadł na pomost, odbił się, chlupnął w głęboką wodę, aż fontanna trysnęła wokoło, a nurki fajtnęły zadami i tyle je było widać. Zanurzył się głęboko w wodę ciemnozieloną od moczarki gęsto porastającej dno. Rozgrzane ciało zmroził chłód. Tym przyjemniej było u góry, w nagrzanym warstwie jeziora, oblanej słońcem. Płynął równo, spokojnie, rozradowany, że znowu może się kąpać, płoszyć nurki, wystawiać twarz do słońca.

Z brzegu nadbiegło szczenięce ujadanie. Obejrzał się. Rapsod, niezgrabny, wyrośnięty, nawoływał zawzięcie, jakby z pretensją, że nie miał dotychczas możliwości przywitania się z Edkiem. Zawołał na psiaka, który zawirował z zachwyty ogonkiem, zbiegł tuż nad wodę, zanurzył w niej łapy, ale zaraz cofnął się z niecierpliwym skomleniem.

Było ciepło, spokojnie. Ułożył się na piasku i odpoczywał. Jak dobrze, że nie trzeba już myśleć i denerwować się, z lękiem zaglądać w czającą się pułapkami przyszłość. Głaskał psiaka, który ziewając ze zmęczenia, również wyciągnął się obok niego. Nie wiedział, kiedy się zdrzemnął. Rapsod, zachwycony spoczywającą na jego futrze przyjazną ręką, też zasnął.

Tak zastał ich Michał. Stał długo, patrząc z uśmiechem na białego nagusa i kosmatego, ciemnego szczeniaka.

Edek otworzył oczy. Słońce skryło się za mleczną chmurą, zrobiło się chłodniej.

— Michał — poderwał się na nogi, złapał za szyję podleśniczego, wyściaskał, ucałował, a potem zatańczył wokół niego taniec radości.

— Wariat, zwariował w tym więzieniu — szeptał cichutko uszczęśliwiony Michał, a w jego dużych, brązowych oczach zabłysło podejrzanym jakieś szkliwo.

Edek sapiąc uspokoił się wreszcie, spojrzał na przyjaciela, dojrzał to szkliwo i pomyślał w tej chwili, że dla takich przywitań może warto było przeżyć te dziesięć dni zgryzoty, niepewności i oburzenia. Naprawdę warto...

Nawet na „Zetora” spojrzał z przywiązaniem. Tyle razem się najeździli.

— Chcieli go tu przed paru dniami odebrać, że to trzeba będzie zwozić budulec do wioski. Leśniczy odwojował, zostawili. Będiesz znów miał na dwa tygodnie roboty. Wypłacili odszkodowania, jeszcze coś kapło ze specjalnych funduszy na pomoc pogorzelncom. Do zimy chcą postawić nowe chałupy.

Nowiny sypały się jak z rogu obfitości. Co to znaczy spędzić dziesięć dni poza domem. Mietek z książką w ręce włóczący się po cienistej drodze mrugnął znacząco na Edka.

— Paweł w końcu czerwca chce wyprawiać wesele. Będę już pewnie po egzaminie...

— Słuchaj, Mietek, przyszło mi do głowy, że trzeba podziękować tej Wili, i to wiele nie zwlekając. Pożycz mi twój ojciec swej WFM-ki? Zabrałbym Werę.

— Masz tobie, myślałem, że mi zaproponujesz jazdę.

— No, bo widzisz...

— Daj spokój, ja muszę kuć teraz, egzamin na nosie. A motor na pewno dostaniesz.

Zaraz po wczesnym obiedzie Michał zaprowadził Edka do Janickich, pokazać nie byle dziwo. W kuchni za stołem stał koszyk wysłany miękkimi szmatami.

— Zajrzyj.

Wyciągnięta na boku leżała tam szara kotka, dobrze mu znana.

Przy niej zaś coś puchatego ssało usilnie. Nachylił się zdumiony. Nie wierzył własnym

oczom.

— Zajączek?

— Aha. Kotka miała młode, potopili jej wszystkie. A ja tego dnia znalazłem w jedlniku młodego zajączka. Był wystraszony, jakby poturbowany. Szkoda mi było małego, przyniosłem, choć wiadomo, że żadne takie się nie uchowa. Leśniczy rozłożył ręce. I wtedy pomyślałem, żeby spróbować podstawić go kotce. Udało się, widzisz?

Podleśniczy był zachwycony. Marysia nie mogła się nadziwić.

— I jaka z niej matka. Przecież z tego zająca zrobiła się klucha, tak pije. I nic się nie boi, proszę — wzięła na ręce puszystą kulkę. Czarne oczka patrzyły spokojnie, zaciekawione. Edek wyciągnął rękę, pogładził małego. Kotka przyglądała się im uważnie. Miauknęła, zajączek o dziwo, nastroszył uszka, obejrzał się w jej stronę.

— Pan leśniczy przegrał do mnie flaszkę wina, bo się założył, że nic z tego nie będzie — triumfował Michał, gdy wracali na podwórze leśnictwa...

Motor warczał wesoło. Edek dodał gazu, pokiwał do uśmiechniętego Michała, pięknym zakolem wyrwał na drogę, bryznął spod kół grudkami wilgotnej ziemi, zaraz zniknął w leśnej wyrwie. Spieszył, przez te zachwyty nad kotką — zającą macochą gotów się spóźnić do Wery.

Była już w domu. W lekkiej, jasnej sukience wyglądała zachwycająco. Jeszcze raz stwierdził, jak była piekielnie zgrabna.

Witał się trochę nieśmiało. Peszyła go obecność nadleśniczego. Wera spojrzała na niego zdziwiona, w oczach jej zadrgały filuterne ogniki, niespodziewanie ujęła Edka mocno za szyję i równie mocno ucałowała. Szczerwieniał ze szczęścia i zażenowania.

— Wera — szepnął.

— Co? — zaśmiała się.

Nadleśniczy zobaczył niepewnie zwrócone na siebie spojrzenie chłopca, zaśmiał się.

— I tak bywa, mój miły — powiedział. A potem dodał: — Macie pewnie ochotę na jakąś przechadzkę. Wracajcie szybko, bo chciałbym z wami pogadać.

Wera pytająco zerknęła na ojca. Cóż za nowy pomysł? Nic jej o tym nie mówił. Zresztą bardziej zajmowała ją w tej chwili perspektywa przejażdżki.

— Świetnie, tylko wezmę żakiet, a nuż deszcz będzie.

Gdy wróciła, nieśmiało wyjawiał swój zamiar.

— Chciałbym razem z tobą pojechać do Wili, wiesz, tej dziewczyny z Karwicy, bo i ona podobnie jak ty zgłosiła się do prokuratora...

Zobaczył wielkie, zdumione oczy.

— Wiesz o tym? I wiesz wszystko, co mówiłam? A ta Wila, nie rozumiem...

— Prokurator mi dziś powiedział, to było tak pięknie z twojej strony...

— Normalnie — urwała. — Ale ta Wila?

— Ona się również zgłosiła i także powiedziała, że tamtą noc byłem z nią razem. Wyszedł z tego niezgorszy ambaras, prokurator żadnej z was nie uwierzył.

— Głupia. Ale czemu ona? Edek, czy ona też...

— Nie, to przecież ta od traktora, pamiętasz? Raz ją tylko potem widziałem. Myślę, że to po prostu z wdzięczności za tamto.

— Ach tak. — Uspokoila się. Nawróciła do swojej osoby. — Opowiedz, co ci mówił prokurator o mojej wizycie.

Usiedli na ganku. Powtórzył dokładnie ranną rozmowę z prokuratorem. Słuchała uważnie. Wydało mu się, że pewnej chwili odetchnęła z ulgą.

— ...i dlatego chciałem, abyśmy do niej zajechali. Wypada przecież podziękować — zakończył.

Zaraz odjechali. Zadymity spaliny.

W Karwicy zastali Wilę spacerującą w ogrodzie wraz z narzeczoną. Edek był speszo-



ny. Nie będzie przecież przy tym chłopcu dziękował dziewczynie za podobne zeznania. Nie bardzo wiedział, jak wybrnąć z sytuacji. Poddał się tymczasem ogólnemu nastrojowi. Szczególnie Wila promieniała na jego widok. Najciekawsze zaś, że przystojnego chłopaka zdawało się to wcale nie martwić. Zwrócił się w pewnej chwili do Edka:

— To znaczy, że Wila jednak pomogła... Bo nie byliśmy pewni. On ją tak srogo przyjął...

Wytrzeszczył oczy.

— To pan wie?

Młody Mazur wybuchnął śmiechem.

— Pewnie, że wiem. My za miesiąc bierzemy ślub, jakżeby nie wiedział.

Edek jeszcze nic nie rozumiał. Pytająco spojrzął na Werę, ale mina jej świadczyła, że nie jest mądrzejsza od niego. Uśmiechnął się niewyraźnie, bo cóż miał mówić?

Mazur wodził spojrzeniem po ich twarzach. Jeszcze bardziej zaczął się śmiać. Wila także wesoło łyskała oczyma.

— Razem to obmyśliliśmy — wskazała na narzeczonego.

Edek zgłupiał zupełnie. Wtedy Mazur dopowiedział resztę.

— Bo tą noc to ja z nią spacerowałem... Ale co to kogo mogło obchodzić. Pewni byliśmy, że dzieje się jakaś krzywda, jakże więc nie ratować człowieka? Bez pana nie miałbym mojej dziewczuchy — przygarnął Wilę do siebie dość obcesowo. Zacerwieniła się aż po ciemne włosy, bo i ten gest, i poprzednia wypowiedź o tej przespacerowanej nocy...

Teraz i Wera nie mogła powstrzymać śmiechu. I Edkowi wszystko wydało się bardzo zabawne.

Na odjezdnym Mazur zwrócił się do nich uroczyście, z powagą:

— Na weselu naszym będziecie koniecznie. Przyjedziemy was jeszcze zaprosić.

A potem popatrzył na nich z uśmiechem na męskiej twarzy.

— Tak mi się coś wydaje, że i u was długo z weseliskiem czekać nie będzie trzeba, co?

Edek nie pamiętał, czy był kiedykolwiek w życiu aż tak zażenowany.. Niechże licho tę parę. Ale zarazem coś bardzo ciepłego przewinęło falą przez jego serce. Wera, weselisko, cóż za marzenie.

W połowie powrotnej drogi zjechał nagle na boczną dróżkę. Obejrzał się na dziewczynę. Z aprobatą skinęła głową.

— Bo widzisz, chciałem cię pocałować — powiedział, obejmując ją w pół. — Tam czeka na nas twój ojciec...

— Nareszcie — westchnęła ciężko ze swymi chochlikami w oczach i uciesznym drganiem nasady noska.

— Wera — dyszał, odrywając się od niej na chwilę — jak ja za tobą tęskniłem.

— Ja myślę — prychała i znów podawała mu usta.

A potem długo, długo jeszcze gwarzyli, siedząc na podestanej marynarce Edka.

Patrzył na drgający długimi cieniami las puszczański, nasłuchiwał hałasów ptactwa, sycił oczy intensywną zielenią i kwieciami.

— Wiesz — powiedział — ta puszcza jest piękna. Wydaje mi się, że wrośłem w nią albo że nigdy poza nią nie byłem. Chciałbym w niej pozostać na zawsze... — i umilkł. Przypomnił sobie własne myśli na ten temat. Przecież dla niego nie ma tu właściwego miejsca. Mało dobre chęci; pragnąc być w lesie, trzeba także z siebie lasowi temu coś dawać. Z zadróżką pomyślał o Mietku, o jego planowanych studiach leśniczych. A przecież i Wera...

— Ty też wybierasz się na leśnictwo?

— Tak, w przyszłym roku — ożywiła się. — Czemu pytasz?

— Chciałem wiedzieć. To nie będzie cię tutaj całymi miesiącami. A ja?

W wyrazie jej twarzy było jakieś wielkie, pełne napięcia oczekiwanie. Ale Edek nic nie powiedział, posmutniał tylko.

Nie wrócił już poprzedni beztroski nastrój. Jakaś chmura przesłoniła ich myśli...

W nadleśnictwie oczekiwano na nich. Obydwoje Dziadoniowie byli jacyś uroczyści, nawet ubrani odświętnie.

Na stole wśród jedzenia stała butelka przejrzystej, słomkoseledynowej wódki. Edkowi przypomniały się pierwsze mgiełki na brzożach wracających po zimie do życia. Miały taki sam delikatny kolor.

Wera z nie ukrywanym zdumieniem spoglądała na rodziców.

— Co wy tu wyprawiacie? — szepnęła.

Nadleśniczy uśmiechnął się, rozlał wódkę, podniósł się z kieliszkiem w dłoni.

— Widziałem się dziś w południe z prokuratorem... — odczekał, zerknął dyskretnie na córkę, która nagle zaczerwieniła się, chyba pierwszy raz od czasu, jak Edek ją poznał.

Dziadoń ciągnął dalej:

— Dowiedziałem się tam o pewnym fakcie. Wera przedstawiła się mu jako narzeczona podejrzanego Zaleskiego... Cóż robić? Nic nie pozostaje, jak wam pogratulować i wznieść toast na tę intencję.

Po raz trzeci już ogłupiały zupełnie Edek dostrzegł w oczach nadleśniczego te same chochliki, które tak dobrze znał u Wery. Ona zachnęła się w pewnej chwili, a potem opuściła głowę, nie śmiać podnieść oczu.

Wypili. Wódka była zimna i doskonała w smaku. Ziołówka.

Dziadoniowa roztkliwiła się, pulchnymi ramionami czule ścisnęła młodych. Edek zbierał, czując na swym czole pocałunek pana Dziadonia. „Jak w dawnym romansie”, pomyślał, ale mimo to scena ta wydała mu się przepiękna.

Dopiero po jakimś czasie Wera odzyskała swój zwykły rezon.

— Ładnie się urządziłam w tej sprawie. Tatko mnie tak usadził. Wygląda na to, że pierwsza się oświadczyłam... To była sytuacja przymusowa. Ale nie mogłam się teraz wycofać, bo...

— Wera — Edek niemal że jęknął z zachwytu.

A potem siedzieli jeszcze we dwójkę na ganku. Na podwórzu cykały świerszcze. Gdzieś w lesie pohukiwała sowa. Nietoperze krążyły z poszumem skrzydeł, popiskiwały jak myszy.

— Powiedziałaś kiedyś, że diabeł mówi tutaj dobranoc. Myślałem, że masz rację. Głuchy ką, nuda, odludzie. I tak zresztą i nie. Tu bardzo wiele się dzieje. A dla mnie...

Przytuliła się do jego ramienia.

— Co dla ciebie?

Był bardzo poważny.

— Dla mnie to dopiero początek jakiegoś pełnego życia... Przedtem łudziłem się naiwnie, że właśnie tamto jest pełnią. Ech, stare dzieje. A przecież nieraz chciałem do nich powrócić. I może bym i wrócił, gdyby nie ty. Bo widzisz, w życiu jest potrzebne jakieś oparcie, nie można być zawsze samemu z sobą, i chyba najlepiej, gdy takie oparcie jest w innym, najbliższym człowieku...

Ucałowała go.

Gdy wrócił do leśniczówki, u Mietka paliła się jeszcze naftówka. Uczył się. Poczłapał do niego na górkę. Gadali o tym i owym, Mietek spod oka przyglądał się Edkowi. Cóż on taki dzisiaj uroczysty.

Edek wreszcie przemógł się, powiedział cicho:

— Mietek, wiesz? Zaręczyliśmy się z Werą.

— Masz babo placek. A ja w głowę zachodzę, coś ty w nastroju jak na akademii. Daj pyska, stary!! Daj pyska.

Gdy się uspokoili, Edek znowu nawrócił do nurtujących go spraw.

— Mietek, tylko się nie śmieję... Jak pojedziesz, chciałybym, abys się rozejrzał, czy jeszcze można tak jak ty zrobić maturę... Bo...

— Nie gadaj, już wiem! Można, pewnie, że można. Załatwię ci wszystko...  
— Jeszcze nie zdecydowałem się, ale widzisz, Wera także zamierza iść na leśnictwo. A przecież są takie małżeństwa studenckie...  
— Są, są. Masz rację, chłopie.  
— Ja tylko informacyjnie, jeszcze to wszystko...  
— Nie zawalaj gitary. Znamy się nie od dziś.  
— To ja już pójdę.  
— Jutro znów ojciec będzie musiał wino stawiać — zaśmiał się Mietek, życzliwie patrząc za przyjacielem.

Nie poszedł do swego pokoju. Dzień był zbyt pełen wrażeń, aby można było myśleć o spaniu.

Zszedł nad jezioro, przysiadł na wysuniętym daleko w wodę krańcu pomostu. Chmury spływały jeszcze wieczorem, jasno było, spokojnie. Nad lasem pokazał się księżyc. Szeroką smugą opadł przez całą długość jeziora.

Dyskretnie zadygotała listkami osina.

Na pomoście coś się poruszyło, zamarło. A potem o deski zastukały pazury. Edek drgnął, obejrzał się. Spasiony, tłusty, pchał się do niego Mruk. Chrząkał i sapał. Jeszcze węszył, podchodząc.

Położył rękę na wydłużonym łbie. Ryj rozczmuchał się natarczywym węszeniem. Borsuk podsunął się jeszcze bardziej pod dłoń, z zadowoleniem przyjmował pieszczotę gładzącego miękkie futro człowieka. W świetle księżycy wyraźnie znaczyła się czarna pręga przez środek głowy.

Wreszcie zwierzak zdecydował, że oprócz karesów istnieją też łowy i stukając pazurami wyruszył w powrotną drogę. Edek długo śledził go wzrokiem, aż mu zginął w ciemnościach.

Wyciągnął się na deskach, podłożył ręce pod głowę. Patrzył w rozgwieżdżone niebo, słuchając poszumu liści osiny i bicia własnego serca.

Noc była ciepła, spokojna.

## SPIS ROZDZIAŁÓW

1.	Większa rozróżba	002
2.	Niespodziewany wyjazd	007
3.	Pyskate licho	012
4.	Pierwsze strzały	019
5.	Kraksa	029
6.	Co leśniczy wyszukał w gazecie	035
7.	Dziewczęta z za rzeki	041
8.	Zadra w sercu	050
9.	Nawałnica	060
10.	Wieczorne wspominki	066
11.	Nowa rozróżba	072
12.	Zasadzka w stodole	079
13.	Ponowa	087
14.	Klem osaczony	094
15.	Basior	104
16.	Michał odnalazł trop	114
17.	Mokra przygoda	122
18.	Jeszcze raz Wierzbik	129
19.	Michał na widowni	135
20.	Wiosenne amory	143
21.	Dalsze nowiny	150
22.	Trudna rozgrywka	156
23.	Węgorzowe noce	170
24.	Klem	178
25.	Nieoczekiwane spotkanie	185
26.	Grom z jasnego nieba	192
27.	Zagmatwana sprawa	197
28.	Znowu w Sumach	205